



SCIMITAR SL-2

PATRICK

ROBINSON

THE MILLION-COPY BESTSELLER

ROBINSON PATRICK

Arnold Morgan #7 Tsunami

PATRICK ROBINSON

Dom Wydawniczy REBIS poleca m.in.

thrillery:

Marcus Wynne

BEZ WYBORU WOJOWNIK W MROKU TOWARZYSZE BRONI

Keith Ablów PRZYMUS

David Baldacci TEN, KTÓRY PRZEŻYŁ

Stephen Coonts

USS AMERICA

HONGKONG

KUBA WOLNOŚĆ

Krzysztof Kotowski

ZYGZAK JAPOŃSKIE CIĘCIE

Steve Martini STAN OSKARŻENIA

Graham Masterton

KATIE MAGUIRE

KONDOR

WYBUCH

PLAGA

Don Passman

WIZJONERKA

Patrick Robinson

USS SEAWOLF

BUNT NA USS SHARK

BARRACUDA 945

Scott Turów

BŁĘDY ODWRACALNE

Vince Flynn

TRZECIA OPCJA David Lindsey

BEZ ROZGŁOSU

Patrick Robinson

TSUNAMI

Przełożył Janusz Szczepański

Dom Wydawniczy REBIS Poznań 2005

Tytuł oryginału Scimitar SL-2

Copyright © Patrick Robinson 2004 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by

REBIS Publishing House Ltd.,

Poznań 2005

Redaktor Małgorzata Chwałek

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki Jacek Pietrzyński

Fotografia na okładce Paul Hanna/ REUTERS/FORUM

Wydanie I

ISBN 83-7301-597-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. (0-61) 867-47-08, 867-81-40; fax 867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

WAŻNIEJSZE OSOBY

Naczelne dowództwo amerykańskie

prezydent Charles McBride

wiceprezydent Paul Bedford

Cyrus Romney (doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego)

Edward Kennedy (senator, przewodniczący senackiej komisji ds. sił zbrojnych)

Bili Hatchard (szef kancelarii prezydenta)

admirał Arnold Morgan (głównodowodzący operacji „Przyptyw”)

Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (National Security Agency, NSA)

kontradmirał George R. Morris (dyrektor)

komandor podporucznik James Ramshawe (asystent dyrektora)

Dowództwo sił zbrojnych USA

generał Tim Scannell (przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów)

admirał Alan Dickson (szef operacji morskich) admirał Dick Greening (dowódca Floty Pacyfiku – CINC-PAC)

admirał Frank Doran (dowódca Floty Atlantyku – CIN-CLANT)

kontradmirał Freddie Curran (dowódca Floty Podwodnej Pacyfiku – COMSUBPAC)

generał Kenneth Clark (dowódca Korpusu Marines) generał Bart Boyce (naczelnny dowódca sił NATO) kontradmirał John Bergstrom (dowódca Sił Specjalnych – SPECWARCOM)

Dowództwo bliskowschodnie

admirał Mohammed Badr (dowódca marynarki wojennej Iranu)

generał Rawi Raszud (naczelnny dowódca wydziału operacji wojskowych Hamasu)

kontradmirał Ben Badr (dowódca Barracudy II)

komandor podporucznik Szakira Raszud (oficer nawigacyjny i kierowania ogniem, Barracuda II)

Wojskowi z innych państw

pułkownik Dae-jung (szef operacji nuklearnych, kompleks Kwanmobong, Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna)

kapitan Habib Abdu Camara (dowódca marynarki wojennej Senegalu)

Osoby cywilne

profesor Paul Landon (wulkanolog, Uniwersytet Londyński)

Dawid Gawron (ambasador Izraela w Waszyngtonie, były szef Mosadu)

Tony Tilton (prezes Banku Seattle)

Mark Volmer (ambasador USA w Dubaju)

Kathy Morgan (małżonka admirała Morgana)

PROLOG

Czwartek, 8 maja 2008 r., Londyn

Profesor Paul Landon, znany rocznikom studentów Uniwersytetu Londyńskiego pod pseudonimem „Lawa”, wyszedł spiesznie z siedziby Królewskiego Towarzystwa Geograficznego na mroczną, wysadzaną rzędami drzew, szeroką Exhibition Road, ulicę największych muzeów stolicy Wielkiej Brytanii, prowadzącą z Hyde Park na południe. Zatrzymał się na chwilę w bramie wejściowej, która przed nim witała niejednego wielkiego człowieka: badaczy Antarktyki Scotta i Shackletona, zdobywcy Mount Everestu Edmunda Hillary'ego i kierownika jego wyprawy, lorda Hunta, a przed nimi takie sławy jak Livingstone'a i Stanleya. Podobnie jak profesor Landon, wszyscy oni byli cenionymi członkami towarzystwa i w tym samym szacownym budynku też prowadzili serie błyskotliwych „wiosennych” odczytów, podczas których sala pękała w szwach, a ludzie słuchali jak zaczarowani. Landona od słynnych poprzedników różniła przede wszystkim tematyka wykładów. Tamci, wielcy odkrywcy, przedstawiali słuchaczom zapierające dech w piersiach relacje o przetrwaniu człowieka w ekstremalnych warunkach zimowych; „Lawa” zaś opowiedział zebrany szczegółowo, jak będzie wyglądał nadchodzący koniec świata. Nie podał oczywiście dokładnej daty; zgodnie ze zwyczajem geofizyków Landon operował jednostkami czasu równymi stu wiekom. Nieunikniona katastrofa może nastąpić mniej więcej za siedem tysięcy lat, zakończył, dodając po krótkiej pauzie: „Ale równie dobrze możemy się jej spodziewać w następny piątek tuż po obiedzie”.

Audytorium, typowe dla Królewskiego Towarzystwa Geograficznego – powściągliwa z natury, dobrze sytuowana elita

o aspiracjach naukowych – przyjęło odczyt entuzjastycznie. Landon zaplanował go do najdrobniejszego szczegółu i wygłosił ze swadą, ilustrując doskonale dobranymi rysunkami, diagramami i krótkimi filmami. Opowiedział o najsilniejszych erupcjach wulkanów na całym świecie, o niszczących całe połacie wybrzeży falach tsunami i najgroźniejszych trzęsieniach ziemi. Najwięcej uwagi poświęcił jednak właśnie wulkanom z przeszłości, jak indonezyjski Krakatau, którego wybuch w 1883 roku zniszczył samą górę, wznoszącą się przedtem na tysiąc osiemset metrów nad poziom morza, pochłaniając trzydzieści sześć tysięcy ofiar na Sumatrze i Jawie, albo potężny wulkan w parku Yellowstone w Wyoming, który zasypał magmą i popiołem Kalifornię, Teksas, a nawet wyspy na Morzu Karaibskim; zdarzyło się to co prawda przed sześciuset pięćdziesięcioma tysiącami lat, ale w ustach profesora zabrzmiało to jak wydarzenie sprzed paru miesięcy.

Landon przedstawił też graficzne studium potężnej erupcji Saint Helens w Kordyliarach Środkowych w stanie Waszyngton, podczas której ogromny bąbel lawy rozerwał północne zbocze góry, tworząc nowy krater i niszcząc ponad tysiąc kilometrów kwadratowych lasu. Opis tej katastrofy z 1980 roku pozwolił profesorowi przejść do głównego punktu odczytu: możliwości powstania tsunami. To japońskie słowo oznacza serię niezwykle wysokich fal

wywołanych przez trzęsienie ziemi lub – co bardziej prawdopodobne – osunięcie się gigantycznej ilości ziemi i skał w głąbiny oceanu na skutek erupcji wulkanu. Landon skoncentrował się na potencjalnym zagrożeniu podobnym zjawiskiem na południowo-zachodnim wybrzeżu Palmy w archipelagu Wysp Kanaryjskich, wyrastającej z głębokich wód Atlantyku o czterysta sześćdziesiąt kilometrów od południowego wybrzeża Maroka. Powiedział słuchaczom, że olbrzymi złom skalny, długi na kilka kilometrów i leżący akurat nad linią uskoku tektonicznego, w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat osunął się o kilka metrów wzdłuż podłoża, a gdzieś pod tym niepewnie posadowionym bazaltowym kolosem kipi jądro wielkiego wulkanu Cumbre Vieja.

–Kiedy on wybuchnie, runie wszystko – oznajmił profesor. – Kilka do kilkunastu kilometrów sześciennych skały

odpadnie od zachodniego stoku wulkanu i uderzy w wody Atlantyku z prędkością ponad trzystu kilometrów na godzinę, osuwając się coraz szybciej wzdłuż dna, być może osiągając w końcu szybkość odrzutowca. Proszę państwa, mówię tu o jednym z największych osuwisk w ciągu ostatniego miliona lat. W grę wchodzi kompletne zniszczenie całej południowo-zachodniej części wyspy Palma.

Audytorium – byli oficerowie armii i marynarki wojennej, akademicy, spadkobiercy starych rodów ziemiańskich, którzy zawsze żywo się interesowali podobnymi problemami naukowymi – słuchali z szeroko otwartymi oczyma, jak profesor wyjaśnia mechanizm tworzenia się olbrzymiej fali o kilkusetmetrowej długości (odległości między kolejnymi wierzchołkami), mknącej od dna ku powierzchni oceanu i rozprzestrzeniającej się we wszystkich kierunkach z prędkością rzędu ośmiuset kilometrów na godzinę. Na otwartym morzu jej wysokość nie przekracza jednego metra, natomiast gdy wpada na płytsze akweny, zaczyna się szybko wypiętrzać, a przy samym wybrzeżu może się zamienić w wodny wał sięgający kilkudziesięciu metrów. Landon plastycznie opisał katastrofalne skutki takiej fali. Zniszczeniu uległyby wielkie połączenia lądu w zachodniej Afryce, Hiszpanii, Francji i południowej Anglii, a w ciągu dziewięciu godzin od erupcji wulkanu fala dotarłaby na drugą stronę Atlantyku i zmiotłaby całe Wschodnie Wybrzeże USA.

–Jeśli wybuchnie Cumbre Vieja, tak się właśnie stanie -powtórzył Landon. – Rzadko występujące, straszne tsunami. Obliczenia wykazują, że kilka potężnych fal, wciąż mierzących około pięćdziesięciu metrów wysokości, wpadnie na ograniczone akweny przy dolnym Manhattanie. Już pierwsza z nich nie pozostawi kamienia na kamieniu z okolic Wall Street. Następna po tak przygotowanym gruncie wedrze się głębiej, nawet na kilkanaście przecznic od linii nabrzeży. Po niej runą następne, wciąż ponadtrzydziestometrowe, aż wreszcie cały Nowy Jork legnie w gruzach. Największe tsunami w całej znanej nam historii, a wszystko z powodu jednego wulkanu.

Paul Landon, jeden z najwybitniejszych wulkanologów na świecie, był profesorem Uniwersytetu Londyńskiego i dyrek-

torem Benfield Greig Geohazard Research Centre, uczelnianego ośrodka zajmującego się naturalnymi katastrofami i zagrożeniami. Pracował często na stokach dziesiątek najniebezpieczniejszych wulkanów świata, nieraz trafnie przepowiadając groźne erupcje. Zasłużył sobie na swój pseudonim; jego umiejętności określania temperatury i „zamiarów” magmy dorównywał tylko jego talent krasomówczy. Miał teraz czterdzieści cztery lata i był u szczytu kariery; jego wykłady cieszyły się niesłabnącym powodzeniem na całym świecie. Był mężczyzną średniego wzrostu o jasnoniebieskich oczach; ubierał się zgodnie z uniwersalną modą akademicką: tweedowa sportowa marynarka, kraciasta koszula i uniwersytecki krawat. „Lawa” mieszkał z żoną Valerie, prawniczką z City, pod Londynem, w Buckinghamshire. Ich dwaj synowie – starszy miał piętnaście lat, młodszy czternaście – zgodnie uważali ojca za cokolwiek zwariowanego; trudno się było spodziewać innej reakcji, skoro niemal każdego dnia ich młodego życia słyszeli, że koniec świata nastąpi prawdopodobnie za tydzień. Sceptycyzm potomstwa w najmniejszym stopniu nie przeszkadzał profesorowi Landonowi – jak wielu jego kolegów, żył we własnym świecie i był odporny na wszelką krytykę. Krocząc teraz śladami wielkich poprzedników, oceniał w myśli swoje dzisiejsze wystąpienie. Dobrze wiedział, że przykuł uwagę całego audytorium. Nie był jednak świadomy obecności jednego szczególnego obserwatora.

Zagubiony wśród zasłuchanych ludzi dwudziestotrzyletni palestyński bojownik Ahmed Sabah pilnie notował, zważając na każde słowo prelegenta i każdy pokazywany przezeń wykres czy rysunek. Po odczycie Ahmed wyszedł jeden z pierwszych, a teraz spokojnie czekał w mroku po południowej stronie sąsiadującej z siedzibą Królewskiego Towarzystwa Geograficznego słynnej sali koncertowej, Royal Albert Halli.

„Lawa” szedł ulicą Kensington Gore. Akurat kiedy wkraczał na dziedziniec tego przybytku muzyki, nazwanego na cześć małżonka królowej Wiktorii, z bram Albert Halli po koncercie poświęconym popularnym zespołom z lat osiemdziesiątych zaczęło się wysypywać kilka tysięcy fanów. Upłynęły jeszcze cztery minuty, zanim Landon znalazł się na szczycie długich, szerokich schodów prowadzących ku ciemnej uliczce

na tyłach sali koncertowej. W tym samym kierunku podążał tłum młodych ludzi i po chwili profesor był otoczony ze wszystkich stron. U stóp schodów zauważył czarnego rangę rovera z wyłączonymi światłami, nieprzepisowo zaparkowanego przy krawężniku i zwróconego w niewłaściwym kierunku. Za kierownicą nie było nikogo.

W tym momencie Ahmed Sabah i jego dwóch kolegów zaatakowali go od tyłu. Wprawnie zarzucili Landonowi worek na głowę, chwycili go z obu stron i brutalnie pociągnęli po kilku ostatnich stopniach prosto ku tylnym drzwiom czekającego pojazdu. Profesor nie miał możliwości się opierać czy nawet krzyknąć. Głos z obcym akcentem syknął mu do ucha: „Bądź cicho, jeśli chcesz żyć!” Na plecach, gdzieś w okolicy lewej nerki, czuł nacisk czegoś, co mogło być tylko dużym nożem.

Zadziwiające, jak ten ludzki rój mógł nie zauważyć, co się dzieje. Każdy musiał być zajęty myślą o jak najszybszym powrocie do domu, wypatrując wolnych taksówek, spiesząc się na przystanek autobusowy czy stację metra South Ken-sington. Nikt nie zwrócił uwagi na ten incydent, nawet dwaj patrolujący tę okolicę policjanci z psem o imieniu Roger, których porwał ze sobą tłum fanów. Znajdowali się akurat na szczycie schodów, dziewięć metrów powyżej miejsca akcji grupy Sabaha. Wierni współczesnemu etosowi londyńskiej policji nie spostrzegli przestępstwa, za to natychmiast zainteresowali się nieprawidłowo zaparkowanym samochodem. Brnęli przez ciżbę, gotowi zatrzymać kierowcę, a ich ręce już sięgały po wypróbowany „w boju” alkomat.

Kiedy dotarli w pobliże rangę rovera, miejsce za kierownicą było już zajęte. Siedział na nim były major SAS Ray Kerman, obecnie znany jako generał Rawi Raszud, najwyższy dowódca sił bojowych Hamasu, najprawdopodobniej najgroźniejszy obecnie i najbardziej poszukiwany terrorysta świata*. Niecierpliwie nacisnął pedał gazu; silnik zawył na wysokich obrotach, a zaskoczony policjant spuścił psa ze

* O metamorfozie majora i jego późniejszych wyczynach opowiada poprzednia powieść Patryka Robinsona, Barracuda 945, Rebis 2004. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

smyczy. Masywny owczarek dopadł samochodu w dwóch susach, celując zębami w ramię kierowcy za otwartym oknem. Nie zdążył. Siedzący za Rawim Ahmed Sabah krótką serią z kałasznikowa z tłumikiem rozłupał mu czaszkę. Biegący za psem pierwszy z policjantów nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zatrzymał się jak wryty o trzy metry od rangę rovera, wlepiając oczy w martwe ciało zwierzęcia.

Pistolet maszynowy Ahmeda odezwał się znowu trzema głuchymi pyknięciami. Na czole policjanta wykwitł rząd krwawych kropek. Nie żył już, gdy padał na wznak na ziemię.

Drugi członek patrolu, widząc nieruchomego psa, ale jeszcze nie zauważywszy, co się stało z kolegą, instynktownie rzucił się ku kierowcy. Spóźnił się jednak. Generał był już na trotuarze. Schwycił policjanta za wyciągniętą prawą rękę i jednym płynnym ruchem rzucił nim w dół, prosto w otwarte drzwi pojazdu. W następnej chwili złapał go za gardło i przycisnął mu głowę do środkowego słupka karoserii. Ahmed Sabah pchnął silnie drzwi, łamiąc policjantowi kość czołową. Rawi podrzucił nieszczęśnika z powrotem do pozycji pionowej i nasadą prawej dłoni zadał ów klasyczny cios śmierci, wypraktykowany przez SAS, wbijając odłamek kości prosto w mózg ofiary.

Grupa bojowa Hamasu ćwiczyła tę operację tygodniami; kiedy nadszedł jej termin, nie było błędów. Zaskoczyła ich obecność psa policyjnego, ale tylko na chwilę. Od ataku na profesora Landona do odjazdu rangę rovera upłynęło zaledwie siedemnaście sekund. Terenowy samochód zawrócił i wciąż ze zgaszonymi światłami ruszył ku Exhibition Road. Oszołomiony więzień na jego tylnym siedzeniu nie miał pojęcia, że zostały za nimi trupy.

Kolejne pięć minut minęło, zanim parę osób w rozgrzanym koncercie tłumie zdało sobie sprawę z tego, co zaszło. Nie, psisko nie ucięło sobie drzemki na środku chodnika. Owszem, ta ciemna plama to naprawdę krew. Policjant leżący na wznak rzeczywiście został zastrzelony, a ten drugi, z twarzą w rynsztoku, nie jest pijany, tylko nie żyje. To się rzeczywiście zdarzyło, w miejscu jak najbardziej publicznym, tuż pod Royal Albert Halli. W końcu, po ponad siedmiu mi-

nutach od zajścia, ktoś zadzwonił z telefonu komórkowego na londyński numer alarmowy 999. Niemal drugie tyle upłynęło, zanim na miejsce zbrodni dotarły dwa radiowozy. Generał Raszud i jego ludzie zdążyli w tym czasie zmienić samochód i spokojnie jechali przez zachodnie dzielnice Londynu do bezpiecznej jak bank szwajcarski kryjówki w domu należącym do kilku muzułmanów w przedmiejskim Houn-slow. Landonowi skrupowano ręce taśmą klejącą, nie zdjęto też worka z głowy. Siedział wciśnięty między dwóch najgroźniejszych islamskich terrorystów świata, zupełnie zdezorientowany. Kiedy ze strachem pytał, o co chodzi, przekonany, że padł ofiarą pomyłki, usłyszał cichą, lecz stanowczą odpowiedź: „Proszę milczeć, profesorze Landon. Chcemy tylko z panem porozmawiać, a potem będzie pan wolny”.

Nie była to prawda. „Lawa” już w tej chwili za dużo wiedział.

Dwa ambulanse zabierały już zwłoki zamordowanych policjantów do szpitala St. Mary's w Paddington. Pracownicy RSPCA* ładowali na furgon Rogera, a policja gorączkowo szukała świadków przestępstwa. Nikt jednak nie słyszał strzałów, nikt nie widział samego ataku na obu policjantów. Nie dało się ustalić marki samochodu terenowego, którym mogli się posługiwać sprawcy, nie znalazł się też nikt, kto by zapamiętał jego numery. Ktoś twierdził, że samochód odjechał bez świateł, skręcając w prawo, w Exhibition Road. Ktoś inny widział, że wóz skręcił w lewo. Nie było nawet odrobiny informacji o wyglądzie jego kierowcy i ewentualnych pasażerów.

Był to najbrutalniejszy mord na londyńskich policjantach od niemal pół wieku, kiedy gangsterzy zastrzelili trzech „bob-bych” w Shepherd's Bush, kilka kilometrów na zachód od Albert Hali. Wówczas jednak dochodzeniowcy bardzo szybko domyślili się tożsamości sprawców; tym razem było zupełnie inaczej – brakowało poszlak, świadków i przede wszystkim

* Royal Society for Preventing Cruelty to Animals – Królewskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt, działające w Wielkiej Brytanii, Australii i Nowej Zelandii.

motywów. No i oczywiście nikt nie miał pojęcia, że w samochodzie, którym mordercy uciekli, znajdowała się ofiara porwania – znany naukowiec.

Przesłuchanie profesora Landona zaczęło się o pierwszej w nocy. Zdjęto mu worek z głowy, rozwiązano ręce, posadzono za dużym stołem w pokoju o białych ścianach bez okien i podano kubek kawy. Przy drzwiach stali dwaj strażnicy z kałasznikowami, wyglądający na Arabów, ubrani w jednakowe dżinsy, krótkie brązowe kurtki skórzane i czarne wysokie buty. Przed profesorem siedział barczysty mężczyzna w marynarce, który sprawiał wrażenie brytyjskiego oficera. On również miał rysy bliskowschodnie, ale jego głos i ton mogły być tylko wytworem dobrej angielskiej szkoły publicznej.

Tematem rozmowy były wulkany.

–Ile prawdziwych erupcji wystąpiło na świecie w ostatnich latach?

–Od dwutysięcznego roku około stu, może trochę więcej.

–Może pan wymienić kilka większych?

–Oczywiście. Montserrat na Antylach, Karangetang w Indonezji... San Cristobal w Nikaragui... Tangkubanparahu na Jawie... co najmniej trzy na Kamczatce... Fuego w Gwatemali... włoski Stromboli... podwodna góra Kavachi w archipelagu Wysp Salomona... wyspa Chuginadak na Alasce...

–Ile odnotowano w ciągu ostatniego roku?

–Ma pan na myśli poważniejsze wybuchy czy także zwykłe pomruki?

–Chodzi mi o wybuchy.

–No, przede wszystkim Colima w Meksyku, Etna, Fuego, te trzy na Kamczatce... do tego Killauea na Hawajach, Ma-man w Papui-Nowej Gwinei... Soufriere na Montserrat... Saint Helens w stanie Waszyngton też dał o sobie znać... Było też kilka groźnych tąpnięć na Wyspach Kanaryjskich. Te były najpoważniejsze.

–Z powodu tsunami?

–Oczywiście.

Około siódmej rano profesor zaczął się poważnie niepokoić. Za godzinę powinien być w swoim biurze we wspaniałym budynku Benfield Greig na Gower Street. Był w końcu

jednym z najważniejszych profesorów na wydziale geologicznym i jego nieobecność z pewnością zostanie zauważona. Tymczasem nieznamy nie przestawał zadawać pytań; Landon nie miał wyboru i musiał na nie odpowiadać.

–Czego potrzeba do spowodowania wybuchu aktywnego wulkanu? Dużej bomby? Może kilku rakiet cruise wycelowanych w krater?

–To zależy. Na przykład na Montserrat po zachodniej stronie wyspy magma leży bardzo płytko pod powierzchnią. Niewykluczone, że dałoby się doprowadzić do erupcji za pomocą zwykłego granatu ciśnionego w odpowiednie miejsce. Ten wulkan właściwie nie przestaje wybuchać przez ostatnie pięć lat.

–A Saint Helens?

–Tam już byłoby trudniej. Ale w ostatnich miesiącach bywały tam niewielkie erupcje i sporo wstrząsów. Trzeba też pamiętać, że kiedy Saint Helens wybuchł w 1980 roku, siła eksplozji była tak wielka, że można by ją porównać do czterech Hiroszim na sekundę. Teraz ten wulkan jest bardzo niebezpieczny i z każdym dniem sytuacja się pogarsza. Powiedziałbym, że gdyby ze cztery rakiety uderzyły we właściwe miejsce na wrażliwym południowym stoku, niemal na pewno polałyby się lava.

–A Cumbre Vieja?

–Pyta pan o możliwość wywołania tsunami, o jakim mówiłem na odczycie? Żadna konwencjonalna eksplozja nie oderwałaby tej skały od podłoża. Musiałby wybuchnąć wulkan. A do tego trzeba by broni jądrowej.

–To znaczy prawdziwej bomby?

–Nie, nie. Nie aż tyle. Ale wspominał pan o cruise'ach. Jeżeli miał pan na myśli rakiety średniego zasięgu, nie balistyczne, to sądzę, że przeciętnej mocy głowica jądrowa mogłaby wybić wystarczająco dużą dziurę, aby uwolnić magmę.

–I to spowodowałoby osunięcie się skały do oceanu?

–Nie. Sama eksplozja to za mało. Widzi pan, głęboko pod tą linią wulkanów na południu Palmy zalega ogromna ilość wody. Uwolnienie się prącej ku powierzchni magmy wytwarza w skałach ogromne ilości energii cieplnej. Gwałtownie podgrzewa ona kilkanaście kilometrów sześciennych wody,

która zaczyna wrzeć i się rozszerza. To właśnie rozsądzi górę i najprawdopodobniej zepchnie całą południowo-zachodnią część Palmy do oceanu. Osuwisko na skalę, jakiej ziemia nie widziała od miliona lat.

–Gdyby więc posłać raketę jądrową w czułe miejsce wulkanu Cumbre Vieja, o którym pan wczoraj mówił, że jest jednym z najaktywniejszych, powinna ona przebić się przez skały i eksplodować dopiero głęboko pod ziemią?

–Właśnie. Musiałaby pokonać warstwy powierzchniowe, pod którymi uwięziona jest magma, i dopiero potem wybuchnąć. Uwolnione ogromne masy lawy wytrysnęłyby wówczas do atmosfery, podziemne jeziora zagotowałyby się i w okamgnieniu zamieniły w parę. Dopiero to spowodowałoby roz-padnięcie się całego łańcucha górskiego.

Rawi Raszud patrzył na profesora Landona z aprobatą. Oto człowiek, który jak ekspert znał się na eksplozjach, tak naturalnych, jak i wywołanych ludzką ręką, całkowicie pochłonięty swą dziedziną. Nie zastanawiał się nad konsekwencjami, ale mówił szczerze, jak przystało na naukowca, i bardzo konkretnie. Kierunek, w jakim zdążyła ta rozmowa, najwyraźniej go nie niepokoił, podobnie zresztą jak osoba przesłuchującego, którego bez trudu można było zakwalifikować jako terrorystę. Dla Landona liczyła się jedynie nauka. Tak, generałowi Raszudowi podobał się ten człowiek. Szkoda...

–Dziękuję, profesorze – powiedział. – Naprawdę bardzo dziękuję. Zjemy teraz śniadanie, a później wrócimy do naszej rozmowy...

ROZDZIAŁ 1

Czwartek, 8 stycznia 2009 r. Biały Dom, Waszyngton

Gabinet świeżo upieczonego prezydenta z partii demokratycznej, który zwyciężył w wyborach z minimalną przewagą nad swym przeciwnikiem, wprowadzał się do zachodniego skrzydła Białego Domu. Dla ich republikańskich poprzedników, z wyjątkiem samego ustępującego prezydenta, który z góry wiedział, że z końcem swej drugiej kadencji i tak musi odejść, był to istny dramat. Oddanie władzy w ręce ludzi, których ci wojskowi i polityczni wyjadacze uważali za „bandę naiwnych, niedoświadczonych, dupowatych liberałów" pod wodzą młodego idealisty z Rhode Island, ledwo zdolnego do utrzymania się na porządnym kierowniczym stanowisku, było czymś nie do pomyślenia.

Ten dzień zaś był chyba najgorszy ze wszystkich. Admiral Arnold Morgan, doradca byłego prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, opuszczał Biały Dom po raz ostatni – przechodził na emeryturę. Jego masywne, dziewiętnastowieczne biurko rodem z marynarki wojennej było już opróżnione i wyniesione, pozostało jeszcze tylko kilka pożegnań. Drzwi do gabinetu były szeroko otwarte i admirał, któremu towarzyszyła jego niepokojąco piękna

sekretarka Kathy O'Brien, był gotów do wyjścia. Żegnających było kilku: sekretarz stanu Harcourt Travis, przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów generał Tim Scannell, szef operacji morskich admirał Alan Dickson, dyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego kontradmirał George Morris i jego osobisty asystent, komandor porucznik James Ramshawe. W ostatnich kilku latach wszyscy oni uczestniczyli na szczeblu dowodzenia w najbrutalniejszych tajnych operacjach, ja-

kie kiedykolwiek podejmowały siły zbrojne USA. Ich oddanie dla Arnolda wyrosło na gruncie licznych sukcesów na arenie międzynarodowej, zawdzięczanych niemal wyłącznie sile jego intelektu.

Tak jak Cezara, admirała Morgana nie dało się kochać (ta sztuka udała się tylko Kathy), ale nikt nie znał się równie dobrze na zawilosciach polityki międzynarodowej, pociąganiu za właściwe sznurki, pokerowych zagraniach, makiawelicznej propagandzie, politycznym szantażu, groźbach i ripostach; nikt też nie potrafił tak planować ściśle tajnych operacji militarnych. We wszystkim tym był wirtuozem, popychanym do działania przez niezachwiany patriotyzm. Podczas swoich rządów w Białym Domu budził strach w najpotężniejszych ludziach na świecie, przechytrzał ich, wodził za nos, a kiedy trzeba, grał ostro. Jego credo brzmiało: walczyć uparcie i nie opuszczać miecza, dopóki się nie zwycięży. Bohaterami Morgana byli generałowie Douglas MacArthur i George Patton. Teraz admirał odchodził, pozostawiając swych waszyngtońskich przyjaciół niepoczyszonych, przekonanych, że drugiego takiego człowieka już ziemia nie wyda.

W najbliższych tygodniach wielu spośród wysoko postawionych cywilnych polityków też będzie musiało odejść z Białego Domu, ustępując demokratom, ale nikogo nie potraktowano równie upokarzająco jak admirała Morgana. Zadzwoiła do niego niejaka panna Betty Ann Jones, liberał z Południa, która nigdy przedtem nie była w Waszyngtonie, i oznajmiła: „Prezydent McBride uważa, że lepiej będzie, jeśli pan od razu poda się do dymisji, ponieważ nie sądzi, aby dobrze się mu z panem pracowało”. Arnoldowi nie trzeba było tego powtarzać dwa razy. Pięć minut później podyktował Kathy krótkie pismo z rezygnacją, a po dalszych pięciu minutach oboje zajęci byli ustalaniem daty ślubu, skoro przestała istnieć dotychczasowa przeszkoda w postaci jego pracy na stanowisku doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Na pożegnalnej kolacji w ich ulubionej restauracji w Georgetown sekretarz stanu Travis zjawił się przy stoliku, z teatralną przesadą nucąc melodię „Te weselne dzwony rozbiły mą starą paczkę”. Wkrótce i on miał wrócić na etat profesora na Harvardzie. Z kręgu najbliższych współpracow-

ników admirała na posterunku mieli pozostać tylko wojskowi, choć już pod nowym zwierzchnikiem.

Admirał Morgan stanął u wielkich dębowych drzwi swego biura, zawahał się przez moment i krótko skinął głową, jakby na pożegnanie pustego gabinetu, po czym wyszedł na korytarz, do czekających kolegów. Uśmiechnął się trochę z musem i rzekł:

–Panowie, będę zaszczycony, jeśli zechcecie podać mi rękę.

Kolejno wymieniali słowa pożegnania, żywo czując więź wzajemnego zaufania, jaka przez lata połączyła ich z odchodzącym. Jako ostatni podszedł do Arnolda najmłodszy z nich, komandor porucznik Ramshawe, którego admirał zaczął traktować niemal jak syna.

–Będzie mi ciebie brakowało, Jimmy.

–I mnie pana też, sir – odrzekł Ramshawe. – Nawet pan nie wie jak bardzo.

–Dzięki, chłopcze.

Morgan, jak zwykle elegancki w ciemnopopielatym garniturze, lśniących czarnych butach, niebieskiej koszuli i w krawacie Akademii Marynarki Wojennej, obrócił się na pięcie i ruszył przed siebie korytarzem. Szedł wyprostowany, sprężystym krokiem i pełen godności, trzymając pod rękę Kathy O'Brien. Nie sprawiał wrażenia człowieka żegnającego się z czynnym życiem zawodowym, ale młodego oficera, dopiero co powołanego pod sztandar. Na ścianach wisiały tam portrety kolejnych prezydentów Stanów Zjednoczonych. Mijając podobiznę Eisenhowera, admirał skinął mu głową po wojskowemu, jak to zawsze czynił. Przez głowę przelatywały mu tysiące wspomnień z długich lat służby dla kraju, na wszystkich szczeblach i w najróżniejszych wcieleniach: dowódcy okrętu nawodnego... dowódcy atomowego podwodniaka bazującego w Norfolk... szefa wywiadu marynarki... dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego... a wreszcie prawej ręki chwiejnego republikańskiego prezydenta, który pod koniec kadencji już zapomniał, co to znaczy lojalność i patriotyzm. Nie szkodzi; Arnold Morgan miał tych przymiotów za dwóch.

Sunąc przez dobrze sobie znane korytarze zachodniego skrzydła, admirał znów słyszał w wyobraźni szum fal rozci-

nanych przez dziób okrętu wychodzącego w morze... metaliczny łoskot łańcucha kotwicznego... zwięzłe komendy szefa okrętu... a także okrzyki dawno poległych komandosów z Na-vy SEALs, których nigdy nie poznał, a którzy zginęli, wykonując jego rozkazy. Dyscyplina i posłuszeństwo – taka była ich dewiza, taką kierował się też on... zazwyczaj.

W uszach rozbrzmiały mu dawno nie słyszane uderzenia dzwonu okrętowego, oznajmiające upływ godzin wachty, i cichy szum wysuwanego peryskopu. Wiedział, że gdy tylko wyjdzie z budynku, spojrzy w górę i ją zobaczy: łopoczącą na wietrze, tak cholernie dumnie powiewającą flagę.

Morgan nie włożył płaszcza, mimo że Kathy była opatulona w długi jasnobrązowy strzyżony kożuch. Tuż przed wyjściem na ganek zachodniego skrzydła wzięła go za rękę, jakby chciała go zapewnić, że nie będzie sam w tej pamiętnej chwili, kiedy po raz ostatni „zejdzie z pokładu” i pożegluje na zupełnie inne wody – długie (miała nadzieję) lata emerytury. Admirał miał sześćdziesiąt cztery lata.

Nikt z obecnych nie miał zapomnieć tej sceny. Wszyscy mieli wyraźne poczucie utraty panowania, jakby wielki okręt wojenny nagle zgubił płetwę sterową. Dochodziły już wieści, że wartowników z Korpusu Marines zastępują strażnicy cywilni. Wymuskani młodzi ludzie przed trzydziestką kręcili głowami i ze smutkiem mówili o prymitywizmie działania amerykańskich sił zbrojnych pod zwierzchnictwem republikanów. Nowi ideolodzy przybywali z innego świata, świata przyszłości, w którym największe znaczenie miała edukacja rozwijających się krajów; w którym nie było zła, a tylko nieświadomość; w którym śmierć i zniszczenie będą zastąpione przez rosnącą pomoc finansową, a zamiast mordować tyranów, będzie się ich uczyć zachodniej demokracji, ubogich i bezsilnych zaś wspomagać i walczyć z ich brakiem poczucia własnej wartości. W tym nowym świecie absolutnie nie będzie miejsca na jakiekolwiek drastyczne działania w imię zemsty, podboju czy unicestwienia przestępczych reżimów.

Armię i marynarkę wojenną czekały duże cięcia budżetowe. Prezydent-elekt Charles McBride był globalistą, głęboko przekonany, że rozsądek i litość zawsze zwyciężą, nawet wobec najbardziej błędzącego wroga. Jednakże tak jak

Bili Clinton, a przed nim Jimmy Carter, McBride był człowiekiem niezdecydowanym, zawodowym politykiem nawykłym do kompromisów, wiecznie szukającym złotego środka, a przy tym zupełnie niedoświadczonym w twardej grze dyplomatycznej, niezdolnym przejrzeć knowania działającego we własnym interesie adwersarza. Wiedział za to jedno: nie ma sensu wydawać miliardów dolarów na obronę, jeśli się nie zamierza walczyć. Nikt go jeszcze nie nauczył odwiecznej mantry mądrych władców: *si vis pacem, para helium*. Chcesz pokoju, bądź gotów do wojny; inaczej przyjdzie ci zapłacić krwawą dań. Albo, jak powiedział Wielki Sternik chińskiej rewolucji, przewodniczący Mao: „Prawdziwa władza tkwi w lufie armaty”.

Większość z wciąż stojących na korytarzu mężczyzn uznawała to credo za prawdziwe i uważała, że wszystko będzie dobrze, dopóki Stany Zjednoczone będą posiadały największe armaty na świecie. Jeżeli jednak któremukolwiek z amerykańskich prezydentów potrzebny był u boku Arnold Morgan, to właśnie czterdziestosiedmioletniemu Charlesowi McBride'owi. I kiedy przebrzmiało echo kroków admirała, generał Scannell mruknął:

–Chryste Panie! Nie wiem, co teraz będzie.

–Ani ja, generale – rzekł Harcourt Travis.

Kilka godzin później admirał Morris i komandor porucznik Ramshawe w minorowych nastrojach siedzieli na tylnej kanapie sztabowego samochodu US Navy, wracając do siedziby NSA w Fort Meade.

–Nie mogę uwierzyć, że już go nie ma, Jimmy – mruknął dyrektor agencji.

–Tak, trudno się z tym pogodzić – przytaknął młody oficer. – Teraz to już nie będzie to samo, prawda, sir?

–Żebyś wiedział. Będzie gorzej. Do Białego Domu wprowadza się prezydent, który ani w ząb nie rozumie, z jakimi zagrożeniami ten kraj miewa do czynienia. Ma nas wszystkich za wariatów.

–Na to wygląda. Może pan to sobie wyobrazić? Kazał jakiejś sekretarce zadzwonić do admirała i powiedzieć mu, że jest zwolniony. Niech to cholera!

–A teraz Bóg raczy wiedzieć, kim go zastąpi.

–Pewnie jakimś ulizanym społecznikiem. Kierownikiem zespołu w Korpusie Pokoju albo kimś w tym rodzaju. Jezus, nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę...

–Problem służb wywiadowczych polega na tym – rzekł George Morris – że potrzebujemy w

rządzie człowieka, który na wstępie uwierzy, że nie jesteśmy jakimiś tępymi dupkami, i będzie słuchał tego, co mówimy, z przekonaniem, że mamy doświadczenie, jakiego on sam nie miał okazji nabyć. Bez tego utrzymywanie rozległej i kosztującej miliardy organizacji po prostu nie ma sensu. Nie możemy połowy czasu marnotrawić na jałowe przekonywanie facetów, którzy powinni być po naszej stronie.

–Jasne, sir. I to było najlepsze u admirała Morgana. On zawsze traktował nasze informacje poważnie i przynajmniej brał je pod rozwagę. Równy z niego gość, nie? Lepszego w życiu nie spotkałem.

–I już nie spotkasz, Jimmy.

Dwaj mężczyźni jechali dalej w zgodnym, ponurym milczeniu przez północno-zachodnie przedmieścia Waszyngtonu i dalej, do Fort Meade. Dotarłszy do celu, dyrektor pospieszył do swego gabinetu, a komandor Ramshawe zanurzył się w chaosie własnego zawałonego papierami biura, by spędzić w nim resztę swej ulubionej pory tygodnia: czwartkowego popołudnia. Dla trzydziestoletniego oficera oznaczało ono kilka godzin przyjemnego studiowania prasy. To wtedy właśnie otrzymywał swe zamówione tytuły: „Daily Mail” i „Telegraph” z Londynu, „Age” z Melbourne, „Morning Herald” z Sydney i kanadyjski „Toronto Globe” – gazety pełne lakonicznych wiadomości ze świata polityki, gospodarki, finansów, wojska, no i z wyższych sfer, jakie nie zawsze da się znaleźć w „Washington Post” czy nawet „Wall Street Journal”. Jedną kolumnę Jimmy lubił szczególnie; może to dziwne u Australijczyka urodzonego i wychowanego w USA, ale była to rubryka „Dwór i socjeta” w londyńskim „Daily Telegraph”, nieco pompatyczny miszmasz ezoterycznych wydarzeń, rozpoczynająca się od doniesień o tym, co tego dnia porabia królowa i różni członkowie jej rodziny, pobierający pensje rządowe. Wymienione były tam wszystkie planowane spotkania Jej Wy-

sokości, jak również księcia Filipa i następcy tronu Karola. Potem następowały relacje na temat rozmaitych imprez, spotkań i nominacji z kręgów szkolnictwa – z najlepszych w kraju szkół publicznych i uniwersytetów, przede wszystkim z Cambridge, Oksfordu i Londynu. Przytaczano listy żałobników na ważniejszych pogrzebach, informowano, kto w siłach zbrojnych dostał jaki medal, nagrodę bądź nowy przydział służbowy. Opisywano spotkania weteranów, nie obeszło się też bez obwieszczeń o co ważniejszych towarzysko zaręczynach, ślubach i zgonach. Była też stała kolumna In me-moriam, w której rodziny zamieszczały rocznicowe wspomnienia o poległych oficerach, nawet jeśli padli w boju przed sześćdziesięciu laty.

Jimmy regularnie pochłaniał ten dział, robiąc notatki, które potem zapisywał w swoim komputerze. Jeśli na przykład w Royal Navy mianowano nowego dowódcę floty podwodnej, wprowadzał jego nazwisko i ważniejsze wydarzenia z kariery, na wypadek gdyby kiedyś w przyszłości Fort Meade potrzebował szybko dostępnego dossier. Komandor porucznik Ramshawe był prawdziwym profesjonalistą.

W londyńskim „Telegraph” z poniedziałku 5 stycznia znalazł kilka artykułków, które go ubawiły, i kilka innych, po których pospiesznie sięgał po długopis. Jednak było tam także jedno słowo, na którego widok omal nie zachłysnął się kawą. „Zamordowany”. W samym środku najnudniejszej kolumny akademickiej była niewielka wzmianka o nominacji nowego starszego wykładowcy w ośrodku badań zagrożeń geofizycznych Benfield Greig na uniwersytecie londyńskim. Doktor Hillary Betts, wulkanolog, „zastąpił profesora Paula Landona, który został w maju zamordowany w zachodnim Londynie”.

–Zamordowany? Cholera, na tych stronach jeszcze nigdy nie widziałem tego słowa! To tak, jakby książeczkę do nabożeństwa zilustrować zdjęciem striptizerki.

Odruchowo otworzył przeglądarkę internetową, wszedł na stronę „Telegraph” i w wyszukiwarce wpisał nazwisko Landona. Ku jego zaskoczeniu na czele listy znalazł się spory artykuł z pierwszej strony wydania z 12 maja:

PROFESOR PAUL LANDON ZAGINAŁ

Najlepszy wulkanolog świata zniknął po odczycie

w Królewskim Towarzystwie Geograficznym

Pod tym rzucającym się w oczy tytułem widniał szczegółowy opis kariery i osiągnięć Landona, a dalej streszczenie raportu policyjnego: profesor nie wrócił do domu w Buckinghamshire po swym wykładzie wygłoszonym wieczorem 8 maja. Zamieszczone były tam też wypowiedzi sekretarza generalnego towarzystwa, kolegów z uniwersytetu i oczywiście żony zaginionego. Nikt nie miał zielonego pojęcia, co się z nim mogło stać. Jimmy Ramshawe wkrótce się jednak sam tego dowiedział. „Telegraph” z 15 maja obwieścił tytułem przez całą pierwszą stronę:

PROFESOR LANDON ZAMORDOWANY! Ciało z dwiema kulami w głowie znaleziono na wyspie na Tamizie

Patolog policyjny stwierdził, że profesor został zabity „w stylu egzekucji” i wrzucony do rzeki. Sternik ósemki z klubu wioślarskiego spostrzegł zwłoki wyrzucone przez prąd przyplywu na Chiswick Eyot, małą wysepkę wyznaczającą półmetek podczas tradycyjnych regat Oxford-Cambridge na trasie z Putney do Mortlake. Podejrzanych na razie nie było, ale policja nie miała wątpliwości, że było to morderstwo dokonane z zimną krwią; co prawda wszyscy zachodzili w głowę, kto mógłby chcieć śmierci nie wadzącego nikomu uczonego.

Komandor Ramshawe uwielbiał podobne zagadki. Przez bitą godzinę szperał w internetowych archiwach „Telegraph” z okresu między początkiem lata a jesienią. Znalazł doniesienie o wynikach śledztwa koronera, relację z pogrzebu i artykuł o dziedzinie, w której Landon się specjalizował. Wciąż jednak nigdzie nie natknął się nawet na cień wyjaśnienia, kto, u diabła, mógłby chcieć go zabić.

Jimmy przerzucił się na „Daily Mail”, przebojową bul-warówkę dla niższych segmentów rynku czytelniczego, w nadziei że jej reporterzy wpadli na jakiś bardziej oryginalny

pomysł. I tu jednak mu się nie powiodło. Przez tydzień po wydarzeniu „Mail” koncentrowała się wyłącznie na dwójce zamordowanych policjantów i ich psie:

DZIELNY ROGER ZGINĄŁ W AKCJI

U BOKU SWYCH PANÓW Zabójstwo funkcjonariuszy zagadką dla Scotland Yardu

Ramshawe też nie umiał jej rozwiązać. Zainteresował go za to ustęp zaczynający się od zdania: „Ze względu na charakter ran jednego z zabitych policja wezwała podobno Wydział Specjalny, ale do zamknięcia numeru nie udało się nam tego potwierdzić”. Jimmy nie miał wątpliwości, że może tu chodzić o MI5 lub nawet MI6, brytyjski odpowiednik CIA. I chociaż brutalny napad na policyjny patrol w Londynie, a tym bardziej śmierć profesora uniwersytetu nie leżały w sferze jego zawodowych zainteresowań, sporządził na temat Landona wyczerpującą notatkę. Nie mógł przestać o tym wszystkim myśleć; obracał w myśli poznane fakty jeszcze w drodze do ambasady australijskiej, gdzie czekała go kolacja w towarzystwie narzeczonej, córki ambasadora, Jane Peacock. Była już prawie dwudziesta, kiedy tam dotarł i z wdzięcznością przyjął szklankę zimnego fostera, którą go poczęstowała na powitanie, zanim dołączyli w jadalni do jej rodziców. Jimmy zawsze dobrze się czuł przy Johnie Peacocku. Ich rodziny były zaprzyjaźnione od wielu lat; mieszkający na stałe w Nowym Jorku rodzice młodego oficera mieli nawet dwa tygodnie później odwiedzić ambasadora.

Ramshawe odczekał z poruszeniem intrygującego go tematu do głównego dania, doskonałej pieczeni wołowej, do której podano szczególnie wykwintne wino z Australii, Clo-nakilla Shiraz z winnicy położonej w umiarkowanym klimacie wzgórz wokół Canberry. John Peacock przez całe życie kolekcjonował dobre wina i dysponował imponującą piwniczką w swym domu z widokiem na port w Sydney. Jako ambasador w USA czuł się w obowiązku serwować gościom trunki z własnego kraju i nie zdarzyło mu się dotąd nikogo w tej materii zawieść. Przy drugim kieliszku Jimmy zapytał:

25

–John, czytałeś coś o wulkanologu z Londynu, którego zamordowano w maju?

–Możliwe. Jak się nazywał?

–Profesor Paul Landon.

–Czekaj no... Tak, coś mi się obilo o uszy. Zwróciłem na to uwagę, bo miał przyjechać z odczytami na trzy nasze uczelnie, w tym Monash z Melbourne, którą sam ukończyłem. Chodziło chyba właśnie o tego gościa. Pamiętam, że jeden z sydneyjskich dzienników zamieścił obszerny artykuł o jego śmierci. A dlaczego pytasz?

–Po prostu trafiłem na coś ciekawego w internecie. To morderstwo wydaje się raczej dziwne, a nawet bezsensowne. Nikt się nie dowiedział, dlaczego go zabito, nikogo też w tej sprawie nie oskarżono.

–Tak, pamiętam. On zresztą był nie tylko wulkanologiem. Specjalizował się we wszelkiego

rodzaju naturalnych katastrofach: trzęsieniach ziemi, wielkich falach, kolizjach z asteroidami i Bóg wie czym jeszcze. Przypominam sobie, że miał u nas mówić o skutkach szczególnie groźnej fali... o jakiejś cholerniej chińskiej nazwie... chop suey, czy coś w tym rodzaju. W każdym razie chodzi o całą masę wody.

Jimmy zachichotał pod nosem. Lubił swego przyszłego teścia, który kazał mu mówić do siebie po imieniu od pierwszego roku studiów.

–Chodzi o tsunami – odpowiedział. – To z japońskiego. Jestem ekspertem w tej dziedzinie mniej więcej od sześciu godzin.

–Tak, to jest to – przytaknął ambasador. – Powstaje, kiedy cholernie duży kawał skały odrywa się od macierzystej góry i wpada do morza, robiąc wielkie chlup. Prawda, ekspercie?

–To chyba dostateczne wyjaśnienie. – Jimmy zmarszczył czoło i przyjął ton, jak mu się wydawało, uczonego. – Bardzo dobrze ujęte. Odtąd będę się do ciebie zwracał per „Chlup” Peacock, znawca tsunami.

Wszyscy się roześmieli, ale ambasador jeszcze nie skończył.

–Powiem ci, co jeszcze pamiętam z tego artykułu. Zamiarem Landona było omówienie szczególnie tych fal, które wystąpiły w archipelagach Pacyfiku na północ od nas. To niebezpieczny rejon, nie? Twój profesor, Jimmy, wiedział wszyst-

ko o jednej z nich, powstałej w wyniku zapadnięcia się wyspy Nowa Brytania nieopodal Nowej Gwinei. Na sąsiednich wyspach zginęły wtedy trzy tysiące ludzi.

–Jak na faceta, który nie potrafi wymówić słowa „tsuna-mi”, wiesz o nich cholernie dużo! – zauważył Jimmy.

–Daj mi parę tygodni, a i nazwę opanuję... – odparł z uśmiechem Peacock.

–Jak myślisz, dlaczego ktoś go załatwił?

–Kto wie? Może z kimś go pomyłono?

–Może. Ale policja twierdzi, że to wyglądało na egzekucję.

Piątek, 9 stycznia 2009 r. Pentagon

Zaczęły napływać pierwsze zarządzenia nowego gabinetu. Nie ulegało wątpliwości, że prezydent zamierza wprowadzić brutalne cięcia w budżecie departamentu obrony, szczególnie zaś w marynarce wojennej. Uważał wydawanie miliardów dolarów na flotę nawodną i podwodną za szaleńcze marnotrawstwo. Był zdania – nie bez powodu – że naród wybrał go właśnie po to, aby położył temu kres. Ludzie nie chcą rozwoju armii, tylko lepszej opieki zdrowotnej i lepszego startu dla swych dzieci. Ostatnie wybory były tego wyraźną demonstracją. Zwycięstwo McBride'a nie było druzgocące; wygrał tylko nieznaczną liczbą głosów, a obie izby Kongresu wciąż pozostawały w rękach „starej dobrej partii”, jak nazywano republikanów. Naród jednak wyraził swą wolę. Trafiło do niego głoszone przez McBride'a hasło nadziei na lepsze życie. Słuchali, jak oskarża własny kraj, w którym ludzie mogą zbankrutować tylko dlatego, że dopadnie ich choroba; jak przysięga na Boga, że zmieni ten stan rzeczy. Vox populi przemówił.

Wszystko to w mig zostało zrozumiane, zwłaszcza w biurze długoletniego przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów na drugim piętrze Pentagonu. General Tim Scannell, urzędujący dokładnie pod gabinetem ustępującego sekretarza obrony Roberta MacPhersona, nie był teraz szczęśliwym człowiekiem.

–Nie wiem, jak długo on może przetrwać. Mam nadzieję,

że tylko cztery lata. Ale ten sukinsyn prawdopodobnie wyrządzi US Navy więcej szkód niż admirał Yamamoto.

Wśród siedzących naprzeciwko przewodniczącego był szef operacji morskich, admirał Alan Dickson. Jemu też nie było do śmiechu.

–Już to wszystko przeżywałem – powiedział. – Tu nie chodzi tylko o wielkie sprawy. Wiecie równie dobrze jak ja, że ostre ograniczenia budżetu obrony mają wpływ na wszystko. Wszędzie jest pełno skorych do obcinania kosztów i zazwyczaj posuwają się o krok za daleko. Nikt do końca nie rozumie rzeczywistości... a potem jest za późno. Zwłaszcza zaś w marynarce. Kiedy zaczniesz wycofywać z czynnej służby lotniskowce, odstawić na sznurek niszczyciele i fregaty, kończy się zapotrzebowanie na naprawdę dobrych ludzi. A kiedy młodzi dojdą do wniosku, że ich nie potrzebujemy, nie pokażą się w Annapolis.

–Lewicowi politycy nigdy tego nie rozumieli – wtrącił admirał Dick Greening, dowódca Floty Pacyfiku. – Nie myślą o tym, że całe cholerne miasta żyją tylko dzięki zamówieniom wojskowym. Przestajesz budować okręty, to nie tylko doprowadzisz je do bankructwa, ale na twoich oczach wymrą wyjątkowe umiejętności w całych regionach. Nie minie wiele czasu, a zamienimy się w jakiś kraik z Trzeciego Świata, zmuszony kupować technologię za granicą.

W gabinecie zapadła cisza.

–Wiecie, co mnie naprawdę wkurza? – spytał Dickson. – To, o czym żaden rząd nigdy ludziom nie mówi.

Nikt się nie odezwał.

–Chodzi o to, że rząd nie ma ani centa własnych pieniędzy – kontynuował szef operacji morskich. – Mają tylko to, co wezmą od amerykańskich podatników i amerykańskich korporacji. Kiedy więc tłumaczą narodowi, że lotniskowiec za dużo kosztuje, wciskają ogromny kit. Oni nie wydają pieniędzy, w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa. Oni je tylko rozdzielają. Biorą je z każdego źródła, jakie uda się im znaleźć bez wywołania rewolucji, a potem przekładają w inne szufladki gospodarki. Nie wydają, powtarzam, tylko mieszają w cudzych pieniądzech. – Dickson zamilkł na chwilę, po czym powiedział: – Połowa kosztów robocizny idzie do kie-

szeni ludzi, którzy budują okręty. Natychmiast oddają jedną trzecią rządowi. Nikt nie mówi, że reszta zostaje wydana w najbliższej okolicy, zapewniając pracę innym ludziom, którzy też co trzeciego zarobionego dolara oddają rządowi. Ani słówkiem nikt nie wspomni, że masa pieniędzy idzie na konto US Steel, amerykańskich koncernów elektronicznych, stoczni w Maine, Connecticut czy Virginii, które też płacą podatki. Część trafia do personelu marynarki, który też oddaje cesarzowi, co cesarskie. To jedna wielka karuzela. Lotniskowiec nie jest drogi. Mamy go za darmo. Wydane na jego utrzymanie pieniądze i tak nie były własnością rządu, który tylko je przerzuca z kieszeni do kieszeni.

–Wiadomo już, jakich cię możemy się spodziewać? – zapytał ponuro kontradmirał Curran.

–Nikt nie mówi nic konkretnego. Dostaliśmy jednak nieoficjalne polecenie, by zacząć oszczędzać. Powiedziałbym, że na początek trzeba wstrzymać przebudowę tych czterech podwodniaków SSBN klasy Ohio.

Dickson miał na myśli program wycofania ze starych strategicznych atomowych okrętów podwodnych rakiet Trident i przekształcenia ich w platformy ogniowe dla taktycznych rakiet kierowanych. Każdy z Ohio miał teraz dysponować stu pięćdziesięcioma czterema tomahawkami, ulepszony miał też zostać ich system sonarowy.

–Nie jestem pewien, czy uda się nam utrzymać zielone światło dla budowy dwóch kolejnych lotniskowców klasy Ni-mitz. CVN 77 i 78 zostaną prawdopodobnie skasowane.

–Jezu! – wysnęło się wiceadmirałowi Brianowi Ingramowi, dowódcy Floty Atlantyku. – To byłoby fatalne. Niektóre ze starych okrętów gonią resztkami sił. Potrzebne są nam nowe i to od razu. A co z programem niszczycieli klasy Ar-leigh-Burke?

–Jak wiecie, dotychczas dostaliśmy dwadzieścia cztery z planowanych trzydziestu sześciu. Teraz nie wiem, czy możemy liczyć na pozostały tuzin.

–Niech to diabli. Szlag mnie trafi, gdyby miało nam zabraknąć okrętów rakietowych. I na pewno czułbym się lepiej, gdyby Wielki Człowiek jeszcze siedział w Białym Domu.

Wielki Człowiek był jednak bardzo daleko.

Wtorek, 27 stycznia 2009 r., godzina 11.30. Teneryfa

Pani Arnoldowa Morgan spędzała ostatnią godzinę swego miodowego miesiąca w samotności. Wygodnie rozparta na leżaku przy niższym basenie szacownego Grań Hotel Bahia del Duque, położonego na południowym cyplu wyspy, pogrążona była w lekturze. Nieopodal dwóch agentów ochrony grało w karty. Co jakiś czas zjawiał się kelner, dopytując się, czy nie życzy sobie jeszcze trochę soku pomarańczowego lub kawy. Około trzydziestu metrów nad nią stał jej mąż, okupujący obserwatorium na szczycie hotelowej wieży, zajęty wpatrywaniem się w ocean przez teleskop wielokrotnie silniejszy, niż większość ludzi kiedykolwiek miała okazję używać.

Wyspy Kanaryjskie ze swym czystym atlantyckim niebem przyciągały astronomów z całego świata i na każdej z nich powstały dobrze wyposażone obserwatoria. To na szczycie Grań Hotel Bahia del Duque zostało zbudowane przede wszystkim z myślą o uczonych, a jego teleskop na ogół był wycelowany w niebo. Tym razem jednak obiektyw skierowany był na powierzchnię błękitnej wody na południe od Costa Adeje, tam gdzie dno morskie raptownie się obniża do głębokości prawie dwóch kilometrów.

Kathy wolałaby, żeby Arnold wreszcie stamtąd zszedł i z nią porozmawiał. Izolacja nie służyła byłej bogini zachodniego skrzydła Białego Domu. Otrząsnęła się z zamyślenia i wróciła do książki, od czasu do czasu podnosząc wzrok na wspaniałe otoczenie. Pięciogwiazdkowy hotel w eklektycznym stylu wenecko-wiktoriańskim zajmował rozległą przestrzeń nad samym brzegiem oceanu, przypominającą subtropikalny ogród botaniczny. Jej świeżo poślubiony małżonek uwielbiał takie majestatyczne budowle. Przed wyjazdem z właściwą sobie „słodyczką” wydał jej instrukcje: „Słuchaj, Kathy, postaraj się nie zanudzać mnie hotelowymi broszurami, tylko załatw nam jakiegokolwiek cholerne miejsce, byle luksusowe. I hasta la uista, czyli po hiszpańsku rusz no się” – dodał, wręczając jej kartę kredytową.

Arnold Morgan był beznadziejnym przypadkiem i Kathy wybaczała mu tylko dlatego, że w ten sam sposób traktował wszystkich. Przez sześć lat pracy na stanowisku jego sekre-

tarki w Białym Domu widywała dyplomatów najpotężniejszych krajów świata truchlejących pod jego słownym natarciem – szczególnie chińskich, a niemal równie często rosyjskich.

Pomysł wyprawy na tę garstkę hiszpańskich wysepek wystających z roziskrzonego słońcem Atlantyku u brzegów Afryki wyszedł od niej. W młodości mieszkała w Europie, a jej szwagierka Gayle z południowej Hiszpanii proponowała Las Canarias z uwagi na styczniową pogodę, znacznie tam cieplejszą niż na kontynencie, o tysiąc mil na północny wschód. Najważniejszy jednak powód był zupełnie inny. Kathy chciała wziąć tam katolicki ślub kościelny; do tej pory mieli tylko cywilny, zawarty przed urzędnikiem w Waszyngtonie. Gayle wyszukała idealny mały kościółek, Iglesia de San Antonio Abad, ukryty wśród portowych uliczek Las Palmas na sąsiedniej Grań Canarii, i załatwiła mówiącego po angielsku księdza, który w piątkowy ranek udzielił im sakramentu małżeństwa. Kathy chciała dopiero po przybyciu na miejsce powiedzieć mężowi, że właśnie w tym niepozornym kościele w stylu romańskim Krzysztof Kolumb modlił się o boskie wspomnienie przed wyruszeniem na wyprawę w poszukiwaniu zachodniej drogi do Indii. Amerykański patriota i europejski awanturnik, dwaj morscy dowódcy z różnych epok, ale podobni duchem, połączeni w pewnym sensie przez ten sam ołtarz... Kathy uważała, że Arnoldowi się to spodoba. Wiedziała, że pod pancerzem szorstkości jest w gruncie rzeczy wielkim romantykiem. I na tym stanęło: miesiąc miodowy spędzą na „Kanarach”. Przepych hotelu zaskoczył nawet tak wyrafinowanego światowca jak on; elewacja z terakoty, pięć basenów, jadalnia na tarasie pod lazurem nieba, z widokiem na złote piaski szerokiej plaży...

–A teraz on siedzi na tej głupiej wieży już czwarty dzień z rzędu – burknęła pod nosem Kathy.
– Z teleskopem przy oku, prawdopodobnie wypatrując nieprzyjaciela.

Akurat w tej chwili były doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego zjawił się u jej boku.

–Och, dzień dobry, kochanie – przywitała go. – Już nabierałam przekonania, że poślubiłam lorda Nelsona i jego lunetę.

–Zrobiłaś lepszy interes – zapewnił ją Morgan. – Tamten gość stracił rękę w bitwie pod Santa Cruz, zaledwie czterdzieści mil stąd. Siedziałabyś teraz pod salą pooperacyjną, zastanawiając się, czy owdowiejesz, czy nie.

Kathy nie mogła się nie roześmiać. Zawsze podziwiała jego błyskawiczne riposty i encyklopedyczną wiedzę.

–Poza tym lord nie był specjalnie dobry w miodowych miesiącach – dodał Arnold. – Nigdy nie poślubił lady Ha-milton, nieprawdaż? Pewnie dlatego, że chciał uniknąć gderania za każdym razem, kiedy by podniósł lunetę do oka.

Kathy pokręciła głową. Wiedziała, że z Arnoldem Morganem nie warto próbować sił w słownych potyczkach, nieodmiennie bowiem wygrywał; nie warto się sprzeczać, bo zawsze wiedział więcej; i nie warto się gniewać, bo w każdej sytuacji umiał zażartować, ukłuć ironią czy po prostu rozśmieszyć jakąś miną czy gagiem. Zakochała się w nim od pierwszego dnia, kiedy z hukiem wkroczył w jej życie, polecając jej na dzień dobry zadzwonić do dowódcy rosyjskiej marynarki wojennej i powiedzieć mu, że jest kłamliwym sukinsynem.

Był niemożliwy i wszyscy o tym wiedzieli. Był też jednak bardziej ekscytujący, zabawny i wymagający niż wszyscy mężczyźni, których w życiu spotkała. Starszy od niej o dwadzieścia lat i niższy o cal, był najbardziej pewnym siebie człowiekiem w całym Białym Domu. Nie dbał o czyjąkolwiek rangę czy stanowisko, a tylko o prawdę. Były prezydent wyraźnie się obawiał Arnolda Morgana i jego absolutnego oddania krajowi i sprawie jego bezpieczeństwa. W oczach Kathy O'Brien mierzący sto siedemdziesiąt cztery centymetry admirał bywał chwilami trzymetrowym dryblasem. Ona sama i wiele innych osób uważało, że poślubiła najniższego olbrzyma świata.

Wydawało się niewiarygodne, że już go nie ma w Białym Domu. Kathy, która przepracowała tam wiele lat, wprost nie mogła sobie wyobrazić, jak tam będzie bez tego oswojonego lwa w gabinecie doradcy do spraw bezpieczeństwa, który brał na siebie wszystko i decydował, „co jest dobre dla tego cholernego kraju”. Nowy prezydent będzie potrzebował na tym stanowisku kogoś, kto byłby skrzyżowaniem Johna Wayne'a, Henry'ego Kissingera i Douglasa MacArthura. A nikogo takiego nie znajdzie. Jedyne znany okaz tego gatunku leżał

właśnie obok Kathy, trzymając ją za rękę i mówiąc jej, że ją kocha i że jest najcudowniejszą osobą, jaką kiedykolwiek w życiu spotkał. Po chwili oznajmił, że idzie popływać. Po czterech dniach na Teneryfie jego skóra przybrała brązowy odcień, kontrastujący z krótko przyszyżonymi siwymi włosami. Chociaż Arnold Morgan był w wieku emerytalnym, wciąż miał muskularne nogi i ramiona, a jego życiowa miłość do ociekających majonezem i musztardą kanapek z pieczoną wołowiną tylko w nieznacznym stopniu wpłynęła na obwód talii.

W wodzie też radził sobie świetnie. Kathy patrzyła, jak sunie równym, profesjonalnym kraulem, nabierając powietrza przy co drugim zagarnięciu, ledwo wysuwając głowę bokiem w dolinę tworzonej przez siebie fali. Wyglądało to tak, jakby mógł tak pływać choćby cały rok. Kathy postanowiła się doń przyłączyć. Skoczyła do basenu, kiedy zrobił kolejny nawrót, wynurzyła się obok niego i ruszyła naprzód nieco wysiłonym stylem bocznym. Nie było łatwo dotrzymać tempa Arnoldowi.

Kiedy w końcu odpoczywali na leżakach, Morgan powiedział:

–Jutro zabieram cię na wycieczkę. Pojedziemy zobaczyć miejsce, gdzie według naukowców wydarzy się największa naturalna katastrofa w historii Ziemi.

–Wydawało mi się, że coś takiego ma się wydarzyć za miesiąc w Białym Domu...

–Masz rację. W takim razie chodzi o drugą pod względem skutków. – Admirał się roześmiał.

–Co to takiego? – spytała bez większego zaciekawienia.

–Wulkan.

–O, nie. Znowu? Za jeden właśnie wyszłam za mąż.

–Zapewne za dużo bym od ciebie oczekiwał, gdybym poprosił o chwilę uwagi?

–Nie, admirale. Zamieniam się w słuch.

–No więc około stu kilometrów na północny zachód stąd leży aktywna wulkanicznie wyspa La Palma. Ma powierzchnię mniej więcej równą jednej trzeciej Teneryfy, kształt gruszki zwróconej ogonkiem na południe...

–Mówisz, jakbyś czytał z przewodnika.

–To nie był przewodnik, ale całkiem ciekawa książka. Znalazłem ją przy teleskopie.

–Jaka książka?

–Kochanie, proszę... Katarzyno Morgan, słuchaj, co do ciebie mówię. Czytałem właśnie z uwagą bardzo fascynujący opis pobliskiej wyspy i wpływu, jaki może mieć na przyszłość świata. Myślałaś może, że ja tak sobie się gapię przez teleskop, ale...

–Porzuciłeś lunetę? W takim razie jak to się stało, że żaden wróg jeszcze nie zaatakował Teneryfy? – przerwała mu ze śmiechem.

–Jak nie będziesz uważać, sama za chwilę zostaniesz zaatakowana. – Arnold też się roześmiał. – Chcesz, żebym ci opowiedział o końcu świata, czy nie?

–Pewnie, najdroższy. Będę wniebowzięta.

–Dobra. A teraz słuchaj. – Jego głos brzmiał znów jak na odprawie w centrali manewrowej okrętu podwodnego, jakich swego czasu wiele przeprowadził. – Południowa część Palmy ma coś w rodzaju kręgosłupa. To wysoki grzbiet górski wulkanicznego pochodzenia, długi mniej więcej na pięć kilometrów, biegnący z północy na południe przez sam jej środek. Nazwę wziął od największego wulkanu Cumbre Vieja, wznoszącego się na sześć i pół kilometra ponad dno oceanu, z czego nad wodę wystaje mniej więcej dwa i pół. W ostatnich pięciuset latach wybuchał siedmiokrotnie. Uskok tektoniczny wzdłuż grzbietu pojawił się podczas erupcji w 1949 roku. Można powiedzieć, że całe zachodnie zbocze zsuwa się z wielkiej wysokości do pieprzonego oceanu.

Kathy zachichotała na ten znajomy „ubarwiacz”, który jej mąż stosował często w wypowiedziach na dowolny temat.

–Uważaj! – ofuknął ją Arnold i ciągnął dalej. – Dalej na południe jest wulkan San Antonio, wielki czarny krater. Właśnie zakończyli tam budowę centrum dla turystów z fantastycznymi widokami. Potem można pojechać na ostatni z wulkanów, Teneguię, który ostatnio wybuchał w 1971 roku. Można wejść na jego szczyt i zajrzeć do krateru, jeśli masz na to ochotę.

–Nie, dzięki.

–Ale najważniejszy jest sam Cumbre Vieja. I w ostatnich

ATLANTYK

hotel państwa Morganów Palma

CuZre Weja J^^ryfa

_ <T^/*Santa Cr

c-p Gomera

Hierro

"Grań Canana

SAHARA ZACHODNIA 400 km

Wyspy Kanaryjskie

latach trochę pomrukuje. Według tej książki jego wybuch byłby największą katastrofą od miliona lat.

–Arnoldzie, czasami masz skłonność do przesady. Dlatego zadam ci jedno proste pytanie. Jakim cudem osunięcie się kawałka skały na tej odległej atlantyckiej wysepce miałyby mieć skutki na taką skalę, o jakiej mówisz?

–Tsunami, Katarzyna Morgan. Megatsunami.

–Poważnie? Z ryżem czy z frytkami?

–Jezu Nazareński! – Morgan wznosił oczy ku niebiosom. – Stoję w tej chwili, żono, na czymś w rodzaju rozstajnych dróg, zastanawiając się, czy mam cię zostawić tu, wspaniale się prezentującą w bikini, ale przygniecioną Czomo-lungmą ignorancji, czy też wyprowadzić cię na słoneczne wyżyny wiedzy. To będzie w dużej mierze zależało od twojego nastawienia.

Kathy wzięła go za rękę i rzekła:

–Prowadź, mistrzu. Dobrze wiesz, że się tylko z tobą drażnię. Chcesz trochę soku?

Wstała z leżaka, podeszła do stolika i nalała do dużej szklanki. Pomarańcze w Hiszpanii są tak samo dobre jak na Florydzie i admirał wychylił podany napój jednym długim haustem, zanim na nowo podjął wysiłek edukacyjny.

–Orzeźwiający. Prawie tak jak ty – mruknął z uznaniem, co Kathy wynagrodziła mu pocałunkiem. – Na czym stanęliśmy? Tsunami. Wiesz, co to jest?

–Dzisiaj chyba każdy o tym słyszał, ale mów.

–Największa fala na świecie. Ściana wody, która nadciąga z oceanu i nie załamuje się na płytkim akwenie jak każda normalna fala, ale sunie dalej, zachowując kształt i energię, przez wszystko, co jej stanie na drodze. Może mieć kilkanaście metrów wysokości.

–Czyli gdyby uderzyła gdzieś w płaski brzeg Marylandu, przetoczyłaby się nad domami?

–Właśnie. Jest jednak coś jeszcze gorszego. Mówią na to megatsunami. Takie zjawisko może zniszczyć życie na wielkich obszarach świata. Ta książka twierdzi, że podobna fala może osiągnąć wysokość rzędu pięćdziesięciu metrów. Zmiotłaby całe Wschodnie Wybrzeże USA.

Kathy zadumała się nad tą wiadomością, czując się trochę

głupio, że tak frywolnie potraktowała świeżą wiedzę Arnolda na ten temat.

–Nadal jednak nie rozumiem, w jaki sposób wybuch wulkanu mógłby wywołać coś podobnego. Przecież to tylko erupcja popiołu i rzeki wolno płynącej zboczami lawy.

–I tu wracamy do naszej Palmy. Po ostatnim wybuchu Cumbre Vieja przed sześćdziesięciu laty naukowcy stwierdzili, że na zachodnim zboczu wystąpiło osunięcie się masywu skalnego o kilka metrów.

–Kilka metrów to chyba niezbyt wiele?

–Może niewiele, ale tu chodzi o kawał skały długi na dwanaście kilometrów. Jeśli coś takiego zsunie się do oceanu z dużej wysokości i z dużą prędkością... To miliardy ton kamienia. Efektem byłoby największe tsunami na tej planecie.

–To pewne?

–Jak cholera. Na paru uniwersytetach w Stanach i chyba w Niemczech są całe wydziały zajmujące się przewidywaniem możliwych skutków megatsunami powstałej na Wyspach Kanaryjskich.

–I jeden z nich opublikował tę książkę, którą znalazłeś w obserwatorium?

–Nie. Jej autorami są dwaj profesorowie z uniwersytetu londyńskiego, jakieś szczyty w środowisku. Day i Sarandon. Wygląda na to, że wiedzą, co mówią.

Następnego dnia, godzina 9.30

Na naleganie ochroniarzy admirał wyczarterował prywatny samolot, podstarzały ATR-72, nieco tylko cichszy i wygodniejszy od katastrofy kolejowej, którym polecili na Palmę z małego lotniska Reina Sofia położonego o niespełna dziewięć kilometrów od ich hotelu. Samolot trząsł niemiłosiernie, lecąc wzdłuż malowniczego zachodniego wybrzeża Teneryfy. Przed najbardziej wysuniętym cyplem Punta Teno skręcili nad ocean, aby wkrótce wylądować w Santa Cruz de la Palma, gdzie już czekał na nich samochód z szoferem, a właściwie dwa samochody i jeden szofer. Tym drugim mieli oczywiście jechać za nimi agenci Secret Service. Jednym z wa-

runków kontraktu, jaki Morgan podpisał przed podjęciem pracy w Białym Domu, było właśnie zapewnienie mu całodobowej ochrony przez pięć lat po przejściu na emeryturę. W Stanach przydzielono mu zespół czterech agentów pracujących w systemie zmianowym, z których dwójka poleciała z nimi na miesiąc miodowy.

Admirał Morgan był teraz człowiekiem zamożnym. Jego wojskowa emerytura wpływała na konto od prawie dziesięciu lat nie naruszane. Nie miał dzieci do wykształcenia, alimentów do płacenia ani żadnych kredytów. Sprzedał swój dom w Marylandzie i przeprowadził się do znacznie większej willi Kathy w Chevy Chase, też nie obciążonej hipoteką. Kathy dysponowała sporym funduszem powierniczym założonym dla niej przez bogatego, acz niewiernego pierwszego męża, i też nie musiała wydawać swej pensji przez ostatnie sześć lat, kiedy to Morgan utrzymywał ich oboje ze swojej. Razem posiadali kilka milionów dolarów – wystarczająco dużo, by Arnold mógł wyrzucić do kosza dwie pięciomilionowe oferty nowojorskich wydawnictw, które chciały opublikować jego wspomnienia. Żadnemu z nich nawet nie raczył odpowiedzieć.

Schodząc z samolotu na rozgrzany pas startowy, ubrany w granatowe polo, odprasowane szare szorty, brązowe mokasyny od Gucciego i białą panamę admirał wyglądał na tego, kim był: byłego wysokiego rangą wojskowego, z którym lepiej nie zadzierać.

–Samochód jest tam, sir – powiedział Harry, długoletni ochroniarz Arnolda. – Pierwszy z tych trzech czarnych mercedesów zaparkowanych przed budynkiem.

Ruszyli niespiesznie w tamtym kierunku. Mimo wczesnej pory było już gorąco, a na błękitnym niebie próżno by szukać choćby jednej chmurki. Harry otworzył tylne drzwi samochodu i admirał wsiadł pierwszy, przesuwając się na drugą stronę siedzenia.

–Proszę, pani Morgan. – Harry skłonił lekko głowę. Dziesięć lat temu zaproponował świeżo rozwiedzionej atrakcyjnej Kathy O'Brien randkę. Odmówiła grzecznie, a teraz agenta na samo wspomnienie tego niewinnego, ale poważnego błędu przeszywał zimny dreszcz.

Szofer ruszył łagodnie, opuszczając teren lotniska, a Harry z kolegą jechali za nimi w niewielkiej odległości w szyku torowym, jak admirał zwykł to nazywać po marynarSKU. Posuwali się ku południowemu cyplowi wyspy. Od miasteczka Fuencaliente de la Palma, dawniej uzdrowiska z gorącymi źródłami, dzieliło ich szesnaście kilometrów nadmorskiej szosy. Wybuch wulkanu w 1971 roku pogrzebał źródła, zamieniając je w wielkie podziemne jeziora, skryte pod grubą warstwą zastygłej lawy. Dziś w jednym z bielonych domów urządzono coś w rodzaju centrum monitorowania wulkanu, a w okolicy pełno było drogowskazów kierujących gości ku liczным kraterom i szczytom trzymającym milczącą straż nad przyszłością Ziemi.

Duża biała tablica z napisem „Wulkan San Antonio” i grubą czarną strzałką od razu wpadła w oko Morganowi.

–Jedź prosto tam, Pedro – polecił szoferowi, sprawdzając jednocześnie, czy ochrona trzyma miejsce w szyku.

Kathy, majstrująca przy nowym cyfrowym aparacie fotograficznym z wszystkimi bajerami i teleobiektywem, który dopiero co dostała od Arnolda, spytała od niechcienia:

–Skąd wiesz, jak on ma na imię?

–Pewności oczywiście nie mam, ale w Hiszpanii wielu ludzi nazywa się Pedro albo Miguel.

–Boże jedyny! Kochanie, nie można wymyślać ludziom imion! To grubiańskie. Jakbyś się czuł, gdyby ktoś obcy nagle zaczął cię nazywać Fredem?

–Och, zgadzam się, że w Stanach ten numer by nie przeszedł. Ale tu prawdopodobieństwo trafienia jest bardzo wysokie. W Arabii też: tam wszyscy się nazywają Mohammed, Mustafa albo Abdul. Nie da się spudłować.

–A jednak to niegrzeczne. Tak samo nie powinieneś nazywać każdego śniadego człowieka turbaniarzem. – Kathy mi-rno woli się zaśmiała, kiedy Morgan zmełł w ustach jakieś burkliwe słowo. Dotknęła ramienia kierowcy i spytała: – Przepraszam, czy mogę poznać pana imię?

–Oczywiście, seflora. Pedro.

–Skąd wiedziałeś? – Szturchnęła męża w bok, wężąc podstęp.

–Harry mi powiedział.

Kathy uniosła oczy ku niebu. W tamtą stronę zresztą jechali. Silnik mercedesa wył na wysokich obrotach, kiedy samochód wspinał się stromo pod górę przez piniowy las ku wielkiej

rozpadlinie widniejącej w samym szczycie czarnego stożka. Niedawne wstrząsy we wnętrzu drzemiącego od sześćdziesięciu lat wulkanu skłoniły władze do zamknięcia krateru dla wszelkich gości, ale kiedy dojechali na miejsce, Harry wyjaśnił strażnikowi, kim jest człowiek w białej panamie. Hiszpan machnął przyzwalająco ręką i Arnold z żoną spacerkiem podeszli na krawędź krateru, by zajrzeć do środka. Daleko w przedzie zobaczyli czteroosobową grupkę innych turystów. Mężczyźni robili zdjęcia całej okolicy i najwyraźniej podążali na północ wyznaczonym szlakiem wzdłuż górskiego grzbietu. Obok nich stały dwa elektryczne wózki golfowe.

–Dałoby się takie załatwić i dla nas? – spytał admirał.

–Zaraz sprawdzę – odrzekł Harry i zawrócił do budki strażnika.

Po trzech minutach wrócił z dobrą nowiną: z centrum turystycznego już jedzie do nich czteroosobowy pojazd.

–Super – ucieszył się Arnold. – W ten sposób będziemy mogli dojechać aż na sam Cumbre Vieja, a potem wrócić nadmorską drogą i popatrzeć na klifowe brzegi.

Wynajęcie wózka sownie się opłaciło. Sceneria była niesamowita, widoki zapierały dech w piersiach. Jechali przez pola zastygłej lawy pofałdowanym grzbietem zwanym Ruta de los Volcanos, miejscami porośniętym gąszczem sosen ka-naryjskich, gdzie indziej nagim i pustym. Wózek podskakiwał na wyboistym terenie, który zaledwie czterdzieści lat wcześniej był rozżarzoną magmą. W wielu miejscach widać było niebieski bezmiar Atlantyku po obu stronach, na wschodzie i na zachodzie. Wycieczka była udana, ale nie wiedząc, czy akumulatory wystarczą na pokonanie całej trasy, zdecydowali się zawrócić i pojechać na dół samochodem. Półtorej godziny później stali na szczycie wielkiego bazaltowego urwiska, górującego o kilkadziesiąt metrów nad dziwnie czarną plażą, w którą były rzędy zwieńczonych pianą atlantyckich grzywaczy.

Zaparkowali na nierównej, ale raczej płaskiej polanie. Był tam też inny samochód, też czarny mercedes. Ci sami czterej

mężczyźni, których widzieli wcześniej pod San Antonio, z zapalem fotografowali klif. Wszyscy byli śniadzi, z krótkimi kędzierzawymi włosami, ale na pewno nie wyglądali na Hiszpanów, a tym bardziej – mimo girland najrozmaitszych aparatów i kamer na szyjach – na japońskich turystów. Raczej są Arabami, pomyślał Morgan.

–Co, u diabła? – mruknął pod nosem. – Ciekawe, po co płczą się nam pod nogami i robią tyle zdjęć gołym skałom?

–Obawiam się, że nie będę w tym pomocna, kochanie. Nie przedstawili nam swojego planu podróży.

–Cholerni turba... – burknął admirał, ale ugryzł się w język, wspomniawszy niedawną rozmowę o tym, co jest gru-biańskie, a co nie.

Dwie minuty później obcy odjechali na południe. Spotkali ich potem jeszcze raz. Czterej turba... to jest, turyści znów zawzięcie uwieczniali okolicę na zdjęciach i filmach wideo.

–Zatrzymaj się tu, Pedro – rzucił szoferowi admirał. – Podjedź jak najbliżej do nich, ale tak, żeby nie pomyśleli, że włączymy im na plecy.

Morgan nie był zdziwiony, widząc, że tamci znów wybrali idealny punkt do uprawiania swojego hobby. Linia brzegu była tu nieco wklęsła, tworząc płytką zatoczkę. Widok z jednego z najwyższych miejsc w okolicy w obu kierunkach, na północ i na południe, był spektakularny. Właściwie nie było w tym nic podejrzanego; po prostu lata pracy w wywiadzie zbyt głęboko odcisnęły się na charakterze admirała. Morgan miał manię prześladowczą na punkcie dwóch rzeczy: okrętów podwodnych na morzu i Arabów na lądzie. Od 11 września 2001 roku nie mógł spojrzeć na żadnego przedstawiciela tej nacji, nie myśląc jednocześnie: „Cholerny terrorysta...” Oczywiście takie uczucia żywiło wielu innych ludzi w amerykańskich służbach specjalnych, ale Arnold, jak to on, musiał coś z tym fantem zrobić.

Ledwo się zatrzymali, był już na nogach. Podeszedł do mercedesa ochrony i wydał zwięzłe polecenie. Weźcie aparat z mojego wozu i zaczynajcie nam robić zdjęcia. Użyć teleobiektywu. Zdjąć tych facetów czysto i z bliska.

–Tak jest, sir.

Między obiema grupkami było może trzydzieści metrów.

Harry spisał się doskonale. Arabowie musieli się zorientować, że obiektyw jest wycelowany w nich, odwrócili bowiem spiesznie twarze, ale nie dość szybko. Wyszli na zdjęciach świetnie, poza jednym, którego Harry zdołał uwiecznić tylko lekko od tyłu, niemniej cała czwórka była zapisana na karcie pamięci aparatu.

–Dowiem się może, o co tu chodziło? – spytała jego właścicielka, kiedy ruszyli w drogę powrotną na lotnisko.

–Nie sędzę, aby to byli zwykli turyści – odparł Morgan. – Bez żon czy dziewczyn, poważni jak cholera. Odniosłem wrażenie, że robią te wszystkie zdjęcia w jakimś konkretnym celu.

–Pewnie. Może chcą wydać album? „Wspaniałe wybrzeża Atlantyku”, czy coś podobnego. Albo szukają pleneru filmowego. Albo pracują dla izby turystyki Wysp Kanaryjskich i przygotowują prospekt. Albo zatrudnił ich jakiś hotel czy biuro podróży w poszukiwaniu nowych wrażeń dla swoich klientów. W końcu jesteśmy na jednym z największych wulkanów świata, prawda?

–Jasne. Wiem. I nie sędzę, aby ktokolwiek planował jakąś wielką budowę, kiedy pod stopami poczuje podrygi Cum-bre Vieja. To byłby szybki i pewny sposób na utratę hotelu, prawda? – Arnold się zamyślił i dopiero po chwili zaczął mówić dalej, jakby do siebie. – Nie wiem dlaczego, ale coś mnie tknęło, kiedy zobaczyłem tych facetów. Ciągłe byli tam, gdzie my... Ale mam ich teraz i być może poproszę młodego Ramshawe'a, żeby spróbował ich zidentyfikować.

–To byłoby możliwe? – zdziwiła się Kathy.

–Jeśli są zupełnie anonimowi, to nie. Ale nigdy nie wiadomo...

–Coś ci powiem – rzekła Kathy. – Teraz wierzę, że gdyby całe to zachodnie zbocze osunęło się do oceanu, narobiłoby rzeczywiście ogromnego plusku.

–Prawda? Byłby to król wszystkich plusków.

ROZDZIAŁ 2

Środa, 27 maja 2009 r. godzina 15.00. Autostrada Wschodniego Wybrzeża, Korea Północna

Byli tuż na północ od portowego miasta Wonsan. Chińska ciężarówka wojskowa pędziła dziwnie pustą szosą, biegnącą wzdłuż poszarpanego zatoczkami wybrzeża, chronionego przed falami Morza Japońskiego tylko przez kilka małych wysepek, widocznych w dali jak sine plamki na horyzoncie. Szumnie nazwana autostradą droga wila się przez trzysta dwadzieścia kilometrów dzikiego terenu na północ, gdzie zbiegają się granice Chin, Korei i Rosji, o jakieś sto trzydzieści kilometrów na południowy zachód od Władywostoku.

Siedzącemu w szoferce generałowi Raszudowi towarzyszył jego osobisty ochroniarz, szwagier i weteran Hamasu, Ahmed Sabah, zajmujący miejsce z tyłu i ściskający odbezpieczony kałasznikowa. Generał patrzył przez przednią szybę w milczeniu. Tutejszy język był zbyt dziwny, jak zresztą ludzie i sam kraj, aby próbować konwersacji z koreańskim kierowcą. Rawi Raszud był otępiały z nudy. W tym najbardziej zamkniętym państwie świata, z policyjnym reżimem rodem z najczarniejszej epoki komunizmu czuł się tak nienaturalnie, tak daleko od wszystkiego, co zna, że stracił wszelkie poczucie perspektywy. Zerknął na szofera, na którego mundurze nie było żadnych wojskowych insygniów poza małą metalową odznaką z portretem Drogiego Przywódcy, Kim Dzong Ha, uważanego za wariata przez większość zachodniego świata, ale przez tutejszych ludzi niemal za bóstwo. O randze żołnierza świadczyła tylko czerwona obwódka odznaki.

Ojciec Kima, Kim Ir Sen, nazywany był (oczywiście w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej) największym wodzem w całej historii ludzkości, dystansując tym samym Aleksandra Wielkiego, Juliusza Cezara, Dżyngis-chana, Karola Wielkiego, Napoleona, Gandhiego, Churchilla, a nawet Mao Tse-tunga. Dzieci koreańskie od małego uczyły się i codziennie śpiewały hymn o „Największym geniuszu, jakiego znał świat”. Jego ogromnej wielkości portrety zdobiły miasta, miasteczka, wsie i wioski, a jego słowa po dziś dzień są uważane za coś w rodzaju objawienia woli Nieba.

Otyły syn Kima, Kim Dzong II, szybko dorównał ojcu. Wszechobecne uliczne głośniki na prawo i lewo sławiły wielkość jego rodu, niepodważalną dla wszystkich poza tymi, którym nie zależy na wolności, a nawet na życiu. W XXI wieku reżim Kim Dzong Ila nie zamierzał tolerować jakichkolwiek form sprzeciwu. Poniekąd upraszczało to sprawę: kochaj Wodza albo giń.

Kierowca wojskowej ciężarówki był typowym reprezentantem sterroryzowanego narodu. Pod jego enigmatycznym uśmiechem krył się pusty, martwy wyraz właściwy ludziom, których morale legło w gruzach, szacunek dla siebie się ulotnił, a jedyną szansą przetrwania jest stanie w szeregu i bicie czołem przed Kim Dzong Ilem, którego portret zgodnie z prawem musiał wisieć w każdym domu. Korea Północna jest orwellowskim koszmarem, wiecznie balansującym na granicy głodu, gdzie ludzie setkami tysięcy mrą z niedożywienia. Jest jak Rosja zimą sprzed pół wieku, za Stalina. A mimo to ludzie wciąż stają szpalerami na ulicach, którymi przejeżdża ten tłusty potwór, gorąco wiwatując na cześć Drogiego Przywódcy, cara jednego z najgorzej zarządzanych suwerennych państw rodem ze średniowiecza. Dzień w dzień i noc w noc, jeśli ma się ochotę słuchać, rząd Kim Dzong Ila trąbi wszem i wobec pochwałą Korei Północnej jako kraju pod każdym względem przewyższającego resztę świata.

General Raszud był wstrząśnięty tym, co tutaj zobaczył, i autentycznie żałował, że musi robić z Koreańczykami interesy. W jego grze pozostało jednak bardzo niewiele miejsc, w których dawało się jeszcze je robić. Częścią jego fachu był handel bronią i to na wyższym szczeblu wtajemniczenia:

Kwanmdbong^ JfCzongjin

•zakład^ nuklearne Yongbyon

Wonsan Phenian

Bllian Namph^

MORZE ŻÓŁTE Qingdao

200 km

#, rejony zamknięte

Morze Żółte – chińska baza okrętów podwodnych, koreańskie zakłady nuklearne

w tym zakrytym zмовą milczenia, ściśle tajnym i nielegalnym kręgu broni nuklearnej, gdzie mało kto się przyznaje do zapotrzebowania, a już absolutnie nikt do chęci sprzedaży. Poza pewnym mrocznym rejonem w Bośni jedynym dostawcą jest właśnie Korea Północna. Ten parias świata, wciśnięty między Chiny, Rosję i Japonię, od dawna produkuje komponenty broni jądrowej, ani trochę się nie przejmując międzynarodowym traktatem o jej nierozprzestrzenianiu. Przez długie lata, od 1974 roku, kiedy to Korea przystąpiła do Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, pozostaje ona dla Zachodu oczywistym problemem ze względu na nieustanne dążenie do produkcji plutonu i eksport raket Scud na Bliski Wschód. Jednak Kim Ir Sen zaskoczył nawet największych optymistów, kiedy w 1985 roku podpisał traktat o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, obiecując, że Korea nie wyprodukuje bomby i udostępni wszystkie zakłady nuklearne dla zachodniej inspekcji. Jeszcze w tym samym roku rozpoczęta została budowa reaktora o mocy dwustu megawatów, który mógłby produkować pluton w ilości wystarczającej na siedem bomb rocznie. Niezależnie od tego projektu ruszyła też budowa dużego zakładu przetwarzającego pluton na formę gotową do zastosowania militarnego. Rok później pracował już pierwszy blok reaktora o mocy trzydziestu megawatów, dając pożądany pluton. W 1987 roku Korea nie dotrzymała pierwszego terminu międzynarodowej inspekcji. Kilka miesięcy potem dostarczyła Iranowi sto raket Scud-B. Przez następne dwa lata odmawiała wpuszczenia inspektorów MAEA i kontynuowali budowę reaktorów produkujących pluton. Stale sprzedawali też scudy Syrii i Iranowi. W 1992 roku MAEA uznała ostatecznie deklaracje nuklearnego stanu posiadania Korei (około dziewięćdziesięciu gramów plutonu!) za fałszywe i zaczęła się domagać dostępu do Yongbyon, supertajnych podziemnych zakładów atomowych położonych o osiemdziesiąt kilometrów na północ od stolicy kraju, Phenianu. Nic nie wskórała. Rok później Chiny i Rosja wstrzymały wszelką pomoc dla Koreańskiej Republiki Lu-dowo-Demokratycznej. Stany Zjednoczone

wystosowały ultimatum, żądając od Kim Ir Sena, aby odkrył karty jak wszyscy inni. Dyktator zareagował natychmiastowym wydaleniem

inspektorów MAEA i zagroził, że wycofa się z traktatu o nie-rozprzestrzenianiu broni jądrowej. Ostatecznie w połowie roku 1994 Korea Północna wystąpiła z MAEA. Prezydent Clinton, zawsze skłonny do kompromisu, zgodził się dostarczyć Koreańczykom dwa reaktory typu LWR chłodzone zwykłą wodą i dodatkowo pół miliona ton mazutu rocznie, jeżeli nowy przywódca, Kim Dzong Il, wznowi członkostwo swego kraju w MAEA, nie wypowie traktatu i „unormuje stosunki handlowe” ze Stanami Zjednoczonymi. Te, jak je nazwano, „ustalone ramy” miały kosztować amerykańskich podatników każdego roku dwadzieścia do trzydziestu milionów dolarów.

Niespełna dwanaście miesięcy po umowie Clintona dyrektor CIA John Deutsch zameldował, że nowe rakiety Nodong-1 wejdą na wyposażenie armii północnokoreańskiej przed upływem roku i że Koreańczycy w najgłębszej tajemnicy kontynuują prace nad konstrukcją nuklearnych, chemicznych i biologicznych głowic bojowych. Nieustanne ostrzeżenia służb wywiadowczych były jednak ignorowane przez rząd. Wiosną 1997 roku sytuacja jeszcze się pogorszyła. Stało się oczywiste, że Kim Dzong Il produkuje pluton. Materiał dowodowy systematycznie rósł. Pewien północnokoreański generał zdezerterował do Chin i opublikował artykuł, w którym potwierdził, że jego była ojczyzna naprawdę dysponuje bronią jądrową. Nowoczesny amerykański satelita szpiegowski, zwany pieszczotliwie Wielkim Ptakiem, wykonał sensacyjne zdjęcia zwiększonej aktywności w rozległym kompleksie nuklearnym Yongbyon, którego większa część jest ukryta pod ziemią. Informacje Choona Sun Lee, innego uciekiniera z Korei, wysokiego urzędnika w ogromnej infrastrukturze militarnej, który ujawnił istnienie ściśle tajnego podziemnego zakładu produkcji plutonu i konstrukcji broni, były niemal na pewno prawdziwe.

W czerwcu 1998 roku dyktator ogłosił, że Korea Północna nadal będzie konstruować i eksportować rakiety zdolne do przenoszenia głowic nuklearnych. Amerykańskie służby wywiadowcze słały ostrzeżenie za ostrzeżeniem, że Koreańczycy zbudowali pod ziemią wielki reaktor bądź zakład przetwarzania paliw jądrowych. Raport Billa Richardsona, szefa de-

partamentu energii, stwierdzał, że istnieją dowody na to, iż Korea Północna pracuje nad technologią wzbogacania uranu, czyli – w dużym skrócie – przetwarzania tej śmiertelnej substancji w materiał do zastosowania militarnego. Cztery miesiące później Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, a dokładniej mówiąc jej ówczesny dyrektor, agresywny admirał Arnold Morgan, dosłownie wy wrzeszczał prezydentowi przez telefon, że reżim Kim Dzong Ila jest w posiadaniu od dwudziestu pięciu do trzydziestu kilogramów plutonu, co wystarczyłoby na kilka głowic bojowych.

Wszystko to było jeszcze drobnostką w porównaniu z wydarzeniami roku 2002. Nie ulegało już wątpliwości, że Korea Północna dysponuje groźnym arsenałem scudów, dostępnych dla każdego chętnego kupca. Zeznania Choon Sun Lee znów zaczęły prześladować wszystkich zainteresowanych. Koreańczyk przysięgał, że wielka góra Chun-Ma została wydrążona, aby pomieścić tajny zakład przetwarzania uranu. Opisał ogromny tunel, zagłębiony w skałę na ponad półtora kilometra, prowadzący do wielkich komór. W jednej z nich z rudy uranu uzyskuje się koncentrat, co jest pierwszym etapem procesu wzbogacania. CIA uznała informacje Choon za zbyt szczegółowe, aby mogły być fałszywe; pasowały zresztą dokładnie do jej własnych obserwacji satelitarnych, wykazujących istnienie aż dwudziestu dwóch tajemniczych wielkich wykopów w górskim regionie Korei Północnej. Jeśli wierzyć Choonowi, reżim Kim Dzong Ha posiada całe jądrowe imperium. A Choon bynajmniej nie skończył. Opisał dokładnie każdy szczegół operacji transportowania rudy uranu ciężarówkami i śmigłowcami do ukrytej w odległej górskiej dolinie podziemnej fabryki. Do jego zeznań dołożył swoje trzeci ważny uciekinier z Korei Północnej, który w 2002 roku zameldował, że Kwanmubong, druga najwyższa góra kraju leżąca o czterysta trzydzieści kilometrów na północny zachód od Phe-nianu, została również wydrążona pracą tysięcy ludzi, którzy nocami worek po worku przygotowali miejsce dla kolejnego tajnego zakładu nuklearnego.

W grudniu 2002 roku doszło do pierwszej otwartej konfrontacji. Amerykanie zlokalizowali północnokoreański frachtowiec nieopodal wyspy Sokotra u wybrzeży Somalii, przy

tak zwanym Rogu Afryki, i poprosili znajdujący się akurat w pobliżu hiszpański okręt wojenny o jego zatrzymanie. Kilka godzin później Hiszpanie zmusili płynący bez bandery* statek So-San do zatrzymania silnika, po czym weszli na jego pokład. W ładowniach znaleźli piętnaście scudów, starannie ukrytych pod czterdziestoma tysiącami worków koreańskiego cementu. Oprócz rakiet było tam też piętnaście konwencjonalnych głowic bojowych, dwadzieścia trzy cysterny kwasu azotowego (składnika paliwa raketowego) i osiemdziesiąt pięć beczek niezidentyfikowanych chemikaliów. Ludzie Kima nareszcie zostali przyłapani na gorącym uczynku. Zanim jednak Stany Zjednoczone zdążyły zawrzeć oburzeniem, Korea ogłosiła, że natychmiast wznowi pracę reaktorów w Yong-byon i zacznie produkować energię elektryczną. Było to wierutne kłamstwo. Reaktory nigdy nie przestały pracować, a ich podstawowym celem działania była produkcja plutonu do głowic jądrowych. Kim Dzong Il najwyraźniej był zdania, że najlepszym interesem dla gospodarki państwowej będzie nielegalny handel bronią nuklearną, plutonem i raketami średniego i krótkiego zasięgu. Trudno sobie wyobrazić biz-nesplan budzący większy sprzeciw międzynarodowy; był on jakby specjalnie stworzony w celu wywołania furii Amerykanów, zwłaszcza za rządu republikańskiego, który miał po dziurki w nosie podobnych nieskorych do współpracy przestępczych reżimów. Inspektorzy MAEA zameldowali, że nie pozwala się im wypełniać obowiązków, a kilka dni później wszyscy zostali wydalen.

Mijały lata pierwszej dekady XXI wieku. Reaktory w Yong-byon kontynuowały produkcję plutonu. Do Fort Meade dochodziły meldunki przedstawiające jako główny element pół-

* Zwyczaje morskie nieco się zmieniły od czasów, kiedy tylko na podejrzanych statkach nie powiewała dumnie (od ósmej rano do zachodu słońca) narodowa bandera. Dziś podnosi się ją tylko w portach 1 na redach; na pełnym morzu poza statkami pasażerskimi i okrętami na ogół się jej nie zobaczy. Zresztą ten dawny ceremoniał zupełnie stracił na znaczeniu w dobie, kiedy załogi są wielonarodowe, przynależność państwowa statku jest papierową fikcją, armator zaś najczęściej na oczy nie widział kraju, w którym rejestruje swoje jednostki.

nocnokoreańskiego imperium nuklearnego leżącą zaledwie

0 czterdzieści kilometrów od granicy chińskiej górę Kwan-mobong.

Właśnie tam zdązał teraz generał Raszud, w nadziei, że we wnętrzu tej skały znajdzie broń, dzięki której raz na zawsze będzie mógł wyprzeć znieawidzonych Amerykanów z Bliskiego Wschodu. Rawi nawet nie starał się udawać, że rozumie orientálną mentalność. Obchodziło go tylko jedno: reputacja Korei Północnej jako solidnego i nie zadającego zbędnych pytań dostawcy. Towar nie był tani; w cenę wliczone było ubezpieczenie przed wszelkimi nieprzyjemnymi konsekwencjami, jakie mogą spotkać Koreańczyków za ich politykę handlową.

Bardzo niewielu ludzi z zewnątrz miało okazję obejrzeć koreańskie zakłady nuklearne, a już zwłaszcza te ukryte w skalnych komorach gór Paitou Szan. Jednak generał Ha-masu, w którym Koreańczycy szybko rozpoznali poważnego kupca, wymógł na nich przyjęcie ścisłych warunków, pod jakimi zakupi ich produkt. Owszem, powiedział, zgodzi się na odbiór towaru wprost z fabryki. Z chwilą opuszczenia jej terenu odpowiedzialność za dalszy transport przejdzie na Hamas. W razie jakiegokolwiek wypadku nie będzie wysuwał żadnych roszczeń pod adresem Koreańczyków. Dla generała oznaczało to, że gdyby cała partia zaginęła gdzieś pod drodze, należną sumę i tak trzeba będzie zapłacić. Dlatego postawił warunek, że on i jego ludzie muszą nadzorować załadunek

1 eskortować towar przez cały kraj aż pod burzę statku czekającego w porcie Nampo na zachodnim wybrzeżu. Zgodził się ostatecznie na jednego miejscowego kierowcę.

Wiedział, że Korea Północna, kraj o powierzchni stanu Missisipi, ma dwadzieścia cztery miliony obywateli, z czego połowa mieszka w Phenianie. Przejechali już jednak szmat drogi, a on nie umiałby powiedzieć, gdzie żyje druga połowa. Dziesiątkami kilometrów ciągnęły się dzikie pustkowia i tylko gdzieś na wybrzeżach Morza Japońskiego napotykali małe rybackie wioski.

Przed przybyciem do Korei nie miał żadnych o niej informacji. Nigdzie nie było turystycznych folderów, fotografii ani prospektów promujących doskonałość koreańskich wyrobów.

Na powitanie dostał tylko mapę drogową i szofera, który miał go zawieźć do fabryki w Kwanmobong.

Jedyne, co wiedział o tym kraju, dotyczyło spraw wojskowych: że ten śmieszny, zacofany wyrzutek z Trzeciego Świata dysponuje trzecią co do wielkości armią, mając pod bronią milion dwieście tysięcy żołnierzy. O połowę więcej niż Korea Południowa. Jedna czwarta budżetu państwa przeznaczona jest na wojsko, a mimo to tutejsza marynarka wojenna jest bardziej niż skromna, lotnictwo zaś liczne, ale w większości przestarzałe.

Korea przyprawiała Rawiego o gęsią skórkę. Nie miał jednak czasu nad tym rozmyślać: za parę godzin zacznie się stan ostrego pogotowia. Siedział nieruchomo, wpatrzony w drogę, którą ciężarówka jednostajnie mknęła do celu. Minęli miasta Hamhung i Pukczhong, podążając wzdłuż torów kolejowych do Kildzu i Czilbo-san. Jeszcze trzydzieści kilometrów i szofer skreśli z szosy w niepozorną bitą drogę, biegnącą ku odległym o dwadzieścia kilka kilometrów górcom, strzeżoną przez wartowników w drewnianych budkach rozstawionych po obu stronach co kilkaset metrów. Praktycznie nie ma na niej miejsca, w którym samochód byłby niewidoczny dla uzbrojonych patroli i wart. Koniec drogi będzie metą dla generała Raszuda w jego długim marszu, rozpoczętym tak naprawdę w odległej Moskwie, choć nie był tam osobiście. Oficjalna prośba irańskiej marynarki wojennej o sprzedaż kilku rakiet cruise klasy Raduga SS-N-21, z których dwie miałyby być wyposażone w taktyczne głowice jądrowe o sile 200 kiloton, spotkała się tam z kamiennym milczeniem, jeśli nie liczyć jedyne pytania: „Czy zamierzacie załadować je na wasz okręt podwodny klasy Barracuda?”

Irańczycy cenili współpracę z Rosjanami i nie chcieli kłamać w żywe oczy. Odpowiedź twierdząca spowodowała, że dowództwo rosyjskiej marynarki poinformowało ich, iż nie może dostarczyć im rakiet Raduga na żadnych warunkach. Dalszym krokiem Teheranu było zwrócenie się do Chin. Do Pekinu poszło zapytanie o możliwość wyprodukowania rakiety, która byłaby wierną kopią Radugi. Chińczycy pomrukiwali, robili uniki, aż w końcu oświadczyli, że po tak bliskim zaangażowaniu w operację Hamasu i Barracudy I w USA

ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyli, byłoby odkrycie przez Amerykanów, że Barracuda II została wyposażona w chińskie rakiety zdolne do przenoszenia głowic nuklearnych, wbrew głównym postanowieniom traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej.

Chińczycy nie mieli zasadniczo nic przeciwko wspomaganie swych przyjaciół (i dobrych klientów) z Bliskiego Wschodu. Są poważnie zainteresowani tamtejszymi polami naftowymi i od czasu do czasu mogą ponosić pewne ryzyko, pomagając któremuś z reżimów; nie obejmowało to jednak uzbrajania drugiej Barracudy dla tych szaleńców, żeby mogli siać zniszczenie, gdzie im przyjdzie do głowy. Ameryka może się zdenerwować na muzułmanów, ale nie na nas! Poza tym nie mają rakiety, którą dałoby się w prosty sposób zmodyfikować do wymiarów Radugi. Owszem, znalazłoby się odpowiednie oprogramowanie w zakresie naprowadzania, chytrze wydestane od Amerykanów w latach dziewięćdziesiątych, ale własnej produkcji urządzeń Chińczycy po prostu nie są pewni, zwłaszcza tych dla rakiet krótkiego zasięgu.

Generalowi Raszudowi pozostało zatem niewiele opcji. Najmniej prawdopodobna z nich zaprowadziła go do Bośni, gdzie zarządzany z Belgradu państwowy koncern Jugimport podobno współpracował z Irakiem przy opracowaniu własnej rakiety typu Cruise. Jugimport współdziałał też z wojskowymi zakładami Orao Arms w Bijeljinie, drugim co do wielkości mieście w serbskiej części Bośni. Zarząd Orao twierdził co prawda, że tylko pomagał Irakijczykom remontować samoloty bojowe, ale dowody w sprawie Cruise były przekonujące. Było jasne, że w Orao potrafią zbudować raketę kierowaną i odpowiedni napęd, zapewniający jej dość daleki zasięg. Każdy handlarz bronią na Bliskim Wschodzie wiedział, że posiadają też poważny zasób wiedzy w zakresie głowic bojowych. Dlatego właśnie Rawi Raszud wybrał się z Syrii do Bośni.

Luk w tej wersji było jednak zbyt wiele. Personel Orao Arms był pracowity i ambitny; naukowcy pracowali dniami i nocami nad doskonaleniem głowic nuklearnych. Jednak do celu jeszcze nie dotarli. Byli świetni, jeśli chodzi o układy napędowe, i kompetentni w oprogramowaniu zespołów napro-

wadzania. Raszud wymagał jednak precyzji i gwarantowanej niezawodności. Rakiety, których potrzebował, musiały spełnić swoje zadanie bezbłędnie i za każdym razem. Zastrzegł sobie prawo do wysokich kar umownych w razie awarii. Bośniacy długo i usilnie myśleli, zachęceni wysokim zyskiem z operacji Hamasu, ale ryzyko było dla nich zbyt duże. Oczywiście wiedzieli, że Palestyńczycy mieliby spory kłopot z przekonaniem międzynarodowego sądu arbitrażowego do wyegzekwowania postanowień tego kontraktu; prezes Orao zdawał sobie jednak sprawę, że istnieją inne metody dochodzenia swoich roszczeń i że ten bliskowschodni watażka o zimnym spojrzeniu nie zawahałby się zetrzeć ich z powierzchni ziemi. Miał rację, ale rozstali się po przyjacielsku. Ostatnie słowa, jakie Raszud usłyszał na odjeździe od jednego z inżynierów, brzmiały: „Musi pan pojechać do Korei Północnej. Oni mogą panu to sprzedać. Mają technologię i o wiele więcej doświadczenia od nas”. I tak Rawi znalazł się na koreańskiej szosie, wypatrując miejsca, gdzie skręca w drogę do kompleksu nuklearnego Kwanmubong. Nie miał wesołej miny, rozważając listę rzeczy do sprawdzenia: wymiary, zużycie paliwa, oprogramowanie detonujące. No i te koszty! Pół miliarda dolarów za komplet osiemnastu cruise'ów z konwencjonalnymi głowicami i dwóch nuklearnych po dwieście kiloton.

Barracuda I została zakupiona z „pełnym magazynkiem” radug, Rawi zatem dobrze wiedział, jak powinien wyglądać koreański towar. Pamiętał duże szare korpusy z wymalowanymi małymi literkami „SS-N-21”, o długości niespełna ośmiu metrów, średnicy czterdziestu pięciu centymetrów i masie startowej prawie tysiąc siedemset kilogramów. Radugi lecą z prędkością 0,7 Macha – niespełna tysiąc sto kilometrów na godzinę – na pułapie sześćdziesięciu metrów, a ich zasięg wynosi trzy tysiące kilometrów. Wystrzeliwane ze zwykłych wyrzutni torpedowych, rozwijają skrzydła i stateczniki natychmiast po wynurzeniu się nad wodę. Służą zasadniczo do atakowania celów lądowych; do celu kieruje je system naprowadzania oparty na zaprogramowanych danych o trasie, Wspomagany wskazaniem radaru. Ich dokładność standardowo wynosi sto metrów – aż nadto dla potrzeb Raszuda.

W świecie pełnym wielkich interesów nie było wielu ope-

racji większych od jego, bardziej bezlitosnych i niebezpiecznych. Miał nadzieję, że technicy koreańscy staną na wysokości zadania i spełnią obietnice składane wśród ukłonów i pewnych siebie uśmiechów, kiedy był tu poprzednim razem.

Zbliżali się do pierwszej bramy wjazdowej. Rawiemu nie było spieszno do tej wizyty; niezależnie od zmartwienia o wywiązanie się Koreańczyków z przyrzeczeń bardziej niepokoiły go teraz procedury bezpieczeństwa w tym wyraźnie toksycznym środowisku, jakim jest kompleks Kwanmobong. Generał nie był ekspertem jądrowym, ale wiedział to i owo, a zwłaszcza jakie są właściwości trzech znanych izotopów uranu, ^{234}U , ^{235}U i ^{238}U . Najwięcej jest w przyrodzie tego ostatniego; stosowanego w bombach ^{235}U jest zaledwie 0,7 procent ale tylko on liczy się naprawdę. Wykazuje bowiem nie tylko zdolność do rozszczepiania pod wpływem bombardowania neutronami, ale też może podtrzymywać reakcję łańcuchową: każde rozszczepienie jądra jego atomu wytwarza dostateczną liczbę wolnych neutronów, by wywołać kolejne, eliminując w ten sposób potrzebę zewnętrznego źródła neutronów. Tak w skrócie działa bomba atomowa: niepohamowany przyrost i gwałtowne wyzwolenie energii wskutek coraz większej liczby rozszczepień jąder atomów, przy którym eksplozja trotylu jest zwykłym dziecięcym kapiszonem. Izotop ^{235}U jest niezwykle trudny do uzyskania, ale trud i koszty sownie się opłacają – tym, którym na tym zależy.

Zwykły ^{238}U też nie jest jednak bezużyteczny dla wojskowych. We własnej postaci nie może co prawda dać reakcji łańcuchowej, ale po przetworzeniu na izotop plutonu ^{239}Pu już tak. Ten właśnie pierwiastek, praktycznie nie istniejący w przyrodzie, był sercem bomby, która 9 sierpnia 1945 roku zniszczyła Nagasaki. Raszud spędził długie godziny, studiując w swym domu w Damaszku podręczniki energetyki atomowej i rozumiał zasady jego otrzymywania. Wydobycie rudy uranu; proces przeróbki na skoncentrowany tlenek uranu; ogromne ilości odpadów radioaktywnych, z których część może promieniować przez siedemdziesiąt pięć tysięcy lat. Rawi nie miał pojęcia, czy cokolwiek z tego przedostało się do wód gruntowych wokół Kwanmobongu, ale był zdecydowany nie ryzykować. Wszelkie napoje mogą tu zawierać sporo radu

i metali ciężkich, jak mangan czy molibden. Był pewien, że w tym łotrowskim komunistycznym kraju nie stosuje się żadnych zabezpieczeń, wymaganych przez prawo na Zachodzie. We wnętrzu tej ogromnej góry pracował wielki zakład wzbogacania uranu, przekształcający go w sześćfluorek uranu, diabolicznie toksyczny i radioaktywny związek, do którego lepiej się nie zbliżać. W takich zakładach zdarzają się wypadki i Rawiego niezbyt cieszyła perspektywa najbliższych godzin.

Otrząsnąwszy się z tych ponurych myśli, odwrócił się do swego szwagra, posłał mu uśmiech, po czym skoncentrował się na samych rakietach. Czy Koreańczycy rzeczywiście zdołali przebudować swój jednostopniowy pocisk Nodong-1 na wystrzeliwany z okrętu podwodnego sobowtór radugi? Ich wymiary były zbliżone, nodongi były też z powodzeniem eksportowane do Iranu pod nazwą Szahab-3, ale pytanie, czy poradzili sobie z bardziej wyrafinowanym silnikiem, z automatycznie rozkładanymi skrzydłami, no i z odpowiednimi komponentami umożliwiającymi montaż głowicy nuklearnej. Zarzekali się, że potrafią to zrobić, i byli na tyle uczciwi, że przyznali się do słabego punktu, jakim jest dla nich oprogramowanie systemu naprowadzania. Rawi jednak wytargował u Chińczyków zgodę na wykonanie tych niezbędnych, kosztownych, lecz anonimowych czynności końcowych przy komputerach pokładowych zakupionych przez niego rakiet. Technologia elektroniczna była zresztą w dużej mierze pochodzenia amerykańskiego.

Rawi został poinformowany, że rakiety są gotowe do transportu. Pozostało tylko je odebrać i zapłacić. O Koreańczykach można powiedzieć wiele rzeczy, pomyślał, ale nic nie można zarzucić ich metodom prowadzenia interesów.

Słońce szybko niknęło za górskim masywem i zaczął siąpić deszcz. Przed nimi zamajaczyła luna świateł i wysoki płot z siatki. Wkrótce zobaczyli przegradzającą wyboistą drogę stalową bramę, błyszczącą w blasku jarzeniówek. Przed bramą stali uzbrojeni wartownicy. Kierowca zatrzymał ciężarówkę o parę metrów przed nimi i otworzył okno w drzwiach. Wartownik, który najwyraźniej spodziewał się ich przybycia, wyciągnął rękę po podane dokumenty, schował je pod pele-

rynę i obszedł pojazd dookoła, sprawdzając numery rejestracyjne. Wrócił potem do wartowni, gdzie osłonięty przed deszczem uważnie obejrzał papiery, po czym oddał je kierowcy. Brama już się uchylała i inny wartownik machnięciem ręki dał im znak, że mogą jechać. Zrobiło się już ciemno i lało coraz mocniej. Droga z wolna pięła się w górę zboczem Kwan-mobongu. Co jakiś czas mijali kolejne wartownie, a po paru-nastu kilometrach zatrzymali się przed następną bramą, bliźniaczo podobną do pierwszej. Procedura kontroli dokumentów też była identyczna; po chwili jechali już dalej. Ten ostatni odcinek był z całą pewnością najtrudniejszy. Droga pięła się coraz bardziej stromo, pogoda zaś jeszcze się pogorszyła. Zerwał się wiatr z północnego zachodu i deszcz zacinał teraz niemal poziomo, prosto w przednią szybę ciężarówki. W prasie fachowej trudno szukać pochwał dla samochodów wyprodukowanych przez fabrykę Qingming w dawnej chińskiej stolicy Chongqing, ale na stokach Kwanmobongu Rawi poczuł szacunek dla konstruktorów tej maszyny.

–Widzisz, Ahmedzie? – powiedział po angielsku. – Ci faceci w Chongqing wiedzą, jak się robi samochody. To pudło dostało solidnie w kość, a jednak jakoś się toczy dalej.

–Nie wiedziałem nawet, że w Chinach produkują samochody – odrzekł zagadnięty. – Myślałem, że sprowadzają tylko całymi statkami używane wozy ze Stanów i Europy.

–Pomyliło ci się z rosyjskim importem, i to prywatnym. Chińczycy mają ogromne fabryki właśnie w Chongqing.

–Gdzie to jest, Rawi?

–To miasto schowane głęboko wewnątrz kraju, w Syczu-anie. Jakimś cudem zbudowali je w tej głuszy, przyklepione do zbocza górskiego z widokiem na ujście rzeki Jialing do Jang-cy. Daleko od czegokolwiek. Tysiąc sto kilometrów od Szanghaju, tysiąc trzysta od Pekinu. Mieszka tam ponad piętnaście milionów ludzi, którzy produkują mnóstwo samochodów wszelkiej maści.

–Skąd to wszystko wiesz?

–Byłem tam – odpowiedział lakonicznie Rawi.

–Nie wiedziałem, że zwiedzałeś środkowe Chiny.

–Chińczycy też nie wiedzieli. Ahmed się roześmiał i pokręcił głową.

–Jesteś człowiekiem pełnym tajemnic, generale Raszud.

–I potrafię ich dochować, bo chcę jeszcze pożyć.

W opinii szwagra Rawi Raszud był bez wątpienia najsprytniejszym, najtwardszym i najbardziej bezlitosnym człowiekiem, jakiego znał. Widział, jak zabija bez zmrżenia oka i sieje zniszczenie, ani przez chwilę nie współczując potencjalnym ofiarom. Widział też jednak, jaką miłością i oddaniem, niemal niespotykanym w świecie arabskim, darzy jego ukochaną siostrę Szakirę. Ahmed był drużbą na ich ślubie, pełnił też rolę osobistego ochroniarza Rawiego we wszystkich misjach bojowych przeciwko Izraelczykom i Zachodowi. Choć znał się na tym, kiedyś jednak nie zdążył nawet zareagować, gdy młody palestyński terrorysta, rozwścieczony doznaniem podczas brutalnego treningu upokorzeniem, rzucił się na generała, usiłując uderzyć go kolbą kałasznikowa. Szybkość, z jaką Rawi sobie z nim poradził, była oszałamiająca. Złamał napastnikowi rękę i obojczyk, rzucając nim o ziemię, po czym postawił mu stopę na gardle, mówiąc cicho: „Zabijałem ludzi ze znacznie bliższych powodów. Zabierz go do szpitala, Ahmedzie”. Po drodze Sabah wyjaśnił jęczącemu z bólu młodzieńcowi, że ich nowy dowódca był jednym z najlepszych dowódców oddziałów w brytyjskich siłach specjalnych i mistrzem sztuk walki. Zrzędzeniem losu były major Ray Kerman znalazł się po niewłaściwej stronie w krwawej bitwie o święte miasto Hebron, gdzie Szakira uratowała mu życie. To ona przywiodła go do Hamasu i nawróciła na religię dzieciństwa, islam. Ray z powrotem zmienił imię i nazwisko na to, z którym się urodził w irańskim miasteczku Kerman, a które jego rodzice zmienili po emigracji do Anglii po upadku szacha. Palestyńska organizacja zyskała w nim chyba największego wodza w historii muzułmańskiej od czasów Saladyna. Tak w każdym razie kierownictwo Hamasu mówiło rekrutom, aby ich zainspirować, ale niewiele było w tym przesady. Rawi ożenił się z Szakirą, zamieszkał w Syrii i walczył ramię w ramię ze swymi arabskimi braćmi, stając się jednym z najbardziej Poszukiwanych terrorystów świata. Ahmed powiedział odwożonemu do szpitala koledze, że sam Allah zesłał im generała Raszuda; poturbowany bojownik uważał, że i szatan musiał Maczać w tym palce, ale nic nie powiedział.

Cieżarówka przynosząca chwałę inżynierom z Chongqing miała przed sobą ostatnie, ale najniebezpieczniejsze półtora kilometra górskiego szlaku. Nachylenie stoku przywodziło na myśl Mount Everest i silnik wył na wysokich obrotach, gdy kierowca na pierwszym biegu pokonywał stromą i śliską od błota granitową drogę. To, że opony jeszcze trzymały się nawierzchni, graniczyło z cudem. W końcu przejechali przez najwyższy punkt i ostatnie kilkaset metrów prowadziło już w rozpadlinę, przegrodzoną stalowym płotem z drutu kolczastego, zwieńczonym ostrymi stalowymi szpikulcami. Bramę oświetlały liczne jarzeniówki. Wszystko to zrobiło na Rawim, który potrafił ocenić jakość zabezpieczeń, wrażenie przeszkody nie do pokonania. Po obu stronach bramy stały wieże wartownicze, wystające o trzy metry nad ogrodzenie. Na każdej były zamontowane dwa ruchome reflektory i ciężki karabin maszynowy. Rawi nie mógł się zorientować, czy chodziło o niedopuszczenie do wdarcia się intruzów na teren zakładu, czy raczej do ucieczki kogokolwiek z wewnątrz. Jedno było pewne: gdyby miał postawić pieniądze na którąś ze stron, wybrałby wartowników.

Na zewnątrz płotu trzymał straż ośmioosobowy patrol, rozstawiony po obu stronach drogi. Za bramą nie było widać nic, nawet światła. Rawi i Ahmed czekali nieruchomo na rozwój wydarzeń. Dowódca warty polecił otworzyć wrota i ciężarówka ruszyła naprzód. W świetle drogowych reflektorów widniała przed nimi skalna ściana, nic poza tym. Dopiero kiedy podjechali bliżej, Raszud stwierdził, że rzekoma skała to w rzeczywistości kolejna brama z litej stali, która nagle zniknęła, usuwając się na boki do wnętrza skały. Znajdowali się przed ciemną jaskinią, której czarnej czeluści nie rozświetlała choćby najmniejsza żarówka. Trudno było się oprzeć uczuciu zagłębiania w gigantycznym grobowcu; stalowe drzwi zasunęły się cicho za nimi i Rawi poczuł mrowienie na plecach. Był zamknięty we wnętrzu góry przez siły, nad którymi nie miał żadnej kontroli.

Po zaledwie kilku sekundach wszystko rozbłysło oślepiającym światłem. To już nie był grobowiec, ale Broadway w wydaniu Kwanmobong: uliczne latarnie, znaki drogowe i oświetlone okna warsztatów, biur i laboratoriów. Ulica była prosta

jak strzelił i zagłębiała się w skałę jak okiem sięgnąć. Źródło elektryczności było oczywiste: energia jądrowa. Byli w największym zakładzie nuklearnym Korei Północnej, wykutym w granitowym masywie góry. Osiągnięcie godne tytanów, pomyślał Rawi, ale jakim kosztem dokonane? Popatrzył w górę na sklepienie gigantycznej komory, które wciąż miejscami było tylko gołą skałą. Ściany wyłożono już jednak betonem. Nawet w zamkniętej szoferce ciężarówki dobiegał jego uszu równy szum pracujących generatorów. Gdzieś za tymi ścianami, a może pod komorą, znajdował się potężny reaktor, dostarczający energii na to wszystko i nie tylko. Gdyby ktokolwiek chciał go unieszkodliwić, musiałby użyć bomby jądrowej. Jest całkiem możliwe, pomyślał, że jedynymi ludźmi zdolnymi zniszczyć ten zakład są ci, którzy go zbudowali. Jezu Chryste...

Przejechali jeszcze kilkaset metrów, po czym ciężarówka zaczęła skomplikowany manewr wjeżdżania tyłem pod rampę załadowniczą skrytą w bocznej komorze. Kierowca wyłączył silnik i otworzył drzwi; w tej samej chwili ukazało się czterech Koreańczyków. Dwaj mieli na sobie białe laboratoryjne fartuchy, pozostali byli w tych dziwnych dalekowschodnich mundurach wojskowych: zielone spodnie, koszula z zamkiem błyskawicznym zamiast guzików, czerwone epolety i podwinięte rękawy. Rawi i Ahmed zeskoczyli w ślad za szoferem na gładką betonową nawierzchnię. Oficer, najwyraźniej dowódca całego kompleksu, przywitał ich po angielsku.

– Witam, generale. Miło pana tu gościć. Mam nadzieję, że to pierwsza z wielu przyszłych wizyt. – Przedstawił się jako pułkownik Dae-jung, wymienił też nazwiska towarzyszących mu osób. Wyciągnął rękę, kłaniając się dwukrotnie w japońskim stylu. – Obejrzyjcie teraz swój towar?

Kiedy tym formalnościom stało się zadość, bez dalszej zwłoki poprowadził ich do obszernego, jasno oświetlonego holu, gdzie pełniło służbę dwóch uzbrojonych wartowników

1 pisarz wojskowy. Cała trójka oddała honory pułkownikowi, który minął ich bez słowa i ruszył korytarzem. Szerokie schody zaprowadziły ich do dużego magazynu z suwnicami i wielkimi stalowymi drzwiami. Przed nimi lśniły dwa cylindry

2 nierdzewnej stali, wysokie na cztery i pół metra, o średnicy

blisko stu osiemdziesięciu centymetrów, znane wśród fachowców jako „flaszki” – zachodniej konstrukcji ciężkie pojemniki, służące wyłącznie do transportu materiałów radioaktywnych. Zaprojektowane i udoskonalone przez British Nuclear Fuels, są uważane za najlepsze możliwe zabezpieczenie. Zbudowane ze stalowej blachy o grubości dwóch i pół centymetra, posiadają wewnętrzne osłony przeciwpromienne, dzięki czemu są zarazem bezpieczne dla ludzi i odporniejsze na ataki terrorystyczne.

–W pojemnikach znajdują się dwie nuklearne głowice, które pan zamówił, generale – powiedział koreański dowódca. – Każda zawiera system mylący. Obie gotowe do montażu na raketach, które pakujemy osobno. Chińscy inżynierowie naprowadzania mogą po swojemu ustawić układy sterujące w części dziobowej. W niczym to nie zaszkodzi głowicom. Na ogół montuje się je w ostatniej chwili, tuż przed uszczelnieniem i załadunkiem na okręt.

Rawi skinął głową.

–Mogę zobaczyć głowice? – spytał.

–Oczywiście. W pojemniku jest małe okienko z szybą grubą na dziesięć centymetrów, ale da się zajrzeć do środka.

Poprowadził Raszuda na drugą stronę jednego z pojemników i wskazał okienko, świecąc do środka latarką. Rawi z trudem rozróżnił stożkowy kształt spoczywający w solidnych uchwytach.

–Zapewniam, że nikt nie będzie rozczarowany – rzekł pułkownik. – To głowica o sile rażenia dwustu kiloton. Aktywowana prawidłowo spowoduje takie zniszczenia, o jakie panu chodzi...

Rawi w to nie wątpił.

–A normalne rakiety? Sobowtóry radug?

–Złożone są tam dalej. – Komendant poprowadził go w inną stronę. – Jak pan widzi, jedna z nich nie jest zapieczętowana, aby mógł pan ją obejrzeć.

Raszud popatrzył na dziewięciometrowe skrzynie.

–Głowice konwencjonalne są zamontowane?

–Tak jest.

–Nie mieliście problemu z dopasowaniem ich do rosyjskich wymiarów?

–Najmniejszych. Mamy tu w fabryce dwie oryginalne ra-dugi. Zadanie było proste. Mamy kadłuby od pewnego typu scudów i nodongów, prawie identyczne.

–Nawet nie próbuję pytać, jak się wam udało zdobyć ra-dugi. – Rawi się uśmiechnął.

–I słusznie – odparł poważnie Koreańczyk. – Zastosowaliśmy jednak silnik całkowicie naszej konstrukcji. Uważamy, że jest odrobinę lepszy od rosyjskiego i o wiele bardziej niezawodny. Działa na zwykłe paliwo z kwasem azotowym jako utleniaczem.

Rawi skinął głową. Przeliczył skrzynie, zajrzał do jednej i dotknął zimnego metalowego cylindra rakiety.

–Czy port w Nampho jest odpowiednio wyposażony do przeładunku takich ciężkich przedmiotów?

–Ten port nie ma sobie równych na całym świecie – odparł skromnie komendant. – Specjalizujemy się w przewozie rakiet od bardzo dawna. Nie robimy błędów.

–Jeden zrobiliście – zauważył Rawi. – U brzegów Somalii przed paroma laty.

–Tu, w Azji, błędów nie robimy – powtórzył Koreańczyk. – Tyle panu powinno wystarczyć.

–I wystarcza.

–Jest pan zadowolony z towaru?

–Tak. Zechce pan teraz dopełnić finansowej części transakcji?

–Oczywiście, generale. Zjemy potem kolację i może pan ruszać. Trzy nasze ciężarówki pojedą w konwoju. Paliwa wystarczy wam do samego Nampho.

–Doceniam to, pułkowniku.

Sposób dokonania płatności został ustalony kilka miesięcy wcześniej: sto pięćdziesiąt milionów dolarów zaliczki, pozostałe trzysta pięćdziesiąt po odbiorze loco fabryka. Pośrednikiem był Korea Exchange Bank z Seulu, pieniądze zaś zostały zdeponowane przez Teheran kilka tygodni temu. Seulski bank po otrzymaniu od generała Raszuda hasła (telefoniczne, faksem lub e-mailem) musi jeszcze uzyskać potwierdzenie od Teheran National Bank, zanim przeleje pieniądze na konto rządu Korei Północnej. Tego wieczora wszyscy czekali na sygnał i hasło od Rawiego.

General zasiał przed komputerem w biurze pułkownika Dae-junga i wystukał na klawiaturze zdanie w języku perskim: „se-panjah bash-e” – w wolnym przekładzie „trzysta pięćdziesiąt w porządku”. Hasło w mig przebyło osiem tysięcy kilometrów i sześć stref czasowych dzielące go od banku w centrum Teheranu przy głównej ulicy handlowej Heyabun-e Ferdosi, vis-a-vis ambasady niemieckiej. Odpowiedź wróciła do Seulu równie szybko: „Wyplacić Północy”. I tak w ciągu niecałych pięciu minut trzysta pięćdziesiąt milionów dolarów przeszło z rąk do rąk, a kierownictwo Hamasu po raz pierwszy w swej historii otrzymało do dyspozycji broń jądrową.

Kolacja u Koreańczyków przeszła oczekiwania Rawiego. Kucharz przyrządził doskonale sinsollo, narodowe danie z gotowanego mięsa, ryb i jarzyn, przyprawione pastą fasolową dweonjang i chili, nieco podobne do japońskiego szabu szabu, ale smaczniejsze i bardziej słone. Gościom podano je z gryczanym makaronem i omletem. Do picia była tylko woda mineralna; Rawi miał nadzieję, że nie pochodziła ze źródeł z okolic Kwanmobong...

Uprzejmie odmówił wycieczki po laboratoriach, ale nie mógł nie zwrócić uwagi na dziesiątki kręcących się wszędzie techników w białych kombinezonach, rękawicach i czapkach. Pozostawało tylko wierzyć, że trzymają się z dala od sześćcio-fluorku uranu i że kierownictwo tego zadziwiającego podziemnego obiektu stosuje odpowiednie przepisy i dysponuje bezpiecznym miejscem składowania tego śmiertcionośnego półproduktu. Na odjezdnym pułkownik powiedział Rawiemu:

–Proszę pamiętać, że tu, w Kwanmobong, przeprowadzamy cały proces przeróbki materiału rozszczepialnego. Wzbogacanie, przetwarzanie na pluton, rafinację uranu 235U do użytku militarnego. Na drugim końcu kompleksu, półtora kilometra stąd, produkujemy rakiety, kilkanaście typów, od krótkiego do dalekiego zasięgu, w tym balistyczne i służące do wynoszenia satelitów na orbitę. Jakie pan chce. Jedno-, dwu- lub trzystopniowe, z dużym udźwigniem. Żadnych problemów. Dobrze, co?

–Doskonale – odrzekł Raszud. – Jestem pod wrażeniem. Ruszyli do rampy załadunkowej. Stały tam trzy wojskowe ciężarówki, na których uwijały się drużyny żołnierzy za-

Ładujących z powrotem brezentowe plandeki, zdjęte na czas załadunku. Rawi zauważył, że obie „flaszki” z głowicami jądrowymi załadowane zostały na ten samochód, którym tu przyjechali. Na pozostałych dwóch leżało po dziewięć skrzyń z raketami, w trzech warstwach po trzy, przedzielonych drewnem i paletami, ale związanych w całość stalową taśmą mocującą. Umysłowił sobie, że każda ciężarówka powiezie około osiemnastu ton ładunku, i znów przyszła mu do głowy ta sama myśl: „W Chongajng robią cholernie dobre samochody”.

Pożegnali się z pułkownikiem i wsiedli do szoferki. Kałasz-nikow leżał na siedzeniu tak, jak go Ahmed zostawił; sprawdził go teraz i upewnił się, że broń jest naładowana. Kierowcy uruchomili silniki i cały konwój ruszył z wolna w stronę tunelu i bramy. Zanim została otwarta, w jednej chwili pogasły wszystkie światła. Ciężarówki jechały z włączonymi światłami mijania, ale poza tym z wnętrza góry Kwanmobong nie wydostawał się nawet najmniejszy promyk, który mógłby zdradzić, że kryje się w niej potężny kompleks przemysłowy. Wkrótce byli na zewnątrz. Lało jak przedtem, kiedy zbliżali się do głównej bramy; tym razem wartownicy po prostu otworzyli wrota i zasalutowali, przepuszczając ich bez sprawdzania dokumentów.

Mimo że za jego plecami spoczywały dwa spore i najzupełniej nielegalne pociski nuklearne, generał nie miał wyrzutów sumienia. Jego plan jest diaboliczny, ale w słusznej sprawie; jego ludzie gotowi są walczyć i zginąć za swe przekonania, za prawo do samostanowienia prastarego narodu palestyńskiego i innych uciskanych krajów Bliskiego Wschodu, które teraz zmuszone są tańczyć, jak im zagrają Amerykanie. Północni Koreańczycy, z drugiej strony, są zwykłymi gangsterami. Nie mają swojej sprawy, nie znają lojalności, moralności, nie są z nikim sprzymierzeni – chodzi im tylko o kasę za broń, i to najgorszego rodzaju. Dla kasy gotowi są dostarczyć ją każdemu, kto zapłaci – choćby planował najkrwawsze zbrodnie przeciwko ludzkości. A oni? Allah nieraz okazał, że sprzyja bojownikom Hamasu. Rawi był święcie przekonany, że będzie ich dalej wspomagał we wszystkich wielkich misjach przeciwko Zachodowi.

Trzy ciężarówki mozolnie jechały stromym szlakiem w dół, z trudem zachowując przyczepność kół na mokrej skale i błocie. Na szczęście przynajmniej nie musieli się nigdzie zatrzymywać – wszystkie kolejne posterunki przepuszczały ich, zawczasu otwierając bramy. Wreszcie znaleźli się na asfaltowej drodze do Phenianu i dalej poszło już gładko. Stolicę ominęli od południa, kierując się ku nowej autostradzie do Nampho, leżącego o czterdzieści kilometrów na południowy zachód. Raszud był rozczarowany, że nie zobaczy koreańskiej metropolii, ale rozumiał, że byłoby szaleństwem pakować się konwojem z głowicami nuklearnymi w zatłoczone miasto. Jechali więc dalej pustą szosą ku brzegom Morza Żółtego. Zbliżał się brzask, ale dzień nastał dopiero, gdy wjeżdżali już na teren portu w Nampho, największego na zachodnim wybrzeżu. Rawi i Ahmed, głodni i zmęczeni wyczerpującymi podróżami, byli zadziwieni jego rozmiarami, ilością nabrzeży i stojących przy nich dużych kontenerowców. Większość z nich, jak zauważyli, nosiła bandery państw południowo-wschodniej Azji i Afryki, ale spostrzegli też trzy statki arabskie i jeden z Europy. Port mógł przyjmować jednostki o praktycznie nieograniczonym tonażu – po przegrodzeniu zatoki potężną groblą ze śluzami poziom wody został znacznie podniesiony.

Konwój Rawiego zatrzymał się jednak przy statku zdecydowanie niepozornym, starym frachtowczyku o nośności zaledwie pięciuset ton. Na niebieskiej burcie, mocno poplamionej rdzą, widniał jeszcze zarys dawnego numeru taktycznego 81 – trzydziestoseśćioletnia jednostka była w istocie przebudowanym okrętem pomocniczym klasy ASU przeznaczonym dla japońskiej marynarki wojennej, z dwoma silnikami. Teraz wyglądało na to, że goni resztkami sił. Nadbudówka na dziobie prosiła się o świeżą warstwę farby, podobnie jak przysadzisty komin. Pokład za nadbudówką był płaski do samej rufy, gdzie wystawał z niego solidny dźwig, niegdyś obsługujący japońskie śmigłowce. Wypisana na dziobie czerwonymi literami – koreańskimi i angielskimi – nazwa Yongdo była mocno wyblakła. Rawi nie miał pojęcia, co oznacza, ale rozpoznał północnokoreańską banderę z wielką czerwoną gwiazdą, wyprężoną na porywistym wietrze. Na kei widać było wyłącznie wojskowych i dopiero kiedy ciężarówki stanęły na

starannie oznaczonych białą farbą miejscach, generał się zorientował, że są na obszarze zamkniętym. Od reszty portu odgradzał ich wysoki płot z siatki, a masywna brama ze stalowych prętów już się za nimi zasunęła.

U trapu czekał na nich kapitan Yongdo, oficer marynarki wojennej Cho Joong Kun.

– Witam w Nampho – powiedział po angielsku. – Proszę szybko wchodzić na pokład. Przygotowałem dla was kabiny, kucharz czeka ze śniadaniem. Wypływamy około północy, kiedy zacznie się odpływ. Jak panowie wiecie, mamy przed sobą dwa dni rejsu.

Rawi zerknął na dziwne dlań oznaki rangi na rękawach kapitana: dwa czarne paski na złotym tle – jakby negatyw przyjętych chyba we wszystkich marynarkach wojennych świata oznaczeń – i rząd trzech srebrnych gwiazdek.

– Dzień dobry, kapitanie Cho. Miło mi to słyszeć. Mamy za sobą całonocną jazdę.

– Tak, wiem. Możecie przespać choćby cały dzień. My przez ten czas wszystko załadujemy. Musimy poczekać około trzech godzin na dźwig portowy, no i sam załadunek też trochę potrwa. Towar jest raczej delikatny...

– Delikatny i drogi. – Rawi skinął głową.

Tego samego dnia, czwartek, 28 maja 2009 r., godzina 19.00. Pozycja 2750N/12410E.
Zanurzenie 120 m, prędkość 25 w

Barracuda II płynęła żwawo na północ przez akwen o głębokości ośmiuset metrów, około osiemdziesięciu mil morskich na północny zachód od Okinawy, minąwszy już długi łańcuch wysp Riukiu, południowy kraniec wyspiarskiego terytorium Japonii. Zmierzali ku linii ciepłego prądu Kuro Siwo, która praktycznie stanowi granicę Morza Wschodniocchińskiego. Świeżo awansowany kontradmirał Ben Badr zamierzał trzymać się głębszych wód po oceanicznej stronie prądu tak długo jak się da. Jak większość blisko- i dalekowschodnich dowódców okrętów podwodnych, wolał unikać wścibskich oczu amerykańskich satelitów wywiadowczych. Nigdy nie zapominał

radę swego ojca, dawniej podwodniaka jak on, a obecnie dowódcy irańskiej marynarki wojennej: „Trzymaj się jak najgłębiej, płyn jak najciszej, a w bezpośrednim zagrożeniu jak najwolniej. W ten sposób szansa, że cię wróg wykryje, jest bliska zeru”.

Nieczęsto się zdarza, żeby okrętem dowodził oficer w stopniu admirałskim, ale podczas misji bojowej Bena miał zastąpić kapitan, on sam zaś znał tę jednostkę na wylot. Poza tym Hamas

nie był związany tradycją innych marynarek wojennych świata – dopiero zaczął tworzyć własną.

Barracuda II wyszła w morze z Zhanjiang, głównej bazy chińskiej Floty Południowej, we wtorek wieczorem, płynąc na powierzchni, widoczna dla każdego zainteresowanego. Zanurzyła się dopiero przed cieśniną Luzon, oddzielającą Filipiny od Tajwanu, a teraz znajdowała się w połowie mierzącej dwa tysiące czterysta mil drogi na północ. Był to drugi z dwóch okrętów tej klasy, które organizacja Hamas w najgłębszej tajemnicy kupiła od Rosjan za pośrednictwem Chin i Iranu, i chociaż Amerykanie mogli żywić podejrzenia co do tożsamości prawdziwego właściciela, na pewno wiedzieli tylko trzy rzeczy: Rosja nie przyznała się do sprzedaży tej konkretnej Barracudy komukolwiek; Chiny nie przyznały się do jej posiadania; nie zrobił tego też nikt inny.

Los Barracudy I, zniszczonej w Kanale Panamskim, był im znany, ale ten temat był ścisłym tabu i Waszyngton trzymał język za zębami równie uparcie jak Moskwa i Pekin. Kontradmiral Badr wiedział, że widok Barracudy II spokojnie opuszczającej Zhanjiang i udającej się Bóg wie gdzie musiał zwrócić uwagę amerykańskiego wywiadu marynarki. W Fort Meade zaś z pewnością zaczęto na nowo zadawać so-1 bie stare pytanie: do kogo, u diabła, należy ten okręt? I tylko kilka osób w Teheranie, Damaszku i Pekinie wiedziało, że ten atomowy okręt myśliwski o wyporności ośmiu tysięcy ton wybiera się na pierwszą misję bojową. Pierwszy etap wiódł do supertajnej bazy w Huludao, ukrytej w głębi Morza Żółtego, tego ślepego zaułka oceanu, gdzie Chiny przygotowywały i prowadziły próby morskie swych największych strategicznych okrętów podwodnych uzbrojonych w międzykonty-nentalne rakiety balistyczne.

–Zwrot w prawo o dziesięć stopni! – zakomenderował Badr. – Położyć się na kurs trzysta pięćdziesiąt. Trzymać dwadzieścia pięć węzłów, zanurzenie sześćdziesiąt metrów.

Morze Żółte jest znacznie płytsze od Wschodniochińskiego

1 ostatni odcinek trasy wiodący przez najbardziej strzeżone wody trzeba będzie pokonać w wynurzeniu, pod obserwacją amerykańskich satelitów. Badr wolałby nikomu nie rzucać się w oczy, ale w końcu nie miało to większego znaczenia. Rosyjskiej budowy okręt płył do chińskiej bazy po wodach międzynarodowych i chińskich – nikt nie ma obowiązku tłumaczyć się z tego Waszyngtonowi. Pentagon wszakże nie jest panem wszystkich oceanów świata. Chiny i Rosja mają pełne prawo przemieszczać swoje okręty i odwiedzać wzajemnie swoje porty. Ben Badr uśmiechnął się ponuro: „Najważniejsze, żeby się nie dowiedzieli, dokąd naprawdę zmierzamy”.

Był ogólnie zadowolony z tego okrętu. Jego tytanowy kadłub wydatnie się przyczynił do tłumienia emisji hałasu, choć jednocześnie poważnie zwiększył koszt budowy, a jeszcze bardziej późniejszej eksploatacji. Barracuda II w związku z tym nigdy nie wyszła w morze, dopóki przed rokiem nie została przejęta przez irańską marynarkę wojenną na rzecz Hamasu. Do tej pory odbyła jedną długą i niespieszną podróż przez pół świata, z rosyjskiej bazy w Aragubie nad Morzem Barentsa do Chin, a potem przeszła dokładny, wielomiesięczny przegląd w stoczni Floty Południowej. Teraz, w pierwszej podróży od tamtego czasu, zachowywała się jak okręt prosto spod igły; reaktor pracował bez namniejszych zakłóceń, zapewniając energię na wszystkie potrzeby. Barracuda II mogła przebywać w zanurzeniu przez całe miesiące. W pełni uzbrojona stanowiła poważną siłę ogniową, dysponując doskonałymi samonaprowadzającymi się rosyjskimi raketami SSN-21 Granat, należącymi do typu zwanego żartobliwie...Wystrzel i zapomnij”. Jej wyrzutnie były co prawda w tej chwili puste, ale to się miało zmienić zaraz po wejściu do Hu-ludao.

Kontradmiral Badr dobrze się znał na prowadzeniu ato-rnowego okrętu podwodnego. Dla niego była to tylko przyjemna wycieczka. Pod komendą miał wypróbowaną załogę,

2 którą już walczył i zwyciężał na Barracudzie I. W naj-

bliższą przyszłość patrzył niemal z utęsknieniem. Była teraz dwudziesta trzecia i nad sieczonym ulewnym deszczem Morzem Wschodniochińskim panował zupełny mrok. Barracuda znajdowała się około trzystu mil na ESE od Szanghaju, płynąc kursem niemal prosto na piękną subtropikalną Dze-dzu-do, siedemdziesięciokilometrowej długości wyspę wulkaniczną u południowego krańca Półwyspu Koreańskiego. Ben zamierzał zostawić ten skąpany w słońcu turystyczny raj, zwany Hawajami Korei, o sześćdziesiąt mil na prawym tra-1 wersie. Za nią zaczyna się Morze Żółte, gdzie życie nawigatora nie będzie już takie łatwe i trzeba będzie zachowywać pełną czujność. Południowa część tego akwenu jest szczególnie ruchliwa. To istna autostrada dla dużych zbiornikowców, masowców i kontenerowców zawijających do dużych południowokoreańskich portów Inczhon, Kunsan i Mokpho, jak również do Nampho. Oprócz frachtowców pełno tam zawsze jest kutrów rybackich, nie brak też chińskich okrętów patrolowych z flot Wschodniej i Północnej. Dla sonarzystów na podwodniaku oznacza to stałe pełne pogotowie.

Dochodziła północ. Yongdo właśnie opuszczał śluzę Nampho, dygocąc od wibracji dwóch wysłużonych diesli, których jazgot ostro by kontrastował z delikatnym poszumem turbin Barracudy II. Generał Raszud i Ahmed Sabah skorzystali z propozycji i przespali cały dzień, zjedli kolację z kapitanem i pierwszym oficerem, a teraz stali na mostku podczas manewrów jako goście honorowi. W końcu nawet w Korei Północnej niecodziennie sprzedaje się partię rakiet kierowanych i dwie drogie głowice jądrowe... Trasa Yongdo miała liczyć około czterystu mil morskich. W północnej części Morza Żółtego stateczek miał się minąć z Barracuda II, która według planu powinna przybić do nabrzeża w Huludao w sobotę wczesnym wieczorem. Rawi zastanawiał się, czy będzie miał ją okazję zobaczyć z mostku Yongdo, wiedział bowiem, że okręt będzie musiał płynąć w wynurzeniu. Dziwnie było pomyśleć, że jego stary przyjaciel i towarzysz broni żegluje akurat po tym samym kawałku wody co on i Ahmed.

W ciemnościach niewiele było widać, ale statek szybko zaczął się kołysać na martwej fali – co znaczyło, że wyszli

z zatoki na otwarte wody. Kapitan Cho zapewniał, że nie ma powodu do obaw, albowiem nie zdarza się tu gorsza pogoda, lecz generał nie mógł się opędzić od uczucia niepokoju. Byłoby fatalnie, gdyby jego cenny ładunek spoczął na dnie morza. Z oczywistych powodów nie był ubezpieczony i przy warunkach kontraktu loco fabryka w razie jego utraty cały koszt poniósłby nowy właściciel.

Znajdowali się o dwieście mil na wschód od Bohai Haixia, cieśniny dzielącej zatokę Bohai od reszty Morza Żółtego, w której żegluga jest szczególnie utrudniona. Ta wąska morska brama do ważnych chińskich portów handlowych i wojennych jest strzeżona jak mało który akwen na świecie. Są tam trzy rejony zamknięte dla obcych statków, między którymi pozostają tylko wyznaczone przejścia. Żaden, nawet najbardziej brawurowy dowódca nie próbowałby płynąć tamtędy w zanurzeniu – głębokości sięgają tam zaledwie dwudziestu kilku metrów. Mapa wygląda jak tor przeszkód: tu nie wolno kotwiczyć, ówdzie poławiać ryb, tam leżą na dnie rurociągi naftowe, spory akwen zastrzeżony jest dla jednostek marynarki wojennej ChRL. Do tego liczne wysepki, skały, mielizny, a wszystko pilnowane przez czujne patrolowce. Chińczycy mają czego strzec przed Zachodem – w północnym zakamarku zatoki Bohai skoncentrowany jest ich przemysł stoczniowy, budujący atomowe okręty podwodne. Nawet mały frachtowiec z zaprzyjaźnionej Korei Północnej będzie przeprowadzony do portu przez eskortę, jak zresztą i Barra-cuda II, która miała tam dopłynąć kilka godzin po nim.

Yongdo dotarł do Bohai Haixia o północy z piątku na sobotę. Ponaddwukrotnie szybszy podwodniak doganiał go w jednostajnym tempie. Ben Badr płynął wciąż w zanurzeniu, ale wiedział, że wkrótce będzie musiał podejść na peryskopową, a potem wyjść na powierzchnię. Z każdą przepłyniętą milą był coraz bardziej zadowolony ze swej załogi. Każdy z nich nauczył się wiele w ciągu minionych dwóch lat, Podczas niezliczonych kursów i treningów w rosyjskiej bazie Araguba, gdzie poznawali tajniki fizyki jądrowej, obsługi reaktora, turbin, układu napędowego, mechaniki, elektroniki, hydrologii, uzbrojenia i systemów naprowadzania, a potem Podczas długiej podróży przez trzy oceany. Nie byli już żół-

todziobami, lecz doświadczonymi podwodniakami: funkcję ZDO pełnił kapitan Ali Akbar Mohtadz, który już dowodził tym okrętem w pierwszej podróży; komandor Abbas Szafii, specjalista nukleonik, pochodzący z rodzinnych stron generała Raszuda, był dowódcą działu reaktora; dobrym specem byli też szef okrętu starszy bosman Ali Zahedi i starszy bosman Ardeszir Tikku, do którego zadań należał nadzór nad trzema głównymi komputerami monitorującymi pracę reaktora. Był wśród nich też pierwszorzędny oficer elektronik z Teheranu, z zaliczonymi trzema kolejkami służby na irańskich spalinowo-elektrycznych podwodniakach klasy Kilo, który także brał udział w pierwszej podróży Barracudy II. Ben Badr uśmiechnął się na myśl o tym, że niedługo będzie znów miał na pokładzie generała Raszuda i jego pogodnego przybocznego Ahmeda Sabaha, który miał świetny wpływ na morale całej załogi, wesoło chwalać każdego za dobrą robotę. Marynarze odbierali to jak opinię samego wojskowego bossa Hamasu; takie pochwały pozwalały im łatwiej znosić stres wywołany spędzaniem długich tygodni pod wodą, bez oglądania nie tylko lądu, ale nawet światła dziennego czy gwiazd. No i oczywiście dołączy też do nich piękna, smukła, szarooka Szakira, żona generała i siostra Sabaha, jedna z najbardziej zaufanych osób w organizacji, bojowniczką, która pomogła majorowi Rayowi Kermanowi ukryć się między Palestyńczykami po strzelaninie w Hebronie, gdzie ratując jej życie, zabił dwóch swoich podkomendnych z SAS. Ocalony w ten sposób przed wymiarem sprawiedliwości własnej armii późniejszy generał Rawi Raszud dawał małżonce wolną rękę w pracy, i zachęcając do rozwijania jej głównego talentu, czyli umiejętności zbierania drobiazgowo dokładnych informacji niezbędnych przy planowaniu akcji, zwłaszcza gdy chodzi o mapy, plany miast i topografię terenu. W opinii Rawiego nie było drugiej osoby, która tak szczegółowo potrafiłaby zaplanować trasę lotu cruise'a jak ona. W końcu ugiął się nawet przed jej żądaniem dopuszczenia do służby na pokładzie Barracudy 1, czyniąc ją tym samym pierwszą na świecie kobietą-podwodniakiem. Jak się okazało, była to mądra decyzja. Ta dziewczyna, teraz dwudziestosiemioletnia, ma ścisły umysł i błyskotliwą inteligencję, a jej praca w dziale naprowadzania

rakiet była bez zarzutu; sprawiła się tak dobrze, że Rawi prawie zapomniał o drobnym szantażu, jakim go zmusiła do zabrania jej na misję: „Albo jedziemy oboje, albo żadne. Nie chcę, abyś zginął beze mnie”. Teraz czekała na nich w Huludao i kontradmirał Badr nie mógł się doczekać tego spotkania, choć może nie tak bardzo jak dobry klient Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, który w milczeniu obserwował akurat wraz z Ahmedem Sabahem bezkres Morza Żółtego z mostku starego Yongdo.

Obie jednostki odbyły swe rejsy bez problemów. Przebyły wąskie gardło Bohai Haixia pod eskortą chińskiej marynarki; Barracuda II zacumowała około dziewiętnastej w sobotę, Yongdo wszedł do portu dwanaście godzin później. Chińscy celnicy, wszyscy w mundurach wojskowych, weszli na pokład, zanim ktokolwiek mógł zejść na ląd. Dokładnie sprawdzili dokumenty statku i zażądali umożliwienia im inspekcji przynajmniej dwóch rakiet w celu porównania z papierami przedstawionymi przez ich właściciela, generała Raszuda. Otworzono dwie skrzynie; w jednej z nich spoczywała rakietka, która miała ponieść do celu głowicę nuklearną, teraz bezpiecznie spoczywającą we „flaszce” zamocowanej na górnym pokładzie statku.

Rawi wiedział, że oglądają właśnie ten pocisk, ponieważ na jego kadłubie widniał angielski napis: „Mark-2 Subma-rine Launched” oraz nazwa własna, wymyślona przez Sza-kirę i na jej prośbę wymalowana złotymi literami na stalo-woszarym korpusie: SCIMITAR SL-2. Uczciła w ten sposób pamięć sławnego damasceńskiego miecza Saladyna, który dzierżył go w dłoni, atakując Ryszarda Lwie Serce u bram Jerozolimy.

–Jak mógłbym zapomnieć? Według Jane na jednym z nich wyszedłem jak cholerny włóczęga z buszu. Włos rozwiany, koszula wyszła ze spodni, w ręku kufel fostera i w takim stanie proszę panią Morgan do tańca.

–Tak, widziałem je. A tu mamy czterech innych facetów, którzy też wyglądają, jakby nie chcieli być fotografowani. Oczywiście mają więcej godności od ciebie, ale zdjęcia są tak samo porządnie zrobione.

Obydwaj się roześmieli, ale Morris bynajmniej nie traktował sprawy lekko.

–Okay, Jimmy. Zrób z nich kopie, powiedzmy, pięćdziesiąt kompletów. Potem wysmaż notatkę i pošlemy je w odpowiednie miejsca, skąd możemy się spodziewać odzewu.

–Dokąd na przykład?

–Możemy zacząć od naszych ambasad w Iranie, Iraku, Syrii, Egipcie, Emiratach, Arabii Saudyjskiej, Jordanii, Libanie i Izraelu. Pentagon też niech roześle kopie do dowódców baz wojskowych i morskich na Bliskim Wschodzie. Zaprzęgniemy też do pracy FBI i CIA. Poprosimy też Angoli: MI5, MI6, Scotland Yard...

–Jezu, to sporo kłopotu, sir.

–Na szczęście mamy dość liczny personel. Sugeruję, by nie puszczać niczego do sieci. Żadnego internetu, e-maili poza wewnętrznymi i zabezpieczonymi. Zdjęcia są w końcu robione przez osobę prywatną i nie ma sugestii pośpiechu. Miesiąc miodowy Arnolda skończył się pięć miesięcy temu i tyle czasu zajęło mu przysłanie ich tobie. Ale skoro życzy sobie sprawdzenia, zrobimy to dla niego. Najlepiej jak umiemy.

–W porządku, sir. Zajmę się tym od razu.

Jimmy Ramshawe wrócił do swego zasypanego papierami biura, mrucząc pod nosem:

–Ładna mi prywatna osoba. Cyka parę fotek, pakuje w kopertę i pół świata skacze na komendę...

Lawirując przez swój twórczy nieład, dotarł do biurka i wrócił do studiowania fotografii w typowy „ramszawski” sposób: „Zrobione na wulkanie, ale go tu nie widać... Jest tylko szczyt urwiska... Wysoko, cholera... Na samym brzegu wyspy, czyli wulkan musi być za fotografem... Ciekawe, jak wygląda?... Zapewne nieczynny... Nie staliby na jego szczycie, gdyby cho-

lernik pluł dookoła lawą... Nawet nie wiedziałem, że na Kanarach mają wulkany..."

Nie było jednak czasu na rozważania. Wezwał kogoś, kto by zrobił potrzebne kopie, i kogoś innego, aby skombinował listę wszystkich amerykańskich ambasad na Bliskim Wschodzie. Zadzwoił do kapitana Scotta Wade'a z wydziału wywiadu wojskowego z pytaniem, jak przekazać zdjęcia do tamtejszych baz. Na koniec ściągnął porucznika Jima Perry'ego i polecił mu puścić całą maszynę w ruch. List przewodni napisał osobiście, przesłał Jimowi e-mailem do wydrukowania i rozesłania z fotografiami, gdy tylko będą gotowe – najpóźniej nazajutrz rano. Załatwiwszy w ten sposób prośbę Morgana, zajął się tym, co według niego było naprawdę ważne.

Z Krajowego Biura Zwiadu przyszło zdjęcie satelitarne rosyjskiej budowy atomowego okrętu podwodnego klasy Barra-cuda płynącego po Morzu Żółtym na północ, prawdopodobnie do chińskiej bazy w Huludao, jako że poza nią nie ma tam niczego ciekawego. Miał też wcześniejsze o trzy dni fotografie takiej samej jednostki wychodzącej w morze z Zhanjiang, głównej bazy i siedziby sztabu Floty Południowej. Satelita sfotografował ją jeszcze raz, gdy była o dwadzieścia pięć mil dalej i właśnie się zanurzała. Parę następnych zdjęć tego fragmentu oceanu nie pokazywało już niczego. Jimmy zastanawiał się wtedy, dokąd też się ten okręt wybiera. Ponieważ istnieje na świecie tylko jedna jedyna zdolna do żeglugi Bar-racuda, nowe zdjęcie odpowiedziało mu na to pytanie. Inne pozostawało jednak wciąż bez odpowiedzi: do kogo on właściwie należy? Rosjanie robili uniki, twierdząc, że sprzedali go Chińczykom. Chińczycy odmawiali wprost ujawniania jakichkolwiek informacji o swojej flocie podwodnej zachodniemu mocarstwu, nawet Stanom Zjednoczonym, których dolary tak bardzo lubią. Trudno, sprawa pozostaje otwarta. Jimmy postanowił, że napisze krótki raport i będzie miał oko wyczulone na zdjęcia z północno-wschodniej Azji, czekając na chwi-1?› kiedy Barracuda znów wyruszy w morze w niewiadomym kierunku.

Tajemnica tego okrętu nie dawała mu spokoju. „Po jakiego grzyba to pudło wlokło się do Huludao? To ich baza jądrowa, gdzie zbudowali te przerośnięte i praktycznie bezużyteczne

boomery klasy Xia. Niech mnie szlag, jeśli wiem. Barracuda jest za mała do rakiet międzykontynentalnych. Może tym razem Ruski naprawdę ją sprzedają? Ale przecież równie dobrze mogli to zrobić w Zhanjiang, nie? Po co było pchać ją tysiąc sześćset mil na północ? Co takiego jest w Huludao, czego Barracuda potrzebuje? Może specjalistycznego serwisu dla reaktora? A może raczej rakiet. Chinole robią tam cruise'y- Bo ja wiem? Ale lepiej ją przypilnować, kiedy będzie wychodziła z portu". Obejrzał fotografie ponownie, po czym odszukał powiększenie urządzeń portowych Huludao. Ruchliwe miejsce, pomyślał; pełno statków, może obsłużyć miliony ton ładunku rocznie.

Śledził chińską bazę przez następne dwa dni i ucieszył się, gdy dostał znowu zdjęcie Barracudy, już w porcie i kierującej się prosto do krytego doku. Porcja z następnego przelotu satelity pokazała niezwykle widok cywilnego stateczku z płaskim pokładem ładunkowym i nadbudówką na dziobie, cumującego przy kejach dla podwodniaków. Pewnie przywiózł części zamienne albo coś w tym rodzaju, wydedukował. Nie mógł wiedzieć, że nielegalny śmiertelny ładunek Yongdo został już wcześniej wyładowany w innym krytym doku, dwie godziny przed pojawieniem się nad horyzontem amerykańskiego satelity.

Przesłał do CIA rutynową prośbę o zidentyfikowanie statku, ale niewiele to dało. Z Langley odpowiedziano, że to leciwa łajba, prawdopodobnie rodem z japońskiej marynarki wojennej, ale przebudowana, jak wiele starych okrętów na Dalekim Wschodzie, na cywilny frachtowiec. Nie byli pewni, kto jest jego armatorem, ale domniemywali, że może wciąż być w rękach japońskich, ewentualnie północnokoreańskich. „Pewnie przywiózł parę bomb atomowych do dalszego transportu dla Arabów", pomyślał z ironią Jimmy. „Nic wielkiego, raptem koniec cholernego świata".

Następny tydzień upłynął bez żadnych wydarzeń. Barracudy od tamtej pory już nie widziano, nikt też nie potrafił określić tożsamości starego stateczku wciąż zacumowanego w porcie wojennym Huludao. A potem nadeszła sensacyjna wiadomość. Ambasador USA w Dubaju, który wcześniej pełnił tę misję w Teheranie, powiedział, że rozpoznał aż dwóch

mężczyzn ze zdjęć admirała Morgana. Jego ekscelencja Mark Volmer, zawodowy dyplomata z Massachusetts, nie miał żadnych wątpliwości: „Podczas mojej kadencji w Iranie zostałem osobiście poproszony o rozpatrzenie wniosku o wizę dla dwóch bardzo ważnych profesorów z wydziału geofizyki na Uniwersytecie Teherańskim. Jednym z nich był Fatahi Mohammed Reza, drugim Hatami Dżamszid, obaj zamieszkali w stolicy”. Ambasador przypomniał sobie, że uczeni wybierali się na roczne studia podyplomowe na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Cruz. Obydwaj specjalizowali się w wulkanologii i spowodowanych przez erupcje osuwiskach ziemnych. Pomyślał nawet o tym, by na zdjęciu podpisać nazwiska pod odpowiednimi postaciami. Patrząc ponownie na fotografię, Jimmy Ramshawe ocenił na podstawie języka ciała, że profesor Hatami jest wyższy rangą od kolegi, natomiast poważna, zafrasowana mina Fatahiego świadczyła, że też jest ekspertem w swojej dziedzinie. Ambasador zatelefonował nawet na teherańską uczelnię i dowiedział się, że obaj naukowcy są starszymi wykładowcami i członkami rady wydziału geofizyki, i już wrócili do pracy. I Hatami, i Fatahi wiele podróżują, obserwując i badając działanie podziemnych sił, jakie od czasu do czasu zmieniają oblicze naszej planety.

–Hej, ten Volmer powinien pracować u nas, zamiast uganiać się po pustyni ze zgrają nomadów! – wykrzyknął Jimmy z nieskrywanym podziwem dla dokładności informacji ambasadora.

Był uszczęśliwiony i zarazem zdziwiony, że sprawa tak szybko znalazła wyjaśnienie, i z niejaką dumą napisał meldunek do Wielkiego Człowieka. E-mail zakończył efekciarskim: „... dwójka wulkanologów zajęta swoją robotą. I tak się kończy tajemnicza historia dwóch Arabów na kanaryjskiej górze”.

Pocztę odebrała – jak zawsze – Kathy. Jej mąż wiecznie się odgrażał, że ciśnie drogi laptop w odmęty Potomacu, „bo Jest tak cholernie powolny!” Arnold przeczytał raport Jim-^'ego Ramshawe'a z zainteresowaniem, po czym posłał mu Podziękowanie i prośbę o uważne śledzenie wszelkich informacji, jakie mogą nadejść o pozostałych dwóch postaciach z doskonałych ujęć Harry'ego.

–Cały Arnold Morgan – skomentował później Jimmy swemu szefowi, – Dostaje wiadomość, na którą szansę miał jak jeden do ćwierć miliarda, i żąda więcej. Myślałem, że dwóch rozpoznanych profesorów to już dostatecznie dużo i sprawa zamknięta. Ot, grupka jajogłowych przyglądająca się obiektowi swoich badań.

–Znasz go prawie tak dobrze jak ja, Jimmy – odparł George Morris. – To nie jego wina. Taki ma mózg. Cholerna szara masa nie umie odpuścić, dopóki choć jedno pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Poznał dwóch z czterech? No, to chce wiedzieć, kim są pozostali dwaj. Nic na to nie poradzi.

–Jak go znam, to dopisze mu szczęście – rzekł Jimmy. Były to prorocze słowa. Cztery dni później na jego biurku

wylądował zaszyfrowany sygnał z CIA, przekazujący informację z Londynu: „MI5 przekazała waszą prośbę do sił specjalnych armii brytyjskiej. Pułkownik Russell Makin, dowódca 22. pułku SAS, twierdzi, że człowiek, który na zdjęciu jest pierwszy z prawej i odwrócony tyłem do kamery, to zaginiony major Ray Kerman. Potwierdza to czterech innych oficerów SAS. Państwo Kermanowie jadą jutro do Stirling Lines. Proszę o jak najszybsze przekazanie daty, godziny i miejsca wykonania fotografii”.

Jimmy Ramshawe omal nie wyskoczył ze skóry. Ruszył prawie biegiem przez korytarz, zastukał do drzwi admirała Morrisa i nie czekając na zaproszenie, wpadł do środka jak burza. Gabinet był pusty, więc wypadł z powrotem i odszukał sekretarza dyrektora.

–Kręci się tu gdzieś, sir. Mam przekazać, żeby do pana zadzwonił?

–Nie, przekaż, żeby przyszedł prosto do mojego biura. Mam coś, od czego jądra mu się skurczą do rozmiarów króliczych. – Komandor porucznik James Ramshawe ledwo panował nad sobą, a cóż dopiero mówić o języku.

Dziesięć minut później George Morris jakoś przebrnął przez labirynt papierów do krzesła, usiadł i przeczytał notatkę od CIA. Pokiwał mądrze głową i rzekł:

–No cóż, Jimmy. Mamy więc dowód na to, co już wcześniej wiedzieliśmy. Po pierwsze, pięć miesięcy temu major Kerman definitywnie żył, po drugie, ktokolwiek ignoruje głos instynk-

tu admirała Arnolda Morgana, robi to na własną szkodę, powiedziałeś mu już o tej rewelacji?

–Nie, sir.

–To nie mów. Zadzwońę do niego i wproszę nas z odwiedzinami na dziś wieczór. Przy odrobinie szczęścia może Kathy poprosi, żebyśmy zostali na kolacji.

–Zgadzam się całym sercem, sir. Myślę, że w tej chwili pogawędka z admirałem to najlepszy pomysł. On może wpaść na coś jeszcze lepszego.

–Tymczasem dowiedz się wszystkiego, co możliwe, o tych dwóch profesorach. Jeżeli współpracują z majorem Kerma-nem, to muszą to być jakieś ciemne sprawy. I to na dużą skalę. Arnie zada nam całą masę pytań.

–Aye, aye, sir!

Przez następne cztery godziny Jimmy szperał w inter-necie, zaczynając od Uniwersytetu Kalifornijskiego. Znalazł sporo informacji na temat tamtejszego wydziału geofizyki i – ku swemu zdziwieniu – całą katedrę zajmującą się wyłącznie zjawiskiem, o którym przed paroma tygodniami rozmawiał ze swym przyszłym teściem: tsunami. Były tam komputerowe modele kilku słynnych na świecie przypadków tych fal wywołanych przez wybuchy wulkanów oraz drobiazgowo studia możliwych takich zdarzeń w przyszłości. Kilka z nich wskazywało na gorące punkty na północnym Pacyfiku, zwłaszcza w okolicach Hawajów. Co ciekawe, sporo miejsca poświęcono miejscu potencjalnie największej katastrofy w całej historii świata: wyspie Palma w archipelagu kanaryjskim.

Jeden z cieszących się największą renomą amerykańskich profesorów opublikował pracę, w której stwierdził wprost, że – z powodu pierwotnego kształtu i rozmiaru niestabilnego zbocza wulkanu Cumbre Vieja – fale tsunami, jakie powstałyby w wyniku jego erupcji, najprawdopodobniej zachowałyby poważną część energii, przemieszczając się od Wysp Kanaryjskich ku USA, Europie i północnej Brazylii. Początkowa długość fali wynosiłaby około kilometra, a po dotarciu na płytkie wody jej wysokość sięgnęłaby pięćdziesięciu metrów. Dowodzą tego napotykanne u wybrzeży Bahamów ogromne głązy i inne osady naniesione tam przez tsunami pochodzące z epicentrum na Wyspach Kanaryjskich, które powstało kilka

tysięcy lat temu. Niepodważalny wniosek autora tego komputerowego modelu, doskonalonego przez lata badań, brzmiał tak samo jak ten, który admirał Morgan wyłożył Kathy: w sześć do dziewięciu godzin po osunięciu się Cumbre Vieja do Atlantyku zniszczone zostanie całe Wschodnie Wybrzeże USA. Na stronie internetowej można było zobaczyć dobrze dopracowane kolorowe wykresy zmian wysokości fali. Jimmy wpatrywał się w nie z wybaluszonymi oczami.

–Pięćdziesiąt metrów! – wydyszał. – Boże, toż od Bostonu po Miami nie zostanie ani jedno nadbrzeżne miasto! Nic dziwnego, że ci pieprzeni turbaniarze się tam kręcili. Nie wiem tylko, czego tam szukał nasz Ray Kerman... chyba że chce zetrzeć za jednym zamachem pół Stanów Zjednoczonych z mapy...

Ugryzł się w język. „Nie, on tego nie może zrobić... Co innego łupnąć rakietą w rafinerię czy elektrownię, które dalej już same wyleciały w powietrze... Ale to zupełnie inna sprawa... Tu idzie o potężną moc z wnętrza Ziemi. Ludzkość jeszcze nie widziała takiej siły. Na miarę samego Boga... a nie bandy stukniętych terrorystów... chyba...”

Poza tą skarbnicą wiedzy z Kalifornii Jimmy nie znalazł wiele materiału na temat dwóch irańskich profesorów, a już zupełnie nic o majorze Kermanie, którego nikt nie widział na Zachodzie od chwili jego dezercji przed pięciu laty. Było parę niechętnych oświadczeń ze strony ministerstwa obrony w Londynie, ale nie rzucały one żadnego światła na jego aktualne miejsce pobytu ani tym bardziej na jego plany.

Kathy Morgan zareagowała dokładnie po myśli admirała Morrisa i zaprosiła ich obu na kolację do Chevy Chase. Cieszyli się na tę perspektywę, od kilku miesięcy żaden z nich nie miał bowiem okazji spotkać się z ich idolem. Punktualnie o dwudziestej zjawili się w stylowej willi Morganów, którą Kathy zatrzymała po rozwodzie z pierwszym mężem. Drzwi otworzył im Arnold, witając ciepło i oznajmiając, że kolację przyrządza osobiście na grillu w ogrodzie. Kiedy już podał drinki (wszyscy trzej zdecydowali się na solidną szkocką z wodą) i wyszli na werandę, Morris „zdetonował” obiecaną bombową wiadomość.

–Arnie, przygotuj się na szok. Jednym z gości na twoich

zdjęciach, tym, którego Harry'emu nie udało się złapać od przodu, jest niejaki Raymond Kerman, były major SAS. I co ty na to?

–Chyba żartujecie? Ten sukinsyn stał o kilka kroków ode mnie na szczycie pieprzonego urwiska nad oceanem? Do diabła! Gdybym wiedział, udusiłbym go własnymi rękami!

–Gdyby on wiedział, kim pan jest, zrobiłby to pierwszy -odrzekł Jimmy ze śmiechem, ani wiedząc, jak bliski jest prawdy, po czym opowiedział admirałowi, jak otrzymali potwierdzenie tożsamości tego najbardziej poszukiwanego terrorysty świata.

–To rzeczywiście była bomba, George – rzekł Morgan. – Ważniejsze jest jednak co innego: co on robił z Irańczykami na kanaryjskim wulkanie?

–No cóż, oto jest pytanie. – Morris wzruszył ramionami. – I to za pięćdziesiąt punktów. Nie ma żadnych dowodów, że ci profesorowie są na przykład islamskimi fundamenta-listami. To akademicy, którzy poświęcili życie wulkanom.

–Jeśli wolno mi się wtrącić, to i ja mam dobre pytanie -powiedział Ramshawe. – Dlaczego akurat Palma? Na świecie jest tyle wulkanów, a najniebezpieczniejszy terrorysta wybiera sobie na miejsce pogawędki ze specjalistami akurat zbocze najniebezpieczniejszego z nich?

–Skąd wiesz, że ten wulkan jest najniebezpieczniejszy? – Arnold uśmiechnął się lekko.

–Och, około siedemnastej zostałem ekspertem w tej dziedzinie. Sprawdziłem starego Cumbre Vieja w internecie... Dużo o nim mówią na stronie Uniwersytetu Kalifornijskiego. To ta uczelnia, gdzie ci dwaj z Teheranu robili studia podyplomowe.

–Cholerny internet... – mruknął Morgan. – Ja musiałem Przejechać pół świata i słono za to zapłacić, żeby się dowiedzieć o Palmie tego samego, co ty wyłuskałeś w pięć minut kosztem pięciu dolców...

–Pięciu centów, jeśli nie liczyć ceny papieru i tuszu do drukarki – poprawił go Jimmy.

Na tę chwilę weszła Kathy, niosąc na tacy cztery półki-'ogramowe befsztyki z polędwicy po nowojorsku, skruszałe, Przyprawione i gotowe do pieczenia.

–Cześć, George – skinęła głową Morrisowi. – Mogą być, Jimmy? – spytała, wskazując mięso.

–Dobry wieczór, pani Morgan. Są w sam raz.

Pani Morgan wyglądała jak zwykle zniewalająco. Długie do ramion rude włosy miała

swobodnie rozpuszczone, za cały makijaż służyła dyskretna szminka i niewiele ponadto. Do białych obcisłych spodni toreadora włożyła rubinową jedwabną bluzkę. Na łańcuszku na szyi wisiały dwa złote delfiny, stylizowane na starogrecką modłę – nieoficjalny emblemat służby podwodniackiej w US Navy.

Arnold wziął długi grillowy widelec i jeden po drugim ułożył befsztyki na ruszcie. Znad żaru rozległo się głośnie, apetyczne skwierczenie – drugi hymn narodowy jego rodzinnego Teksasu.

–Chodźcie, chodźcie, malutkie – mrucał gospodarz, precyzyjnie ustawiając solidne porcje w szyku czołowym, burta w burtę. Nie zamknął wieka, ale podkręcił palnik gazowy na wysoki płomień. – Tak się to robi, chłopcze – zwrócił się do Jimmy'ego. – Nauczyłem się od ojca. Duży ogień, czujne oko i szybka reakcja... oto, czego potrzebujesz przy steku z grilla.

–I w życiu – odrzekł Jimmy z uśmiechem. – Wystarczy się zagapić, a poparzysz sobie palce.

–Mam nadzieję, że nie o cholerny wulkan – burknął Morgan. – Zastanawiam się, co te sukinsyny knują.

–Może nic – powiedział Morris. – Może Kerman się tym po prostu interesuje i pojechał w teren z dwoma wulkanolo-gami. Może zwiedzają tak i inne miejsca.

–Akurat! – Komentarz Morgana był łatwy do przewidzenia. – Tacy faceci nie mają niewinnych hobby. To fanatycy, którzy ani na chwilę nie przestają snuć swych niecnych planów. Nie ufam zwłaszcza Kermanowi. Jeżeli zrobił choć połowę z tego, o co go posądzamy, to plasuje się gdzieś w połowie drogi między pułkownikiem Kadafim a Dżyngis-chanem.

–Czytałem dzisiaj o problemie z Cumbre Vieja – wtrącił Ramshawe. – Nie da się dziś spowodować takiej eksplozji, żeby strącić do morza całe kilometry sześciennych skały.

–Tyle to i ja wiem, Jimmy – odparł admirał. – Ale to nie erupcja wulkanu będzie czynnikiem sprawczym zapowiadanej katastrofy. Chodzi o coś innego: gwałtownie wypływająca

lawą po drodze podgrzeje podziemne jeziora do wrzenia. Będzie to jak eksplozja gigantycznego kotła parowego.

–Widziałem kiedyś stare zdjęcie po wybuchu kotła lokomotywy. – Jimmy pokiwał głową. – Rozwaliło pół stacji, a wcale nie była mała. Ale przecież do wywołania takiej reakcji trzeba by niewiarygodnej siły, prawda? Jeden z uczonych powiedział, że wymagałoby to ingerencji Boga, a Wszechmocny nie zsyłał nic tak poważnego od stuleci.

–Mam nadzieję, że ma rację – rzucił Arnold, zręcznie odwracając befsztyki na drugą stronę. – Nie podobali mi się tylko ci turbaniarze na tej pieprzonej górze, ot i wszystko. Obawiam się, że knują coś niedobrego, jak zwykle.

Popijali w milczeniu whisky, ale atmosfera zrobiła się trochę napięta. George Morris wiedział, że Wielki Człowiek martwi się możliwym spiskiem terrorysty o randze Kermana ze światowej rangi znawcami wulkanów. Arnold w myśli atakował już problem, zastanawiając się, co z tym robić i jakie groźby może przynieść przyszłość. Nie pracował już w Białym Domu i był formalnie cywilem, zwykłym obywatelem. Troski wysokiego urzędu powinny zostać poza nim; teraz był czas na planowanie z żoną wakacji, podróży po świecie, wizyt u przyjaciół. Morganowie to robili, owszem, ale admirał zawsze traktował problemy Stanów Zjednoczonych jak własne. Był to stary nawyk, którego trudno się pozbyć.

Kathy także sposepniała. Nie znosiła, kiedy jej mąż zachowywał się, jakby wciąż był doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego; wiedziała jednak, że po prostu nie ma na to żadnej rady i należy tylko mieć nadzieję, że zły nastrój minie. Spróbowała odwrócić jego uwagę, rzucając z udawaną troską w głosie pytanie, czy aby na pewno wino, które zamierza podać, ma odpowiednią temperaturę.

Było to hasło, które niemal zawsze odnosiło pożądany skutek. Admirał pospiesznie ruszył do domu, by spróbować wybranego na ten wieczór pomerola z Chateau de Valois, rocznik 1998. Wkrótce zapomniał o majorze Kermanie, zajęty wykładaniem gościom zalet świetnego czerwonego bordeaux, którego za chwilę posmakują.

–Z dziewięćdziesiątego ósmego liczy się tylko prawy brzeg, co, Jimmy?

–Nie wiem, o jaki brzeg pan pyta.

–To był wyśmienity rok dla bordeaux, ale tylko po jednej stronie Żyrondy.

–Gdzie to jest?

–Żyronda to wspólne lejkowate ujście Garonny i Dor-dogne do Zatoki Biskajskiej. Na jej lewym brzegu znajdziesz większość wielkich francuskich chateaux. Na prawym są dwa najważniejsze: Pomerol i St Emilion. Tamten rok był bardzo deszczowy, tuż przed winobraniami. Rzeki wezbrały, z Pirenejów spłynęła masa wody i zalała lewy brzeg, w tym Medoc. Pomerol i St. Emilion wyszły z tego sucho i miały wspaniałe zbiory. Otworzyłem na dzisiaj dwie butelki. Po telefonie George'a chciałem zaprosić też twojego ojca, Jimmy, ale zdaje się, że rodzina wyjechała z miasta?

–Tak, są u moich staruszków w Nowym Jorku. Szkoda, że Johna tu nie ma. Na pewno chciałby spróbować tego wina. – Ramshawe urwał, czując, że pod fasadą towarzyskiej konwersacji w umyśle admirała wciąż pracują te same trybiki. – Sir, nie wiem, kiedy pan ostatnio czytał o tych sprawach, ale ja dziś po południu dobrze przewertowałem kilka rzeczy. Wiem, że naukowcy snują czarne prognozy co do Palmy, ale większość z nich jest zdania, że dużego bum można się spodziewać nie wcześniej niż za jakieś sto tysięcy lat...

–Może i tak – odparł Morgan. – Ale ja tam byłbym spokojniejszy, gdyby ten Kerman już nie żył.

Poniedziałek, 5 lipca 2009 r., godzina 5.00. Huludao, baza okrętów podwodnych

Po miesiącu spędzonym w wielkim suchym doku w chińskiej bazie morskiej cały komplet północnokoreańskich rakiet był w pełni gotowy. Miejscowi elektronicy sprawdzili wszystkie systemy w każdym pocisku i dwa z nich wyposażyli w głowice jądrowe. Szczególną uwagę poświęcili „mózgom”, komputerom naprowadzania i nawigacji umieszczonym w samym ich czubku. Rawi chciał mieć pewność, że wystrzelona rakietka poleci dokładnie trasą wyznaczoną i zaprogramowaną przez komandora podporucznika Szakirę Raszud. Całą osiemnastkę

załadowano do magazynu Barracudy II i Chińczycy mogli wystawić oburzająco lichwiarski rachunek dla marynarki wojennej Iranu jako jej agentowi, choć nie właścicielowi – na całe osiem milionów dolarów – za swe usługi. Oczywiście ich technologia i wiedza były w tej części świata bezcenne, trudno więc oczekiwać, żeby mieli skrupuły i wyrzekli się łatwego zarobku. Najważniejsze, że Scimitar SL-2 był przygotowany do boju.

Poprzedniego wieczoru mechanicy zaczęli wyciągać pręty spowalniające i o trzeciej nad

ranem starszy mechanik, komandor Abdulrahim, zameldował, że turbiny są gotowe. Doświadczony irański podwodniak był na służbie całą noc, nadzorując wysuwanie grup smukłych walców z hafnu z uranowego serca reaktora. Z każdą minutą neutrony mogły swobodniej się przemieszczać, powodując coraz więcej reakcji rozszczepienia, systematyczny wzrost temperatury układu i osiągnięcie samopodtrzymującej się reakcji łańcuchowej - podstawy energetyki nuklearnej. Abdulrahim w pełni kontrolował reaktor, regulując temperaturę i doprowadzając układ chłodzenia do normalnego ciśnienia eksploatacyjnego stu siedemdziesięciu pięciu kilogramów na centymetr kwadratowy – niewyobrażalnego w porównaniu z ciśnieniem atmosferycznym, do jakiego ewolucyjnie przywykliśmy: jeden kilogram na centymetr kwadratowy. Woda musiała osiągnąć właściwą temperaturę, aby zapewnić okrętowym turbinom o mocy czterdziestu siedmiu tysięcy koni mechanicznych odpowiednią energię, by mogły pchnąć do przodu osiem tysięcy ton masy okrętu. Wraz z komandorem w przedziale reaktora pracowało jeszcze czterech ludzi.

Dwie godziny przed świtem okręt podwodny Hamasu został odholowany z krytego doku przez dwa chińskie holowniki. Teraz byli już za falochronem i płynęli pod własnym na-Pędem, stopniowo zwiększając prędkość do ośmiu węzłów. Okręt prowadził ZDO, w siłowni starszy bosman Tikku ccuj-nie obserwował pracę swoich operatorów trzech komputerowych paneli sterowania: układu napędowego, reaktora i agregatów prądotwórczych. Szef okrętu, Ali Zahedi, stał u boku ZDO w centrali manewrowej. Miejsce nawigatora zajmował Porucznik Asztari Mohammed, urodzony w Anglii Irakijczyk,

którego rodzice uciekli tam w latach dziewięćdziesiątych przed prześladowaniami reżimu Saddama Husajna. Asztari był z serca rewolucjonistą i sam z kolei wyjechał z Europy, aby wstąpić w szeregi Hamasu. Wybrany do załogi, skończył kurs w szkole oficerskiej w Bandar Abbas. Umiejętności nawigacyjne doskonalił w chińskiej szkole marynarki w Qing-dao. Brał udział w misji Barracudy I i dobrą postawą zapracował sobie na powołanie na drugi okręt generała Raszuda.

Na pomoście stali kontradmirał Badr oraz Rawi i Szakira Raszudowie, obserwując, jak Barracuda II sunie pogłębionym kanałem przez niepokojąco płytki akwen na podejściach do Huludao. Na wschodzie różowiło się niebo, morze było ole-ście gładkie i szare. Holowniki płynęły z nimi jeszcze przez parę kabli, po czym zawróciły do portu. Zostali sami. Przed sobą mieli niebezpieczne zadanie, ale ci ludzie już stawiali razem czoło zagrożeniom i czuli się pewnie. Tylko Szakira, ściskająca ramię męża, mimowolnie zadrżała, patrząc, jak okręt z wolna kieruje się na wschód, płynąc teraz z prędkością dwunastu węzłów. Znajdowali się jeszcze na ściśle strzeżonych wodach zatoki Liaodong, niedostępnych dla obcych jednostek i patrolowanych przez chińskie kutry i ścigacze.

Tuż przed siódmą trzydzieści Ben Badr zszedł pod pokład i zarządził zwrot na południe, ku cieśninie Bohai. Dopiero za nią będzie mógł pomyśleć o zejściu na peryskopową. Na razie pozostawało płynąć na powierzchni, pod okiem ich protektorów z chińskiej marynarki wojennej. Jednak nie tylko oni patrzyli na Barracuda II. O siódmej czterdzieści pięć, krótko po zwrocie, „Wielki Ptak” zrobił jej kilka zdjęć i zarejestrował kurs oraz prędkość. W Waszyngtonie dochodziła osiemnasta... poprzedniego dnia. Fotografie z Krajowego Biura Zwiadu znajdą się na biurku komandora Ramshawe'a o ósmej rano – po czternastu godzinach. Do tego czasu okręt będzie już na bardziej otwartych i głębszych wodach wschodniej części Morza Żółtego, gdzie będzie mógł się zanurzyć, płynąc dalej tuż pod powierzchnią, może niezupełnie niewidzialny, ale prawie. Na razie jednak Rawi i Szakira stali dalej na pomoście kiosku. Robiło się cieplej; Ahmed przyniósł im kawę, a reszta załogi była zajęta rutynowymi czynnościami kontrolnymi. Dowódca śleczął w nawigacyjnej z porucznikiem

[V]lohammedem nad mapami, ustalając trasę przejścia między licznymi wysepkami, jakimi usiane są południowe brzegi Japonii, na otwarty ocean.

Poniedziałek, 5 lipca 2009 r., godzina 8.00. Fort Meade

Jimmy Ramshawe patrzył na zdjęcia Barracudy II, sunącej przez Morze Żółte na południe.

–I dokąd cię, psiakrew, niesie? – nie mógł się powstrzymać od głośnego zapytania.

Sprawdził współrzędne podane przez KBZ: 40°42'N, 121°20'E. Biuro usłużnie zidentyfikowało też obiekt na fotografii jako jedyny istniejący okręt rosyjskiej klasy Barracuda wychodzący z chińskiej bazy marynarki.

–To nie do wiary – mruknął. – Wciąż nie wiemy, czyj on jest. Ruski nie chcą się przyznać, że sprzedali go Chinolom, z tej racji, że to nie nasz interes. Chinole w ogóle się nie odzywają, pewnie z tego samego powodu.

Otworzył na ekranie monitora mapę Morza Żółtego i południowej Japonii. „To cholerne pudło wkrótce pójdzie w zanurzenie, pewnie zaraz po przejściu Bohai Haixia, i nie zobaczymy go Bóg wie jak długo”, pomyślał. „Może skrócić prosto w Cieśninę Koreańską i na Morze Japońskie. Równie dobrze może popłynąć dalej na wschód i wyjść pod Japonią na Pacyfik, a tam już hulaj dusza, na północ, na wschód, na południe... Albo wrócić do Zhanjiang, skąd przybył. No, to by zaczęło wyglądać na to, że jednak należy do Chińczyków. Krótka mówiąc, może zrobić wszystko, a my się dowiemy tego dopiero wtedy, gdy znów się gdzieś wynurzy. Na przykład za Pół roku. Cholera...”

Jimmy Ramshawe nie znosił ślepych zaułków. Nie lubił też Morza Żółtego i wszystkiego, co się z nim kojarzy. A tu Barracuda płynie sobie wesoło akurat na tych najmniej dostępnych dla Zachodu wodach w pełnym słońcu, najwyraźniej z chińskim błogosławieństwem i pomocą, a może i załogą. Zamówił powiększenia wszystkich zdjęć; po godzinie mógł już Przyjrzeć się trzem sylwetkom stojącym na pomoście okrętu.

Wszystkie miały jednak na głowach czapki, a że fotografie wykonane były prawie pionowo z góry, nie było mowy nie tylko o identyfikacji osób, ale nawet o określeniu ich narodowości czy stopni wojskowych.

–Nic, cholera, nie możemy zrobić – burknął. – Lepiej pokażę to szefowi, ale poza tym mogę tylko go obserwować, dopóki się nie zanurzy. Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że jeśli Chińczycy naprawdę tę Barracudę kupili, to nie dla siebie, ale dla kogoś innego. Bliski Wschód, Pakistan, Korea Północna? Bóg jeden wie...

Wstał i wyszedł na korytarz ósmego piętra budynku OPS-2B, ruszając w stronę położonego w głębi gabinetu dyrektora.

–Mam tylko nadzieję, że przypadkiem nie zrobiliśmy znowu zdjęcia majora Raya Kermana, zażywającego świeżego powietrza na kiosku Barracudy. Bo jeśli tak, to szykują się cholerne problemy, a nowy prezydent będzie nas jeszcze mniej lubił.

Środa, 7 lipca 2009 r., godzina 14.00. 3250N, 12528E. Morze Żółte. Kurs 112°, prędkość 12 w.

Znajdowali się na trawersie wyspy Dzedzu-do. Barracuda II wpływała na głębszy akwen, gdzie Morze Żółte spotyka się z Wschodniochińskim. Nadszedł czas na zanurzenie. Droga wiodła prosto na południowy wschód, ku wysepkom należącym do ciągnącego się od Japonii ku Tajwanowi archipelagu Riukiu. Nawigacja w tym rejonie jest nieco utrudniona, ale są tam głębokowodne trasy, które pozwolą im pozostać w zanurzeniu, poza zasięgiem obiektów amerykańskich satelitów. Za to gdy miną wyspy, przed nimi będą już tylko kil-kukilometrowe głębie otwartego Pacyfiku, gdzie staną się praktycznie niewidzialni dla wszystkich.

Wybór tej trasy zabrał im całe godziny w tygodniu poprzedzającym wyjście w morze. Generał Raszud chciał skręcić na północny wschód i przez ciasną Cieśninę Koreańską popłynąć na Morze Japońskie, potem na Ochockie, aby wreszcie przemknąć się przez Wyspy Kurylskie na ocean. Byłaby to żeglu-

ga przez osłonięte wody między kontynentalną Azją i archipelagiem japońskim. Ben Badr sprzeciwił się jednak stanowczo, przynajmniej z dziesięciu powodów. Co gorsza, po jego stronie stała i Szakira. Badr przez ostatnie lata wyrósł na bardzo kompetentnego oficera, nieustannie działając w takim samym poczuciu zagrożenia, jakie jest udziałem wszystkich dowódców okrętów podwodnych.

–Przyjrzyj no się temu twojemu Morzu Japońskiemu -powiedział do Rawiego. – Niby duże, długie na tysiąc mil, szerokie na prawie pięćset, w Wyniesieniu Yamato nawet bardzo głębokie. Ale to śmiertelna pułapka. Gdybyśmy tam weszli i natknęli się na amerykańskiego podwodniaka, nie moglibyśmy wykorzystać naszej prędkości, żeby mu uciec. Wykryliby nas i zostalibyśmy jak szczury w klatce, nie mogąc się wydostać na otwarte wody. Musielibyśmy albo zawrócić do Cieśniny Koreańskiej, albo próbować się wyrwać na Ochockie przez Cieśninę La Perouse'a... a to jest dopiero wąskie gardło! Zatopiliby nas, Rawi. Gdybyśmy spróbowali uderzyć pierwsi, przysłaliby więcej okrętów z bazy na Okinawie, a my dalej nie moglibyśmy się przedrzeć. Naprawdę niedobrze byłoby pchać się tamtędy.

–Tak, rozumiem, że Amerykanie mogą nas wykryć, choć szansę na to nie są zbyt wielkie. – Rawi skinął głową. – Gdybyśmy jednak po cichutku się przemknęli do La Pe-rouse'a, na Morzu Ochockim byłoby już luźniej i spokojnie wyśliznęlibyśmy się na Pacyfik między Kurylami.

–To prawda, tylko że ja się boję Morza Ochockiego jeszcze bardziej niż Japońskiego. Rosjanie uważają je za swój prywatny akwen i pełno tam ich okrętów nawodnych i podwodnych. Nie wiem, czy Amerykanie tam się zapuszczają, ale jeśli ktokolwiek wpadnie na nasz trop, będziemy tam jeszcze bardziej zamknięci. Jak w stawie. A jeżeli Amerykanie gdziekolwiek w tym rejonie trzymają pilny dozór, to właśnie u przejść przez Kuryle. Twoja trasa to potencjalne samobójstwo. Lepiej nadłożyć drogi i płynąć bezpiecznie. Czasu raa-ttiy dość. Proponuję pójść na południe od Japonii, żeby jak Najszybciej znaleźć się na otwartym oceanie. Zapomnij o tych białych morzach. Wyrwijmy się jak najszybciej na szerokie Wody i ruszajmy do celu. Mamy bardzo szybki okręt i nie

chciałbym marnować tej przewagi na zamkniętych akwenach.

General pojmował, że w słowach Badra jest wiele racji, ale wciąż był przekonany, że Irańczyk trochę przesadza z ostrożnością. Szakira wypowiedziała się jednak równie stanowczo.

–Czy już i tak nie ponosimy wystarczająco dużego ryzyka? – spytała. – Nie ma sensu podejmować dodatkowego, jeśli nie ma takiej potrzeby. Wolałabym też, żeby nasz dowódca okrętu nie wykonywał swych obowiązków wbrew swej woli i profesjonalnej opinii. Wiem, że to ty dowodzisz całą misją, Rawi, ale chyba nie chcemy obciążać Bena niepotrzebnym napięciem. W końcu jeśli zostaniemy przyłapani, to on będzie musiał nas wydostać z matni.

–Według mnie pójscie przez zamknięte morza byłoby fatalnym błędem – powtórzył Badr. – Zgadza się jednak, że ostatnie słowo należy do ciebie, Rawi. Wypełnię twoje polecenie.

General uśmiechnął się i rzekł:

–A zatem ruszamy, Ben, całą naprzód...

–Którędy?

–Prosto na Pacyfik.

–Tak jest, generale.

I tak Barracuda II przyspieszyła, kierując się na południowy wschód. Wybrana trasa wiodła na południe od większych wysp Yaku-shima i Tanega-shima. Wkrótce minęli oś Kuro Siwo, utrzymując zanurzenie czterdziestu pięciu metrów. Dwukrotnie podeszli na peryskopową, tuż przed południkiem 130°E, sprawdzając pozycję namiarem optycznym na latarnie na wysepkach Gaja-shima i Yakana-shima. Potem już było łatwo. Dno oceanu opadło do ponad trzech tysięcy metrów i w głosie kontradmirała Badra wyraźnie słyhać było ulgę, kiedy wydawał rozkaz:

–Ster lewo dziesięć, kurs zero siedemdziesiąt. Trym dziesięć stopni na dziób, zanurzenie sto osiemdziesiąt metrów. Prędkość dwanaście węzłów...

Trzymali się o sześćdziesiąt mil wzdłuż linii brzegu wysp japońskich, kolejno mijając wystające przylądki Ashizuriza-ki, Shio-no-misaki i Nojimazaki, z których ostatni leży u wejścia na Zatokę Tokijską. Dno było tu pofałdowane, a okoliczne wody, nie płytsze niż półtora kilometra, wspaniale „hałasli-

we" według podwodniackiego określenia. Kapitanowi Mohta-dżowi, który teraz prowadził okręt, bardzo to odpowiadało. Pełno tu było przeplatających się morskich prądów, ławic ryb i

podmorskich grot, od których wszelkie dźwięki odbijały się wielokrotnym echem, wprowadzającym w błąd każdego sonarzystę i utrudniającym ich wykrycie. W pomieszczeniu sonaru Barracudy II też panowało napięcie; operatorzy czujnie nasłuchiwali, czy w pobliżu nie ma kutrów rybackich z głębokowodnymi trałami, odwiecznego zagrożenia dla okrętów podwodnych.

Na wysokości Nojimazaki Badr zarządził kolejną zmianę kursu, tym razem prosto na północ, nie zmieniając prędkości ani zanurzenia. Wciąż zachowywał też sześćdziesięciomilową odległość od brzegu Honsiu, płynąc ku ostatniej z wielkich wysp Japonii, Hokkaido. Stamtąd zaczął wolno odpadać w prawo, ku wschodowi, dalej od przybrzeżnych patroli rosyjskich na wodach Kuryłów. Sam Rawi też chciał z daleka ominąć Kamczatkę, stare królestwo rosyjskiej, potem radzieckiej i znów rosyjskiej Floty Pacyfiku.

Pierwszy ląd, jaki mieli zobaczyć, to wyspa Attu, najdalej na zachód wysunięta z archipelagu Aleutów, ciągnącego się wygiętym na południe tysiąc milowym łukiem aż od Alaski i stanowiącego granicę Morza Beringa. Należąca do USA Attu leży zaledwie o pięćset mil na wschód od największej rosyjskiej bazy morskiej w tym rejonie, Pietropawłowska. Pogoda jest tam zwykle paskudna; dla marynarzy to mroźne, sztormowe piekło przez dwie trzecie roku. To jednak nie martwiło Raszuda i jego ludzi, którzy mieli je przebyć w cieple i wygodzie, głęboko poniżej rozszalałych fal i wichrów.

Przez tysiąc pięćset mil od minięcia Tokio płynęli na dużej głębokości, pozostawiając o sto dwadzieścia mil na lewym trawersie grupkę Wysp Komandorskich, leżących w połowie odległości między Attu i półwyspem Kamczatka. Badr zdecydował przejść po zachodniej stronie podmorskiej góry zwanej Ławicą Impasu, Stalemate Bank, gdzie niemal bezdenne otchłań Pacyfiku nagle zaczyna się jednostajnie spłycać do głębokości zaledwie trzydziestu metrów; żadna to przeszkoda dla statków, ale dla okrętu podwodnego istny mur. Ławicy bardzo niewiele zabrakło, by zostać najbardziej na zachód

PACYFIK • ' Wyspy Kurylskie _____

Trasa Barracudy II z Morza Żółtego na Zatokę Alaska

wysuniętą wyspą Aleutów, którą być może w przeszłości była. powódca wiedział, że ławica wymaga dalekiego obejścia, i wybrał drogę na lewo od niej, uznawszy, że płynąc drugą stroną, znalazłby się za blisko Attu i amerykańskiej stacji nasłuchowej, która przez ponad pół wieku była przednią strażą US Navy i pierwszą linią obrony przed flotą Związku Radzieckiego. Co do tej części trasy wszyscy troje: Ben, Rawi i Sza-kira byli zgodni, że tak jak podczas poprzedniej misji na Barracudzie I, powinni powoli przedostać się na Morze Beringa i posuwać wzdłuż archipelagu, omijając Attu jak najdalej od północy, amerykańskie systemy wykrywania bowiem muszą być tam wyjątkowo czułe. Zdecydowali, że będą się trzymać nie mniej niż pięćset mil od Aleutów, na głębokości stu osiemdziesięciu metrów. Ominą w ten sposób stację nasłuchową na wyspie Atka i następnie na Umnak i Unalasca. Ostatnia stacja nadzorowała cieśninę Unimak między wyspą o tej samej nazwie, leżącą tuż przy wschodnim krańcu wąskiej macki półwyspu Alaska, wysuniętej ku Aleutom, a znacznie mniejszymi wyspami Fox. Cieśnina ta stanowi ważną drogę wodną dla statków handlowych płynących na południe z portów alaskańskich bądź z Zachodniego Wybrzeża do Japonii. Tamtędy też Barracuda II będzie musiała prześliznąć się z powrotem na otwarty Pacyfik.

Oczywiście znacznie łatwiej byłoby w ogóle nie wchodzić na Morze Beringa, tylko zostawiwszy Aleuty po lewej burcie, popłynąć prosto pod brzegi amerykańskie. Nie kto inny jak komandor podporucznik Szakira Raszud przekonała swego czasu Rawiego i Bena, że ta opcja jest nie do przyjęcia. Na podstawie zgromadzonych przez siebie danych uzmysłowiła im, że US Navy po prostu musi utrzymywać tam, tuż na południe od Rowu Aleuckiego przynajmniej jeden, a może i dwa nuklearne okręty podwodne na stałym patrolu jako logiczne uzupełnienie gęstej sieci hydrofonów SOSUS, rozmieszczonych po drugiej stronie, między Rowem a archipelagiem. Przygotowując misję Barracudy I, oświadczyła, że wolałaby porzucić cały zamysł, niż narazić ich niepotrzebnie na amerykańskie tor-Pedy. Na tych strategicznie ważnych wodach, przedpółu Ameryki Północnej, najpierw się strzela do podwodnych intruzów, a dopiero potem sprawdza, z kim się miało do czynienia...

Przepelzli obok Attu z małą prędkością, przy której tytanowy kadłub Barracudy II niemal zupełnie tłumił szum turbin. Kiedy osiągnęli południk 175°E, Badr zaryzykował zwiększenie obrotów. Niedużo, z pięciu do ośmiu węzłów. Akurat w tym momencie zablokował się układ hydrauliczny rufowych sterów głębokości, chwilowo wychylonych w dół.

Dziób okrętu natychmiast zaczął opadać i Barracuda II zaczęła coraz bardziej stromym torem zdążać w stronę dna. W centrali rozbłysły lampki alarmowe, głębokościomierz oszalał, trym na dziób systematycznie rósł, a płetw sterów nie dawało się przestawić. Szef okrętu Zahedi błyskawicznie sobie wyobraził, jak spadają aż na samo dno, i krzyknął pierwszy:

–Cała wstecz! Cała wstecz!!!

Potężne turbiny zwolniły biegu, po czym zaczęły coraz szybciej wirować w przeciwnym kierunku. Śruba mielila wodę, wstrzymując stopniowo ruch okrętu. Po paru tysiącach mil cichej, powolnej żeglugi powstały przy tym hałas wydawał się wszystkim piekielny. Barracuda II zatrzymała się, po czym ruszyła do tyłu, z powrotem ku powierzchni. Trym był jednak wciąż za duży.

–Wyrzucić balast z przednich zbiorników! – Zahedi był spięty, ale nie uległ panice.

Ben Badr wpadł do centrali, kiedy z głośnika płynął meldunek wachtowego mechanika: „Stery rufowe jeszcze zablokowane. Awaria hydrauliki, prawdopodobnie poszła uszczelka. Przełączam teraz na układ awaryjny. Jeszcze pół minuty”.

Rozległ się świst i bulgot, o wiele głośniejszy, niż każdy by sobie życzył. Sprężone powietrze wypierało wodę ze zbiorników balastowych i okręt stopniowo wyrównał trym. W chwilę później zapasowy układ hydrauliczny zaczął pracować i sternik odzyskał kontrolę nad tylnymi płetwami. Dwóch mechaników pracowało już przy wymianie feralnej uszczelki, starając się robić przy tym jak najmniej hałasu; przesadnie mocno ściskali obłożone gumą klucze, wiedząc, że metaliczny odgłos upuszczonego narzędzia rozniesie się w wodzie na wiele mil. Na okręcie podwodnym zawsze obowiązuje naczelna zasada: nie dać się usłyszeć nikomu.

Szczęście im jednak nie dopisało. Stacja nasłuchowa na wschodnim cyplu Attu wychwyciła odgłosy szamotaniny uszko-

dzonej Barracudy II z czterdziestu pięciu mil. Nie była to zwykła przelotna linia, lecz silny, wyraźny sygnał. Młody amerykański operator o mało nie spadł z krzesła z wrażenia, widząc na ekranie mocne krechy szumu turbin na najwyższych obrotach. Chwilę później pojawiły się charakterystyczne wykresy szybko opróżnianych dużych zbiorników balastowych.

–Psiakrew, to cholerny podwodniak! – krzyknął. – Wygląda na to, że tonie albo z czymś się zderzył.

Podwodny hałas trwał w sumie minutę, z różnym natężeniem. Zaalarmowany oficer służbowy zdążył jeszcze zobaczyć końcówkę wydmuchiwania balastu, gdy nagle wszystko ucichło. Płynąca z prędkością pięciu węzłów Barracuda II zniknęła znowu w czarnej, zimnej otchłani Morza Beringa, jakby jej tam nigdy nie było.

–Przelotny kontakt, sir – kończył meldunek operator. – Nie mam pojęcia, kto to był, ale na pewno słyszałem okręt podwodny i to nie nasz. My nic tam nie mamy. Może będziemy mieli szczęście i znów coś wychwycimy.

Nie pojawił się już jednak żaden nowy odgłos. Badr oddalał się powoli od Attu w absolutnej ciszy. Szef stacji puścił jednak informację o wykrytym okręcie do sieci: „161750LIP09 przelotny kontakt na północ od Attu, zachodnie Aleuty, przybliżona pozycja 5351N/17501N. Turbina okrętu nuklearnego, być może rosyjskiej Deltę. Charakter kontaktu – wyrzucanie balastu i wysokie obroty śruby mniej więcej przez minutę. Brak powtórzenia. W sieciach sprzymierzonych brak informacji o okręcie podwodnym w tym rejonie”.

Sygnał został przekazany w normalnym trybie kanałami US Navy i jeszcze tego popołudnia trafił do NSA w Fort Meade. Barracuda II tymczasem systematycznie oddalała się ku brzegom największego ze stanów USA. Przez całą drogę do Unimaku, ponad siedemset mil, nie została wykryta. Teraz czekał ich poważniejszy test:przekradnięcie się przez stosunkowo wąską, dziesięciomilową cieśninę tuż pod okiem amerykańskiej stacji nasłuchowej i radarowej. Metodę mieli już wypróbowaną podczas ubiegłorocznej akcji: schować się tuż za przepływającym na ocean statkiem cywilnym.

Na miejsce dotarli o północy w środę, 21 lipca. Pogoda na powierzchni była zła: sztorm z północnego wschodu, zacinający deszcz, a do tego widoczność mocno ograniczona przez uparcie utrzymującą się mgłę, której nie mogły rozpedzić gwałtowne podmuchy wichury. Nawigator wachtowy ustawił okręt na tej samej bezpiecznej pozycji co przed rokiem: dziesięć mil od błyskawego światła na północnym cyplu wyspy Akutan. Czekają ich teraz długie godziny wypatrywania odpowiedniego frachtowca, za którym mogliby przejść na peryskopowej, kryjąc wysunięty maszt w jego kilwaterze.

Tej nocy ruchu prawie nie było. Trafiły się w końcu dwa średniej wielkości statki, ale zbyt małe dla ich celów, a przy tym płynęły wolno, praktycznie nie burząc śrubą wody. Ben czekał na duży kontenerowiec albo zbiornikowiec, którym zawsze spieszo do portu przeznaczenia. Przez całą noc jednak żadna podobna jednostka się nie pojawiła. Wachty mijają, załoga pełniła służbę, odpoczywała, jadła, reaktor niezmiennie pracował bez zarzutu. O drugiej Rawi i Szakira wrócili do swojej małej kabiny, spędziwszy dwie godziny na bezowocnym wyczekiwaniu. Generał polecił szefowi okrętu obudzić go, gdy tylko zauważą jakiś odpowiedni statek, ale do rana żaden się nie trafił. Barracuda II krążyła wolno wokół pozycji odniesienia kursami nawrotnymi, od czasu do czasu podchodząc na peryskopową w celu szybkiego sprawdzenia pozycji z GPS i sytuacji na powierzchni, po czym wracała w głębinę. Pogoda jeszcze się pogorszyła; mgła się rozeszła, ale deszcz lał jak przedtem i widoczność sięgała najwyżej dwóch mil.

O dziewiątej piętnaście sonarzysta zameldował o pojawieniu się statku, nadpływającego z północnego zachodu. Ali Za-hedi zerknął we wskazanym kierunku przez peryskop i spostrzegł duży zbiornikowiec zmierzający do cieśniny.

–Mamy go! – krzyknął. – Ten się nada, admirale. Namiar trzysta, ale jest blisko... Tylko trzy tysiące metrów... Jesteśmy po jego prawej, aspekt trzydzieści pięć. Peryskop w dół!

–Daj no, niech mu się przyjrzę, Ali. – Ben podsunął się bliżej.

–Peryskop w górę!

–Trzysta trzydzieści pięć... Dwa i pół tysiąca metrów...

Kurs rzeczywisty sto dwadzieścia... – Badr obliczał w pamięci niezbędny manewr, po czym wydał komendę: – Ster prawo dwadzieścia, kurs zero sześćdziesiąt! Bardzo wolno naprzód! Peryskop w dół.

–Zbliża się – zameldował sonarzysta.

–Peryskop w górę!

Przez następne trzy minuty rura peryskopu wędrowała w górę i w dół, gdy dowódca sprawdzał położenie względem sunącego jednostajnie zbiornikowca. Barracuda II przyspieszyła na krótko do dwunastu węzłów, gdy ją minął, i ustawiła się dokładnie tuż za jego rufą, zanim wyrównała prędkość do utrzymywanych przez cel dziewięciu węzłów, niknąc w masie wody wzburzonej wielką śrubą.

–Rosyjska bandera – stwierdził Zahedi, spoglądając przez peryskop.

Radar w stacji nasłuchowej zlokalizowanej na północno-zachodnim krańcu wyspy Unimak wykrył maszt Barracu-dy II akurat w chwili, kiedy przyspieszała, by dogonić swego „przewodnika”. Echo zniknęło jednak po trzech obrotach anteny, pozostawiając zagadkę: peryskop podwodniaka czy tylko jakiś śmieć unoszony przez fale? A jeśli peryskop, to czy należał do tego samego okrętu, który w piątek usłyszała stacja na Attu?

W normalnych okolicznościach dowódca stacji nie meldowałby o takim przelotnym kontakcie. Coś się za tym kryło; echo było wyraźne, choć pojawiło się i zniknęło nagle. No i ten meldunek z Attu... Decyzja była szybka: meldować. „221127LIP09. Prawdopodobny kontakt radarowy wykryty na podejściu do Unimaku. Pięć sekund, trzy kolejne cykle. Korelacja z kontaktem sonarowym z Attu 161750LIP09 możliwa”. Porównanie czasów i pozycji obu wydarzeń odpowiadało przejściu nieznanego okrętu przez Morze Beringa z prędkością pięciu węzłów. Ten sygnał po paru godzinach miał uruchomić dzwonki alarmowe w głowie komandora porucznika Kamshawe'a w odległym Fort Meade.

Jimmy znów wyteżał umysł, starając się odgadnąć aktu-álną pozycję Barracudy. Musiał przyznać, że nie potrafiłby jej Podać z dokładnością choćby do dziesięciu tysięcy mil. Okręt ó teraz być wszędzie. Nie po raz pierwszy zastanawiał się

jednak nad okruchami informacji napływającymi z tamtego północnego szlaku nad Aleutami. I w tej chwili gotów był dać prawie wszystko za wiadomość, co to za tajemnicza jednostka może się tam kręcić, gdzie dokładnie jest i do kogo należy.

Tymczasem kontradmirał Badr ustawił Barracudę II w idealnej odległości za rufą rosyjskiego zbiornikowca. Rzecz sprowadzała się teraz do zwykłej geometrii. Płynęli sto metrów za statkiem, kontrolując kąt widzenia jego światła rufowego. Prawidłowa wartość wynosiła trzynaście stopni. Gdyby kąt się zmniejszył, wypadliby ze wzburzonego kilwateru, chroniącego ich przed amerykańskim radarem i sonarem. Gdyby się zwiększał, oznaczałoby to, że za blisko się zbliżają, co groziłoby kolizją. Za sterem w tej ważnej chwili stanął sam ZDO, kapitan Mohtadz. Rosyjski statek, błogo nieświadomy, że tuż za sobą „holuje” atomowy arsenał, sunął spokojnie naprzód.

Kiedy osiągnęli pozycję 54°15'N, 164°30'W, nie musieli dłużej kryć się w cieniu frachtowca. Barracuda II zwolniła biegu, zanurzając się jednocześnie na dziewięćdziesiąt metrów i kierując na pozycję sześćdziesiąt mil na południowy zachód od wyspy Sanak, gdzie Ben nakazał zwrot na wschód. Aleuty i wszystkie związane z nimi problemy mieli już za sobą i podążali teraz spokojnie wzdłuż pięćdziesiątego czwartego równoleżnika z prędkością ośmiu węzłów, prosto na środek Zatoki Alaskańskiej. W kabinie nawigacyjnej Rawi dzielił dzbanek świeżo zaparzonej kawy z Szakirą i porucznikiem Mohammedem, ślęcząc nad mapami akwenu i starając się wymyślić sposób ominięcia obrony wybrzeży Stanów Zjednoczonych. Na stole, oświetlone małą lampką biurową piętrzyły się arkusze notatek. Były tam szczegółowe dane o warstwach geologicznych, grubości pokrywy skalnej, prawdopodobnych słabych punktach skorupy ziemskiej, opisy aktywności wulkanicznej, a wszystko elegancko przedstawione w kolorach, tabelach i na wykresach. Dokładne mapy ukazywały okolice wielkich gór, pod którymi w ciągu następnych pięciu lat może się pojawić lawa. W tabelach widniały dane o potencjalnych zniszczeniach, zagrożonych obszarach. Osobny plik opisywał położone w głębi lądu amerykańskiego wulkany, inny w dwóch osiemnastostronicowych rozdziałach przedstawiał te ukryte pod morskim dnem.

Rawi osobiście sporządził te dokumenty, wzajemnie porównując wszystkie dostępne dane o wulkanach, które mogły go zainteresować. Był to cenny element, a właściwie podstawa jego planu wyparcia Wielkiego Szatana z Bliskiego Wschodu na zawsze. Każdy szczegół i aspekt został zaczerpnięty z wiedzy i badań największego światowego autorytetu w dziedzinie zagrożeń geofizycznych – profesora Paula Landona. Rawi Raszud mógł tylko żałować, że ich londyńska znajomość trwała tak krótko.

ROZDZIAŁ 4

Piątek, 23 lipca 2009 r., godzina 3.00. 5330N/16148W. Zanurzenie 150 m, kurs 080°, prędkość 5 w.

Barracuda II pełzła kursem 080° ponad stromymi podmorskimi zboczami wschodniego krańca Rowu Aleuckiego, gdzie ta głęboka rozpadlina strzegąca dostępu do archipelagu zaczyna się w końcu spłycać w stronę szelfu kontynentalnego przy wybrzeżach Alaski. Głębokości wciąż jeszcze sięgały tu pięciu kilometrów, ale systematycznie malały. Na tych przyjaznych wodach, głęboko wewnątrz Zatoki Alaski, nieprzyjaciela praktycznie się nie spotyka, w odróżnieniu od zachodniego końca rowu, nieopodal Rosji i Chin, gdzie załogi amerykańskich okrętów podwodnych na dozorze muszą zachowywać nieustanną czujność.

Rawi i Ben uważali ten wypad na wewnętrzne wody USA za mało ryzykowny. US Navy nie tam się spodziewa kłopotów, przede wszystkim dlatego, że nie tak łatwo się tam dostać. Trzeba albo pokonać strzeżony akwen na południe od Aleutów (jeśli ktoś ma skłonności samobójcze), albo wśliznąć się z Morza Beringa przez cieśninę Unimak (dobrze kontrolowaną przez służby nasłuchowe), bądź też nadpłynąć od południowego zachodu, z otwartego oceanu – tam z kolei dno jest naszpikowane hydrofonami SOSUS. Tu, na wschodnim krańcu rowu, podwodniacy z Hamasu czuli się bezpieczni, a przy tak niskiej prędkości usłyszeliby każdy amerykański okręt na długo przedtem, zanim sami mogliby zostać wykryci.

Z początku logiczne się wydawało, żeby popłynąć prosto przez środek Zatoki Alaski, głębokiej przynajmniej na cztery kilometry. Badr za bardzo się jednak bał amerykańskiego

nasłuchu i w odpowiedzi na każdą sugestię Raszuda, preferującego krótszą i wygodniejszą trasę, odpowiadał:

–Daj spokój, Rawi. Usłyszą nas. – A potem dodawał: -Musimy trzymać się brzegu, hałaśliwych wód, gdzie pełno ryb, morze ciągle wzburzone, przy wyspach huczy przybój, głębokości stale się zmieniają, no i kręci ten północny prąd. Tam będziemy bezpieczni, wśród przybrzeżnych frachtowców i rybaków, robiących kupę szumu, podczas gdy my po cichutku sobie podrepczemy na pięćdziesięciu metrach.

Rawi wpatrywał się w mapę zatoki.

–Chcesz powiedzieć, żeby pójść w tę dziurę, Cieśninę Szelichowa? Między Kodiakiem a stałym lądem?

–To by mi pasowało. Chyba zauważyłeś, że mamy tam sto sążni wody przez całą okolestumilową drogę? Niemniej cieśnina kończy się niemal na wysokości Zatoki Cooka, prowadzącej do Anchorage. Obawiam się, że to nie dla nas. Szakira twierdzi, że tam aż gęsto od radarów, ruch większy niż na głównej ulicy Teheranu, a wody raptem kilkadziesiąt metrów.

–Tak, to nie dla nas – zgodził się Rawi. – To co robimy? Płyniemy na zewnątrz Kodiaku?

–I to niezbyt blisko. Musimy się trzymać poza izobatą dwustumetrową. O, tutaj. Wejdziemy w Prąd Alaska i położymy się na zero siedemdziesiąt.

Rawi spojrzał na mapę.

–Czyli około sześćdziesięciu mil od brzegu przez całą drogę. Głębokości powyżej trzech tysięcy metrów aż po Cieśninę Księcia Williama. Co Szakira wie na temat tamtejszego nasłuchu?

–Według niej sporo tam radarów brzegowych, co nam nie przeszkodzi, ponieważ będziemy płynąć głęboko. Na zatoce za cieśniną można się spodziewać częstych patroli, czego też nie musimy się obawiać. Nie widać natomiast żadnych oznak wzmożonej aktywności okrętów podwodnych. Popłyniemy sobie spokojnie i nie wadzając nikomu. Nie ma patroli, za to jest dużo hałasu. Nic nam nie grozi.

Barracuda II ruszyła więc na północny wschód, powoli 1 w dużym zanurzeniu. Dotarcie do dawnej rosyjskiej kolonii na wyspie Kodiak, ojczyzny ponad dwóch tysięcy najwięk-

szych na świecie brunatnych niedźwiedzi, zajęło im cztery dni. Minęli ją o pięćdziesiąt mil po lewej burcie. Lodowate wody obmywające wyspę są rajem i źródłem zarobku dla rybaków; w

sezonie bywa tam po parę tysięcy kutrów i trawlerów, które łowią nie tylko łososie i halibuty, ale i ogromne kraby królewskie, od których się tam wręcz roi. To głównie te morskie monstra, dochodzące do siedmiu kilogramów wagi i miewające rozstaw odnóży do stu dwudziestu centymetrów, uczyniły port Kodiak jednym z ważniejszych komercyjnych portów Zachodniego Wybrzeża USA. Nic dziwnego, że Alas-kanie zazdrośnie strzegą swych bogactw. Na wyspie znajduje się największa w kraju baza straży przybrzeżnej Coast Guard; stale stacjonują tam cztery duże i uzbrojone ścigacze, które patrolują te wody bez przerwy i bezlitośnie aresztują każdy bezprawnie poławiający kuter. Jak Szakira ostrzegła towarzyszy, „może nie interesują się okrętami podwodnymi, ale na pewno podniosą wrzask na całe gardło, kiedy im się wyda, że jakiś usłyszeli”.

O północy we wtorek 28 lipca, znacznie poniżej niedźwiedzi i rybaków, ale o paręset metrów ponad chrzęszczącymi pancerzami krabów-olbrzymów, Barracuda II dalej cierpliwie sunęła na północny wschód. Od czasu do czasu sonarzyści słyszeli szum śrub załadowanych zbiornikowców płynących na zachód z nowego terminalu w Yakutat. W regularnych odstępach czasu przechodził nad nimi stanowy prom Tustume-na, kursujący z Seward na półwyspie Kenai; rzadziej dawał się słyszeć basowy pomruk diesli ścigacza Coast Guard. Trzy godziny przed świtem Szakira weszła do centrali, niosąc kawę i grzanki dla Bena i Rawiego, i oznajmiła, że znajdują się na trawersie portu Kodiak. Nie omieszkała się pochwalić ciekawostką ze swych bogatych zasobów informacji lokalnych.

–Wiedzieliście, że nie dawniej jak w sześćdziesiątym czwartym roku ten port był zrównany z ziemią?

–Ja nie – przyznał Ben.

–Ani ja – zawtórował Rawi.

–Zniszczone zostało całe śródmieście, wszystkie cumujące akurat trawlery, przetwórnia ryb... w sumie sto sześćdziesiąt domów. Nazwano to „trzęsieniem wielkopiątkowym”.

–Jakim cudem trzęsienie ziemi mogło zniszczyć trawlerzy? – spytał czujny Raszud. – Dlaczego nie wyszły w morze, jak robią wszyscy żeglarze, kiedy zaczyna się coś takiego?

–Bo to nie trzęsienie je załatwiło, tylko tsunami – odparła Szakira. – Twój ulubiony temat, widzisz?

–Zawsze mówiłem, że te fale to piekielna siła – rzekł Rawi z uśmiechem.

–Według moich notatek ta z sześćdziesiątego czwartego roku rozwinęła się nadzwyczaj szybko. Kiedy wpadła do portu, po prostu uniosła wszystkie statki i miotnęła nimi z dużej wysokości o ulice. Budynki nie miały żadnych szans przy takim taraniu. Wszystko... statki, domy, warsztaty, magazyny... poszło w drzazgi. Większość ludzi na szczęście zdążyła się ewakuować na wyższe tereny. Ktokolwiek został, już o nim więcej nie usłyszano.

–Na Allaha! – zakrzyknął Badr. – To chyba jedyna dobra strona tsunami: ma się trochę więcej czasu, żeby się zorganizować. Są wczesne ostrzeżenia, a fala na płytkim akwenuie zwalnia do trzydziestu, może czterdziestu węzłów. Ludzie mają pewnie z pół godziny na ucieczkę.

–Czasami nawet więcej – wtrącił Rawi w zamyśleniu. – Niektóre z fal na Pacyfiku, powstałe w wyniku trzęsień ziemi lub erupcji wulkanów na Hawajach, potrzebowały długich godzin na dotarcie do bardzo odległych brzegów, gdzie zniszczenia bywają największe.

–Powiedział ekspert... – zaśmiała się Szakira. – Chcesz się czegoś dowiedzieć o tsunami, zapytaj mojego mądrego męża. On wie wszystko. W każdym razie tak uważa.

–Ja pobierałem nauki u mistrza, w przeciwieństwie do was dwojga – skontrował Raszud. – Profesor Landon, zanim odszedł z tego świata, zrobił mi solidny kurs.

–I już niedługo ci się to przyda – zakończył tę wymianę zdań Badr.

Kodiak został za nimi, podobnie jak szlaki żeglugowe wiodące do Anchorage. Dzień później byli już na wysokości Cieśniny Księcia Williama, wciąż trzymając się na głębokości pięćdziesięciu metrów. Podążając za krzywizną wybrzeża, zmienili tu kurs w prawo, pozostając poza izobatą dwustumetrową, w zasięgu głównego nurtu Prądu Alaski. Minęli

z daleka zatokę Yakutat, idąc ku Dixon Entrance. Na tym właśnie akwenie większość załogi już operowała w akcji Bar-racudy I.

Oślonięte, hałaśliwe wody szerokiej cieśniny Hecate, oddzielającej Wyspy Królowej Charlotty od kontynentalnej Kanady, wyglądały kusząco, ale głębokości były tam zdradliwe. Pod względem akustycznym byłby to podwodniacki raj, ale zbyt łatwo tam rozpruć dno o którąś z niezliczonych skał.

–Musimy płynąć od zewnątrz – powiedział Ben. – Jest tam głęboko, ale niemal na pewno czai się tam sieć SOSUS. Trzeba będzie stosować zwykłą taktykę. Bardzo wolno, bardzo cicho i ostrożnie wzdłuż całego wybrzeża Kanady po wyspę Vancouver i dalej, obok stanu Waszyngton. Powinniśmy dotrzeć w rejon operacyjny około szóstego sierpnia. Reszta będzie należeć do Szakiry.

Nikt nie był tego bardziej świadomy od samej pięknej Arabki, która niestrudzenie pracowała za swoim biurkiem w kabinie nawigacyjnej.

Od czasu do czasu Badr wynurzał okręt na głębokość peryskopową, by szybko sprawdzić pozycję i ściągnąć wiadomości z satelity, poprzez sztab chińskiej floty w Zhanjiang przekazywał też własną pozycję i kurs do Bandar Abbas. Ich fach wymagał maksymalnej redukcji ryzyka i nie zamierzali zapewniać nadmiaru informacji bystrookim śledczym z Fort Meade w rodzaju młodego Ramshawe'a, którzy potrafili je zdobyć nawet z wojskowych łączy satelitarnych Chińczyków. Nawiazywali łączność nie częściej niż co cztery lub pięć dni, wystawiając maszt nie dłużej niż na półtorej minuty. Poza tym pozostawali na dużej głębokości i posuwali się w żółwym tempie coraz dalej na południe. Przecinając oś ruchliwego toru wodnego w cieśninie Juan de Fuca, prowadzącego do wielkich portów Vancouver i Seattle, nie licząc kilkunastu pomniejszych, zeszli jeszcze głębiej, na sto osiemdziesiąt metrów. Byli już teraz znowu na wodach amerykańskich. Oficjalnie jurysdykcja terytorialna Stanów Zjednoczonych, jak i większości państw na świecie, rozciąga się na pas o szerokości dwunastu mil morskich od brzegu, Barracuda II zaś płynęła w odległości czterdziestu pięciu mil, czyli formalnie na wodach międzynarodowych. Jednak w dobie światowego

terroryzmu dwustumilowa strefa ekonomiczna jest dla US Navy równie amerykańska jak Piąta Aleja w Nowym Jorku i okręty pod gwiazdzistą banderą patrolują ją nieustannie. Szakira była zdania, że należy trzymać się jak najdalej od wybrzeża. Uważała ten odcinek trasy za najbardziej niebezpieczny, spodziewając się i patroli podwodnych, i przede wszystkim okrętów nawodnych, wyposażonych w najlepszy sprzęt i uzbrojenie ZOP. Radziła, by płynąć w dużym zanurzeniu dopóty, dopóki nie wyjdą poza rejon operacyjny baz US Navy w Everett i Bremerton. Żadne z nich nie wątpiło, że Amerykanie się głowią, gdzie mogła się podziąć spostrzeżona na Morzu Żółtym Barracuda II, a po niedawnych doświadczeniach muszą żywić obawy, że mogła się skierować ku ich brzegom. Wykryty tak blisko brzegów Waszyngtonu czy Ore-gonu rosyjskiej budowy atomowy okręt podwodny nie może liczyć na pobłażliwość. Kontradmirał Badr na bieżąco konsultował się z Szakirą, nieodmiennie przyznając jej rację w kwestii zalecanej ostrożności. Posuwali się więc dalej w tym samym tempie, co pół dnia mijając kolejny stopień szerokości geograficznej. 5 sierpnia byli na wysokości ujścia wielkiej rzeki Columbia, stanowiącej znaczną część granicy między stanami Waszyngton i Oregon, która dzięki jedenastu potężnym tamom dostarcza jedną trzecią energii uzyskiwanej w amerykańskich hydroelektrowniach. Największe z nich, John Day i Bonneville, zostały przez Szakirę zaznaczone na mapie czerwonymi okręgami jako rejony szczególnie niebezpieczne. Domyślała się, że te wielkie zakłady energetyczne, położone powyżej dużej aglomeracji Portland, muszą być silnie chronione przed ewentualnym atakiem terrorystycznym i prawdopodobieństwo, że nieba pilnują tam dobre radary, było według niej wysokie. Zależało jej zaś na tym, by wystrzelone przez nich rakiety nie zostały przez nikogo wykryte. Dlatego też trasa lotu zaprogramowana dla scimitarów SL-1 (z głowicami konwencjonalnymi, w odróżnieniu od SL-2, jak oznaczono dwie rakiety jądrowe) wiodła wzdłuż Columbii, ale Przed Portland skręcała w bok, nad prawie zupełnym pustkowiem. Dziewczyna nie mogła jednak opanować zdenerwowania i miała kłopoty ze snem, często chodząc tam i z powrotem po ograniczonej przestrzeni kabiny nawigacyjnej o naj-

różniejszych porach nocy, na przemian wyciągając mapy i znów chowając, po raz kolejny sprawdzając, czy nie popełniła gdzieś błędu.

Rawi też dobrze sobie zdawał sprawę z wymiaru ich przedsięwzięcia, ale jego z kolei zajmowały detale dotyczące samego rejonu celu. Przeczesał notatki z przesłuchania Paula Landona i tęsknił do luksusu łączności satelitarnej, za pomocą której mógłby uaktualnić posiadane informacje o nieustannie zmiennej sytuacji sejsmicznej wielkich wulkanów w północno-zachodnich pasmach górskich USA.

Dysponował wielostronicowym dossier Mount St. Helens, „amerykańskiej Fudzi-jamy”, góry niemal identycznie ukształtowanej jak ten legendarny symbol Japonii. To znaczy była taka do chwili, kiedy wybuchła z oszalamiającą siłą 18 maja 1980 roku, wprawiając w drżenie całą południowo-zachodnią część stanu Waszyngton i pasmo Gór Kaskadowych. Erupcja doszczętnie zniszczyła wspaniałe iglaste lasy w promieniu ponad dwudziestu kilometrów. Pięćdziesiąt siedem osób straciło życie. Do rzek spłynęły potężne lawiny błota, a wulkaniczny popiół pokrył olbrzymie tereny aż po stan Montana, ponad tysiąc kilometrów od St. Helens. W wyniku wybuchu dumny, pokryty wiecznym śniegiem szczyt, jeden z najpiękniejszych w całych Stanach Zjednoczonych, przestał istnieć. Przed 18 maja wysoka na prawie trzy tysiące metrów Mount St. Helens wznosiła się ponad wszystkie okoliczne góry, dominując nad całym krajobrazem. Po wybuchu straciła śnieżną czapę i czterysta metrów wysokości. Na szczycie powstał szeroki, okrągły i nieco nachylony krater o średnicy blisko trzech kilometrów. Na północnym stoku w jego niżej położonej krawędzi widniała wyrwa w kształcie litery V, przez którą wylewała się niszczycielska lawa, teraz zastygła w groteskową bazaltową drogę w dół zbocza, rozwidloną u podstawy w dwóch kierunkach. Odnoga zachodnia wpadała do malowniczego i czystego wcześniej jeziora Spirit; reszta lawy wlała się w piękną, śnieżną dolinę rzeki Toutle. Wyglądało to tak, jakby w ogrodzie świętego Mikołaja założono odkrywczą kopalnię węgla.

Rawi znał to wszystko na pamięć, szczególnie jednak przemawiał doń jeden konkretny szczegół związany z erupcją-

Centralny „komin” St. Helens był zablokowany tysiącami ton lawy z poprzednich wybuchów i wspinająca się ku powierzchni magma nie miała się gdzie podziać. Ostatecznie przebiła się ku północnemu zboczu, prac na zewnątrz i tworząc gigantyczny guz materiału skalnego, popiołu i ziemi. Podobne twory spotyka się często i na innych aktywnych wulkanach; ten jednak, na krótko przed wybuchem, rozwinął się do imponujących rozmiarów: półtora kilometra średnicy i około trzydziestu metrów wysokości. Jednak to nie wznosząca się magma ostatecznie rozsądziła ten skalny wrzód, lecz stosunkowo słabe trzęsienie ziemi, które zupełnie zdestabilizowało cały północny stok góry. Kopała pękła w wielu miejscach i rozpadła się na zewnątrz, spadając w dół potężną kamienną lawiną. Skalny korek o objętości pół miliona metrów sześciennych przestał hamować parcie magmy i gazy wulkaniczne uległy gwałtownemu rozprężeniu – innymi słowy, eksplodowały niczym bomba – kładąc pokotem drzewa w całej okolicy.

Rawi koncentrował uwagę na podobnym guzie, jaki według Landona formuje się na tej samej pokierszowanej północnej stronie Mount St. Helens, po wewnętrznej stronie nowego krateru – ściśle mówiąc, na pozycji 46°12'N, 122°11'W. Od początku lat dziewięćdziesiątych notowano wzmożoną aktywność wulkanu: sporadyczne erupcje popiołu i pary, od czasu do czasu wypływ lawy i pojawienie się kilku wyrzuseń na stoku. Znacznie silniejsza emisja pary i popiołu 1 lipca 1998 roku zdążyła napędzić solidnego stracha okolicznym mieszkańcom, zanim w końcu ustała. W 2006 roku w samym środku krateru zaczął się tworzyć nowy guz, długi na półtora kilometra.

Kiedy Barracuda II przecięła równoleżnik 46°12'N, Sza-kira oznajmiła, że znaleźli się na wysokości celu, akurat na wprost ujścia Columbi, o sto dwadzieścia dwie mile morskie od wybrzeża. Badr trzymał okręt na głębokości stu osiemdziesięciu metrów i na kursie południowym, wzdłuż południka 127°W. Od leżącej sto czterdzieści kilometrów w głębi lądu Mount St. Helens dzieliło ich teraz trzysta sześćdziesiąt sześć kilometrów – żaden problem dla spoczywających w ma-Sazynie północnokoreańskich rakiet. Ocean był tu głęboki na Półtora tysiąca metrów, a dno prawie płaskie. Powierzchnią

poruszała długa, trzymetrowa martwa fala, ale w tych czarnych i cichych głębinach nie czuło się żadnego ruchu wody. Ben sugerował odejście jeszcze o trzy stopnie szerokości na południe; Raszud zgodził się, mimo że, jak stwierdził, nie widział potrzeby oddalania się od celu; kursy rakiet zostały już wprowadzone i zaprogramowane przez Szakirę, nietrudno było to jednak zmienić. General zaskoczył natomiast ich oboje obraną strategią. Nakazał mianowicie wystrzelenie rakiet za dnia, zamiast nocą, kiedy wszyscy czuliby się znacznie bezpieczniej. Zapytany przez Szakirę o powód takiej decyzji, wyjaśnił rzeczowo:

–Cruise po opuszczeniu wody zostawia za sobą wielki ogon ognia, widoczny z dużej odległości, zwłaszcza po zmroku. Jeśli wystrzelimy je w dzień, nie będą się tak rzucały w oczy.

–Ale przedtem strzelaliśmy nocą.

–Dlatego, że nie chcieliśmy, żeby rakiety zostały zauważone przez ochronę obiektów. Teraz jest inaczej. Nasz cel leży na bezludziu, nie ma tam ochrony, ani straży.

–Hmm... – mruknęła Szakira, lekko poirytowana, że sama na to nie wpadła.

–Naszym jedynym zagrożeniem podczas tego zadania jest wykrycie przez patrolujący okręt nawodny, o co łatwo zwłaszcza nocą, gdybyśmy urządzili taki fajerwerk.

–Ale raketę mogą spostrzec i w dzień – upierała się Szakira. – Patrole trwają całą dobę, prawda?

–Patroli nie będzie w okolicy i rakiety nie zostaną zauważone – odparł Rawi.

–Skąd ta pewność?

–Stąd, że zamierzam oddać salwę podczas mgły. Przecheszemy też akwen pasywnym sonarem, no i przez peryskop, żeby się upewnić, że nie ma nikogo.

–To pięknie, ale nawet ty nie możesz mieć mgły na zamówienie.

–Niestety... Ale w tej części wybrzeża często pada, a tam, gdzie są deszcze i chłodne masy powietrza, które przeplatają się z ciepłymi, o mgłę nietrudno.

–Jednak mgły może nie być akurat wtedy, kiedy będziemy jej potrzebować. – Szakira nie dawała za wygraną.

–Nie szkodzi. Poczekamy.

Pokonana Szakira zapytała męża, czy nie napiłby się herbaty, na co Rawi przystał z ochotą, z trudem odpierając pokusę, by powiedzieć jej, że się cieszy, iż zdecydowała się zająć tym, w czym jest naprawdę dobra. Miał chęć na herbatę, ale nie wylał całym dzbankiem na głowę. Uśmiechnął się tylko, patrząc jej w oczy.

–Jestem ci wdzięczny, kochanie – powiedział. – Świetnie potrafisz zmusić człowieka, żeby wyjaśnił, o co mu chodzi.

–Sprytny jesteś – odrzekła, wydymając wargi. – O wiele za sprytny. Dobrze być po twojej stronie.

–A ty jesteś dobrym oficerem. Gotowa do dyskusji, kiedy czegoś nie rozumiesz, ale szanujesz swego dowódcę. Tacy wszyscy być powinniśmy.

–Tak, jestem dobrym oficerem. Ale mam nadzieję, że lepsza jestem w roli żony, bo zamierzam ją pełnić znacznie dłużej.

–Tak będzie, jeżeli nadal będziesz mnie słuchać, przynajmniej dopóki jesteśmy na tym okręcie z misją bojową w imię Allaha. Ja na ogół wiem, co robić i jak zapewnić nam bezpieczeństwo.

–Ha! Mówisz, że wszyscy powinniśmy szanować swoich dowódców, ale ty nie masz żadnego – zaśmiała się Szakira. – Sam sobie określasz zasady.

–Mylisz się. Ja też mam dowódcę. I mam nadzieję, że On będzie miał nas oboje w opiece.

Szakira patrzyła na niego z niekłamanym uwielbieniem. Ten silny mężczyzna, były major elitarniej jednostki brytyjskiej, najtwardszy facet, jakiego w życiu spotkała, z ogładą absolwenta Sandhurst i taktycznym geniuszem liniowego dowódcy SAS, był zarazem wierny swym arabskim, beduińskim korzeniom. Dziękowała Najwyższemu za ten dzień, kiedy uciekała z nim, struchlała z przerażenia i grozy, przez ruiny nieszczęsnego Hebronu wśród wybuchów artyleryjskich pocisków, gwizdu kul karabinowych i krzyków rannych. Dziękowała za siłę, jaką w sobie znalazła, by zabrać go do kryjówki bojowników Hamasu. Za każdym razem, kiedy odważyła się wspominać tamte chwile w rozbitym domu w dzielnicy Palestyńskiej, żywo stawały jej przed oczyma jej zabite dzie-

ci, mały Rawi i Irenka, ich skrwawione ciała leżące nieruchomo obok trupów dwóch sierżantów SAS, zamordowanych przez jej dzisiejszego męża, który w ten sposób uratował ją od śmierci. Nie ma na świecie nic, co byłoby warte tej ofiary, myślała często. Jednak były major Ray Kerman prawie jej to wynagrodził. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby kogokolwiek kochać bardziej niż jego. Poszłaby za nim w paszczę samego piekła.

Tymczasem jednak to on poszedł za nią do pentry, gdzie nie byli widoczni z przyległego kambuza, i pocałował ją zachłannie pod osłoną półek z puszkami kompotów.

–Mówiłeś, że właśnie dlatego dziewczynom nie wolno służyć na okrętach podwodnych – powiedziała, wysuwając się z jego objęć w obawie, że ktoś ich zobaczy.

–Moi podwładni mają robić tylko to, co im każę – odparł wesoło. – Naśladować mnie już nie muszą.

–A nie mówiłam? Robisz, co ci się podoba, bo nie masz nad sobą dowódcy.

Rawi popatrzył na żonę, piękną nawet w mundurowym granatowym swetrze, i rzekł poważnie:

–Allah dał nam moc równą fałszywym bogom starożytnego świata i nie opuści nikogo z nas podczas tej misji. Pracujemy dla Jego chwały i On powiedzie nas do zwycięstwa.

–I pomyśleć tylko, że kiedyś byłeś niewiernym... – Szaki-ra pokręciła głową z udawanym niedowierzaniem. – Słodzisz?

Generał Raszud zachichotał cicho, wdzięczny w duchu małżonce za jej talent do rozładowywania napięcia podczas ich wielkiej misji, choćby na kilka chwil. Wrócili oboje do nawigacyjnej. Szakira niosła tacę z dzbankiem i trzema szklankami w srebrnych uchwytach, już z nasypanym cukrem – ta trzecia na wypadek, gdyby zastali porucznika Mo-hammeda przy pracy. Dochodziła już północ.

Asztari Mohammed istotnie siedział jeszcze pochylony nad mapą wschodniego Pacyfiku, kreśląc kurs na południe. Kiedy zobaczył Rawiego i Szakirę, wstał i przeciągnąwszy się, z wdzięcznością przyjął gorący napój.

–Kontradmiral Badr uważa, że powinniśmy iść na południe jeszcze przez półtorej doby – wyjaśnił nie pytany przyczynę nocnej pracy.

Rawi skinął głową. Spojrzał na mapę rozłożoną na stoliku; tyle było na niej notatek, że stała się niemal nieczytelna. Czerwona linia trasy rakiet z czterema punktami zwrotu wyróżniała się jednak graficznie. Teraz Szakira będzie musiała nanieść nową, pomyślał. Zdążył wypić zaledwie dwa łyki, kiedy z głośnika rozległo się ciche: „General Raszud do centrali. Powtarzam, general Raszud do centrali”. Zabrał szklankę ze sobą i przeszedł do sąsiadującej z kabiną nawigacyjną centrali manewrowej, gdzie czekał na niego Ben Badr.

–Od kiedy chcesz zacząć przeszukiwanie akwenu? – spytał Irańczyk. – Jesteśmy około stu mil od pozycji odniesienia. Pomyślałem, że zaczniemy od pięćdziesięciu mil. Zapewne nie zechcesz się wynurzać?

–Nie, tego robić nie będziemy – odrzekł Rawi. – Podejźmy tylko na peryskopową co parę godzin, żeby się szybko rozejrzeć. Naszym głównym narzędziem będzie sonar pasywny. Nie możemy ryzykować wykrycia. Przy takiej akcji nie ma podejrzanych, więc byłoby głupotą dać się przyłapać komukolwiek.

–To co, zaczynamy o pięćdziesiąt mil powyżej pozycji strzału?

–Niech będzie pięćdziesiąt. Jeśli znajdziemy tam jakiś obiekt, poobserwujemy go może przez parę dni. Musimy być pewni, że dookoła jest czysto. No i modlić się o mgłę.

Barracuda II płynęła więc dalej przez całą noc i do popołudnia 6 sierpnia. O szesnastej trzydzieści Badr polecił podejść na peryskopową i osobiście rozejrzał się po całym horyzoncie. Porucznik Mohammed odczytał pozycję z GPS: 43°N, 127°W. Szakira naniósł pozycję na mapę, sprawdziła odległość i zapisała: „290 mil do celu”. Natychmiast potem Badr nakazał ponowne zejście na sto osiemdziesiąt ftietrów. Nie było dla nich żadnych wiadomości, nie wykryli też żadnego statku ani okrętu. Nad pustym oceanem świeciło słońce – ani śladu mgły. Jedynym zagrożeniem były niewidoczne, czające się na dnie hydrofony SOSUS. Dowódca pole-«wachtowemu oficerowi utrzymywać się w pobliżu tej pozy-c)!» posuwając się z prędkością pięciu węzłów kursem na-wrotnym.

Czekali tak dwie doby. Dopiero o trzeciej nad ranem w nie-

działę nadszedł niż znad oceanu, niosąc deszcz i zimny, porywisty wiatr. Wykryli go sonarem i cicho podeszli pod powierzchnię, by się rozejrzeć. Wysunęli peryskop na siedem sekund – dość dla szefa okrętu, by zameldować siekącą ulewę, ograniczającą widoczność do mniej więcej stu metrów. Raszud rozważał możliwość oddania salwy tu i teraz; wiedział jednak, że nad brzegiem pogoda może być jeszcze dobra, i nie uśmiechało mu się posyłać rakiet nad zamieszkanymi okolicami nawet o tej porze nocy. Zdecydował, że zaczeka na prawdziwą mgłę. Był pewien, że prędzej czy później się pojawi, zgodnie ze statystyką klimatyczną tych okolic.

O świcie sprawdzili powierzchnię jeszcze raz. Rawi miał rację – nad oceanem wisiała gęsta mgła. Domyślał się, że musi się rozciągać aż po wybrzeże, ogarniając swym lepkiem białym muślinem wszystko aż po zbocza nadbrzeżnych gór Oregonu.

–To jest to, stary. – Rawi klepnął Bena po ramieniu.

Po chwili z głośników na całym okręcie rozległ się głos dowódcy:

–Przygotować wyrzutnie jeden do cztery... Oficer uzbrojenia i komandor Szakira do centrali naprowadzania... Sternicy, trym plus dziesięć stopni, wynurzenie do sześćdziesięciu metrów... kurs zero trzydzieści... prędkość pięć węzłów... Sonar, sprawdzić i zameldować brak kontaktów... Oficer uzbrojenia, sprawdzić procedury i ustawienia.

Dziób okrętu uniół się lekko. Mikrofon rozgłosił przejął teraz Rawi, wzywając załogę do modlitwy. Wolni od bieżących zadań uklękli na pokładzie. Ludzie wyskakiwali z koi, mechanicy odkładali narzędzia; wszyscy słuchali słów dowódcy misji. Raszud ostrzegał, że zaczyna się okres walki i zagrożenia, i każdy powinien być przygotowany na trzykrotne brzmienie trąb. Kiedy one zagrają, tylko ludzie prawi przejdą przez most w ramiona Allaha. Przypomniawszy im, że pracują dla Niego, są Jego dziećmi i dla Jego chwały znaleźli się na tym narzędziu wojny. Przeczytał werset z Koranu:

...Od Ciebie tylko prosimy pomocy. Prowadź nas prostą ścieżką tych, którzy cieszą się Twą łaską.

k „ \^^\-

; USA

PACYFIK \ WSeattle

f j Yakima

trasa raket f35*^ i Mbunt St. Helens

Columbia_____<|

j PortlanS

^ / OREGON

200 km /

Barracuda II u wybrzeży Oregonu

113

General zakończył przemowę wezwaniem do Boga:

–Zwracam twarz tylko ku Najwyższej Istocie, która stworzyła niebo i ziemię. Tobie niech będzie chwała, Twoje imię jest najwspanialsze, Tyś Najwyższy i nikt poza Tobą nie jest godny uwielbienia.

Załoga modliła się w ciszy jeszcze przez chwilę, po czym wszyscy wrócili do swoich zadań. Szakira zameldowała się w centrali naprowadzania i jeszcze raz sprawdziła programy systemów nawigacyjnych raket: „Kurs zero trzydzieści do szerokości 46'05N, potem zero dziewięćdziesiąt do południka 122°W, dalej na północ przez trzydzieści mil morskich i ostatni piętnastomilowy odcinek do celu kursem dwieście dziesięć”. O szóstej trzydzieści general Raszud wydał rozkaz:

–Uwaga na wyrzutniach jeden do cztery! – I w sekundy później: – Wyrzutnia jeden, ognia!

Ośmiometrowe cygaro północnokoreańskiej rakiety ruszyło w drogę do zaprogramowanego celu. Okręt zadrżał lekko, gdy pchnięta uderzeniem sprężonego powietrza wyleciała z dziobowej wyrzutni torpedowej, śmignęła ku powierzchni oceanu i wyrwała się w powietrze. W tej samej chwili uruchomiony został silnik, z ogona strzelił strumień ognia. Dotarwszy na pułap sześćdziesięciu metrów, rakiet wyrównała lot, przyspieszając gwałtownie. Przy prędkości sześciuset węzłów włączyły się turbiny gazowe i zniknął zdradliwy płomień wylotowy. Koreańska kopia rosyjskiej ra-dugi, przez Arabów nazwana od legendarnego miecza Sa-ladyna, bezbłędnie leciała kursem 030°. Do linii brzegu pozostało jej dwieście dwadzieścia mil, które pokona w dwadzieścia jeden minut. Do tego czasu trzy identyczne pociski będą już gnały jej śladem przez niebo, jeden za drugim szykiem torowym przez oregońską mgłę, kierując się w to samo miejsce: spękane, nadwerężone zbocze St. Helens.

Pierwsza rakietka przemknęła nad wysokim, nierównym brzegiem na północ od przylądka Tillamook Head o szesnastej pięćdziesiąt cztery. Wznosząc się i opadając wraz z ukształtowaniem terenu, pokonała szczyt góry Saddle, minęła stanowy rezerwat przyrody Clatsop i wpadła nad hrabstwo Columbia, na drugą stronę rzeki, a potem, trzydzieści kilometrów na północ od Portland przekroczyła gra-

nicę stanu Waszyngton. Teren zaczynał być górzysty; rakieta zbliżała się do pasma Gór Kaskadowych. Komputer pokładowy pracował intensywnie, aktualizując parametry lotu w zależności od wskazań ultradźwiękowego wysokościomierza. Chińscy programiści i elektronicy dobrze wykonali swoją robotę. Pocisk przeciął linię autostrady międzystanowej Interstate 5 i leciał wzdłuż doliny rzeki Kalama ku tamie Swift Creek. Tam skręcił na północ, dokładnie w przewidzianym czasie. Potężny masyw Mount St. Helens był wówczas zaledwie o kilkanaście kilometrów na lewym trawersie. Rakieta minęła go, nie zmieniając kursu, i dopiero na wysokości miasteczka Gifford skręciła szerokim łukiem, zawracając ku celowi – wielkiemu skalnemu guzowi, jaki wyrósł na stoku krateru. Tracąc stopniowo wysokość, nabierała jednocześnie prędkości, mknąc nad lesistymi zboczami Mount Hughes. W chwilę później śmignęła nad spowitymi mgłą wodami jeziora Spirit, po czym zadarła nos i pomknęła w górę wzdłuż stoku St. Helens. Pokonanie dwóch kilometrów do szczytu zajęło jej dziewięć sekund. Znalazszy się nad kraterem, zanurkowała raptownie ku jego wnętrzu. Zaprogramowana, by eksplodować w dwie sekundy po uderzeniu w cel, wbiła się ostrym nosem z utwardzonej stali w bazaltowe rumowisko, zakopując się na głębokość czterech i pół metra, zanim nastąpił wybuch. W skalnym podłożu natychmiast powstały głębokie pęknięcia, naruszające już i tak osłabioną strukturę cienkiej skorupy krateru, pod którą wiecznie wrząca magma szukała jakiegokolwiek ujścia. Od tej pierwszej eksplozji erupcja wulkanu nie mogła nastąpić – ale w drodze były jeszcze trzy rakiety. Owszem, w powietrze strzelił pióropusz Pary, ale ani okoliczni mieszkańcy, ani przejeżdżający lokalnymi drogami numer 503, 90 czy 25 kierowcy ciężarówek nie spostrzegli tego ostrzeżenia. Nawet w przejrzystym powietrzu szczyt Mount St. Helens nie zawsze jest widoczny spomiędzy gęsto rosnących jodeł i świerków, a poza tym obłoki Pary nad wulkanem były czymś raczej powszednim.

Niecałą minutę później w to samo miejsce uderzyła druga rakieta. Eksplozja, choć niesłyszalna u podnóża góry, wystarczyła, by rysy w skale sięgnęły już górnej części „komina” Wypełnionego magmą. Rozżarzone białe strumienie natych-

miast popęzły przez szczeliny i rumowisko, na razie jednak tylko sącząc się w małej ilości.

Po kolejnej minucie nastąpił przełom. Trzecia rakietka wpadła w nadwerężone przez poprzedniczki miejsce, otwierając lawie szerszą drogę wypływu. Coraz więcej płynnej skały wydostawało się na powierzchnię, z wolna wypełniając lej krateru. W niebo wznosiły się chmury pary i pierwsze języki płomieni. I wtedy nadleciała ostatnia z raket, uderzając już w jezioro lawy. Metalowy kadłub zaczął się szybko topić, ale trotyl w głowicy wykonał swe zadanie, szerokim pęknięciem rozdzierając skorupę skały i uwalniając miliony metrów sześciennych silnie sprężonych gazów. O godzinie siódmej sześć w niedzielny poranek 9 sierpnia 2009 roku po raz pierwszy od trzydziestu lat wulkan St. Helens zatrzęsł się od wybuchu. Siła eksplozji powaliła tysiące drzew w półkolu o promieniu dwudziestu kilometrów na północnym zboczu. Krater z niestabilnym guzem był już nachylony w tę stronę, kiedy więc nastąpił wybuch, obszary na południowym i zachodnim stoku nie ucierpiały znacznie; spadł na nie tylko deszcz kamieni i popiołu. Po przeciwnej stronie, jak w 1980 roku, lawa popłynęła niszczącą, trzymetrowej grubości rzeką, na pozór powolną, ale w rzeczywistości prącą z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę w dół, ku jezioru Spirit, unicestwiając wszystko na swej drodze, doprowadzając wodę do wrzenia i posyłając w niebo kłęby pary. Nikt z obozujących na brzegu jeziora studentów nie miał szans na przeżycie. Garstka popiołu pogrzebana głęboko pod warstwą bazaltu to wszystko, co zostanie po ofiarach tej okrutnej, sadystycznej wojny, o której nikt jeszcze nie wiedział, że trwa.

Mgła już się przerzedziła i z miasteczek Glenoma, Morton i Mossyrock widać było szczyt St. Helens, plujący ogniem i miotający tysiącami ton rozżarzonych kamieni i popiołu na setki metrów w powietrze. Wyglądał groźnie i wspaniale, jak większość żywiołów, ale każdy człowiek w tych malowniczych waszyngtońskich osadach wiedział, że jest świadkiem chaosu, bezlitosnego zniszczenia i śmierci. Wszyscy bezsilnie patrzący na ten przejaw sił natury zdawali sobie sprawę, że tego wieczoru w wielu domach będą puste krzesła przy sto-

łach. Lawa ogarnęła piętnaście samochodów zaparkowanych wokół jeziora i wlała się do rzeki Toutle, niemal ją przegradzając. Mniejsza rzeczka Coldwater została całkowicie zablokowana. Tysiące ton popiołu wyrzuconego w pierwszym momencie wybuchu pokryło pięćset kilometrów kwadratowych terenu, dławiąc strumienie i grzebiąc pod czarną warstwą lasy i pola. Ten ciepły, senny niedzielny poranek zostanie na zawsze w pamięci mieszkańców tego zakątka Waszyngtonu jako dzień, w którym bez żadnego ostrzeżenia ich góra, Fudzi-jama Ameryki, królowa Gór Kaskadowych zniszczyła ziemie, które dotąd zdobyła swą majestatyczną sylwetką. Ci, którzy nie doświadczyli pierwszej erupcji z 1980 roku, poznali teraz prawdziwy charakter swego symbolu, niewiele mający wspólnego z niewzruszonym, milczącym pięknem, jakie w nim widzieli do tej pory.

W kilka minut po pierwszym wybuchu rozszalały się pożary. Wielkie kule roztopionego kamienia i gęsty deszcz żarzącego się czerwono popiołu lądowały na iglastym lesie. Suche igliwie na podłożu zapaliło się natychmiast, po czym zajęły się drzewa. Łatwopalna żywica w igłach, gałęziach i pniach płonęła z trzaskiem i sykiem; pożar było słychać z oddali jak echo śmiertelnej bitwy. Tysiące hektarów lasu zamieniły się w jedno gigantyczne ognisko. Ogień rozprzestrzeniał się przerażająco szybko, niesiony zachodnim wiatrem znad Pacyfiku, który rozwiewał resztki mgły i podsyczał żarłoczne płomienie. Co kilka minut od szczytu wulkanu dobiegał grzmot kolejnej gwałtownej erupcji; jęzor ognia i dymu strzelał w niebo z nową siłą, a z krateru wylewały się nieustannie potoki lawy.

Do ósmej trzydzieści w każdym domostwie, w każdym samochodzie pełnym turystów czy grupie myśliwych na leśnym szlaku w promieniu pięćdziesięciu kilometrów wiedziano już, że St. Helens się obudziła z blisko trzydziestoletniego snu. Radiostacje pospiesznie układały specjalne komunikaty, °Parte na jednym niezaprzeczalnym fakcie: ta cholerna góra Wyleciała w powietrze. Znowu.

Zbierano elektronicznie i telefonicznie wypowiedzi lokalnych ekspertów z dziedziny wulkanologii. Wszyscy jak jeden niąż wyrażali zupełne zaskoczenie. O dziewiątej szefowie

!

stacji radiowych już rozpaczliwie poszukiwali jakichkolwiek konkretnych informacji. Policja stanowa zakazała lotów śmigłowców z dziennikarzami, niemożliwe było też dotarcie w pobliże góry.

Wulkanologów, którzy stale monitorowali St. Helens, nigdzie nie można było znaleźć. Studenci z grup uniwersyteckich zbierających dane u podnóża góry zginęli. Większość punktów obserwacyjnych na północnym stoku uległa zniszczeniu. Budynki na wzniesieniach terenu zamieniły się w zgłiszcza, te położone w dolinach zostały pochłonięte przez rzeki lawy. Drzewa wyrwane lub złamane przez wybuch, ciśnięte między inne tworzyły teraz wysokie stosy, rozświetlone od środka przez płomień wzniecone przez błyskawicznie rozprzestrzeniający się pożar leśnego poszycia. Z lotu ptaka wyglądały jak wielkie piece, rozrzucone po całej okolicy ręką olbrzyma i siejące ogień wszędzie dookoła.

W południe prezydent ogłosił południowo-zachodnią część stanu Waszyngton rejonem klęski żywiołowej. Uruchomiono pomoc federalną. Problem z wulkanami jest jednak taki, że nie ma mowy o półśrodkach, nie ma rannych i zszokowanych osób – i nie ma świadków. Furia natury jest zbyt potężna. Jeżeli ktoś znajdzie się tak blisko katastrofy, że mógłby rzucić światło na jej przyczynę, to szansę na przeżycie ma bliskie zeru. Nie inaczej było u podnóża St. Helens w ten niedzielny ranek... poza jednym przypadkiem.

Duży samochód terenowy, wypakowany myśliwskimi strzelbami, wędkami należącymi do czterech sportsmenów, trzech miejscowych i jednego z dalekiej Wirginii, całą noc stał nad północnym brzegiem jeziora Spirit. Przewodził tej małej ekspedycji Tony Tilton, były adwokat z Worcester w Massa-chusetts, a obecnie prezes Seattle National Bank. Towarzyszył mu słynny marszand sztuki marynistycznej z Nowego Jorku, Alan Granby, który przeprowadził się z żoną na Zachód, kiedy bezwzględnie goniąca za zyskiem prywatna korporacja zaczęła budować wielką elektrownię wiatrową tuż za jego domem na brzegu cieśniny Nantucket. Trzecim członkiem grupy był inny przybysz ze Wschodu, Don McKeag, wpływowy dziennikarz radiowy i sprawozdawca polityczny, który po latach pracy porzucił swój program w lokalnej stacji

radiowej na Cape Cod dla wielkiego kontraktu z siecią „Głos Północnego Zachodu”, który wymagał od niego przeprowadzki do Seattle. Do tej trójki dołączył Wirginijczyk Jim Mills - zapalony wędkarz morski, myśliwy i zawodnik rajdowy z Middleburga. Wybrali się właśnie na tygodniową wyprawę w lasy wokół i szykowali się do ataku na wspaniałe pstrągi zamieszkujące jezioro.

Od innych wędkarzy i myśliwych, jacy w tym czasie przebywali w okolicy, różniła tę grupę jedna zasadnicza rzecz: Tony Tilton i jego żona Martha byli na wycieczce na Morzu Karaibskim w 1997 roku, kiedy wybuchł wulkan na Mont-serrat, grzebiąc dwa miasta, niszcząc całą południową stronę wyspy i obsypując wszystko na kilkadziesiąt kilometrów wokół grubą warstwą popiołu. Tony stał na dziobie wyczar-terowanego jachtu, obserwując ziejące ogniem piekło na górze Soufriere. W pamięć wryła mu się szczególnie szybkość, z jaką wulkan zaatakował wyspę. Widział moment wybuchu, strzelający na kilkadziesiąt metrów w niebo słup ognia i dymu i niemal jednocześnie czerwoną rzekę lawy spływającą na trzy strony z krateru. Stwierdził wówczas, że w takiej sytuacji ktokolwiek znajdzie się na zboczu wulkanu, ma nie więcej niż kwadrans na ucieczkę, inaczej niechybnie zginie.

Teraz, dwanaście lat później, tego niedzielnego ranka nad jeziorem Spirit Tony usłyszał nagły, dziwny świst wichru, który przemknął gdzieś nad jego głową we mgle i ucichł. Mężczyzna odruchowo poderwał głowę, ale nic nie zobaczył. Kilkanaście sekund potem dobiegł go głuchy grzmot gdzieś od szczytu góry, ale też nic nie było widać. Po chwili znów dał się słyszeć ten dziwny szum i kolejny łoskot gromu, jakby głośniejszy, ale może tylko Tony odniósł takie wrażenie, bo był już czujny. To mu jednak wystarczyło. Odwrócił się do Dona McKeaga, który właśnie wyjrzał na światło dzienne, i rzucił ostro:

–Do wozu, Don. Nic nie mów, tylko wsiadaj! – po czym krzyknął w stronę namiotu: – Alan, Jimmy! Wstawać i do samochodu! Natychmiast! Mamy cholerne kłopoty!

Alan Granby, mężczyzna postawny, ale szybki w ruchach, Rozumiał od razu. On i Jim spali w ubraniach i w parę sekund byli na zewnątrz, zaalarmowani wyraźnym napię-

ciem w głosie kolegi. Silnik już pracował, kiedy wskakiwali na tylne siedzenia. Tony wcisnął pedał gazu. Koła zabukso-wały przez moment na syrkim podłożu, ale wóz zaraz ruszył, szybko nabierając prędkości. Jechali na zachód krótkim leśnym traktem do szosy numer 504. Trakt był prosty i stosunkowo równy i wkrótce wskazówka prędkościomierza stanęła na stu dziesięciu kilometrach na godzinę. Z daleka dobiegł ich odgłos trzeciej eksplozji, a tuż potem następnej.

–Co to, u diabła, było? – spytał McKeag.

–Nic takiego – odrzekł Tony. – Tylko St. Helens właśnie wybuchł.

Byli już na lokalnej drodze do Glenomy, gdzie można skręcić na znacznie lepszą szosę numer 25. Wszędzie wokół nich między drzewa spadały dziwne, świecące obiekty, niczym deszcz meteorów. Jasność dnia jednak gdzieś zniknęła. Alan Granby zerknął na niebo.

–Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że nastąpiło częściowe zaćmienie słońca.

W tej chwili poczuli, jak ziemia zadrżała pod kołami samochodu, a w lesie zawył gwałtowny wiatr o sile huraganu. Tony skręcił na rozwidleniu w drogę numer 12, biegnącą bardziej na północ. Na asfalt zaczynały spadać płonące szczątki gałęzi i rozżarzone kamienie.

–Miejmy nadzieję, że ta droga gdzieś dalej nie zawraca na południe – mruknął. – Mam dziwne przeczucie, że ktokolwiek tam został, może nie przeżyć.

Kolejne mile zostawały za nimi. Niebo poczerniało, zaciągnięte ciężką, gęstą chmurą, ale przez tylną szybę widać było straszną czerwoną lunę. W jedenaście minut oddalili się od podnóża wulkanu o dziewiętnaście kilometrów. Z przodu było nieco jaśniej i Don, niepoprawny dziennikarz, zaproponował, żeby po jeszcze kilku kilometrach zatrzymali się i popatrzyli na górę, pożar i zniszczenia, przed jakimi cudem uciekli.

–A może macie ochotę na małą wyprawę łowiecką do Indonezji w przyszłym roku? – zapytał Tony Tilton. – Wiecie, przytulny obóz w tropikalnej dżungli na stoku Krakatau...-Zaczynam nabierać profesjonalnej wprawy w ucieczkach przed wulkanami.

Trzy godziny później

–Dzień dobry wszystkim. Mówi Don McKeag z wiadomościami z pierwszej ręki z frontu naszej stanowej katastrofy. W chwili nagłego i niszczycielskiego wybuchu wulkanu St. Helens byłem w obozowisku tuż u jego podnóża. Myślę, że mogę uczciwie powiedzieć, że tylko cud sprawił, że dzisiaj do was mówię... szybki refleks mojego kolegi Tony'ego Tiltona, któremu udało się nas w porę wywieźć w bezpieczne miejsce, oszczędził mi bowiem pewnej śmierci.

Jechaliśmy przez deszcz gorącego popiołu. W lesie zaczynało płonąć poszycie. Za nami z krateru spływała już rzeka żarzącej się lawy, a my uciekaliśmy na północ, jak najdalej od kataklizmu. W moim codziennym programie porannym, jak wiecie, zawsze przyjmuję telefony i rozmawiam ze słuchaczami o polityce w naszym wielkim stanie. Dziś jednak zmieniam formułę. Chcę tylko tu spokojnie usiąść, złapać oddech i spróbować wyjaśnić wam, jak to jest, kiedy się umknie dosłownie sprzed wrót piekieł. Jak dotąd, otrzymaliśmy zgłoszenia o około stu naszych współobywatelach, którym się to nie udało. Ich rodzinom pragnę złożyć wyrazy najszczęśliwszego współczucia. Jakże łatwo mógłbym teraz być jednym z nich...

Podczas gdy Don przemawiał przez radio wyważonym, lecz dramatycznym tonem, wszyscy strażacy z południowo-zachodniego Waszyngtonu zajęci już byli walką z ogniem na obrzeżach szalejącego na dobre pożaru lasu. Nie było mowy o próbach wchodzenia głębiej, nikt też nawet nie pomyślał, by wysłać w to piekło flotę ambulansów. W tej katastrofie rannych nie będzie. Jedyne, co teraz można robić, to próbować ograniczyć rozprzestrzenianie się ognia w kierunku rejonów zamieszkałych. Po jakimś czasie do akcji włączyły się specjalistyczne samoloty, zrzucające dziesiątki ton wody na jeszcze wolne od ognia partie lasu. Jednostki lądowe czerpały wodę z okolicznych jezior i rzek, starając się nie dopuścić do jej odparowania w rosnącym żarze, zanim jeszcze pożar dotrze w te rejony. Po południu o klęsce żywiołowej mówiono już w całym kraju. CNN pokazywała ujęcia filmowe, podobnie jak Fox News i większość dużych sieci medialnych. Do wieczora Mount St. Helens była głównym tematem wiado-

mości we wszystkich całodobowych serwisach radiowych i telewizyjnych, choć nikt nie miał żadnych świeżych informacji, faktów ani fachowych opinii. Wiadomo było jedynie, że wulkan wybuchł, region jest zasypany popiołem i trawiony pożarami, a ktokolwiek znajdował się w okolicy, niemal na pewno zginął. Nie było żadnych naocznych świadków erupcji poza Donem McKeagiem i jego trzema przyjaciółmi.

Wulkany tradycyjnie robią to, na co mają ochotę, eliminując możliwość publikowania dramatycznych, oskarżycielskich tytułów w rodzaju: **TO SIĘ NIE MOŻE POWTÓRZYĆ... CZY ZGINEŁI NA PRÓŻNO?... NALEŻAŁO SIĘ TEGO SPODZIEWAĆ... ODPOWIEDZIALNI MUSZĄ PONIEŚĆ KARĘ...** Dziennikarze mogli jedynie – choć z mieszanymi uczuciami niechęci i ulgi – odwołać się do Szacownych Ekspertów. Oczywiście ci z fachowców, którzy rzeczywiście mogliby powiedzieć coś konkretnego, zginęli u podnóża wulkanu, za to inni, którzy nie mieli pojęcia, co się naprawdę stało, chętnie zabierali głos. Przypominali sobie, że w ostatnich tygodniach w kraterze St. Helens odnotowywano emisje pary, a nawet małych ilości gazów wulkanicznych, trafiały się też niewielkie erupcje płomieni, popiołu i dymu; w sumie nie byłoby wielką niespodzianką, gdyby wulkan wybuchł w ciągu następnych pięciu lat. Zapowiedzią tego był rosnący w kraterze guz. Uczonych zaskoczyła tylko gwałtowność erupcji, tak naglej, niespodziewanej, bez najmniejszego nawet ostrzeżenia. To było coś nowego dla wulkanologów z całego świata: żadnych gniewnych pomruków, snopów iskier wylatujących na setki metrów nad szczyt, nawet cienkich strumyczków lawy sączących się z małych pęknięć w skałach. Żadnych oznak podwyższonej aktywności.

CNN wyszukała młodego specjalistę z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Cruz. Nie widział on nigdy Mount St. Helens, a w 1980 roku, kiedy doszło do pierwszego wybuchu, jeszcze go nie było na świecie. Jego ojciec był za młody, by pamiętać erupcję Lassen Peak z 1914 roku, jedynej w historii USA o porównywalnej sile. Świeżo upieczony magister Simon Lyons przemawiał jednak z niezachwianą pewnością siebie, właściwą ludziom dość jeszcze młodym, by uważać, że znają odpowiedzi na wszystkie pytania.

–Każdy przeciętnie dobry student geofizyki powinien wiedzieć, że ten wulkan mógł wybuchnąć w każdej chwili. Guz w kraterze rósł w bardzo szybkim tempie, może z kilometr w ostatnich dwóch latach. To był znak, którego wszyscy szukamy. Dowód, że magma podchodziła coraz wyżej i coraz silniej napierała na zewnętrzne warstwy skały. Kiedy widać takie wybrzuszenie, wiadomo, że wulkan szykuje się do erupcji.

–A zatem obwinia pan te grupy badaczy, obozujące na górze, które rzekomo monitorowały jej aktywność... wykorzystując fundusze federalne?

–Tak jest. Jak najbardziej. Niekompetencja i lekceważenie wartości danych. Dla prawdziwego naukowca to nie do pomyślenia.

Profesor Charles Delmar z Uniwersytetu Kolorado, człowiek starszy, bardziej doświadczony i ostrożny w sądach, udzielił wywiadu dla Fox News, chętnie służąc swą wiedzą, by rzucić światło na ostatnie wydarzenia. Powiedział, że z obejrzanych przez niego zdjęć Mount St. Helens wynika, że erupcja była skierowana na północ, co z kolei sugeruje, że to właśnie guz poddał się parciu magmy. Według profesora to „bardzo niezwykle”, dlatego że nie było żadnych wcześniejszych symptomów zbliżającego się wybuchu akurat w tym miejscu. Obserwowano, owszem, kłęby pary i nieco dymu, ale wydobywały się one z samego szczytu, a nie z ewentualnych szczelin w guzie, co byłoby dowodem na rosnące ciśnienie pod jego powierzchnią. Dlatego też Delmar uważał za „bardzo dziwne”, że ten skalny nowotwór tak nagle się poddał, a jeszcze dziwniejsze było według niego to, że doszło do tego w tak szybkim tempie i że trzeci co do wielkości wybuch wulkanu w Stanach Zjednoczonych w ciągu ostatniego stulecia mógł nastąpić dosłownie w kilkadziesiąt sekund.

Barracuda II płynęła wolniutko na południe, jeszcze przez sto mil morskich podążając wzdłuż południka 127°W. O trzeciej rano Badr nakazał podejście na peryskopową, wysunął antenę i nadał depezę złożoną z jednego słowa, przeznaczoną dla dowództwa irańskiej marynarki wojennej w dalekim Bandar Abbas. Słowo to brzmiało: SALADYN. Wiado-

mość została przekazana dalej pocztą elektroniczną do mieszkania przy Via Dolorosa, uliczce w muzułmańskiej części Jerozolimy, którą według tradycji Chrystus niósł krzyż na Kalwarię. Kilka minut po jej odebraniu koperta z już wcześniej nalepionymi znaczkami była w ręku posłańca, który szybko zaniósł ją na główną pocztę przy ulicy Szlomzion.

Koperta była zaadresowana do admirała Arnolda Morgana w Białym Domu, Pennsylvania Avenue 1600, Waszyngton DC, USA; czerwony dopisek ostrzegał: „Poufne, do rąk własnych”. Generał Raszud wiedział, że admirał już nie pracuje w Białym Domu, ufał jednak, że prezydenckie biuro pocztowe, obsługujące pięćdziesiąt tysięcy przesyłek tygodniowo, znajdzie sposób, by doręczyć list adresatowi w jego aktualnym miejscu pobytu.

ROZDZIAŁ 5

Piątek, 14 sierpnia 2009 r. Chevy Chase, Maryland

Harry pokwitował kurierowi z Białego Domu cztery listy, opróżnił też skrzynkę pocztową i obszedłszy dom dookoła, stanął przed wysoką furtką broniącą dostępu na tyły, gdzie znajdował się ogród z basenem. Otaczające go trzy wysokie kamienne ściany pomalowane były w hiszpańskim stylu na łososiowo. Z czwartej strony stał płot drewniany, w który wbudowana była mała cabana z barkiem z polerowanego drewna tekowego i czterema takimiz stołkami.

–Sir! – zawołał Harry przez furtkę. – Czy mam przynieść pocztę?

–Skoro już musisz rujnować mi dzień cholernymi bzdurami, to lepiej zrób to od razu! – odpowiedział mu szorstki głos z drugiej strony muru.

Agent podszedł do dużego szklanego stołu, przy którym na składanym reżyserskim krześle siedział admirał Morgan, ze zmarszczonym czołem studiujący polityczne artykuły w „New York Timesie”. Jak wiele codziennych gazet, „Times” aktualnie przechodził okres radosnych pochwał nowego, wspaniałego demokratycznego prezydenta.

–Chryste Panie! – warknął Arnold. – Nie wiedziałem, że można zebrać tylu totalnych dupków pod jednym redakcyjnym dachem. Z wyjątkiem może „Washington Post”... którego jeszcze dzisiaj nie czytałem. Nie chcę, żeby mi ciśnienie skoczyło.

–Tak jest, sir – skomentował Harry, kładąc koperty na stole obok dzbanka z mocną kawą. – Widział pan wczorajszy mecz? Orioles znowu wygrali.

–Tak. Zrobili dwa błędy, w tym samym momencie co

zazwyczaj. Mówię ci, od kiedy odszedł Bordick, nie mieli ani jednego dobrego stopera. Dopóki takiego nie znajdą, w życiu nie wygrają w play-offach.

–Oglądał pan cały mecz?

–Tylko ostatnie minuty. Zdążyłem tylko zobaczyć, jak schrzanili dwa zagrania. Przez chwilę nawet myślałem, że Jankesi wyrównają.

–Tak, ja też. Ale ten nowy zawodnik z Japonii jest niezły, nie? Właściwie to on uratował sytuację.

–Zgadza się. I co też za śmietnik mi tu przyniosłeś? Skocz do domu i przynieś worek plastikowy. Czuję, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent dzisiejszej poczty mogę spokojnie wyrzucić.

–Jasne, sir. Zaraz wracam.

Admirał spojrział na cztery wierzchnie koperty, te przywiezione z Białego Domu. Jedna była z wydziału emerytur, dwie z zaproszeniami, za to czwarta od kogoś z Bliskiego Wschodu, jeśli sądzić po brodatym szejku na znaczkach. Arnold rzadko kiedy patrzył na zdjęcie lub obraz z podobizną starszego wiekiem Araba bez jednoczesnego skojarzenia z World Trade Center. Chwycił list i niecierpliwie rozdarł kopertę. Wewnątrz znalazł arkusz zwykłego papieru bez nagłówka firmowego, na którym pośrodku wydrukowane były tylko trzy linijki tekstu:

Admirale Morgan, chyba ani przez chwilę

nie przypuszczał Pan, że wybuch Mount St. Helens

był zwykłym wypadkiem? – Hamas

Morgan patrzył szeroko otwartymi oczami. Odwrócił kartkę, dokładniej obejrzał też kopertę. Nic. Nie było żadnych innych dodatkowych wskazówek, tylko to jedno złowrogie pytanie. Czyżby żart? Dawniej Arnold natychmiast wezwałby George'a Morrisa, a potem wpadł bez pukania do Gabinetu Owalnego. Dzisiaj jednak, o jedenastej rano w ciepły dzień, przy kawie nad basenem, było zupełnie inaczej. Admirał Morgan był cywilem w pełnym znaczeniu tego słowa. Co jest jego obowiązkiem w takiej sytuacji? Co powinien zrobić? Cóż, odpowiedź na oba pytania była jedna: nic. I admirałowi cholernie trudno było się z tym pogodzić.

Kathy wyszła do fryzjera. Arnold z roztargnieniem patrzył na Harry'ego wracającego z workiem na śmieci, ale list od Hamasu palił go w dłoń jak rozżarzony węgielek. Agent bez słowa położył worek na stole i odszedł. Admirał nalał sobie kawy i pogrążył się w rozmyślaniach.

Ostatecznie zdecydował, że właściwą reakcją będzie odesłanie koperty i listu kurierem do Białego Domu na ręce człowieka, który zastąpił go na stanowisku doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Niech on się tym martwi. Takie sprawy już Arnolda Morgana nie obchodzą.

Poszedł do domu, zrobił kilka kopii listu i koperty, po czym zapakował oryginały wraz z krótką notatką do jego następcy, Cyrusa Romneya, byłego profesora na wydziale humanistycznym w Berkeley, uczestnika „prawie wszystkich cholernych dumnych marszów pokojowych, jakie Zachodnie Wybrzeże widziało za pamięci żyjących”. Gdyby to zależało od Arnolda Morgana, Cyrus Romney otrzymałby nakaz maszerowania do samej pustyni Gobi i pozostania tam na stałe. Admirał był święcie przekonany, że ten kalifornijski liberal nie nadaje się na to odpowiedzialne stanowisko, które zawdzięcza wyłącznie długotrwałej przyjaźni z politycznym koleśkiem Charlesem McBride'em. Treść notatki była chłodna:

Drogi Cyrusie,

Załączony list przyszedł do mnie przez pomyłkę, wysłany prawdopodobnie przez kogoś, kto nie ma pojęcia o zmianach, jakie w tym roku zaszły w administracji państwowej. Zrób z tym, co uważasz za stosowne. Z poważaniem

Arnold Morgan

Wiedział, że Cyrus i jego boss nie przejmą się specjalnie liścikiem od starego „Lwa z zachodniego skrzydła”. Czy go obchodzi, co sobie pomyślą? Ani trochę. Czy go obchodzi, co może oznaczać dla Stanów Zjednoczonych implikowana groźba Hamasu? W skali od jednego do tysiąca Morgan ocenił to na spory ułamek powyżej dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu. Wrócił nad basen, wziął telefon komórkowy i zadzwonił na zastrzeżony numer admirała Morrisa w Fort Meade.

–Cześć, George. Masz chwilę czasu na pogawędkę?

Pół godziny później był już w drodze. Harry prowadził nową terenówkę Morgana, wyposażony we wszystkie bajery majstersztyk General Motors, hummera H2A, w prostej linii potomka pustynnego wozu bojowego humvee. Stary przyjaciel admirała, Jack Smith, były szef Departamentu Energii za poprzedniego prezydenta, a jeszcze wcześniej prezes General Motors, powiedział mu: „Ten samochód jest jak stworzony dla ciebie, Arnold. Przede wszystkim dlatego, że Kathy z łatwością może go prowadzić, a w razie czego możesz ruszyć nim na wojnę”. Na pytanie Morgana, czy podobałby się generałowi Pattonowi, odpowiedział: „Patton by w nim pewnie zamieszkał!” Dwaj inni agenci jechali za nimi w ślad służbowym sedanem z Białego Domu.

Szybko pokonali autostradowe kilometry dzielące Chevy Chase od siedziby NSA. Przy głównej bramie strażnik podszedł od strony kierowcy i zażądał przepustek. Nie zdążył jeszcze dokończyć zdania, gdy usłyszał:

–Wsiadaj i natychmiast jedziemy do OPS-2B, do dyrektora.

Strażnik, były starszy sierżant wojsk lądowych, rozpoznał dawnego cara Fort Meade i w lot pojął, że jeśli nie posłucha, zatrzyma posadę jeszcze przez najbliższe trzy minuty.

–Tak jest, sir! – krzyknął i zdążywszy jeszcze trzasnąć obcasami, wskoczył na tylne siedzenie hummera.

Harry znał drogę. Kiedy zatrzymali się u wejścia do budynku, strażnik wyskoczył i syknął do kolegi pełniącego służbę przed drzwiami:

–Chuck, to Wielki Człowiek, zabieram go prosto do starego.

–Witam, sir. – Ostrzeżony pospiesznie otworzył drzwi.

Admirał ze swym przewodnikiem weszli do środka, kierując się prosto do prywatnej windy dyrektora. Kiedy znaleźli się pod gabinetem, powiedział:

–Powiedz Harry'emu, żeby cię odwiózł do bramy, a potem niech czeka na mnie na dole. I dziękuję, żołnierzu.

–Nie ma za co, sir! – odrzekł strażnik, otwierając przed Morganem drzwi.

–Arnie, świetnie, że wpadłeś! – rozbrzmiał ze środka głos George'a Morrisa. – Wchodź i siadaj. Kopę lat, co?

Nie widzieli się od dwóch miesięcy. Po raz pierwszy Morgan nie poszedł prosto za biurko i

wbrew swemu zwyczajowi nie rozsiadł się w dyrektorskim fotelu, który sam kiedyś zajmował. Przyjął zaproponowaną kawę, odmówił obiadu i usadowił się na stylowym kapitańskim krześle dla gości. Bez słowa sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i podał gospodarzowi kopię otrzymanego listu. George Morris przeczytał i spojrział na admirała z uniesionymi brwiami.

–Jezu. Kiedy to przyszło?

–Dziś rano. – Jak?

–Normalną pocztą na adres Białego Domu.

–Skąd?

–Bliski Wschód. Stemple były zamazane, ale wydaje mi się, że znaczki były palestyńskie, ze specjalnej serii wypuszczonej w niektórych częściach Izraela. Z portretem jakiegoś szejka.

–Powiedziałaś o tym komuś?

–Pewnie. Odesłałem oryginał mojemu następcy, informując, że przyszedł do mnie omyłkowo.

Morris skinął głową.

–Nie rozwodziłeś się na temat naszych wcześniejszych dyskusji o wulkanach i terrorystach?

–Nie, do diabła. Byliby uszczęśliwieni taką szansą na udowodnienie, że jestem maniakałnym reliktem zimnej wojny. Poza tym nie mam energii na użeranie się z tymi dupkami.

–Owszem, masz.

–Wiem. Ale po prostu mi się nie chce.

Morris spojrział jeszcze raz na trzymany w ręku list, przypominając sobie rozmowę sprzed dwóch miesięcy, jaką toczyli wraz z Jimmym Ramshawe'em na grillu u Morganów.

–Wiem, o czym myślisz, Arnie. O twoim miodowym miesiącu na Teneryfie, kiedy się natknąłeś na wojskowego szefa Hamasu w towarzystwie dwóch wulkanologów z Teheranu. A teraz, osiem miesięcy później, Hamas przysłała ci liścik sugerujący, że spowodował wybuch St. Helens. Wszystko do siebie pasuje.

–Przyznasz, George, że zbieg okoliczności jest uderzający.

Rozumiem, że nie można tak sobie wysadzić w powietrze wulkanu. O ile mnie pamięć nie myli, nikt dotąd czegoś podobnego nie dokazał. Mam na myśli całą historię, a to są długie tysiące lat.

–Tak, ale naprawdę liczy się ostatnie sześćdziesiąt pięć. Wcześniej nikt nie miał odpowiednio silnej bomby.

–Masz jakieś dane o ewentualnym opadzie radioaktywnym wokół St. Helens?

–Cóż, nie sprawdzałem. Ale na pewno zostalibyśmy poinformowani, gdyby coś takiego wykryto. Myślę, że tam jest jeszcze za gorąco, żeby ktokolwiek mógł robić badania.

–To do mnie nie dociera. Nie mogę uwierzyć, że ktoś podłożył w kraterze bombę. Poza tym bomba by tego nie załatwiła. One nie eksplodują w dół. Żeby spowodować wybuch wulkanu, trzeba by zakopać ją raczej głęboko i dopiero zdetonować.

–Też nie mogę sobie tego wyobrazić – zgodził się Morris. – Kopałbyś dół w głównym kominie krateru czynnego wulkanu, wiedząc, że przy każdym kolejnym uderzeniu kilofa to cholerstwo może ci wybuchnąć pod nogami?

–A rakietą? – zastanowił się nagle Morgan. – Gdyby miała odpowiedni, wzmocniony i ostry nos i wpadła tam z prędkością co najmniej jednego macha?

–Kto wie? – George spowaźniał. – Trzeba by się wywiedzieć, czy taka rzecz jest możliwa. Na przykład, jaka była grubość skorupy krateru przed erupcją. Może była nie do przebicia? A poza tym skąd miałyby się tam wziąć rakietą... Chyba nie masz na myśli międzykontynentalnej?

–Nie w wypadku Hamasu. Oby Bóg miał nas w swojej opiece, kiedy wpadnie im taka w łapy. Ale cruise? Albo dwie, trzy?

–Wystrzelone skąd?

–Jak zwykle, George. Z okrętu podwodnego. Być może z tej drugiej Barracudy, która zniknęła z powierzchni kuli ziemskiej.

–To jest możliwe. Ale przy obecnym rządzie nie możemy poświęcać zbyt wiele czasu na uganie się za takimi wątkami. Już się domagają, żeby zredukować wszystkie wydziały. Czekają nas poważne cięcia budżetowe, no i mają dla nas

nowy rozkład zajęć, przede wszystkim zaś każą mi skończyć z tym ogólnościowym polowaniem na wyimaginowanych terrorystów.

–Hmm... – mruknął Arnold. – Myślisz, że zareagują w jakikolwiek sposób na list Hamasu?

–Romney odrzuci go jako fałszerstwo, a prezydent się z nim zgodzi. Wątpię, aby ta sprawa trafiła do mnie z tamtej strony. Chociaż może prześlą kopię do CIA.

–A jeśli to nie fałszerstwo? Może oni naprawdę rozstrzelali St. Helens? Może czają się w tej pieprzonej atomowej łajbie wyladowanej po brzegi rakietami i Bóg wie co knują? Może to autentyczne ostrzeżenie?

–No cóż, pewnie wkrótce się o tym przekonamy.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Ten list nie jest dokończony – wyjaśnił Morris. – „Chyba ani przez chwilę nie przypuszczał Pan, że wybuch St. Helens był zwykłym wypadkiem? To nasza robota... i na tym nie koniec". To chcieli ci naprawdę przekazać, nie uważasz?

–Jak najbardziej. Jeżeli jest w tym choć trochę prawdy, to rzeczywiście wkrótce się tego dowiemy, tak?

–Tak to rozumiem, stary.

–Jasne. Chciałbym, żebyś zlecił młodemu Ramshawe'owi trochę detektywistycznej roboty. Niech mi sprawdzi parę rzeczy. Chcę mu pokazać ten list, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

–Nie ma problemu. Odprowadzę cię do jego biura. Ostatnio bywa mniej zajęty niż kiedyś. Jak my wszyscy.

Dwaj admirałowie dokończyli kawę i udali się do biura asystenta dyrektora. Komandora Ramshawe'a zastali pochylonego nad stosem papierów, ale jego pokój był mniej podobny do punktu skupu makulatury niż zazwyczaj – widoczny znak nowych czasów w NSA. Wszystko się zmieniło w wywiadowczym świecie. Kiedyś ludzie w Białym Domu i Pentagonie podskakiwali na krzesłach, gdy tylko jedno słówko ostrzeżenia nadchodziło z Fort Meade; dzisiaj wszelkie wiadomości spotykały się tylko z cynicznym uśmiechem, a podejrzenia odrzucane były z machnięciem ręki. Co ważniejsi urzędnicy nowej administracji za przykładem prezydenta uważali, że CIA, FBI, wywiad wojskowy i NSA stanowią

bandę przeżytków, staroświeckich szpiegów, którzy stracili kontakt z rzeczywistością i żyją w mętnej zimnowojennej przeszłości, podczas gdy współczesny świat pod koniec pierwszej dekady nowego milenium jest zupełnie inny. Dziś liczą się przyjaźń, współpraca, a nie eskalacja zbrojeń, polowania na czarownice w postaci rzekomo skorumpowanych dyktatorów czy zajadłe ataki amerykańskich sił specjalnych na każdego, kto się nie podoba lub w jakikolwiek sposób się naraził rządowi USA. Ludzie w rodzaju Arnolda Morgana, a nawet generała Scannella, admirała Dicksona, czy zwłaszcza George'a Morrisa i admirała Bergstroma, dowódcy Navy SEALs, byli traktowani jak dinozaury. Młodzi karierowicze z Białego Domu nabrali nawet zwyczaju nazywania kompleksu Fort Meade „Parkiem Jurajskim”, a naczelnego dowództwa sił zbrojnych „psychopatami”. Prezydent McBride jasno powiedział, że nie życzy sobie być otoczony przez wojskowych, chociaż to marynarka wojenna praktycznie administrowała Białym Domem, armia dostarczała samochodów i kierowców, Departament Obrony środków łączności, lotnictwo wszelkich samolotów z Air Force One na czele, a Korpus Marines śmigłowców i wartowników.

Tak, Charles McBride dążył do pozbawienia znaczenia wojska w swoim programie. Jako naczelny zwierzchnik sił zbrojnych mógł jednak tylko sobie zaszkodzić, zrażając do siebie generalicję i admiralicję. Jeszcze żaden prezydent Stanów Zjednoczonych nie posunął się tak daleko, by stracić zaufanie Pentagonu. McBride na razie więc tylko pobrzękiwał szabelką, ale jego polityka już zaczynała wywierać wpływ na środowisko. Wkrótce młodzi i zdolni oficerowie mogą uznać, że lepszą karierę zrobią w cywilu. Na razie jednak do tego jeszcze nie doszło.

–Dzień dobry panom – Jimmy przywitał niespodziewanych gości, wstając, by uścisnąć dłoń Arnoldowi Morgano-wi. – Jak tam spokojna emerytura, sir? Nie tęskni pan jeszcze do Fabryki?

Morgan się zaśmiał, rozbawiony pamięcią Jimmy'ego do takich drobnych informacji jak ta, że zwykł nazywać Biały Dom „fabryką”. George Morris pożegnał się, mówiąc na odchodnym:

–Jimmy, admirał chce z tobą pogadać. Ja muszę iść na to zebranie, ale ty możesz zostać. Arnold ma dla ciebie coś ciekawego.

–Jak zawsze – odrzekł Ramshawe. – Admirale, zamieniam się w słuch.

Morgan wyjął kopię listu Hamasu i podał komandorowi, obserwując go podczas czytania.

–Niech mnie... – Jimmy gwizdnął cicho. – Wygląda na to, że te sukinsyny wysadziły w powietrze Mount St. Helens.

–Możliwe – przytaknął ostrożnie Arnold.

–Jeśli nie, to o co tutaj chodzi?

–Dobre pytanie, James. Bardzo dobre pytanie. Choć oczywiście nie możemy wykluczyć najprostszej odpowiedzi: że to zwykły kawał. Dookoła pełno różnej maści wariatów i ciągle się trafiają podobne historie.

–Może... Tylko że to trochę zbyt subtelne jak na wariata, sir. Taki by raczej napisał coś w stylu: „Słuchajcie, dupki, właśnie rozwalilem pieprzony wulkan i zrobię to znowu. Bóg mi kazał oczyścić tę grzeszną planetę”.

–Tak, Jimmy, wiem. I cieszę się, że słyszysz w tym nutkę autentyczności, bo ja też ją dostrzegam. Coś jest w sposobie ułożenia tego zdania. George natychmiast wpadł na to, że w liście brakuje właściwie zakończenia. Ton sugeruje, że należy to odczytać tak: „Myśleliście, że to naturalna katastrofa? Otóż nie. To nasza sprawka... i jeszcze się odezwiemy”.

–Też tak uważam, sir. Nie ma wątpliwości.

–Żeby sobie oszczędzić sporo gadaniny, przyjmijmy, że rzeczywiście to oni spowodowali wybuch St. Helens. Bomba nie mogła tego dokonać, a więc zostaje rakietka, a raczej kilka rakiet. Jak zwykle nadleciały znikąd, czyli musiał to być okręt podwodny. Wiesz, co mam na myśli? Specjalnej konstrukcji cruise'y, z ostrym nosem, które mogłyby przebić się Przez skałę. Na razie nie widzę innej możliwości. A więc, Jimmy... gdzie jest ta druga Barracuda?

–Momencik, sir. Niech no wskoczę w mój komputer. – Ramshawe kilka razy stuknął w klawisze, ekran rozbłysł kilka razy różnymi oknami, zanim wyświetlił szukany przezeń plik. – Przeczytam na głos, sir, same najważniejsze fakty. Może pan zrobić notatki... tu jest blok i długopis. Mogę?

–Dawaj.

–No więc... 5 lipca Barracuda została spostrzeżona na Morzu Żółtym; szła kursem południowym z bazy Huludao, gdzie spędziła miesiąc w krytym doku. Złapaliśmy ją na pozycji 4042N/12120E, jeszcze przed cieśniną Bohai. Dokąd poszła potem, Bóg raczy wiedzieć. Mogła popłynąć przez Cieśninę Koreańską albo na południe od Japonii, a potem na wschód, na północ albo na południe. Może nawet z powrotem do Zhanjiang, gdzie wcześniej stała wiele miesięcy. Na zdjęciach widać trzy postacie na pomoście. Zapisałem wtedy, że w Bogu nadzieja, że jedną z nich nie jest major Kerman, bo inaczej będziemy mieli cholerne kłopoty. Barracuda poszła w zanurzenie, gdy tylko wyszła na głębsze wody przy Korei Południowej, po czym ślad po niej zaginął. Ale mam tu jeszcze dwie notatki... 16 lipca stacja SOSUS na wyspie Attu zameldowała o przelotnym kontakcie akustycznym, 5351N/17501E. Według nich była to turbina okrętu atomowego, i to rosyjskiego. Słyszeli sporo hałasu, wysokie obroty, dmuchanie balastu, w sumie przez mniej więcej minutę, a potem nic. 22 lipca, czyli sześć dni później, mamy inny meldunek, tym razem z cieśniny Unimak. Z obliczeń wynika, że mógł to być ten sam okręt, po przebyciu siedmiuset dwudziestu mil na Morzu Beringa z minimalną prędkością. Pięciosekundowy kontakt radarowy, trzy kolejne cykle. Potem echo zniknęło. Prawdę mówiąc, sir, niewiele bym się tym przejmował, gdyby nie ta zbieżność liczb. Siedemset dwadzieścia mil to sześć dni po sto dwadzieścia mil, czyli prędkość pięć węzłów. Akurat taka, jakiej można się spodziewać po cwanymsukinsynie, który chce się niepostrzeżenie przemknąć.

–Na północ od Aleutów, powiadasz? A co z przejściem z Morza Żółtego do Attu? Też się zgadza?

–Jasne, sir. Dziesięć dni? Bez problemu. Wygląda na to, że posuwali się bardzo ostrożnie. Tak, to mogła być Barracuda. Sprawdziłem też biuletyny. W promieniu tysiąca mil nie ma żadnego cholernego okrętu podwodnego poza naszym własnym patrolem przy Rowie Aleuckim.

–No, to mi daje do myślenia – rzekł Morgan. – Czyżby te dranie rzeczywiście potrafiły doprowadzić do tak potężnej

erupcji wulkanu? Nie do wiary. Ale z tym pieprzonym Rayem Kermanem, kto wie? Kiedy go ostatnio widziałem, akurat przyglądał się najbardziej niebezpiecznemu wulkanowi na kuli ziemskiej! Jimmy, musimy chyba się skontaktować z jakimś najlepszym specem w tej dziedzinie i po prostu się przekonać, czy taka dywersja jest w ogóle możliwa. Potem trzeba się zorientować, czy wokół wybuchu Mount St. Helens zaszło cokolwiek choć trochę podejrzanego. Pogadaj może z miejscową policją i FBI. Na koniec rozejrzyj się za wszystkimi większymi artykułami na temat wulkanów, jakie gdziekolwiek się ukazały w ciągu minionego roku. Znajdź wszystko, co może być dowodem, że faceci, których szukamy, są aktywni na tym polu...

–Sir, będziemy się musieli zadowolić jednym z najlepszych speców – przerwał Jimmy. – Najlepszego nie da rady ściągnąć.

–Tak? A to dlaczego?

–Dlatego, że najlepszy został znaleziony z dwiema kulami w głowie w Londynie w maju ubiegłego roku. Nazywał się Paul Landon, był profesorem Uniwersytetu Londyńskiego. Wyłowiono go z Tamizy, na brzegu jakiejś wyspy na trasie regat międzyuczelnianych...

–Paskudna sprawa... To musiała być Chiswick Eyot, tuż w górę rzeki od mostu Hammersmith. To właściwie jedyna wyspa w tamtej okolicy. – Arnold parsknął urywanym śmiechem na widok rozdziawionych ust Ramshawe'a. Zawsze sprawiało mu przyjemność, gdy zapędzał młodzież w kozi róg. – Znam tę rzekę dość dobrze, synu. Dawno, dawno temu ciągnąłem dziobowe wiosło w barwach Annapolis na regatach Henley w Pucharze Tamizy. Kilka lat później byłem asystentem trenera naszej ósemki.

–Hmm... a więc, jak mówiłem, sir, Landon był czołowym specjalistą w swej dziedzinie. Zdaje się, że policja nigdy nie wykryła mordercy. Przyjęli, że ktoś go musiał pomylić z kimś innym. Ja nie byłbym tego taki pewny. Profesor został zastrzelony w stylu egzekucji, dwie kule w tył głowy. Nie bardzo mi to wygląda na przypadek.

–Okay, Jimmy. Bierz się do roboty. Pogadaj z kimś o prawdopodobieństwie sztucznego wywołania wybuchu Mount St.

Helens i sprawdź, czy ktokolwiek coś podejrzewa w tej sprawie. Ja muszę lecieć. Pożegnaj ode mnie George'a i informuj go na bieżąco.

–Tak jest, sir. Odprowadzę pana na dół.

–Nie trzeba, chłopcze. Radziłem sobie sam w tym budynku, kiedy ty jeszcze rzucałeś grzechotką z łóżeczka.

Uścisnęli sobie dłonie z uśmiechem i admirał ruszył do wyjścia. Cztery godziny później na biurku George'a Morrisa wylądował oryginał listu od Hamasu, nadesłany przez Cy-rusa Romneya z Białego Domu z odręcznym dopiskiem informującym dyrektora NSA, że i autor, i sam prezydent uważają list za oczywiste fałszerstwo i żadne działanie nie jest w tej sprawie wymagane. Nie należy tracić czasu na niepotrzebne śledztwo. Morris, który spędził ostatnie dwie godziny z komandorem Ramshawe'em, mruknął tylko pod nosem:

–Rozumiem, panie Romney. Od razu widać doświadczenie całych pięciu miesięcy na stanowisku. Dupek...

Jimmy Ramshawe w swoim biurze płynął tymczasem całą naprzód. Na początek zajął się morderstwem w Londynie, ponieważ przy pięciogodzinnej różnicy czasu musiał się pospieszyć, jeżeli trzeba by było do kogoś tam zadzwonić. Wszedł do internetu i dokładnie przejrzał brytyjskie strony w poszukiwaniu nowych informacji na temat profesora Landona, ale od artykułu o znalezieniu jego zwłok i późniejszej relacji z pogrzebu w „Daily Telegraph” nie pojawiło się nic wartego uwagi. O samym pogrzebie czytał już wcześniej na stronie „Dwór i socjeta”. Otworzył stronę, na której można było zobaczyć pierwsze strony trzech głównych dzienników: „Telegraph”, „Daily Mail” i „Financial Times”. Nieraz się przekonał o jej przydatności; teraz zaczął przeszukiwać dzień po dniu od 9 maja 2008 roku, kiedy to stwierdzono zaginięcie profesora. Jimmy już sprawdzał „Telegraph” i „Mail” z okresu po śmierci Landona, ale to było ponad pół roku temu, kiedy nikomu nie było to do niczego potrzebne. Teraz zabrał się do dzieła znacznie staranniej. Ostatnim razem starczyło mu ciekawości na zaledwie tydzień po zniknięciu profesora; tym razem szukał znacznie dalej. Rzuciło mu się w końcu w oczy wydanie „Daily Mail” z 18 maja z dużym tytułem na całą stronę: ZAGADKOWE MORDERSTWO POD ALBERT

HALL WPRAWIŁO SCOTLAND YARD W KONSTERNACJĘ. KTO ZABIŁ TYCH POLICJANTÓW? Pod spodem zamieszczone były fotografie konstabli Petera Higginsa i Jacka Marlowa, a także... profesora Paula Landon. Pośrodku strony znacznie mniejsze zdjęcie przedstawiało policyjnego owczarka, z podpisem: „Zastrzelony: okrutna śmierć dzielnego Rogera”. Jimmy Ramshawe omal nie dostał apopleksji. „Daily Mail” nie zwrócił uwagi na bardzo istotny fakt: do śledztwa w sprawie zabójstwa jednego z policjantów włączył się Wydział Specjalny, a to oznaczało, że musiały zaistnieć jakieś podejrzenia działania terrorystów. Gazeta wiedziała za to o innym ważnym zbiegu okoliczności, o którym Jimmy do tej pory nie miał pojęcia. Wszystkie trzy morderstwa mogły być popełnione w tym samym czasie i prawie w tym samym miejscu.

Komandor w zamyśleniu oparł się plecami o krzesło. Nalał sobie kubek wystygłej kawy i zaczął czytać uważnie cały artykuł. Z wolna wszystko stawało się jasne. Wieczorem 8 maja 2008 roku profesor Landon wygłosił swój odczyt w Królewskim Towarzystwie Geograficznym, po czym udał się stamtąd do swego samochodu, później znalezionej przez policję na parkingu Imperial College niedaleko Queen's Gate. Jeden ze słuchaczy zauważył profesora spieszącego w stronę schodów na tyłach Royal Albert Hali. Wtedy właśnie widziano go po raz ostatni. „Lawa” do domu już nie wrócił, a sześć dni później jego zwłoki wyrzuciła rzeka. Patolog policyjny stwierdził, że nie może dokładnie określić godziny, a nawet daty śmierci, ponieważ ciało przebywało w wodzie przez dłuższy czas.

Tego samego wieczoru, kiedy Landon miał swój wykład, dwaj policjanci zostali zamordowani tuż przy Albert Hali, dokładnie na trasie marszu profesora i akurat w chwili, kiedy musiał schodzić po schodach. Reporter „Daily Mail” bystro połączył te fakty i ogłosił wydarzenie „masakrą pod Albert Hali”. W końcu chodziło aż o trzy trupy, plus naturalnie Rogera. Oczywiście oficer wywiadu od razu zadałby sobie zasadnicze pytanie: kto powiedział, że profesor został zabity w tym samym czasie co dwaj konstable? Przecież mógł być tylko uprowadzony i wywieziony dokądkolwiek, a zamor-

dowano go gdzie indziej i kiedy indziej. Nie było ani cienia dowodu na to, że on też mógł zostać zastrzelony właśnie wtedy na schodach przy Albert Halli. Gdyby tak się stało, to zabójcy najprawdopodobniej zostawiliby go tam wraz z trupami policjantów.

Jimmy uważał, że w sumie „Daily Mail” wpadł na właściwy trop. Oszałamiająca zbieżność czasu i miejsca była po prostu zbyt wielka jak na czysty przypadek. Te zbrodnie musiały się jakoś ze sobą łączyć i znany londyński dziennik to wykrył, choć Scotland Yard nie mógł się doszukać motywu. Komandor pomyślał jednak, że jest prawdopodobne, iż profesor został wtedy porwany, a dwaj policjanci zginęli, bo chcieli w tym przeszkodzić albo się po prostu napatoczyli w niewłaściwym momencie. Pytanie tylko, co Wydział Specjalny robi w typowo cywilnym śledztwie?

–Na pewno nie było to zwykłe porwanie... – Jimmy jak zwykle zaczął głośno myśleć. – Inaczej ktoś by się zgłosił z żądaniem okupu. Ktokolwiek zgarnął Landona, potrzebował go z innych powodów. Wzięli go żywego, a potem zabili. Jestem tego pewien.

Zastanawiał się przez chwilę nad tą tezą, po czym wybrał numer telefonu i zadał rozmówcy pytanie, co dokładnie trzeba zrobić, żeby dostać w tej okolicy kubek gorącej kawy, i czy jest na miejscu ktoś, kogo choć trochę obchodzi, czy on, James Ramshawe, będzie dalej próbować ratować cholerny świat, czy umrze z pragnienia?

Dyżurny szef całodobowej kuchni na ósmym piętrze OPS-2B miał dużą słabość do miłego Australijczyka w mundurze komandora porucznika US Navy, choć w duchu uważał, że Jimmy z każdym dniem coraz bardziej się upodabnia do straszego admirała Arnolda Morgana.

–Zaraz przynoszę, sir. Chce pan jakieś herbatniki czy coś w tym rodzaju?

–Oto są słowa prawdziwego cholernego chrześcijanina! – zagrzemiał Ramshawe swym najlepszym sydneyjskim akcentem. – Dawaj je pan.

Odkładając słuchawkę, dalej zastanawiał się, dlaczego Wydział Specjalny Scotland Yardu jest zainteresowany tą sprawą. Zdecydował się zadzwonić do starego kumpla z ma-

rynarki, Roba Hacketta, który pracował w CIA, i sprawdzić, czy w Langley wiedzą coś więcej o tych morderstwach. Odpowiedź była zwięzła: nic. To czysto wewnętrzna sprawa Angoli i CIA nie zadawała im żadnych pytań. Hackett nie mógł też rzucić światła na zagadkę zaangażowania Wydziału Specjalnego, ale od razu się zgodził zatelefonować do paru osób w Londynie. Nie minęły trzy kwadransy, a już dzwonił z informacjami.

–Baaaardzo interesujące – zameldował, przeciągając słowa na modłę Herculesa Poirot czy też innego europejskiego tajniaka. – Specjaliści weszli w tę sprawę z powodu metody zabójstwa jednego z policjantów. Nie tego, który dostał serię z kałusza, tylko drugiego, tego z rozbitą czaszką.

–Tak? Nie wiedziałem nawet, że któryś miał rozwalony łeb.

–I to jak! Przez sam środek czoła, jakby oberwał jakimś cholernym toporkiem. I tu się dopiero zaczyna najciekawsze. Przyczyną śmierci był silny cios w nos, który wbił odłamek kości głęboko w mózg. Takie uderzenie, jak powiada mój człowiek w Londynie, mogło zostać zadane tylko przez wyszkolonego eksperta od walki wręcz z sił specjalnych. Dlatego właśnie wezwano Wydział Specjalny. Plus dla chłopaków z brygady antyterrorystycznej. Scotland Yard ani słówkiem o tym nikomu nie napomknął.

Jimmy Ramshawe znieruchomiał.

–Hej, Rob... Czy my już tego nie przerabialiśmy?

–Jasne, że tak. Ponad rok temu. Ten parlamentarzysta, Rupert Jak-mu-tam, został zabity dokładnie w ten sam sposób, choć aż tak mocno mu czaszki nie rozłupano.

–Nie dziwota, że zaproszono do śledztwa antyterrorystów – powiedział Jimmy. – Hej, stary, serdeczne dzięki za pomoc.

–Nie ma sprawy, Jim. Tylko nie rzuć się na to zbyt łapczywie, żeby ci nie wyszło, że dwa plus dwa to sześć.

–To nie ze mną, Rob. Jak ja się biorę za dodawanie dwójek, to zawsze wychodzi mi parę setek.

Odłożył powoli słuchawkę i wypuścił powietrze z długim świstem.

–Niech to cholera. Ten pieprzony „Lawa” Landon został

porwany przez majora Raya Kermana. Tak myślę. I powiedział mu, jak wysadzić w powietrze

cholerny wulkan. Aon to, cholera, właśnie zrobił. I co więcej, powiedział nam o tym. Cholera jasna!

Zmusił się do spokoju, starając się myśleć jasno. „Co robić najpierw? Dzwonić do George'a? Dzwonić do Morgana? Napisać raport? Stanąć, kurwa, na głowie? Zamówić następną kawę? Na ile to jest pilne? Hola, Jimmy... Weź no się w garść...”

Admirał Morgan dał mu trzy zadania, a on na razie wykonał dwa: sprawdził historie o wulkanach i sprawę morderstwa w Londynie oraz zaangażowania Wydziału Specjalnego. Wniosek? Profesor Paul Landon, najlepszy wulkanolog, został uprowadzony przez Raya Kermana i jego ludzi. Podczas tej operacji musieli zabić interweniujących policjantów z psem. Kerman potem przesłuchał uczonego, a na koniec go zastrzelił. Rok i trzy miesiące później był oficer SAS spokojnie informuje w imieniu terrorystycznej organizacji Hamas rząd Stanów Zjednoczonych, że spowodował wybuch Mount St. Helens.

Ostatnim zadaniem, jakie pozostało Jimmy'emu do wykonania, było sprawdzenie, czy policja stanu Waszyngton odnotowała cokolwiek, co mogłoby świadczyć, że ktoś trafił w krater wulkanu rakieta. Na Zachodnim Wybrzeżu było jeszcze dość wcześnie, Ramshawe więc poprosił operatora o połączenie z kimś w komendzie głównej, kto ma wiadomości z pierwszej ręki na temat St. Helens. Realizacja połączenia trochę potrwała, bowiem dobrze wyszkolony operator z Fort Meade dzwonił od osoby do osoby, dopóki nie znalazł oficera, którego odpowiedzi mogłyby usatysfakcjonować dochodzeniowca na wysokim szczeblu NSA. Jego rozmówcy z kolei musieli od-dzwonić do NSA dla weryfikacji. Kiedy wreszcie odpowiedni człowiek był na linii, połączył go z biurem Jimmy'ego.

–Mówi posterunkowy Ray Suplee. W czym mogę pomóc, sir?

–Tu komandor porucznik Ramshawe, asystent dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Podobno to pan złożył bezpośredni raport o wybuchu wulkanu?

–Tak jest. Byłem na patrolu na drodze numer dwanaście i jechałem na południe, kiedy to się stało. Wszystko się dzia-

ło bardzo szybko. Widziałem szczyt z wzniesienia drogi, usłyszałem też grzmot. Potężny wybuch, a zaraz po nim fala uderzeniowa. Niebo się wypełniło popiołem. Słońce dosłownie zniknęło.

–Podjechał pan blisko?

–Nie, sir. Nie dało się. Było za gorąco. Od razu się zorientowaliśmy, że jeśli ktokolwiek został w pobliżu góry, nie mógł przeżyć wybuchu i żaru, a w dziesięć minut potem na dół dotarła już lawa. Mogliśmy już tylko starać się o ograniczenie zasięgu pożaru. Naprowadzaliśmy wozy strażackie, organizowaliśmy ewakuację z okolic, w których ogień mógł się rozprzestrzeniać. Prawie żaden świadek, który mógłby cokolwiek bliższego powiedzieć o erupcji, nie przeżył.

–Rozumiem. Domyślam się, że w osiemdziesiątym roku było więcej czasu na ucieczkę?

–O, zdecydowanie. Program ewakuacji działał już kilka dni przed wybuchem. Tym razem nie mieliśmy ani nowojorskiej minuty. To cholera po prostu wzięło i wybuchło. Bez żadnego ostrzeżenia.

–Powiedział pan, że prawie nikt nie przeżył. Prawie czy absolutnie nikt?

–Prawie. Była tam grupa sportsmenów, którzy jakoś się wydostali. Czterech, w tym trzech miejscowych. O nikim innym jednak nie słyszałem.

–Przesłuchiwaliście ich?

–Nie, sir. Usłyszałem o tym przez radio jakieś trzy, cztery godziny po erupcji. Jednym z nich był znany dziennikarz radiowy Don McKeag z „Głosu Północnego Zachodu”. Wszyscy go słuchają, ale zazwyczaj nie w niedzielę. To gość z dnia powszedniego, by tak rzec. Ma program od ósmej do jedenastej rano, wiadomości i polityka.

–Dużo miał do powiedzenia?

–Sporo. Szczegółowo opisał, jak uciekali, pędząc przez płonący las, starając się wydostać na jeszcze wolny teren. Zupełnie jak w sensacyjnym słuchowisku...

–Czy słyszeli sam początek wybuchu?

–Pewnie. Don powiedział, że obozowali u podnóża góry, jakieś dwa kilometry od szczytu.

–A wspomniał, co ich skłoniło do tak szybkiej ewakuacji?

–Tak. Jednym z nich był bardzo znany w naszym stanie biznesmen, pan Tilton. Prezes Seattle National Bank. Podobno był akurat jachtem na Karaibach, kiedy wybuchł tamtejszy wulkan, prawie doszczętnie niszcząc całą wyspę. Dziesięć czy dwanaście lat temu.

–Montserrat?

–O, właśnie. Pan Tilton obserwował wszystko z morza,

0 kilka mil od wyspy. Jacht mu zasypało popiołem tak, że musiał splukiwać węzem. W każdym razie wiedział lepiej niż ktokolwiek, jak szybko trzeba wiać, żeby się uratować, kiedy wybucha wulkan.

–Wygląda na to, że Donowi trafiła się prawdziwa dziennikarska gratka, co?

–Jasne. Tylko... Było coś w programie, co mi nie bardzo pasowało do całości. Pan Tilton wspominał, że słyszał trzykrotny wybuch od strony krateru, ale przedtem, to znaczy przed pierwszym z nich, usłyszał dziwny powiew wicheru nad jeziorem, we mgle. Dla mnie to nie ma związku. Nawet huragan nie spowoduje wybuchu wulkanu, prawda? A z drugiej strony gość jak Tilton by tego nie zmyślał. Nie on. W Waszyngtonie jest bardzo szanowany. Niektórzy mówią, że może startować w wyborach na gubernatora.

–Panie Suplee, czy może mi pan załatwić rozmowę z prezesem Tiltonem?

–Pewnie, sir. Zaraz zadzwonię do banku i dam panu znać.

–Dzięki. Bardzo mi pan pomógł.

–Do usług, sir. Zaraz oddzwonię.

Jimmy odłożył słuchawkę w zamyśleniu. Czyżby Tilton słyszał przelatującą rakietę? Nie musiał czekać długo. Po pięciu minutach posterunkowy Suplee był znów na linii.

–Za dwadzieścia minut pan Tilton będzie czekał pod tym numerem...

Jimmy zapisał rząd cyfr. Postanowił poinformować o swoich podejrzeniach admirała Morgana dopiero po zakończeniu tego ostatniego punktu dochodzenia. Zdjął zegarek i położył go przed sobą na biurku – zwyczaj ten przejął od ojca –

1 zaczął spisywać swoje spostrzeżenia. Punktualnie o osiemnastej dziesięć wystukał podany numer i po sekundzie był już połączony z kremowym aparatem w przestronnym, kli-

matyzowanym gabinecie w centrum Seattle, gdzie była dopiero piętnasta dziesiąta.

–Tilton – rzekł głos w słuchawce.

–Dzień dobru panu. Nazywam się komandor James Ramshawe i jestem asystentem dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade w Marylandzie. Spodziewał się pan mojego telefonu...

–Tak. Dwadzieścia minut temu uprzedziła mnie policja stanowa. Czym mogę służyć? Musi chodzić o wulkan. Nigdy jeszcze tyle osób nie chciało ze mną rozmawiać naraz i na ten sam temat.

Jimmy przeszedł więc do sedna sprawy.

–Policjant, z którym rozmawiałem, powiedział mi, że udzielał pan wywiadu radiowego, w którym wspomniał pan o gwałtownym porywie wiatru tuż przed wybuchem, czy tak?

–Mniej więcej. Słyszałem go kolejno parę razy. Dziwny świst gdzieś w górze nad jeziorem, we mgle. To był dźwięk podobny do tego, jakie się słyszy w starym domu podczas burzy... wie pan, kiedy zrywa się gwałtowny wiatr i gdzieś na strychu rozlega się to upiorne zawodzenie. Tylko że tego dnia nad jeziorem praktycznie nie było ani tchnienia wiatru. Tylko ten nagły świst powietrza.

–Czy słyszał go jeszcze ktoś oprócz pana?

–Nie. Tylko ja. Spojrzałem nawet w górę, bo to był taki niezwykły dźwięk.

–I co dalej?

–W sekundy później, dosłownie może dziesięć sekund, od strony szczytu rozległ się głuchy, stłumiony huk. To już na dobre mnie zaniepokoiło, bo jak pan wie, po Montserrat mam niezłego stracha przed wulkanami. Don też go słyszał. Wyciągnęliśmy pozostałych z namiotu. A potem znowu, może minutę później... znów ten dziwny wiatr i jeszcze jedna, wyraźna eksplozja. Daleko w górze.

–Były jeszcze następne?

–Już nie słyszeliśmy, ale za to poczuliśmy. Cały teren wokół się zatrzęsł, a potem niebo zasnuła czarna chmura i te Płonące kamienie zaczęły spadać na las. Pierwszy ogień zobaczyliśmy po prawej i daleko przed nami, może z kilometr.

Tak daleko to wszystko leciało. Byliśmy już wtedy w drodze... Powiedziałbym, że dobre dziesięć kilometrów od szczytu.

–Panie Tilton, nie wiem, jak panu dziękować – rzekł Jimmy. – Bardzo mi pan pomógł.

–Nie ma za co, komandorze. Ale niech mi pan powie, dlaczego NSA interesuje się czymś, co wyraźnie jest działaniem siły wyższej?

–To rutynowe dochodzenie, proszę pana. Zawsze sprawdzamy okoliczności wszystkich takich katastrof. Wie pan, trzęsienia ziemi, wielkie pożary, fale powodziowe... Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas.

Wtorek, 18 sierpnia 2009 roku, godzina 11.30. Biały Dom, Waszyngton

Prezydent McBride, szczupły, wysoki mężczyzna o kasztanowych, nieco już siwiejących i przerzedzonych włosach, nie krył poirytowania. Jeszcze przed chwilą myślał tylko

o zbliżającym się lunchu, a tu masz! Trzystronicowy raport prosto z Parku Jurajskiego, z kopią do Cyrusa Romneya, przedstawiający hipotezę, że nieznane osoby spowodowały wybuch Mount St. Helens z okrętu podwodnego zaparkowanego podobno o setki mil od wybrzeża, na dnie cholernego Pacyfiku. Absurd! To jest właśnie przykład wojennej psychozy rozsiewanej przez mundurowych o zajętych mózdkach, jaką prezydent poprzysiągł wyeliminować. Całe dekady

1 biliony dolarów z kieszeni podatników zmarnowane na wariackie militarne eskapady, pogoń za cieniami, doszukiwanie się szpiegów za każdym rogiem, na wymysły Reagana i Busha, groźby wobec innych krajów, bombardowania... I po co? Poglądy Charlesa McBride'a były dobrze znane. Uważał perspektywę jakiegokolwiek wojny za nie do pomyślenia. Nieraz mawiał: „Jeżeli mielibyśmy walczyć po to, żeby utrzymać nasze miejsce we współczesnym świecie, to lepiej się z niego wyłączyć i prowadzić politykę izolacjonizmu”.

Prezydent podniósł w dwóch palcach raport, który przed chwilą przekartkował, i zwalczył w sobie pokusę wyrzucenia go do kosza. Cyrus przecież wyraźnie powiedział tym z Fort

Meade, że mają na to nie marnować czasu. Oczywiście oni zrobili akurat na odwrót, a teraz jeszcze to. Nacisnął guzik wzywający doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego. Chciał z nim przedyskutować tę sprawę. Zawsze lepiej się czuł, mogąc pogadać z Cyrusem. Byli starymi przyjaciółmi, ramię w ramię maszerowali w Waszyngtonie w demonstracjach przeciwko wojnom bliskowschodnim. Obaj zaliczali się do „oświeconych” i nie mieli zamiaru żyć mroczną, pełną antagonizmów przeszłością.

Cyrus zapukał lekko do drzwi i wszedł.

–Cześć, panie prezydencie – rzucił wesoło od progu. – I jakież to okropne problemy rzuca ci dzisiaj pod nogi ten bezduszny świat?

W wolnych chwilach Cyrus Romney parał się poezją.

–To, stary – odrzekła głowa państwa. – Wariackie wymysły dinozaurów. Oni są przekonani, że jakiś potwór rodem z „Wodnego świata” czai się na dnie oceanu, naciska guziki i wysadza w powietrze amerykańskie wulkany. Uwierzyłbyś w podobne bzdety?

–Szczerze mówiąc, dopiero się zabierałem za dzisiejszą pocztę. Chyba przysłali mi kopię?

–A jakże. Opierają swoją teorię na tym fałszywym liście do Morgana. Admirał Morris chyba uważa, że ktoś mógł strzelać rakietami cruise w stan Waszyngton.

–Jezu Chryste! – westchnął doradca. – Ci faceci powinni pisywać powieści.

–Ja wiem tylko, że w tym stanie są dwie olbrzymie bazy US Navy, a teraz te błazny z Fort Meade wmawiają mi, że mimo bilionów dolarów wpompowanych w cały ten horrendalnie drogi sprzęt obserwacyjny pilnujący zatoki Puget i wszystkiego, co na zachód od niej, na wodzie, pod wodą i nad wodą, jakiś cholerny atomowy okręt podwodny może sobie swobodnie podpłynąć nie wiadomo skąd i strzelać w nasze wulkany. Nie wiem, albo coś mi tu umknęło, albo to jedno wielkie gówno na bezprecedensową skalę.

–Cóż, jeszcze tego nie czytałem, Charles. Ale rzeczywiście brzmi to lekko przesadnie.

–Streszczę ci. Rok temu jakaś organizacja terrorystyczna ri rzekomo porwać w Londynie słynnego wulkanologa,

którego potem zabili. Według dinozaurów on tym terrorystom powiedział, jak można uruchomić nieczynny wulkan, a oni podobno to właśnie zrobili. Wybuch Mount St. Helens to ponoć ich sprawka.

–Czy mordercy tego uczonego zostali złapani? Są jakieś dowody? Był proces?

–Coś ty? Angole nikogo nie złapali. Mimo to Fort Meade twierdzi, że ślady wiodą na Bliski Wschód.

–Co wobec tego sugerują?

–Chcą postawić całą marynarkę wojenną w stan ostrego pogotowia. Mamy brać poważnie ich wymysły, że ci faceci naprawdę istnieją i umieją się posługiwać wulkanami.

–Banda wariatów. Zgodzisz się chyba z tą opinią? Mam pewnie napisać odpowiedź.

–Tak jest. I... Cyrusie, powiedz im, na litość boską, niech przestaną wymyślać takie psychotyczne scenariusze. To nikomu nie przynosi nic dobrego.

–Zrobi się, szefie. Zaraz to przeczytam i załatwię sprawę, jak trzeba.

Romney odszedł. Tego popołudnia admirał Morris otrzymał jego sarkastyczną odpowiedź na swój wysłany rano raport.

Drogi admirale Morris,

Przykro mi, że uznał Pan za stosowne nie posłuchać mojej rady i nie zignorował Pan tego fałszywego listu od Hamasu. Jak Panu wiadomo, i wtedy, i teraz pozostaję przekonany, że był to czyjś głupi dowcip albo produkt chorego umysłu. Wie Pan zapewne, że większość naprawdę ciężko dotkniętych chorobą psychiczną chętnie przypisuje sobie boską moc i odpowiedzialność za globalne katastrofy.

Przedyskutowałem tę sprawę z prezydentem i spieszę zapewnić Pana, że obaj się zgadzamy, iż nie ma ani cienia konkretnego dowodu na powiązania jakiegokolwiek bliskowschodniego terrorysty z tymi londyńskimi morderstwami. Trudno mi się domyślić, w jaki sposób doszedł Pan do wniosku, że profesor Lan-don przed śmiercią sporządził coś w rodzaju poradnika wysadzania wulkanów i wręczył go zgrai arabskich zabijaków. Z całą pewnością nie ma podstaw do uznania tego listu za cokolwiek innego niż zwykle fałszerstwo albo wymysł wariata. Przykro mi, admirale, ale prezydent wypowiedział się stanowczo. Nie prze-

konał nas Pan. Proszę zawsze pamiętać o tym, że wydajemy pieniądze amerykańskich podatników, którzy właśnie po to wybrali Charlesa McBride'a na to najwyższe stanowisko w kraju, żeby unikał bezsprzecznie nadmiernych kosztów, jakie generują nasze siły zbrojne. Dzisiaj, w trzecim tysiącleciu naszej ery, naród życzy sobie udziału w decydowaniu o sposobie wydawania jego pieniędzy. Z poważaniem

Cyrus Romney

Komandor porucznik Ramshawe spojrział na szefa z niedowierzaniem.

–Tak jest, synu. Mamy tam przeciwników. Kontruja nas od samego początku, zanim jeszcze poznają nasze opinie i rady.

–Poinformujemy Wielkiego Człowieka o stanie rzeczy?

–Oczywiście. Przedstawimy mu wszystkie szczegóły naszego dochodzenia. Powiemy też generałowi Scannellowi. Nie przeszkadza mi, że Biały Dom sobie ze mnie drwi. Ale kiedy dochodzę do przekonania, że prezydent świadomie wystawia nasz kraj na zagrożenie, czuję się w obowiązku dmuchnąć w kilka gwizdków. On może sobie być prezydentem, ale to pieprzony polityk, który jest tam tylko chwilowo. My zaś należymy do stałej instytucji, która została powołana właśnie po to, by Stanom Zjednoczonym zapewniać bezpieczeństwo. Przeważnie robimy to, czego sobie kolejni prezydenci życzą. Jest jednak granica, którą on może przekroczyć tylko na własne ryzyko... i szkodę.

–I myśli pan, że właśnie to zrobił? – spytał Jimmy.

–Czytałem twój raport, komandorze. To pewne, że granica została przekroczona.

Admirał Morris i jego asystent raz jeszcze mieli szczęście. Jimmy zadzwonił do domu państwa Morganów i poprosił o pilne i prywatne spotkanie w sprawie, którą jego szef uważa za absolutnie priorytetową.

–Nie można z tym poczekać do jutra? – spytał Arnold Morgan.

–Można by, ale admirał Morris jest zdania, że powinniśmy porozmawiać natychmiast, a wie pan, że on zazwyczaj nie ulega nadmiernemu podekscytowaniu.

Morgan dobrze o tym wiedział. Milczał przez chwilę, po czym rzekł:

–Słuchaj, Jimmy, zabieram dzisiaj Kathy na kolację do jej ulubionej restauracyjki w Georgetown. Nie mogę odwołać rezerwacji w ostatniej chwili, więc najlepiej będzie, jak twój

szef i ty dołączycie do nas.

–Jest pan pewien, sir? – upewnił się uradowany Jimmy.

–Nie. Ale przycisnąłeś mnie do muru. „Le Bec Fin”, chyba wiesz, gdzie to jest. Kilka razy widziałem tam Johna Peacocka.

–Tak, wiem. Byliśmy tam w urodziny Jane. O której nas pan tam przyjmie?

–O czterech szklankach, po ostatniej psiej wachcie. I nie spóźnić mi się!

–Aye, aye, sir! – Jimmy z trudem zachował powagę.

Punktualnie o dwudziestej samochód służbowy z Fort Meade podjechał pod wejście do restauracji. Morris i Ram-shawe znaleźli Morganów siedzących naprzeciwko siebie w przestronnej, prywatnej łoży na tyłach głównej sali. George'owi dostało się miejsce obok admirała, Jimmy przysiadł się do Kathy.

–Bardzo przepraszam, ale muszę dać panu admirałowi krótki dokument do przeczytania, zanim zaczniemy rozmawiać – sumitował się komandor. – To tylko trzy strony i nie ja jestem winien. Sprawca tej niedogodności siedzi teraz naprzeciw mnie i jest zbyt grubą rybą, abym śmiał się z nim sprzeczać.

To dość zręczne zagranie przełamało lody, jakie mogły się nagromadzić wokół wymuszonego zaproszenia. Arnold i Kathy się roześmieli, a admirał nalał wszystkim białego burgunda. Nigdy nie miał zwyczaju zadawać gościom tradycyjnego pytania „Czego się napijecie?”; jak w większości sytuacji uważał, że sam wie najlepiej. I najczęściej miał rację-Bladozłocisty Pernand-Vergeless rocznik 1998, z Domaine Chandon de Briailles, okazał się wyśmienity.

–Niech mnie, ależ to wspaniałe wino, sir! – wyrwało się Jimmy'emu.

–Cisza, Ramshawe. Nie widzisz, że czytam?

–Tak jest, sir.

Dokończenie lektury zajęło Morganowi pięć minut. Kiedy skończył, wychylił marynarskiej wielkości łyk burgunda.

–Matko Boska! – westchnął. – Nasz stary znajomy Ray Kerman znowu w akcji. I wygląda na to, że dopiero zaczyna. Wulkan był tylko imprezą towarzyszącą, bo inaczej nie przysłałby mi tego autogratulacyjnego listu, prawda?

–Właśnie – przytaknął George Morris. – Jeszcze o nim usłyszymy.

–Dobrze, ale gdzie on się tymczasem podziewa? – spytał Arnold. – Zgadza się z Jimmym, że ten dwukrotnie wykryty okręt na Aleutach to nie kto inny, jak druga Barracuda. Kilka dni później człowiek, którego można określić jako godnego zaufania, słyszy kilka rakiet lecących w stronę szczytu St. Helens, na sekundy przed erupcją. To mi wystarcza. Mamy do czynienia z Kermanem, który czai się gdzieś tam pod wodą i knuje Bóg wie co.

–Mnie też więcej nie trzeba – rzekł Morris. – Niestety, nie wystarcza to prezydentowi i jego głównemu doradcy. – To rzekłszy, podał Morganowi kopię listu otrzymanego od Cyrusa Romneya.

Arnold znów zabrał się do lektury, z wyraźnym niepokojem malującym się na twarzy.

–No, tak. To kwintesencja wszystkiego, czego się obawiałem ze strony miękkiego, lewicowego prezydenta – podsumował. – Elegancko pomieszczone na jednej stronie druku, autorstwa jednego z największych dupków na tej planecie. Chryste Panie. Romney to pieprzone dziecko-kwiat ubrane w garnitur. W zeszłym miesiącu „New Yorker” zamieścił jeden z jego okropnych wierszy. Cholera, mamy w Białym Domu pieprzonego Wordswortha, który kieruje obroną Stanów Zjednoczonych przeciwko jednemu z najmniejbezpiecznych terrorystów, na jakich się natknęliśmy w historii. Psiakrew, »pęk złotych żonkili... pora mgieł i słodkiego owocowania...“

–To są cytaty z dwóch różnych poetów, kochanie – zwróciła mu uwagę Kathy.

–I bardzo dobrze. Ja mam akurat do czynienia z dwoma różnymi dupkami.

Komandor porucznik Ramshawe był bardzo bliski wyrzu-

kierując ją na główne menu.

–Myślę, że musimy się jeszcze z pięć minut pozastana-wiać – zbył go Morgan, natychmiast wracając do zasadniczego tematu. – George, po pierwsze, muszę pogratulować Jimmy'emu jego nieprzeciętnej roboty detektywistycznej. Po drugie, chcę ci powiedzieć, że jeszcze żaden polityk zajmujący pierwszoplanową pozycję w Białym Domu nie budził we mnie takiego niepokoju. List, jaki dostałeś od tego całego Romneya, jest według mnie ni mniej, ni więcej, tylko haniebny. Tak pisać do dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, admirała i byłego dowódcy zespołu lotniskowca? Jestem zaszokowany. Ale to wszystko błędnie przy zasadniczym problemie. Mam na myśli niechęć tego rządu do działania w prawdziwym interesie naszego kraju. Nawet jeżeli prezydent osobiście w to nie wierzy, musi stanąć twarzą w twarz z podstawową prawdą: terroryści mogli... powtarzam, mogli... zabić już około setki naszych obywateli ze stanu Waszyngton. Takie odrzucenie faktów może oznaczać, że Charles McBride poważnie się sprzeniewierzył przysiędze.

–Co wobec tego zrobimy?

–Na razie siedzimy bardzo cicho. Chcę jednak, abyś zaalarmował generała Scannella i admirała Dicksona. Jeżeli naprawdę dzieje się coś tak poważnego, to wolę mieć pewność, że odpowiednie instancje są dobrze poinformowane. Trzeba im chyba poradzić, żeby uważali na wolno płynący rosyjski okręt nuklearny, który może się znajdować gdziekolwiek u naszych zachodnich wybrzeży.

–Arnie, co byś zalecił na wypadek, gdybyśmy zlokalizowali tę Barracudę gdzieś na Pacyfiku, może niezupełnie na naszych wodach terytorialnych?

–Jak to co? Zatopić, George – odparł Morgan. – Zatopić sukinsyna, oby na jak najgłębszym akwenu. O nic nie pytać i upierać się, że nic o niczym nie wiemy.

–To mi się podoba, sir. – Jimmy Ramshawe wyszczerzył zęby w zawadiackim uśmiechu. – Takiego ducha nam trzeba-

Wszyscy trzej w tej chwili gorzko żalowali, że Arnolda Morgana nie ma już w jego dawnym biurze w zachodnim skrzydle Białego Domu.

Wtorek, 18 sierpnia, południe. Pacyfik, 2430N/12300W

Barracuda II płynęła tymczasem kursem SSW, wzdłuż brzegów amerykańskich, a potem meksykańskich, trzymając się o pięćset mil od lądu i na głębokości stu osiemdziesięciu metrów. Mijając niebezpieczny rejon na wysokości wielkiej bazy marynarki w San Diego, Ben Badr odszedł dalej na ocean, ale potem skręcił w lewo i znów wrócił w pobliże brzegu. Nie wyglądało na to, by ktokolwiek ich szukał. Nie słyszeli żadnych transmisji radiowych, sami też się nie odzywali. Od ponad tygodnia nie wychodzili na powierzchnię, a teraz posuwali się wzdłuż długiego na tysiąc kilometrów Półwyspu Kalifornijskiego, ku zwrotnikowi Raka. Przed sobą mieli długi, liczący sześć tysięcy mil morskich odcinek oceanicznej żeglugi do przylądka Horn, a potem dalej, w górę Atlantyku. Przy obecnej prędkości pięciu węzłów dotarcie na pogranicze dwóch oceanów zajęłoby pięćdziesiąt dni. Otwierający się jednak przed nimi bezmiar Pacyfiku nie jest patrolowany przez US Navy, a i satelity amerykańskie nie poświęcają mu wiele uwagi. Kiedy dotrą na wysokość Peru i Chile, będą mogli rozkręcić turbiny Barracudy II do większych obrotów, może i do piętnastu węzłów; wszędzie zaś będą mieli do dyspozycji bardzo głębokie wody, daleko od szelfu kontynentalnego.

General Raszud spędził ten dzień, jak zresztą wszyscy, w nastroju pogodnym, choć nie zmniejszył czujności. Kolację zjedli tylko we dwoje z Szakirą; Ben trzymał akurat wachtę w centrali. O północy dziewczyna położyła się spać. O drugiej nad ranem Rawi polecił podejść na głębokość peryskopową. Natychmiast, gdy było to możliwe, wysunął maszt antenowy. Wysłanie dwuwyrazowego komunikatu zajęło sześć sekund i tyle też czasu antena była nad wodą. Potem znów zniknęli w głębinach.

ROZDZIAŁ 6

Środa, 19 sierpnia 2009 r., godzina 1.30. Baza marynarki wojennej w Bandar Abbas

Sygnal satelitarny od generała Raszuda nadszedł dokładnie w umówionym terminie i admirał Mohammed Badr odebrał go z pewną ulgą. Barracuda II wciąż operuje, a jego ukochany syn jest bezpieczny. Spojrzał na zapieczętowaną paczkę z dokumentami leżącą na biurku obok telefonu. Miał wrażenie, że gotowa jest wypalić dziurę w blacie. Wstał szybko i wyszedł na zewnątrz. Samochód sztabowy wywiózł go z bazy na północ i na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w lewo w stronę lotniska. Na pasie startowym czekał na niego mały odrzutowiec syryjskich linii lotniczych, grzejąc już silniki. Samochód podjechał prosto pod schody. Badr wysiadł i osobiście przekazał paczkę pilotowi. Stał potem jeszcze przez chwilę, obserwując, jak samolot nabiera prędkości, odrywa się od pasa i ostro wspina w czarne, rozgwieżdżone niebo, pochylając się w skręcie na północny zachód, wzdłuż Zatoki Perskiej, granicy iracko-saudyjskiej, i dalej, nad Jordanią, w stronę odległego o ponad dwa tysiące kilometrów Damaszku. Tam będzie na niego czekał młody komandor irańskiej marynarki, który odbierze paczkę i zawiezie ją do ambasady saudyjskiej przy alei Al-Dżala. Królewska poczta

dyplomatyczna dostarczy ją z kolei do ambasady syryjskiej w Waszyngtonie. Tak pokrętna droga paczki z dokumentami będzie praktycznie niemożliwa do odtworzenia. Zaadresowana do prezydenta Stanów Zjednoczonych, do Białego Domu, zostanie dostarczona przez dyplomatyczną służbę kurierską. Przesyłka oficjalna, ale niewiadomego pochodzenia. Admiral Badr był dumny z siebie za tak chytre zaplanowanie jej doręczenia do adresata.

Piątek, 21 sierpnia 2009 r., godzina 11.00. Biały Dom, Waszyngton

Szef gabinetu prezydenta McBride'a, „Duży” Bili Hat-chard, dawny i niezbyt dobry obrońca z drużyny Yale, zastukał lekko do drzwi Gabinetu Ovalnego. Prezydent rozmawiał przez telefon, ale Bili był przyzwyczajony do czekania. Służył byłemu kongresmanowi z Rhode Island podczas jego kadencji na Kapitolu, woził go, pisał za niego, ochraniał, a w końcu prowadził jego kampanię prezydencką. Charlie McBride traktował go jak brata.

W końcu zza drzwi dał się słyszeć znajomy okrzyk:

–Właż, Bili, o co chodzi?

Hatchard wszedł, dzierżąc pod pachą paczkę z Bandar Abbas, którą zdążył otworzyć i przejrzeć zawartość. Tylko przesyłki, które asystenci uznali za wyjątkowo ważne, były kierowane bezpośrednio do szefa gabinetu. Ta zaś wyglądała na bardzo ważną; doręczył ją kurier dyplomatyczny, a zaadresowana była do samego prezydenta i oznaczona jako „poufna, do rąk własnych”. Nic jednak nie mogło trafić do samej głowy państwa bez pośrednictwa jego prawej ręki. W przeciwieństwie do raczej miernych osiągnięć jako futbolowego obrońcy, Bili Hatchard mógł teraz zatrzymać wszystko i każdego ze swej pozycji w biurze w zachodnim skrzydle.

Tego ranka jednak jego zazwyczaj pogodna twarz była nachmurzona. Taka mina Billa była dobrze znana jego kolegom z ławki rezerwowych, ale tu, w Białym Domu, rzadko widywano go w takim nastroju. Częścią jego obowiązków było podtrzymywanie wysokiego morale, rozweselanie ludzi, łagodzenie stresu i bagatelizowanie problemów.

–Cokolwiek tam ściskasz w prawicy, młody człowieku, najwyraźniej przyczynia ci wielkiego zmartwienia -zauważył prezydent. – Jeśli to mniej poważne niż bezpośrednia groźba śmierci, to będę musiał ci trochę poprawić nastrój.

Bili zaśmiał się niewyraźnie.

–Sir, to może być coś znacznie gorszego od groźby śmierci- Chciałbym, żeby pan to przynajmniej uważnie przeczytał... to raptem dwie strony. Mogę się poczęstować kawą?

–Proszę bardzo. Przy okazji możesz nalać i mnie, a ja tymczasem rzucę okiem, jakie to złe wieści mi przyniosłeś...

Panie prezydencie,

Do tej pory już Pan pewnie zdał sobie sprawę, że erupcja Mount St. Helens nie była dziełem

przypadku. W samej rzeczy została ona spowodowana przez bojowników o wolność spod znaku Hamasu, jak już dałem do zrozumienia w moim komunikacie dla admirała Morgana. Jestem teraz gotów wyłożyć moje żądania, które musi Pan spełnić, aby zapobiec zniszczeniu przez nas całego Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych, w tym Bostonu, Nowego Jorku i Waszyngtonu. Zamierzamy tego dokonać przez wywołanie największej fali tsunami, jaką ten świat widział za żywej pamięci ludzkości.

Szacujemy, że jej wysokość osiągnie około pięćdziesięciu metrów w chwili, gdy przetoczy się nad portem nowojorskim, Wall Street i Manhattanem. Niemal na pewno wleje się w głąb lądu na trzydzieści kilometrów, zanim w końcu straci impet i zacznie się gwałtownie cofać do oceanu. Na tym jednak nie koniec – po niej nadejdzie następna i jeszcze jedna, podobne do pierwszej wysokością. W sumie możecie się spodziewać około piętnastu fal. z której żadna nie będzie niższa niż dwadzieścia kilka metrów.

Nie ma na świecie miasta, które oparłoby się takiemu uderzeniu oceanu. Obawiam się, że niewiele zostanie z waszego Wschodniego Wybrzeża, kiedy już to megatsunami się uspokoi. Być może wątpi Pan w naszą zdolność do spowodowania katastrofy na taką skalę. Zapewniam jednak, że to nie jest takie trudne; podobne zdarzały się już kilkakrotnie w historii naszej planety. Są różne miejsca, gdzie można wywołać taką reakcję oceanu, my jednak wybraliśmy takie, w którym nie może się nam nie udać. Jestem pewien, że Pan się zgodzi z twierdzeniem, że skoro umieliśmy doprowadzić do eksplozji największego wulkanu na terytorium Stanów Zjednoczonych, to prawdopodobnie potrafimy zaaranżować odpowiednio duże osunięcie skały pośrodku pustego oceanu. Niech Pan w to nie wątpi, panie prezydencie.

Nadeszła zatem pora przejść do meritum. Aby oddalić groźbę wyżej opisanego wydarzenia, bez zwłoki podejmie Pan następujące działania:

1. Ewakuuje Pan cały amerykański personel wojskowy i usunie całą zmagazynowaną artylerię, bomby, rakiety, amunicję i inne materiały wojenne z waszych nielegalnych baz w Kuwejcie, Arabii Saudyjskiej, Katarze, Omanie, Zjednoczonych Emiratach

Arabskich i Dżibuti. Wszystkie okręty wojenne i samoloty bojowe opuszczą Bahrajn i będącą własnością Brytyjczyków wyspę Diego Garcia. Wszystkie trzy zespoły lotniskowców i inne jednostki marynarki wojennej, aktualnie znajdujące się w Zatoce Perskiej i przyległych morzach, niezwłocznie opuszczą te wody. Wycofa Pan też samoloty i sprzęt pomocniczy z bazy powietrznej Incirlik na terenie Turcji. Termin zakończenia tych działań jest nieprzekraczalny. Oczekujemy rozpoczęcia ruchów wojsk, okrętów i samolotów w ciągu siedmiu dni. Operacja musi się zakończyć przed upływem sześciu tygodni, nawet jeśli wymagałoby to porzucenia przez was części wyposażenia.

2. Rząd Izraela ma niezwłocznie uznać Niepodległe, Demokratyczne i Suwerenne Państwo Palestyńskie, oparte na terytoriach Gazy i Zachodniego Brzegu, okupowane przez wojska izraelskie od 4 czerwca 1967 roku. Musi się też zgodzić na natychmiastowe rozpoczęcie wycofywania wszelkich izraelskich jednostek wojskowych z okupowanych terenów. Wymagamy, aby rząd Stanów Zjednoczonych zmusił Izrael do zastosowania się do naszych żądań bez żadnej zwłoki.

Niespełnienie powyższych warunków będzie równoznaczne ze zniszczeniem waszych wielkich miast Boston, Nowy Jork i Waszyngton, a wraz z nimi całego wybrzeża atlantyckiego. Zakładamy, że otrzyma Pan ten list 21 sierpnia. Macie czas do północy w czwartek 8 października, żeby wejść w ostatnią fazę całkowitego wycofania się z Bliskiego Wschodu. Jeżeli nie ujrzymy wyraźnych oznak, że to robicie, w ciągu dwudziestu czterech godzin od podanego terminu wywołamy tsunami.

Jestem przekonany, że wasi eksperci potwierdzą, iż nasze zamiary są najzupełniej wykonalne. Powtarzam, że jesteśmy zdolni do spowodowania osunięcia się warstw skalnych w wybranym miejscu w dniu 9 października bieżącego roku. Nie próbujcie grać na zwłokę. Z pomocą Allaha, który nam sprzyja, chcemy raz na zawsze wyrzucić was z Bliskiego Wschodu. On da nam zwycięstwo. Nie cofniemy się przed niczym, aby osiągnąć nasze cele.

Hamas

Prezydent McBride westchnął.

–Bili, ten list napisał jakiś wariat. Wpadł na genialną myśl, by przypisać sobie wybuch Mount St. Helens... oczywiście po fakcie. Żaden problem, prawda? Potem sobie ubzdu-rał, że ktoś mógł w to uwierzyć, i usiłuje wymusić spełnienie tych idiotycznych żądań. Wątpię jednak, żeby nawet on był

tak stuknięty, żeby sądzić, iż naprawdę zaczniemy wycofywać wszystkie nasze wojska z najbardziej zapalnego regionu świata tylko dlatego, że on grozi zrównaniem z ziemią Nowego Jorku...

–Chyba tak, sir... – Hatchard skinął głową. – Ale, na Boga... Nie uważa pan, że ten facet może mówić prawdę?

–Nie, do diabła! Coś ci powiem. Za każdym razem, kiedy przytrafia się jakaś naturalna katastrofa, wybuch wulkanu, trzęsienie ziemi, powódź, wielki pożar czy klęska głodu, nadchodzą listy od różnych czubków, którzy twierdzą, że oni ją spowodowali, zainspirowali albo przynajmniej przewidzieli. Bili, nikt nie zwraca uwagi na takie wymysły. To nie jest tak, jakby ktoś zadzwonił dzień wcześniej i oznajmił: „Zamierzam wysadzić w powietrze cholerny wulkan”, a na drugi dzień wulkan naprawdę wybucha, prawda? To byłoby dość trudne do wykonania. Nie, świry czekają na takie wydarzenie, a dopiero potem mówią: „Hej, to właśnie ja zrobiłem”.

–Okay, sir. Jeśli taka jest pana decyzja... Ale może ja zrobię kilka kopii tego listu i roześlę do różnych zainteresowanych stron w wojsku i wywiadzie? Można by też posłać je sekretarzom obrony i stanu.

–Nie sądzę, aby to było konieczne, Bili.

–Tak jest. Ale proszę przyjąć słówko ostrzeżenia. Jeżeli przyjmujemy, że jest minimalne prawdopodobieństwo, powiedzmy jeden do miliona, że ktoś rzeczywiście pomógł St. Helens, to warto puścić ten list w obieg z krótkim wyjaśnieniem. Wie pan, poinformować ludzi, że uważa pan to za wygłup, ale też jest pan otwarty na sugestie... W ten sposób osłonimy własne tyłki, sir. Ja wiem, że nic podobnego się nie zdarzy, ale gdyby jednak się zdarzyło... to cóż, nie będzie to pańska wina. To ci beżużyteczni wojskowi nie zareagowali w porę. W polityce zawsze trzeba chronić tyłek, prawda, sir? Wpakuje pan ten list na dno archiwum, a potem przyjdzie zapowiadana w nim katastrofa... i co? Tylko pan będzie za to odpowiadać. Po co ryzykować? Musimy się zabezpieczyć.

–No, dobra, stary. Ale jeśli nagle cały Biały Dom wypełni się szalonymi generałami i admirałami, uszczęśliwionymi okazją do zaatakowania Arabów, to ty będziesz za to odpowiadać. Przede mną.

–W porządku, sir. Mogę odpowiadać.

Bili Hatchard wycofał się i zajął kopiowaniem listu od generała Raszuda. Podyktował sekretarce krótki list przewodni do każdego adresata:

Prezydent uważa, że to albo fałszerstwo, albo wymysł wariata. Zwraca uwagę, że twierdzenie autora o spowodowaniu wybuchu Mount St. Helens pojawiło się dopiero w parę dni po fakcie. Prosił mnie o zapewnienie Pana, że jako naczelny zwierzchnik sił zbrojnych nie zamierza spełniać żądania wycofania naszych jednostek z Bliskiego Wschodu. Niemniej chce, aby Pan się zapoznał z treścią załączonego listu i będzie Pana informował o wszelkich dalszych podobnych oświadczeniach.

Z poważaniem

Bili Hatchard

szef gabinetu prezydenta

List Hamasu został przekazany sekretarzowi stanu i sekretarzowi obrony, którzy całym sercem zgadzali się z opinią swego przywódcy. Otrzymał go też dyrektor NSA Morris, generał Tim Scannell i admirał Alan Dickson, którzy zdążyli się wcześniej zapoznać z raportem Jimmy'ego Ramshawe'a i zdecydowanie się z prezydentem nie zgadzali.

Admirał Morgan nie znalazł się na liście adresatów Billa Hatcharda, ale George Morris przesłał mu kopię. Dickson z kolei przekazał treść listu Hamasu admirałom Dickowi Greeningowi (CINCPAC – dowódcy Floty Pacyfiku), Fred-diemu Curranowi (COMSUBPAC – dowódcy floty podwodnej Pacyfiku) i Johnowi Bergstromowi (SPECWARCOM -dowódcy sił specjalnych US Navy, SEALs). Do popołudnia czasu Wschodniego Wybrzeża wszyscy najważniejsi oficerowie marynarki wojennej odpowiedzialni za obszar operacyjny Pacyfiku otrzymali polecenie zapoznania się z raportem Ramshawe'a, a potem przeczytania najświeższego oświadczenia Hamasu. Jak jeden mąż uznali, że nie może to być zwykły zbieg okoliczności. Nikt nie miał wątpliwości, że jest aż nadto dowodów na powiązania przywódcy palestyńskich terrorystów Raya Kermana z katastrofą w stanie Waszyngton. Raport Ramshawe'a stwierdzał, że admirał Morgan nawet sfotografował byłego majora SAS w towarzystwie

czołowych irańskich wulkanologów na stokach Cumbre Vieja; po jego lekturze większość z oficerów była przekonana, że ten właśnie wulkan na Wyspach Kanaryjskich jest najbardziej prawdopodobnym celem, który może spowodować kataklizm opisany w liście Hamasu. Wydawało się prawdopodobne, że Barracuda II może się teraz skradać po cichu przez wschodni

Pacyfik u wybrzeży USA. Mogła też uciekać na południe, ku przylądkowi Horn i dalej na Atlantyk, w stronę wysokiego, niestabilnego południowo-zachodniego brzegu Palmy.

Nie zważając na opinię prezydenta, generał Scannell zwołał alarmowe zebranie Połączonego Komitetu Szefów Sztabów w Pentagonie na dziesiątą trzydzieści w poniedziałek 24 sierpnia. Zebranie miało charakter wyłącznie militarny, ściśle tajny; oprócz wojskowych zaproszono na nie tylko trzy osoby spoza Pentagonu: dyrektora NSA, admirała Morgana i młodego Sherlocka z Fort Meade, komandora Ramshawe'a. Porządek dnia miał pięć punktów. Po pierwsze, analiza listu od Hamasu i zlecenie ekspertyzy stanu psychicznego jego autora; po drugie, ocena sytuacji i opracowanie zarysów planu obrony przed atakiem raketowym na Cumbre Vieja; po trzecie, rozważenie możliwości, że terroryści wybiorą jakiś inny cel; po czwarte, wstępna dyskusja o ewentualnej ewakuacji Nowego Jorku, Waszyngtonu i Bostonu; ostatni punkt dotyczył zasugerowania prezydentowi podjęcia niezwłocznych odpowiednich działań cywilnych w tych miastach.

Generał Scannell zadzwonił do George'a Morrisa z prośbą o przyniesienie informacji na temat środków niezbędnych terrorystom do wywołania osunięcia się kilku kilometrów granitowego klifu. Zasugerował też, by zasięgnąć fachowej opinii na jednym z amerykańskich uniwersytetów co do możliwych skutków takiego osuwiska i ewentualnie poprosić o sporządzenie modelu rozwoju takiego megatsunami w czasie rzeczywistym.

Na sobotnie popołudnie generał zaprosił na lunch admirała Morgana, Alana Dicksona i przebywającego akurat w Waszyngtonie Freddiego Currana. Chciał wspólnie z nimi zastanowić się nad planem operacji na wschodnim Atlantyku; wyglądało na to, że niezbędne będzie skierowanie w rejon

Palmy zespołu lotniskowca z najnowocześniejszymi środkami obrony przeciwrakietowej. Wbrew wieloletniej tradycji Pentagonu Scannell zrzekł się przewodniczenia zebraniu na rzecz admirała Morgana, honorując w ten sposób jego wieloletnie doświadczenie strategiczne i dowódcze, a także zaangażowanie od samego początku w sprawę wulkanicznego terroryzmu. Morgan oczywiście przyjął tę rolę z zadowoleniem, choć nie obyło się bez kokieterijnych protestów, że jest tylko cywilem i emerytem.

–No, to gdzie będziemy szukać tych pieprzonych podwodnych turbaniarzy? – burknął, przechodząc od razu do sedna.

Żaden z trzech wojskowych nie miał wątpliwości, że ten cywil i emeryt nie stracił nic ze swej charyzmy. Poczuli tylko ukłucie nostalgii za nie tak dawnymi, dobrymi czasami, kiedy życie było o tyle prostsze. Nie dalej jak przed rokiem podobne spotkanie nie odbywałoby się na zasadach półprywatności, ale w pokoju sytuacyjnym w zachodnim skrzydle Białego Domu, niewykluczone, że z udziałem prezydenta, który im wierzył i w nich wierzył. Teraz było inaczej. Spotkali się niemal jak spiskowcy, a obecna głowa państwa nie ufała ich ocenie sytuacji.

–Chyba wszyscy tutaj się zgadzają z tezą, że jeżeli ktoś celowo wywołał wybuch Mount St. Helens, to zastosowanym środkiem była prawdopodobnie salwa rakiet cruise – zagaił Morgan, na co odpowiedzią było skiniecie trzech głów. – Rakiety te musiały zostać wystrzelone z okrętu podwodnego, który sfotografowaliśmy na Morzu Żółtym, a potem dwukrotnie wykryliśmy jako przelotny kontakt w okolicy Aleutów. Żaden inny okręt na całym świecie nie pasuje do tej serii, a poza tym wszystkie są zlokalizowane. Zgadza się data, odległości, prędkość. Zgadza się też moment i prawdopodobna pozycja ataku na Mount St. Helens. Mamy też idealnego świadka, godnego zaufania i szanowanego prezesa banku W Seattle, który w chwili wybuchu był akurat w lesie u podnóża wulkanu. Jest bankierem i prawnikiem, płacą mu za podejrzliwość, ale nie za niepokromioną wyobraźnię. – Morgan przerwał na chwilę. – Panowie, to nie jest stuprocentowy, żelazny fakt. Ale te wszystkie poszlaki są o wiele za mocne, by je odrzucić. Zgadza się ze mną?

Trzej słuchacze znów skinęli w milczeniu głowami.

–I dlatego, w świetle listu nadesłanego przez Hamas, musimy przyjąć, że naprawdę mamy do czynienia z okrętem pełnym bliskowschodnich terrorystów zdecydowanych rozwalić klif na Palmie. Z wojskowego punktu widzenia jakiegokolwiek inne rozumowanie byłoby dziecinadą. Po to jesteśmy, do cholery. Mamy zapewniać temu krajowi bezpieczeństwo. Nie mamy prawa chodzić sobie spokojnie i po kretyńsku zakładać, że może się nam uda i nic się nie stanie. Uważam, że się stanie, jeżeli nie zdołamy stanąć między tym cholernym klifem i ich pieprzonymi raketami.

–Masz rację – przytaknął generał Scannell. – Mam nadzieję, że wszyscy jesteśmy tego samego zdania... Panowie?

Admirałowie Dickson i Curran kiwnęli poważnie głowami.

–Myślę, że powinniśmy się dzisiaj skoncentrować na tym, jak tego sukinsyna złapać. A to nie będzie łatwe, jak się już na własnej skórze przekonaliśmy.

–Dla ścisłości dodam, że musi chodzić o SLCM – rzekł admirał Dickson. – Nie sądzę, aby oni chcieli użyć wielkich ICBM*, które wykrylibyśmy z dużej odległości. To musi być cruise i prawdopodobnie zechcą ją wystrzelić z odległości około pięciuset mil. Ich zasięg przekracza tysiąc mil, ale gdyby chcieli strzelać z tak daleka, dałoby to nam za dużo czasu na ich wykrycie. Będą woleli podejść blisko, kto wie, czy nie aż na dwieście pięćdziesiąt. Bliżej to już chyba nie... Freddie?

Dowódca floty podwodnej Pacyfiku miał zmarszczone czoło.

–To oznacza cholernie dużo wody, sir. W najlepszym razie, jeśli przyjmiemy, że w grę wchodzi tylko zachodnie podejście... wykreślając skierowany na zachód półokrąg o promieniu pięciuset mil ze środkiem na Palmie, otrzymamy prawie czterysta tysięcy mil kwadratowych oceanu. Jeśli zaś Barracuda planuje strzał z dalszej odległości, to znacznie więcej. Ale wtedy z kolei lot rakiety potrwałby na tyle dłużej,

*** SLCM – Submarine Launched Cruise Missile, rakiet cruise wystrzeliwana z okrętu podwodnego; ICBM – Intercontinental Ballistic Missile, międzykontynentalna rakiet balistyczna.**

– jak zauważył Alan, że łatwiej by nam było ją wykryć. – Curran zamilkł, po czym powiedział: – Gdybym to ja był na ich miejscu i chciał strzelić, i uciec, zdecydowałbym się pewnie na podejście na trzysta mil. Jeśli więc ustawimy kordon na pięciuset milach, to w pewnym sensie mielibyśmy ich w zamknięciu. Tylko że ten sukinsyn mógłby przekraść się pod nami, płynąc bardzo wolno na dużej głębokości, i zniknąć. Już to parę razy zrobił.

–Ilu okrętów na to potrzebujemy? – spytał Morgan. – Cóż... gdybyśmy dysponowali w sumie setką... w tym

dwudziestoma podwodniakami, poza tym fregatami, niszczycielami i krążownikami, to każdy z okrętów miałby do przeszukania około czterech tysięcy mil kwadratowych, czyli mniej więcej kwadrat o boku sześćdziesięciu paru mil...

–Jezu, Freddie! Tylu okrętów nie mieliśmy nawet na Pacyfiku w czterdziestym czwartym! – wpadł mu w słowo Morgan.

–A nasz przeciwnik nie miał atomowych okrętów podwodnych, które mogłyby zejść tak głęboko, zostać tam tak długo i pływać tak cicho jak ten sukinsyn. I powiem wam jeszcze coś. Nawet z taką liczną flotą możemy go nie znaleźć. Jeśli zaś wyślemy mniej niż sto okrętów, to mamy właściwie zagwarantowane niepowodzenie.

–Poza tym nawet jeśli go znajdziemy, on może zdążyć wystrzelić – dodał Arnold.

–Tym bym się tak nie przejmował, bo sądzę, że potrafimy ją przechwycić. Ale jestem pewien, sir, że jak zwykle wolałby pan dopaść łucznika niż strzałę.

–Absolutnie, Freddie. – Morgan się uśmiechnął na to przypomnienie jego ulubionej zasady. – Ale polowanie na pod-wodniaka tyloma okrętami przedstawia pewną trudność...

–Trzeba będzie zastosować system kwadratów operacyjnych – odparł Curran, w lot chwytając, do czego admirał zmierza. – Wie pan, przydzielić każdemu naszemu podwodniakowi akwen, którego muszą się trzymać, bo inaczej zaczną strzelać do siebie nawzajem.

–Co też jest zawsze problematyczne. – Morgan nie dawał za wygraną. – Jeśli wykryjesz nieprzyjaciela i śledzisz go aż do granicy twojego rejonu operacyjnego, to albo łamiesz za-

sadę i ścigasz go dalej, albo pozwalasz mu uciec i modlisz się, żeby twój sąsiad go namierzył.

–Sir, myślałem tylko o akwenach poszukiwania. Sugeruję, żeby dowódcy naszych okrętów otrzymali rozkaz niezwłocznego otwarcia ognia i zatopienia przeciwnika.

–I słusznie, Freddie. To zaś tym bardziej oznacza konieczność niewychodzenia poza wyznaczone kwadraty. Tak, w sumie ten system bywa najlepszy. Chociaż przypominam sobie, że dowództwo Royal Navy nie było zbyt zachwycone, kiedy jeden z ich okrętów wykrył argentyńskiego podwodniaka na północ od Falklandów i pozwolił mu uciec, bo dotarł w pościgu do granicy swojego rejonu.

–Tak, zawsze jest jakaś zła strona – rzekł Curran w zamyśleniu. – Ale większym złem byłoby, gdyby nasze okręty atakowały się nawzajem.

–Dobrze, panowie... – wtrącił generał Scannell. – Popracujecie na poniedziałek nad jakimś planem działania floty, ale na razie chciałbym wiedzieć, czy mamy dostatecznie dużo okrętów?

–Z tym nie ma problemu – odparł Alan Dickson. – W tej chwili mamy trzy zespoły lotniskowca na patrolu w północnej części Zatoki Perskiej, w cieśninie Ormuz i na Morzu Arabskim, plus jeden w pogotowiu na Diego Garcia. Piąty szykuje się do wyjścia z Pearl Harbor. Każdy z nich może się znaleźć na środkowym Atlantyku w kilkanaście dni. To razem pięćdziesiąt pięć okrętów.

–W porządku. Reszta, jak sądzę, jest już na Atlantyku albo w bazach Wschodniego Wybrzeża?

–Tak jest. Nie ma problemu z przerzuceniem setki w rejon operacyjny.

–A co do Barracudy, oczywiście nie mamy pojęcia, gdzie ona może teraz być?

–W stu różnych miejscach, do diabła – rzekł Arnold Morgan. – I żadne z nich nie jest pewniejsze od innych. Ale myślę, że jeśli to wszystko trzyma się kupy, to po wystrzeleniu salwy w Mount St. Helens z wód Waszyngtonu czy nawet Oregonu ten sukinsyn musi być w drodze na Atlantyk. Oczywiście nie wybrał drogi najdłuższej. Na pewno nie zawrócił tam, skąd przybył, czyli na Morze Beringa, ani nie skierował

się na południowy zachód przez cały Pacyfik i Indyjski. To za daleko. Lekko licząc, dwadzieścia tysięcy mil, z czego większość musiałby pokonywać z niewielką prędkością. Zajęłoby mu to ze trzy miesiące. Poza tym dobrze wie, że cały północny Pacyfik mamy pod kontrolą SOSUS. Nie, tego akwenu ten cwany sukinsyn będzie unikał. – Morgan przerwał,

pozwalając kolegom na zastanowienie, po czym zaczął mówić cicho dalej. – Oczywiście Kanał Panamski absolutnie nie wchodzi w grę. Dlatego jedyną prawdopodobną drogą, jaką może obrać, będzie kurs na południe wzdłuż Meksyku, Ekwadoru, Peru i Chile, przez wody, na których rzadko spotyka się patrole i które nie są często obserwowane przez nasze satelity. To szlak krótszy i o wiele spokojniejszy. Pamiętajmy, że St. Helens wybuchł dziewiątego sierpnia. Dziś mamy dwudziestego drugiego. To trzynaście dni, z których około dziesięciu musiał płynąć z prędkością najwyżej siedmiu węzłów, ale teraz, na bardziej pustych wodach, może rozwinąć i piętnaście. To znaczy, że oddalił się z pozycji strzału o dobre trzy tysiące mil. Na dole, przy południowym Chile, może jeszcze przyspieszyć. Przewiduję, że Barracuda dotrze do Hornu za jakieś dwa tygodnie.

– Jest sens postawić gdzieś tam nasz okręt podwodny, żeby postarał się jej nie wpuścić na Atlantyk? – spytał Scannell.

– Cieśnina Drake'a to szeroki i bardzo głęboki kawał wody – odrzekł Freddie Curran. – Trzeba by przerzucić tam kilkanaście jednostek, a gdyby mimo to udało mu się prześliznąć, co jest wielce prawdopodobne, to mielibyśmy coś w rodzaju podwodnych regat z metą na Wyspach Kanaryjskich... i moglibyśmy je przegrać. Myślę, sir, że znacznie korzystniej będzie ustawić się do bitwy tam, gdzie to się liczy najbardziej: na zachód i południe od Palmy. W końcu wiemy, że on tam zmierza.

– Jestem za – odezwał się admirał Dickson. – To jedna z tych sytuacji, kiedy nie można sobie pozwolić na żadne ryzyko.

– Rozumiem – powiedział Tim Scannell. – Mam jeszcze Jeden punkt, zanim oddam sprawy w ręce kolegów admirałów. Według mnie w całej tej historii jest tylko jedna luka.

Mówię o pytaniu, czy te domniemane rakiety cruise rzeczywiście były przyczyną erupcji wulkanu. Mamy na to jednego wiarygodnego świadka i nie korzystamy z tego tak, jak powinniśmy. Panowie, proponuję, żeby na poniedziałkowe zebranie ściągnąć z Seattle pana Tony'ego Tiltona. Musimy sami się przekonać, czy to, co słyszał, mogło być naprawdę odgłosem przelatujących pocisków.

–Zgadzam się z tym – rzekł Arnold Morgan. – Wiecie, że prezydent i jego półgłówki wykpią naszą hipotezę o raketach. Zastanowiłbym się nawet, czy nie sfilmować zeznań pana Tiltona, żeby można je było pokazać w Białym Domu.

–Nie ma problemu – odparł Scannell. – Proponuję rozejrzeć się teraz za czymś do jedzenia i przy stole pogadać o dyslokacji okrętów i środkach obrony, jakie musimy zainstalować na Palmie. Kto się zajmie odszukaniem w Seattle Tiltona przy sobocie?

–Ja to załatwię – zapowiedział Morgan. – Niech ktoś zadzwoni do Fort Meade i poprosi komandora Ramshawe'a o telefon do mnie na tej linii. Zgłosi się w ciągu dziesięciu minut.

Okazało się to zbyt ostrożną oceną. Admirał ledwo zdążył rozpocząć opowiadanie o tym, jak to „stał na jednym wulkanie z najbardziej poszukiwanym terrorystą świata i...”, kiedy zadzwonił telefon. Odebrał generał Scannell.

–Dzień dobry, sir. Tu komandor porucznik Ramshawe z NSA. Szukał mnie pan?

–Chwileczkę, komandorze... Arnie, to twój człowiek. Morgan przejął słuchawkę.

–Cześć, Jimmy. Pamiętasz tego prezesa banku, z którym rozmawiałeś o raketach pod Mount St. Helens?

–Tak, sir. Tony Tilton, Seattle National Bank.

–Ten sam. Możesz go złapać telefonicznie? Połącz go na ten numer. Chciałbym, żeby się zjawiał na naszym poniedziałkowym zebraniu.

–To może trochę potrwać, sir. Bank jest dziś zamknięty, ale jakoś go znajdę.

–Jesteś w biurze?

–Tak, sir.

–Okay. Ściągnijmy go tu na niedzielę wieczorem. Mu-

siałby wyjechać z Seattle około dziewiątej rano tamtejszego czasu.

–Jak ma podróżować, sir?

–Samolotem wojskowym, a jak myślałeś? Pieprzonym promem kosmicznym?

–Ehm... nie, sir.

–Słuchaj, Jimmy... – Admirał zachichotał. – Połącz się z nim, poproś, żeby czekał, i oddzwoni tu do mnie, a podam ci jego rozkład jazdy. Może się zatrzymać u mnie w domu.

Jimmy Ramshawe zaczął, jak to określił, od naciskania „oczywistych guzików”. Znalazł w internecie książkę telefoniczną stanu Waszyngton, a w niej państwa Tony'ego i Marthę Tiltonów w dzielnicy Magnolia. Zadzwoił sam, nie chcąc kogokolwiek z operatorów niepotrzebnie wprowadzać w poufny temat. U Tiltonów nikt nie odbierał. W Seattle była ósma pięćdziesiąt sześć. Jimmy zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce, wiedząc, że hasło „Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade” zadziała na każdego niczym petarda pod tyłkiem.

Zadziało w trzy minuty. Prezes Tilton był natychmiast na linii i zgodził się na wyjazd następnego dnia do Waszyngtonu na spotkanie w Pentagonie, i oczywiście na zachowanie tego w absolutnej tajemnicy. Jimmy zapowiedział, że wkrótce oddzwoni z informacjami na temat podróży, po czym zatelefonował do biura przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów.

–Przyjedzie, sir – zameldował. – Poproszę o plan lotu. On czeka przy telefonie.

Zajęło to jeszcze dwadzieścia minut, ale w niedzielę o ósmej trzydzieści rano Tony Tilton mógł przyjechać do biurowca swego banku, gdzie w holu czekało na niego dwóch oficerów marynarki, którzy zaprowadzili go na szeroki, płaski dach budynku. Stał tam gotowy do lotu duży śmigłowiec Bell AH-IZ Super Cobra, który w mniej pokojowych czasach ma na uzbrojeniu osiem rakiet hellfire do zwalczania celów naziemnych i dwa naprowadzane termicznie pociski AIM-9L powietrze-powietrze, nie licząc działek i karabinów maszynowych. Tony Tilton był jedynym pasażerem; gdy tylko zajął miejsce, maszyna wystartowała i ruszyła na północ wzdłuż

Puget Sound, do bazy lotnictwa morskiego Whidbey Island, odległej o niecałe pięćdziesiąt kilometrów od śródmieścia Seattle. Po dziesięciu minutach lądowali już na pasie startowym, tuż obok gotowego do lotu odrzutowca Lockheed EP-3E Aries. Pasażer przesiadł się do niego, młody oficer dopilnował prawidłowego zapięcia pasów i po trzydziestu sekundach byli już w powietrzu. Od chwili, kiedy Tony Tilton wchodził do swego banku przy Szóstej Alei, minęło czternaście minut.

–Boże, dłużej stałbym w kolejce po bilet – zauważył, kiedy samolot, wciąż pnąc się w górę, położył się w zwrocie na wschód, mknąc z prędkością ponad siedmiuset kilometrów na godzinę.

Siedzący obok niego porucznik marynarki zaśmiał się i powiedział:

–Pewnie tak, sir. W naszym fachu po prostu na ogół nie mamy wiele czasu na guzdranie się. Szybkość jest u nas bardzo popularna. Może kawy?

Prezes z przyjemnością przyjął propozycję. Mijali właśnie grzbiet Gór Kaskadowych. Dalsza trasa sześciogodzinnego lotu, podczas którego pełniący rolę stewarda oficer parokrotnie serwował kawę i kanapki, wiodła na południowy wschód nad Nebraską i Wyoming, Górami Skalistymi, a potem na południe od Cincinnati i prosto na wschód do Waszyngtonu.

O osiemnastej czasu lokalnego wylądowali w bazie lotniczej Andrews. Na pasie czekał na gościa czarny sztabowy sedan. Kierowca zabrał torbę podróżną Tony'ego i otworzył mu tylne drzwi. Chwilę później wyjeżdżali już na drogę numer 95

1 dalej, w kierunku obwodnicy waszyngtońskiej. Objechali miasto od wschodu i północy i zjazdem numer 33 trafili do eleganckiego przedmieścia Chevy Chase. Reszta drogi zajęła pięć minut. Agenci ochrony wyszli na spotkanie przed bramę imponującej willi w stylu kolonialnym, w której mieszkali państwo Morganowie.

Była za kwadrans siódma. Wieczór był ciepły i admirał miał na sobie białe bermudy, granatowe polo i białą panamę na głowie. Przywitał Tiltona serdecznie, dziękując za przybycie na tak nieoczekiwane wezwanie. Harry zaoferował się, że odprowadzi gościa do jego pokoju, Arnold zaś zasugerował-

wał, żeby Tony zaraz zszedł na dół na drinka. Przebrawszy się wzorem gospodarza w luźne polo, Tilton zameldował się na obszernym patio obok basenu, gdzie Morgan siedział już na wygodnym ogrodowym fotelu, gestem zapraszając gościa, by zajął miejsce naprzeciw niego. Drinki czekały już na podręcznym stoliku: dobra szkocka z lodem i wodą sodową.

–Spodziewam się, że komandor Ramshawe już pana poinformował, dlaczego zechcieliśmy pana zaprosić do Waszyngtonu?

–Owszem. Chodzi o spotkanie jutro rano w Pentagonie.

–Tak jest. Ale winien jestem panu nieco więcej informacji. Najpierw jednak, jeśli wolno, chciałbym spytać, czy mogę pana uważać za republikanina?

–Może pan.

–Tak myślałem... bankowiec z Zachodniego Wybrzeża... kapitalista... Bardziej prawe skrzydło czy raczej centrum?

–Bardziej prawe. Mamy tam dzisiaj bardzo republikański stan. Pełen niezależnych, przedsiębiorczych ludzi, zatwardziałych samowystarczalnych prowincjuszy, nie lubiących Waszyngtonu, a już obsesyjnie nieufnych wobec aktualnego rządu. Liberalowie ze Wschodniego Wybrzeża nie mają wzięcia w moich stronach. Zdecydowanie nie, sir.

–Okropnie miło mi to słyszeć – odrzekł Morgan. – Pewnie sobie pan wyobraża, co się teraz musi dziać w Pentagonie?

–Jasne.

–I tak wracamy do tematu Mount St. Helens. Mogę mówić ci po imieniu?

–Oczywiście.

–Jestem teraz cywilem, więc... mów mi Arnie. Krótko mówiąc, wiem od komandora Ramshawe'a, że nieobce ci są nasze poważne podejrzenia co do tego wybuchu?

–Cóż... Dzwoni do mnie facet z jednej z najważniejszych agencji rządowych w kraju i szczegółowo wypytuje o te dwa dziwne podmuchy wichru w cichy i mglisty poranek nad jeziorem... uznałem, że było w tym coś mocno podejrzanego. Nie można wyciągnąć żadnego innego wniosku, prawda?

–Można, jeśli się pracuje w Gabinetcie Owalnym – burknął Arnold, wywołując u gościa lekki atak śmiechu.

–Zapewniam, że pan Ramshawe nie ujawnił mi żadnych innych danych o swoim dochodzeniu. Po prostu domyśliłem się, do czego zmierza.

–Rozumiem. Ponieważ jednak uważam cię za faceta, któremu można zaufać, wprowadzę cię nieco głębiej w temat, a potem poproszę o ponowne opowiedzenie ze wszystkimi szczegółami, co dokładnie zaobserwowałeś w tamtą niedzielę rano. Będziesz też musiał to samo zrelacjonować na jutrzejszym spotkaniu.

–Nie ma sprawy.

–A więc, Tony, łyknij jeszcze tego dewar'sa i słuchaj uważnie...

–Jestem gotów, admirale.

–Arnie.

–O, przepraszam... – Tilton pokręcił głową. – Ten nawyk oficjalności... w moim zawodzie trudno się od niego uwolnić. Mogę prosić o numer rachunku?

Arnold nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem, po czym sam pociągnął spory łyk szkockiej i rozpoczął przemowę. Parę minut później zakończył ją, mówiąc:

–...czyli, jak mówię, mógł to być tylko okręt podwodny. Rozumiemy się?

–Jasne, Arnie. I myślisz, że to, co słyszałem, to były właśnie te rakiety?

–Tak, Tony. Właśnie to chcę powiedzieć.

–Można je wystrzeliwać spod wody? I więcej niż jedną naraz?

–Pewnie. Nazywają się właśnie „wystrzeliwanymi spod wody raketami cruise”. Strzelać można tylko pojedynczo, ale szybko, w odstępach nawet poniżej minuty. Są cholernie szybkie, robią dobrze ponad sześćset węzłów, lecąc kilkadziesiąt metrów nad powierzchnią.

–Jakim więc cudem nie rozbiły się o nadbrzeżne pasmo gór?

–Potrafią regulować pułap lotu w zależności od ukształtowania terenu, posługując się wskazaniami własnego wyso-kościomierza.

–I słyszałem, jak przelatują nade mną?

–Myślę, że słyszałeś dwie pierwsze.

–Gdyby to były dwie ostatnie, chyba nie dalibyśmy rady stamtąd uciec.

–Możesz mi dokładnie opisać ten dźwięk?

–Obawiam się, że nie powiem nic więcej, niż już to zrobiłem w wywiadzie dla Dona McKeaga i w rozmowie z komandorem Ramshawe'em...

I właśnie w tej chwili rozsunięły się francuskie drzwi werandy; na patio weszła Kathy w różowej kwiecistej spódnicy i różowej bluzce, bosą i z rozpuszczonymi włosami, niosąc płaską miskę, na której pysznił się duży, rozplątany udziec jagnięcy, jeszcze w zalewie, w której się marynował przepisową ilość czasu. Był to ulubiony gatunek mięsa jej męża – co dziwne u Teksańczyka, który powinien wykazywać kowbojskie zamiłowanie do wołowiny i pogardę dla pracy hodowców owiec. Arnold jednak uwielbiał jagnięcinę, a Tony Tilton miał szczęście trafić na nią akurat w niedzielny wieczór, kiedy to gospodarz zwykł otwierać butelkę lub dwie znakomitego wina, w jakie zaopatrywał swą piwniczkę z rekomendacji swego głównego doradcy w tej dziedzinie, Har-courta Travisa. Sekretarz stanu również musiał ustąpić ze stanowiska po zmianie prezydenta i teraz wykladał – nieco wyniośle – współczesną historię polityczną na Harvardzie.

Morgan przedstawił żonę koronnemu świadkowi oskarżenia i nalał jej kieliszek chłodnego białego burgunda.

–Arnold opowiadał mi, Tony, jak udało ci się ujść przed wulkanem – powiedziała Kathy. – To musiało być przerażające... Ja bym chyba zemdląła ze strachu.

–Kathy, kiedy człowiek tak się boi jak ja wtedy, potrafi, dokonać zdumiewająco wiele. Poranek był bardzo cichy, najłżejszego powiewu, a wokół jeziora obozowało niewielu ludzi, naliczyłem wszystkiego z sześć namiotów. Wszyscy chyba jeszcze spali. Nad lasem unosiła się mgła... i to nie takie sobie poranne opary, ale prawdziwa, wysoka mgła. Nie było nic widać ani nad jeziorem, ani wyżej, na zboczu. Cisza była tak przejmująca, że mimo woli mówiło się przyciszonym głosem... nawet mój kumpel Don, który jest wyszkolony do bombardowania świata swoimi opiniami.

Admirał się zaśmiał znad szklanki.

–Mów dalej, Tony. Podoba mi się to.

–No i nagle usłyszałem ten nagły wiatr. Nie było to jakieś teatralne wycie z horroru, przypominało raczej świst przechodzący w jęk. Podobne zawodzące dźwięki można usłyszeć w starym drewnianym domu podczas wichury. Zaskakujący, dziwaczny odgłos w całej tej ciszy. I nie był... jak by to określić... statyczny. To nas mijało, jakby lecąc znad jeziora w górę stoku. Mimo woli obejrzałem się w tamtą stronę i nagle gdzieś od szczytu dobiegło to głębokie, głuche łupnięcie, jak podziemna eksplozja. W chwilę później znów usłyszałem ten cholerny dźwięk.

–Po jakim czasie, Tony?

–Mniej niż minuta. I wyraźnie słyszałem, jak przelatuje nad nami. Natychmiast poderwałem głowę, ale we mgle nic nie zobaczyłem. Odgłos był jednak taki sam. A dziesięć sekund potem kolejna eksplozja u szczytu góry. Tym razem był to znacznie wyraźniejszy grzmot. Wyobrażam sobie, że tak może brzmieć wybuch bomby, choć nigdy go nie słyszałem.

–I co dalej?

–Uruchomiłem wóz i daliśmy drapaką. Wtedy usłyszeliśmy trzecią eksplozję, już bardzo głośną. I nagle w las wokół zaczął spadać ogień i popiół. Płonęły drzewa, ściółka, Bóg wie co. Jechaliśmy, nie zważając na nic, byle jak najszybciej i najdalej przed siebie. Jeszcze w życiu tak nie pędziłem samochodem. Po chwili nastąpił czwarty wybuch, silniejszy niż trzy poprzednie razem wzięte. Nie słyszeliśmy jej, ale poczuliśmy... ziemia się pod nami zatrzęsała. I potem zaczęło się robić ciemno. Tony popiołu i kamieni wyrzucane pod niebo, jak sądzę. Słońce po prostu zniknęło. Gdybym wtedy, przed laty, nie widział, jak wybucha ten wulkan na Karaibach, pewnie jeszcze bym stał z rozdziawioną gębą, gapiąc się na szczyt Mount St. Helens, kiedy lawa zaczynała się toczyć w dół. To niesamowite, jak ona wszystko na drodze połyka...

–Wraz z waszym galonem whisky, jak donosił twój kumpel Don. – Arnold zachichotał.

–Taak... tylko sobie wyobraźcie... jeden mały kawałek wulkanicznej skały w kolorze bursztynu pośrodku całej tej szarości. Dewar's Rock. Atrakcja turystyczna jak cholera.

–McKeag opowiadał w swoim programie, że za parę lat może będziesz się ubiegał o fotel gubernatora. To by mogło być twoje pierwsze posunięcie... nadanie szkockiej nazwy skałce u podnóża Mount St. Helens.

Poniedziałek, 24 sierpnia 2009 r., godzina 10.30. Pentagon

Uczestnicy zebrania kolejno się schodzili do prywatnej sali konferencyjnej przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów. Wśród zaproszonych znaleźli się kontradmirał Morris z NSA ze swym asystentem, szef operacji morskich admirał Dickson, dowódca floty podwodnej Pacyfiku admirał Curran, Arnold Morgan ze swym gościem Tonym Tiltonem, oraz generałowie Cale Carter, dowódca wojsk lotniczych, Bart Boyce, naczelny dowódca NATO, i Stanford Hudson, szef sił szybkiego reagowania US Army. Rzuciła się w oczy nieobecność polityków, nawet sekretarza obrony Milta Schlemmera*, dawniej pracującego w MAE A i w Kampanii na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego. Już samo jego nazwisko budziło w Arnoldzie Morganie pusty śmiech. Oprócz byłego doradcy prezydenta, ludzi z NSA i Tony'ego Tiltona był jeszcze tylko jeden człowiek spoza kręgu najwyższych władz wojskowych USA – pułkownik lotnictwa ze sztabu sił powietrznych i kosmicznych, który czekał na zewnątrz. Za drzwiami wartę pełnili dwaj żołnierze piechoty morskiej, a dalszych czterech zajęło pozycję w korytarzu numer 7, prowadzącym prosto do tak zwanego E-ringu, głównego holu biegnącego wokół całego Pentagonu.

Zebrani zasiedli wokół dużego stołu konferencyjnego i generał Scannell rozpoczął naradę od przypomnienia, że dzisiejsze spotkanie ma ściśle tajny charakter i że absolutnie nikt nie powinien się dowiedzieć nawet o tym, że się odbyło. Oświadczył, że zebranie poprowadzi admirał Morgan, wyjaśniając krótko, iż od dłuższego czasu i szczegółowo zajmuje się on problemem, o którym będzie mowa. Wspomniał też o kil-

Schlemmer (niem.) – birbant, sybaryta.

kumiesięcznym zaangażowaniu admirała Morrisa i komandora Ramshawe'a w tę sprawę. Scannell przekazał wcześniej wszystkim uczestnikom zebrania zaszyfrowaną pocztą elektroniczną tylko bardzo ogólnikowe informacje, ale każdy z oficerów sztabowych wiedział dostatecznie dużo o podejrzanych okolicznościach erupcji Mount St. Helens, wszyscy otrzymali też kopie listu od Hamasu, żądającego natychmiastowego wycofania wojsk amerykańskich z Bliskiego Wschodu.

–Każdy z panów rozumie, że istnieje wyraźne podejrzenie, iż krater wulkanu został rankiem dziewiątego sierpnia ostrzelany salwą czterech rakiet cruise – rozpoczął Scannell. – Tylko jeden człowiek był tak blisko... i przeżył... że może nam szczegółowo opowiedzieć, jak to wyglądało. Jest tu dzisiaj z nami. Przedstawiam pana Tony'ego Tiltona, prezesa Seattle

National Bank. Ponieważ chciałbym jak najszybciej odwiedzić go do domu, od jego zeznania zaczniemy. Pan Tilton już zapoznał admirała Morgana ze swymi spostrzeżeniami, dlatego poproszę cię, Arnoldzie, żebyś pokierował tym przesłuchaniem.

Wspierany pytaniami Morgana Tilton z prawniczą precyzją zrelacjonował kolejność wydarzeń nad jeziorem Spirit w ową feralną niedzielę. Kiedy na zakończenie admirał zapytał zebranych, czy należy coś wyjaśnić dokładniej, nikt nie zgłosił takiej potrzeby. Jego występ z Tonym był wirtuozerią. Scannell podziękował oficjalnie gościowi za przybycie, po czym czekający za drzwiami dwaj młodzi porucznicy marynarki odprowadzili Tiltona na lądowisko śmigłowcowe, skąd natychmiast został przewieziony do bazy Andrews i dalej do Seattle.

W sali konferencyjnej w tym czasie słuchano już wypowiedzi wojskowego psychiatry z sił powietrznych, którego zadaniem była ocena treści listu od Hamasu. Doktor nie miał wątpliwości co do stanu psychicznego jego autora.

–Żądania zawarte w liście są jawnie oburzające, nie znajduję w nim jednak oznak hysterii ani żadnego rodzaju zaburzeń psychicznych. Osoba, która go napisała, nie jest wariatem. Przeciwnie, autor jest człowiekiem wykształconym, którego ojczystym językiem jest z całą pewnością angielski. Nie ma tu ani jednego przypadku problemów z gramatyką, myle-

nia czasów, co jest klasycznym znakiem firmowym cudzoziemca piszącego w obcym języku. Co więcej, brak w liście najmniejszego dysonansu frazeologicznego ani kolokwializmu, jakiego my byśmy nie użyli. Nie dostrzegam też w całym tekście oznak podekscytowania. Język jest prosty i rzeczowy nawet wtedy, gdy autor wyklada swoje żądania. „Podejmie Pan bez zwłoki następujące działania... oczekujemy rozpoczęcia ruchów wojsk... operacja musi się zakończyć...” Chciałbym też zwrócić uwagę panów na zdanie, w którym ten człowiek podkreśla, że „skoro umieliśmy doprowadzić do eksplozji największego wulkanu na terytorium Stanów Zjednoczonych, to prawdopodobnie potrafimy zaaranżować odpowiednio duże osunięcie skały pośrodku pustego oceanu”. Słowem najważniejszym jest tu „prawdopodobnie”, dlatego że oznacza ono ironię, chyba najbardziej ulotny z wzorów myślowych, zdolność do niedopowiedzenia, a mimo to osiągnięcia zamierzonego efektu. Powszechnie uważa się, że Amerykanie nie są do niej zdolni, za to dla Brytyjczyka to chleb powszedni. Chciałbym też przypomnieć panom zwrot „jak już dałem do zrozumienia w moim komunikacie...” To są słowa wyszkolonego oficera, a nawet dyplomaty. To zdanie mógłby napisać każdy z obecnych w tej sali. Panowie, ten list został napisany przez osobę bardzo poważną, jak najbardziej zdrową psychicznie i bezwzględną. Z psychologicznego punktu widzenia nie ma podstaw, by jej nie wierzyć, jeśli twierdzi, że wysadziła w powietrze wulkan St. Helens.

Po psychiatrze zabrał głos komandor porucznik Ramsha-we, który przedstawił problem zaginionej Barracudy, podał prawdopodobne pozycje, gdzie mogła zostać namierzona, i swój wniosek, że najprawdopodobniej okręt płynie teraz wzdłuż wybrzeży Ameryki Południowej na Atlantyk.

Następnie generał Scannell skierował dyskusję na temat żądań terrorystów i poprosił Stanforda Hudsona o przedstawienie aktualnej dyslokacji wojsk i stanu magazynów amunicji i sprzętu. Hudson rozdał wszystkim arkusze papieru, po czym zaczął czytać z własnego:

BAHRAJN: Sztab V Floty i cztery tysiące pięciuset ludzi. Bahrajn jest ośrodkiem centralnym dla wszystkich amery-

kańskich okrętów operujących na Zatoce Perskiej, Morzu Czerwonym i Morzu Arabskim.

KUWEJT: Korpus wojsk lądowych w sile dwunastu tysięcy żołnierzy. Duża baza szkoleniowa Camp Doha, aktualnie nasz najlepszy ośrodek szkolenia do walk na pustyni. Kolejną budujemy w Arifdżanie. Lotnictwo ma swoje bazy w Ali Al-Salem i Ahmed Al-Dżabar.

ARABIA SAUDYJSKA: Na nowo otwarta baza lotnictwa, okołodziesięcioletni personel. Samoloty bojowe i zwiadowcze. Do tego trzy samoloty dalekiego rozpoznania AWACs i latające cysterny w bazie Prince Sułtan, chronione przez dwie baterie rakiet Patriot.

KATAR: Około czterech tysięcy ludzi. Korzystamy z bazy lotniczej Al Udeid, która ma najdłuższe pasy startowe w całym regionie. Zbudowaliśmy tam schrony dla samolotów. Stacjonują tam również latające cysterny KC-10 i KC-135. W obozie As-Salijah założyliśmy naczelne dowództwo wszystkich sił działających w regionie Zatoki Perskiej.

OMAN: Używamy hangarów na lotnisku międzynarodowym Al-Seeb jako punktu tranzytowego dla przelotów do Afganistanu i Zatoki. Bazuje tam około trzech tysięcy ludzi.

EMIRATY: Około pięciuset osób, głównie z US Air Force.

DZIBUTI: Do trzech tysięcy ludzi – siły specjalne, mari-nes i US Air Force jako część zespołu antyterrorystycznego. Baza bezzałogowych samolotów zwiadowczych Predator w gestii CIA.

DIEGO GARCIA: Około półtora tysiąca ludzi, baza US Na-vy i ciężkich bombowców strategicznych B-52 i B-2 Stealth.

Dodatkowo utrzymujemy w regionie trzy zespoły lotniskowców na zasadzie rotacji, w zależności od klimatu politycznego.

–Czyli w sumie cała masa ludzi i sprzętu – wtrącił generał Scannell. – Za dużo, żeby rozważyć ewakuację całości tylko na podstawie jednego żądania bliskowschodniego terrorysty.

–Chyba że ten terrorysta rzeczywiście jest zdolny zniszczyć całe Wschodnie Wybrzeże – dorzucił admirał Morgan. – W takim wypadku zrezygnowanie z całej naszej militarnej obecności w regionie byłoby ceną niewspółmiernie niską.

–To nie może być możliwe – powiedział generał Boyce. – Po prostu nie może.

–„Skoro umieliśmy doprowadzić do eksplozji największego wulkanu na terytorium Stanów Zjednoczonych, to prawdopodobnie potrafimy zaaranżować odpowiednio duże osunięcie skały pośrodku pustego oceanu” – zacytował Arnold Morgan.

Na kilkanaście sekund w sali zapadło milczenie. Przerwał je znów były doradca poprzedniego prezydenta.

–Panowie, spójrzmy prawdzie w oczy. Musimy przyjąć założenie, że ten facet nie żartuje. Nie mamy w tej sytuacji zbyt wielu wyjść. Wyjście numer jeden, absolutnie priorytetowe, to złapać i zatopić tego gnojka. Zgadza się? – Rozejrzał się wokół, a nie widząc oznak sprzeciwu, kontynuował: –A zatem następne posunięcia to kolejno: opracowanie planu dyslokacji floty; wyznaczenie jej dowódcy i wreszcie nakłonienie prezydenta, naczelnego zwierzchnika wszystkich sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych, aby się zgodził na tę akcję. Ostatni punkt jest zdecydowanie najtrudniejszy do wykonania.

–Chcesz wiedzieć, Arnie, jakie są moje przewidywania w tej kwestii? – spytał George Morris.

–Oczywiście.

–On się nigdy nie zgodzi wprowadzić kraju na wojenną ścieżkę na podstawie listu jednego wariata. Nie słucha nas i nie będzie słuchał.

Znów zapadła cisza.

–W takim razie będziemy musieli poradzić sobie bez niego – odezwał się wreszcie Tim Scannell.

–Co byłoby niezbyt ortodoksyjnym posunięciem – dorzucił Alan Dickson.

–Możliwe – odparł przewodniczący. – Ale nie możemy świadomie zawieść naszego narodu, wiedząc, że istnieje realne niebezpieczeństwo, że ktoś może zetrzeć z mapy sporą część USA. Komandor Ramshawe przekazał wszystkim panom krótki, ale treściwy raport na temat opinii ekspertów o wulkanie na Palmie, prawda?

–Tak jest. Rozumiem, że tsunami nie da się powstrzymać, kiedy już się wytworzy? – upewnił się Bart Boyce.

–Nie. Mówimy o prawdopodobnie największej sile na na-

szej planecie – odpowiedział admirał Morgan. – Wytworzona fala osiąga prędkość pasażerskiego odrzutowca. Do Nowego Jorku dotrze w dziewięć godzin, przez cały czas nabierając niszczącej energii. Widzę tylko dwie szansę. Jedna jest licha, druga nieco lepsza, ale też nie daje żadnej pewności. Wyślemy w rejon Wysp Kanaryjskich flotę stu okrętów i będziemy szukać Barracudy, choć skutek będzie raczej mizerny, jeżeli jej dowódca jest tak sprytny, za jakiego go mam. Poza tym ustawimy linię obrony z jednostek nawodnych wokół Palmy, z zadaniem wykrycia i zestrzelenia rakiet jeszcze nad oceanem. Oczywiście byłoby nam łatwiej, gdybyśmy wiedzieli, z jakiego kierunku on zamierza strzelać, ale nie wiemy.

–Cóż, niezależnie od wszystkiego musimy wysłać w morze całą naszą flotę atlantycką – rzekł admirał Curran. – Taka fala zniszczyłaby wszystkie okręty przebywające w porcie, dlatego ani jeden nie może zostać przy kei. Sporządziliśmy wstępny plan, który admirał Dickson chce wszystkim przedstawić... to znaczy, o ile wszyscy jesteśmy jednomyślni co do realizmu tej groźby. Czy wszyscy obecni zgadzają się, że konieczne jest przeciwdziałanie marynarki wojennej, niezależnie od tego, co o tym myślą nasi polityczni przełożeni?

Dziewięć rąk uniosło się w górę.

–Nie mamy żadnego wyboru – podsumował generał Scannell.

–W porządku. Dziś jest dwudziesty czwarty. To znaczy, że mamy czterdzieści siedem dni na dopięcie wszystkiego na ostatni guzik- rzekł admirał Morgan. – Proponuję wymyślenie jakichś okresowych ćwiczeń floty na Atlantyku. Trzeba jak najszybciej postawić okręty w pogotowie do wyjścia w morze. Sądzę, że na Bliskim Wschodzie jest ostatnio wystarczająco spokojnie, żebyśmy mogli przerzucić zespoły lotniskowców na Atlantyk bez robienia zbyt wielkiego szumu, Alan?

–Nie ma problemu, sir.

–Dobra. A teraz może wysłuchamy, jaki jest wstępny plan działania, nad którym pracowaliście z Freddieem przez cały weekend?

Admirał Curran wręczył każdemu po arkuszu zadrukowanego papieru, po czym zaczął:

–Jako podwodniak zostałem poproszony o wyjaśnienie

pierwszej części planu, zanim przekażę pałeczkę admirałowi Dicksonowi. Wiecie panowie zapewne, że prowadzenie poszukiwań wroga z wykorzystaniem większej liczby okrętów podwodnych jest trudne, ponieważ łatwo o pomyłkę i wzajemne ostrzelanie przez własne jednostki. W związku z tym zalecałbym ustalenie rejonu operacyjnego w formie kwadratu o boku pięciuset mil, opartego środkiem wschodniego boku o Palmę i wychodzącego na pięćset mil na zachód. To olbrzymia powierzchnia, dwieście pięćdziesiąt tysięcy mil kwadratowych, ale spodziewamy się, że gdzieś z tego obszaru Barracuda zamierza wystrzelić rakiety. Niewykluczone, że zechce to zrobić może jeszcze dalej na zachód, choćby z tysiąca mil, osobiście jednak w to wątpię. Ktokolwiek nią dowodzi, będzie wiedział, że ich szukamy, pamięta też na pewno o naszych doskonałych systemach obrony przeciwrakietowej i nie będzie chciał, żeby jego cruise'y zbyt długo musiały lecieć do celu. Gdybym miał zgadywać, postawiłbym na to, że on będzie strzelał z odległości trzystu mil od Palmy. Nie możemy jednak ryzykować. Musimy zabezpieczyć zewnętrzne granice jego zasięgu.

–Ilu rakiet według ciebie należy się spodziewać, Freddie? – spytał Arnold Morgan.

–Żeby mieć pewność, iż uda się mu naruszyć stabilność skały... myślę, że z dwudziestu. Chyba że użyje głowic jądrowych... Wtedy wystarczą dwa pociski.

–A może użyć jądrowych?

–Wątpię – wtrącił George Morris. – Po prostu dlatego, że nie wyobrażam sobie, skąd miałby je wziąć. Musiałyby być dopasowane do wyrzutni Barracudy, a Rosjanie nie pomogliby mu aż do tego stopnia. Oni nawet nie chcą się przyznać, że sprzedali okręt komuś innemu niż Chińczykom. Ci zaś z kolei wszystkiemu zaprzeczają. A już na pewno nie zechcą się przyznać do powiązań ze zgrają arabskich terrorystów, którzy grożą zniszczeniem Wschodniego Wybrzeża USA. Chińczycy są krętaczami, ale nie głupcami.

–Mogliby je kupić w tej dziurze w Bośni – przypomniał Morgan. – Ale dziwiłbym się, gdyby którekolwiek państwo europejskie się na to zgodziło, szczególnie te z NATO i Unii.

–A Korea Północna? – spytał Morris.

–To możliwe. Ale nie sądzę, aby Koreańczycy zdołali osiągnąć ten poziom technicznego wyrafinowania, jakiego wymaga zbudowanie rakiety zdolnej do przenoszenia głowic nuklearnych, która by pasowała do rosyjskiego okrętu podwodnego.

–Miejmy nadzieję, że nie osiągnęli – rzekł Alan Dick-son. – Myślę jednak, że ostatecznie nie ma znaczenia, skąd wzięli głowice. Musimy ich powstrzymać niezależnie od źródła.

–Dobra. Posłuchajmy teraz, co Freddie ma do powiedzenia na temat rozstawienia floty – zakończył dyskusję Morgan.

–Zdecydowanie musimy zastosować system kwadratów operacyjnych dla naszych okrętów podwodnych – powiedział Curran. – Zalecam utworzenie osłony w trzystumilowym pasie na zachód od wybrzeży Palmy, licząc od zewnętrznej granicy pięciusetmilowego akwenu, o którym mówiłem. Każdemu z piętnastu okrętów przypadnie kwadrat o boku czterdziestu mil. Będą je patrolować z zastosowaniem sonarów holowanych, starając się wychwycić każdy najmniejszy dźwięk w wodzie. W sumie pokryje to powierzchnię około dwudziestu czterech tysięcy mil kwadratowych. Jestem wprawdzie zdania, że Barracuda nie będzie się długo czaić gdzieś w zachodniej części oceanu, po pierwsze dlatego, że jej dowódca będzie się nas tam spodziewał, a po drugie zakładamy, że płynie do Wysp Kanaryjskich od południa, od Hornu. Ma do pokonania dużą odległość przy niewielkiej prędkości. Nasza najlepsza szansa to przechwycenie go w drodze, choć nie liczyłbym na taki błąd z jego strony, który pomógłby nam go wykryć. Dlatego też pozostałe pięć okrętów podwodnych ustawiłbym w takich samych kwadratach operacyjnych, ale bezpośrednio przy brzegach Palmy. Akwen jest tam bardzo głęboki. Jest pewne prawdopodobieństwo, że Barracuda podejdzie blisko pod osłoną nocy, by ustawić się na pozycji strzału nie tylko za pomocą GPS, ale i sprawdzić ją wizualnie. Nie twierdzę, że taki scenariusz jest bardziej prawdopodobny od innych, ale byłoby głupotą pilnować tylko zewnętrznego pasa, podczas gdy nieprzyjaciel mógłby cichaczem prześliznąć się pod nami i zaatakować z bliskiej odległości, pozostawiając nam niewiele czasu na przechwycenie rakiet.

General Hudson wszedł Curranowi w słowo, stwierdzając, że bezsprzecznie należałoby przerzucić na samą wyspę kilka baterii rakiet Patriot, ustawiając je na zachodnim klifie i wokół wulkanów.

–Możemy tylko mieć nadzieję, że oni użyją raczej pocisków o wysokim torze lotu, a nie cruise'ów – powiedział. – Wówczas naprawdę mielibyśmy szansę sobie z nimi poradzić.

Admirał Curran tylko skinął głową. Zasugerował, żeby zespół okrętów podwodnych podlegał bezpośrednio sztabowi SUBLANT, gdziekolwiek on się będzie znajdował. Było coraz bardziej oczywiste, że zanoszą się na ogólną ewakuację wszystkich ośrodków dowodzenia na Wschodnim Wybrzeżu przed wyznaczonym przez Harnaś terminem 9 października.

Admirał Dickson omówił pokrótce planowane rozmieszczenie floty nawodnej, zalecając wysłanie na dozór oceaniczny osiemdziesięciu okrętów.

–Powinno się w tej grupie znaleźć około czterdziestu fregat rakietowych z sonarami holowanymi. Zajmą pozycje w wolnym pasie między rejonami operacyjnymi obu zespołów podwodnych. To około dwustu tysięcy mil kwadratowych, czyli po dwa i pół tysiąca na każdy okręt. To daje kwadraty przeszukiwania o boku pięćdziesięciu mil. Pozostanie tylko czekać na enpla. Jeżeli jest dobry, możemy go nigdy nie usłyszeć. Ale kiedy popełni choć jeden błąd, utopimy sukinsyna. Panowie, jeżeli się zgadzamy, natychmiast zaczynam pracować nad szczegółowym planem operacyjnym. I lepiej zaczniemy już przerzucać tam okręty z Bliskiego i Dalekiego Wschodu.

–Jestem za tym – rzekł admirał Morgan. – Niepokoi mnie tylko kwestia czasu, a także możliwość, że Hamas będzie przez następne parę tygodni obserwować nasze działania wokół baz w rejonie Zatoki Perskiej. Jeśli zobaczą, że nic nie robimy, mogą się wkurzyć i stuknąć w ten klif przed upły-
Wem terminu ultimatum albo w inny sposób przyspieszyć bieg rzeczy. Wolałbym tego uniknąć.

–Sugerujesz, że powinniśmy zacząć przeprowadzkę, niby spełniając ich żądanie?

–Według mnie tylko w ten sposób możemy kupić trochę C2asu. Kiedy się przekonają, że jesteśmy posłuszni, mogą

nam pozwolić na jakąś prolongatę. A przy operacjach defen-sywnych na taką skalę dodatkowy czas jest cholernie potrzebny.

–Sir, czy mógłbym o coś zapytać? – odezwał się komandor Ramshawe.

–Wal, Jimmy.

–Czy pan uważa, że te skunksy chcą ostrzelać sam klif, żeby spowodować osuwisko, czy też raczej wsadzić parę głowic nuklearnych prosto w krater Cumbre Vieja, żeby doprowadzić do wybuchu i pozwolić działać naturze, to znaczy liczyć na rozsądzenie skały przez powstałą parę?

–Dobre pytanie – odrzekł Morgan. – Normalnie powiedziałbym, że każdy terrorysta w takiej sytuacji odpaliłby salwę raket w brzeg, może z trzystu mil, i wziął nogi za pas. Z tym akurat skunksem sprawa jest jednak inna. Są powody, by uważać go za eksperta od wulkanów. Twoja druga opcja, czyli uderzenie w krater, jest trudniejsza i wymaga dłuższych przygotowań, ale też jest o wiele skuteczniejsza. Tak, według mnie on wybierze właśnie taką metodę. Niestraszne mu trudności, a na pewno chce osiągnąć maksymalny efekt.

–Tak jak to zrobił z Mount St. Helens – dodał Jimmy.

–Otóż to.

–Znów więc wracamy do kwestii czasu – rzekł generał Scannell. – Myślicie, panowie, że możemy zamarkować dyskretne opuszczanie baz wokół Zatoki?

–Nie byłbym tego taki pewien – odparł Bart Boyce, wyraźnie zmartwiony. – Dopóki prezydent ma nas za wariatów, po prostu tego nie widzę.

Tim Scannell miał lepszy wzrok.

–Bart, zdaje się, że już to mówiłem. Tym razem możemy być zmuszeni radzić sobie bez niego.

Przez niejedne plecy w tej sali przeszedł zimny dreszcz. Zanosilo się na bunt przeciw prawowitej, legalnej władzy państwowej i to w wykonaniu najwyższego dowództwa sił zbrojnych. W powietrzu zapachniało puczem wojskowym.

ROZDZIAŁ 7

Piątek, 4 września 2009 r., godzina 8.00.5618S/06700W. Prędkość 15 w, zanurzenie 90 m

Kontradmirał Badr prowadził Barracudę II kursem 270°. Dwadzieścia pięć mil na północ widniał przylądek Horn, a na powierzchni szalał sztorm o sile 8°B, wiejący z nad lodowych

pustkowi Antarktydy. Południowy odcinek podróży mieli już za sobą. Przez basen południowo-wschodniego Pacyfiku przeszli z dobrą prędkością, a teraz posuwali się już na wschód, zimnymi, zdradliwymi wodami Cieśniny Drake'a pomiędzy setkami wysepek i fiordów Tierra del Fuego a archipelagiem Szetlandów Południowych, przycupniętym u brzegów najdalej na północ wysuniętego fragmentu szóstego kontynentu, Półwyspu Antarktycznego. Badr zmierzał ku krawędzi podmorskiego urwiska Grzbietu Szkotia, pozostając jednocześnie w korzystnym nurcie silnego Prądu Falklandzkiego. Następny kurs poprowadzi Barracudę II obok płytkiej Ławicy Burdwood i daleko na wschód od Falklandów. Ten rozległy, oceaniczny akwen jest praktycznie pusty, stosunkowo rzadko odwiedzany przez statki, prawie nie patrolowany przez marynarkę wojenną Argentyny; Royal Navy, strzegąca podejść do tych spornych wysp, o które przed dwudziestu siedmiu laty toczyła się wojna i ginęli brytyjscy i argentyńscy żołnierze, też rzadko się tam zapuszcza. Tu, na dalekim południu, był teraz środek zimy. Dowódca zapewniał załogę, że choć nie oglądali światła dziennego od prawie dwóch miesięcy, na pewno nie byliby zadowoleni, gdyby przyszło teraz ^yściubić nos z głębin. Śnieżna zawieja i potężne fale Oceanu Południowego, jak nazywa się w locji ten okalający całą Antarktydę bezmiar wody, usprawiedliwiały ponurą sławę

Cabo de Hornos. Okręty podwodne nie lubią powierzchni morza właściwie w żadnych warunkach pogodowych poza absolutną flautą. Tu jednak, blisko kilkadziesiąt metrów poniżej potężnych bałwanów, Barracuda II była w swoim żywiole, zapewniając pełen komfort żyjącym na jej pokładzie marynarzom. Siłownia o mocy czterdziestu siedmiu tysięcy koni mechanicznych pracowała nieprzerwanie przez osiem tygodni, co nie przyniosło znaczącego uszczerbku dla jej zapasu paliwa jądrowego, wystarczającego na osiem lat. Rosyjski wodny reaktor ciśnieniowy PWR może dostarczać energii dla potrzeb napędu, ogrzewania, produkcji wody pitnej i regeneracji powietrza praktycznie bez końca. Jeśli nie trafi się żadna awaria, tylko wyczerpanie zapasów żywności mogłoby zmusić Barracudę II do wyjścia na powierzchnię. Ten okręt o tytanowym kadłubie, cichy jak duch i zdolny do skrytego, morderczego ataku spod wody był marzeniem każdego podwodniaka.

Od przylądka Horn do równika jest cztery tysiące mil morskich. Trzy czwarte tej drogi przebyli szparko; utrzymywali przyzwoitą prędkość piętnastu węzłów, wykorzystując brak systemów nasłuchowych i patroli jakiegokolwiek marynarki wojennej. Badr trzymał się o tysiąc mil od brzegów Argentyny, płynąc środkiem Basenu Argentyńskiego na głębokości stu pięćdziesięciu metrów. Minęli Rio de la Pląta, estuarium dwóch potężnych rzek, Parany i Urugwaju, trzymając się na wschód od płytkich wód nad Wyniesieniem Rio Grandę, i szli dalej na północ, w stronę brytyjskiej Wyspy Wniebowstąpienia. Na długo przed dotarciem w jej rejon Badr znacznie zmniejszył prędkość, aby przemknąć jak najciszej obok znajdującej się na niej amerykańskiej bazy wojskowej. Na całym południowym i środkowym Atlantyku było to prawdopodobnie jedyne miejsce, gdzie mogli zostać namierzeni, dlatego też Barracuda II mijiała je w żółwym tempie i na większej niż zazwyczaj głębokości, bo aż dwustu dziesięciu metrów. Na całym okręcie panowała głucha cisza. Rawi i Ben Badr przesiadywali długie godziny w centrali lub w pomieszczeniu sonarów, Szakira w nawigacyjnej.

W piątek 18 września przekroczyli równik i znaleźli się z powrotem na półkuli północnej. Przed nimi był teraz

tysiąc milowy odcinek do wyznaczonego miejsca spotkania, który pokonali z dobrą prędkością w niecałe trzy dni. W południe 21 września byli na miejscu, krążąc na głębokości peryskopowej w odległości około ośmiu mil od Dakaru, stolicy i najważniejszego portu Senegalu, leżącego w najbardziej wysuniętym na zachód punkcie Afryki, Przylądku Zielonym.

Poniedziałek, 21 września 2009 r., godzina 11.00. Chevy Chase

Arnold Morgan gościł u siebie starego przyjaciela, od niedawna ambasadora izraelskiego w Waszyngtonie, sześćdziesięciodwuletniego generała Dawida Gawrona, niegdyś kierującego najsprawniejszą chyba na świecie służbą wywiadowczą – Mosadem. Poznali się i współpracowali przed siedmiu laty, kiedy Gawron pełnił rolę attache wojskowego. Później, kiedy obydwaj awansowali – admirał na doradcę prezydenta, generał na szefa Mosadu – siłą rzeczy musieli pozostawać w kontakcie.

Spotkanie tego dnia nie było zwyczajne. Dawid Gawron oczywiście wiedział, że Morgan już nie piastuje swojego stanowiska w Białym Domu, co jednak w niczym nie zmniejszyło jego szacunku ani dla osoby gospodarza, ani dla jego encyklopedycznej wiedzy o świecie zakulisowych walk o wpływy na arenie międzynarodowej. Gawron zgadywał, że Stany Zjednoczone stanęły w obliczu poważnego problemu. Od lat był bliskim przyjacielem i powiernikiem najważniejszych osobistości w polityce i siłach zbrojnych Izraela, ciesząc się opinią najbardziej zaufanego człowieka w kraju.

Był prawdziwym sabrą, urodzonym nieopodal Nazaretu. 8 października 1973 roku, pierwszego dnia wojny Jom Kippur, wyjechał na pustynię Synaju jako dowódca batalionu w dywizji pancерnej samego generała Abrahama „Brena” Adana. Tego strasznego dnia setki młodych żołnierzy, oszołomionych siłą ataku egipskiej 2. armii, walczyły i ginęły na jałowych piaskach. Przez dwie doby młody Dawid był na pierwszej linii bitwy, odpierając falę za falą egipskich czoł-

gów. Dwukrotnie ranny, otrzymał medal za odwagę z rąk samej premier Goldy Meir.

Takiego właśnie człowieka Arnold Morgan potrzebował w tej chwili, ponieważ tylko ktoś taki jak Dawid Gawron, kto stawiał czoło armii najeźdźców, może ostatecznie zdecydować, czy jego oblężony kraik może spełnić prośbę Stanów Zjednoczonych o wycofanie się z Zachodniego Brzegu Jordanu. Do tej pory efekty nieoficjalnych, acz konkretnych rozmów nie były zachęcające. Najwyższe szarże w izraelskiej armii dostawały niemal drgawek na myśl o wolnym państwie palestyńskim. Twardzi ludzie z Knesetu, Mosadu i Szin Bet, służby bezpieczeństwa, niedwuznacznie dawali do zrozumienia, że to byłaby zbyt wielka przysługa, by Amerykanie mogli o nią prosić.

Arnold Morgan spojrział na bliznę przecinającą lewy policzek Gawrona. Wiedział, że to pamiątka po odległej w czasie i przestrzeni bitwie czołgów na synajskiej pustyni. Wiedział też, że sięga ona głęboko... Reakcja ambasadora na uprzejmą propozycję, by zaprzestać wrogich działań wobec Palestyńczyków, będzie miała istotny wpływ na dalsze postępowanie Amerykanów.

Dzień był ciepły, usiedli więc na patio przy basenie. Arnold popijał kawę, spoglądając w zimne niebieskie oczy wysokiego i nad wiek sprawnego Izraelczyka o krótko przystrzyżonych włosach i opalanej cerze.

–Dawidzie... – odezwał się w końcu. – Chciałbym, żebyś był ze mną szczery.

–Jak zawsze. – Ambasador się uśmiechnął.

–Czy wiadomo wam o groźbie jaką kierownictwo Hamasu wystosowało naszemu krajowi?

–Owszem.

–Wiecie o dwojakiej naturze ich żądań? Chcą, żebyśmy wycofali całkowicie wszystkie nasze wojska z Bliskiego Wschodu i skłonili was do wyrażenia zgody na utworzenie państwa palestyńskiego w obecnych granicach Izraela.

–Tak, znane są nam te żądania, jak również sama groźba.

–Okay. Wiecie więc też, że zaczęliśmy pierwsze ruchy naszych oddziałów w bazach wokół Zatoki Perskiej.

–Oczywiście.

–Czy sądzicie, że Hamas wierzy, iż zamierzamy spełnić ich ultimatum?

–Wątpię.

–Dlaczego?

–Dlatego że na pewno nie robicie nawet w przybliżeniu odpowiednio dużo. Gracie tylko na zwłokę, przygotowując się przez ten czas do zniszczenia przeciwnika... zgodnie z uświęconą amerykańską tradycją.

–Cholernie trudno byłoby zniszczyć Hamas, skoro go nigdzie nie widać.

–Zapewniam cię, że nie musisz nam tego mówić. My ich widzimy znacznie lepiej niż wy, a też nie udaje się nam ich pozbyć.

–No cóż, Dawidzie, z pewnością możemy zwiększyć tempo wycofywania naszych ludzi na tyle, żeby to wyglądało realistycznie. Ale naturalnie potrzebna jest nam wasza pomoc. Musimy zademonstrować, że namówiliśmy was do zawarcia trwałego pokoju i korekty granic rejonu Gazy i Zachodniego Brzegu Jordanu.

Dawid Gawron nie odpowiedział.

–Chcę więc zadać ci dwa pytania – ciągnął Morgan. – Pierwsze ma związek z twoim doświadczeniem w walce z terrorystami arabskimi. Uważasz, że powinniśmy traktować te groźby Hamasu poważnie?

–Mówisz o zapowiedzi spowodowania gigantycznego osuwiska, a w jego wyniku tsunami, które zniszczyłyby wasze Wschodnie Wybrzeże?

–O tym właśnie.

–Odpowiem ci więc, że tak, powinniście traktować je poważnie. Dlatego, że Hamas stał się bardzo groźny w ostatnich dwóch, trzech latach. Na pewno zwróciliście uwagę na ich spektakularne sukcesy, niektóre naszym kosztem, niektóre waszym...

–Jasne, że tak. A teraz oni nam znów grożą, Dawidzie. Niech to szlag, oni nigdy nie byli aż tak niebezpieczni!

–Dopóki nie znaleźli sobie lidera wyszkolonego w Sand-hurst.

–Mówisz o oficerze SAS, który zdezerterował i przeszedł na ich stronę?

–O nim właśnie. I nie wątpię, że wiecie o tym, iż przeskoczył przez ten mur w moim kraju, podczas bitwy ulicznej w Hebronie.

–Ściśle mówiąc, Dawidzie, on nie tyle przeskoczył mur, co obszedł go dookoła.

–Masz precyzyjne informacje, Arnoldzie. – Gawron się uśmiechnął. – Mamy oczywiście te same źródła. W każdym razie nikt go już więcej nie widział, a od tamtej pory Hamas już nie jest taki jak przedtem.

–Nie musisz mi tego mówić. Teraz jednak mamy na głowie ten cholerny wulkan.

–Nie wiem, czy słyszałeś, że półtora roku temu on uprowadził i zamordował tego profesora w Londynie, światowej sławy eksperta od katastrof geologicznych?

–Skojarzyliśmy te fakty dopiero niedawno.

–My w Tel Awiwie byliśmy trochę szybsi. Ale już wcześniej wiedzieliśmy, że w Londynie działa aktywna komórka Hamasu. W samej rzeczy spóźniliśmy się dosłownie o jeden dzień. Mało brakowało, a oszczędzilibyśmy wszystkim wielu kłopotów.

–Albo stracilibyście zespół zabójców.

–Tak, zawsze się liczymy z taką ewentualnością, kiedy mamy do czynienia z takim człowiekiem – przytaknął ambasador. – Wracając jednak do twojego pytania, naprawdę uważam, że musicie podejść do tej groźby poważnie. Po jego poczynaniach w Londynie możemy przyjąć, że teraz on jest ekspertem od wulkanów. Nasz szef siatki w Damaszku doniósł, że oni z całą pewnością zamierzali spowodować erupcję Mount St. Helens. Ta informacja nigdy się nie doczekała potwierdzenia, ale zbieg okoliczności jest tu zbyt wielki.

–To zaś z kolei oznacza, że dni naszego Wschodniego Wybrzeża mogą być policzone – odrzekł Arnold. – Trochę się zapoznałem z tematem i prawda jest dla mnie oczywista. Jeśli on uderzy w Cumbre Vieja, tsunami powstanie. A wtedy żegnaj, Nowy Jorku...

–Rozumiem oczywiście wasz problem. Musicie zyskać na czasie, markując wycofywanie się z Bliskiego Wschodu. Naprawdę jednak wysyłacie wielką flotę na Atlantyk, żeby

znaleźć i zatopić ten okręt podwodny albo przynajmniej przechwycić i zestrzelić ich rakiety w drodze do celu.

–Skąd, u diabła, wiesz, że może chodzić o okręt podwodny?

–Proszę, Arnoldzie, trochę nas docień. Wiemy o zniknięciu dwóch Barracud. Wiemy, że jedną z nich znaleźliście, już porzuconą i zatopioną, oraz że druga jeszcze gdzieś się czai. Jasne jak słońce, że nie ma innego sposobu na załatwienie tego wulkanu, jak tylko przez ostrzelanie go raketami spod wody. Samoloty i okręty nawodne nie wchodzi w grę, a odpalenie pocisków z kontynentu afrykańskiego zostałoby przez was natychmiast wykryte. Nie, Arnoldzie. Oni was poinformowali o swoich zamiarach i nie ma wątpliwości, że atak raketowy musi nastąpić z okrętu podwodnego, skradającego się gdzieś w głębinie czy to na północnym Atlantyku, czy u brzegów Afryki. A skoro ta Barracuda jest jedyną podejrzaną... elementarne, Watsonie.

–Masz rację. Jeżeli zaś nie będę mógł udowodnić, że rząd Izraela jest gotów zgodzić się wypełnić nasze zalecenia, Hamas prawdopodobnie otworzy ogień i się przekonamy, czy będziemy umieli im przeszkodzić. Ostrzegam cię tylko, że gdyby taka wersja wydarzeń okazała się prawdziwa, to Kne-set może więcej nie liczyć na jakiekolwiek wsparcie, finansowe czy wojskowe, ze strony USA.

–Zdaję sobie z tego sprawę – odparł Gawron. – I powiem ci całkiem uczciwie, że usiłowałem nie włączać się do tych rozmów. Wiem, że formalnie nic się jeszcze nie zaczęło, ale te rzeczy szybko się rozchodzą. Mamy świadomość, że prędzej czy później Stany Zjednoczone zadadzą nam poważne pytania.

Morgan dołał im obu kawy, po czym wstał i przeszedł kilka kroków tam i z powrotem.

–Dawidzie, powiedz mi, jakie są twoje osobiste zapatrywania na żądanie Hamasu utworzenia niezależnej, demokratycznej Palestyny na terytoriach strefy Gazy i Zachodniego Brzegu... jak to oni mówią, okupowanych przez siły izraelskie od czwartego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku? Wiesz, że chcą natychmiastowego wycofania Wszystkich waszych oddziałów?

–To dla mnie nic nowego. Ale takie żądanie jest równo-

znacznego z nakłanianiem rządu Izraela do popełnienia politycznego samobójstwa. A wiesz, co twój wielki bohater Wins-ton Churchill o tym powiedział?

–Nie przypominam sobie.

–Problem z politycznym samobójstwem polega na tym, że zazwyczaj żyje się dalej i gorzko tego żałuje.

Arnold Morgan się roześmiał mimo powagi sytuacji. Usiadł, wypił łyk kawy i milczał, zamyślony.

–Arnoldzie, są u nas tysiące rodzin, które straciły kogoś w walce o te nowe ziemie izraelskie z agresorami arabskimi. Mój dziadek i dwaj stryjowie zginęli w sześćdziesiątym siódmym na Synaju, moja ukochana i dzielna babcia poległa w tym samym roku, zaopatrując nasze czołgi w amunicję na Wzgórzach Golan. Dwanaście lat temu moja jedenastoletnia wnuczka została zabita przez palestyńską bombę w supermarkecie. Wybacz, Arnoldzie, ale nigdy się nie zgodzę na powstanie w naszych granicach państwa palestyńskiego. Nie zgodzę się na oddanie ziem, za które ginęliśmy w walce z przytłaczającą przewagą Arabów. Mój rząd może i ulegnie, jeśli Ameryka zacznie grać ostro, ale ja sam? Nigdy.

Arnold Morgan uśmiechnął się ponuro do starego wojaka z Ziemi Świętej.

–Ale co z nami, Dawidzie? Tyle zrobiliśmy dla waszego bezpieczeństwa. Jak się zachowacie, gdy na nas przyjdzie godzina prawdziwej próby?

–Cóż... Wschodnie Wybrzeże USA jest bardzo daleko od Izraela. To prawie dziesięć tysięcy kilometrów. I po raz pierwszy to nie nam zagraża zbrojny wróg. Żyje u nas wielu młodych ludzi, których jeszcze nie było na świecie, kiedy Egipcjanie przełamali linię Bar-Lev, atakując nas w nasze największe święto. Mielibyśmy ich prosić o poparcie dla rządu, który oddaje wielkie połacie kraju, jedyne, jaki znają... Palestyńczykom? Z czegoś takiego rodzą się wojny domowe.

–Chcesz powiedzieć, że Izrael nigdy się nie zgodzi na utworzenie wolnej Palestyny? Nigdy nie opuścicie okupowanych terytoriów?

–Nie mówię, że nigdy. Ale na pewno nie w najbliższych pięciu tygodniach, Arnoldzie. To absolutnie niemożliwe. Pamiętaj, że to nie my, ale wy stoicie wobec zagrożenia.

–Jak na oficera i dyplomatę to raczej krótkowzroczna reakcja – zauważył chłodno Morgan.

–Niezupełnie. Ameryce nie będzie łatwo zagrać z nami ostro. Żaden prezydent nie zaryzykuje utraty poparcia wielkiej liczby żydowskich wyborców.

–Ja nie mówiłem o ostrej grze.

–O... a co miałeś na myśli?

–Dawałem ci do zrozumienia, że jeżeli to tsunami narobi nam bałaganu, to przez jakiś czas będziemy poniekąd zajęci. Zbyt zajęci, by wam pomagać, skoro wy nie zechcieliście pomóc nam.

–Ale my nie potrzebujemy pomocy. To nie nam grożą.

–Tak? Jeżeli nasze wojsko i marynarka zostaną na kilka miesięcy praktycznie pozbawione możliwości działania na Bliskim Wschodzie, to jak długo według ciebie potrwa, zanim Hamas obróci swój dotąd tłumiony gniew przeciwko Izraelowi?

Dawid Gawron się zamyślił. Milczał przez długą chwilę, zanim odpowiedział:

–Hamas to organizacja działająca na zasadzie „uderz i uciekaj”. Zwykli terroryści. Nie mają naszego wyszkolenia ani gotowości bojowej. Nie mają gotowej odpowiedzi na ciężką artylerię. A my możemy znieść ataki terrorystyczne. Zawsze to robiliśmy. Hamas po prostu nie jest wystarczająco dużą siłą, żeby zagrozić takiemu krajowi jak Izrael.

–Trzy lata temu może i nie był – odparł Morgan. – Teraz jednak jest inaczej. Mają dowódcę tak dobrego taktycznie, jakiego od lat nie widzieliśmy.

–Mówisz o tym cholernym Kermanie?

–O nim właśnie, Dawidzie. O nikim innym.

Poniedziałek, 21 września, godzina 15.30. Atlantyk, 1433N/01730W. Prędkość 5 w, kursy zmienne

Barracuda II krążyła tuż pod powierzchnią oceanu wśród ławic błękitnopletych tuńczyków, niespełna dziesięć mil od Dakaru. W zachodniej Afryce trwała w najlepsze pora deszczowa i ciepła tropikalna ulewa siekla wodę na wiele mil od

brzegu. Czekali już tak cztery godziny, a deszcz nie ustawał. Co kwadrans Ben Badr wysuwał

peryskop i rozglądał się dookoła, na próżno wypatrując senegalskiego kutra patrolowego, który powinien się zjawić na umówionej pozycji już w południe. Kiedy się wreszcie pokazał, dochodziła szesnasta i Ben z Rawim byli już mocno zdenerwowani. Nawet na tych mało interesujących dla amerykańskich satelitów wodach nie było zbyt przyjemnie tkwić na tak niewielkiej głębokości, gdzie łatwo mogli zostać spostrzeżeni.

Ulewa dość mocno ograniczała widoczność i kiedy dowódca wreszcie zauważył nadpływający kuter, był on już o niecałą milę od Barracudy II. Natychmiast nakazał wynurzenie. Z sykiem sprężonego powietrza i szumem turbin pracujących na zwiększonych obrotach wielki okręt wychynął na powierzchnię po raz pierwszy od dziesięciu tygodni, kiedy minęli japońską wyspę Yaku-shima i zeszli w głębie Pacyfiku. Spieniona woda spłynęła z pokładu. Oficer wachtowy zatrzymał okręt na kursie południowym, czekając na podejście se-negalskiej jednostki. Poza nią w zasięgu wzroku nie było nikogo innego. Senegalczycy przygotowali długi przenośny trap i z pomocą marynarzy z Barracudy II, którzy podali im linę, przerzucili go między obu okrętami. Generał Raszud, stojący z Szakirą na pokładzie, patrzył ze skrywanym niesmakiem na kuter, amerykańskiej budowy Peterson Mark 4, klasy 22 z lat osiemdziesiątych, który rzeczywiście był w oplakany stanie. Czarny kadłub i niegdyś biały pokład rozpaczliwie domagał się nowej warstwy farby, za odbijacze służyły mocno już naddarte opony samochodowe; jak na jednostkę bądź co bądź marynarki wojennej niepokojąco przypominał on zapuszczoną łódź rybaka-bankruta. Nie było jednak innego sposobu na dyskretne wylądowanie, a Senegalczyki jako współwyznawcy islamu chętnie zgodzili się pomóc; co prawda Rawi podejrzewał, że jego koledzy z Bandar Abbas sowicie im za tę przysługę zapłacili. Być może więcej, niż jest wart ten kuter.

Trzej uśmiechnięci i czarni jak smoła marynarze (Ra-szuda już nie zdziwiło, że zamiast morderców mają na sobie dżinsy i białe podkoszulki) pokiwali do nich radośnie i podali dwie cumy na Barracudę II.

–Naprawdę wsiądziemy na ten wrak? – spytała szeptem Szakira.

–Obawiam się, że tak – odrzekł Rawi. – Nic lepszego w tej chwili nie mamy.

W strugach deszczu pożegnali się z Benem, Ahmedem i ZDO, kapitanem Mohtadzem. Wszyscy od początku wiedzieli, że generał z żoną dalej z nimi nie popłyną, niemniej atmosfera była smutna. Od tej pory jednak misja Barracu-dy II miała charakter ściśle operacyjny. Zadanie było określone, rakiety zaprogramowane, trasa ustalona. Teraz potrzeba było tylko dobrej nawigacji, ostrożnego prowadzenia, żółwich prędkości, a potem ucieczki na głębokie, bezkresne wody oceanu. Badr będzie nadal wymieniał sygnały satelitarne z Bandar Abbas; mogą się okazać konieczne zmiany rozkazów, ale dla dowódcy i jego zastępcy pociechą było to, że wszelkie polecenia i informacje będą pochodzić wprost od generała Raszuda. Wojskowy przywódca Hamasu będzie teraz grał w satelitarnego pokera z Amerykanami w ostatnich fazach operacji zmierzającej do ich ostatecznego wyparcia z Bliskiego Wschodu i w razie konieczności z daleka pokieruje ruchami okrętu; na jego pokładzie nie mógłby już nic więcej zdziałać.

Szakira uściskała brata, podała rękę obu irańskim oficerom, po czym weszła na chybotliwy trap. W granatowym worku marynarskim niosła cywilne ubrania, swoje kosmetyki i kałasznikowa. Rawi obserwował, jak ostrożnie stąpa po niepewnych stopniach. Kiedy stawiała nogę na pokładzie Ma-telot Oumar Ndoeye, ruszył jej śladem.

Wciągnięcie trapu z powrotem na kuter wymagało połączenia wysiłków całej jego sześćoosobowej załogi. Ta skomplikowana operacja odbyła się wśród licznych i głośnych krzyków i śmiechu; dwa razy mało brakowało, a spadłby za burtę. Kiedy wreszcie bezpiecznie złożyli go na pokładzie, po Barracudzie II nie było już śladu. Płynęła już na zachód, z powrotem na głębokie wody wokół Grzbietu Śródatlantyc-kiego, znów schowana przed okiem amerykańskich satelitów.

Rawi i Szakira siedzieli na plecionych krzesłach pod brezentowym tentem na rufie kutra. Jego dowódca, umięśniony

były rybak, odważnie brnął w próby konwersacji, ale że władał tylko ciężko akcentowanym francuskim, rozmowa wyraźnie się nie kleiła. Poprzestał więc na wesołym przedstawieniu się jak capitaine Reme i zapowiedzi, że dostarczy ich do portu w pół godziny. Wyglądało na to, że capitaine zna tylko dwa rodzaje prędkości: stop i cała naprzód. W tej chwili była to cała naprzód i Matelot rozdygotany od wysiłku dwóch leciwych silników mknął przez spokojną wodę, rozwijając swe maksymalne dwadzieścia węzłów, ku widniejącemu na horyzoncie wielkiemu muzułmańskiemu miastu Dakar, w którym przynajmniej jeden z wielkich meczetów dorównuje najwspanialszym świątyniom Sztambułu i Teheranu. Senegal i jego stolica od wieków stał jedną nogą w Czarnej Afryce, drugą w muzułmańskim Sahelu; na jego terytorium krzyżowały się, ścierały, a wreszcie wymieszały wpływy chrześcijaństwa, islamu i wierzeń pogańskich. Podstawą gospodarki kraju jest rolnictwo i rybołówstwo, w przeważającej części zaopatrujące rynek wewnętrzny. Na eksport, a tym samym przychody, pozostaje niewiele, z czego znikomy procent przeznaczony jest na budżet marynarki wojennej. US Navy wydaje prawdopodobnie więcej na środki czystości. Obdrapany i roztrzęsiony Matelot Oumar Ndoeye spisał się jednak jak należy i capitaine Reme dotrzymał słowa. Upłynęło dokładnie trzydzieści minut, kiedy dobijali do nabrzeża portu niewątpliwie wojennego, choć rozwieszone wszędzie sieci rybackie zdecydowanie nadawały mu inny koloryt, niż Rawi i Szakira pamiętali z nad Morza Żółtego. Cumowały tu czterystupięć-dziesięciotonowy, lekko uzbrojony patrolowiec Njambuur i ścigacz artyleryjski kanadyjskiej klasy Interceptor, oba dobiegające sędziwego dla okrętów wieku trzydziestu lat. Nie dochodził od nich odgłos pracujących generatorów, a na pokładach nie było żywego ducha. Nie ulegało wątpliwości, że senegalska marynarka wojenna na żadną wojnę się w najbliższej przyszłości nie wybiera.

Na kei przywitał ich sam tutejszy szef operacji morskich, toutes proportions gardees, barczysty, okołoczerdziesięcioletni mężczyzna, który nienaganną angielszczyzną przedstawił się jako kapitan Camara i zapewnił, że jest mu niezmiernie miło gościć ich w swoich skromnych progach; poinformował też, że

rozmawiał ze swym przyjacielem Mohammedem Badrem zaledwie przed kilkoma godzinami i że wszystko jest przygotowane zgodnie z planem. Zapowiedział, że osobiście odwiezie ich na odległe o pięć kilometrów lotnisko, ale najpierw zaprasza ich na herbatę. Samolot będzie na nich czekał o osiemnastej, mają więc pół godziny czasu.

Deszcz przestał padać i pokazało się słońce, mocno jeszcze prażące o tej porze dnia. Państwo Raszudowie ruszyli za swym gospodarzem, po raz pierwszy od ponad dwóch miesięcy postawiwszy stopę na stałym lądzie. Herbata u kapitana Camary była miłym przerywnikiem. Usiedli na tarasie z widokiem na basen portowy, po którym przepływały łodzie rybackie, i popijali ciepły napój ze szklanek w srebrnych uchwytych. Senegalczyk nie zadawał pytań, choć musiała go zżerać ciekawość. Najwyraźniej jednak uznał, że nic mu do spraw tajemniczych gości. Wiedział, że muszą być ważnymi osobami i że wkrótce odlecą w poprzek całej Afryki, nad rozległymi piaskami Sahary. On sam odwiedził tę daleką, rozpaloną pustynię tylko raz w życiu i czuł do niej odrazę, jak większość czarnych Afrykan; rozumiał jednak, że te bezkresne piaski stanowią całą ośnowę muzułmańskiego świata i czuł, że jego niezbyt wielki kraj w jakiś ponadczasowy sposób jest połączony poprzez te pofałdowane wydmy z wielkimi islamskimi narodami od Maroka przez Egipt aż po odległy Iran. To się liczyło; dlatego też z szacunkiem podejmował tę parę ich przedstawicieli. Aby jakoś zacząć konwersację, zauważył, że generał Raszud mówi po angielsku z wyraźnym brytyjskim akcentem, i zapytał, czy miał okazję ukończyć studia w Zjednoczonym Królestwie. Rawi, zmęczony trudami niemal dwudziestu tysięcy mil podmorskiej żeglugi, mógłby wymyślić tysiąc powodów, aby nie rozmawiać na temat swojego pochodzenia, wybrał jednak wariant zmylenia przeciwnika. Uśmiechnął się i powiedział:

–Nie, kapitanie. Wykształcenie odebrałem w Szwajcarii. To tam nauczyłem się angielskiego.

–Aha... Zwrócił pan chyba jednak uwagę, że moja wymowa jest właściwie identyczna, a ja studiowałem właśnie w Anglii. Skończyłem Charterhouse, a potem robiłem wydział inżynierii w Oksfordzie. Ale moim największym osiąg-

nięciem był udział w uczelnianej drużynie golfa przeciwko Cambridge. Raz nawet byłem kapitanem.

Rawi, który w wilgotnej afrykańskiej spiekocie już prawie drzemał, ocknął się i wrócił do rozmowy.

–Jest więc pan kartuzjaninem i grał pan w golfa w barwach Niebieskich? Jestem pod wrażeniem.

–Tak jest – odrzekł Camara, wyraźnie zaskoczony, że jego gość tak dobrze zna niuanse brytyjskiej wyższej edukacji, a zwłaszcza ten, iż absolwentów publicznej szkoły średniej Charterhouse zwie się kartuzjanami. Kontynuował jednak jak gdyby nigdy nic. – Nauczyłem się grać w college'u i kiedy się znalazłem w Oksfordzie, wyszedłem na jednego z najlepszych golfistów. Naprawdę mi się to podobało, poznałem dzięki temu wielu fantastycznych ludzi. Zabawne, ale nigdy nie dawali sobie rady z moim pełnym imieniem i nazwiskiem... Habib Abdu Camara... i kiedy wywieszano listy spotkań na cały tydzień, figurowałem na nich jako „Czarny Człowiek”.

–No, nie! Gdyby dzisiaj tak zrobili, wszyscy poszliby siedzieć! – skomentował z uśmiechem Rawi.

–Pewnie tak! – Camara wybuchnął śmiechem. – Ale nie mieli złych zamiarów. Nawet mnie to bawiło. Wszyscy są do dzisiaj moimi przyjaciółmi.

–Spotykacie się?

–Trudno to tak określić. Wróciłem z Oksfordu siedemnaście lat temu, a potem przez kilka sezonów bywałem na turniejach golfa dla absolwentów szkół publicznych. Wie pan, puchar Halforda Hewitta w Royal Cinque Ports. Graliśmy oczywiście w barwach różnych szkół, ale wtedy w Oksfordzie dwa razy dołożyliśmy tym z Cambridge, z czego jesteśmy raczej dumni.

–A potem przestał pan grywać?

–Niezupełnie. Ale moja kariera w marynarce przez wiele lat nie pozwalała mi już występować w barwach Charterhouse. Tak się składa, że w przyszłym roku wybieram się do Anglii. To zabawne, ale w pucharze spotyka się rokrocznie tych samych ludzi, grających dla swych dawnych szkół. Trzy razy byliśmy w półfinale przeciwko Harrow i żadna z drużyn się wiele nie zmieniła.

Rawi zeszytywniał na wzmiankę o jego starej szkole, ale

rozgadany dowódca senegalskiej marynarki wojennej nie zamierzał marnować okazji do pochwalenia się swoimi sportowymi osiągnięciami przed kimś, kto najwyraźniej wie,

0 czym mowa.

–Z Harrow rozegraliśmy wiele świetnych spotkań. Ich kapitanem był gość o nazwisku Richard Trumper Johnston, ale wszyscy nazywali go Thumper* Johnston. Dobry gracz. Dwa razy mnie pokonał w ten sam sposób, długim strzałem do osiemnastego dołka. W czwórkach nie był już najlepszy.

Rawiemu znów zaczęły się zamykać powieki, ale się zreflektował i w obawie, by nie urazić gospodarza brakiem uwagi, rzucił tyleż prędko, co nieostrożnie:

–Thumper Johnston? Tak, wrócił później do Harrow

1 uczył matematyki.

–Jest pan absolutnie pewien, że nie uczył się pan w Wielkiej Brytanii? – spytał Camara. – Znam was, bliskowschodnich wojskowych. Bardzo tajemniczy z was ludzie, niczego nigdy nie wyjawiacie. Ale wielu z was kończyło angielskie szkoły, zwłaszcza zaś Harrow... choćby król Husajn, co? Ha, ha, ha! – Kapitan wyszczerzył olśniewająco białe zęby w szerokim uśmiechu. – Chyba pana przyłapałem, generale. Ale każdy przyjaciel Thumpera jest i moim przyjacielem. Pański sekret jest u mnie bezpieczny.

–Nie powiedziałem, że go znam – sprostował Rawi. – Po prostu o nim słyszałem. Mój ojciec go znał.

–A więc to pański ojciec uczęszczał do Harrow? Któryś z was musiał, skoro znacie Johnstona. On praktycznie się stamtąd nie ruszał poza wyjazdami na turnieje golfa.

Raszud się uśmiechnął, choć wcale nie czuł wesołości. Wiedział, że musi do czegoś się przyznać, żeby jakoś zamknąć temu idiocie gębę.

–Mój ojciec był Anglikiem, kapitanie, i zdaje mi się, że grał w pucharze Halforda Hewitta przeciwko Thumperowi. Przypominam sobie to przezwisko.

–Ojciec pana grał w barwach Harrow? To była krytyczna chwila.

–Nie, w Bradford.

Od ang. to thump – łupnąć, łomotać.

Kapitan zastanawiał się nad tym przez chwilę, bez wątpienia, jak pomyślał Rawi, oceniając absurdalny pomysł, że Anglik o nazwisku Raszud tak podziwiał grę swojego przeciwnika, że aż opowiedział synowi o jego karierze nauczyciela. „Nie, on chyba tego nie kupi...”

I rzeczywiście; Camara roześmiał się serdecznie.

–Aha, chyba już pana rozgryzłem. Absolwent Harrow, ściśle tajny dowódca łodzi podwodnej, przybywa nie wiadomo skąd... Sprawdźę pana sobie, kiedy będę w Anglii, być może u samego Thumpera Johnstona. A teraz dolejemy herbaty naszym przyjaciółom z głębin oceanu.

Szakira, jeszcze bardziej zmęczona od męża, przysnęła na chwilę i większość tej rozmowy jej umknęła. Obudziła się akurat na ostatnie zdanie Rawiego:

–Powinien pan być detektywem, kapitanie, ale w tej sprawie jest pan w błędzie.

–Jeśli tak, to skąd pan zna Thumpera, matematyka z Harrow? – nie dawał za wygraną Senegalczyk. – Przegrał pan, generale, z Czarnym Człowiekiem z Oksfordu! Ha, ha, ha!

Choć zły na siebie za tę krańcową nieostrożność, Rawi, chcąc nie chcąc, musiał się roześmiać. Odmówił dodatkowego poczęstunku i zapytał, czy nie mogliby już pojechać na lotnisko, Szakira jest bowiem tak wyczerpana, że pewnie zaśnie od razu po zajęciu miejsca w samolocie.

–Naturalnie! – Kapitan Camaro zerwał się z krzesła. – Chodźmy zatem. Zawołam Tomasa, zabierze wasze torby do samochodu. Zaparkowałem za rogiem.

Po chwili siedzieli już w sztabowym czarnym mercedesie z proporczykami w barwach narodowych na błotnikach. Camara niespiesznie wyjechał z portu na drogę wiodącą na północ i już bez dalszej konwersacji odwiózł gości prosto na pas startowy, nieopodal grzejącego silniki lockheeda z oznakami irańskich sił powietrznych. Uparł się, że odprowadzi ich pod same schody, i nie pytając, chwycił za bagaż Szakiry. Oboje pożegnali się z gościnnym kapitanem i weszli do samolotu. U szczytu schodów Rawi odwrócił się raptownie i zawołał za odchodzącym:

–Kapitanie! Proszę wrócić. Mam dla pana drobny prezent w torbie... Zupełnie o nim zapomniałem.

Camara uśmiechnął się od ucha do ucha i zawrócił, jak było do przewidzenia. Kilkoma sprężystymi krokami podbiegł do schodów i po chwili był już na pokładzie. Odwrócony do niego tyłem Raszud grzebał w swoich rzeczach i nagle błyskawicznym ruchem znalazł się przy Senegańczyku, uderzając go silnie rękojeścią noża bojowego w nasadę nosa, a potem drugi raz w nozdrza w klasycznym stylu SAS. Czarny Człowiek z Oksfordu nie żył już, padając na wznak między rzędy foteli.

Szakira stała oniemiała, zupełnie nie rozumiejąc, dlaczego Rawi to zrobił. Pilot, który nie widział samej akcji, też zdębiał na widok zwłok, ale podszedł bliżej i zasalutował.

–General Raszud? – spytał tylko. Wojskowa dyscyplina przeważała.

–Przepraszam za ten bałagan – odrzekł Rawi. – Proszę mu założyć worek foliowy na głowę i ramiona. Wyrzucimy go nad pustynią albo nad Morzem Czerwonym. Powiem panu kiedy.

–Tak jest.

–Kapitanie... Pan rozumie, że to jest ściśle tajna operacja. Ten człowiek za dużo o nas wiedział. Przedstawiał zagrożenie dla Iranu i dla sprawy islamu. Miał zamiar ujawnić moją tożsamość jako przywódcy Hamasu Brytyjczykom. Oczywiście nie mogłem do tego dopuścić.

–Tak jest, generale. Rozumiem doskonale. Ale będę musiał zwolnić i zejść bardzo nisko, jeżeli mamy otworzyć tylny luk. Proszę mi tylko powiedzieć, kiedy będzie trzeba. Polecimy na pułapie sześciu tysięcy metrów. Mam na pokładzie gorącą kawę i trochę kanapek. Możemy dostać coś lepszego w Asuanie, gdzie około pierwszej w nocy wylądujemy dla uzupełnienia paliwa.

–Dziękuję, kapitanie. A teraz lepiej zabierajmy się stąd, zanim ktoś zacznie szukać dowódcy tutejszej marynarki wojennej.

Razem z Szakirą usiedli na wygodnych, krytych skórą fotelach w przedniej części samolotu, zazwyczaj zajmowanych przez obserwatorów radarowych i techników komputerowych podczas lotów zwiadowczych nad Morzem Arabskim i Zatoką Perską. Pilot, kapitan Fahad Kani, podkołował na pozycję

startową, sprawdził, czy pas przed nimi jest wolny, i pchnął do przodu manetki silników, nie czekając nawet na zezwolenie z wieży kontrolnej. Lockheed ruszył naprzód, nabierając prędkości, i po chwili był już w powietrzu, ostro pnąc się do góry nad brzeg Atlantyku. Wkrótce pochylił się w zwrocie na północ ku Mauretanii, a po jakimś czasie skręcił na wschód. Dalsza trasa lotu wiodła nad ubogimi, śródlądowymi krajami Sahelu: Mali, Nigrem i Czadem, a potem nad północnym Sudanem. Po kolejnych kilku godzinach dotrą do żyznej, zielonej doliny Nilu w

okolicach Asuanu, gdzie tę najdłuższą rzekę świata przegradza wielka tama.

Rawi nie mógł się zdecydować, czy zrzucić ciało kapitana Camary w piaski Sahary, z nadzieją, że rozszarpia je sępy albo pogrzebie pierwsza burza piaskowa, czy też wybrać morze, gdzie zajmą się nim rekiny. Nie był tylko pewien, czy w Morzu Czerwonym rekiny trafiają się odpowiednio często i nie chciał ryzykować, że fale wyrzucą zwłoki na brzeg. Zdawał też sobie sprawę, że czas gra tu niebagatelną rolę. Ten akwen jest stosunkowo wąski, samolot leci szybko, a wyrzucenie ciężkiego ciała przez luk nie będzie łatwe. Wystarczy drobny pech, a senegalski oficer wyląduje w centrum Dżuddy albo i Mekki.

Oboje byli zbyt zmęczeni, by mieć ochotę na jedzenie, ale kawa smakowała wybornie, wzięli też z rozsądku po lekkiej kanapce z kurczakiem i pomidorem w bułce pita. Wkrótce pogrążeni byli we śnie. Rawi zbudził się po dwóch godzinach – rzadko sypiał dłużej – i zapytał kapitana o pozycję. Zajrzał potem do swojego ulubionego Atlasu podróżnika w kieszonkowym, oprawnym w skórę wydaniu ze złoconymi brzegami stron, który dostał od Szakiry. Po krótkim zastanowieniu wybrał miejsce na pozbycie się zwłok senegalskiego gaduły. Obliczył, że dotarcie tam zajmie im jeszcze trzy i pół godziny, po czym polecił drugiemu pilotowi, by obudził go

0 odpowiedniej porze i przygotował się do obniżenia pułapu

1 zmniejszenia prędkości. Wrócił do Szakiry i starał się zasnąć, trzymając ją za rękę, ale była to już tylko niespokojna drzemka. Samolot leciał tymczasem nad terytorium Czadu. Wkrótce znaleźli się nad Pustynią Libijską, najbardziej odludną częścią Sahary u zbiegu granic Czadu, Libii, Egiptu

i Sudanu. Rawi wybrał rejon Al-Kufra, pas wydm między oazami Ma'tan Biszrah i Ma'tan Sarah, gdzie w promieniu stu kilkudziesięciu kilometrów nie ma żadnej osady, a temperatury od wschodu do zachodu słońca utrzymują się na poziomie czterdziestu kilku stopni.

W tych dzikich stronach bez żadnych charakterystycznych punktów w terenie dokładną pozycję można uzyskać tylko za pomocą odbiornika GPS. Kapitan Kadi obserwował uważnie jego wskazania. Raszud z drugim pilotem zaciągnęli trupa pod tylne drzwi, podczas gdy samolot z wolna schodził na wysokość trzech tysięcy metrów i zmniejszał prędkość do minimum niezbędnego dla utrzymania siły nośnej, czyli w tym wypadku trzystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Obaj założyli szelki i przypięli się linkami do ściennych uchwyty. Kiedy samolot znalazł się w pobliżu ustalonej pozycji, z głośnika padło ostrzeżenie pilota: „JEDNA MINUTA!”

Drugi pilot odbezpieczył drzwi luku i pociągnął je w bok, żeby otworzyć. Hałas był ogłuszający, a pęd powietrza mógłby wyssać ich na zewnątrz, gdyby nie zabezpieczenie. Przytrzymując się rękami za poręcze, nogami przeturlali zwłoki ku drzwiom.

–TERAZ! – krzyknął kapitan przez głośnik.

Jeszcze dwa solidne pchnięcia i doczesna powłoka Czarnego Człowieka z Oksfordu poszybowała ku ziemi. Rawi i irański lotnik przez chwilę za nią patrzyli, po czym szybko zamknęli drzwi.

–W porządku, kapitanie, możemy wracać na właściwy pułap! – rzekł Rawi przez interkom.

Pilot zareagował natychmiast. Rawi poczuł nagle przyspieszenie, a pokład uniósł się o kilkanaście stopni ku górze. Wróciwszy na miejsce, stwierdził, że Szakira śpi w najlepsze, co tylko świadczyło o jej zmęczeniu. Zadowolony, że udało mu się nie dopuścić do jakiegokolwiek kontaktu przemądrzałego Senegalczyka z kręgiem absolwentów Harrow i nie pozostawić przy tym śladów, nalał sobie świeżej kawy.

Kapitan Kani prowadził maszynę ku granicy libijsko-egipskiej. Drzwi do kokpitu były otwarte i Rawi widział jego prawe ramię i fragment głowy.

–Do Asuanu zostało jeszcze niecałe dziewięćset kilo-

metrów! – krzyknął Irańczyk za siebie. – Będziemy tam za godzinę z hakiem.

–Ile jeszcze jest stamtąd do domu? – spytał Raszud.

–Okolo dwóch tysięcy czterystu kilometrów. To będzie jakieś trzy i pół godziny lotu. W Asuanie zostaniemy przez

godzinę.

General zdołał jeszcze zasnąć, kiedy lockheed wyrównał lot i mknął dalej z przelotową prędkością prawie dziewięć-ciuaset kilometrów na godzinę nad wschodnimi połaciami Sahary. Obudził się na czas, by zobaczyć przez iluminator połyskujące w dole Jezioro Nasera, sztuczny zbiornik o długości trzystu sześćdziesięciu kilometrów, powstały po zbudowaniu tamy asuańskiej. Kani powoli schodził już do lądowania nad płaskim, nagim terenem na zachodnim brzegu i o godzinie czwartej czasu lokalnego wprawnie posadził samolot na pasie startowym asuańskiego lotniska. Mimo wczesnej pory udało mu się załatwić ciepły posiłek dla swoich szacownych pasażerów, egipskie narodowe danie kuszari, przywiezione przez żołnierza na elektrycznym wózku. Rawi i zaspana Szakira z pewnym niepokojem wpatrywali się w tę mieszankę makaronu, ryżu, czarnej soczewicy, smażonej cebuli i pomidorów. Na dworze było ciemno choć oko wykol, a oni na dodatek po przebyciu kilku stref czasowych stracili poczucie czasu, ale odważyli się na to wczesne śniadanie. Potrawa okazała się smaczna; pochłonęli wszystko, przegryzając wszechobecną w arabskim świecie pitą i popijając zimnym sokiem pomarańczowym.

Odświeżeni w ten sposób i z pełnym zapasem paliwa wystartowali w dalszą drogę o piątej rano, kierując się orto-dromą ku Morzu Czerwonemu i Półwypowi Arabskiemu. Półmetek tego ostatniego odcinka wypadał na wysokości Ri-jadu, a nad Dammamem, najważniejszym portem saudyjskim po stronie wschodniej, wylecieli nad Zatokę Perską. Kiedy lądowali w Bandar Abbas, była już godzina dziesiąta we wtorek, 22 września.

Sztabowy samochód marynarki zabrał Rawiego i Szakirę wprost z pasa startowego, gdy tylko kapitan Kani wyłączył silniki swego lockheeda. Kierowca zawiózł ich do portu wojennego, gdzie zaprowadzono ich do pokoju dla najważniej-

szych gości w budynku dowództwa. Podobnego apartamentu nie powstydziliby się najlepszej klasy hotel. Klimatyzacja działała idealnie, wykładana zielonym marmurem łazienka zachęcała wyborem mydeł, kosmetyków, płynów do kąpieli i wód kolońskich, a podwójne łoże z baldachimem kusilo z nie mniejszą siłą. Dwóch ordynansów w nieskazitelnie białych i wyprasowanych mundurach napełniało już wannę pachnącą, spienioną wodą, a na pościeli czekały dwie czarne jedwabne piżamy. W garderobie wisiały nowiutkie sorty mundurów w wersji męskiej i damskiej: spodnie i długa spódnica, granatowe i białe koszule, skarpetki, bielizna i buty. Szakira z wyдутymi wargami stwierdziła, że będzie wyglądać jak świeżo wypucowany majtek, na co Rawi przypomniał jej, że sama się upierała, żeby wstąpić do marynarki wojennej.

Kąpiel była gotowa, a dwaj marynarze zajęli się teraz pokojem. Na stole znalazła się czara z sałatką owocową, dzbanki kawy i herbaty oraz świeże ciastka, telewizor był włączony na kanał CNN, a na bocznym stoliku między dwoma wygodnymi fotelami leżały gazety w języku arabskim i angielskim. Z której strony spojrzeć, porównanie z kabiną admiralską na Barracudzie II wypadło zdecydowanie na korzyść garnizonowego hotelu. Szakira czuła się jak w przedsionku raj. Bitą godzinę moczyła się w wannie, trzykrotnie myjąc włosy, aby „przestać pachnieć jak okręt podwodny”. Irańscy ordynansi zabrali do prania ich rzeczy, a na odchodnym jeden z nich zaciągnął story i zasugerował, żeby goście się przespali, gdyż admirał Badr wyznaczył konferencję na szesnastą trzydzieści.

Admirał Badr wiedział, jak ważne osoby goście w swej bazie, i miał świadomość, że wiele krajów zapłaciłoby bazońskie sumy za informację o aktualnym miejscu pobytu wojskowego lidera Hamasu. Przed drzwiami pokoju państwa Raszudów stanęło dwóch wartowników, kolejni dwaj zajęli pozycję u podnóża schodów, a na zewnątrz pełnił służbę czteroosobowy patrol.

O szesnastej obudził ich telefon. Ktoś po drugiej stronie uprzedził, że za pół godziny podjedzie po nich samochód. Rawi i Szakira ubrali się bez pośpiechu, napili się jeszcze po filiżance kawy i zeszli na dół.

Dowódca irańskiej marynarki wojennej przywitał ich ciepło i opowiedział, w jakim napięciu czekali na wieści o ich akcji i jaki dramatyczny efekt wywarła w sztabie informacja o erupcji Mount St. Helens.

–To był dla nas wszystkich cudowny moment. Tyle miesięcy planowania przyniosło taki widowiskowy rezultat. Ale nie słyszeliśmy o jakiegokolwiek reakcji Stanów Zjednoczonych na nowe groźby i żądania Hamasu.

–Właściwie nie oczekiwałem z ich strony żadnych oświadczeń – odrzekł Rawi. – Spodziewałem się za to ruchów wojsk w ich bliskowschodnich bazach, no i być może jakiegoś przynajmniej ogólnikowego komunikatu izraelskiego do ważniejszych państw arabskich i Iranu.

–O tym właśnie będziemy dzisiaj dyskutować – rzekł Badr senior. – Nic nie wiadomo ani nam, ani nikomu innemu o żadnych nowych inicjatywach w kwestii Zachodniego Brzegu. Mam tu jednak raport o sytuacji w amerykańskich bazach wojskowych.

–To świetnie. Chciałbym, żebyśmy go wspólnie przestudowali, a potem zastanowili się nad dalszymi posunięciami.

–Oczywiście. Mam wszystkie niezbędne informacje. Ale zanim przejdziemy do rzeczy... Jak tam mój syn? Czy dobrze się sprawuje jako dowódca okrętu?

–O, Ben jest doskonałym oficerem – zapewnił Rawi. – Wyrósł na świetnego dowódcę, trzyma wszystko pod absolutną kontrolą, a załoga mu ufa w stu procentach. Sam okręt nie sprawia żadnych kłopotów. Trafiały się tylko drobne defekty. Spodziewam się, że bez przeszkód wypełnią pozostałą część misji, a potem bezpiecznie wrócą do domu. Mogą wprawdzie być zmuszeni do ukrycia się przez kilka tygodni gdzieś w głębinach, jeżeli będziemy musieli dokonać naszego ostatecznego ataku.

–Jak to od początku zamierzaliśmy zrobić – dodał admirał. – Wygląda na to, że Barracuda II jest po prostu nie do wykrycia, nawet na wodach przeciwnika.

–W każdym razie w ręku takiego mistrza jak Ben -zgodził się Rawi. – Prowadziliśmy ten okręt przez niebezpieczne akweny, wiedząc, że pół US Navy musi nas szukać, ale o ile mi wiadomo, nie usłyszeli nawet szmeru.

–W ustach podwodniaka to dufne słowa – uśmiechnął się Badr. – Ale miło mi je słyszeć. Popatrzymy teraz na dane o amerykańskiej ewakuacji?

–Proszę czytać, admirale, a ja będę sobie notował.

–Dobrze. Zaczniemy od Bahrajnu. Baza V Floty US Navy. Stał tam zespół lotniskowca Constellation, ale przed trzema dniami odpłynął. Jedenaście okrętów, w tym dwa podwodne. Śledziliśmy ich w drodze do Ormuz i dalej na południe. Odnotowaliśmy też nieznaczną redukcję personelu, około pięciuset ludzi odleciało do Incirlik. Dalej Kuwejt. Mają tam silny korpus i bazę szkoleniową, w sumie dwanaście tysięcy żołnierzy. Część myśliwców odleciała na Diego Garcia, ale nie stwierdziliśmy żadnych poważniejszych ruchów wojska. Trzecia jest Arabia Saudyjska. Niedawno znowu otworzyli starą bazę i teraz stacjonuje tam ponad dziesięć tysięcy ludzi, do tego spora liczba samolotów bojowych i zwiadowczych...

Mohammed Badr czytał kolejno dane o wszystkich jednostkach amerykańskich wokół Zatoki Perskiej. Powoli wyłaniał się z tego wyraźny obraz. Rawi nie miał wątpliwości.

–Przyznam, że jestem rozczarowany tą listą – powiedział. – Amerykanie najwyraźniej nie wzięli naszej groźby poważnie. Jasno widać, że usiłują tylko zyskać na czasie. Ile ich lotniskowców jest teraz w tym rejonie?

–Na Zatoce nie ma już żadnego. Jeden jest na Morzu Arabskim, a drugi płynie w kierunku Diego Garcia, jak się zdaje.

–Constellation? – Tak.

–No cóż... Jedno jest pewne. Nie tak postępuje kraj, którego pół wybrzeża i najważniejsze ośrodki przemysłowe i finansowe mają wkrótce lec w gruzach, prawda?

–Zgadza się z tobą, Rawi.

–Mamy jakieś informacje na temat reakcji samego prezydenta McBride'a?

–Żadnych. Może to oznaczać, że działa zakulisowo, żeby nas wykończyć, ale sądzę, że raczej nie uwierzył w nasze ultimatum.

–Też tak uważam. To znany liberał i pacyfista, a tacy mają skłonności do chowania głowy w piasek. Dla nas zagro-

żeniu pojawia się wtedy, gdy do władzy dochodzą ludzie w rodzaju admirała Morgana, ponieważ po nich można się spodziewać ataku, a przynajmniej odwetu.

–Co więc według ciebie należy teraz zrobić?

–Myślę, że czas na drugą fazę naszego planu, admirale.

–Spodziewałem się, że to powiesz, generale. Trudno się z tym nie zgodzić. Mamy teraz dość siły, żeby ich zmusić do uległości. Podjąłeś już decyzję co do następnego oświadczenia?

–Oczywiście. Wiem dokładnie, co trzeba zrobić. Najpierw jednak muszę wysłać Bena do akcji. Jest dobrze zorientowany i na pewno nie będzie niepotrzebnie pakował się w niebezpieczeństwo. Ten etap jest zresztą chyba najłatwiejszy, a efekty mogą być nader korzystne.

–A zatem bierz się do dzieła – rzekł z uśmiechem Badr. – I niech cię Allah wspiera, Rawi.

Wtorek, 22 września 2009 r., godzina 15.30. 1445N/ /01800W. Prędkość 7 w, kursy zmienne

Barracuda II wolno manewrowała na głębokości stu osiemdziesięciu metrów, utrzymując pozycję około czterdziestu mil na zachód od wybrzeża Senegalu. Od południa Ben Badr oczekiwał rozkazów z Bandar Abbas, jakie miały nadejść za pośrednictwem chińskiego satelity wojskowego. Wiedział, że w tej chwili jego ojciec i generał Raszud pracują nad następnym posunięciem. Co dwie godziny podchodził na peryskopową, wysuwał maszt antenowy i łączył się z satelitą, sprawdzając, czy nie ma dla niego wiadomości. Cała procedura zajmowała nie więcej niż siedem sekund, po czym natychmiast schodził znów w głębinę. O dwunastej jednak nic nie nadeszło, podobnie jak o czternastej, czyli o osiemnastej trzydzieści czasu irańskiego. Ben powoli zaczynał się niepokoić. Do następnej pory transmisji zostało jeszcze pół godziny, które dowódca przesiedział jak na szpilkach. Kiedy punktualnie o szesnastej antena znowu wynurzyła się z wody, tym razem ku jego uldze na ekranie komputera ukazała się zakodowana wiadomość od admirała Badra i generała Raszuda:

Płynąć na wschód do 5650N/15700E. Wystrzelić o 300-200LIS11.

Tyle w każdym razie zobaczyłby kryptograf z obcego wywiadu po złamaniu kodu depeszy. Mógłby się tylko zdziwić, że ktoś każe komuś dopłynąć na trzydzieści pięć kilometrów w głąb Kamczatki od strony Morza Ochockiego. Ben Badr wiedział jednak, że szyfr jest podwójny i w rzeczywistości otrzymany rozkaz kieruje go na zachód, na pozycję 16°50'N, 057°W, a czas oddania salwy wyznacza na 282400WRZ09, czyli na północ 28 września. Miał więc sześć i pół dnia na pokonanie dwóch tysięcy dwustu pięćdziesięciu mil morskich; wynikało z tego, że jego ojciec uważa średnią prędkość czternaście i pół węzła za odpowiednią na tych pustych wodach środkowego Atlantyku. Ben zdecydował, że popłynie do Grzbietu Śródatlantyckiego na dużej głębokości i z prędkością siedemnastu węzłów, po drugiej zaś stronie wydatnie zwolni – będzie wtedy o tysiąc mil od amerykańskiej bazy morskiej w Puerto Rico, a do celu pozostanie mu niecałe pięćset mil.

Zszedł do kabiny nawigacyjnej. Pusto tam teraz było bez Szakiry... Razem z porucznikiem Asztarim sprawdzili pozycję podaną w depeszy na przygotowanej jeszcze przez nią mapie. Koordynaty celu – 16°42'N, 062°10'W – były już wprowadzone do komputerów pokładowych w nosach czterech rakiet SL-1. Wybrana pozycja strzału znajdowała się o trzysta mil morskich na wschód, co dawało około pół godziny lotu. Ben Badr wrócił do centrali i wydał odpowiednie polecenia.

–Kurs dwieście siedemdziesiąt dwa. Zanurzenie sto osiemdziesiąt, prędkość siedemnaście węzłów!

Czwartek, 24 września 2009 r., godzina 11.30. Pentagon

Generał Tim Scannell wiedział, że najzwyczajniej w świecie dostał kopniaka. Zadzwoił do prezydenta bezpośrednią linią do Gabinetu Ovalnego i po raz pierwszy w historii przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów połą-

czono go nie z głową państwa, lecz z szefem gabinetu. Bili Hatchard rozmawiał z nim uprzejmie, co nie zmieniało faktu, że telefon z naczelnego dowództwa sił zbrojnych USA do prezydenta został przechwycony przez zwykłego w gruncie rzeczy urzędnika. Co gorsza, Hatchard chciał koniecznie wiedzieć, o co generałowi chodzi. Scannell uważał to za niewybaczalne, ale szef gabinetu jasno powiedział, że albo się dowie, czego Pentagon chce od prezydenta, albo nie połączy tej rozmowy. Generał po raz pierwszy w swej długiej i zaszczytnej służbie był zmuszony skapitulować.

–Powiedz mu, że chodzi o komunikat od Hamasu – rzucił szorstko, z ledwo maskowanym gniewem. – 1 niech do mnie od-dzwoni, kiedy już skończy z tym, co go tak cholernie zajmuje.

Bili Hatchard nie czuł bynajmniej triumfu. Przeciwnie, narastała w nim obawa. Zrobił sobie wroga z najwyższego rangą i najbardziej szanowanego wojskowego w kraju, człowieka, który nie bał się ani jego, ani jego szefa. Niedobrze. Bili znał zasady gry. Te wysokie szarże z Pentagonu miały silną pozycję, a co więcej, ich stanowiska były stałe. Generał Scannell będzie tam jeszcze długo po odejściu Charlesa McBride'a, podobnie jak większość z tych kapiących złotem generałów i admirałów w jego otoczeniu. Bili zdecydował, że nie wspomni prezydentowi o wrogości, jaka tak szybko zapanowała między nim a Scannellem.

To wszystko się działo trzy kwadranse temu, a generał wciąż jeszcze się nie doczekał telefonu z Białego Domu. Wpadłby w furję, gdyby znał treść krótkiej rozmowy, jaka pół godziny wcześniej wywiązała się między prezydentem a jego szefem gabinetu.

–Sir, czy nie zechciałby pan oddzwonić do generała Scannella?

–Czego on znów chce?

–Chodzi o tę sprawę z Hamasem.

–Dostali coś nowego?

–Nie wiem. On nie chciał nic powiedzieć i upierał się, że musi rozmawiać z panem.

–Zadzwoń do niego sam i powiedz, że jeśli mają nowe wiadomości, to może spróbować się ze mną połączyć, ale jeśli nie, to niech da spokój. Jestem bardzo zajęty.

–Tak jest, sir.

Odwaga jednak opuściła byłego futbolistę. Nie mógł się zebrać w sobie, żeby zatelefonować do przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów i potraktować go jak smarkacza. Nie miało to nic wspólnego z taktem – Bili Hatchard po prostu się bał i nie zamierzał wypowiadać Ti-mowi Scannellowi otwartej wojny. Jak wielu niezbyt kompetentnych urzędników, którym przychodzi działać na zbyt głębokich wodach, wybrał rozwiązanie doraźnie bezpieczne – nie robić nic. Rozjuszonemu generałowi pozostało tylko skontaktować się z „jedynym człowiekiem, który dokładnie rozumie, o co tu chodzi” – z admirałem Arnoldem Morganem.

Rozmowa była poważna. Według domysłów admirała Barracuda była teraz gdzieś na południowym Atlantyku, prawdopodobnie u wybrzeży Argentyny. Wysłuchał z uwagą relacji Scannella o ewakuacji wojsk z Bliskiego Wschodu; ucieszyła go szczególnie wiadomość, że w Zatoce Perskiej nie ma już zespołu lotniskowca. Dla nich obu żądanie Hamasu likwidacji bazy amerykańskiej na Diego Garcia było w najwyższym stopniu bezczelne. Archipelag Czagos, do którego należy ta wyspa, jest w końcu kolonią brytyjską i leży o tysiące mil bliżej Indii niż Iranu czy jakiegokolwiek innego państwa bliskowschodniego. Najbardziej jednak niepokoila ich świadomość, że terroryści grożą atakiem 9 października – czyli już za piętnaście dni. Arnold martwił się, czy US Navy zdąży przemieścić w rejon operacyjny niezbędne sto okrętów, a jeszcze większy niepokój budził w nim fakt, że naczelny zwierzchnik sił zbrojnych nic nie wie i zdecydowanie nie chce wiedzieć o całej operacji. Na tym etapie jednak ani on, ani generał Scannell nie dbali już o prawne i moralne aspekty tej sytuacji. Jak to Arnold ujął, „nic nie może być ani słuszne, ani niesłuszne tylko dlatego, że tak uważa prezydent”. Obydwaj byli przekonani, że Stany Zjednoczone znalazły się w obliczu zagrożenia, które może przynieść śmierć milionów obywateli i zagładę kilku wielkich miast, jeżeli Wojsko nie zadziała zdecydowanie i szybko.

–Jeżeli prawdopodobieństwo nadejścia takiej fali jest choćby jak jeden do dwudziestu, musimy albo temu zapobiec, albo przygotować się na to jak najlepiej. Każdy inny

wybór byłby wielkim zaniedbaniem obowiązku – stwierdził Scannell.

W świetle znanych dowodów admirał Morgan był skłonny przyjąć prawdopodobieństwo zamachu Arabów na granitowe klify Palmy jak jeden do dwóch, nie do dwudziestu. Nie było wyjścia – muszą przeciągnąć prezydenta na swoją stronę.

Poniedziałek, 28 września 2009 r., godzina 01.00. Pentagon

Oficer dyżurny w centrali łączności patrzył szeroko otwartymi oczyma na ekran komputera, odruchowo uruchamiając drukarkę. Poczta elektroniczna, którą właśnie odebrał, nie była zakodowana.

Przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów USA.

Sir, najwyraźniej nie wziął pan naszego ostatniego komunikatu na serio. Jeszcze dziś, tuż po północy, przekona się pan, co potrafimy zrobić, i być może zmieni pan nastawienie.

Harnaś

Major Sam MacLean, weteran drugiej wojny w Zatoce Perskiej, od razu zareagował. Polecił jednemu z podwładnych, by wysledził, skąd wiadomość została nadana, a sam zadzwonił do oficera dyżurnego w sztabie US Army na trzecim piętrze Pentagonu. Samo słowo „ Hamas ” było wystarczającym powodem, żeby przesłał kopię do CIA i do Fort Meade, gdzie trafiła ona między innymi do asystenta dyrektora. Komandor porucznik Jimmy Ramshawe był akurat jeszcze w biurze, ślęcząc nad zdjęciami satelitarnymi i przechwyconymi sygnałami, starając się doszukać jakiegokolwiek informacji o aktualnej pozycji Barracudy.

Pułkownik ze sztabu nie wahał się ani chwili i połączył się gorącą linią z domem generała Scannella, przekazując mu treść nowego komunikatu. Ramshawe dzwonił już do Chevy Chase, gdzie admirał Morgan wyskoczył z łóżka jak rakieta, zanotował sobie spiesznie, co usłyszał, i po chwili sam już wykręcał numer przewodniczącego. O wpół do drugiej wszys-

cy najważniejsi gracze byli poinformowani o nowej groźbie i Tim Scannell zwołał zebranie w Pentagonie na siódmą.

Tymczasem łącznościowcy z centrali, którzy tropili odebraną wiadomość, zameldowali się z niezbyt precyzyjnym wynikiem; doszukali się, że została nadana na Bliskim Wschodzie, najprawdopodobniej w Syrii, Jordanii, Iraku lub Kuwejcie, a na pewno nie na zachód od Morza Czerwonego ani na południe i wschód od Półwyspu Arabskiego. Major MacLean przekazał więc

to tylko do Langley, w nadziei, że CIA będzie mogła znaleźć bliższe szczegóły.

O siódmej rano w Pentagonie panowała niespokojna atmosfera. Wieść o nowej groźbie Hamasu rozeszła się dość szybko, a najbardziej niepokojące w niej było to, że terroryści nie podali żadnych konkretnych danych. Uderzyć mogli wszędzie i w dowolny sposób; nie można było nawet wykluczyć powtórzenia metody ataku z 11 września 2001 roku. Kiedy w sali konferencyjnej admirał Morgan rozpoczął zebranie, napięcie w budynku sięgało poziomu „czerwonego alarmu”.

–Nie mamy pewnie żadnych nowych informacji na temat Barracudy? – spytał na wstępie.

–Nic, sir – pospieszył z odpowiedzią Jimmy Ramshawe. – Szukałem w sieci całą noc, ale nigdzie nie ma ani śladu. Jedyna w miarę interesująca wiadomość przyszła z Francji. Podobno dowódca senegalskiej marynarki wojennej zaginął.

–Prawdopodobnie pożarł go pieprzony lew – burknął Morgan. – Panowie, za siedemnaście godzin dowiemy się, co knują ci turbaniarze z Hamasu. Jeżeli po północy nic się nie wydarzy, być może rację ma prezydent. Może wszystkie poszlaki, jakimi dysponujemy, to rzeczywiście tylko jeden wielki zbieg okoliczności.

–Marne szansę, Arnie – odparł admirał Morris. – Coś się gdzieś stanie i wiesz o tym równie dobrze jak ja.

–Wobec tego musimy poderwać naszego bossa na nogi -zdecydował Morgan. – Niech ktoś mu powie, że zjawiamy się u niego punktualnie o dziewiątej i że lepiej będzie, jak nas uważnie wysłucha.

ROZDZIAŁ 8

Poniedziałek, 28 września 2009 r., godzina 9.00. Biały Dom

General Tim Scannell w towarzystwie generała Barta Boyce'a i admirałów Dicksona oraz Morrisa zjawiał się niezapowiedziany u zachodniego wejścia do Białego Domu. Na polecenie przewodniczącego wszyscy poza Morrisem, emerytowanym wojskowym, byli w mundurach. Dwaj agenci Secret Service pełniący służbę przy wejściu nie byli pewni, jak postąpić: czy zgodnie z przepisami zatrzymać ten dumny kwartet militarny i rozpocząć procedurę wydawania przepustek, czy też natychmiast odprowadzić ich pod Gabinet Ovalny. Jak wszyscy strażnicy, także ochrona Białego Domu jest wyszkolona według ścisłego kodeksu i zobowiązana bezwzględnie przestrzegać jego zaleceń podczas służby. Czyli w tym wypadku – sprawdzić tożsamość i spisać personalia gości oraz wydać przepustki. Nie była to jednak zwyczajna sytuacja i goście nie zaliczali się do przeciętnych. Przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów, naczelny dowódca sił NATO, szef operacji morskich i dyrektor NSA... Obaj agenci szybko doszli do takiego samego wniosku: nie ma czasu na drobiazgo-wość. Odeskortowali przybyłych do poczekalni przed Gabinetem Ovalnym i poinformowali sekretarkę, kogo ma zaanonsować prezydentowi. Bili Hatchard zjawiał się w niecałą minutę i poprosił gości do swego biura.

–Chcecie się, panowie, widzieć z prezydentem? – spytał uprzejmie.

–Zgadza się – odrzekł krótko Tim Scannell.

–Dziś będzie to nadzwyczaj trudne. Prezydent ma bardzo wypełniony dzień.

210

–Nie ma sprawy. Ma pan całe pięć minut, zanim albo wejdziemy sami do Gabinetu Ovalnego, albo rozkażemy mari-nes szukać go tak długo, aż znajdą. Lepiej niech się więc pan pospieszy.

–Sir... – zaczął Hatchard rozpaczliwym tonem. – Czy chodzi o jakieś zagrożenie dla kraju?

–Proszę znaleźć prezydenta. – Scannell nie zamierzał się tłumaczyć. – I to szybko.

Szef gabinetu nie należał do specjalnie bystrych, ale miał instynkt przetrwania i potrafił rozpoznać prawdziwe kłopoty, kiedy już w nie wdepnął. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli nadal będzie rzucał kłody pod nogi najważniejszym ludziom w siłach zbrojnych USA, to najdalej po lunchu może stracić pracę. W duchu nie dawał też większych szans swemu bossowi, jeżeli sytuacja naprawdę jest tak poważna, na jaką wygląda. „Jezu, gdyby było inaczej, ci faceci nie zjawiliby się tu taką gromadą. Musi się dziać coś wielkiego”.

Bili wstał zza biurka.

–Zaraz wracam. Mam nadzieję, że będę miał więcej informacji.

–Informacje mnie nie interesują, żołnierzu – warknął Scannell, wkładając w tę wypowiedź lata doświadczeń w besztaniu niższych rangą. – Wróć tu z prezydentem.

Hatchard niemal wyprysnął z gabinetu. Po trzech minutach był z powrotem.

–Prezydent przyjmie panów teraz – oznajmił.

–Dobra robota, żołnierzu – pochwalił go generał. – Wykonałeś zadanie na czas. Jeszcze czterdzieści pięć sekund, a odebrałbym ci dowództwo.

–Tak jest, sir. Proszę za mną.

Cała piątka wkroczyła do Gabinetu Owalnego, gdzie oczekiwał ich Charles McBride.

–Cóż za miła niespodzianka, panowie – powitał ich. – Zamówilem dla nas kawę. Może zechcecie usiąść?

Czterej wojskowi zasiedli na dużych drewnianych krzesłach, a generał Scannell podał prezydentowi kopię ostatniego oświadczenia Hamasu.

–Czy mogę przyjąć, że zapoznał się pan z tym krótkim listem, sir? – zapytał po chwili.

–Może pan.

–A czy wolno mi zapytać, co pan o nim sądzi?

–Oczywiście. W poprzednim liście tego typu, rzekomo od Hamasu, ktoś napisał... tydzień po fakcie... że wysadził w powietrze Mount St. Helens. Wygląda na to, że ta sama osoba przysłała i ten następny, zapowiadając, że dziś w nocy zamierza gdzieś coś zrobić.

–Właśnie, sir. Czy mogę poznać pana opinię na temat działań, jakie ewentualnie powinniśmy podjąć w tej sprawie?

–Jak najbardziej. Ponieważ oba listy są dziełem ewidentnego wariata, nie należy podejmować żadnych działań. Na wysokich stanowiskach w administracji państwowej nie spędzamy wiele czasu na uganianiu się za każdym świrem, któremu przyjdzie do głowy grozić nam końcem świata.

–Sir, chciałbym przypomnieć, że w rzeczywistości dostaliśmy nie dwie, ale trzy takie przesyłki. W pierwszej autor twierdził, że spowodował erupcję wulkanu, w drugiej żądał, abyśmy się wycofali z Bliskiego Wschodu, bo w przeciwnym razie wysadzi inny wulkan na Atlantyku i zniszczy nasze Wschodnie Wybrzeże. Dziś nam przypomina, że ignorując go, działamy tylko na własną szkodę i że pokaże nam, jak naprawdę jest groźny.

–I co z tego? Nie ma najmniejszego dowodu, że on rzeczywiście to zrobił. Dlaczego więc oczekujecie, że poruszę pół świata i rozpocznę ewakuację dziesiątek tysięcy naszych żołnierzy?

–Odpowiedź jest bardzo prosta, sir – odrzekł Scannell. – Dlatego, że on może mówić prawdę. Możliwe, że istotnie to on się kryje za wybuchem Mount St. Helens i że dzisiaj znowu dokona równie niebezpiecznego aktu. I możliwe, że potrafi spowodować potężne osunięcie masywu skalnego, a w konsekwencji zdewastowanie naszego wybrzeża przez kilkudziesięciometrowe tsunami.

–Chciał pan znać moje zdanie, a więc powtarzam, że według mnie to bzdura i że mamy do czynienia z osobą chorą psychicznie.

–Sir, w wojsku jesteśmy szkoleni inaczej. Musimy brać pod uwagę różne warianty. Co będzie, jeśli to prawda i on rzeczywiście zaleje Nowy Jork masą słonej wody?

–Co będzie, jeśli, generale? Co będzie? To krzyk wystraszonego urzędnika. Pozwolę sobie przypomnieć panu, że nie dostałem się na ten fotel dzięki strachliwości. Jestem tu dlatego,

mówiąc waszym żargonem, że stawiałem czoło przeciwnikowi. Naprawdę myślicie, że jeden człowiek jest w stanie spowodować taką katastrofę i chaos, jaki pan mi tu opisuje?

–Tak, panie prezydencie. Na dobry początek mamy niepodważalny dowód, że rakiety cruise naprawdę mogły zostać wystrzelone w Mount St. Helens. A jeśli tak, to tylko z okrętu podwodnego.

–Z dokumentów, które czytałem, wynika, że opieracie to twierdzenie wyłącznie na zeznaniach dyrektora banku, który wypił wtedy pół galonu whisky.

–Ten dyrektor jest prezesem jednej z największych instytucji finansowych na Zachodnim Wybrzeżu – wtrącił admirał Dickson. – W następnych wyborach prawdopodobnie będzie się ubiegał o gubernatorstwo, a tej whisky nie zdążył nawet otworzyć. Dowodem na to, że słyszał, co słyszał, jest sam fakt, że zdołał stamtąd uciec, podczas gdy nikomu innemu się to nie udało.

–Wszystko, co słyszał, to parę podmuchów wiatru, a to dla mnie za mało, żeby wprawić w ruch pół armii, marynarki i lotnictwa.

–Sir, przybyliśmy tu, żeby służyć panu radą w sprawie bezpieczeństwa kraju. Jeżeli nasz nieprzyjaciel planuje jakieś uderzenie, całkiem możliwe, że na skalę porównywalną z jedenastym września i z poprzednimi atakami tego typu Kermana na nasze Zachodnie Wybrzeże, to powinniśmy być w pełnym pogotowiu. Nie muszę chyba mówić, że Pentagon już w nim jest. Sugeruję, aby Biały Dom poszedł w nasze ślady. Proszę też pana o pozwolenie na wysłanie floty na wschodni Atlantyk w poszukiwaniu okrętu podwodnego, który może mieć na pokładzie głowice nuklearne, a także na rozpoczęcie ewakuacji naszych baz bliskowschodnich. Chcę przede wszystkim zyskać na czasie, żeby zdążyć zlokalizować ich okręt podwodny.

–Generale, według mnie byłoby to uganianie się za własnym ogonem. Odmawiam. Poczekajmy spokojnie do północy i zobaczymy, co się będzie działo.

–Czuję się w obowiązku pana ostrzec, panie prezydencie, że powinien pan dobrze przemyśleć swoje stanowisko w tej sprawie. Jeżeli dziś w nocy wydarzy się coś dramatycznego, czy to u nas, czy gdzie indziej, to proszę pamiętać, że my, wojskowi, w przeciwieństwie do polityków, nie jesteśmy szkoleni do kłamstwa.

–Generale Scannell, nie podoba mi się ta uwaga.

–Tak? Wobec tego sugeruję, aby najbliższe czternaście godzin przeznaczył pan na zastanawianie się, co pan powie, jeżeli wydarzenia udowodnią, że się pan mylił. Dobrego dnia, sir.

To rzekłszy, przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów i jego trzech milczący towarzysze wstali i wyszli. Pozostawiony sam sobie prezydent Charles McBride pokręcił głową, mrużąc pod nosem:

–Cholerne żołdaki. Nic się nie stanie. Oni są chorzy...

I nacisnął guzik wzywający Billa Hatcharda. Czas na sensowną rozmowę o prawdziwych problemach dnia.

Poniedziałek, 28 września 2009 r., godzina 23.00. Zachodni Atlantyk, 5659N/01645W. Prędkość 6 w, zanurzenie 150 m, kurs 270°.

Barracuda II znajdowała się na wschód od Małych Antyli. Gdzieś przed dziobem, o dwa dni drogi z małą prędkością, leżały znane tropikalne wyspy-kurorty: St. Kitts i Nevis, Antigua i Barbuda, ulubione miejsca sławnych i bogatych. Dwadzieścia pięć mil za ich linią wyrastał z Morza Karaibskiego cel dla czterech kolejnych rakiet, wyspa Montserrat, kolonia brytyjska. Niegdyś i ona przyciągała turystów żądnych białych plaż z kłaniającymi się oceanowi palmami; w roku 1996 po wybuchu górującego nad nią wulkanu część wyspy uległa zniszczeniu i straciła na atrakcyjności. Jej mieszkańcy mieli nadzieję, że ich góra w końcu się uspokoi i zaśnie, jak spała przez stulecia – aż do feralnego dnia w 1997 roku, kiedy południe wyspy znów zostało zbombardowane przez rozżarzone kamienie i zalane rzeką lawy. Nic nie było już od tamtej pory takie samo. Wyspiarze żyją w cią-

głym strachu przed kolejną erupcją, wierząc mimo wszystko, że to się musi kiedyś skończyć i magma przestanie napierać na poturbowane skały.

Wulkanolodzy nie podzielali tego optymizmu. Do ludności regularnie apelowano o opuszczanie wyspy, ale zbyt wielu ludzi po prostu nie miało dokąd uciekać. Przenosili się co najwyżej na północną stronę, jak najdalej od niebezpiecznego południowego zbocza. A góra Soufriere nie

przestawała groźnie pomrukiwać, pluć popiołem i dymem, a od czasu do czasu lawą, z niepokojącą regularnością. Na zachód od szczytu leżało wymarłe miasto Plymouth, niegdyś siedziba miejscowych władz, dziś pogrzebana pod grubą warstwą czarnego wulkanicznego popiołu, znad którego ledwo wystaje martwy od dawna zegar na wieży pomnika bohaterów wojennych. Wulkan nie był już, jak kiedyś, dumną, spokojną i piękną piramidą, ale podobnie jak Mount St. Helens po pierwszej erupcji niestabilną, niebezpieczną bestią, o spękanej, nadwerężonej skorupie, naznaczonej licznymi skalnymi guzami, które co jakiś czas pękały, uwalniając strumienie prącej w górę magmy. Jak profesor Landon powiedział Rawiemu Raszudo-wi półtora roku wcześniej... „Montserrat? Można by go pewnie doprowadzić do erupcji za pomocą zwykłego granatu ciśnionego w odpowiednie miejsce. Ten wulkan właściwie nie przestaje wybuchać przez ostatnie pięć lat”. Teraz plan przywódcy Hamasu, mający na celu zastraszyć Pentagon i zmusić do spełnienia jego żądań, za godzinę miał zostać zrealizowany. Czas oddania salwy, wyznaczony na północ czasu lokalnego, był wcześniejszy o godzinę od czasu waszyngtońskiego. Generał Raszud przewidział trzydzieści pięć minut na dotarcie rakiet do celu i kolejne dwadzieścia pięć na przedostanie się wieści o wybuchu do światowej sieci mediów. Kontradmirał Badr był pewny siebie. Rakiety zaprogramowane były na uderzenie w centralny krater Soufriere, Chance's Peak.

Barracuda II z wolna płynęła ku pozycji strzału. Badr spojrział na zegarek. W ciągu ostatniej godziny kilkakrotnie sprawdzano procedury ogniowe i ustawienia komputerów pokładowych, przygotowane jeszcze przez Szakirę Raszud. Na wszystkich czterech ekranikach kontrolnych widniały te same koordynaty: 16.45N, 62. IOW – samo serce krateru. Szaki-

ra wybrała dla rakiet trasę południową, oddaloną o dodatkowe kilkanaście mil od amerykańskich stacji radarowych na Puerto Rico i Wyspach Dziewiczych. Po osiągnięciu pułapu przelotowego scimitary miały położyć się na kursie 270°, który zaprowadzi je nad środek Guadeloupe Passage, cieśniny między Antiguą a Gwadelupą. Po dotarciu na wysokość przylądka Pointe de Grandę Vigie, północnego krańca tej francuskiej wyspy, odchyła się o dwadzieścia stopni w lewo, aby ominąć Montserrat od południa i skierować się nad cel od południowego zachodu. Przemkną nad ruinami Plymouth i dalej do odległego o niecałe trzy kilometry krateru. Tym razem nie będzie żadnego Tony'ego Tiltona, który mógłby zaobserwować czy usłyszeć świst przelatujących pocisków cruise. Południowa część Montserrat jest dziś wyludniona i nikt niczego nie zauważy, dopóki groźna góra znów nie plunie ogniem.

Ben Badr sprawdził, czy sonarzyści nie wykryli żadnego kontaktu, po czym polecił podejść pod powierzchnię oceanu. W górę poszedł maszt radarowy i peryskop. Szybka kontrola wizualna i kilka cykli pracy radaru upewniły go, że w promieniu kilkunastu mil nie ma żadnego statku, okrętu czy kutra, co jest ważne przy strzelaniu nocą, kiedy za wyskakującą z wody rakieta ciągnie się warkocz jaskrawego i widzialnego z daleka ognia. Uspokojony, nakazał ponowne zejście na większą głębokość. Razem z oficerem naprowadzania dokonali ostatniego sprawdzenia ustawień, a minutę przed północą Badr wydał rozkaz uruchomienia procedury ogniowej. Oficer naprowadzania wpatrywał się w ekran swojego komputera. Barracuda II płynęła kursem zachodnim, dziewięćdziesiąt metrów pod powierzchnią ciepłego Atlantyku.

–UWAGA NA WYRZUTNIACH JEDEN DO CZTERY!

–Wyrzutnie gotowe!

–Numer jeden... ognia!

Pierwszy scimitar wypadł z dziobowej wyrzutni torpedowej w czerną wodę, skierował się ostro ku górze i po chwili był już nad powierzchnią. Natychmiast włączył się silnik i niebo rozjaśniło się od jasnego płomienia, pchającego rakieta niemal pionowo w powietrze. Po osiągnięciu zaprogramowanego pułapu stu pięćdziesięciu metrów scimitar wyrów-

Barbuda i\j\$st. K'ttS WYSPY PODWIETRZNE

ATLANTYK i K^wmgua

Montserrat

O c^^s Antiaua

TNevis! 3

t lotnisko

k Barracuda II

ŁPort Louis pozycja strzału

3

Gwadelupa \ f " ~

MORZE OGalante

KARAIBSKIE

DominikaN | _____ 400 km \ J

MORZE KARAIBSKIE

MONTSERRAT

_ lotnisko

Salem, maszt radiowy/^ obserwatorium | ' ... • JB Spanish Point

strumień lawy mces pl

200 km

Barracuda II atakuje wulkan na Montserrat

nał lot, włączyła się nowoczesna turbina gazowa i od tej pory pocisk przestał być widoczny. Nabierając prędkości, pomknął na zachód. Był w drodze do celu i nic w tej części oceanu nie

mogło go już zatrzymać. Tymczasem z wyrzutni numer dwa wyskakiwał już kolejny scimitar, za nim w minutowych odstępach trzeci i czwarty. Dwadzieścia pięć minut po wystrzeleniu pierwszy pocisk minął północny cypel Gwadelupy i skręcił nieco na południe. Po dalszych czterech minutach mknął już prosto ku pogrzebanemu pod popiołem Plymouth. Minął wystający na półtora metra czubek pomnika z zegarem, poleciał wzdłuż George Street, obok dawnej siedziby rządu, i dalej w górę ku czerniejącemu masywowi Chance's Peak. O godzinie zero trzydzieści sześć we wtorek 29 września uderzył w skorupę krateru, wbijając się w skałę na dwa i pół metra, zanim eksplodował z głuchym hukiem. Minutę później w to samo miejsce trafił drugi scimitar, rozrywając nadwerżoną powłokę skalną. Więcej wulkanowi nie było trzeba. Potężna góra zdawała się nabierać oddechu, a potem nagle wybuchła, posyłając w niebo trzystumetrowy słup ognia i rozjaśniając noc wzdłuż całego łańcucha Wysp Zawietrznych. Trzecia rakietka była zbędna, ale i ona przedarła się przez deszcz żarzących się odłamów kamienia i eksplodowała w zamienionym w jezioro lawy kraterze. Czwarta już nie doleciała do celu, rozpadając się w powietrzu pełnym gorących gazów i tryskającej płynnej skały.

Po południowym stoku góry płynęła niepowstrzymana rzeka lawy, a z góry sypał się gęsto popiół. Dawne tereny uprawne na północ od Plymouth, które po pierwszym wybuchu nigdy nie zostały doprowadzone do pierwotnego stanu, i same ruiny miasta znów znalazły się na drodze żywiołu. Erupcja była silniejsza niż przed dwunastu laty, kiedy pióropusz popiołu strzelał w atmosferę na przerażającą wysokość dwunastu kilometrów; tym razem wybuch tak wysoko nie sięgnął, ale żar był o wiele większy, a strumień lawy głębszy.

Po dziesięciu minutach doszło do drugiej erupcji. Największy ze skalnych guzów na północno-wschodnim stoku Chance's Peak zaczął się nagle rozpadać. Późniejsze badania geologiczne wykazały, że musiał ulec wstrząsom i pękł pod wpływem parcia magmy, która nie nadążała wypływać z głów-

nego krateru. Nowy gejzer lawy, gazu i kamieni wystrzelił na kilkadziesiąt metrów w powietrze, natychmiast też roztopiona skała popłynęła nowym strumieniem po zboczu, porytym licznymi jarami, ku dolinie rzeki Tar i dalej w stronę lotniska. Wszystko, czego dotknęła, natychmiast stawało w płomieniach; asfalt na drogach topił się w mgnieniu oka, płonęły drzewa, zabudowania, z których na szczęście większość stała opuszczona. Lawa sunęła ku morzu z prędkością kilkadziesiąt kilometrów na godzinę. Ogarnęła małą osadę Spa-nish Point i stare lotnisko. Chmura czarnego popiołu zupełnie przesłoniła księżyc i gwiazdy. Ocean gotował się wzdłuż wybrzeża, gdzie rozżarzona do białości płynna skała spotykała się z falami przyboju.

Od chwili, kiedy ostatnie metry kwadratowe pasa startowego pochłonęła lawa, upłynęło dziewięć minut, kiedy nagle nowa eksplozja wstrząsnęła Chance's Peak, tym razem znów po południowej stronie. Raz jeszcze w niebo poleciały żarzące się głązy, lawa i popiół, spadając na pozostałości zniszczonej przed laty rybackiej wioski St. Patrick's i wznecając nowe pożary w okolicy. Lawa popłynęła podobną drogą jak w 1997 roku: prosto na południe, rozdzielając się nieopodal wsi Great Alps Falls. Główny strumień wpadł na St. Patrick's, drugi skręcił w lewo, o półtora kilometra na wschód i wlewał się w morze.

O pierwszej nie było już na wyspie nikogo, kto by jeszcze został w łóżku. Nawet na odległych o pięćdziesiąt do sześćdziesiąt kilometrów sąsiednich wyspach Nevis, Antigua i Gwadelupa ludzie budzili się ze snu i patrzyli ze zgrozą na straszny widok za morzem. Kobieta, która prowadziła lokalną stację radiową na Montserrat, wpadła tam w siedem minut po pierwszej dużej eksplozji i zaczęła transmisję. Redakcja i umieszczony w przyległym budynku nadajnik znajdowały się w bezpiecznej północnej części wyspy, na wzgórzach Central Hills. Czterdzieści osiem minut po północy w eter popłynęła wiadomość o nieoczekiwanej i potężnej erupcji Soufriere, która nastąpiła bez najmniejszego ostrzeżenia. W nowoczesnym centrum badawczym, zbudowanym przez międzynarodowe organizacje naukowe na wzgórzu nieopodal miasteczka Salem, sejsmografy i inne przyrządy stale

monitorujące stan niespokojnej góry nie odnotowały żadnej wczesnej aktywności. Poprzednim razem, w latach 1996-1997, ostrzeżenia pojawiały się na długo przed wybuchem; wskaźniki szalały, zapisując drżenia skorupy ziemskiej atakowanej przez napierającą z głębi magmę. Teraz nie było takich oznak zbliżającej się erupcji. Ani jeden z komputerów nie zarejestrował choćby najmniejszego wstrząsu; żaden z zainstalowanych wokół krateru i skalnych guzów mierników nachylenia nie wykazał wzmożonych ruchów podłoża.

Obserwatorium sejsmiczne na Montserrat było jednym z najbardziej obleganych ośrodków badawczych świata. Profesorowie geologii, wulkanolodzy i studenci przyjeżdżali tu ze wszystkich kontynentów, żeby zdobyć informacje z pierwszej ręki o zagrożeniach geofizycznych, czających się pod ponurą sylwetką niebezpiecznej góry. Urządzenia detekcyjne nie miały sobie równych na świecie. Każde drgnięcie powłoki ziemskiej, każdy gejzer pary, każdy strumyczek wyciekającej magmy były starannie rejestrowane. W środowisku mówiło się, że Soufriere jest najpilniej obserwowaną milą kwadratową na całej planecie z Wall Street włącznie.

Mimo to w tę księżycową noc wrześniejąca ten właśnie wulkan wybuchł z bezprecedensową siłą bez najmniejszych wcześniejszych oznak. Erupcja wzięła się nie wiadomo skąd; wulkanolodzy z najlepszych wydziałów geofizyki na prestiżowych uczelniach przez dłuższy czas mieli zachodzić w głowę, jak to było możliwe. Miejscowa policja, straż pożarna i służba zdrowia nie były postawione w stan pogotowia, dopóki potężna konwulsja nie rozsadziła góry, a i wtedy niewiele już można było zdziałać. Policjanci natychmiast pojechali na lądowisko śmigłowcowe, gdzie wpadli na naukowców już oceniających możliwość lotów nad obszar dotknięty klęską. Szef policji osobiście zakazał jednak startów wszelkich pojazdów powietrznych, dopóki powietrze się trochę nie oczyści.

Tym razem obyło się bez ofiar. Żadnego farmera lawa nie zaskoczyła w polu, nikt nie spłonął wraz z domem. Był to spektakularny pokaz sił natury, rozświetlający mrok nad Antylami i grożący zawałem niektórym wyższym wojskowym w odległym Waszyngtonie. Informacje o wybuchu zaczęły się przesączać do amerykańskich sieci radiowych i telewizyjnych

krótko przed północą czasu waszyngtońskiego. Najpierw dotarły relacje z Antiguy, opisujące widok z tej wyspy. Miejscowi dziennikarze zdołali się połączyć z Radiem Montserrat i przekazywali wiadomości do sieci wschodniokaraibskiej, która z kolei była monitorowana przez jedną z agencji amerykańskich na Puerto Rico. W niedługim czasie nowina o erupcji trafiła już do Miami, a trzy minuty później do centrali CNN w Atlancie. Przekazy telewizyjne z Antiguy były kiepskiej jakości i nadeszły nieco późno, ale zaraz potem pojawiły się prawdziwie widowiskowe filmy zrobione przez naukowców z ośrodka w Salem, natychmiast przekazane elektronicznie na Puerto Rico – zgodnie z kontraktem z mediami, które pokrywały sporą część kosztów prowadzonych na Montserrat badań geofizycznych. Pięć minut po północy czasu waszyngtońskiego dzięki niezawodnej CNN zdjęcia gorejącej góry na Karaibach obiegły już cały świat.

Kiedy na ekranie telewizora ukazał się wulkan Soufriere w pełnej ognistej krasie, Jimmy Ramshawe siedział wygodnie – i nago – w fotelu w swym mieszkaniu w Watergate. Jego narzeczona, bogini australijskiego surfingu Jane Peacock, leżała na łóżku, czytając książkę i nie przejmując się zupełnie ponurymi przepowiedniami Jimmy'ego, który zapowiadał na północ jakieś straszne wydarzenia. Dlatego też przeżyła lekki szok, kiedy narzeczony nagle wyskoczył z fotela z krzykiem:

–JASNA CHOLERA! ON TO ZROBIŁ!... Ten cholerny sukinsyn naprawdę to zrobił!

Chwycił za telefon i zadzwonił do George'a Morrisa, tak jak się umówili. Dyrektor NSA był po „marynarskiej” kolacji i właśnie zaczynał chrapać w najlepsze; dzwonek usłyszał dopiero po paru minutach, ale wiadomość od asystenta od razu wybiła go ze snu.

–Kiedy to się stało, Jimmy?

–Chyba z pół godziny temu. Co robimy, sir?

–Cóż, zbyt wiele do zrobienia nie mamy. Przygotujmy się jednak lepiej na wczesne rozpoczęcie dnia. Spotkamy się w moim biurze... powiedzmy o szóstej.

–Okay, sir. Chce pan, żebym zadzwonił teraz do Wielkiego Człowieka, czy sam pan go zawiadomi?

W tej chwili u admirała zadźwięczał dzwonek drugiego telefonu – bezpośredniej linii od generała Scannella. Morris polecił więc Jimmy'emu zadzwonić do Arnolda Morgana, sam zaś zajął się rozmową z przewodniczącym, a potem z admirałem Dicksonem.

Ramshawe wybrał numer w Chevy Chase, ale okazało się, że Morgan też oglądał wiadomości na kanale CNN.

–Wygląda na to, sir, że mamy odpowiedź na sporo zagadek.

–Żebyś wiedział, chłopcze – odrzekł Morgan. – Chcę teraz posiedzieć przed telewizorem i popatrzeć, jak się sprawa rozwija. Ciekawe, czy były jakiegokolwiek ostrzeżenia... Nic innego chyba nie możemy na razie zrobić. Potem musimy się spotkać jak najwcześniej...

–Admirał Morris wyznaczył zebranie u siebie na godzinę szóstą i tam też będę, sir. Popatrzymy, co mają na ten temat w CIA, jeżeli w ogóle coś mają, a potem chyba dobrze będzie zebrać wszystkich gdzieś koło dziewiątej. Mój szef rozmawia teraz z generałem Scannellem. Wie pan co? Zostawię panu wiadomość na sekretarce, gdy tylko będę wiedział, gdzie i kiedy wyznaczone zostanie zebranie. Pewnie w Pentagonie, ale jeszcze potwierdzę.

–W porządku, Jimmy. Miej oczy i uszy otwarte. Ten sukinsyn nie żartuje. Naprawdę przygrzał rakietami w tę Bogu ducha winną wysepkę i nasze megatsunami jest coraz bliżej, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

–Ja też nie, sir.

–Co się dzieje? Możesz mi powiedzieć, co się dzieje? – Jane Peacock straciła całe zainteresowanie lekturą.

–Rzuć mi ten notes, kochanie, dobrze? I moją piżamę. Będę musiał oglądać wiadomości przez najbliższe parę godzin.

Wtorek, 29 września 2009 r., godzina 2.30 czasu lokalnego

Od dwóch i pół godziny Barracuda II płynęła szybko na głębokości stu pięćdziesięciu metrów kursem wschodnim, oddalając się spiesznie od pozycji strzału. Kontradmirał Badr

chciał utrzymać prędkość piętnastu węzłów jeszcze przez trzy dni, dopóki nie dotrą najpierw do Grzbietu Sródatlantyckie-go, a potem wzdłuż niego do szerokości geograficznej 28°N. Dopiero po wschodniej stronie grzbietu zamierzał zwolnić przynajmniej do siedmiu węzłów, ponieważ nie miał pewności, w którym miejscu zaczyna się sieć SOSUS. Na stosunkowo płytkich, „hałaśliwych” wodach nad tym ciągnącym się przez cały Atlantyk z północy na

południe podmorskim łańcuchem górskim okręt podwodny niełatwo wykryć z uwagi na zmienne warunki hydrograficzne, ale potem, na głębokim akwenu trzeba będzie zachowywać jak największą ostrożność. Badr miał jedenaście dni na dotarcie do następnego rejonu operacyjnego, z czego czterdzieści godzin zajmie dopłynięcie do grzbietu, kolejne czterdzieści z nie zmienioną prędkością piętnastu węzłów kursem NNE wzdłuż niego, a pozostałe osiem dni potrwa żegluga kursem wschodnim ku Wyspom Kanaryjskim, już o połowę wolniej. Zgadzał się z twierdzeniem Szakiry, że US Navy z pewnością nie pozwoliłaby obcemu okrętowi podwodnemu buszować gdziekolwiek na północ od dwudziestego piątego równoleżnika bez swojej wiedzy. Płynąc powoli, unikną wykrycia i spokojnie dotrą do nowej pozycji strzału, którą Ben ustali na miejscu w zależności od rozmieszczenia amerykańskich okrętów, które spodziewał się tam zastać na patrolach wokół archipelagu. Na razie jednak z niecierpliwością oczekiwał następnej depeszy satelitarnej, w której ktoś go poinformuje, czy udało się mu wysadzić w powietrze wyspę Montserrat.

Wtorek, 29 września 2009 r., godzina 6.00. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade

CIA zajmowała się tą sprawą przez całą noc, ale w sumie nie dowiedziała się praktycznie niczego ponad to, co wiedziały media: na Montserrat nastąpiła zupełnie niewyjaśniona i nieoczekiwana, a przy tym niezwykle silna erupcja najbardziej niespokojnego wulkanu na zachodniej półkuli. Nie było przyczyn, ostrzeżeń ani żadnych teorii próbujących wyjaśnić, co się stało. Agencja była oczywiście zaznajomiona

z ostatnimi groźbami i żądaniem Hamasu, podobnie jak z poglądami na ten temat najwyższych władz wojskowych USA. Do pracy nad zagadką Montserrat skierowano aż dwudziestu agentów liniowych, którzy przez całą noc szukali jakichkolwiek dowodów na to, że wyspę zaatakowano salwą rakiet cruise. Do rana nie zdołali jednak wpaść na żaden ślad, jeśli nie liczyć krańcowego zdumienia naukowców z Salem, których czuła aparatura nie zarejestrowała najdrobniejszych nawet zapowiedzi katastrofy. Około piątej rano z Langley przesłano wstępny raport, który komandor Ramshawe przeczytał z zainteresowaniem, zwłaszcza ostatni akapit, napisany przez jednego z oficerów prowadzących sprawę:

...absolutny brak jakiegokolwiek sygnału ostrzegawczego jest uważany przez fachowców za wypadek bez precedensu. Każdy wulkan przed wybuchem zdradza drobne ruchy powłoki skalnej, wywołane przez zwiększone parcie magmy. Tym razem nic podobnego nie zaobserwowano, co według nas oznacza celową inicjację wybuchu przez osoby nieznane...

Jimmy przeglądał raporty i im więcej ich czytał, tym bardziej oczywiste się dlań stawało, że Barracuda znowu zaatakowała.

Telewizja donosiła o ogromnych ilościach popiołu zasypującego wyspę, nawet teoretycznie bezpieczną część północną. Na każdym budynku o płaskim dachu zalegało już po trzydzieści do pięćdziesięciu centymetrów ciężkiego, czarnego pyłu, bardziej przypominającego konsystencją mąkę niż zwiewne, lekkie pozostałości po ognisku. Lżejsze, szare i szarobiałe frakcje popiołu wulkanicznego pokryły widoczną warstwę ogrody na południu Antiguy, plaże Nevis i uliczki Port St. Louis na Gwadelupie. Południowa część Montserrat płonęła jak pochodnia. Kilometry kwadratowe bujnej roślinności ginęły w ogniu na całej szerokości wyspy. Płomienie strawiły resztki zabudowań i przystani portowej, jakie jeszcze pozostały w Plymouth po poprzedniej erupcji. W miarę upływu czasu obrazy przekazywane do sieci telewizyjnych były coraz bardziej wyraziste. Z nastaniem dnia nad wyspą pojawiły się śmigłowce z ekipami dziennikarzy i operatorów. Był to drugi

w ciągu ostatnich czterech miesięcy poważny wybuch wulkanu na zachodniej półkuli i każdy redaktor naczelny wiedział, że ma do czynienia z dziennikarską gratką. Żaden z nich nie miał jednak zielonego pojęcia, jak wielką...

Admirał Morris włączył swój wielki, czterdziestoosmio-calowy telewizor na kanał CNN od razu po przybyciu do swego gabinetu w Fort Meade. Było parę dość ciekawych wiadomości krajowych, ale nic nie mogło się równać z relacją na żywo z wydarzenia, które przypominało wybuch bomby jądrowej w tropikalnym karaibskim raj. Razem z komandorem Ramshawe'em poświęcili około dziesięciu minut na zapoznanie się z bieżącą sytuacją na wyspie. Dojście do nieuniknionego wniosku, że Hamas precyzyjnie spełnił swoją groźbę, zajęło im znacznie mniej czasu. „...Tuż po północy przekona się pan, co potrafimy zrobić, i być może zmieni pan nastawienie”. Słowa ostatniego komunikatu Hamasu żywo stały przed oczyma obu mężczyzn. Punktualnie niemal co do minuty palestyńska organizacja wywołała kolejny wybuch wulkanu. Teraz już wszystko było jasne, brakujące elementy układanki same wskoczyły na miejsce. Miniona noc stała się dowodem na to, że wulkan St. Helens naprawdę został ostrzelany rakietami z Barracudy. Stany Zjednoczone stanęły w obliczu największego zagrożenia w długiej historii swych wojen i konfliktów.

George Morris podniósł słuchawkę i zadzwonił do Arnolda Morgana, potwierdzając spotkanie w gabinecie generała Scannella o dziewiątej. Wielki Człowiek nie spał prawie całą noc, studiując mapy północnego Atlantyku, zastanawiając się nad prawdopodobną pozycją i kursem Barracudy i zachodząc w głowę, jak ją złapać. George Morris nie widział, by admirał był tak niespokojny, przez całe ostatnie trzydzieści lat.

Wraz z Jimmym zebrali niezbędne mapy i dokumenty i o siódmej wsiadali już do służbowego samochodu. Przedarli się jakoś przez poranny ruch na drogach dojazdowych do stolicy i dziesięć minut przed ósmą dotarli do Pentagonu. W biurze przewodniczącego panowało wzmożone zaniepokojenie: właśnie odebrano kolejny list od Hamasu, nadesłany pocztą elektroniczną gdzieś z Syrii, Jordanii, Iraku lub Iranu. Jak poprzednio, nie dało się dokładnie prześledzić jego drogi

przez internetowe zakamarki. Do Pentagonu dotarł o czwartej piętnaście nad ranem.

Do przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów.

Jak pan widzi, nie rzucamy słów na wiatr. Usuńcie natychmiast swoje wojska z Bliskiego Wschodu i weźcie do galopu Izra-elczyków. Zostało wam już tylko jedenaście dni.

Hamas

Admirał Morgan był już na swoim miejscu u szczytu stołu konferencyjnego. Obok niego siedzieli generałowie Scannell i Boyce. Był tam też generał Hudson, admirał Dickson i CIN-CLANT, dowódca Floty Atlantyku admirał Frank Doran, dawniej kapitanujący na krążowniku raketowym Lake Erie. Oprócz niego drugim nowym członkiem tej rady wojennej był generał Kenneth Clark, dowódca korpusu piechoty morskiej, słynnych marines. Alan Dickson oznajmił też, że w razie potrzeby w krótkim czasie może ściągnąć dowódcę atlantyckiej floty podwodnej, który czeka w pogotowiu w Norfolk.

Arnold Morgan otworzył zebranie.

–Panowie, jest już oczywiste, że Hamas po raz drugi spowodował erupcję wulkanu. Do tej pory mieliśmy dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności co do Mount St. Helens. Wydarzenia tej nocy dały nam ten brakujący jeden procent. O północy czasu waszyngtońskiego, dokładnie według zapowiedzi, nasi przeciwnicy wysadzili w powietrze Montserrat. Gem, set i mecz na korzyść Hamasu... a przed nami kolejna rozgrywka. Nie muszę wam przypominać o niebezpieczeństwie, w jakim się znaleźliśmy. Scenariusz jeszcze parę miesięcy temu wydawał się mało realny, potem zdecydowanie nabrał prawdopodobieństwa... dziś to właściwie cholerny pewnik. Czy wszyscy się z tym zgadzamy?

Zebrani w milczeniu skinęli głowami.

–Mamy więc przed sobą trzy podstawowe zadania. Po pierwsze, musimy rozpocząć ewakuację Waszyngtonu, Bostonu i Nowego Jorku. Po drugie, przygwoździć Barracude, jeżeli się gdziekolwiek pokaże. Po trzecie, przechwycić i zestrzelić rakiety wycelowane w Cumbre Vieja, jeżeli zostaną wystrzelone.

–Czy nie ma już szansy na spełnienie ich żądań? – spytał admirał Morris.

–Nie przez te kilka dni, jakie nam pozostały – odpowiedział stanowczo Morgan. – Nie zdążymy przerzucić tylu żołnierzy, żeby to przekonało Hamas. Poza tym oni chcą, żeby do wyznaczonej daty został ustalony i podpisany plan pokojowy w Izraelu, z utworzeniem i

uznaniem wolnej Palestyny. Tego się po prostu nie da zrobić, nawet gdybyśmy mieli więcej czasu. Tel Awiw wyraźnie stwierdził, że nie zamierza się na to zgodzić, więc nie ma o czym mówić.

–Zwłaszcza w sytuacji, gdy nasz prezydent nie bierze udziału w dyskusji – dodał generał Scannell.

–I nie interesuje się działaniami obronnymi, jakie musimy podjąć, żeby zapobiec temu atakowi na nasze wybrzeże. – Morgan pokiwał głową. – Dlatego też proponuję, żebyśmy się do niego dziś udali, przedstawili nasze zamiary

wyjaśnili, dlaczego naszym zdaniem trzeba teraz zacząć poważnie traktować ten problem.

–A jeśli znowu odmówi?

–Wówczas będziemy zmuszeni usunąć go ze stanowiska – rzekł Tim Scannell. – Nie widzę innego wyjścia. Konstytucja Stanów Zjednoczonych nie przewiduje możliwości wprowadzenia stanu wyjątkowego bez całych ceregieli związanych z zatwierdzeniem go przez Kongres, a na to nie mamy czasu. Poprosiłem parę dni temu Arnolda o sprawdzenie możliwych rozwiązań. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli z nich korzystać, ale proszę cię, Arnie, o przedstawienie zebranym sytuacji.

Wszystkie oczy zwróciły się na admirała Morgana, który wstał i zaczął mówić tonem pozbawionym zabarwienia emocjonalnego:

–Artykuł drugi, część pierwsza konstytucji stwierdza, że prezydenta można usunąć ze stanowiska z następujących powodów: śmierć, rezygnacja lub niezdolność do pełnienia obowiązków. W takiej sytuacji jego miejsce zajmuje wiceprezydent, natomiast jeśli ich obu trzeba wykopać, wyboru następnego prezydenta musi dokonać Kongres.

–Czy James Madison użył słowa „wykopać”? – zapytał George Morris.

–Nie. Trzymał się czasownika „usunąć”. Staram się tylko jasno wyrażać.

–Dziękuję, admirale. Chciałem się tylko upewnić.

–W tym właśnie jesteś dobry, George. I tego się trzymaj. Nawet w chwili śmiertelnego zagrożenia Arnold Morgan

potrafił narzucić taki ton rozmowy, jaki mu odpowiadał.

–Panowie, nie mamy wyboru. Musimy wyrzucić tego człowieka z cholernego Gabinetu Ovalnego – kontynuował. – Ponieważ dla naszych celów dobrze byłoby, żeby wiceprezydent Bedford był po naszej stronie i postąpił zgodnie z naszymi zaleceniami, poprosiłem go, aby wziął udział w tym zebraniu. Powinien tu się zjawić lada moment. Rozumiecie, panowie, że zrobiłem tak tylko dlatego, że został nam zaledwie tydzień na wykonanie odpowiednich posunięć, to znaczy na wprowadzenie stanu wyjątkowego na całym Wschodnim Wybrzeżu w celu ewakuacji mieszkańców. Nie mamy czasu czekać, aż te cymbały z Kongresu przestaną się przekrzykiwać jak stado licealistek i dojdą do jakiegoś porozumienia. Jestem przekonany, że jeśli ci faceci z Hamasu odpalą parę rakiet jądrowych w Cumbre Vieja, góra się rozpadnie i powstanie zapowiadane megatsunami. Zgadzą się co do tego wszyscy cholerni naukowcy, jakich zdążyliśmy poprosić o opinię. Musimy albo znaleźć i zatopić przeciwnika, zanim spełni swoją groźbę, albo przygotować się na najgorsze. Pamiętajcie, że oni nie chcą, abyśmy się na cokolwiek zgodzili, tylko żądają wprost spełnienia ich poleceń i to natychmiast. Straciliśmy już kilka tygodni przez naszą głowę państwa i teraz czas wycieka nam przez palce jak woda. Oni są prawie gotowi do akcji, panowie.

Wszyscy wiedzieli, kim jest wiceprezydent Bedford. Charles McBride wybrał go jako demokratycznego senatora z prawego skrzydła partii, aby pomógł mu zdobyć głosy na Południu. Niewiele to w rzeczywistości dało, ale dzięki temu stanowisko wiceprezydenta objął o wiele mniej radykalny liberał niż reszta orszaku McBride'a. Paul Bedford miał ponadto za sobą służbę oficerską w US Navy podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. Wiceprezydent był człowiekiem światowym, a przez swoje poglądy już zaczynał być usuwany na boczny tor w administracji McBride'a. W redakcjach

„Washington Post” i „New York Times” tego nieco sarkastycznego Wirginijczyka traktowano prawie jak banitę – przyczyniło się do tego niezachwiane poparcie, jakiego udzielał republikańskiemu prezydentowi, który wyruszył na wojnę z Irakiem w 2003 roku.

Porucznik marines, dowodzący wartą przed salą konferencyjną przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, zaanonsował przybycie zaproszonego wiceprezydenta. Kiedy wchodził, wszyscy zebrani wstali na jego powitanie. Generał Scannell dokonał prezentacji, po czym podszedł do antycznej komody i nalał wszystkim po filiżance gorącej kawy. W sali nie było nikogo z młodszych oficerów, którzy mogliby się zająć takimi przyziemnymi czynnościami, z wyjątkiem komandora porucznika Ramshawe'a; ten jednak był zbyt pochłonięty swymi notatkami i mapami, żeby choć na chwilę podnieść znad nich głowę.

Na pytanie Arnolda Morgana, co wiceprezydent wie o problemie, z jakim mają do czynienia, Bedford odpowiedział lakonicznym „Nic”. Nie trzeba było wyraźniejszego potwierdzenia, że ten były oficer nawigacyjny z fregaty raketowej zdążył już wypaść z kręgu bliskich współpracowników prezydenta Mc-Bride'a. Morgan wziął zatem na siebie zadanie zapoznania gościa z rozwojem wydarzeń ostatnich miesięcy. Oczy przybyłego z każdym zdaniem robiły się coraz okrągłej sze. Admirał opowiedział mu kolejno o domniemanej podróży Barracudy,

o tym, że niezaprzeczalnie zaatakowała Mount St. Helens, groźbach i żądaniach Hamasu, katastrofie na Montserrat

1 ostatnim liście, jaki dopiero co nadszedł do Pentagonu.

–Czy jest pan z nami? – zapytał na koniec.

–Jeśli ma pan na myśli, czy rozumiem powagę sytuacji, to tak, jestem z wami. Ale nie powiedział mi pan nic, admirale, o reakcji naszego prezydenta. Czy o tym wie?

–Oczywiście, że wie. Odrzucił wszystkie prośby najwyższych władz wojskowych tego kraju... o wysłuchanie ich raportów, o poczynienie kroków zaradczych, przygotowań cywilnych czy o zorganizowanie obrony. Twierdzi, że owe listy są dziełem wariata, a cały łańcuch zdarzeń produktem naszej wyobraźni. Nie muszę chyba dodawać, że byliśmy, jesteście i będziemy przeciwnego zdania?

–Oczywiście, że nie – powiedział Bedford, który odruchowo zaczął wchodzić w rolę porucznika marynarki pełnego respektu dla dowództwa. – Czy przekazali panowie prezydentowi treść ostatniego komunikatu Hamasu?

–Nie, sir, nie zrobiliśmy tego – odrzekł Morgan. – On naprawdę wierzy, że wszyscy jesteśmy szaleńcami. Jeśli zechce pan podejść tu do mnie, pokażę panu, na czym owo szaleństwo polega.

Paul Bedford przysunął się bliżej do admirała. Arnold Morgan zakreślił palcem na leżącej przed nim mapie morskiej okrąg o promieniu kilkunastu centymetrów.

–Gdzieś tam czai się wielki atomowy okręt podwodny, zbudowany w Rosji, z jedną, a może i dwiema raketami cruise wyposażonymi w głowice nuklearne. Za jedenaście dni od tej chwili jego dowódca zamierza wystrzelić te cacka w kierunku tego łańcucha górskiego na wyspie Palma w archipelagu Kanaryjskim, prawdopodobnie z niewielkiej odległości. Ich wybuch spowoduje największe osunięcie mas skalnych, jakie ten świat widział w ciągu ostatnich dziesięciu tysięcy lat, prosto na dno Atlantyku. Wywołana przez to zjawisko fala tsunami, a raczej ciąg kilkunastu takich fal, dziewięć godzin później runie na Wschodnie Wybrzeże USA.

–Jak wysokie będą te fale w chwili uderzenia w brzeg?

–Pierwsze będą sięgały kilkadziesiątu metrów, następne kilkunastu.

–Czyli wyżej niż większość zabudowań Nowego Jorku.

–I Waszyngtonu, i Bostonu...

–Czy one się załamą nad miastem?

–Nie, sir. Tsunami po prostu prze naprzód. Do załamania może dojść zapewne dwadzieścia lub trzydzieści kilometrów w głębi lądu.

Paul Bedford głośno wciągnął powietrze.

–Zasięgaliście opinii najlepszych naukowców w tej sprawie?

–Ma się rozumieć.

–Ilu pytaliście?

–Okolo dwudziestu.

–A ilu z nich stwierdziło, że tak się właśnie stanie?

–Wszyscy.

–Jezu Chryste! – wykrzyknął wiceprezydent. – A więc to prawda. Nie możemy temu zapobiec?

–Możemy. Tylko że nie drogą negocjacji ani przez spełnienie ich żądań. Są dwa czynniki, które na to nie pozwalają: rząd Izraela i prezydent Stanów Zjednoczonych. Poza tym nie wystarczy nam już czasu. Pozostawia to nam dwa zadania do wykonania: ewakuację dużych miast na wybrzeżu i próba zniszczenia albo tego okrętu, albo wystrzelonych z niego rakiet, albo jedno i drugie.

–I zamierzacie pominąć prezydenta?

–Nie. Zamierzamy usunąć prezydenta.

Bedford poderwał głowę, wbijając wzrok w admirała Morgana.

–Kiedy?

–Dziś po południu. Zaraz po lunchu.

–Zdaje pan sobie sprawę, admirale, że piastując godność wiceprezydenta, mam obowiązek wspierać we wszystkim Charlesa McBride'a, dopóki on sam wypełnia wiernie swoje powinności, do jakich zobowiązał się przysięgą i dopóki stoi na straży konstytucji? – Paul Bedford cytował rotę własnej przysięgi.

–Nie wiem jak pan, ale ja uważam, że dopuszczenie do zalania amerykańskiej konstytucji pięćdziesięciometrową warstwą morskiej wody może poniekąd stanowić sprzeniewierzenie się obowiązkowi jej strzeżenia – odparł chłodno Morgan.

–Zgadza się z panem, że cała ta historia świadczy o poważnym zaniedbaniu z jego strony. Musicie jednak dać McBride'owi ostatnią szansę na naprawienie błędów. I proszę pamiętać, że ja nie mogę odegrać żadnej roli w usunięciu urzędującego prezydenta ze stanowiska.

–Rozumiemy to doskonale, sir. Dziś po południu proszę jednak się spodziewać powiadomienia o konieczności objęcia tego stanowiska przez pana – powiedział generał Scannell z godnością. – Nikt z obecnych nie pragnie takiego rozwiązania. Nie chcemy być jakąś juntą z Trzeciego Świata i nie zamierzamy dokonywać puczu wojskowego. Sytuacja jest jednak bardzo poważna i tylko siły zbrojne Stanów Zjednoczonych mogą jeszcze zapobiec katastrofie albo... jeżeli już

dojdzie do ataku Hamasu... przygotować i przeprowadzić ewakuację ludności z zagrożonych terenów. Niech pan pamięta, że prezydent już kategorycznie odmówił pozwolenia na przerzucenie floty na wschodni Atlantyk w celu zastawienia pułapki na ten okręt podwodny.

–A czy mimo to pracujecie nad tym? To znaczy, czy kierujecie nasze okręty w tamten rejon?
– spytał wiceprezydent.

–Oczywiście, sir. Nie możemy jednak działać tak w nieskończoność, sprzeciwiając się poleceniom naszego naczelnego zwierzchnika.

–Nie, nie możecie. Rozumiem to.

Paul Bedford zaczął wyglądać na jeszcze bardziej zaniepokojonego niż Arnold Morgan, który marszczył teraz czoło jak generał Custer pod Little Big Horn na znanym obrazie. Admirał znów zabrał głos, przedstawiając zarys ogromnego zadania, jakie stało przed amerykańskim wojskiem.

–Paul, musimy ewakuować nie tylko miliony obywateli, ale i skarby narodowe, i cały nasz system administracji i biznesu. W samym Waszyngtonie trzeba wywieźć dzieła sztuki z kilku największych muzeów, większość zbiorów Instytutu Smithsonian, nie wspominając o historycznych dokumentach z Biblioteki Kongresu, Białego Domu i Bóg wie skąd jeszcze. W Nowym Jorku podobnie, a do tego musimy ewakuować poza zasięg oceanu całą giełdę Wall Street, wraz z bazami danych, oprogramowaniem i sprzętem komputerowym. To samo dotyczy szpitali, szkół, uczelni. Ponadto musimy obsadzić miasta silnymi oddziałami wojska dla zapobieżenia grabieżom.

–To zrozumiałe – rzekł wiceprezydent.

–Ta operacja będzie wymagała zarekwirowania pociągów, metra, autobusów, a nawet prywatnych ciężarówek i samochodów osobowych. To stan powszechnego zagrożenia i musimy być dobrze przygotowani. Jeśli ten sukinsyn odpali rakiety, będziemy musieli się liczyć ze zniszczeniem Nowego Jorku, Waszyngtonu i Bostonu w stopniu porównywalnym z Berlinem w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku.

Paul Bedford się zamyślił. W sali na chwilę zapadła cisza.

–Tylko siły zbrojne są w stanie przeprowadzić podobną

akcję – odezwał się w końcu. – Pomyśleliście panowie o organizacji dowodzenia?

Pałeczkę przejął teraz generał Scannell.

–Sir, proponuję wyznaczyć admirała Morgana na głównodowodzącego całego przedsięwzięcia. On pierwszy zaalarmował nas o zagrożeniu, a potem rozpoznał je jako bardzo poważne. Wraz z dyrektorem Morrisem i jego asystentem komandorem Ramshawe'em we trójkę prowadzili całą sprawę. Arnold jest doświadczonym oficerem marynarki i politykiem, potrafi też opracować plan działania, który pozwoli nam na przygwoźdzenie nieprzyjaciela. Bez wahania powierzę mu funkcję naczelnego wodza operacji „Przyptyw” i specjalnego doradcy prezydenta. Będą go słuchać i dowódcy wojskowi, i środowisko wywiadowcze, i politycy. Żadne inne rozwiązanie nie byłoby do przyjęcia.

–A gdzie, według pana, miałby sprawować tę funkcję? – spytał Bedford, z góry znając odpowiedź.

–Gdzie? W Białym Domu, oczywiście. Proszę nie zapominać, że ta sytuacja potrwa zapewne nie dłużej niż parę tygodni, pod warunkiem że weźmiemy się w garść i złapiemy Barracudę. Przez ten czas podstawowe znaczenie będzie miała szybkość. Nie może być sporów, debat, oporu. Wszyscy muszą działać sprawnie i bez wahania. Admirał Morgan będzie potrzebował bezwarunkowego posłuszeństwa, a prawdę mówiąc, największe szansę na to będzie miał wtedy, gdy zasiądzie w Gabinetcie Owalnym jako pełniący obowiązki prezydenta, zanim pan się tam wprowadzi po zakończeniu operacji.

Ta wypowiedź bardziej niż wszystko inne uzmysłowiła Bedfordowi powagę sytuacji: władza wojskowa w Gabinetcie Owalnym! Widział jednak wyraźnie, że innego wyjścia nie ma.

–Czy mam wypełnić jakieś zadanie podczas tego... okresu przejściowego dzisiaj po lunchu? – zapytał po prostu.

Przez salę przemknęło westchnienie ulgi. Najważniejsza przeszkoda została pokonana.

–Nie – odpowiedział Scannell. – Chcemy jeszcze raz poprosić prezydenta o współpracę, a w razie odmowy pozbawimy go władzy. Będziemy mieli przygotowane oświadczenie,

w którym poinformujemy, że prezydent doznał poważnego załamania psychicznego i wraz z rodziną wyjechał tymczasowo do Camp David. Oczywiście będzie tam pozostawał w areszcie domowym bez możliwości jakiegokolwiek kontaktu ze światem. Następnie wezwiemy do Białego Domu wyznaczonego przez Sąd Najwyższy sędziego, aby odebrał od pana przysięgę.

–A co z najważniejszymi urzędami? Kogo chcecie się pozbyć?

–Przede wszystkim tego idioty sekretarza obrony i doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. I to szybko, zanim Arnold któregoś udusi. Pan zaś pewnie zechce powołać nowego szefa gabinetu, więc i ten bufon Hatchard będzie musiał odejść.

Paul Bedford wyrzekł cicho słowa, jakich nigdy się nie spodziewał usłyszeć w swoich ustach.

–To dobrze. Schlemmer i Romney muszą od razu wylecieć. Ja sam wyjaśnię Hatchardowi, że wraz z końcem kadencji jego szefa kończy się jego zatrudnienie w Białym Domu.

Tim Scannell wyraził uczucia wszystkich zebranych, mówiąc:

–Sir, każdy z nas jest panu wdzięczny za zrozumienie. Nie mogliśmy siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak ten błazen z Gabinetu Ovalnego pozwala na zniszczenie naszych największych miast. Musieliśmy działać.

–Rozumiem – odrzekł Bedford. – Ja z kolei winienem panom wdzięczność za waszą dalekowzroczność i za pokładane we mnie zaufanie. Zwłaszcza admirałowi Morganowi, którego, muszę się przyznać, od dawna się bałem.

–Coś ty, Paul! – burknął admirał. – Do tej pory mnie nawet nie znałeś.

–Zapewniam pana, admirale, że pańska reputacja jest szeroko znana. Cieszę się, że będę z panem współpracował... hm... chyba...

Całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem, nieco zbyt głośnym, jak to bywa, kiedy rozładowuje się nadmierne i strachem podszyte napięcie. Ulga jednak nie trwała długo. Kiedy wiceprezydent opuścił Pentagon, by wrócić do Białego Domu, wszyscy odruchowo spojrzeli na zegarki. Było cztery minuty

po dziesiątej, wtorek, 29 września 2009 roku. W tej chwili emerytowany admirał Arnold Morgan, były dyrektor NSA i doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, stał się de facto przywódcą Stanów Zjednoczonych.

Tego samego dnia, w tej samej chwili (19.30 czasu lokalnego). Bandar Abbas

General Raszud i dowódca marynarki wojennej Iranu admirał Mohammed Badr rozważali, czy niezbędne jest wysłanie kolejnego komunikatu do Waszyngtonu. Czy Amerykanie sądzą, że kierownictwo Hamasu nie posunie się do zrealizowania swej groźby w obawie przed potępieniem przez światową opinię publiczną? Jeśli tak, to trzeba ich wyprowadzić z błędu. Za jedenaście dni, 9 października, Ben Badr wystrzeli dwa scimitary SL-2 prosto w krater Cumbre Vieja i nie ma od tego odwołania. Rawi prawie już kończył wstępną wersję listu, którą po chwili odczytał admirałowi.

Do przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, Pentagon.

Nie możecie już w żaden sposób nas powstrzymać. Szkoda, że zignorowaliście nasze polecenia. Będziecie jeszcze pod wodą, kiedy nasi bracia w Palestynie znowu powstaną.

Uzgodnili, że ten tekst zostanie nadany jak zwykle pocztą elektroniczną nazajutrz, w środę, 30 września.

Wtorek, 29 września, godzina 10.05. Pentagon

Minutę po wyjściu Paula Bedforda z sali konferencyjnej generał Scannell przeprosił zebranych i wrócił do swego przyległego gabinetu. Zadzwoił gorącą linią do Białego Domu, prosząc o połączenie z prezydentem.

–Przepraszam, panie generale, ale prezydent jest akurat bardzo zajęty. Czy mogę mu przekazać, żeby do pana od-dzwonił w wolnej chwili? – odpowiedziała sekretarka.

–Nie, nie może pani. Proszę mnie natychmiast połączyć.

Po niespełna minucie w słuchawce odezwał się charakterystyczny głos Charlesa McBride'a. Prezydent powiedział cicho:

–Generale, zaczynają mnie odrobinę męczyć te niepożądane zakłócenia mojego dnia pracy. Rozumiem jednak, że pańskie stanowisko daje panu pewne przywileje, poświęcę więc panu pięć minut.

–Dziękuję, sir. Z pewnością zauważył pan, że Hamas spełnił swoją groźbę i punktualnie w

zapowiedzianym terminie zdetonował wulkan Montserrat?

–Owszem, powiadomiono mnie o erupcji tego wulkanu, jeśli to pan ma na myśli. Nie wiem za to, czy panu wiadomo, że od kilku lat on wybucha niemal co miesiąc?

–Ale nie tak jak dziś w nocy, sir. Proszę mi wierzyć. To najsilniejsza erupcja od wielu lat, prawie tak niszcząca, jak w przypadku Mount St. Helens...

–I co, według pana, mam z tym zrobić? – przerwał mu niecierpliwie McBride. – Przecież to nie ma najmniejszego związku z nami. To się zdarzyło o tysiące kilometrów stąd, w obcym państwie. Chyba wyraźnie panu powiedziałem, kiedy poprzednim razem rozmawialiśmy na ten temat, że pańskie teorie to czysta strata czasu i że nie ma absolutnie żadnego powodu, aby stawiać Pentagon i Biały Dom w stan pogotowia...

Tym razem to Scannell przerwał swemu rozmówcy. Widział, dokąd zmierza ta konwersacja, i nie zamierzał dłużej strzępić języka na próżno.

–Tak pan istotnie powiedział, sir. Ale oni nie grozili, że zaatakują nas bezpośrednio, tylko że pokażą nam, co potrafią, w nadziei, iż to nas przekona i zmusi do spełnienia ich żądań. Powtarzam po raz drugi, że właśnie nam pokazali, co potrafią.

–Nie przekonał mnie pan. Nadal uważam, że wybuch Mount St. Helens podsunął jakiemuś wariatowi pomysł

z tym szantażem i że zbiegiem okoliczności udało mu się trafić z kolejną groźbą w moment kolejnej erupcji regularnie wybuchającego wulkanu na Morzu Karaibskim. To nie jest wystarczający powód, żeby zwracać się do prezydenta Stanów Zjednoczonych o rzucenie do akcji połowy marynarki wojennej, wycofanie naszych sił z Bliskiego Wschodu... a to

wszystko kosztem miliardów dolarów... i o wywieranie nacisku na Izraelczyków, żeby w tydzień opuścili swoje osiedla na Zachodnim Brzegu. Czy pan nie widzi, generale, że to są historyczne reakcje? Te żądania dotyczą spraw tak wielkich i niemożliwych do zrealizowania, że żaden prezydent nie mógłby ich traktować serio, samemu nie wystawiając się na pośmiewisko!

–Sir, muszę raz jeszcze oświadczyć, że dowództwo naszych sił zbrojnych uważa zagrożenie ze strony Hamasu za bardzo poważne. Jesteśmy przekonani, że oni mogą wysadzić w powietrze ten wulkan na Wyspach Kanaryjskich i zrobią to, wywołując tsunami, które zniszczy nasze wybrzeże atlantyckie. Żaden z wulkanologów, z którymi się konsultowaliśmy, nie podał tego w wątpliwość. Wszystko, co w tym celu muszą zrobić, to strzelić w krater rakieta o dużej sile rażenia, być może nuklearną. Osunięcie się milionów ton skały do oceanu będzie wtedy pewne, a to z kolei oznacza powstanie niepowstrzymanej, katastrofalnej fali.

–Proszę pana... – prychnął pogardliwie McBride. – Niech mnie Bóg chroni przed admirałami, generałami i stukniętymi naukowcami. Stwarzacie więcej problemów niż wszyscy ludzie na tej planecie razem wzięci. Zadał mi pan ostatnie pytanie, a ja udzielam panu ostatecznej odpowiedzi. Uważam pańskie teorie za fantastyczną bajeczkę. Do tej pory to ja miałem rację i nie wątpię, że tak będzie nadal. Co zaś się tyczy tych gigantycznych posunięć, jakich się pan ode mnie domaga, raz jeszcze muszę panu odmówić. Nie pozwalam na przeczesywanie połowy Atlantyku w poszukiwaniu nie istniejącego okrętu podwodnego po kolosalnych kosztach. Nie zamierzam wycofywać naszych żołnierzy z Bliskiego Wschodu. Nie zwrócę się też do izraelskiego premiera z żądaniem utworzenia wolnego państwa palestyńskiego. Czy wyraziłem się wreszcie jasno?

–Obawiam się, że tak, panie prezydencie. Obawiam się, że tak.

General Scannell wolno odłożył słuchawkę i wrócił do sali konferencyjnej.

–Panowie, właśnie rozmawiałem z prezydentem. Nie zmienił stanowiska.

Admirał Morgan spowaźniał jeszcze bardziej, ale nie wyglądał bynajmniej na zaskoczonego.

–W takim razie nasz plan przekazania władzy w inne ręce musi zostać zrealizowany – powiedział. – Panowie, wiem, że musimy się przygotować do ewakuacji tych miast, ale przede wszystkim trzeba znaleźć i zatopić ten pieprzony okręt podwodny.

–Arnoldzie, czy masz pomysł na dyslokację floty? – spytał Alan Dickson. – To w końcu setka okrętów.

–Wiele nad tym rozmyślałem, Alan. Jeżeli oni dysponują prawdziwymi nowoczesnymi rakietami cruise, prawdopodobnie rosyjskimi, to w grę wchodzi zasięg do tysiąca dwustu mil morskich. Według mnie on zatrzyma się dość daleko od celu, być może o pięćset, może nawet o tysiąc mil. Przyjmijmy, że o tysiąc. Na początek będziemy musieli użyć SSN-ów albo TAFF-ów w systemie patroli w kwadratach operacyjnych.

Admirał Morgan, jak każdy wyższy oficer marynarki, miał zwyczaj mówić do wszystkich, jak gdyby wojennomor-ski żargon był współczesną lingua franca. Nie powstała mu w głowie myśl, że są ludzie nieświadomi, iż SSN to atomowy podwodny okręt myśliwski, a TAFF to fregata wyposażona w towed array, sonar holowany – urządzenie, którego zawiłości budowy i zastosowania też nie wszystkim są znane. Nie było jednak czasu na wyjaśnienia.

–Nie zapominajmy przy tym, że TA nie wykryje Barra-cudy, jeśli oni nie popełnią jakiegoś błędu albo nie narobią hałasu, w co osobiście wątpię. Od czegoś jednak musimy zacząć. Panowie z marynarki wojennej wiedzą, że sonary holowane są świetne, ale... Jeden okręt z TA płynący z prędkością dziesięciu węzłów w ciągu godziny przeszuka akwen o promieniu dziesięciu mil morskich. Daje nam to obszar trzystu czternastu mil kwadratowych na godzinę. Na jednokrotne przeszukanie całego prawdopodobnego rejonu, gdzie Barracuda może przebywać, pięćdziesiąt okrętów będzie potrzebowało ośmiu dni. – Morgan urwał i rozejrzał się po sali. – My mamy dziesięć dni na jej znalezienie, jeżeli zaczniemy od jutra. Zwracam przy tym uwagę, że te zakrojone na szeroką skalę poszukiwania nie będą obejmowały akwenów przybrzeżnych, które dla sonarów holowanych są znacznie

trudniejsze do monitorowania. Tam potrzeba całych eskadr śmigłowców z aktywnymi sonarami opuszczanymi, które powinny zająć się pasem między izobatami piętnastu i pięćdziesięciu sążni. Co prawda można się też spodziewać, że sygnały aktywnych sonarów zmusiłyby Barracudę do odejścia na głębsze wody, gdzie z kolei TA miałyby lepsze szansę... Ale jeżeli poszczególne miejsca możemy sprawdzić tylko raz na osiem dni... Cholera, marne szansę...

Morgan wstał z za stołu i podszedł do rozwieszanej na ścianie wielkiej mapie środkowego Atlantyku, zakreślając dłonią krąg dla uzmysłowienia wszystkim ogromu powierzchni oceanu, jaką muszą brać pod uwagę.

–Może nam się udać tylko wtedy, gdy znajdziemy się tam przed Barracudą. Jeśli to się nam powiedzie, będziemy mogli sformować zewnętrzny pierścień obronny, przez który oni będą musieli przepłynąć. Przy zakładanym promieniu tysiąca mil jest to okrąg o długości sześciu i ćwierć tysiąca mil. Praktycznie pozostaje nam z tego mniej więcej jedna trzecia, wycinek w sektorze około stu dwudziestu stopni, od Azorów do brzegów Afryki w okolicach Gwinei. Dwa tysiące mil. Pięćdziesiąt fregat z TA jest w stanie taki odcinek pokryć. Tak czy owak musimy wysłać w morze tyle jednostek, ile się da, żeby jak najwięcej uratować przed tsunami. Koszty paliwa, prowiantu i pracy są do zniesienia. Problem jednak w tym, że mimo tak intensywnych poszukiwań szansę na wykrycie Barracudy są znikome. Pamiętajmy, że nie usłyszeliśmy jej ani razu przez parę miesięcy. Jej dowódca jest naprawdę dobry i ma bardzo cichy okręt. Może przepłynąć z minimalną prędkością pod naszymi fregatami i nie zostać spostrzeżony. Musimy to dobrze przemyśleć, panowie.

–To była raczej pesymistyczna przemowa, Arnoldzie -zauważył z przekąsem George Morris.
– Pouczająca, ale ponura. Nie powtarzaj jej tylko przy prezydencie, bo jeszcze cię weźmie za politycznego sympatyka.

–George, jeśli taki dzień kiedykolwiek nadejdzie... – Morgan się zaśmiał – wówczas wyjdę z pokoju ze służbowym pistoletem i postąpię zgodnie z kodeksem honorowym oficera i dżentelmena.

ROZDZIAŁ 9

Wtorek, 29 września 2009 r., godzina 13.30. Atlantyck, 1800N/05300W.

Barracuda II płynęła z prędkością piętnastu węzłów przez głębokie wody na wschód od Rowu Portorykańskiego. Krótco przed brzaskiem Badr na chwilę podszedł na peryskopową, by odebrać oczekiwany sygnał z Bandar Abbas. Depesza przekazana za pośrednictwem chińskiego satelity potwierdziła następane zadanie i wykonanie poprzedniego: OKRUTNE MORZE DLA SKRZYDLATYCH ŚPIEWAKÓW. General Ra-szud, zdalnie kierujący operacją z irańskiego sztabu, nie uważał się za skłonny do przechwałek, ale miał jedną drobną słabość: był dumny ze swojej umiejętności układania treści kodowanych depesz. Ta ostatnia, zawczasu uzgodniona z Be-nem Badrem, według Rawiego mogła uchodzić za majstersztyk. W tych kilku słowach zawarte były przemyślnie ukryte informacje; Okrutne morze to tytuł słynnej książki Nicho-lasa Monsarrata, co przez bliskość brzmienia kojarzyło się z wyspą Montserrat i informowało Bena o sukcesie misji, a zwrot „skrzydlaci śpiewacy” kierował Barracudę II ku ostatecznemu celowi i potwierdzał, że klamka zapadła: okrutny los wyspy w ojczystym archipelagu kanarków, a z nią i aroganckiego Wielkiego Szatana mieszającego się do spraw Bliskiego Wschodu, musi się dopełnić. Całkiem literackie, jak na komandosa; generał Raszud alias major Ray Kerman mógłby zbierać tekściarskie laury na festiwalu pieśni żołnierskiej, gdyby ktokolwiek wpadł na pomysł jego zorganizowania. Kontradmirał Badr był bliski ekstazy. Wszystko szło zgodnie z planem i niedługo wypełnią przeznaczenie, jakie wyznaczył im sam Allah.

240

Barracuda II znajdowała się teraz mniej więcej w połowie drogi między Antylami a względnie bezpiecznymi wodami nad Grzbietem Śródatlantyckim, płynąc na dużej głębokości kursem 083°. Dowódca wraz z szefem okrętu Alim Zahedim stali w pomieszczeniu składowym rakiet, popijając słodką kawę i spoglądając na resztę swojego arsenału – dziesięć scimi-tarów, z których dwa miały zamontowane taktyczne głowice jądrowe po dwieście kiloton. Ben przesunął ostrożnie palcem po ostrym czubku najbliższej rakiety, jakby gładził śpiącego lwa. Nie mógł oderwać wzroku od złotych liter na jej kadłubie: SCIMITAR SL-2.

–Taka jest wola Allaha – rzekł cicho do siebie.

Wtorek, 29 września 2009 r., godzina 15.00. Biały Dom

Prezydent McBride z nie skrywaną irytacją zgodził się na krótkie spotkanie z generałem Scannellem i admirałem Dick-sonem, bo nie miał wyboru. Nawet jego wierny szef gabinetu pokręcił z dezaprobatą głową, kiedy próbował się od tego wykręcić.

–Nie da rady, sir – syknął z progu Gabinetu Owального. – Musi go pan przyjąć. To oczywiste.

Gdyby nie było oczywiste, sam miałbyś z tym kłopot, Billy, pomyślał prezydent.

–Jeśli on ma dla pana jakieś naprawdę ważne informacje, a pan odmówi ich wysłuchania... i stanie się najgorsze, to on może doprowadzić do pana usunięcia. Musi się pan z nim zobaczyć i tyle.

Charles McBride przydzielił dowódcy sił zbrojnych i szefowi operacji morskich dziesięć minut swojego cennego czasu, zgadzając się ich przyjąć o piętnastej pięć. Przybyli pięć minut wcześniej dwoma samochodami sztabowymi i w liczniejszym gronie, niż się prezydent spodziewał. W pierwszym Wozie z Timem Scannellem jechał Arnold Morgan i dowódca Korpusu Marines, generał Clark; w drugim admirałowi Dick-sonowi towarzyszyli CINCLANT, admirał Doran i naczelny dowódca sił NATO, generał Boyce. Z wyjątkiem admirała Mor-

gana wszyscy byli w mundurach. Zajechali pod Biały Dom od strony West Executive Avenue, parkując u stóp schodów wiodących na tak zwany Podjazd Dyplomatyczny i do „frontowych” drzwi zachodniego skrzydła. Wysiedli i w zwartym szyku ruszyli do środka, eskortowani przez oczekującą na nich czwórkę marines. Na widok generała Clarka pełniący wartę żołnierz w pełnym galowym granatowo-czerwonym mundurze ze złotymi galonami stanął na baczność i z krótkim: „Dzień dobry, sir!” chwycił za mosiężną klamkę, otwierając przed nimi drzwi. W korytarzu przywitał ich woźny, dwumetrowy były bosman z US Navy, i jeden z agentów Secret Service, najwyraźniej przygotowany na ten militarny najazd. Agent zapytał generała Scannella, czy może być w czymś pomocny.

–Tak, w dwóch sprawach – odrzekł przewodniczący PKSS. – Po pierwsze, najdalej za dziesięć minut na trawniku wyląduje śmigłowiec marynarki z Andrews. Dopilnujcie, żeby wydział wojskowy o tym wiedział. Po drugie, powiadomcie centralę telefoniczną, że przeprowadzamy ściśle tajny alarm ćwiczebny. Od tej chwili przez najbliższe pół godziny nie wolno im łączyć żadnych rozmów, ani przychodzących, ani wychodzących.

–Tak jest, sir! – wyrecytował agent, również były oficer wojsk lądowych. – I... hm... admirał Morgan, sir... czy będzie panu potrzebna przepustka?

–Siadaj, Tommy, jestem zajęty – padła odpowiedź. Agent, który zawsze żywił niekłamany podziw dla byłego

doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

–Mam nie pieprzyć, sir?

–Dobrze to ująłeś, Tommy.

Cała szóstka wraz z żołnierzami pomaszerowała korytarzem prosto do Gabinetu Owального. Przed drzwiami Bili Hatchard mówił coś do sekretarki, która ze zdziwieniem ogarnęła spojrzeniem nadciągający w szyku i gali „oddział”. Zaczęła się usprawiedliwiać, że nie wiedziała, iż w tym kilkuminutowym spotkaniu ma wziąć udział aż tylu gości.

–Proszę się tym nie martwić – odrzekł generał Clark. Również przed wejściem do gabinetu prezydenta stało

dwóch wartowników z Korpusu Marines. Clark zwrócił się do jednego z nich, polecając, aby sprowadził dodatkowo jeszcze co najmniej ośmiu żołnierzy.

–Tak jest, sir! – Wartownik strzelił obcasami i szparko ruszył wypełnić rozkaz.

Sekretarka patrzyła na to z widocznym niepokojem, który jeszcze się zwiększył, kiedy generał rzekł do drugiego wartownika:

–A wy udajcie się do głównej centrali telefonicznej i dopilnujcie, żeby nie łączono żadnych rozmów. Odpowiedni rozkaz został już wydany.

Generał Scannell ominął zdumioną kobietę i bez pukania otworzył drzwi Gabinetu Ovalnego. Prezydent McBride podniósł wzrok znad czytanego akurat dokumentu i z zaskoczeniem patrzył na wchodzącą za przewodniczącym doborową piątkę wyższych oficerów.

–Generale, to już lekka przesada. Zgodziłem się porozmawiać z dwoma z was, a nie z całą dywizją. Proszę polecić tamtym czterem wyjść z gabinetu.

Przewodniczący PKSS, nie zwracając uwagi na gniewne słowa i ton głowy państwa, rzekł:

–Panie prezydencie, dziś o dziesiątej rano poinformował mnie pan, że nie wyraża zgody na podjęcie przez amerykańskie siły zbrojne działań mających na celu zapobieżenie atakowi terrorystów z Hamasu na nasz kraj, a w najgorszym razie zminimalizowanie jego skutków. Czy mam rozumieć, że nie zmienił pan zdania?

–Tak jest. To wszystko jeden wielki stek bzdur. A teraz, jeśli to wszystko, co ma mi pan do powiedzenia, będę wdzięczny, jeżeli pozbawi mnie pan swojego towarzystwa.

–Sir, to w żadnym razie nie wszystko, co mam panu do powiedzenia. Jestem zmuszony oświadczyć, że dowódca marynarki wojennej, dowódca wojsk lądowych, naczelny dowódca sił NATO, dowódca Floty Atlantyku, dowódca Korpusu Marines, a także admirał Arnold Morgan jednomyślnie zgadzają się, że nie ma pan racji. Każdy z nas jest przekonany, że miasta na Wschodnim Wybrzeżu znalazły się w śmiertelnym zagrożeniu ze strony bezlitosnego nieprzyjaciela. Pan nie tylko umywa ręce od odpowiedzialności, ale wręcz przeska-

dza nam w naszych usiłowaniach zabezpieczenia obywateli i ich mienia, nie wspominając o historycznych dokumentach i skarbach kultury naszego kraju, które są przechowywane w tych miastach.

–Generale, to są decyzje, które tylko ja jestem władny podejmować. Nie pan czy ktokolwiek z wojskowych w Pentagonie.

–Sir, zapewniam pana, że jeżeli wojskowi z Pentagonu uważają, że Stanom Zjednoczonym zagraża wróg, a w Białym Domu urzęduje niekompetentny prezydent, to nie oni, ale on musi odejść. To my jesteśmy stałymi strażnikami bezpieczeństwa tego kraju i sędzę, że będzie pan miał okazję przekonać, że ludzie bardziej ufają nam niż politykom.

Charles McBride patrzył na Tima Scannella z niedowierzaniem w szeroko otwartych oczach.

–Jak pan śmie mówić do mnie w taki sposób? Mam tego dosyć, słyszy pan?! Wyoście mi się stąd wszyscy, zanim każę wartownikom was wyprowadzić!

–Może powinienem panu przypomnieć, że wartę w Białym Domu pełnią żołnierze piechoty morskiej, a ich dowódca stoi tuż obok mnie.

McBride uderzył pięścią w blat polerowanego dębowego biurka.

–Zaraz zobaczymy! – krzyknął, łapiąc za słuchawkę telefonu.

Linia była jednak głucha, podobnie jak wszystkie inne w całym kompleksie siedziby prezydenta. McBride cisnął słuchawkę na widelki. Ręce mu się trzęsły, kiedy urywanymi, syczącymi zdaniem mówił:

–Zawsze mówiłem, że wszyscy jesteście bandą wariatów... Chcecie niemożliwego... Nie mogę ot, tak zarządzić ewakuacji milionów ludzi... Nie mogę narzucać Izraelczykom... Ja nic nie wiem o dyslokacji okrętów... Dlaczego to robicie? Dlaczego, do jasnej cholery, nie zostawicie mnie w spokoju, żebym mógł robić to, po co zostałem wybrany?!

–Sir, w naszej opinii nie jest pan zdolny rządzić tym krajem podczas kryzysu, w jakim się znaleźliśmy. Jeszcze dziś prezydent musi wygłosić orędzie do narodu i jest oczywiste, że nie może to być pan. – Głos generała Scannella nabrał

stalowego tonu. – W imieniu sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych pozbawiam pana stanowiska. Przez najbliższe dziesięć minut w naszym kraju będzie trwał stan wyjątkowy, dopóki nie zostanie zaprzysiężony nowy prezydent. Jak panu wiadomo, zgodnie z konstytucją będzie to dotychczasowy wiceprezydent Paul Bedford...

–Nie może pan nic podobnego zrobić! – wrzasnął McBride.

–Nie mogę?... Generale Clark, proszę sprowadzić czteroosobowy oddział marines.

–Tak jest!

Kenneth Clark podszedł do drzwi i ruchem dłoni wezwał czekających żołnierzy.

–Stańcie po obu stronach prezydenta i bądźcie gotowi, gdyby chciał zrobić coś nieprzewidzianego – polecił.

–Panie prezydencie, oto pańska rezygnacja. – Generał Scannell położył na biurku arkusz papieru. – Jak pan widzi, jest już na niej urzędowa pieczęć. Proszę ją przeczytać... i podpisać.

Charles McBride głuchym głosem odczytał zdanie:

–„Niniejszym składam rezygnację ze stanowiska prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki z powodu utraty zdrowia, co potwierdzam własnoręcznym podpisem... Waszyngton, dnia 29 września 2009 roku" ... A jeśli odmówię?

–Zostanie pan aresztowany za świadome i celowe narażanie obywateli USA na niebezpieczeństwo przez odmowę podjęcia działań obronnych w obliczu nieprzyjaciela. To będzie oczywiście równoznaczne z natychmiastowym pozbawieniem pana urzędu i kompromitacją w oczach narodu. Proszę to podpisać albo pana stąd wyniesiemy. Nie mamy czasu na ceregiele.

–Ależ wy nie możecie tak po prostu mianować sobie nowego...

–Zamknij się wreszcie, McBride! – warknął admirał Morgan. – Dość się już nagadałeś.

Prezydent zaniemówił. Stał przez chwilę jak rażony, po czym wolno sięgnął po pióro i podpisał leżący przed nim dokument.

–Zostanie pan teraz odprowadzony do śmigłowca czeka-

jącego przed budynkiem, który odwiezie pana do Camp David – rzekł przewodniczący PKSS.

– Pozostanie tam pan w areszcie domowym, dopóki nie poradzimy sobie z zagrożeniem ze strony Hamasu. Czy Pierwsza Dama jest w Białym Domu? A inni członkowie rodziny?

–Tylko moja żona. Jest w apartamencie.

–Ona również poleci z panem. W Camp David nie będzie wolno nikomu z was kontaktować się w jakikolwiek sposób z kimkolwiek na zewnątrz. Linie telefoniczne będą odłączone, a telefony komórkowe skonfiskowane. – General Scannell spojrział na zegarek i mruknął do Clarka: – Niech go stąd zaraz zabiorą, a my idziemy prosto do biura nowego prezydenta. Sędzia Moore czeka już, żeby odebrać od niego przysięgę.

Operacja została przeprowadzona z istic militarną precyzją. Bez zastrzeżeń wierzone, że naczelné dowództwo amerykańskich sił zbrojnych mówi prawdę, jest obiektywne i działa bez ukrytych motywów politycznych. Członkowie Sądu Najwyższego nie mieli co do tego wątpliwości i dwaj sędziowie, których zgoda była niezbędna do udzielenia sędziemu Moore'owi odpowiedniego pełnomocnictwa, od razu spełnili prośbę Pentagonu. Jedynym politykiem, którego general Scannell poinformował o przygotowywanym „przewrocie”, był senator Edward Kennedy, jeden z członków senackiej komisji do spraw sił zbrojnych, którego patriotyzm był niekwestionowany, a osobistej motywacji do działania w najlepszym interesie Stanów Zjednoczonych nikt nigdy nie podał w wątpliwość. W obecnej sytuacji admirał Morgan z góry zapewnił wszystkich o jego poparciu, choćby dlatego, że rodzinna posiadłość Kennedych położona jest na samym brzegu cieśniny Nantucket, prosto na drodze grożącego tsunami.

–Ale znam Eda dobrze i wiem, że gdyby nawet mieszkał na najwyższym pieprzonym szczycie Gór Skalistych, to też by postąpił właściwie. On też nas zna i dobrze się orientuje w sprawach US Navy jako przewodniczący podkomisji sił morskich. Wie, że czegoś takiego byśmy nie zmyślali. Zaufa nam i w pełni poprze, możecie na to liczyć.

I tak oto Charles McBride został wyprowadzony za łokcie z Gabinetu Owalnego przez dwóch marines. W prezydenckim

apartamencie na piętrze panią McBride potraktowano znacznie delikatniej, ale pozwolono jej zabrać tylko torebkę, zapewniając, że rzeczy osobiste obojga zostaną dowiezione do Camp David wieczorem. Za godzinę nowo zaprzysiężony prezydent Bedford miał obwieścić zaszokowanemu narodowi rezygnację swego poprzednika z powodu załamania psychicznego.

Sześciu popołudniowych gości Białego Domu wyszło za usuniętym prezydentem na trawnik przed budynkiem. Sto metrów dalej śmigłowiec z emblematami US Navy stał gotowy do startu. Z innego wyjścia wyszła w tej samej chwili Pierwsza Dama. Generał Clark pozostał na miejscu, obserwując odlot maszyny, pozostali zaś udali się do gabinetu wiceprezydenta. Było już uzgodnione, że tym razem pominięte zostaną zawile niuanse dwudziestej piątej poprawki do konstytucji, wytyczające procedurę przekazywania władzy w ręce wiceprezydenta w razie niedyspozycji zdrowotnej głowy państwa, pociągającej za sobą niezdolność do wypełniania obowiązków. Poprawka ta została zastosowana do tej pory tylko dwukrotnie: po zranieniu prezydenta Reagana przez zamachowca i w kwietniu 1989 roku, kiedy George Bush musiał się poddać operacji w znieczuleniu ogólnym.

W obecnej sytuacji zdecydowano, że wiceprezydent powinien zostać zaprzysiężony bez żadnej zwłoki. Nie było w końcu żadnej szansy na powrót Charlesa McBride'a do Białego Domu. W biurze Paula Bedforda był już senator Kennedy. Sędzia Moore wygłosił święte słowa, które każdy prezydent musi powtórzyć, obejmując urząd: „Przysięgam uroczyście, że będę wiernie wypełniać obowiązki prezydenta Stanów Zjednoczonych i czynić wszystko, co w mojej mocy, aby dochowywać, bronić i strzec konstytucji naszego kraju”.

Rozdział drugi ustawy najwyższej ustanawiał go z tą chwilą naczelnym dowódcą sił zbrojnych USA. Paul Bedford natychmiast podpisał akt nominacji admirała w stanie spoczynku Arnolda Morgana na swego specjalnego doradcę na czas obecnego kryzysu związanego z groźbą Hamasu. Złożył też podpis na załączniku uprawniającym admirała do urzędowania w Gabinetcie Ovalnym jako zwierzchnika wszystkich sił morskich, lądowych i powietrznych, biorących udział w ope-

porucznikiem wysłuchującym wskazówek udzielanych mu przez jednego z najważniejszych admirałów, jacy kiedykolwiek służyli temu krajowi. Arnold szybkim ruchem wyrwał kartkę z bloku i podał ją prezydentowi.

–To wszystko? – spytał Bedford.

–Wszystko, co możemy zrobić – odrzekł admirał. – Za piętnaście minut wchodzi pan na mównicę, a my z Frankiem musimy już iść.

–Okay, sir. Dam sobie radę.

–Paul, w tym pokoju możesz mnie nazywać, jak ci się podoba. Ale na Boga, nie mów do mnie „sir” przy ludziach!

–Jasne, sir! – Bedford się roześmiał mimo powagi sytuacji.

–I jeszcze jedno, panie prezydencie – rzekł Morgan, już wychodząc z gabinetu. – Kiedy Winston Churchill zażądał całkowitego przegrupowania floty na północnym Atlantyku, powiedział pierwszemu lordowi admiralicji: „Jeżeli to się nie zmieści na jednej stronie jednego arkusza papieru, to znaczy, że nie zostało dobrze przemyślane”.

To rzekłszy, zniknął. W drzwiach widać było tylko plecy dowódcy Floty Atlantyku, usiłującego dotrzymać mu tempa.

–Jezu Chryste! – westchnął Bedford. – Co to za facet? W tej chwili ku zaskoczeniu wszystkich obecnych admirał

Morgan znów się ukazał w wejściu.

–Zapomniałem o czymś, Paul. Lepiej zaraz wywal na zbity łeb sekretarza obrony Schlemmera i Cyrusa Romneya, a potem Hatcharda, kiedy już go zwolnię z zebrania. Odręczna notka do każdego z podziękowaniem za wszystko, czego dokonali. Parę linijek, dobra?

–W porządku, Arnie, załatwione – odrzekł prezydent. – Mogę sobie pożyczyć twoje biurko?

Admirał Morgan śmiał się jeszcze długą chwilę, schodząc do podziemnej części zachodniego skrzydła. W pokoju sytuacyjnym zastał wielce poruszonych kierowników wszystkich wydziałów Białego Domu: protokolarnego, ochrony, łączności, obsługi, transportu, prasowego... Był tam Bili Hatchard i sekretarz stanu, i główny kamerdyner, i zespół piszący przemówienia, a nawet sekretarka Charlesa McBride'a. Wszyscy domagali się informacji, nie mając pojęcia, co się dzieje-

Przed wejściem do sali stanęło czterech wartowników, dwóch innych zajęło pozycję przy windzie. Wpuszczali każdego, kto miał odpowiednie dokumenty, ale nie wypuszczali nikogo. Skonfiskowane telefony komórkowe piętrzyły się na biurku, za którym siedział dowódca warty. Do chwili wygłoszenia przez nowego prezydenta oświadczenia dla mediów żaden członek personelu Białego Domu nie mógł się skontaktować z nikim na zewnątrz.

W pomieszczeniu oprócz dużego stołu konferencyjnego stało jeszcze sporo biurek i stolików z komputerami, telefonami i różnymi akcesoriami sekretarskimi. Dzisiaj nie były do niczego potrzebne, ale ludzie szybko zajmowali przy nich miejsca, było bowiem oczywiste, że przy tej liczbie zebranych zabraknie dla wszystkich miejsc nie tylko przy głównym stole.

Arnold Morgan zasiadł na wielkim krześle, niegdyś zajmowanym przez Ronalda Reagana. Przysunął bliżej siebie jeszcze jedno dla admirała Dorana, po czym przywołał zgromadzenie do porządku, plasnąwszy niecierpliwie otwartą dłonią w stół.

–Dla garstki z was może to przypominać dawne czasy. Do wiadomości pozostałych, nazywam się Arnold Morgan, admirał w stanie spoczynku, były dyrektor NSA, a później doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Nie jestem pewien, jak szybko krążą tu teraz plotki, ale chciałbym wam oznajmić, że przed niecałą godziną prezydent Charles McBride złożył rezygnację z urzędu z przyczyn zdrowotnych. Zgodnie z konstytucją do objęcia jego obowiązków został niezwłocznie powołany wiceprezydent. Przysięgę odebrał sędzia Moore z Sądu Najwyższego. Ceremonia odbyła się tu, w Białym Domu, a jej świadkami byli senator Edward Kennedy, przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów generał Scannell, szef operacji morskich admirał Dick-son, dowódca Floty Atlantyku admirał Doran, który siedzi tu obok mnie, generałowie Boyce i Clark oraz ja. Dziennikarze dowiedzą się o zmianie w Gabinetcie Ovalnym za dziesięć minut, a państwo wszyscy obejrzą w telewizji wystąpienie prezydenta Bedforda. Oczywiście zmieni się także część personelu, ale nie wśród tych pracowników, na których możemy

polegać. Jednak najważniejsze, co mam wam do powiedzenia, to to, że nasze Wschodnie Wybrzeże znalazło się w sytuacji największego zagrożenia ze strony terrorystów w całej historii USA, gorszego nawet od 11 września. To właśnie zagrożenie stało się przyczyną załamania psychicznego prezydenta McBride'a, który w tej chwili znajduje się pod opieką specjalistów. Pan McBride z własnej woli ustąpił ze stanowiska, nie dając sobie rady z rosnącym napięciem i mając świadomość, że nie ma żadnego doświadczenia wojskowego i że jego zastępca Paul Bedford, który ma za sobą pięć lat służby w marynarce wojennej, w czasie kryzysu może być lepszym przywódcą USA niż on. Były prezydent przebywa obecnie wraz z małżonką w Camp David i do Białego Domu już nie powróci. Co do istoty zagrożenia, o którym mówię, chodzi po prostu o grasujący na Atlantyku atomowy okręt podwodny zbudowany w Rosji i obsadzony przez grupę fanatycznych terrorystów z Hamasu.

W sali zapadła grobowa cisza, podczas gdy admirał przedstawiał groźby i żądania Palestyńczyków. Po krótkiej przerwie zaczął mówić dalej:

–Wypadki ostatnich miesięcy dowodzą, że oni są do tego zdolni. Spowodowali wybuch Mount St. Helens, a wczorajszej nocy spełnili swą drugą groźbę, punktualnie niemal co do minuty, pobudzając do erupcji wulkan na wyspie Montserrat. W ostatnim komunikacie zapowiadają, że uderzą w Palmę 9 października. Najważniejszym dla nas zadaniem jest oczywiście znaleźć ten okręt, ale rozpoczęliśmy już także wstępne działania w celu ewakuacji całego Wschodniego Wybrzeża na wyżej położone tereny, na wypadek gdyby akcja marynarki wojennej się nie powiodła. Począwszy od dzisiaj, siły policyjne, wojsko i Gwardia Narodowa będą pilnować porządku w miastach, aby zapobiec wybuchom paniki po telewizyjnym orędziu prezydenta. Od chwili erupcji wulkanu Cumbre Vie-ja upłynie zaledwie dziewięć godzin, zanim tsunami uderzy w Nowy Jork. Nasz nowy prezydent mianował mnie naczelnym dowódcą wszystkich sił biorących udział w tej operacji na okres najbliższych dwóch tygodni. Przez ten czas zaczniemy wywożenie skarbów narodowych, zbiorów muzealnych, historycznych dokumentów, giełdy nowojorskiej, szkół i uczel-

ni. Będę kierował operacją z Gabinetu Ovalnego, w ścisłej współpracy z prezydentem Bedfordem i pięcioma wyższymi oficerami, którzy byli świadkami jego zaprzysiężenia. W tej chwili nie będę odpowiadał na pytania. Proszę, aby ktoś włączył telewizory i ustawił kanał którejs z głównych sieci, żebyśmy mogli wszyscy wysłuchać prezydenckiego orędzia.

W pokoju sytuacyjnym można by usłyszeć przelatującą muchę, gdyby udało się którejs przedostać przez zainstalowany tam specjalny system filtrów i klimatyzacji. Nikt się nie odezwał, część ludzi tylko cicho zmieniała pozycję, aby dobrze widzieć ekrany. Tymczasem na górze w sali prasowej kilkudziesięciu akredytowanych w Białym Domu dziennikarzy, nazywanych czasem „lwami” (nie przez skojarzenie z królewską postawą, ale raczej z rzymskimi igrzyskami), z każdą minutą coraz bardziej się niecierpliwiło. Nikt z nich nie miał zielonego pojęcia, co się szykuje, i chociaż kilku znudzonych fotoreporterów drzemało w fotelach, w tylnej części sali, gdzie zasiadali ludzie z serwisów telegraficznych, powoli zaczynało wrzeć. Zwołana ad hoc z wyprzedzeniem zaledwie dwudziestu minut konferencja prasowa była czymś w najwyższym stopniu niezwykłym. Reporterzy skupiali się w grupki, zastanawiając się nad przyczyną tego zamieszania. Zdecydowanym faworytem w tych zakładach była teza, że prezydent McBride ogłosi stan klęski żywiołowej na wyspie Montserrat i pošle tam amerykańską pomoc. Wielkie rzeczy. Jednak co bardziej spostrzegawczy dziennikarze zauważyli obecność aż ośmiu marines ustawionych po obu stronach podwyższenia z mównicą. To by świadczyło, że chodzi o coś poważniejszego niż karaibski wulkan. Nic jednak nie wskazywało na to, że za chwilę usłyszą największy news roku.

Upłynęło jeszcze kilka minut i „lwy” zaczynały być rozdrażnione; zawsze tak bywa w „porze karmienia”, jeśli „dozorca” się spóźnia. „Gdzie on, u diabła, jest?... Ludzie, za chwilę będzie za późno na wieczorne wydania... Co za idiotyczna pora na konferencję... Kogo to obchodzi, że on chce posyłać pieniądze podatników na Montserrat?”

O szesnastej dwadzieścia pięć sala prasowa przypominała ul. Nagłe pojawienie się rzecznika prasowego wiceprezydenta Bedforda, Lee Mitchella, w najmniejszym stopniu nie wpły-

nęło na zmniejszenie poziomu hałasu. Kiedy jednak wszedł na mównicę, włączył mikrofony i poprosił o ciszę, dziennikarze z wolna i niechętnie dopuścili go do głosu.

Mitchell, młody, wysoki były komentator polityczny z „Atlanta Constitution”, od razu przeszedł do sedna.

–Panie i panowie, jestem tu po to, aby was oficjalnie poinformować, że Charles McBride godzinę temu ustąpił ze stanowiska. O piętnastej pięćdziesiąt trzy zgodnie z konstytucją Stanów Zjednoczonych wiceprezydent Paul Bedford przejął jego obowiązki i złożył przysięgę przed wyznaczonym przez Sąd Najwyższy sędzią Moore'em.

Milczące zgromadzenie eksplodowało okrzykami reporterów, rozdartych między chęcią zasypywania rzecznika dodatkowymi pytaniami a odruchem natychmiastowego zaalarmowania swoich redakcji. „Ustąpił? Jak to, ustąpił? Kiedy? Gdzie? Dlaczego? Dlaczego teraz? Gdzie jest prezydent? Czy nadal przebywa w Białym Domu? Co spowodowało jego decyzję?” Upłynęły pełne dwie minuty, zanim szum przycichł, i to tylko dlatego, że Lee Mitchell najwyraźniej nie miał zamiaru odezwać się choćby słówkiem, dopóki znów nie zapadnie cisza.

–Dziękuję. Na tej konferencji nie będziemy odpowiadać na pytania. Powiem wam jednak, że pan McBride odpoczywa w tej chwili w Camp David, gdzie jest otoczony opieką lekarską. Przeszedł ostre załamanie nerwowe i może nie wrócić do zdrowia przez kilka tygodni. Pierwsza Dama jest przy nim. W tych okolicznościach nie widział innego wyjścia, jak tylko złożyć rezygnację.

Tłumione emocje znów wyrwały się spod kontroli. „To sprawa wagi państwowej! Ludzie mają prawo wiedzieć! Co mam powiedzieć czytelnikom? Jakie załamanie nerwowe? To jest Ameryka, nie carska Rosja! Mitchell, płacą ci za to, żebyś nam mówił, co się, u diabła, dzieje z prezydentem!”

Dziennikarze dysponowali pewną siłą, niektórzy potrafili bystro myśleć, ale nie mieli szans w zderzeniu ze sprawną inscenizacją reżyserowaną przez Morgana, Bedforda i Scan-nella. W tej chwili nastąpiła zmiana sceny. Lee Mitchell odsunął się na bok, by oficjalnie przywitać przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, za którym weszli do

sali szef operacji morskich, dowódca Korpusu Marines i naczelny dowódca NATO, zajmując pozycje wyznaczone im przez Arnolda Morgana – „za rufą prezydenta w szyku czołowym”. Ryki głodnych „lwów” stopniowo przycichły, ustępując bardziej godnym dźwiękom; z głośników popłynęły znajome tony Hail to the Chief, marsza prezydenckiego. Linie telefoniczne Białego Domu znów były włączone i zaczynały przesyłać kilowaty sygnałów. Kamery telewizyjne pracowały, komentatorzy spieszenie relacjonowali szokujące nowiny, na tyłach sali reporterzy agencji nadawali depeche; wszyscy pozostali, przykuci do swych miejsc przez tradycję i protokół, pisali w notatnikach.

W ten dziennikarski wir wkroczył w takt marsza Paul Bedford, postawny, łysiejący Wirginijczyk, zajmując miejsce za ustawioną na podwyższeniu mównicą z godłem prezydenckim. Stał przed zgromadzeniem pozornie spokojny, popatrzył na rząd mikrofonów przed sobą i powiedział zdecydowanym tonem:

–Mam zaszczyt poinformować państwa, że godzinę temu zostałem czterdziestym piątym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Jak już pewnie wiecie, prezydent McBride zmuszony był nagle zrezygnować ze swego urzędu z przyczyn zdrowotnych. To było nieoczekiwane, niefortunne wydarzenie i wszyscy życzymy mu szybkiego i pełnego powrotu do zdrowia. Tymczasem jednak rząd musi funkcjonować bez zakłóceń. Z największym smutkiem i niepokojem muszę wam oznajmić, że stoimy dziś w obliczu chyba największego niebezpieczeństwa, jakie kiedykolwiek groziło naszemu krajowi. Nie będę odpowiadał na pytania, ale postaram się przedstawić w zarysie skalę ataku terrorystycznego, jaki ma wkrótce nastąpić...

–Czy jest jakiś związek między tym atakiem i rezygnacją prezydenta? – krzyknął któryś z reporterów.

–Czy byłby pan uprzejmy podać mojej sekretarce, jaki jest pana język ojczysty? – Paul Bedford skorzystał z zaproponowanej przez Arnolda Morgana jedynej możliwej odpowiedzi na niepożądane pytanie.

Sala wybuchnęła śmiechem, a prezydent kontynuował wypowiedź.

–Cztery miesiące temu otrzymaliśmy z niewiadomego źródła na Bliskim Wschodzie komunikat, w którym palestyńska organizacja terrorystyczna Hamas wzięła na siebie odpowiedzialność za spowodowanie wybuchu Mount St. He-lens w stanie Waszyngton. Przeprowadzone przez nas dochodzenie wykazało, że to prawda. Wkrótce potem zostaliśmy poinformowani, że mamy zaledwie kilka tygodni na absolutne wycofanie naszych sił militarnych z całego regionu bliskowschodniego i zmuszenie Izraela do opuszczenia okupowanych terytoriów na Zachodnim Brzegu. Nie muszę dodawać, że rząd podszedł do tych komunikatów

sceptycznie, ale z ostrożnością. Zaczęliśmy nawet niewielkie przemieszczenia naszych wojsk i okrętów. Po niedługim czasie przysłano nam kolejną groźbę z dodatkowym szczegółem: jeżeli nie zrobimy, czego od nas żądają, terroryści powtórzą wyczyn z Waszyngtonu na Wyspach Kanaryjskich.

W sali panowała głucha cisza. Wszyscy czekali w napięciu na następne słowa prezydenta, który przerwał na chwilę, w duchu się modląc, aby albo sir Winston Churchill, albo Arnold Morgan podsunął mu jakieś notatki, jeżeli już nie gotowy tekst na jednej stronie jednego arkusza. Brnął jednak dzielnie dalej, opisując prognozy naukowców związane z potencjalną erupcją Cumbre Vieja.

–Cóż, prezydent McBride pozostawał nie przekonany, choć zaniepokojony. W Pentagonie natomiast traktowano te groźby bardzo poważnie. Wkrótce zaś nadszedł następny komunikat, w którym Hamas ostrzegał, że o północy 29 września pokaże, co potrafi, i że 9 października uderzy w Cumbre Vieja.

–Czy zasięgnęliście opinii uczonych amerykańskich w tej sprawie?

–Oczywiście, że nie. – Prezydencka riposta była błyskawiczna. – Nawet nam to do głowy nie przyszło.

Skonfundowany reporter z Associated Press usiadł jak niepyszny wśród śmiechu kolegów, Bedford zaś niewzruszony mówił dalej:

–Tak więc, panie i panowie, mamy przed sobą dwa zadania. Po pierwsze, znaleźć i zatopić okręt podwodny, który ostrzelał rakietami cruise Mount St. Helens i wulkan na

Montserrat, po drugie, rozpocząć powszechną ewakuację Wschodniego Wybrzeża, na wypadek gdyby nie udała się akcja marynarki wojennej.

–A sonary? – wyrwał się inny dziennikarz, wykazując się pewną znajomością tematu. – Nie można ich wykryć sonarem?

–Cóż, lepsze by były tresowane delfiny, ale nie wiem, czy mamy ich dostatecznie dużo – odparł Bedford. – Prosiłem, aby mi państwo nie przerywali, zwłaszcza jeżeli możecie tylko rzucić jaskrawe światło na rzeczy oczywiste.

Dziennikarze zaczęli sobie uzmysławiać, że z tym prezydentem muszą poczynać sobie ostrożniej, niż na początku sądzili.

–Ta operacja obronna jest w stu procentach przedsięwzięciem militarnym. Mianowałem byłego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego admirała Arnolda Morgana głównodowodzącym w obu jej aspektach, to znaczy działaniach marynarki i programie ewakuacji. Pan Morgan ma pełne poparcie najwyższych dowódców naszych sił zbrojnych, którzy stoją tu za mną. To wszystko, co mam w tej chwili do powiedzenia, ale mam nadzieję, że będą państwo nakłaniać swoich widzów, słuchaczy i czytelników do ścisłej współpracy w tym najtrudniejszym okresie. Czasu jest dosyć, aby każdy zdążył wyjechać, ale musimy działać spokojnie i w sposób zorganizowany. Oczywiście będziemy państwa na bieżąco informować o rozwoju sytuacji w dużych miastach nadmorskich. Zalecamy, by wszyscy udawali się na wyżej położone tereny, do swych krewnych i przyjaciół. Jeżeli to tsunami uderzy, nikt nie ocaleje. Na Wschodnim Wybrzeżu nie może pozostać nikt. Proszę stosować się do poleceń wojska. Dziękuję.

Prezydent Bedford odwrócił się i wyszedł z sali prasowej w towarzystwie generałów Clarka i Boyce'a. Admirał Dick-son pozostał z generałem Scannellem, który natychmiast zajął miejsce za mównicą.

–Jeżeli ktoś z państwa mnie nie zna, nazywam się Tim Scannell i jestem tu, aby wspierać prezydenta. Mogę teraz odpowiedzieć na kilka pytań o sprawy wojskowe, proszę tylko, aby dotyczyły kwestii istotnych, jesteśmy bowiem bardzo zajęci, jak sobie państwo mogą wyobrazić.

–Sir, czy nastąpią gremialne zmiany na kluczowych stanowiskach w Białym Domu?

–To nie ma związku z wojskiem, ale wiadomo mi, że prezydent Bedford mianuje jutro nowego sekretarza obrony.

–Czy może pan opisać skalę poszukiwań okrętu podwodnego na Atlantyku?

–Nie. Uznaliśmy jednak, że przeszukiwanie rozległego akwenu wokół Wysp Kanaryjskich, na przykład w promieniu tysiąca mil, prawdopodobnie byłoby bezskuteczne. Admirał Dickson jest zdania, że dobrze dowodzony atomowy okręt podwodny może wymykać się nawet stu amerykańskim okrętom praktycznie bez końca.

–Skąd wiecie, że to okręt atomowy?

–Tak wynika z naszej oceny sytuacji.

–Skoro tak, to jakim cudem dostał się w ręce terrorystów?

–Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć. Powiem tylko, że gdyby była to jednostka konwencjonalna, do tej pory już byśmy ją wykryli, a na pewno stałoby się to w ciągu najbliższych dziesięciu dni.

–Dlaczego tak trudno go wykryć? Ciągłe się nam opowiada, jaką to mamy nowoczesną marynarkę wojenną!

–Współczesny okręt podwodny o napędzie jądrowym przy prędkościach do ośmiu węzłów jest praktycznie niesłyszalny, zwłaszcza w dużym zanurzeniu, sto pięćdziesiąt do dwustu metrów. Jeśli ktokolwiek chce się dowiedzieć jeszcze czegoś o okrętach podwodnych, proszę poczekać. Za chwilę oddam głos admirałowi Dicksonowi.

–Panie generale, jak powstanie to tsunami, jeżeli wulkan wybuchnie?

–Jeśli wrzucimy kamyk do stawu, utworzą się fale rozchodzące się we wszystkich kierunkach. Erupcja Cumbre Vie-ja spowoduje gwałtowne osunięcie się potężnej masy skalnej, około dwudziestu kilku kilometrów sześciennych, na dno oceanu. Mogą sobie państwo wyobrazić, jaka przy tym powstanie fala.

–Czy może pan przedstawić wasz plan wykrycia i zatopienia tego okrętu?

–Nie mogę.

–Czy to znaczy, że jeszcze nie macie takiego planu?

–Nie. To znaczy, że gdybym wyjawiał go wam, równie dobrze mógłbym go zdradzić dowódcy poszukiwanego okrętu i jego mocodawcom.

–Czy dowiemy się szczegółów programu ewakuacji?

–Oczywiście. Niedługo zaczniemy nadawać informacje dla ludności o środkach i procedurach, jakie zastosujemy. Dziękuję państwu. To wszystko na dzisiaj.

Scannell i Dickson opuścili salę, kierując się z powrotem do Gabinetu Ovalnego. Czwórka marines podążyła za nimi, a po drodze dołączył do orszaku Henry Wolfson, rzecznik prasowy byłego prezydenta, jeden z wielu urzędników średniego szczebla, którzy mieli pozostać na zajmowanych stanowiskach. Podał dłoń obu wojskowym i przedstawił się.

–Zdaje się, że nasze ścieżki nigdy dotąd się nie przecięły – powiedział. – Mam jednak wrażenie, że to się zmieni.

–Zgadza się, Henry – odrzekł Scannell. – Liczymy, że postarasz się trzymać sytuację pod kontrolą. Chodzi o zapobieżenie wybuchowi powszechnej paniki, ale bez ukrywania powagi sytuacji. Później dokładniej to przedstawimy, ale pewne jest jedno: Hamas wystrzelił salwy rakiet w Mount St. Helens i wulkan na Montserracie, doprowadzając do ich erupcji. Do wysadzenia w powietrze wulkanu na Wyspach Kanaryjskich potrzeba czegoś większego, ale głowica nuklearna pewnie wystarczy. Te sukinsyny strzelają z zanurzonego okrętu podwodnego, a to cholernie trudno wykryć. Idziesz porozmawiać z prezydentem, Henry?

–Tak. I z admirałem Morganem, co, szczerze mówiąc, porządnie mnie przeraża.

–Nie martw się. On mocniej szczeka, niż gryzie, a my wszyscy się go czasami boimy. Cieszę się jednak, że mamy go teraz na pokładzie.

–Tak zdaje się myśleć większość personelu, sir – powiedział Wolfson. – Wszyscy się trochę pewniej poczuli.

–Hmm... my w wojsku powinniśmy być apolityczni, ale nie da się ukryć, że łatwiej się nam pracuje, kiedy za sterem stoją republikanie.

Dotarli do Gabinetu Ovalnego. Boyce i Clark akurat wychodzili i generał Scannell wraz z nimi udał się do Penta-

gonu. Tymczasem admirał Morgan zdążył już zamienić ten słynny pokój w centrum dowodzenia. Na ustawionym pośrodku wielkim stole, który specjalnie polecił przynieść z gabinetu doradcy do spraw bezpieczeństwa, leżały rozłożone mapy nawigacyjne. Cyrus Romney, humanista z Berkeley, zdradzał oznaki irytacji na widok grupy ludzi z obsługi technicznej, którzy zabierali mu mebel, i domagał się wyjaśnień.

–Niesiemy go do Gabinetu Owального, sir. Z rozkazu admirała Morgana.

Romney, który już słyszał krążące po Białym Domu pogłoski, uznał, że mądrzej będzie nie zagłębiać się w tę sprawę; był pewien, że najdalej za parę godzin sam zostanie równie bezceremonialnie usunięty ze swego biura.

W pół godziny ciemny polerowany blat był bardziej „zajęty”, niż mu się trafiło kiedykolwiek przez ostatnie trzy kwartały. Spod mapy generalnej zachodniego Atlantyku, akwenu nad Grzbietem Sródatlantyckim, podejściówek do Antyli i Wysp Kanaryjskich oraz bardziej szczegółowych map tego ostatniego archipelagu nie było widać kawałka wolnego miejsca.

Siedem wysp tworzących archipelag rozciąga się na przestrzeni dwustu pięćdziesięciu mil morskich z zachodu na wschód, a ostatnia z nich, Fuerteventura, leży zaledwie o sto kilometrów od afrykańskiego lądu. Na obejmującej je wszystkie mapie admirał Morgan zaznaczył czerwonym kręgiem tylko jeden punkt: główny krater wulkanicznego grzbietu Cumbre Vieja. Stał teraz przy stole z prezydentem, przyglądając się przebiegowi izobat wokół Palmy. Ocean jest tam głęboki jeszcze dość blisko brzegów; pięćdziesiąt mil od wyspy dno leży na czterech tysiącach metrów i więcej pod powierzchnią, o dziesięć mil od brzegu biegnie izobata tysiącmetrowa, o milę stumetrowa, a o dobry rzut kamieniem z wysokiego urwistego brzegu można jeszcze nurkować na trzydzieści metrów – prawie przy samej pieprzonej plaży, według określenia Arnolda.

Admirał podniósł wzrok znad mapy, spostrzegłszy wchodzącego Alana Dicksona. Paul Bedford odszedł na drugi koniec pokoju, by porozmawiać z Henrym Wolfsonem. Gabinet Owalny stawał się coraz bardziej centrum operacyjnym Ar-

nolda Morgana i już było widać, że drużyna co najmniej pięciu sprzątaczy będzie potrzebna ze dwa razy dziennie, aby utrzymać jako taki porządek.

Panna Betty-Ann Jones, osobista sekretarka Charlesa McBride'a, była w trakcie opróżniania biurka i pakowania swoich rzeczy. Jako osoba, która mało taktownie powiadomiła byłego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego, że będzie zwolniony natychmiast po objęciu urzędu przez prezydenta elekta, spodziewała się pozostać w Białym Domu jeszcze najwyżej dwie godziny. Była pewna, że wyląduje na bruku, zwłaszcza że wśród personelu rozniosła się wieść, iż pani Arnoldowa Morgan jest już w drodze, aby zająć się organizacją życia męża podczas jego zmagania z Hamasem. Betty-Ann niepotrzebnie się jednak martwiła; groźny admirał traktował wszystkich jednakowo: prezydentów, ambasadorów, generałów i kelnerów – najczęściej niecierpliwie, czasami z irytacją, ale nigdy złośliwie. Nie utkwilo mu w pamięci, w jaki sposób otrzymał wypowiedzenie, tylko że musiał zostawić kraj w rękach ludzi niekompetentnych. To łamało mu serce; telefony od cudzych sekretarek w tym równaniu nie były brane pod uwagę. W tej godzinie próby chciał jednak mieć przy sobie sprawną, niezastąpioną żonę.

–Gdzie, u diabła, jest Kathy? – burknął do admirała Dorana.

–Kathy? A kto to taki? – spytał CINCLANT.

Arnold podniósł wzrok na Dorana, zaskoczony pytaniem.

–Och, przepraszam, Frank. Musiałem mówić do siebie. To moje dość popularne wyrażenie. Pewnie każę je wyryć na moim nagrobku. „Gdzie, u diabła, jest Kathy?”...

–Domyślam się, że chodzi o panią Morgan?

–O nią właśnie. O najlepszą sekretarkę, jaką w życiu miałem, najpiękniejszą dziewczynę, jaka chciała ze mną rozmawiać, i zdecydowanie najlepszą z moich trzech żon.

–Czyżby jej pan tu oczekiwał? – Frank Doran się zaśmiał.

–A jakże! Właśnie przyjąłem ją do pracy na dawnym stanowisku i kazałem wsiadać w samochód i zasuwać do Białego Domu.

–A co ona na to?

–Powiedziała, że się zastanowi, czy chce znowu pracować dla największego grubianina,

jakiego w życiu widziała, ale że bym nie robił sobie większej nadziei.

Tego już było za wiele dla Dorana. Wybuchnął śmiechem, usiłując w przerwach między kolejnymi falami powiedzieć, że zna ten ból; każdy admirał musi się dobrze pilnować, żeby nie zwracać się do rodziny jak do marynarzy na dolnym pokładzie. Arnold miał już na końcu języka jakiś zgryźliwy komentarz, ale w tej chwili do pokoju wkroczyła Kathy, jak zawsze piękna i promienna. Nie patrząc w jej stronę, rzucił ostro:

–No, nareszcie. KAWY! I zadzwoń do irańskiego ambasadora. Powiedz mu, że jest przebiegłym, kłamliwym sukinsynem.

Frank Doran zaniemówił. Admirał Dickson, który bywał już świadkiem podobnych scen, pokręcił tylko głową, wznosząc oczy ku niebu. Arnold zaś wyskoczył zza stołu i mocno przytulił żonę, nie zważając na obecność obcych ludzi. Przez wszystkie lata pracy jako jego sekretarka Kathy często bywała zaszokowana wydawanymi przezeń komendami: zadzwoń do prezesa, do szefa, do ambasadora i powiedz mu... różne straszne rzeczy. W języku Arnolda Morgana prośba o szybką odpowiedź od wysokiej rangi rosyjskiego admirała brzmiała: „Niech ten Nikołaj Jakmutam weźmie dupsko w troki i do mnie zaraz oddzwoni!” Zaskakujące polecenie zaatakowania dyplomaty ajatollahów nie było niczym innym, jak tylko zwykłym „Witaj w domu” dla Kathy, która zgodziła się wrócić do pracy pod warunkiem, że chodzi o umowę na czas ograniczony... do dwóch tygodni.

Arnold przedstawił małżonce Franka Dorana, po czym polecił jej powiedzieć „tej damie za drzwiami, Betty Jakiejs-tam”, że jeśli chce, może zachować pracę, tyle że jako jej asystentka w jakimś mniejszym biurze, a jeśli jej to nie odpowiada, może się wynosić. Kathy dobrze się orientowała w zasadach gry w Białym Domu, ale odmówiła.

–Kochanie, nie mogę zaraz po zjawieniu się tutaj zacząć wyrzucać ludzi na bruk!

–Nie ma sprawy. – Arnold już wrócił do swoich map. – Frank się tym zajmie.

–Przepraszam, sir, ale jeśli ktoś ma zwolnić sekretarkę byłego prezydenta, to nie ja.

–Co ja z wami mam... Dobra, sam to zrobię.

Ruszył do drzwi i przez próg oznajmił wystraszonej Betty-Ann, że powinna zwolnić swoje biuro, gdyż jego żona i długoletnia sekretarka obejmie jej stanowisko, ale że on nie ma absolutnie nic przeciwko temu, żeby pracowała tu dalej na niższym szczeblu...

–...Dopóki będzie się pani mocno starać – zakończył i odwrócił się, nie czekając na odzew.

Ustanowiwszy w ten sposób zależność służbową, wrócił do swoich zajęć pewny, że trywialne sprawy sekretarskie same się ułożą. Zasiadł za stołem z mapami i zaprosił obu admirałów, aby się doń przyłączyli.

–Kathy, załatw nam kawę i jakieś ciastka – poprosił. – Żaden z nas nic nie jadł od rana. Dopilnuj też, żebym miał pod ręką cyrkiel nawigacyjny i zwykły, linijki, trójkąty, kalkulator, blok papieru i ołówki.

–Co powiesz na sekstant i lornetkę, skoro najwyraźniej wybierasz się na morze? – Kathy też nie zapomniała, jak się odcinać szefowi.

W tym momencie podszedł do nich prezydent. Arnold przedstawił mu żonę.

–Był pan bardzo dobry w telewizji – powiedziała. – Świetnie pan usadził tych dziennikarzy.

–W ustach pani Morgan to dla mnie prawdziwy komplement – odrzekł Paul Bedford z uśmiechem.

–Proszę się do nas dosiąść, sir – powiedział Arnold. – Właśnie się zabieramy do opracowania planu przyłapania tego podwodniaka. Jutro dokończymy program ewakuacji. Najpierw jednak chcę jak najprędzej wysłać w morze trochę cięższych okrętów w rejon, gdzie, jak się spodziewam, on może zmierzać. Kto wie, możemy mieć szczęście i wpaść na niego. Nie chcę nas pozbawiać tej szansy.

–Ile okrętów, admirale?

–Na razie myślę o kilkunastu fregatach. Można by użyć klasy Oliver Hazard Perry z raketami kierowanymi. Potem trzeba tam przerzucić lotniskowiec wypakowany śmigłowcami. Myślę, że admirał Dickson się ze mną zgodzi, iż łatwiej

będzie go wykryć z powietrza niż na głębokim akwenu za pomocą okrętów podwodnych. Z

tym jest zawsze dużo problemów i często kończy się wzajemnym ostrzelaniem przez własne jednostki.

–A mamy gdzieś w pobliżu zespół lotniskowca?

–Tak. Ronald Reagan jest teraz na Morzu Śródziemnym, o trzy dni drogi. Fregaty mogą dotrzeć w rejon operacyjny za sześć dni. Piątka już tam płynie, reszta będzie gotowa do wyjścia z Norfolku za kilka godzin.

–Czy nasz były prezydent o tym wiedział?

–Nie, do diabła. Gdybyśmy go słuchali, nigdy nie bylibyśmy gotowi na czas.

–Jedno pytanie, Arnie. W tych komunikatach terroryści nigdy nie wspomnieli o Cumbre Vieja. Jesteś pewien, że szukamy ich przy właściwym wulkanie?

–Na to, sir, musiałby pan postudiować wulkanologię jak ja – Arnold zachichotał. – Hamas grozi, że tsunami zniszczy nasze wybrzeże atlantyckie, a na całym Atlantyku nie ma drugiego miejsca, w którym można by je sztucznie wywołać. Cumbre Vieja jest jedynym kandydatem z uwagi na wysokość urwiska, głębokość akwenu wokół wyspy i niestabilność tektoniczną. Ale naprawdę liczy się coś innego. Chodzi o masy wody, podziemne jezioro, jakie znajduje się pod tym łańcuchem gór. Przy erupcji wulkanu magma zamieni je w parę, która rozsadzi skały. Jeśli więc te sukinsyny wrzucą do krateru głowicę jądrową... Poza tym mamy wyraźne fotografie naczelnego wodza Hamasu konferującego na stokach Cumbre Vieja ze znanymi irańskimi wulkanologami i studiującego z nimi teren. W maju ubiegłego roku Hamas porwał też w Londynie, przesłuchał, a potem zamordował najlepszego eksperta od katastrof geofizycznych na świecie.

–Trudno o bardziej konkretne poszlaki. – Bedford skinął głową.

Morgan wyciągnął na wierzch generalkę północnego Atlantyku i zaczął podsumowanie sytuacji.

–Zakładając, że do Montserratu strzelał z czterystu mil, o północy 29 września mógł być gdzieś tutaj... – zatoczył cyrklem wycinek okręgu ze środkiem na wyspie. – Wody na wschód od Antyli nie są patrolowane, więc mógł tam roz-

winąć większą prędkość, powiedzmy, dwanaście do piętnastu węzłów... czyli po dwudziestu czterech godzinach mógł być... tutaj... a jutro będzie tutaj. Kiedy przejdzie w zasięg naszej sieci SOSUS, będzie zmuszony płynąć bardzo wolno, nie więcej niż sześć węzłów... sto pięćdziesiąt mil na dobę... Nie dotrze w swój prawdopodobny rejon operacyjny wcześniej niż 9 października. Punktualnie, cholera...

–Pytanie tylko, czy w ogóle będzie się pchał tak daleko – wtrącił admirał Dickson. – Może się zatrzymać znacznie wcześniej i strzelać z daleka, nawet z tysiąca mil.

–Nie możemy mu na to pozwolić, Alan. Po prostu nie możemy.

–Nie wiem, jak mielibyśmy tego dokonać.

–To będzie trudne, ale nie jest niemożliwe. Pytanie numer jeden: jak jego rakiety są naprowadzane na cel?

–Ich komputery pokładowe korzystają z sygnałów GPS -odrzekł Dickson. – Programista wczytuje współrzędne celu, oficer uzbrojenia strzela i spokój. GPS zrobi resztę i doprowadzi raketę do celu jak po sznurku.

–Tak jest. Pytanie numer dwa: do kogo należy GPS?

–Zasadniczo do nas. System składa się z dwudziestu siedmiu satelitów okrążających Ziemię w dwanaście godzin. Zainstalowany został przez Pentagon i udostępniony nawigatorom... ba! Teraz nawet kierowcom całego świata. Podaje dokładną co do metrów pozycję każdemu, czy to wróg, czy przyjaciel.

–Właśnie. Pytanie numer trzy: jakim sposobem możemy więc nie dopuścić, by ten sukinsyn korzystał z naszego systemu nawigacyjnego w celu rozpieprzenia wyspy Palma?

–Hmm... Chyba tylko przez wyłączenie systemu, żeby nikt nie mógł z niego korzystać.

–Otóż to, Alan. I to by go właśnie zmusiło do zrobienia tego, czego bym sobie życzył: do podejścia pod brzeg. Kiedy bowiem wynurzy się na peryskopową i wysunie antenę GPS, na ekranie odbiornika zobaczy: „Przepraszamy, nieczynne” i nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko strzelać, opierając się na obserwacjach wizualnych. Nie da się zaś tego zrobić, nie podchodząc na co najmniej dwadzieścia pięć niil od

brzegów Palmy. I to jest nasza szansa, ponieważ będą tam na niego czekały nasze fregaty i śmigłowce. Przy odrobinie szczęścia mogą go wykryć już za pierwszym razem, kiedy wysunie peryskop, by się rozejrzeć w sytuacji. Nawet gdyby udało mu się wystrzelić rakiety, będziemy

mieli jakieś dwie, może trzy minuty na ich wykrycie i strącenie w locie, zanim dotrą do brzegu. A gdyby to się nie udało, będziemy musieli polegać na bateriach Patriot, które trzeba rozstawić wokół wulkanu.

–Trzeba bardzo odważnych ludzi, żeby obsługiwać wyrzutnie rakiet na kraterze, który lada moment może wybuchnąć – zauważył Paul Bedford.

–Mamy dużo odważnych ludzi, sir – odparł Morgan.

–Czy głowica nuklearna może eksplodować w powietrzu po trafieniu przez raketę Patriot?

–Najprawdopodobniej nie. Do detonacji ładunku jądrowego potrzeba specjalnej procedury absolutnie zgranej w czasie. Konwencjonalny materiał wybuchowy musi pchnąć na siebie z ogromną siłą dwa elementy z uranu z dokładnością do milisekund. Eksplozja stu kilogramów trotylu w głowicy patriota z zadaniem rozsadzenia korpusu nadlatującej rakiety nie spełnia tego warunku, ale za to wystarczy aż nadto, by strącić ją do morza.

–Jakie więc w sumie mamy szansę?

–Bardzo duże, jeśli tylko wyłączymy GPS.

–Do tego zmierzałem – rzekł prezydent. – Chyba nie możemy tego tak po prostu zrobić, nikomu nic nie mówiąc? Co z całą nawigacją? Jezu, przecież na całym świecie statki zaczną wpadać na mieliznę!

–Sir, jeżeli wyłączymy system GPS, jestem pewien, że po paru godzinach kilkanaście supertankowców wpadnie na plażę czy rafę, a reszta będzie się kręcić w kółko, zbita z tropu z powodu braku tej jednej z najstarszych ludzkich umiejętności, jaką jest nawigacja.

–Masz rację, Arnie – odezwał się admirał Dickson. – Większość cywilnych nawigatorów nie umiałaby znaleźć wyjścia z portu bez tego systemu, z którym wyrosli. Nasze satelity nawigacyjne, najpierw Transit, teraz GPS, działają od lat siedemdziesiątych i dzisiejszy przeciętny oficer wach-

towy na frachtowcu nie zna niczego innego*, a już nie wspomnę o tysiącach jachtsmenów, którzy żeglują gdzieś po oceanach, polegając wyłącznie na odbiornikach satelitarnych.

–Kto u nas obsługuje GPS? – spytał prezydent.

–Druga Eskadra 50. Skrzydła Operacji Kosmicznych w bazie Falcon w Kolorado – odpowiedział Morgan. – Zajmują się obsługą satelitów i naziemnego centrum obliczeniowego. System działa nieprzerwanie, podając co kilkanaście sekund bardzo dokładne dane o pozycji każdego satelity na orbicie, a odbiorniki nawigacyjne na podstawie różnic między parametrami sygnałów odbieranych z trzech lub więcej satelitów a ich wartościami nominalnymi obliczają pozycję statku, jachtu, samolotu, ciężarówki czy wędrującego po górach turysty, bo dostępne są już wersje, rzekłbym, kieszonkowe. Tworzy to globalną sieć współrzędnych, którą łatwo adaptować do różnych kartograficznych układów odniesienia, niezależną od pogody i warunków. A wszystko to stworzone i utrzymywane przez Amerykanów. To my umieściliśmy satelity na orbitach i dzięki nam to wszystko działa.

–I my możemy to wyłączyć.

–Możemy zrobić, co nam się żywnie podoba, sir – burknął Arnold. – Musimy tylko odpowiednio wcześniej zawiadomić o tym społeczność międzynarodową, bo inaczej konsekwencje byłyby horrendalne.

–Zastanawiam się, panowie, i nie potrafię znaleźć odpowiedzi, dlaczego, do cholery, w ogóle udostępniłszy ten system każdemu, kogo stać na kupno odbiornika – rzekł poirytowany Bedford. – Zwłaszcza że jest tak diabelnie precyzyjny.

* Tłumacz, na co dzień „cywilny nawigator”, kapitan sporego kontenerowca, choć spokojny, nie zdzierzył i musi wtrącić swoje trzy grosze. Bardzo wygodny i dobry, przyznaję, system GPS wszedł do powszechnego użytku dopiero z początkiem lat dziewięćdziesiątych, a do tej pory wszak jakoś udawało się nam trafiać z A do B. Międzynarodowe konwencje narzucają rygorystyczne standardy wyszkolenia nawigatorów i oficerowie pokładowi potrafią sobie radzić bez elektroniki. Czytelniku, śpij spokojnie, superzbiornikowce nie zaczną z byle powodu nagle wpadać na rafy. A w środowisku „cywilnych nawigatorów” to ci trafiający do nas z marwoju cieszą się raczej kiepską opinią...

–Gdyby to wojsko o tym decydowało, nigdy by do tego nie doszło – zapewnił Morgan. – Ale za Billa Clintona wiceprezydent Al Gore, dobroczyńca wszechświata, się uparł. Oczywiście byliśmy bliscy furii, ale szef Ala też nie miał wojskowych w wielkim poważaniu, no i teraz mamy skutki: banda zwariowanych muzułmanów może w nas strzelać precyzyjnie kierowanymi raketami, kiedy tylko zechce.

Nawet Bedford nie mógł powstrzymać się od śmiechu, słysząc ten klasyczny morganowski wywód, mimo pewnego poczucia lojalności wobec znanego kolegi z partii demokratycznej.

–Kiedy więc wyłączamy GPS, Arnie?

–Hmm... Jeżeli oni robią na razie po trzysta, może trzysta pięćdziesiąt mil na dobę i zamierzają natychmiast po przybyciu odpalić rakiety i dać dyla, to zaryzykowałbym twierdzenie, że w nocy z 7 na 8 października będą o jakieś dwieście mil od rejonu operacyjnego. Nad ranem zechcą pewnie sprawdzić pozycję, a potem zasuwać na miejsce. Myślę, że musimy wyłączyć system o północy w środę 7 października i nie włączać, zanim albo go znajdziemy i zatopimy, albo on wystrzelił rakiety.

–Czyli co najmniej czterdzieści osiem godzin świat będzie pozbawiony globalnego systemu nawigacyjnego?

–Tak jest. Ale przynajmniej nawigatorzy będą mieli osiem dni na nauczanie się posługiwania sekstantem, chronometrem, identyfikatorem gwiazd i tablicami astronawigacyjnymi. Dobrze im zrobi taki powrót do prawdziwego mary-narstwa.

–Nie mamy innego wyjścia?

–Ja w każdym razie go nie widzę, sir. Musimy to zrobić. Oślepić go i zmusić do podejścia do brzegu i na głębokość peryskopową.

–Po której stronie wyspy? – spytał prezydent, spoglądając na mapę archipelagu Kanaryjskiego.

–Och, zapewne po wschodniej. Alan, Frank, zgadzacie się ze mną?

–Nie ma co do tego zbyt wielkich wątpliwości – rzekł admirał Doran. – Przynajmniej ja bym tak zrobił. Po pierwsze dlatego, że nie uśmiechałoby mi się zostać przewróconym

przez tsunami, a to by mnie czekało, gdybym w czasie osunięcia się skały znajdował się na zachód od wyspy. Po drugie zaś dlatego, że mógłbym się schować tutaj... – Frank wskazał ołówkiem akwen między Palmą a sąsiednią Gomerą. – Głębokości sięgają tu trzystu metrów i

ma się za sobą ląd, a to zawsze przeszkadza sonarom. Wziąłbym to pod uwagę, chcąc się wymknąć wrogim okrętom podwodnym. Za wszelką cenę utrudniałbym życie tym, co chcą mnie wykryć. Płynąłbym wolno i głęboko, a potem poszedłbym tutaj, przez tę dwukilo-metrową głębię. Wziąłbym namiar peryskopowy na wyspę, powiedzmy, na jeden ze szczytów i wrócił na duże zanurzenie. Gdzieś tutaj, o dwadzieścia pięć mil od brzegu, sprawdziłbym pozycję jeszcze raz i odpalił szybko dwie rakiety, po czym schroniłbym się gdzieś, najpewniej za Gomerą albo nawet za Teneryfą, byle jak najdalej od wulkanu i tsunami.

–Jezu... Cieszę się, że jesteś po naszej stronie, Frank -jęknął Bedford.

–Jest tylko jeden problem, sir – powiedział Morgan. – Nasz plan ma pewną lukę.

–No to wyłóż, o co chodzi.

–Jest jeszcze jeden, mniejszy system nawigacji satelitarnej, nad którym nie mamy kontroli*. To europejski odpowiednik GPS, Galileo, który wciąż pozostaje w cieniu naszego, niemniej istnieje, działa i każdy może go użyć do celów naprowadzania. Spodziewam się, że nasz przeciwnik z Ha-masu o tym wie, a dobrze sobie zdaje sprawę, że chwycimy się wszelkich sposobów i sztuczek, żeby go załatwić. Podchodząc do Wysp Kanaryjskich, mogą się przełączyć na Galileo.

–Musimy zastosować wszelkie środki, żeby mu uniemożliwić korzystanie z satelitów – powiedział stanowczo prezydent.

–I dlatego właśnie powierzę teraz panu raczej nieprzyjemne zadanie, sir. Główny satelita Galileo nazywa się Helios

* W rzeczywistości Morgan musiałby się liczyć z trzecim satelitarnym systemem o zasadzie działania i dokładności zbliżonej do GPS, na który miałby jeszcze mniejszy wpływ: z rosyjskim GLONASS-em. Trudno zresztą przypuszczać, że rosyjskiej budowy okręt i rakiety miałyby polegać w tak istotnej dziedzinie jak nawigacja i naprowadzanie na infrastrukturze konkurencyjnego bądź co bądź mocarstwa.

i jest własnością Francji. Ktoś musi się z nimi dogadać, a wie pan, jacy oni będą skłonni do współpracy, kiedy dostaną telefon z Waszyngtonu z prośbą o wyłączenie ich systemu nawigacyjnego... Sacrebleu i tak dalej. Jakby tego było mało, jest jeszcze jeden drobny szczegół, który jednak w tej sytuacji może nabrać istotnego znaczenia. Kiedy sześć lat temu Europejczycy rozpoczęli prace nad Galileo, wciągnęli w ten interes Chińczyków. Kosztowało to Pekin głupie czterysta milionów dolarów, w zamian za co Europa zgodziła się nie tylko sprzedać im dziesięć procent udziałów, ale także na lokalizację ośrodka techniczno-szkoleniowego w Pekinie. Chiny wyrosły tym samym na naszego przyszłego rywala strategicznego.

–Zawsze te cholerne Chiny! – zirytował się Bedford. – Chcesz powiedzieć, że mam się z tym wszystkim uporać? Dobrze wiesz, że Paryż od razu powie, że muszą zapytać o zgodę ich wspólników w Pekinie.

–No cóż... zaczniemy od tego, że polecimy naszemu naziemnemu centrum kontrolnemu GPS wysłać bezpośrednią prośbę do ich odpowiednika we Francji – odrzekł Arnold. – Potem spróbujemy żabojadów śmiertelnie przestraszyć, zapowiadając, że tsunami zniszczy także ich bretońskie wybrzeże, bo tak właśnie będzie. Na koniec trzeba będzie rozmawiać na szczeblu prezydenckim. – Admirał zawiesił teatralnie głos, po czym rzekł dobitnie: – A jeśli żaden z tych sposobów nie przyniesie pożądanego rezultatu, panie prezydencie, to będziemy mieli moralny obowiązek, zgodny z prawem boskim i ludzkim, w imieniu naszego wielkiego narodu zestrzelić to cholerstwo ze stratosfery.

ROZDZIAŁ 10

Rozpoczęła się ewakuacja Wschodniego Wybrzeża. Federalna Agencja Kryzysowa (FEMA) podzieliła to gigantyczne przedsięwzięcie na pięć głównych kategorii: ludność, administracja federalna i stanowa, kultura i dziedzictwo narodowe, przemysł i handel oraz służby komunalne i awaryjne. Prezydent Bedford ogłosił stan alarmowy i upoważnił FEMA do nadzoru całości operacji. Agencja z kolei przekazała władzom stanowym pełnomocnictwo do mobilizacji miejscowych oddziałów Gwardii Narodowej we wszystkich zagrożonych rejonach. Naczelnym zadaniem gwardzistów było patrolowanie obszarów miejskich i utrzymywanie porządku publicznego.

Było oczywiste, że gdy tylko ludzie pojmą, jak poważne jest zagrożenie, trudno będzie uniknąć szerzenia się paniki, czego na pewno nie omieszkają wykorzystać przestępcy. Prezydent ostrzegł, że we wszelkich przypadkach grabieży mienia, zwłaszcza federalnego, Gwardia Narodowa ma rozkaz otwierać ogień do sprawców.

Od rana prowadzono strategiczną ocenę sytuacji i ogólnego zagrożenia, dopracowywano plany awaryjne. Bataliony wojska ciągnęły już autostradami do Waszyngtonu, Bostonu, Nowego Jorku i Filadelfii. Następne przemówienie prezydenta, nad którym gorączkowo pracował Henry Wolfson, miało uzmysłwić wszystkim, jakie skutki będzie miało wtargnięcie

kilkudziesięciometrowej ściany wody na przybrzeżne płycizny i dalej na ląd, na ulice miast. Henry napisał, że będzie to katastrofa podobna do wybuchu wulkanu Krakatau w 1883 roku: niepowstrzymana, niszczycielska siła, niosąca pewną śmierć każdemu, kto znajdzie się na jej drodze. Chaos zapanuje totalny; woda zmiecie prawie wszystko, co napotka, a po pierwszej fali będą nadchodzić następne, równie potężne i groźne. Pas lądu o szerokości do trzydziestu kilometrów od

brzegu znajdzie się pod wodą, a zalana słoną wodą infrastruktura, zwłaszcza elektrownie i stacje przesyłowe energii, system łączności telefonicznej i zaopatrzenia w wodę pitną zostanie zniszczona. Wolfsonowi udało się przerazić samego siebie.

Z tego pierwszego szkicu wyłaniało się naczelne przesłanie, że w obliczu tego ataku oceanu każdy obywatel ma do spełnienia obowiązek wobec swego kraju. Każda rodzina ma sobie poszukać własnego schronienia u krewnych lub przyjaciół zamieszkałych na wyższych partiach terenu, ale część ludzi powinna pozostać w miastach przez kilka dni i pomóc pracodawcom w pakowaniu i wywożeniu co cenniejszego mienia, zwłaszcza państwowego, ale i prywatnych firm. Do celu rejestracji czasu opuszczenia domów i wybranego miejsca pobytu wyjeżdżających rodzin utworzono specjalny wydział.

Jeszcze bardziej palącym problemem była ewakuacja biedniejszych dzielnic, zwłaszcza w przypadku osób pozostających pod nadzorem policyjnym lub sądowym. Wielu ludzi nie dysponowało tam własnymi środkami transportu albo nie miało się dokąd udać. Władze terenowe otrzymały instrukcje, aby w jakiś sposób zapewnić im jedno i drugie, wykorzystując publiczne autobusy, pociągi oraz budynki, które mogłyby pomieścić ewakuowanych, jak szkoły, ratusze czy świetlice. Prowadzono już odpowiednie rozmowy z radami miejskimi w miejscowościach leżących na stokach Gór Błękitnych w Wirginii i Marylandzie.

Wystąpienie prezydenta o dziewiętnastej miało dramatyczny efekt. Ludność Wschodniego Wybrzeża, już wcześniej oszołomiona wieścią o rezygnacji Charlesa McBride'a, musiała teraz przełknąć jeszcze gorszą nowinę: megatsunami może spaść na ich domy. Perspektywa była tak potworna, że ludzie zdawali się nie pojmować skali zagrożenia. Całe wybrzeże pod wodą? Wszystkie miasta zniszczone? Niewyobrażalne. Nie do przyjęcia. Całe rodziny siedziały jak skamieniałe przed telewizorami, kiedy prezydent Bedford przedstawiał wstępne kroki, jakie każdy musi poczynić, aby przeżyć i uratować to, co niezbędne.

Pierwsze oznaki paniki dały się zauważyć niemal od razu po zakończeniu przemówienia. Centrala telefoniczna Białego

Domu została zablokowana tysiącami połączeń. Redakcje telewizyjne zanotowały rekordową liczbę widzów dzwoniących po dodatkowe informacje. Pod stacjami benzynowymi zaczęły się tworzyć kolejki samochodów. Ludzie chcieli napełnić baki i ruszać w głąb lądu zaraz, natychmiast, nie czekając na 9 października.

Tuż po wystąpieniu prezydenta Departament Transportu obwieścił, że od rana 5 października wszystkie lotniska i porty morskie na Wschodnim Wybrzeżu zostaną zamknięte dla przybywających skądkolwiek statków i samolotów, z wyjątkiem tych, które mają być wykorzystane do celów ewakuacji.

Dla londyńskich bulwarówek, ukazujących się o pięć godzin przed waszyngtońskimi czy nowojorskimi, było to reporterskie eldorado. Redaktorzy bezlitośnie łączyli dwie największe „stories” z Ameryki. Tytuł na pierwszej stronie „Daily Mail” krzyczał wielkimi literami:

MAC PEKŁ POD GROŻBAMI

TERRORYSTÓW!

PREZYDENT McBRIDE RZUCIŁ PRACĘ,

TYRAN BIAŁEGO DOMU MORGAN

WEZWANY NA POMOC

Resztę powierzchni zajmowała wielka fotografia Paula Bedforda i Arnolda, podpisana: „Prezydent Bedford zaprzysiężony w obecności admirała Morgana”. Całość robiła piorunujące wrażenie i wszystkie amerykańskie kanały telewizyjne nadające całodobowo wiadomości pokazywały to już od trzeciej rano. „Daily Mail” poświęciła wydarzeniom w USA aż sześć stron; główny artykuł napisał jej polityczny gwiazdor, Tony Pina.

W słoneczne jesienne popołudnie w Białym Domu odbył się niesamowity polityczny spektakl: Charles McBride, czterdziesty czwarty prezydent USA, zrezygnował z urzędu i odleciał potajemnie śmigłowcem do Camp David. Kilka minut później wiceprezydent Paul Bedford został zaprzysiężony jako jego następcą w obecności wyborowej grupy dowódców wojskowych, wśród których znalazł się były doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Arnold Morgan, przewodniczący

Połączonego Komitetu Szefów Sztabów generał Tim Scannell oraz dowódcy marynarki wojennej i Korpusu Marines. Świadkiem ceremonii poprowadzonej przez wyznaczonego specjalnie przez Sąd Najwyższy sędziego Davida Moore'a był też senator Edward Kennedy...

Dalej następował dokładny opis wydarzeń prowadzących do ogłoszenia stanu wyjątkowego i rozpoczęcia ewakuacji całego Wschodniego Wybrzeża USA, poczynając od informacji o groźbach i żądaniach Hamasu, a kończąc na załamaniu psychicznym byłego prezydenta i determinacji nowego rządu w zamiarze wykrycia i zatopienia okrętu podwodnego, narzędzia w rękach Palestyńczyków, oraz zabezpieczenia ludności i mienia przed skutkami katastrofalnego megatsunami. Na sąsiedniej stronie pod tytułem „POWRÓT CZŁOWIEKA Z ŻELAZA” na londyńskich czytelników spoglądał spod marsa na czole Arnold Morgan w admiralskim mundurze. Towarzyszący fotografii artykuł zaczynał się od akapitu:

Admirał Arnold Morgan, były dowódca atomowego okrętu podwodnego, dzięki któremu przetrwała poprzednia, republikańska administracja, na wezwanie nowo zaprzysiężonego demokratycznego prezydenta zawiesił emeryturę i wrócił do Białego Domu, aby objąć funkcję głównodowodzącego operacji „Przyptyw”, jak nazwano szeroko zakrojone polowanie na terrorystyczny okręt podwodny, jakie obecnie prowadzi na Atlantyku US Navy...

Ponieważ generał Scannell nie chciał przyznać, że rezygnacja prezydenta McBride'a ma jakikolwiek związek z groźbami Hamasu, amerykańskie media nie próbowały łączyć tych dwóch spraw. Dopiero swobodne potraktowanie tematu przez londyńskie brukowce dodało im odwagi i w rezultacie w porze śniadania nikt z Amerykanów nie miał już wątpliwości, że McBride nie wytrzymał napięcia i z podkulonym ogonem uciekł z Gabinetu Ovalnego, bojąc się decyzji o wysłaniu floty w morze przeciwko nieuchwytnemu dotąd agresorowi, a jeszcze bardziej konieczności zarządzenia powszechnej ewakuacji ludności z zagrożonego przez żywioł regionu. Wiele stacji telewizyjnych i gazet poświęcało programy i artykuły Arnoldowi Morganowi, „człowiekowi, bez którego rząd

USA najwyraźniej nie może się obejść". Tytuły bywały różne, od „Lew z zachodniego skrzydła" poczynając, przez „Morgan – człowiek na ciężkie czasy", aż po śmielsze pytania w rodzaju „Morgan – patriota czy globalny gracz?"

Nikt jednak nigdzie nie napomknął, że prezydent Mc-Bride został siłą wyprowadzony przez marines z Gabinetu Owalnego na rozkaz i w obecności najwyższego dowództwa wojskowego. Był to prawdziwy przewrót militarny, jakie na ogół zdarzają się w niespokojnych republikach rozdartych przez kryzysy gospodarcze, skorumpowanych przez kartele narkotykowe i rodzących głodnych władzy dyktatorów. Tu jednak była Ameryka, Ziemia Wolności; przewrót trwał całe dziesięć minut, po których właściwy porządek natychmiast został przywrócony, a flaga ani na chwilę nie opuściła masztu.

Środowy poranek 30 września zastał Waszyngton już drastycznie odmieniony. Miasto było zdominowane przez wojsko, Gwardię Narodową i policję. Przerwano wszelką zbędną działalność komercyjną, w sądach zawieszono procesy karne i cywilne oraz zaczęto ewakuować urzędników wymiaru sprawiedliwości. W dwóch wypadkach konieczne było izolowanie ławników na najbliższe dziewięć dni, a być może dłużej. Szkoły i uczelnie szykowały się do zamknięcia; miał to być ostatni dzień nauki. Szpitale odwoływały zaplanowane operacje, zwalniały, ilu się dało pacjentów i przygotowywały naj-ciężej chorych do ewakuacji. Na korytarzach uwijali się już żołnierze, pomagając w wnoszeniu i ładowaniu kosztownego sprzętu medycznego. Pod niektórymi większymi klinikami stało nawet po kilkanaście wielkich, osiemnastokółowych ciężarówek, gotowych do wywiezienia ultranowoczesnych urządzeń diagnostycznych do baz wojskowych w głębi lądu. Hotele na całym wybrzeżu nie przyjmowały już rezerwacji, a obecnych gości proszono o jak najszybszy wyjazd. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Stanom Zjednoczonym nie grozi ugrupowanie ludzi świątłych i rozsądnych, ale zgraja gotowych na wszystko arabskich zbójów, którzy mogą ulec panice i wysadzić Cumbre Vieja choćby zaraz, skoro jest już oczywiste, że USA nie mogą albo nie chcą spełnić ich żądań. Ewakuacja wszystkich bez wyjątku obywateli była sprawą najpilniejszą.

FEMA przygotowywała już plany zarekwirowania pojazdów prywatnych firm transportowych nawet spoza zagrożonego regionu, podobnie jak taboru kolejowego.

Tymczasem admirał Morgan zastanawiał się nad delikatną kwestią skłonienia niechętnych do współpracy Francuzów, aby wyłączyli europejski system nawigacyjny. W Gabinetcie Ovalnym przez bite trzy godziny głowiono się, jak tego dokonać. Ostatecznie ustalono, że szefostwo głównej stacji GPS w Kolorado wystosuje oficjalną prośbę do rządu francuskiego o przerwanie pracy Galileo na dwie doby w celu przetestowania istotnych ulepszeń systemu GPS, które później zostaną, ma się rozumieć, udostępnione przez Amerykanów europejskim kolegom. Wszyscy trzej admirałowie zgodnie spodziewali się, że odpowiedzią na ten wniosek będzie krótkie i dźwięczne tton. Dopiero wtedy zamierzali wyjawic prawdziwy powód wyłączenia GPS.

Arnold Morgan dysponował już danymi naukowymi, ukazującymi model rozprzestrzeniania się tsunami od momentu osunięcia się milionów ton skały na Palmie do chwili dotarcia fali do wybrzeży USA. Cumbre Vieja był rzadkim przypadkiem geologicznej bomby zegarowej, zdolnej niszczyć lądy na kilku kontynentach. Według naukowców, już w trzy i pół godziny po wybuchu wulkanu fala znajdzie się u wejścia do kanału La Manche i przy ważnym francuskim porcie i bazie marynarki wojennej w Breście. Nie osiągnie tam takiej wysokości jak po stronie amerykańskiej, ale Francuzi muszą się liczyć z uderzeniem piętnastometrowej ściany wody na wybrzeża Zatoki Biskajskiej. Na zachodniej półkuli pierwsze poczują niszczycielską siłę tsunami Brazylia, Bermudy i Kanada, godzinę później fala zaleje Bahamy i Antyle. Po dalszych dwóch godzinach żywioł dosięgnie wybrzeży Stanów Zjednoczonych, poczynając od Bostonu, a potem kolejno coraz bardziej na południe, przez Nowy Jork, Filadelfię i Waszyngton, płaskie brzegi Karoliny, Georgii i Florydy aż po Miami i Key West. Po przeciwnej stronie Atlantyku ucierpią Sahara Zachodnia, Mauretania i Wyspy Zielonego Przylądka. Poważnie dotknięta będzie nawet południowa część Anglii choć nie wystawiona na bezpośrednie uderzenie. Wszyscy eksperci zgodnie twierdzili, że tsunami spowodowane przez

erupcję Cumbre Vieja będzie największą taką falą w zapisanej historii ludzkości. Wszystko do siebie pasowało: wysokie, strome brzegi, duża głębokość oceanu, aktywność wulkaniczna – do ostatniej większej erupcji doszło przed sześćdziesięciu laty – magma zalegająca stosunkowo płytko pod powierzchnią, podziemne jeziora i, oczywiście, niestabilność podłoża, na którym już zaobserwowano trzymetrowy uskoki tektoniczny wzdłuż grzbietu górskiego. Ostatnia taka erupcja wulkanu i wywołane przez nią tsunami o porównywalnej skali miała miejsce cztery tysiące lat temu na należącej dziś do Francji wyspie Reunion na Oceanie Indyjskim. W wypadku Palmy wulkany w południowej części wyspy wybuchały w miarę regularnie, mniej więcej co dwieście lat. Nie było zatem przesłanek, by twierdzić, że pojedyncza erupcja na pewno doprowadzi do osunięcia się skał na dno Atlantyku; być może potrzeba by do tego jednoczesnego wybuchu wszystkich wulkanów na wyspie. Nikt jednak nie wiedział, jaki naprawdę efekt przyniesie erupcja Cumbre Vieja skumulowana z eksplozjami paru dwustukilotonowych głowic jądrowych...

Admirał Morgan miał jeszcze jedną pomoc naukową do swej prezentacji: półmetrowej średnicy plastyczny, trójwymiarowy model wulkanicznego grzbietu na południowym krańcu Palmy. Został przysłany samolotem US Air Force z Uniwersytetu Kalifornijskiego i dostarczony do Białego Domu śmigłowcem z bazy Andrews. Model pokazywał ukształtowanie dna i podmorskiej góry, której wystający nad powierzchnię wierzchołek Hiszpanie nazwali Isla de la Palma. Zaznaczone były na nim strefy prawdopodobnego osuwiska; nie trzeba było wielkiej wyobraźni, żeby sobie uzmysłowić, jaki skutek będzie miała taka gigantyczna lawina opadająca w ocean tak stromo i z takiej wysokości. Zwieńczeniem modelu były kratery Caldera de Taburiente, Cumbre Nueva, San Antonio i złowrogi Cumbre Vieja, wznoszący się na sześćset metrów nad powierzchnię morza i na tysiąc osiemset metrów ponad jego dno.

–Jezu Nazareński... – mruknął admirał Doran. – To rzeczywiście rzuca jaskrawe światło na problem, co?

–Niedawno skończyłem czytać cholernie dobrą książkę

Simona Winchestera o Krakatau – rzekł Alan Dickson. – Dawno się do niej przymierzałem, a teraz ją po prostu pochłonałem. To dopiero była eksplozja! Góra rozleciała się zupełnie, w gruzy poszło trzysta miast i wsi, trzydzieści sześć tysięcy ludzi zginęło. I wiecie co? Prawie wszystkie zniszczenia i ofiary były spowodowane przez tsunami. A przecież w porównaniu z falą, która może powstać po erupcji na Wyspach Kanaryjskich, to była pestka.

–Panowie, ja wiem, że trzeba stawić czoło rzeczywistości, ale przestańmy się nawzajem straszyć, bo za parę dni wszyscy wylądujemy w Camp David pod opieką medyczną – powiedział Arnold Morgan. – Wracamy do spraw bieżących.

–Jasne. Prezydenta załatwiliśmy, Francuzów na razie też... Pora się zabrać za flotę – rzekł Dickson. – Może Frank zapozna nas z aktualną sytuacją?

–Pewnie. Ściągnę tu tylko Bedforda – zgodził się Morgan. – Lepiej niech będzie zorientowany. Naczelnym zwierzchnikiem sił zbrojnych jest raptem od czterech godzin.

Po pięciu minutach prezydent zjawiał się ponownie w Gabinetcie Ovalnym. Nigdy nie zapomniał lat służby jako porucznik na fregacie i nieraz wracał myślami do tamtych chwil. Trzej admirałowie nie zdziwili się, że rozmawiał z nimi teraz tak, jak żaden cywil by nie potrafił.

–Frank, powiedz mi coś bliższego o tych fregatach klasy Oliver Hazard Perry. Za moich czasów dopiero wchodziły do służby. Dobre są?

–Doskonale, sir. Trzy tysiące sześćset ton wyporności, dwie turbiny gazowe napędzające wspólny wał, łączna moc czterdzieści jeden tysięcy koni mechanicznych, zasięg cztery i pół tysiąca mil przy prędkości dwudziestu ośmiu węzłów. Będą musiały bunkrować po dojeździe w rejon operacyjny, ale to nie problem. Potrafią też nieźle przyłożyć... poddźwiękowe rakiety kierowane typu Harpoon o skutecznym zasięgu siedemdziesięciu mil, torpedy ZOP... Każda fregata ma na pokładzie po dwa śmigłowce Seahawk, też nieźle uzbrojone. Ich właśnie potrzeba tam najbardziej. Mają wyśmienite sonary zanurzone Hughes AQS-22 pracujące na niskiej częstotliwości, procesory akustyczne USY-2, radar APS-124 i dwadzieścia cztery aktywne boje sonarowe. Do tego trzy torpe-

dy Mk-50, raketę Hellfire i drugą Penguin Mk-2. Gdy tylko Barracuda pokaże się tam, gdzie powinna, dostaniemy

ją-

–Oby tylko Francuzi poszli nam na rękę – westchnął Paul Bedford.

–Och, to w końcu nie taki wielki problem – odrzekł admirał Morgan. – Jeśli oni nie wyłączą tego satelity, sami to za nich zrobimy. Nie żartowałem, mówiąc o tym pierwszy raz. Zestrzelimy go, bo innego wyjścia nie będzie.

–Czy to znaczy, Arnie, że całkowicie porzucisz wariant z intensywnym przeszukiwaniem oceanu na zachód od wysp?

–Tu też nie mamy wyboru. Nawet jeśli rzeczywiście posłalibyśmy tam setkę okrętów, on i tak mógłby się przemknąć przez tę sieć. Akwen jest po prostu za duży na skuteczne działanie, poprzestaniemy na tych dwunastu fregatach i zespole lotniskowca. Frank, bądź tak dobry i poinformuj prezydenta, jak w tej chwili wygląda rozlokowanie naszej floty.

–Dwa okręty właśnie wyruszyły z zatoki Maine na Kanary. – Admirał Doran zajrzał do notesu. – To Elrod i Taylor. Kauffman i Nicholas były już wcześniej na północnym Atlantyku i od trzech dni płyną na południe. Simpson był na patrolu na wysokości Karoliny Północnej i dwa dni temu posłaliśmy go na wschód. Dziś do północy siedem innych fregat wyjdzie w morze z Norfolku.

–A co ze śmigłowcami dla lotniskowca?

–Wysyłamy z Norfolku Harry'ego Trumana z pięćdziesięcioma maszynami. Zostaną przerzucone na Ronalda Reaga-na, a Truman zabierze jego samoloty.

–Czyli w sumie będziemy dysponowali w rejonie operacyjnym siedemdziesięcioma czterema seahawkami?

–Zgadza się, sir. Będziemy gęsto patrolować przybrzeżne wody między wyspami, począwszy od północy 7 października. Wystarczy, że wysunie peryskop czy maszt radiowy na dłużej niż kilka sekund, a mamy go. Przy braku GPS on potrzebuje trochę czasu na wyznaczenie pozycji i dokładne określenie odległości.

–A jakiej dokładności potrzebuje dla tych cholernych rakiet?

–Jeżeli użyje jądrowych, a jestem pewien, że tak, to wy-

starczy, że trafi kilometr od Cumbre Vieja. Myślę jednak, że postara się posłać te ptaszki w sam krater. Pamiętajmy, że zależy mu na wywołaniu erupcji. Nie będzie się starał strącić bezpośrednio tej skały do oceanu, bo na to parę rakiet, nawet z taktycznymi głowicami nuklearnymi, po prostu nie wystarczy. Do tego zaś niezbędne jest wykonanie dokładnych namiarów i w tym tkwi nasza szansa. Pokryjemy całą okolicę radarami i gdy on będzie się rozglądał, wykryjemy go.

–Frank, od tego cholernie dużo zależy – przypomniał Paul Bedford. – Twój ludzie muszą być maksymalnie skoncentrowani.

–Wiem o tym, sir. Jeśli to tylko jest możliwe, oni to zrobią. Nie mam najmniejszych wątpliwości.

W Białym Domu trwała wytężona praca, nie inaczej też było w Fort Meade. Komandor porucznik Ramshawe niemal nieustannie przeczesywał niezliczone sygnały przechwycone przez amerykański nasłuch w poszukiwaniu choćby najdrobniejszej podpowiedzi co do aktualnej pozycji Barracudy. O jedenastej rano trafił na jeden mglisty tekst, zakodowany i na pierwszy rzut oka nikomu do niczego nieprzydatny. Stacja nasłuchowa na Azorach przechwyciła go z satelity komunikacyjnego chińskiej Floty Południowej o piątej rano: OKRUTNE MORZE DLA SKRZYDLATYCH ŚPIEWAKÓW. Coś w nim zwróciło uwagę Jimmy'ego. Patrzył na te pięć słów, próbując przypisać im jakieś znaczenie. „Okrutne morze... Okrutne morze? Była taka powieść... druga wojna światowa, konwoje... autor Nicholas Monsarrat... Monsarrat! Cholera! I nadali to w tym samym dniu, kiedy wybuchł tam wulkan!" Ramshawe'owi nawet przez myśl nie przeszło, że nazwę karaibskiej wyspy od nazwiska pisarza różni drobny szczegół pisowni. Oczywiście taki sygnał mógł napisać ktokolwiek do kogokolwiek, ale ten był nadany w języku angielskim na chińskim kanale łączności marynarki wojennej. Musiał mieć jakieś znaczenie. „Tylko co z tymi skrzydlatymi śpiewakami?" Asystent dyrektora NSA nie marnował czasu na zastanawianie się, tylko zadzwonił do swego szefa i zacytował mu przechwyconą depezę. George Morris myślał długo, aż w końcu powiedział:

–Bardzo interesujące, Jimmy. Zwłaszcza gdy się okaże, że nadawca miał na myśli kanarki...

–No jasne! Szefie, ma pan łeb! Nie wiem, co to dokładnie znaczy, ale stawiam na to, że Barracuda jest w drodze na Kanary.

Żaden z nich nie wiedział, że ku chińskiemu satelicie właśnie pomknął kolejny zaszyfrowany sygnał, też bardzo lakoniczny: BRZYTWOGEĘBNIY 7130N/09600E. Generał Ra-szud nie przypuszczał, że ten wymyślony przez admirała Badra kryptonim dla Barracudy I Amerykanie rozpracowali jeszcze za czasów pierwszej operacji Hamasu przeciwko Stanom Zjednoczonym. Zresztą i tak nie mieli klucza do odczytania prawdziwych współrzędnych geograficznych; z tego sygnału mogliby jedynie zrozumieć, że poszukiwany przez nich okręt podwodny tkwi gdzieś na wiecznej zmarzlinie syberyjskiego półwyspu Tajmyr. Tylko Ben Badr i Rawi Raszud wiedzieli, że od szerokości geograficznej należy odjąć pięćdziesiąt stopni, a długość podzielić na dwa i zamienić znak, żeby otrzymać aktualną pozycję Barracudy II: 21°30'N, 048°00'W. Płynęła z prędkością piętnastu węzłów nad zachodnim stokiem Grzbietu Śródatlantyckiego, nad Uskokiem Kane'a, oddalona już o osiemset sześćdziesiąt mil od Mont-serratu, kierując się prosto ku Wyspom Kanaryjskim. Po nadaniu meldunku Ben Badr natychmiast zszedł z powrotem na dużą głębokość i zmniejszył prędkość do dziewięciu węzłów. Po przejściu na drugą stronę Grzbietu chciał jeszcze bardziej zwolnić, spodziewając się znaleźć już na wodach monitorowanych przez SOSUS.

–No to przynajmniej mamy coś w rodzaju potwierdzenia, że sukinsyn płynie na Kanary, szefie. Chce pan zadzwonić do Wielkiego Człowieka, czy ja mam to zrobić?

–Dzwoń, Jimmy. Ja siedzę nad planem łączności dla okrętu dowodzenia. Wykorzystujemy do tego celu starego Coronado.

Admirał Morris mówił o dawnym lotniskowcu klasy Aus-tin o wyporności siedemnastu tysięcy ton, zbudowanym w 1970 roku i od tamtej pory trzykrotnie przebudowywanym. Ostatnia taka operacja pod koniec lat dziewięćdziesiątych zamie-

niła go w zupełnie nowy typ okrętu – pływający sztab floty. Hangar pod pokładem startowym podzielono na liczne pomieszczenia o różnym charakterze, od przestronnej, trypoziomowej centrali operacyjnej po biura kwatermistrzów i wygodne kabiny dla czterech oficerów rangi admirałkiej. Coronado w pierwszym wcieleniu od 1980 roku pełnił funkcję okrętu flagowego floty bliskowschodniej, brał udział w pierwszej wojnie na Zatoce Perskiej, a potem został przeniesiony do III Floty na Hawaje. Ma dwie śruby napędzane przez osobne turbiny o łącznej mocy dwudziestu czterech tysięcy koni mechanicznych. Zastosowany na nim po przebudowie system kierowania walką był ostatnim krzykiem techniki. W jego skład wchodził między innymi zautomatyzowany układ kontroli ruchu powietrznego z możliwością wykorzystania

szerokowstęgowych pasm komercyjnych. Do obserwacji powierzchniowej służył doskonały radar Raytheon SPS-IOP pracujący w paśmie G. Na okręcie na stałe bazowały dwa śmigłowce. U progu nowego tysiąclecia Coronado stał się pływającym laboratorium US Navy, w którym testowano najnowsze rozwiązania informatyczne.

O dziewiątej rano tego dnia szef operacji morskich powiadomił zainteresowanych, że na komodora Zespołu Poszukiwawczego 201.1, bo taki kryptonim nadano flotylli polującej na Barracudę, wyznaczył kontradmirała George'a Gillmore'a, byłego dowódcę SSN, myśliwskiego okrętu podwodnego

0 napędzie atomowym. Miał on podlegać bezpośrednio CIN-CLANT-owi, a przez niego admirałowi Morganowi w Białym Domu. Gillmore był w swoim czasie wybitnym podwodniakiem, dorównującym słynnemu Cale'owi „Boomerowi” Dunningowi. Kiedy po raz pierwszy objął dowództwo okrętu nawodnego, fregaty Rodney M. Davis, szybko dał się poznać jako jeden z najlepszych specjalistów ZOP w całej flocie, zwyciężający niemal w każdym manewrach. Miał wszystkie odpowiednie cechy, jak zdolność do pełnej koncentracji przez kilka godzin, instynktowność reakcji na każdy cień podwodnego kontaktu i zdecydowanie w działaniu, kiedy już wykrył cel. Długie lata spędzone na podwodniakach wiele mu dały; jako ścigający zawsze potrafił się postawić w roli ściganego

1 przewidzieć jego postępowanie – zazwyczaj trafnie. Teraz

ten wysoki, brodaty wyznawca ścisłej dyscypliny był na pokładzie zmierzającego ku Wyspom Kanaryjskim Coronada, wyszedłszy w morze przed świtem we wtorek, kiedy Charlesowi McBride'owi jeżeli się coś akurat śniło, to na pewno nie to, że za dziesięć godzin przestanie być głównym lokatorem Białego Domu. To właśnie konieczność podejmowania tak istotnych decyzji militarnych nie tylko bez wiedzy, ale wbrew woli urzędującego prezydenta Stanów Zjednoczonych przekonała Arnolda Morgana i Tima Scannella, że McBride musi odejść.

Zadaniem George'a Gillmore'a będzie koordynacja intensywnej i skomplikowanej operacji poszukiwania nieprzyjacielskiego okrętu przez fregaty, śmigłowce i jednostki eskorty lotniskowca. Do pomocy będzie miał w tym obsadę centrali operacyjnej, łącznościowców, radarzystów, kontrolerów ruchu powietrznego i wielu innych specjalistów, w sumie ponad stu marynarzy i podoficerów oraz osiemnastu oficerów. W chwili, kiedy admirał Dickson ogłaszał jego nominację, Gillmore zapoznawał się z nowymi systemami Coronada. W towarzystwie dwóch komandorów i trzech poruczników obchodził pomieszczenia sonarów, radarów, łączności, operacyjne, rozmawiał z nawigatorami, informatykami, elektronikami- Z całej załogi tylko on jeden wiedział, że o północy 7 października sygnały satelitów GPS zamilkną.

Kiedy biuro rzecznika prasowego US Navy wydawało komunikat o nominacji kontradmirała Gillmore'a, kilka pomieszczeń dalej, w gabinecie szefa operacji morskich panowało spore zamieszanie. Właśnie nadeszła wiadomość od Francuzów. Pod żadnym pozorem nie zgodzą się na zamknięcie europejskiego systemu nawigacyjnego. Powoływali się na konsekwencje dla światowego transportu morskiego, zagrożenie dla żeglarzy sportowych, straszili widmem wpadających na mielizny zbiornikowców. Tłumaczyli, że sumienie nie pozwala im na takie działanie.

Admirał Dickson od razu przeszedł do „Planu B”, według którego Arnold Morgan miał osobiście porozmawiać z francuskim ministrem spraw zagranicznych – lub raczej nan nawrzeszczyć. Był pewien, że Wielki Człowiek potrafi nastraszyć żabojadów i zmusić ich do współpracy, co zresztą tylko

wyszłoby im na dobre. Szef operacji morskich nie miał żadnych wątpliwości, że w razie odmowy Morgan poleci zestrzelić ich cennego satelitę.

W miarę jak realizowano kolejne etapy programu ewakuacji, szybko się okazało, że największych problemów będą przysparzać bogate skarby kultury, jakie znajdują się w Waszyngtonie. Z siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców stolicy prawie siedemdziesiąt procent jest zatrudnionych przez rząd federalny, z natury rzeczy więc istnieje tam rozległa struktura ułatwiająca obieg informacji i wykonywanie zadań ewakuacyjnych. O ile z ludźmi, a nawet ze sprzętem medycznym, informatycznym i temu podobnymi mogło iść stosunkowo łatwo, ze zbiorami muzealnymi, dziełami sztuki, dziesiątkami tysięcy woluminów z bibliotek, dokumentami historycznymi wymagającymi szczególnej ostrożności i specjalnych warunków przechowywania sprawa przedstawiała się znacznie gorzej.

W Pentagonie, a ściślej mówiąc w departamencie marynarki wojennej urządzono specjalny pokój operacyjny, w którym zespół oficerów zajmował się przewidywaniem przebiegu uderzenia tsunami w rejonie Waszyngtonu. Z początku jedyną pewną rzeczą było to, że jako pierwszy dozna siły żywiołu długi półwysep Delaware, podzielony między trzy stany - Pensylwanię, Maryland i Wirginię - który oddziela od Atlantyku zatokę wraz z uchodzącą do niej stołeczną rzeką Poto-mac. Ucierpiałaby zwłaszcza jego wąska południowa część poniżej miasta Salisbury. Tsunami przewaliłoby się przez leżące u brzegów Delaware wyspy i wpadło na płaski ląd, druzgocąc Salisbury i kilkanaście mniejszych osiedli, po czym z prędkością kilkuset kilometrów na godzinę wpadłoby na lejkowatą Chesapeake Bay, powodując gwałtowne podniesienie poziomu wody u ujścia Potomacu co najmniej do czterdziestu metrów. Do tego momentu prawdopodobnie nie mniej niż pięćdziesiąt rozsianych w okolicy Waszyngtonu miasteczek i wsi będzie już zrównanych z ziemią. Parę minut później pod wodą znajdzie się sama stolica. Połączeni gorącą linią z Pentagonem specjaliści z Uniwersytetu Kalifornijskiego twierdzili, że fala będzie miała piętnaście metrów jeszcze na

wysokości Bethesdy i dopiero tam zacznie stopniowo maleć, ale aż w New Brunswick, leżącym o sto kilometrów w górę rzeki od centrum Waszyngtonu, przybór może jeszcze sięgać sześciu metrów. Po kilku dniach wody oczywiście opadną, ale zniszczenia będą nie do oszacowania. Waszyngton jest położony na bardzo niskim terenie. Pomniki Lincolna i Jeffersona stoją na dawnych bagnach. Niektóre z najwyższych budynków miasta mogą przetrwać, ale tylko nieliczne. Nikt, kto by pozostał na miejscu, nie przeżyłby tsunami.

Skarb Państwa, Sąd Najwyższy, Departament Obrony i FBI praktycznie zaprzestały działalności, skupiając się na ewakuacji. W siedzibie CIA, usytuowanej na zachodnim brzegu Potomacu, rozpoczynano wielką operację ratowania najbardziej poufnych dokumentów w kraju, nie wspominając

o dużej wartości wyposażeniu i teczkach, których zawartość mogłaby się przyczynić do wybuchu wojny światowej, gdyby trafiła w nieodpowiednie ręce. Pracownicy agencji jak w każdej rządowej instytucji zajęci byli pakowaniem i ekspediowaniem w bezpieczne miejsce komputerów, dysków z danymi

1 archiwów. Wszystko ładowano do solidnych wojskowych pojemników, oznaczonych numerami i zarejestrowanych, i wywożono do Andrews, skąd wielkimi transportowymi C-17 miały odlecieć do baz wojskowych w głębi kraju, poza zasięg wody, gdzie będą strzeżone przez uzbrojone formacje mające rozkaz strzelać do intruzów bez uprzedzenia.

Przy Independence Avenue podobna operacja trwała w Bibliotece Kongresu. Od 1897 roku, kiedy przeniesiono ją do obecnie zajmowanego budynku, nie działo się tam nic groźnego, choć bibliotece nieobce są katastrofy. W pierwszej połowie XIX wieku, kiedy mieściła się w Kapitolu, spłonęła aż dwukrotnie. Dziś jednak była sceną gorączkowego działania; pracownikom, starającym się jak najszybciej spakować ponad osiemdziesiąt cztery miliony opracowań na najróżniejsze tematy w czterystu siedemdziesięciu językach, musieli pomagać żołnierze z bazy lotniczej. Biblioteka amerykańskiego Kongresu należy do największych w świecie. Książki, broszury, mikrofilmy, partytury muzyczne, mapy są przechowywane w trzech budynkach nazwanych imionami trzech prezydentów, Ojców Założycieli: Thomasa Jeffersona, Jamesa Madisona

i Johna Adamsa. Operację dodatkowo komplikował fakt, że na terenie biblioteki mieści się również amerykańskie biuro praw autorskich z wyjątkową bazą danych. Zabezpieczenie choćby połowy tego wszystkiego wymagało nieprzerwanej, całodobowej pracy do samego momentu katastrofy.

W Archiwum Narodowym przy Pennsylvania Avenue, miejscu „ostatniego spoczynku” wszystkich dokumentów rządowych, trwała nieco delikatniejsza operacja. Kustosze wspomagani przez żołnierzy szykowali do wywozu bezcenne pamiątki z historii USA, wśród nich oryginał Deklaracji Niepodległości, konstytucji i Karty Praw. Podobnie wyglądała sytuacja w państwowej drukarni papierów wartościowych, Bureau of Engraving and Printing na rogu ulic Czternastej i C, gdzie dziennie drukuje się banknoty o wartości trzydziestu pięciu milionów dolarów tylko w celu zastąpienia w obiegu zużytych. Oprócz tego powstają tam znaczki pocztowe i skarbowe, obligacje rządowe oraz druki koncesji i licencji. Podczas rozmontowywania pras drukarskich i wynoszenia matryc budynek otaczał kordon kompanii piechoty morskiej.

Takie same lub podobne sceny działy się we wszystkich agencjach federalnych, w Kapitolu i w samym Białym Domu. Zewsząd wynoszono dzieła sztuki, dokumenty, cenniejsze meble i wyposażenie, ładowano na wojskowe i cywilne ciężarówki i wywożono jak najdalej od oceanu. Najważniejsze organa rządu działały tymczasem bez przerwy. W Gabinetach Ovalnym admirałowie Morgan i Doran pracowali nad problemem ewakuacji Floty Atlantyckiej. Należało szybko wyprawić w morze wszystkie sprawne okręty z baz Wschodniego Wybrzeża i skierować je na akwen osłonięty przed niszczycielskim żywiołem. Normalne tsunami na pełnym oceanie jest prawie niezauważalne, przy przeciętnej wysokości jednego do dwóch metrów i wielusetmetrowej długości. Nikt jednak nie wiedział, jaką postać może przyjąć ta wyjątkowa megafala i Arnold Morgan nie zamierzał ryzykować wysyłania floty na jej drogę. Nawet atomowe okręty podwodne w dużym zanurzeniu nie były zupełnie bezpieczne, nie było bowiem wiadomo, jak głęboko sięga turbulencja towarzysząca przejściu tsunami. Frank Doran rzucił pomysł schronienia okrętów na północy, w szerokiej na trzydzieści mil morskich zatoce Fun-

dy, osłoniętej od Atlantyku przez trzystukilometrowy półwysep Nowa Szkocja.

–O tej porze roku nie ma tam problemu z zalodzeniem – powiedział. – Moglibyśmy schować okręty aż w zatoce Chig-necto. Byłyby bezpieczne za pasem stu kilometrów wysokiego lądu.

Arnold wyraził jednak obawę, że tsunami może ulec ugięciu wokół przylądka Sable i wpaść na zatokę, a wówczas stłoczone w zamkniętym zaułku jednostki skazane byłyby na zagładę. Wolał wysłać je wszystkie daleko na południe.

–Ale region karaibski może być znacznie bardziej narażony! – zaprotestował CINCLANT. – Naukowcy z Kalifornii przewidują, że tsunami uderzy nawet w Meksyk, a cóż mówić

0 Florydzie.

–Wiem o tym, Frank. Ale Floryda to jednak spory kawał ziemi, w największym miejscu ma ponad sto sześćdziesiąt kilometrów, a ci sami naukowcy są zdania, że fala wedrze się najwyżej na trzydzieści kilometrów w głąb lądu. Ja jestem za skierowaniem floty na Zatokę Meksykańską, za Florydę i aż gdzieś pod Pensacole, gdzie tylko znajdzie się dość głębokie wody. Zgadzasz się ze mną?

–Zgadzam się. Każdy żeglarz woli południe od północy,

1 ja też.

–Tylko że ty pozeglujesz najdalej do Norfolku i stamtąd będziesz kierował operacją, dopóki te rakiety nie wyfruną spod powierzchni oceanu. Oczywiście o ile nasi chłopcy wcześniej tego sukinsyna nie załatwią. Cholera, co ja bym dał za to, żeby ci turbaniarze atakowali nas skądkolwiek, nawet z kosmosu, zamiast z atomowego okrętu podwodnego.

–Ja też bym wiele dołożył od siebie, Arnio. Na razie jednak rzeczywiście pora mi wracać do Norfolku. Szlag mnie trafia, kiedy sobie przypomnę, jak to wszystko wygląda i co tam może narobić taka fala. Ląd jest tam taki płaski i wszędzie rozciąga się labirynt kanałów, basenów i doków, rzeczek i jezior. Połowa naszej infrastruktury, do tego stocznie w Newport News i Norship.

–Nie przypominaj mi o tym, Frank. Przecież stoją tam dwa lotniskowce w budowie. Nawet gdyby dało się je odholować w bezpieczne miejsce, nie będzie na to czasu.

–A baza w Kings Bay? – Doran pokiwał głową. – Mamy tam cztery boomery klasy Ohio i Bóg wie ile rakiet Tri-dent. Pewnie dosyć, by wysadzić w powietrze pół pieprzonego wszechświata, a my tu gonimy w piętę, usiłując znaleźć pod wodą bandę ubranych w prześcieradła facetów...

Admirał Morgan się roześmiał. Zawsze lubił Franka Do-rana i jego nieoczekiwane przebłycki humoru w najdramatyczniejszych sytuacjach. Zadanie, jakie los przed nimi postawił, było przytłaczające i obaj musieli walczyć, by nie dać mu się pokonać. Wiedzieli, że jest szansa przygwoździć Barra-cudę, jeśli podejdzie blisko pod powierzchnię i choćby wysunie peryskop; jeśli zaś nie uda się jej znaleźć, zanim wystrzeli niosące kataklizm cruise'y, to jeszcze można próbować je unieszkodliwić raketami woda-powietrze z fregat albo z baterii Patriot rozstawionych wokół kanaryjskiego wulkanu. Gdyby zawiodły obie opcje, życie na Wschodnim Wybrzeżu USA przez długie, długie lata nie wróci do normy.

–Odmeldowuję się, sir. Od razu po powrocie do Norfolku wcielam w życie nasz plan ewakuacji floty na południe. – Admirał Doran wstał z krzesła. – Wszystko, co zdolne płynąć o własnych siłach, wyjdzie w morze. Przede wszystkim położę nacisk na wywiezienie zmagazynowanych w bazie podwodniaków ICBM-ów i innego materiału. Przyjdzie nam chyba zarekwirować kilka cywilnych frachtowców do tego celu, tyle tam tego mamy.

–Sam tam kiedyś pracowałem – mruknął Morgan. – Wracasz tu jutro, Frank?

–Aha. Postaram się być tu jak najwcześniej rano. Może do tego czasu dojdą jakieś lepsze wieści.

Piątek, 2 października 2009 r., godzina 19.30. Damaszek

Rawi i Szakira byli już w swoim domu przy Szaria Bab Touma. Admirał Mohammed Badr uznał, że wymiana sygnałów między Bandar Abbas i Barracudą jest zbyt podatna na przechwycenie przez Amerykanów, a ich wiedza i rady nie są w tej chwili potrzebne. Mogli więc już tylko czekać. Irań-

ski dowódca zdawał sobie sprawę, że NSA potrafi podsłuchać wszystko i wszędzie, a już na pewno nie uchodzi jej uwagi żaden sygnał nadawany z baz morskich krajów uznawanych za potencjalnie wrogie. Państwo Raszudowie opuścili więc komfortowy apartament gościnny w sztabie admirała i odlecieli do Damaszku. Rawi miał co prawda na poddaszu ich przestronnej willi supernowoczesną radiostację do łączności satelitarnej i co jakiś czas mógł odbierać meldunki o pozycji okrętu, choć droga sygnałów była wielce skomplikowana: Atlantyk-satelita-Zhanjiang-satelita-Teheran-satelita-Dama-szek.

Właśnie schodził na dół, trzymając w ręku ostatnią wiadomość od Bena Badra, która brzmiała krótko: „7230N/07600E”. Generał szybko przeliczył to na rzeczywiste współrzędne i naniósł na mapę. Od wtorku rano Barracuda pokonała siedemset mil. Znajdowała się teraz prawie na zwrotniku Raka i pełzła z prędkością pięciu węzłów nad siecią hydrofonów SOSUS. Do rejonu operacyjnego pozostało jej jeszcze około siedmiuset siedemdziesięciu mil, co przy aktualnym dziennym przebiegu stu dwudziestu mil zajmie sześć i pół doby. Na obecnej pozycji okrętu była teraz dwunasta w południe, zatem do wybranego miejsca oddania ostatecznej salwy Ben Badr i jego załoga dotrą około północy w czwartek 8 października.

–Akurat na czas – powiedział Rawi do siebie. – Trzeba tylko prosić Allaha, żeby scimitary znów spełniły swoje zadanie.

–Słyszę tu jakieś podejrzanе mamrotanie. – Szakira akurat stanęła w drzwiach kuchni. – Masz ochotę na herbatę? Dobrze robi na skołatanе nerwy.

–Dzięki, przyda się. Właśnie dostałem dobre wieści z Bar-racudy II. Wszystko w porządku, wszyscy zdrowi, płyną planowo i zostało im akurat tyle drogi, że zdążą na czas.

–Oglądałam przed chwilą CNN. Amerykanie są bardzo niespokojni, prezydent już dwa razy przemawiał w telewizji, a ewakuacja wybrzeża jest w pełnym toku. Zdaje się, że zrozumieli realność naszej groźby.

–Mówią coś konkretnego o swoich krokach obronnych? To znaczy o wysłaniu okrętów w rejon wysp?

–Nic. Powiedzieli tylko, że wkrótce rozpoczną intensywne poszukiwania Barracudy.

–Hmm... Na pewno będą tam mieli poważne siły, ale nie sądzę, żeby udało im się Bena przyłapać. – Rawi zmarszczył brwi. – Będzie strzelał z trzystu mil, daleko na południowy wschód od celu... Według mnie nie ma sposobu, żeby go wykryć na tym głębokim akwenie, jeśli będzie się trzymał w dużym zanurzeniu i nie przekraczał pięciu, sześciu węzłów.

–Chyba niczego nie pominęliśmy – zastanowiła się Sza-kira. – Myślisz, że szczęście nadal będzie mu dopisywać?

–To nie jest kwestia szczęścia, tylko dobrego, długiego i drobiazgowego planowania.

–Czy oni na pewno wiedzą, że atakujemy wulkany z okrętu podwodnego?

–Wiedzą, wiedzą. To musi być dla nich oczywiste.

–To co byś zrobił na ich miejscu?

–Uciekałbym, gdzie pieprz rośnie. Totalna ewakuacja.

–I nie próbowałbyś się bronić? Żadnych kroków militarnych?

–No, na pewno wysłałbym w rejon Kanarów okręty, żeby próbowały szczęścia. Atlantyk to jednak sporo wody do przeszukania, więc nie robiłbym sobie specjalnych nadziei.

Szakira nie mogła przestać myśleć o możliwych komplikacjach.

–Wiesz co, kochanie? – odezwała się po chwili. – Spędziłam wiele czasu na opracowywaniu tras rakiet i programowaniu ich układów naprowadzania. Tak sobie myślę... One działają na podstawie systemu nawigacji satelitarnej, prawda?

–Tak jest. Wykorzystują GPS.

–A gdyby Amerykanie w jakiś sposób go zakłócili? Albo całkiem wyłączyli?

–To chyba nie jest takie proste, nawet dla nich. Tam jest około trzydziestu satelitów i z tego, co wiem, są niezbędne nie tylko dla nawigacji, ale i łączności, telewizji, i wielu innych rzeczy.

Rawi Raszud wykazywał się czasami zadziwiającą ignorancją, jak na jednego z najlepszych oficerów elitarniej brytyjskiej formacji i wyznawcę zasady drobiazgowego przygotowywania się do każdej operacji.

–Nie sądzę, żeby Pentagon mógł jakimś sposobem wyłączyć globalny system łączności i nawigacji. Obawialiby się, że pół świata wytoczy im procesy o odszkodowania idące w miliardy dolarów.

–Mam nadzieję, że się nie mylisz – rzekła Szakira, nalewając herbatę arabskim zwyczajem do dwóch szklanek w srebrnych uchwytach.

Piątek, 2 października 2009 r., godzina 12.00. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade

Deszyfranci z NSA prawie skończyli zadanie łamania kodu pierwszego sygnału przechwyconego z chińskiego satelity. Admirał Morris chciał, żeby wydedukowali na podstawie dostępnych informacji, jaka naprawdę pozycja może się kryć w tym syberyjskim przebraniu. Narysował na mapie duże kółko, mówiąc:

–Uważamy, że Barracuda powinna się znajdować gdzieś w tym rejonie. Liczby 7130N i 09600W na pewno są zakodowanymi współrzędnymi jej pozycji. Postarajcie się coś wymyślić, dobra?

Krótko przed południem następnego dnia doszli do przybliżonego rozwiązania.

–Od pierwszej liczby trzeba według nas odjąć 50, może 48 lub 49, ale nie więcej. Oczywiście jest, że w długości geograficznej należy zamienić E na W, jesteśmy też prawie pewni, że jej wartość oni dzielą przez dwa. W ten sposób otrzymamy odpowiednio 21c30'N i 48°00'W, czyli pozycję prawie w samym środku pańskiego kółka, szefie.

George Morris i jego asystent nie kryli zadowolenia. Teraz niecierpliwie wyglądali pojawienia się następnego sygnału. I długo nie musieli czekać. O dwunastej trzydzieści Jimmy znalazł znajome słowo w chińskiej transmisji: „Brzytwogębny 7230N/07600E”. Po zastosowaniu metody dekodowania otrzymał pozycję Barracudy na 22°30'N, 038WW. Naniósł te współrzędne na swoją komputerową mapę i porównał z poprzednią. Odległość między nimi wynosiła równe siedem set mil morskich. Wyliczył z tego, że okręt musi płynąć z pręd-

kością bliską dziesięciu węzłów. Utrzyma ją jeszcze przez kilka godzin, a potknie się o nasz SOSUS, pomyślał. Jimmy patrzył na to z coraz większym optymizmem. Barracuda była trochę dalej na północ, niż się spodziewał, o jakieś sześćdziesiąt mil, ale ważne było, że wyraźnie zmierza w stronę Wysp Kanaryjskich. Ucieszony tym potwierdzeniem zadzwonił do admirała Morrisa, który w pierwszej chwili pomyślał o wysłaniu tam samolotu ZOP z lotniskowca, ale szybko odrzucił ten pomysł. Samolot mógłby dotrzeć we wskazany w depeszy rejon najwcześniej za cztery godziny, czyli w sumie od czasu nadania sygnału Barracuda przesunęłaby się o około siedemdziesiąt mil; nie było jednak gwarancji, że utrzyma dotychczasowy kurs. Obszar poszukiwania zwiększał się więc o grube tysiące mil kwadratowych. Dyrektor NSA zatelefonował do Arnolda Morgana, donosząc o uzyskanych danych. Admirał porównywał informacje Morrisa z zainstalowaną w Gabinetcie Ovalnym mapą elektroniczną, po czym polecił mu natychmiast przekazać je Frankowi Doranowi w Nor-folku i szefowi operacji morskich.

–Widzisz, George, to wszystko znowu się sprowadza do tego samego problemu – powiedział. – Olbrzymi akwen do przeczesania i znikome szansę powodzenia, jeżeli on będzie płynął powoli i na dużej głębokości. Poza tym nie znamy dokładnego czasu, w którym oni nadali meldunek o pozycji. Jimmy może mieć rację, że pewnie ze trzy godziny wcześniej, zanim sygnał dotarł do Fort Meade, ale równie dobrze mógł pójść w eter wczoraj. Zauważ, że na żadnym meldunku nie podają daty ani godziny, spryciarze. Muszą mieć umówione terminy nadawania i jeśli na okręcie wszystko jest w porządku, nie muszą niczego dodawać. Z tego wszystkiego dla mnie wynika, że gremialne tropienie Barracudy na głębokich wodach mija się z celem. Nigdy nie znajdziemy sukinsyna, jeśli nie uda się nam zapędzić go blisko brzegu. Wtedy nasze szansę poważnie wzrosną.

Dziesięć minut później na linii Białego Domu zameldował się admirał Doran. Podzielał pogląd Arnolda.

–To na nic. Zmarnowalibyśmy mnóstwo czasu i energii, a prawdopodobieństwo powodzenia nie przekraczałoby pięciu procent. Jedyne pożytek z tego sygnału to potwierdzenie ist-

nienia Barracudy i jej zamiarów. Trzeba tylko go zwabić pod brzeg. Jak idzie z Francuzami?

–Za pół godziny będę rozmawiał z ich ministrem spraw zagranicznych, Frank. Nie obiecuję sobie po tym zbyt wiele. Czuję, że to będzie musiało zostać załatwione między prezydentami. Ale zrobię, co będę mógł, żeby napędzić stracha żabojadowi.

Odłożywszy słuchawkę, admirał Doran wydał polecenie, aby domniemaną pozycję Barracudy nadano na wszystkie okręty znajdujące się na środkowym Atlantyku, po czym wrócił do pracy nad swoim aktualnie największym zadaniem: ewakuacją stoczni z Norfolku.

Po godzinie – z trzydziestominutowym opóźnieniem – Kathy udało się wreszcie połączyć z ministerstwem spraw zagranicznych w Paryżu. Arnold nie znał swego rozmówcy i uznał, że najrozsądniej będzie potraktować go uprzejmie. Przedstawili się sobie oficjalnie. Francuz dobrze władał angielskim i admirał postanowił przejść od razu do meritum.

–Panie ministrze, przypuszczam, że już pan wie, dlaczego do pana dzwonię. Musiał pan czytać w gazetach o zagrożeniu ze strony terrorystów, prawda?

Minister potwierdził, po czym podzielił się z rozmówcą swoimi obawami. Rząd francuski właśnie otrzymał raport ze szwajcarskiego Federalnego Instytutu Technologii na temat możliwych skutków tsunami wywołanego przez erupcję Cumbre Vieja i niepokoił się oczywistą powagą sytuacji. Jednakże Paryż nie był jeszcze w pełni przekonany, że groźba Hamasu jest realna; w przeciwieństwie do Amerykanów Francuzi nie mieli żadnych dowodów, że to wydarzenie naprawdę może nastąpić.

Arnold poprosił go, aby w tej mierze po prostu zaufał opinii Pentagonu.

–Proszę nie wątpić, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ich powstrzymać – dodał. – Nikogo nie prosimy o pomoc, chociaż zagrożenie tsunami dotyczy też wielu miast w innych państwach.

–Tak, Szwajcarzy twierdzą, że kataklizm dotknie czterech kontynentów.

–I w tym, oczywiście, waszego własnego wybrzeża Bre-

tanii. Na główną bazę Marinę Nationale w Breście runie fala o wysokości może aż dwudziestu metrów, i to na cztery godziny przed zalaniem Nowego Jorku.

–Rozumiem... – odrzekł Francuz z wahaniem. – Dla nas jednak podstawowe pytania brzmią: czy mamy wierzyć w te groźby? A jeśli tak, to czy sprawa jest na tyle poważna, żebyśmy posunęli się do wyłączenia całego europejskiego systemu nawigacji satelitarnej? Przykro mi,

ale odpowiedź na oba jest negatywna.

–Panie ministrze, przecież nie prosimy was o jego zdemontowanie. Chodzi tylko o zwykłe zaprzestanie nadawania sygnałów przez dwie doby, może nawet krócej, jeżeli wcześniej nam się uda dopaść ten okręt podwodny. Wie pan, że my zrobimy to samo z naszym GPS, z którego korzysta dziewięćdziesiąt procent użytkowników na świecie?

–Nie wątpię w to, admirale. Ale znamy historię waszych stosunków z krajami Bliskiego Wschodu. Pozwolę sobie powiedzieć, że rząd Francji nie pochwała niczego, co robicie na wschód od Kanału Sueskiego.

–W takim razie ja pozwolę sobie panu przedstawić konsekwencje takiej postawy. Po pierwsze, stracie całą marynarkę wojenną na zachodnim wybrzeżu, a Bretania i ziemie nad Zatoką Biskajską nawiedzi katastrofalna powódź. Po drugie, na bardzo długi czas możecie zapomnieć o dobrych stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi. Jeżeli zaś dojdzie do wybuchu Cumbre Vieja, nie zawahamy się ujawnić, że wina za to leży w dużej mierze po stronie Francji, która odmówiła nawet pozorów współpracy w obliczu takiego zagrożenia. Po trzecie, prezydent zwróci się do Kongresu o zatwierdzenie ustawy o nałożeniu stuprocentowego cła na wszystkie francuskie towary importowane do USA. Po czwarte, wykluczymy was z rynku ropy naftowej w Iraku i Arabii Saudyjskiej, nad którymi praktycznie mamy kontrolę. Wielka szkoda, że wolicie ryzykować to wszystko tylko dlatego, że nie chce się wam na dwa dni wyłączyć pieprzonego satelity.

–Przekażę pańskie prośby i groźby mojemu prezydentowi – odparł francuski minister.

Arnold Morgan już tego jednak nie słyszał, rzucił bowiem słuchawkę na widełki, burknąwszy tylko: „I vive la France,

dupku" – ku lekkiemu zdziwieniu Kathy, która akurat weszła z jego ulubioną kanapką z pieczenia wołową, majonezem i musztardą.

–Wszystko się dzisiaj spóźnia. Ministrowie, kanapki... Jestem tu traktowany, jakbym pracował przy sortowaniu poczty.

–Nie poszło ci z Francuzem? – Kathy się zaśmiała.

–Ani trochę. Możesz ściągnąć mi tu ich ambasadora? Spróbuję jemu przemówić do rozumu.

–Teraz?

W rozmowach obojga ostatnio zdecydowanie obniżył się poziom humoru. Za drzwiami Gabinetu Owального panował rozgardiasz: ludzie wynosili cenne meble, lampy, obrazy do czekających na zewnątrz wojskowych ciężarówek. Oficerowie sprawdzali i zapisywali, na który wóz trafia każdy kolejny artykuł. Z włączonego stale telewizora dobiegały komunikaty wojskowego biura prasowego; Pentagon przejął wszystkie sieci medialne Wschodniego Wybrzeża. Rodziny, które nie miały zobowiązań wobec pracodawców w Waszyngtonie, nakłaniano, by nie zwlekając, wyjeżdżały z miasta, aby później uniknąć korków na drogach. Ruch kierowano na austostrady wylotowe na północ i zachód, pozostawiając drogi międzystanowe numer 66 i 270 dla konwojów federalnych i innych celów państwowych.

Francuską ambasadę przy Reservoir Road od Białego Domu dzieli trzy i pół kilometra. Arnold Morgan oczekiwał na przybycie ambasadora z rosnącą niecierpliwością. Monsieur Gaston Jobert zjawiał się w końcu o czternastej dwadzieścia i Kathy natychmiast wprowadziła go do Gabinetu Owального, gdzie prócz admirała był też prezydent Bedford. Usiedli przy kawie i ambasador wysłuchał relacji o chronologii wydarzeń od samego początku. Arnold nie pominął niczego, co zaszło od chwili rozpoznania ataku raketowego na Mount St. Helens do erupcji na Montserrat. Przedstawił groźby i żądania Ha-masu, niemożliwość ich spełnienia i naszkicował strategię przyjętą przez amerykańską marynarkę wojenną. Szczególny nacisk położył na decydujące znaczenie systemu GPS.

–Krótko mówiąc, ich rakiety będą wykorzystywały nasz własny system nawigacyjny. Jeśli terroryści stwierdzą, że nie

mogą odbierać danych pozycyjnych z GPS, przestroją odbiorniki na wasz Galileo i po problemie. Jeżeli zaś oba systemy zamilkną, będą zmuszeni podejść blisko brzegu Palmy i strzelać na podstawie obserwacji wizualnych. A wtedy my ich dopadniemy. Nie muszę chyba panu mówić, że postępowanie rządu Francji jest dla mnie zagadkowe. Zaprosiłem tu pana przede wszystkim po to, żeby pan uzmysłowił im powagę sytuacji.

–Czy mój rząd zna pełną wersję wydarzeń, włącznie z istnieniem tego okrętu podwodnego, rakietami i tak dalej?

–Można tak powiedzieć.

–No cóż... z pańskiej wypowiedzi zrozumiałem... hm... dość jasno, że dla Francji byłoby bardzo źle, gdybyśmy... gdybyście z naszego powodu nie zdołali zniszczyć tego okrętu, zanim on zniszczy wasze wybrzeże, a przy okazji i nasze. To byłoby zupełnym szaleństwem...

–Panie ambasadorze, my to wiemy, ale obawiam się, że wasz minister spraw zagranicznych nie rozumiał tego tak dobrze jak pan – wtrącił Paul Bedford.

–Rozmawialiście z Jeanem Crepeau?

–We własnej osobie – potwierdził Morgan. – Okazał się człowieczkiem o bardzo antyamerykańskim nastawieniu, co w dzisiejszych czasach zakrawa na absurd. Może pan sobie wyobrazić, że Stany Zjednoczone odmawiają wam pomocy, gdyby Paryżowi groził atak terrorystów na wielką skalę?

–Nie, admirale, nie mogę. Ale ja mieszkam tu od wielu lat i osobiście lubię wasz kraj. To wszystko jest dla mnie żenujące i pewnie niedługo moi zwierzchnicy pójdą po rozum do głowy. – Jobert urwał i podniósł do ust filiżankę z kawą. – Wbrew dyplomatycznym zwyczajom pozwolę sobie wyrazić własną opinię. Panowie byliście ze mną szczerzy... Monsieur Crepeau jest człowiekiem o znacznie większych ambicjach niż zdolnościach, a nasz premier niewiele go pod tym względem przewyższa. Jednak w prezydencie Dreyfusie mamy prawdziwego męża stanu... może tylko odrobinę zbyt dumnego. Na pewno jednak możecie liczyć na jego inteligencję i rozsądek. Większość ludzi w naszym rządzie się go boi... Ja nie, głównie dlatego, że jest żonaty z moją siostrą Janiną. Znamy się od piętnastego roku życia. Rozmawiałem już z nim

na ten temat i myślę, że bezpośredni telefon od prezydenta Bedforda, powiedzmy jutro rano, powinien rozwiązać ten problem. Ostatecznie nie mamy innego wyjścia, ponieważ jeśli odmówimy współpracy, i tak zestrzelicie naszego satelitę, n'est ce pas?

–Nie pozostałoby nam nic innego. – Arnold Morgan uśmiechnął się ponuro. – Na jednej szali Waszyngton i Nowy Jork, na drugiej mały sputnik? Nie byłoby wątpliwości.

Gaston Jobert wstał.

–Zostawcie to mnie, panowie. Porozmawiam dziś wieczorem z naszym prezydentem i wszystko mu dokładnie przedstawię. Powiem mu, że odmowa waszej prośbie przyniesie nieporównywalnie większe kłopoty. Jak pan to ujął, admirale? Szkoda ryzykować to wszystko tylko dlatego, że nie chce się wam na dwa dni wyłączyć pieprzonego satelity?

–Niezłe podsumowanie – odrzekł Morgan.

ROZDZIAŁ 11

Sobota, 3 października 2009 r., godzina 8.00. 2300N/03840W. Zanurzenie 180 m, prędkość 6 w

Ostatni rozkaz kontradmirała Badra położył Barracudę II na kurs 060°. Dowódca spędzał teraz więcej czasu w towarzystwie brata Szakiry, Ahmeda Sabaha, który z czasem stał się jego powiernikiem. W tej chwili wraz z nawigatorem, porucznikiem Asztarim Mohammedem, studiowali mapy wschodniej części Atlantyku. Jak to się mówi, nic nie jest realne, dopóki nie musisz temu sprostać. To, co kiedyś się wydawało zwykłym przepłynięciem z jednej strony oceanu na drugą, dziś się jawiło jako poważne wyzwanie. Ben i Ahmed dobrze wiedzieli, że groźba generała Raszuda przesłana do Pentagonu została ogłoszona publicznie i że Stany Zjednoczone podejmują zdecydowane działania w celu ich wykrycia i zatopienia. Im bardziej się zbliżali do Wysp Kanaryjskich, tym większe groziło im niebezpieczeństwo. Żaden z nich nie wiedział, jaką strategię obrony przyjmie amerykańska marynarka wojenna, ale Ben Badr był przekonany, że przeciwnik nie zdecyduje się na rzucenie do akcji zespołu okrętów podwodnych.

–Nie zaryzykują tego w obawie przed przypadkowym zatopieniem własnej jednostki, Ahmedzie. Myślę, że możemy się raczej liczyć z poszukiwaniem przez fregaty lub niszczyciele z sonarami holowanymi. Dopóki będziemy się trzymali minimalnej prędkości i dużego zanurzenia, nie znajdą nas. Jedyne kłopot to satelity. Potrzebujemy ich do naprowadzania rakiet, a system GPS należy wyłącznie do Amerykanów. Jeśli oni naprawdę uwierzyli, że możemy zniszczyć całe ich Wschodnie Wybrzeże, to niewykluczone, że po prostu go wy-

łączą. To byłoby dla nas bardzo niewygodne. Zostałby nam tylko system europejski, a nie wiem, czy możemy się do niego dostroić. Amerykański jest powszechnie używany.

–Myślisz, że Amerykanom udałoby się namówić Europejczyków do równoczesnego zamknięcia ich systemu?

–Nie wiem. Brytyjczycy na pewno by się zgodzili, ale Francuzi mogą odmówić. Ja skłaniałbym się do twierdzenia, że obu systemów naraz nie dadzą rady wyłączyć.

–A jeśli tak? – Ahmed był wyraźnie zaniepokojony.

–Wtedy nie będziemy mieli innego wyjścia, jak tylko podejść do brzegu i strzelać na podstawie namiarów optycznych. SL-2 ma tu istotną przewagę nad SL-1, których do tej pory używaliśmy. Nie musi trafić dokładnie w określony punkt. Wystarczy, jak rzucimy głowicę nuklearną gdziekolwiek w promieniu pół mili od krateru. Magma załatwi za nas całą resztę.

–Jak blisko trzeba podejść do wyspy?

–Na jakieś dwadzieścia pięć mil. Tyle żeby było widać wulkan przez peryskop.

–Skąd będziemy strzelać?

–Zobaczymy. Jeśli GPS pracuje normalnie, to z dwustu pięćdziesięciu mil. Myślałem o pozycji około trzydzieści mil na południe od Fuerteventury. Będziemy na głębokiej wodzie w połowie odległości między wyspą a kontynentem. Zaraz po odpaleniu rakiet pójdziemy całą naprzód na północ, za Fuer-teventurę. O, tutaj, na wysokość miasta Grań Tarajal. Od pozycji strzału zajmie nam to godzinę. Ale rakiety będą leciały do celu dwadzieścia pięć minut, główna erupcja powodująca osunięcie skały nastąpi po dalszych dziesięciu minutach, a tsunami dotrze do zachodniego brzegu naszej wyspy w kolejne pół godziny. My zaś będziemy po wschodniej stronie, osłonięci przed falą. Potem po prostu przycupniemy bez ruchu na dużej głębokości i poczekamy, aż wszystko przycichnie.

–No, dobrze. Ale jeśli się okaże, że nie możemy skorzystać z GPS? – Ahmed nie dawał za wygraną, coraz wyraźniej zdając sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmują.

–Wówczas przyjdzie nam podpłynąć blisko. Podejdziemy od południowego zachodu, kierując się na tę pozycję. – Ben

aGHapS

wskazał na mapie punkt oddalony o dwadzieścia mil morskich od Palmy, gdzie ocean ma głębokość do tysiąca metrów. – Weźmiemy trzy namiary... na latarnie Punta Fuen-caliente i Punta de Arenas Blancas oraz na sam wulkan. Znamy jego pozycję i wysokość. Przeprogramujemy rakiety, a potem bez problemu podejdziemy w to samo miejsce. Wystarczy wtedy krótkie sprawdzenie przez peryskop i możemy strzelać. Nawet biorąc pod uwagę przypadkowe błędy wynikające z siły i kierunku wiatru, promienia zwrotu, regulacji wysokości lotu, scimitar nie może chybić. Głowica ma tak dużą siłę rażenia, że choćby rakietka zboczyła z kursu nawet o pół mili, efekt będzie taki sam.

–Ben, myślałeś, co zrobimy potem? To znaczy, jak stąd uciekniemy?

–Omówiliśmy to z twoim szwagrem. Gdzieś na południowym Atlantyku, w odludnym miejscu przesiądziemy się na irański frachtowiec, podłożywszy miny na okręcie. Musimy zatopić Barracudę II na jak najgłębszym akwenie, żeby nigdy nie została odkryta. Potem wrócimy do domu, wysadzając w różnych portach po drodze po kilku ludzi.

–Czy teraz chce pan zmienić kurs na bardziej wschodni? – przerwał tę rozmowę porucznik Mohammed. – Rozumiem, że pójdziemy na pozycję dalekiego strzału, żeby sprawdzić GPS?

–Tak jest. Tylko żadnych gwałtownych manewrów. Przekażcie szefowi okrętu, żeby nie wychylał steru więcej niż dwa stopnie. Oczywiście prędkość nadal sześć węzłów.

Barracuda II skradała się z wolna ku docelowej pozycji, odległej jeszcze o pięćset czterdzieści mil. W ciągu najbliższych trzech dni Ben Badr spodziewał się usłyszeć pierwsze amerykańskie okręty. Na razie jednak znajdowali się na nie patrolowanych i mało uczęszczanych wodach, daleko na południe od szlaków żeglugowych północnego Atlantyku. W ten sobotni ranek najbliższej Barracudy II znajdowała się fregata raketowa Simpson, dowodzona przez kapitana Joego Wick-mana, płynąca kursem południowo-wschodnim w stronę Palmy. Bliźniacza jednostka Elrod kapitana Smitha była już w rejonie Wysp Kanaryjskich, posuwając się ku Teneryfie, gdzie od północy czekał kapitan Brad Willett na swoim USS

Taylor. Kauffman i Nicholas spodziewano się w ich rejonach operacyjnych za dwie godziny. Siedem fregat z Norfolku szło w rozciągniętym konwoju przez Atlantyk; wyszły w morze ostatecznie i miały dotrzeć na miejsce dopiero w niedzielę wieczorem. Zespół lotniskowca Ronald Reagan zbliżał się właśnie do Gibraltaru i na wyznaczonej dla niego pozycji, na północny wschód od Lanzarote, miał się znaleźć również w niedzielę, choć nieco wcześniej od fregat. Admirał Gillmore na USS Coronado miał za sobą dwie trzecie drogi z Norfolku, a do przebycia jeszcze tysiąc mil. On również spodziewał się zjawić w rejonie spotkania w niedzielę około północy. Ostatni miał przybyć lotniskowiec Harry S. Truman z eskortą dwóch niszczycieli i atomowego okrętu podwodnego Tucson, obecnie przebijający się przez sztormowy niż nad Grzbietem Sródat-lantyckim.

Cała ta armada znajdowała się daleko na północ od aktualnej pozycji Barracudy II i kontradmirał Badr, który spodziewał się przeciwnika, ale raczej nie w takiej sile, nic o niej nie wiedział. W pamięci miał słowa swego ojca: „Zawsze będziesz bezpieczny, jeśli pozostaniesz na dużej głębokości i utrzymasz niską prędkość”. Dziwna rzecz, ale mimo swego morskiego doświadczenia bez Rawiego i Szakiry czuł się trochę niepewnie. Niedługo miał otworzyć sejf z zamkiem czasowym, w którym spoczywał zapieczętowany list napisany doń, choć nie podpisany, przez ajatollaha rządzącego w Islamskiej Republice Iranu. To był pomysł admirała Mohammeda Badra, który w ten sposób chciał dodać synowi ducha i dać mu poczucie wyższego celu; święty mąż potwierdzał w liście, że wystrzelując swoje rakiety, Ben podniesie na wroga wygięty miecz proroka Mahometa. Badr junior wiedział od ojca, jaka jest treść tego przesłania, ale nie mógł się doczekać chwili, kiedy będzie mógł osobiście je przeczytać. Już dwukrotnie tego ranka próbował otworzyć sejf, ale zamek czasowy ustawiony na konkretną datę i godzinę się nie poddawał.

Tymczasem o cztery tysiące kilometrów od pozycji Barracudy II, w Gabinetcie Ovalnym, admirał Morgan potykał się właśnie o kolejną kłodę rzuconą mu pod nogi przez Komunikat z Pałacu Elizejskiego stwierdzał, że mimo długiej

rozmowy z francuskim ambasadorem w Waszyngtonie prezydent V Republiki nie jest przekonany o realności groźby Ha-masu i konieczności wyłączenia systemu Galileo. Informował, że zastanowi się jeszcze i da ostateczną odpowiedź w poniedziałek rano. Podobnie jak minister spraw zagranicznych, jest zdania, że Amerykanie wyolbrzymiają problem ataku terrorystycznego na wulkan, nie pali się zatem do tego, by wraz z nimi siać w świecie panikę i brać na siebie odpowiedzialność za potencjalne wypadki, do jakich może dojść po wyłączeniu globalnego systemu nawigacyjnego. Na koniec dodał ironicznie, że nie widzi sensu w dodatkowym pogłębianiu antyamerykańskich nastrojów na świecie, kiedy zagrożenie okaże się fałszywe.

–Fałszywe? – Arnold Morgan był bliski wybuchu. – Jak to zagrożenie może być fałszywe? Co ten nadęty kacyk z ratusza jakiejś miejsciny w Normandii sobie myśli?

–Zapewne, że ma rację – odrzekł prezydent Bedford. – Czy to znaczy, że ja mam z nim porozmawiać?

–Kiedyś to by właśnie znaczyło. Ale teraz już nie. KATHY!!! ŁĄCZ NATYCHMIAST Z PREZYDENTEM FRANCJI!

–Czy mam mu powiedzieć, że to od prezydenta Bedfor-da? – spytała Kathy, stając w progu z uniesionymi brwiami; wciąż nie mogła pojąć, dlaczego jej mąż woli krzyczeć przez zamknięte drzwi, zamiast jak człowiek do niej zadzwonić.

–Powiedz mu tak, a potem przełącz go do mnie.

Kathy pokręciła głową i podniosła słuchawkę, instruując operatora, by zadzwonił do Pałacu Elizejskiego i podkreślił, że sprawa jest niezwykle pilna. Trzy minuty później lekko zmieszany prezydent Dreyfus był na linii.

–Mais je pense que le President Bedford?

–Panie prezydencie! – odrzekł admirał Morgan po angielsku. – Siedzę tu w Białym Domu tuż obok prezydenta Stanów Zjednoczonych... Od trzech dni prosimy was o współdziałanie w udaremnieniu największego zamachu terrorystycznego w historii tej planety. Czy mam rozumieć, że nie zamierzacie nam w tym pomóc? To proste pytanie i za odpowiedź wystarczy mi zwykłe oui lub non.

–Cóż, jeszcze nie podjąłem ostatecznej decyzji...

–Czy to jest non, panie prezydencie?

–Myślę, że możemy jakoś dojść do porozumienia, może za parę dni...

–Panie prezydencie, to jest bardzo poważna operacja militarna. Nie mamy czasu na wasze wykrety. Albo wyłączycie swojego satelitę, albo jutro o tej samej porze nie będzie już istniał.

Arnold niemal poczuł, jak ze słuchawki powiało mrozem.

–Admirale Morgan, czy pan mi grozi?

–Nie. Stwierdzam oczywisty fakt. Chcę, żeby wasz system był nieczynny przez czterdzieści osiem godzin, poczynając od godziny zero czasu europejskiego w środę 7 października. Ma pan wybór: albo pójdziecie mi na rękę i sami go wyłączycie, albo będziecie się stawiać i go stracicie. W drugim wypadku dodatkowo nałożymy całkowite embargo na wszystkie towary francuskie, zerwiemy stosunki dyplomatyczne i wydalimy wasz personel dyplomatyczny. Na odpowiedź ma pan dziesięć sekund.

Arnold Morgan czuł przez skórę, że prezydent Francji, jak wielu jego poprzedników, jest mocny w słowach i buńczucznych minach, za to słabszy w czynach. Był pewien, że przez głowę jego rozmówcy przelatują teraz myśli o gigantycznych kosztach odbudowy kosmicznego systemu nawigacyjnego, o poważnym rynkowym ciosie dla francuskich win i serów, stratach Peugeota i Citroena... wykluczeniu Francji z licznych międzynarodowych instytucji... powszechnym potępieniu... osobistej nienawiści milionów ludzi do niego samego jako człowieka, który odmówił pomocy, kiedy Stany Zjednoczone w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa zwróciły się doń z prośbą o stosunkowo drobną przysługę... Prezydent Dreyfus wiedział, że właśnie dostał mata.

–Dobrze więc, admirale. Tym razem pańska bezczelność zwyciężyła. System Galileo zostanie wyłączony w podanym przez pana terminie. Nie podobają mi się pańskie metody, ale mój kraj, jak zwykle, postąpi właściwie. Proszę przysłać swoich emisariuszy z odpowiednimi dokumentami w poniedziałek rano.

–To bardzo uprzejme z pana strony, panie prezydencie. Jeszcze dwie rzeczy... Nie życzę sobie żadnych opóźnień czy

innego krętactwa... i proszę nie zapominać, że gdyby nie my, to dziś rozmawialibyście, psiakrew, po niemiecku. – To rzekłszy, Arnold odłożył słuchawkę.

–Nie jestem pewien, czy ta ostatnia uwaga była absolutnie niezbędna – zauważył Paul

Bedford.

–A kogo to obchodzi? Pieprzony francuski satelita będzie wyłączony, a tylko to się liczy – odparł głównodowodzący operacji „Przyptyw”. – Nawigacja satelitarna będzie niedostępna i Barracuda musi podejść do brzegu, ponieważ jej rakiety będą ślepe i głuche. Mamy swoją szansę.

–To ja się wobec tego zabieram do oficjalnego przypieczętowania umowy z Francją. Zadzwońię do Departamentu Stanu...

–Doskonale, sir. Proszę też powiadomić generała Scan-nella, który się zajmie sprawami bardziej praktycznymi, jak koordynacja wyłączenia obu systemów. To musi nastąpić równocześnie.

Prezydent wyszedł z gabinetu, Arnold zaś wrócił przed wielki ścienny ekran z elektroniczną mapą Atlantyku, starając się przewidzieć posunięcia nieprzyjacielskiego dowódcy.

W mrocznych głębinach Basenu Zielonego Przylądka kontradmirał Badr czytał w tej samej chwili osobisty list od aja-tollaha.

Beniaminie, jesteś cennym narzędziem naszej walki w sprawie Wielkiego Allaha i wkrótce poniesiesz Jego miecz do bitwy. Ten list ma ci przypomnieć o odpowiedzialności, jaka spoczywa na twoich barkach. Pamiętaj, że nasza wiara bierze początek na pustyniach Arabii i zawsze związana była z wojną. Nasz Prorok sam był zdobywcą i mężem stanu. Jego słowa nie miały precedensu w historii. Zostały zesłane prosto od Boga i dzięki nim w sto lat wierni pokonali pogańskie imperium perskie i zdobyli wielkie połacie bizantyjskiego. Armie arabskie przetoczyły się przez północną Afrykę, niszcząc chrześcijaństwo w Egipcie i Tunezji, ojczyźnie ich świętego Augustyna; spustoszyły Hiszpanię i zagroziły Francji. O tak, mój synu, od samego początku byliśmy narodem wojowników.

Pamiętaj też, że islamska nauka wyprzedzała europejską o stulecia. To my daliśmy im instytucję uniwersytetu, którą krzy-

żowcy ponieśli do swoich krajów. Podbiliśmy Turcję i Konstantynopol, który stał się stolicą imperium osmańskiego. Niewierni dopiero przed trzystu laty zaczęli się dźwigać z klęski. Doszli do potęgi i zmieniali nasze granice, wymyślali nowe państwa, dzielili nasze ziemie, kradli nasze bogactwa, naszą naftę i narzucali nam swój zachodni styl życia i to, co oni nazywają kulturą. Wcześniej, po tak długich wiekach triumfu, podbój świata przez naszą prawdziwą wiarę wydawał się nieunikniony. Wtedy nam się nie udało, ale dziś Allah wskazuje nam drogę do naprawienia tych trzystu lat zła, zachodniej arogancji i grabieży naszych dóbr.

Pamiętaj zawsze, że nasz święty dżihad – nasza wojna i duchowa, i zbrojna, pobłogosławiona przez Proroka – nigdy się nie kończy. To wokół niej powinno się koncentrować życie każdego muzułmanina. Nie chcemy kraść tego, co do nas nie należy, ale śnimy o wielkim islamskim imperium, które nie byłoby zdominowane przez Wielkiego Szatana – Amerykę. Mój synu, pragniemy ich wyrzucić z Bliskiego Wschodu, a wraz z nimi ich zdegenerowany, grzeszny styl życia. Skoro nie chcą się ugiąć przed naszą wolą, potrafiemy im uprzykrzyć walkę z nami. Modlę się za twoją świętą misję, za zwycięstwo twoje i twoich żołnierzy. Cały świat muzułmański dowie się któregoś dnia i zrozumie, czego dokonaliście. Życzę ci powodzenia i niech twoje scimitary osiągną celu. Niech cię Allah prowadzi, mój synu.

List nie miał podpisu, ale ajatollah napisał go własnoręcznie. Ben Badr złożył go starannie i schował do kieszeni na piersi. Był wytrawnym morskim profesjonalistą, pewnym swego doświadczenia i zdolności dowódczych, i dobrze się czuł ze swoją załogą. Nie widział się w roli zamachowca-sa-mobójcy, współczesnego kamikaze, ale w głębi duszy chował nie wypowiedziane przekonanie, że jest gotów na śmierć, jeśli zajdzie potrzeba, dopóki będzie walczył za to, w co on sam i jego naród wierzą. Czuł się zaszczycony, że to jemu właśnie przypadło w udziale znaleźć się w przedniej straży dżihadu, wśród wybranych z wybranych. Doprowadzi swój wspaniały okręt do tego wulkanu i rozsadzi go swoimi raketami, albo zginie w walce. Ben nie szukał śmierci i się jej nie spodziewał. Jeśli jednak wyciągnie ona ku niemu i Barracudzie II swą ognistą, krwawą pięść, spojrzij jej w twarz spokojnie i bez strachu.

Ben otrząsnął się z zamyślenia i poszedł do centrali. Upewnił się, że są na właściwym kursie, a prędkość nie przekracza nakazanych sześciu węzłów. Zajrzał potem do przedziału reaktora, skontrolował wskazania monitorów i zamienił kilka słów z pełniącym wachtę Ardeszirem Tikku. Po tylu długich tygodniach żeglugi z dalekich Chin wszystko na okręcie działało bez zarzutu, wystawiając doskonale świadectwo rosyjskiej technice i inżynierom. Reaktor pracował bez najmniejszych zakłóceń, bez wysiłku zapewniając parę dla turbin i generatorów. Czarny tytanowy kadłub gładko sunął przez głębinę, nie wydając prawie żadnego dźwięku. Każdy mechanizm na pokładzie, dla uniknięcia wibracji, był zamontowany na gumowych amortyzatorach. Jeśli ktoś w pobliżu dobrze wyęczyłby słuch, dotarłby do niego jakby delikatny szum komputerowego wentylatora; nie był to jednak komputer, ale turbina napędowa o nominalnej mocy czterdziestu siedmiu tysięcy koni mechanicznych, pchająca wypierający osiem tysięcy ton okręt przez ocean.

Z każdym dniem Ben zauważał u ludzi, zwłaszcza oficerów, rosnące napięcie. Kapitan Ali Akbar Mohtadz coraz bardziej zamknięty w sobie, spędzał czas tylko w towarzystwie komandora Abbasa Szafii, do którego będzie należało uzbrojenie głowic nuklearnych SL-2. Było już postanowione, że muszą wystrzelić obie rakiety, tym bardziej, że zależny od GPS układ naprowadzania może być oślepiiony. Dwie głowice

o łącznej mocy czterystu kiloton zdawały się gwarantować potworne zniszczenie całej południowej części wyspy Palma. Nawet jeśli zostaną wykryci, nawet jeśli z góry posypie się na nich grad bomb głębinowych i pomkną ku nim torpedy, będzie jeszcze dość czasu. Może tylko sekundy; ale to wystarczy, by z Barracudy II śmignęły ku celowi dwie rakiety, których nikt już wtedy nie powstrzyma i które wywołają tsuna-mi nie mające sobie równych w historii. Kapitan Mohtadz

1 komandor Szafii wiele nad tym myśleli i byli tego pewni.

Waszyngton tymczasem szykował się na spotkanie z przeznaczeniem. Ustalono, że jeżeli rakiety Barracudy uderzą w wulkan, prezydent Bedford wraz z całym gabinetem zostanie w ostatniej chwili ewakuowany do nowej tajnej bazy rzą-

dowej w paśmie wzgórz Shenandoah, niedaleko miejscowości Mountain Falls, na terenach wielkich historycznych zmagania regularnych armii Północy i Południa w wojnie secesyjnej. Ta zapasowa siedziba głowy państwa, wyposażona w najnowocześniejsze systemy łączności i bezpośrednie linie telefoniczne do Pentagonu i niektórych rządów sprzymierzonych, zbudowana została na terenie ściśle strzeżonej bazy wojskowej, niemal całkowicie pod ziemią i – co w tej sytuacji było błogosławieństwem – o paręset metrów nad poziomem morza. W kręgach waszyngtońskich znana była jako Camp Goliat -przeciwieństwo pokojowego w charakterze Camp David. Od początku zakładano, że na wypadek konfliktu nuklearnego i bezpośredniego zagrożenia stolicy będzie to miejsce schronienia dla najwyższych władz cywilnych i wojskowych. Uruchomienie wszystkich systemów zajęło pełne trzy dni, ale teraz Camp Goliat gotów był na przyjęcie prezydenta i jego orszaku w swych odciętych od świata wnętrzach jak z pięciogwiazdkowego hotelu, wyposażonych we wszelkie urządzenia biurowe, telekomunikacyjne i informatyczne niezbędne do utrzymywania świata w ruchu. Paul Bedford miał przylecieć z Białego Domu trójśmigłowym, uzbrojonym śmigłowcem Sikorsky CH-53E, przeznaczonym do przewozu pół kompanii marines w rejon walki, eskortowanym przez klucz myśliwców F-15 Tomcat.

Ewakuacja Waszyngtonu postępowała zgodnie z planem. W niedzielę rano tysiące żołnierzy Gwardii Narodowej, którzy dołączyli do pracujących w mieście oddziałów wojska, zajmowało się zadaniem równie ważnym jak ochrona instytucji rządowych i ich mienia – ratowaniem tysięcy przedmiotów, źródeł historycznych, książek i dzieł sztuki, które stanowią o kulturze i rozwoju narodów. Wiele z tych bezcennych zbiorów przechowywanych jest w Smithsonian Institution -wielkim kompleksie czternastu muzeów, mieszczącym niezliczone eksponaty, od kilkusetletnich obrazów i rzeźb aż po współczesne pojazdy kosmiczne. W samym tylko Muzeum Lotnictwa i Kosmosu są dwadzieścia trzy galerie wystawiające dwieście czterdzieści samolotów i pięćdziesiąt raku planetarium i kino z ekranem na pięć kondygnacji.

Dyrektorzy niektórych muzeów pojowali już, że nie

żą na czas ewakuować wszystkiego, mając oprócz wystawianych eksponatów jeszcze tysiące innych w magazynach. Wszyscy dzwonili do Białego Domu po wskazówki. Admirał Morgan udzielał ich z wojskową zwięzłością i prywatnym zniecierpliwieniem:

–Ustalcie sobie priorytety, słyszycie? Skupcie się na obiektach o prawdziwej wartości historycznej. Porzućcie wszystkie makiety i modele. Zróbcie im zdjęcia, dokumentacje, kopie rysunków, ale koncentrujcie się na tym, co naprawdę tego warte. I ruszajcie no się tam!

Kustosze ważnych muzeów nie są przyzwyczajeni do takiego szorstkiego traktowania. Niemniej musieli to przełknąć i... ruszać się. Trzeba było podejmować decyzje, które z tysięcy obrazów pakować i wywozić, które zostawić na miejscu, wynosząc je tylko na najwyższe piętra w nadziei, że budynek jakoś przetrzyma pierwsze uderzenia fal, a później statyczny poziom wody nie sięgnie tak wysoko. Na masywnych schodach Narodowej Galerii Sztuki ustawiły się długie szeregi pracowników i żołnierzy, podających sobie z rąk do rąk dzieła średniowiecznych i renesansowych mistrzów, w zależności od decyzji dyrekcji wędrujących w dół na ciężarówki lub na poddasze budynku. Niektóre zadania były zbyt czasochłonne, żeby w ogóle o nich myśleć. Zabytkowe okręty i samoloty stojące na terenie długiego na trzy kilometry Muzeum Pamięci w waszyngtońskim porcie wojennym trzeba było zostawić na miejscu, podobnie jak wielką kolekcję starych maszyn, które w przeszłości napędzały amerykańską gospodarkę, wystawioną na parterze Narodowego Muzeum Historii Ameryki.

Jeszcze trudniej było zorganizować ewakuację stołecznego ogrodu zoologicznego. Madison Bank wziął sobie do serca los zwierząt i w swoim oddziale przy Du Pont Circle urządził specjalny sztab kryzysowy. Dwadzieścioro ludzi gorączkowo pracowało, kontaktując się z innymi ogrodami w promieniu stu kilkudziesięciu kilometrów, dopytując się o wolne miejsca, szukając dla poszczególnych gatunków tymczasowych domów w odpowiednich warunkach. Wynajmowali klatki od Ringling Brothers, samochody od U-Haul, przejęli nawet parę zestawów wagonów od Southern Railroad. Wszyscy chcieli pomóc w ratowaniu zwierzaków, choć zarząd klubu

bejsbolowego w Baltimore trochę się zachnął na propozycję jednego z młodych zapaleńców, by przeznaczyć stadion Oriole Park w Camden Yards na wybieg dla niedźwiedzi. Po południu sytuacja była opanowana i większość żywych „zbiorów” miała już dokąd się udać.

W całym mieście pełno było najróżniejszych oznak przypominających o nadciągającej katastrofie. Na specjalny rozkaz admirała Morgana wszystkie historyczne pomniki miały być zdemontowane i wysłane na wzgórza Marylandu. To właśnie stało się przyczyną pierwszego poważniejszego starcia; urzędnik z zarządu parków narodowych, w którego gestii leży opieka nad pomnikami, uznał to zadanie za absolutnie niemożliwe do wykonania.

–Co to znaczy, niemożliwe? – warknął w słuchawkę Morgan. – Ściągnij pan saperów z ciężkim sprzętem, dźwigami i lorami, i załatw to pan.

–Nie da się tego zrobić, sir. Prawie wszystkie pomniki są na to za ciężkie.

–Za ciężkie? Ktoś je tam w końcu jakoś ustawił, nie?

–No, tak, sir... ale ci wszyscy ludzie raczej już nie żyją. Trudno zaś wysłać faks do kogoś martwego z prośbą o radę, prawda?

Arnold Morgan nie miał czasu na wysłuchiwanie „wymądrzania się pieprzonych biurokratów”.

–Prawda – odparł. – W takim razie spróbuj pan e-maila, bo te pomniki mają być wywiezione i basta.

Po godzinie oddział saperów płynął już barką z Craney Island w kompleksie stoczniowym w Norfolku w górę Poto-macu. Zanim zapadł zmierzch, stojący na rzecznej wyspie wielki pomnik Teodora Roosevelta wisiał już na haku dźwigu pływającego. Na północnym skraju wojskowego cmentarza Arlington inna grupa zabierała się do demontażu słynnego dwudziestoczwierometrowego pomnika przedstawiającego pięciu marines stawiających amerykański sztandar na Iwo Ji-mie – największego, jaki kiedykolwiek odlano. Widok dźwigu unoszącego ten najbardziej poruszający dowód pamięci o amerykańskich bohaterach II wojny światowej przyciągnął tłumek gapiów, którzy w ponurym milczeniu przyglądali się wysiłkom saperów.

–Nie martwcie się! – krzyknął młody żołnierz. – Pod koniec miesiąca przywieziemy go tu z powrotem!

Oficerowie z Korpusu Saperów byli już w rotundzie kryjącej pod kopułą sześciometrowej wysokości statwę trzeciego prezydenta USA, Thomasa Jeffersona, spoglądającego spizowymi

oczyma na basen pływowy. Zadanie było bardzo trudne, ale wykonalne. Na zewnątrz czekały już cztery dźwigi różnego kalibru i pięćdziesięciu żołnierzy, ekspertów w swoim fachu. Młody porucznik zgodnie z rozkazem zadzwonił z komórki do Gabinetu Owального.

–Mamy go, sir – zameldował. – Do północy Jefferson będzie na wozie.

–Dobra robota, chłopcze. A co z tymi orientalnymi wiśniami wokół pomnika?

–Ogrodnicy nie chcą, by je przenosić. Mówią, że drzewka by tego nie przetrwały.

–Uderzenia pieprzonego tsunami na pewno nie przetrwają.

–Też im o tym wspomniałem, sir. Oni na to, że można będzie potem posadzić nowe i że nie ma co tracić na nie czasu.

–Dobrze, że chociaż ogrodnicy mają głowę na karku, co, poruczniku?

–Tak jest, sir!

Ulubiony pomnik Arnolda przedstawiał trochę większy problem. Sześciometrowy posąg siedzącego na wysokim krześle Abrahama Lincolna wykonany jest z litego marmuru i otoczony wyrytymi na kamiennych tablicach jego nieśmiertelnymi słowami. Całość jest oczywiście znacznie cięższa od statui Jeffersona, ale i z tym zadaniem saperzy sobie poradzili. W Waszyngtonie były jeszcze dziesiątki pomników; niektóre też wywożono w bezpieczne miejsca, inne trzeba było zostawić na łaskę i niełaskę żywiołu. Wiecznego ognia płonącego w brązowym zniczu u stóp grobu trzydziestego piątego prezydenta, Johna Fitzgeralda Kennedy'ego, nie można było zgasić. Admirał Morgan w porozumieniu z senatorem Edwardem Kennedym ustalił, że od oryginalnego płomienia zapali się nowy i niczym pochodnię olimpijską przeniesie na inny cmentarz wojskowy w głębi kraju. Gdy tylko tam dotrze

i zapłonie w zniczu, ten waszyngtoński, palący się nieprzerwanie od chwili pogrzebu prezydenta w 1963 roku, zostanie zgaszony, sam zaś grób i pomnik schowany pod osłoną ze stali i betonu, by przeczekać kataklizm. Senator zachował się raczej powściągliwie, a nawet z zakłopotaniem, ale Arnold Morgan postawił sprawę jasno:

–Nie dopuszczę, żeby przez jakiegoś cholernego terrorystę zgasł wieczny ogień u grobu prawdziwie wielkiego człowieka. Jeśli już trzeba go zgasić, marynarka wojenna się tym zajmie i ona też zapali go na nowo, gdy przyjdzie czas. Ale do tej pory sam płomień musi przetrwać, chociaż gdzie indziej, ale na amerykańskiej ziemi.

Ameryka zawsze czci swoich bohaterów. Jednym z największych pomników do zabezpieczenia była stu pięćdziesiąt-ciometrowa ściana wyłożona lśniącymi płytami z czarnego marmuru, upamiętniająca wszystkich żołnierzy, którzy zginęli lub zaginęli w Wietnamie. Stoi zaledwie o dwieście kilkadziesiąt metrów od pomnika Lincolna, który może lepiej niż ktokolwiek z Amerykanów rozumiałby okrutną przewrotność tej wojny. Pielgrzymują tu rocznie tysiące osób, by choć rzucić okiem czy dotknąć ręką kamienia, na którym widnieje nazwisko kogoś bliskiego, kto stamtąd nie wrócił. Admiral Morgan rozkazał, aby ludzie zdejmowali i przenosili płyty w miękkich rękawiczkach.

–Nie chcę zobaczyć ani jednej rysy, kiedy je przywieziemy z powrotem na miejsce – zapowiedział.

Na ulicach Waszyngtonu przez całą dobę panował ruch-Z miejsca na miejsce przejeżdżały samobieżne dźwigi, transportery z wojskiem, ciężarówki wywożące mienie, a wśród nich nieprzerwanym strumieniem ciągnęły prywatne samochody mieszkańców, opuszczających swe domy i chroniących się na wyżynie. Na szczęście w stolicy nie ma wielkiego przemysłu ani centrów finansowych, ale banki pracowały na pełnych obrotach, wysyłając dane klientom, gotówkę i depozyty do bezpiecznie położonych oddziałów na prowincji. W i dziele placówki czynne były do dziesiątej wieczorem, aby kujący się do wyjazdu w poniedziałek od rana ludzie podjąć pieniądze lub zabrać ze skrytek kosztowności. Firmy prawnicze, brokerskie i inne wywoziły jeszcze ciężarow* i

dokumentów, ale prawie wszystkie przedsiębiorstwa nie zaangażowane w program ewakuacji były już zamknięte, odesławszy w góry, co się dało. Tylko stacjom radiowym i telewizyjnym polecono jak najdłużej nie przerywać nadawania, oczywiście pod kontrolą Pentagonu, a od czasu do czasu i samego admirała Morgana, który wysłuchiwał ostatnich wiadomości. Miały wyłączyć nadajniki dopiero po otrzymaniu wiarygodnej informacji, że wulkan Cumbre Vieja z przyległościami osunął się na dno Atlantyku. Dziennikarze będą mieli dziewięć godzin na opuszczenie miasta.

Szczególnie skomplikowana była ewakuacja szpitali. Od piątku wszystkie ambulanse w mieście jeździły niemal bez przerwy, rozwożąc łżej chorych do domów, aby mogli wyjechać ze swymi rodzinami, cięższe przypadki zaś transportując do odległych szpitali na zachodzie. Nie przyjmowano oczywiście żadnych nowych pacjentów poza nagłymi wypadkami. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza, ponieważ jednocześnie ewakuowano sprzęt medyczny. Nikt nie chciał przewozić chorych w najcięższym stanie dalej, niż było absolutnie trzeba, ale rozkazy z Pentagonu były wyraźne: do środy wieczorem w stołecznych szpitalach ma już nie być nikogo. Dotyczyło to także samych karettek; miały opuścić miasto najpóźniej w chwili, gdy Barracuda wystrzelił rakiety. Arnold Morgan wyraźnie stwierdził, że nie zamierza utracić choćby jednego ambulansu, niezależnie od siły, wysokości i zasięgu tsunami. Na ostatnie dwie doby wojsko miało udostępnić swe rezerwowe jednostki medyczne z Fort Belvoir, wielkiej bazy położonej na południe od Alexandrii, na zagrożonym prawym brzegu Potomacu. Kilka podobnych polowych ambulatoriów działało już w Whitehaven Park, Ogrodach Konstytucji i w budynku centralnego szpitala miejskiego. Podobnie jak media, miały pracować do ostatniej chwili. Eskadra śmigłowców z Korpusu Marines czekała w pogotowiu, by przewozić poważniejsze przypadki do głównego szpitala polowego, ulokowanego na bezpiecznym obszarze za międzynarodowym lotniskiem Dulles.

Chyba najbardziej zapracowaną instytucją w mieście była policja. Wszystkich funkcjonariuszy odwołano z urlopów, trzy- i czteroosobowe patrole całą dobę krążyły po ulicach,

zwłaszcza w tych rejonach, gdzie ewakuacja była najbardziej zaawansowana. Pilnowano nie tylko sklepów i domów towarowych, ale i prywatnych posesji. Gabinet Ovalny i Pentagon obwieścili, że policja i wspierające ją wojsko z Gwardią Narodową mają pozwolenie i rozkaz otwierania ognia do złodziei. „Inaczej to wszystko się nam wymknie spod kontroli – powiedział Arnold Morgan. – Mamy cholernie groźnego wroga na zewnątrz i nie zasłużyliśmy sobie na to, żeby walczyć na dodatek z wewnętrznymi. Jeżeli do tego dojdzie, to nie mogą liczyć na litość”.

W komendzie miejskiej zdawano sobie oczywiście sprawę z tego, że w kulminacyjnych godzinach ewakuacji do wszystkich dotychczasowych problemów dojdzie jeszcze upiorny ruch drogowy. Już teraz starano się jak najsprawniej nim kierować; policja podawała odpowiednie informacje, służyła radą, eskortowała większe konwoje do rogatek miasta. Nad ulicami krążyły policyjne śmigłowce, bezustannie przekazując meldunki o sytuacji. Od wczesnych etapów programu ewakuacji policjantom pomagały tysiące gwardzistów, tak w służbie ruchu, jak i w patrolowaniu, bystro obserwując poczynania współobywateli. Kryminaliści nie mieli teraz lekkiego życia.

Inną organizacją mającą pozostać do końca w ciągłym pogotowiu była straż pożarna, choć polecono jej w miarę możliwości stopniowo wycofywać swoich ludzi. Wszystkie wozy bojowe były gotowe do użycia i na pierwszy sygnał o zaatakowaniu wulkanu cała flota mogła konwojem opuścić miasto specjalnie dla niej zarezerwowaną autostradą.

Był jeszcze jeden kłopotliwy punkt programu ewakuacji: więzienia. Problem stwarzało przede wszystkim przemieszczenie szczególnie niebezpiecznych przestępców odsiadujących wysokie wyroki w zakładach karnych o surowym rygorze. Pospolici kryminaliści mieli być rozwiezieni do więzień w mniejszych miastach w miarę wolnych miejsc, ale brakowało cel dla morderców, gwałcicieli i skazanych za inne ciężkie przestępstwa. Generał Scannell skierował już trzy kompanie Gwardii Narodowej do pomocy przy dostosowaniu opuszczonej bazy wojskowej w Wirginii Zachodniej. Trzystu żołnierzy przy świetle nowo zainstalowanych lamp jarzenio-

wych pracowało teraz przy budowie odpowiednich ogrodzeń i baraków. Powstający obóz miał być strzeżony przez jednostki regularnej armii. Na razie sytuacja była pod kontrolą; nikt jeszcze nie skorzystał z ogłoszonej pół żartem, pół serio rady admirała Morgana, by „postawić tę całą bandę przed plutonem egzekucyjnym i sprawa załatwiona”.

Prawa wojenne w tej chwili obowiązywały jednak tylko po drugiej stronie oceanu, na wodach wokół archipelagu Kana-ryjskiego. Ostatnie okręty US Navy przybywały na wyznaczone pozycje. O północy USS Coronado dotarł na swoją, czterdzieści mil na północny zachód od Lanzarote. Admirał Gillmore nawiązał łączność z fregatami Elrod i Taylor, znajdującymi się o sześćdziesiąt mil dalej na zachód. Pierwsze rozkazy komodora kierowały je z pierwszym braskiem na patrole przybrzeżne. Właśnie zaczynał się poniedziałek 5 października – do godziny W (jak wulkan) pozostały cztery dni. Gillmore nie liczył na to, że fregaty natkną się na Barracudę; był przekonany, że okrętu jeszcze nie ma w rejonie Kanarów. Załogi powinny jednak zapoznać się z akwenem i panującymi na nim warunkami hydroakustycznymi. Należało rozpoznać miejscowe anomalie, jak wiry wodne, układ warstw termicznych, występowanie ławic ryb, raf, podwodnych skał i wielu innych zjawisk, które mogą sprawiać kłopoty sonarzystom. Kontakty akustyczne, jeśli nie są okrętami podwodnymi, wykazują tendencje do dwóch różnych zachowań: albo nagle znikają (w przypadku ryb), albo tkwią niewzruszenie na miejscu (gdy są skałami). Okręt zazwyczaj się porusza, dając mocniejsze echo z wyraźnym przesunięciem dopple-rowskim. Zadaniem dwóch fregat było właśnie takie przeczesanie dna morskiego po wschodniej stronie archipelagu i sporządzenie jego mapy, a w razie wykrycia czegokolwiek podejrzanego zrzućenie bomb głębinowych. Ponieważ admirał Gillmore za najbardziej prawdopodobny kierunek podejścia Barracudy uważał południe, spodziewał się ją wykryć właśnie tam, w cieśninie między wyspami a kontynentem afrykańskim. Nawet gdyby nie wykryto żadnego kontaktu, sygnały aktywnych sonarów prawdopodobnie zmusiłyby kryjący się okręt podwodny do odejścia na głębsze wody. Tam zaś wysyłał sześć innych fregat z superczułymi sonarami holo-

wanymi, zdolnymi wykryć nawet delikatny poszum mechanizmów okrętowych. Miały stanowić drugą linię obrony, patrolując akwen w odległości około dwudziestu pięciu mil od wysp.

Do dozoru przybrzeżnego po zachodniej stronie archipelagu, w tym wokół samej Palmy, admirał wyznaczył dwie fregaty, które przybyły w rejon operacyjny najwcześniej: Kauff-mana i Nicholasa.

Dowodzący Elrodem i Taylorem kapitanowie Smith i Wil-lett byli oficerami o dużym stażu, dobrze znanymi komodo-rowi. Obaj specjalizowali się w operacjach ZOP i mieli za sobą długie miesiące służby na wciąż jeszcze podejrzanych, mimo zakończenia zimnej wojny, wodach GIUK – przejściu z rosyjskich baz nad Morzem Barentsa na otwarty Atlantyk, między Grenlandią, Islandią i Wielką Brytanią.

Jak wcześniej admirał Morgan i CINCLANT, admirał Doran, George Gillmore doszedł do oczywistego wniosku, że terroryści będą musieli strzelać z takiej pozycji, która umożliwi im ucieczkę i schronienie się za wyspami przed powstałym tsunami. Zanim ich oficer naprowadzania się przekona, że nie może liczyć na sygnały GPS, z pewnością będą chcieli spróbować oddać salwę gdzieś spod brzegów Sahary Zachodniej, po czym schować się pod osłoną Fuerteventury.

Kiedy stwierdzą, że systemy satelitarne nie działają, nie będą mieli innego wyjścia, jak tylko przenieść się z powrotem na południe od Grań Canarii – w rejon operacyjny Elroda i Taylora – następnie opłynąć Teneryfę i przedostać się na wody przybrzeżne Gomery. Stamtąd będą się musieli pod-kraść bliżej Palmy, żeby wyznaczyć dokładną pozycję. Obie fregaty będą więc miały szansę na wykrycie Barracudy po raz pierwszy, kiedy nadpłynie z otwartego oceanu i wysunie maszt w celu sprawdzenia pozycji z GPS, a potem po raz drugi, gdy będzie zmuszona zawrócić na zachód, w stronę Gomery.

Admirał Gillmore rozwiązał zadanie geometrycznie. Cztery okręty w pięciomilowym pasie przybrzeżnym i sześć na drugiej linii, do dwudziestu pięciu mil od wysp. Każda fregata z sonarem holowanym musi wziąć na siebie patrolowanie akwenu o promieniu do dwudziestu mil morskich, co pozwoli

praktycznie na ciągłe przeszukiwanie. Pozostawiało to admirałowi do dyspozycji jeszcze dwie fregaty, Klakring i Simp-so?i. Postanowił użyć ich do rozszerzenia rejonu poszukiwań, jeśli znajdzie taka konieczność, albo jako odwód do ścigania wykrytego okrętu, ewentualnie nawet do zagęszczenia pokrycia radarowego bliżej brzegu. Przy tak skomplikowanej operacji z minimalnym marginesem na błąd admirał Gillmore wiedział, że musi być elastyczny w działaniu. Zadanie było ściśle określone – za wszelką cenę znaleźć i zatopić Barra-cudę, jakkolwiek, gdziekolwiek i kiedykolwiek, ale jak najszybciej i na pewno przed 9 października.

Dwadzieścia mil na wschód od Coronado płynął lotniskowiec Ronald Reagan ze swą eskortą, szykując się do spotkania z Harrym S. Trumanem i do wymiany swoich samolotów na śmigłowce ZOP. W zespole Reagana były dwa myśliwskie okręty podwodne klasy Los Angeles, ale admirał Doran nie chciał ich angażować do polowania w głębinach. George Gillmore podzielał tę opinię; obaj czuli, że Barracudę wytropią i zniszczą śmigłowce. Przybycia Trumana oczekiwano w poniedziałek rano, operacja transferu samolotów miała się zacząć natychmiast potem. Kiedy nastał świt i gorące afrykańskie słońce wychynęło zza horyzontu, lotniskowca nie było jeszcze widać, ale wszyscy wiedzieli, że jest już o sto mil od miejsca spotkania. Elrod i Taylor płynęły na swoje pozycje przy brzegach. O dziewiątej Truman znalazł się na wysokości Palmy i zmierzał dalej na wschód, na spotkanie z Reaganem. Morze było spokojne i wiał świeży, ciepły wiatr z południowego wschodu, od Afryki. Według prognozy za trzy godziny miał skręcić na południowy zachód i przynieść przelotne szkwale deszczowe – nie najlepsza pogoda dla lotniczych manewrów na tak dużą skalę. Przerzucanie samolotów i śmigłowców miało się rozpocząć o czternastej.

Krótko przed dziesiątą trzydzieści eskadra admirała Gillmore[^] była już na przewidzianych pozycjach i fregaty rozpoczęły żmudne „oranie” morza między Palmą a Hierro sonarami stałymi i holowanymi.

Poniedziałek, 5 października 2009 r., godzina 8.00. 2730N/02450W

Barracuda II wciąż płynęła z żółwią prędkością sześciu węzłów na głębokości stu pięćdziesięciu metrów. Kontradmiral Badr sprawdził zliczoną pozycję; byli o trzysta pięćdziesiąt mil od linii dwóch najdalej wysuniętych wysp archipelagu, Palmy i Hierro. Wschodni kurs poprowadzi ich o dwadzieścia mil na południe od tej ostatniej. Jak dotąd, nie było słychać poszukujących ich okrętów podwodnych ani nawodnych. Badr dwukrotnie odważył się podejść na peryskopową, by szybko sprawdzić pozycję GPS. Problemu nie było: system pracował jak zawsze nienagannie.

Od obszaru przeczesywanego aktualnie przez fregaty ko-modora Gillmore'a dzieliły Barracuda II jeszcze niespełna trzy dni drogi. Po dopłynięciu na wysokość Punta de la Restinga, południowego cypla Hierro, okręt znajdzie się w odległości kilkunastu mil od rejonu patrolowania Nicholasa, o ile kapitan Nielsen nie przejdzie do tego czasu pod Teneryfę. Gdyby tak się stało, szansę Barracudy II na niepostrzeżone przemknięcie się mogłyby się podwoić, gdyż ta największa z Wysp Kanaryjskich leży o dwadzieścia kilka mil bardziej na północ od Hierro. Odległość między irańsko-palestyńskim podwodniakiem a najbliższą jednostką US Navy wynosiłaby w tym momencie ponad czterdzieści mil morskich. Gra się jednak dopiero rozpoczynała.

Cztery i pół tysiąca kilometrów na zachód od aktualnej pozycji Barracudy II słońce zaczynało się właśnie wspinać na zachmurzone niebo. Nie tylko w wielkich miastach Wschodniego Wybrzeża USA trwała gorączkowa ewakuacja ludności i mienia. Na całej linii brzegowej podobne prace i akcje na mniejszą skalę prowadzono w setkach miejscowości rozsianych wzdłuż atlantyckiego brzegu. Na skalistych, porośniętych drzewami wyspach stanu Maine o tej porze roku jest już zimno; większość właścicieli jachtów schowała je już do ai garów i uciekła na południe przed nieprzyjemną tutaj jesnią. Na stałym lądzie temperatury panowały jeszcze ni w listopadzie często spada tam pierwszy śnieg- JNa wy p

zostali właściwie sami ich stali mieszkańcy – rodziny nieustraszonych rybaków, poławiaczy słynnych homarów, tak cenionych przez gości restauracji w całych Stanach Zjednoczonych i nie tylko. Na całym tym wybrzeżu nie ma ani jednego portu czy przystani, które by się ostały w obliczu kataklizmu, jaki miał wkrótce nadciągnąć. Żeby ci dzielni ludzie mogli zachować swoje łodzie i kutry, należało je albo wyciągnąć na ląd i przewieźć na wyższe tereny, albo zaryzykować i zakotwiczyć je pod osłoną którejś z ponad trzech tysięcy wysp, jakie strzegą tego odcinka lądu przed atlantyckimi sztormami. Są one w przeważającej większości dość wysokie i strome; być może nie na tyle, żeby zupełnie powstrzymać nieubłagany bieg gigantycznego tsunami, ale mogły je nieco zbić z tropu. Niewykluczone, że fala może je ominąć i wdrzeć się w utworzone przez nie podobne do fiordów cieśniny, ale nie porwie zakotwiczonych łodzi i nie roztrzaska ich gdzieś o ląd. Rybacy z Maine są przyzwyczajeni do złej pogody. Większość z nich spokojnie przenosiła się z kutrami na osłonięte wody, wierząc, że i tym razem ich wyspy ochronią je przed żywiołem, w jakiś sposób rozpraszając niszczycielską siłę tsunami. Oni sami wraz z rodzinami byli przewożeni na stały ląd, gdzie krewni, przyjaciele czy po prostu chętni do pomocy nieznajomi czekali z samochodami, by zabrać ich do swych domów bezpiecznie położonych na wzgórzach. Poza sezonem ludzie z Maine są zamkniętą, związaną ze sobą społecznością; na prawie dziewięćdziesięciu tysiącach kilometrów kwadratowych na stałe zamieszkuje tam nieco ponad milion osób. W takich wyjątkowych sytuacjach sąsiedzi są sobie bliscy jak rodzina.

Nieco groźniej sytuacja się przedstawiała w miejscowości Provincetown, położonej na samym krańcu wąskiego półwyspu Cape Cod, nieopodal Bostonu. Zamieszкана przez ludzi zamożnych i artystyczne dusze, jest osłonięta przed Atlantykiem tylko przez niskie, porośnięte trawą wydmy. W poniedziałek po południu była już jak wymarła. Kto mógł, zabierał łódź lub dobytek na przyczepę i wynosił się na zachód; pozostali zostawiali wszystko, licząc, że ich domy jakimś cudem przetrwają. Lloyd's i inne firmy ubezpieczeniowe mogły się spodziewać zalewu korespondencji od swoich klientów z tych okolic i wcale im się to nie uśmiechało.

Policja stanowa z Massachusetts pilnowała, aby wszyscy mieszkańcy nadmorskich osiedli wyjechali. Wszystkie drogi dojazdowe do biegnącej wzdłuż wybrzeża autostrady numer 6A zamieniono w jednokierunkowe. Nikomu nie wolno było wrócić, dopóki niebezpieczeństwo nie minie. Nie inaczej było na płaskich brzegach stanów Rhode Island i Connecticut. I tam wiele miejscowości było skazanych na zagładę, gdyby rakiety kontradmirała Badra dosięgły celu. W Newport, miasteczku żeglarzy, niewiele brakowało do zbiorowego załamania nerwowego. Niektóre z cumujących tu zazwyczaj w sezonie najdroższych jachtów, jakie kiedykolwiek zbudowano, nie zostały jeszcze wyciągnięte do hangarów bądź odprowadzone na cieplejsze morza. Siedziba Jachtklubu Nowojorskiego, położona u wejścia do portu, prawdopodobnie jako pierwsza zostałaby zniszczona, a czy górujący nad okolicą most ocaleje, można było tylko zgadywać.

Dalej wzdłuż wybrzeża pełno było równie zagrożonych małych miejscowości, im bliżej Nowego Jorku, tym zamożniejszych, żeby nie powiedzieć: ekskluzywnych. „Złote Przedmieścia” Connecticut – Bridgepoint, Norwalk, Stamford, Darien i Greenwich – pełne były wartych miliony dolarów posiadłości, których właściciele wbrew wszystkiemu mieli nadzieję, że oddzielająca ich wybrzeże od oceanu długa i szeroka Long Island weźmie na siebie główne uderzenie potwornej fali i osłoni ich wypiełgnowaną własność.

Najwięcej zmartwienia władzom stanowym i federalnym przysparzał jednak port i typowe marynarskie miasto New London – jedna z wielkich baz okrętów podwodnych i stoczni Electric Boat Company, w których są one budowane. Na jego licznych nabrzeżach od kilku dni trwała wytężona, gorączkowa praca. Zacumowane tam duże nuklearne okręty szykowano do jak najszybszego wyjścia w morze, aby pełną prędkością podążyły na południe, ku osłoniętym wodom zachodniej Florydy. Kadłuby nowo budowanych jednostek odholo-wywano po kilkanaście kilometrów w górę rzeki, gdzie mogły się znaleźć poza zasięgiem katastrofalnej fali-

Na południe od Nowego Jorku rozciągały się niskie, równinne wybrzeża New Jersey i Marylandu, Wirginii i obu Karolin, nie osłonięte niczym poza wąskimi mierzejami, mewie-

le wystającymi ponad przybrzeżne płycizny. Na samej granicy stanu Georgia leży jego najstarsze miasto, Savannah, miejsce śmierci bohatera Stanów Zjednoczonych Kazimierza Pułaskiego. Dziesięć tysięcy żołnierzy pomagało tam w ewakuacji; strach było nawet pomyśleć o zniszczeniach, jakie czekają to zabytkowe, kolonialne miasto, tak pieczołowicie zachowane przez trzy stulecia i jednocześnie tak bezbronne wobec furii grożącego żywiołu.

Ostatnim narażonym na spustoszenie lądem USA była oczywiście Floryda. Ten półwysep o długości sześciuset kilkudziesięciu kilometrów od Jacksonville po Miami praktycznie nie ma wzgórz, a leżący nieopodal jego brzegów archipelag Bahamów stanowi lichą osłonę. Na południe od Florydy leży już tylko łańcuch małych wysp Florida Keys, z żeglarskim rajem Key West na końcu. Każda z nich nieraz musiała się opierać atakom częstych w rejonie Zatoki Meksykańskiej huraganów, ale tsunami nie widziały od czasów, gdy Egipcjanami rządzą faraonowie.

Całe Wschodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych było zupełnie bezsilne w obliczu takiego kataklizmu. Generał Ra-szud zaplanował swój atak po mistrzowsku, nie pozostawiając Amerykanom innego wyjścia, jak tylko spakować, co się da, i brać nogi za pas – chyba że admirałowi Gillmore'owi i jego ludziom uda się znaleźć Barracudę II.

ROZDZIAŁ 12

Poniedziałek, 5 października 2009 r., godzina 17.00. 2948N/01335W

W ramach operacji „Przypływ” przeprowadzona została jedna z największych i najbardziej skomplikowanych akcji wymiany samolotów pomiędzy lotniskowcami w najnowszej historii. Harry S. Truman i Ronald Reagan szły kursami równoległymi w odległości pół mili od siebie. Pogoda nie była sprzyjająca; wiał porywisty wiatr z południowego zachodu, niosąc zacinający deszcz. Na papierze operacja wyglądała prosto: przenieść pięćdziesiąt śmigłowców seahawk z Trumana na Reagana. Jednak na pokładzie tego ostatniego tłoczno już było od samolotów. Z hangaru wyjechała większość z osiemdziesięciu czterech maszyn, należących do czterech najślawniejszych eskadr amerykańskiego lotnictwa morskiego. Nowymi myśliwcami bombardującymi F-14D Tomcat latali piloci z VF-2 Bounty Hunters. Pozostałe trzy eskadry – VMFA-323 Death Rattlers, VFA-151 Vigilantes i VFA-137 Kestrels – miały na wyposażeniu samoloty F/A-18C Hornet. Oprócz nich na lotniskowcu były jeszcze prowlerzy i wikingi, stojące w bezpiecznej odległości od głównego pasa startowego, no i najdroższe, największe samoloty wczesnego ostrzegania i kontroli ruchu E-2C Hawk-eye, sokolim radarowym okiem omiatające niebo i morze na wiele dziesiątek mil wokół okrętu i samolotów bojowych, zawsze „zaparkowane” tuż przy nadbudówce i gotowe do zajęcia pozycji na rufowej katapulcie, w każdej akcji startujące jako pierwsze. Żaden amerykański lotniskowiec nie rusza się z portu bez co najmniej trzech takich maszyn na pokładzie. Prowlerzy, wikingi i hawk-eye nie brały udziału w transferze; myśliwce Reagana czekały na rozkaz startu.

Na pokładzie Trumana seahawki stały wzdłuż głównego pasa startowego, ze złożonymi wirnikami. Do startu przygotowywano pierwszą szóstkę. US Navy dysponuje trzema setkami tych wyspecjalizowanych w zwalczaniu okrętów podwodnych śmigłowców, wyposażonych w najnowsze urządzenia detekcyjne i silnie uzbrojonych, ale jeszcze żaden z nich nie podlegał tak surowym rozkazom jak ta pięćdziesiątka. Admirał Gillmore szczegóły transferu pozostawił w gestii dowódców obu lotniskowców. Dwaj kapitanowie zdecydowali, że przy tej pogodzie najbezpieczniej będzie dokonywać wymiany grupami po sześć maszyn. Osobno przerzucano obsługę techniczną śmigłowców. Specjalnie w tym celu został zabrany z Norfolku helikopter sea stallion, przeznaczony do przewozu trzydziestu ośmiu marines w warunkach bojowych. Dziś kursował tam i z powrotem między dwoma lotniskowcami, a jego pasażerami byli w jedną stronę technicy z bagażem części zapasowych do seahawków, w drugą obsługa myśliwców, wracająca do kraju wraz ze swymi maszynami.

Pierwsza szóstka seahawków była gotowa do startu. Oficer kierujący czynnościami załogi pokładowej, zwany kontrolerem pokładu, dał sygnał i śmigłowce jeden po drugim wzbily się pionowo w powietrze, skręcając ostro w lewo i formując wydłużony konwój, szerokim łukiem kierujący się na płynący w pobliżu drugi lotniskowiec. Na pokładzie Trumana było miejsce dla pierwszej szóstki tomcatów z Reagana, na którym panował teraz ożywiony ruch. Czerwone światło na maszcie sygnałowym nadbudówki oznajmiało: „Cztery minuty do startu”. Pierwszy myśliwiec był już na pozycji, pilot i obsługa pokładowa zakończyli ostatnie oględziny maszyny. Wkrótce światło zmieniło się na żółte: „Dwie minuty”. Jeden z marynarzy połączył katapultę z tłokiem hydraulicznym. Zielone światło... „Strzelec”, porucznik Jack Snyder, uniósł prawą rękę, mierząc dłonią w pilota, po czym uniósł lewą, pokazał mu dwa palce... „Pełna moc!”... Wyprostował palce... „Włączyć dopalacze!”... Pilot zasalutował i pochylił się lekko do przodu, napinając mięśnie w oczekiwaniu na gwałtowne pchnięcie katapulty. Porucznik Snyder, nie spuszczać oka z kokpitu myśliwca, odsalutował, po czym ugiął kolana, dotykając jedną ręką pokładu, drugą wyrzucając przed siebie w stronę

dziobu... „Start!” Klęczący na wąskim pomoście obok samolotu marynarz nacisnął guzik uruchamiający katapultę, kuląc się szybko, gdy potężna siła ciśnienia oleju hydraulicznego pchnęła tomcata naprzód. Z wyciem silników na maksymalnym ciągu samolot pomknął wzdłuż pasa, zostawiając za sobą smugę gorących gazów. Jak zawsze przy starcie, wszyscy na pokładzie, na mostku i w centrali kierowania lotami wstrzymali na parę sekund oddech, czekając, aż samolot wy-pryśnie nad rampę dziobową i zacznie nabierać wysokości, odchodząc na dwadzieścia pięć mil, aby potem zatoczyć krąg i rozpocząć manewr podejścia do lądowania na Trumanie.

W krótkich, kilkuminutowych odstępach załoga pokładowa Reagana wyprawiła kolejne pięć samolotów, a zaraz potem kontroler dał znak, że nadlatują śmigłowce. Tymczasem na drugim lotniskowcu ich koledzy szykowali się do jeszcze trudniejszej operacji przyjmowania lądujących myśliwców. Tomcat, maszyna ważąca dwadzieścia dwie tony, nie podchodzi do lądowania statecznie i elegancko jak pasażerski liniowiec, mający do dyspozycji parę tysięcy metrów pasa startowego, ale nadlatuje nad kołyszący się kilkusetmetrowy pokład, często w fatalnych warunkach atmosferycznych, przeważnie z resztkami paliwa w zbiornikach, i uderza podwoziem o stal, podczas gdy pilot zanoszą błyskawiczne modły, żeby lina hamująca złapała hak na ogonie i wstrzymała pędzący z prędkością trzystu kilometrów na godzinę samolot. Na lotniskowcu nie ma czasu na przełączanie ciągu i hamowanie silnikami. Jeśli hak nie zahaczy o linę, pilot ma ułamek sekundy na raptowne pchnięcie manetki, dodanie gazu i próbę ponownego startu, zanim warta czterdzieści milionów dolarów maszyna runie w morze z drugiego końca pokładu albo zboczy z drogi, uderzając w inne stojące samoloty – a to wszystko w pobliżu milionów litrów benzyny lotniczej w zbiornikach okrętu. Niezależnie od doświadczenia lotnika i liczby lądowań, jakie ma za sobą, każdy taki manewr na rozkołysanym lotniskowcu zawsze jest ogniową próbą nerwów i umiejętności, w której stawką jest życie.

Na zlewanej deszczem rufie Trumana oficer sygnałowy, wysoki i chudy Teksaszczyk Eugene Espineli, był w stałym kontakcie radiowym z pilotem nadlatującego z odległość-

ci dwudziestu mil tomcata, starając się nie spuszczać go z uzbrojonych w lornetkę oczu. Odpowiedzialny za działanie systemu hamującego młodszy chorąży Taylor Cobb, przekrzykując wicher, wydawał przez telefon polecenia obsłudze siłowników hydraulicznych, omiatając wzrokiem pokład w poszukiwaniu jakichkolwiek luźnych przedmiotów, jakie mogłyby zostać wessane do silnika samolotu, narażając go na eksplozję. Po raz piąty sprawdzał, czy stalowe sploty liny hamującej nie mają pęknięć. Pod potężnym obciążeniem mogłyby się zerwać, zabijając kilku ludzi z obsługi, nie mówiąc o pewnej w takim wypadku katastrofie lądującej maszyny.

–Uwaga na tomcata! Dwie minuty!

Napinające linę hydrauliczne siłowniki były odpowiednio ustawione, by przejąć na siebie energię rozpędzonego samolotu, elastycznie zapobiegając zerwaniu. Teraz już wszyscy widzieli nadlatującego myśliwca. Obserwowali, jak pilot, porucznik J.R. Crowell, stara się prowadzić go równo, pod kątem paru stopni do płaszczyzny pokładu, walcząc z nieprzewidywalnymi podmuchami. Harry S. Truman kołysał się na atlantyckiej martwej fali, płynąc z prędkością osiemnastu węzłów prosto pod wiatr. Kąt przechyłów wzdłużnych nie był duży, zaledwie półtora do dwóch stopni, jednak przy tej długości okrętu przekładało się to na kilkumetrowe pionowe ruchy dziobu i rufy.

–Uwaga! – krzyknął chorąży Cobb, a dwadzieścia sekund potem: – Teraz!

Wszyscy odsunęli się od mechanizmów hamowania. Na pokładzie marynarze z obsługi lądowania podsunęli się do wyłożonego miękko luku, do którego wskoczyliby, gdyby pilot popełnił błąd i uderzył o rufę.

–Rampa! – wrzasnął Cobb.

W sekundę potem podwozie tomcata dotknęło pokładu. Załoga odetchnęła, gdy lina hamująca zaczepiła się o hak pod ogonem maszyny i błyskawicznie uniosła się w górę wydłużonym, drgającym „V”. W następnej chwili myśliwiec stał już nieruchomy i bezpieczny. Grupa marynarzy rzuciła się sprintem ku niemu, by odholować go na wyznaczone miejsce postojowe. Tymczasem na swym stanowisku na rufie Eugene Espi-neli rozmawiał już z następnym tomcatem.

–Podejście sto osiem... wiatr w porywach do dwudziestu pięciu węzłów... lotki w dół... hak w dół... widzę cię... idziesz dobrze, podchodź...

Kolejno powtarzali te same czynności przy następnych lądowaniach. Kiedy szósty myśliwiec stał już bezpiecznie na pokładzie, w powietrze wzbiła się następna szóstka seahawków, a z Reagana wystartowało sześć tomcatów. Wymiana trwała nieprzerwanie jeszcze przez sześć godzin i zakończyła się dopiero przed północą. Zmęczone załogi pokładowe i piloci mogli wreszcie wracać do swych kabin i kubryków. Harry S. Truman położył się na kursie zachodnim – do domu. Obsady śmigłowców już w większości spały na Reaganie; o świcie miały rozpocząć długie, żmudne patrole w poszukiwaniu wrogiego okrętu podwodnego. Dopóki go nie znajdą, niewiele zaznają odpoczynku.

Kiedy powietrze nad wschodnim Atlantykiem wypełniał ryk silników startujących i lądujących maszyn, o cztery i pół tysiąca kilometrów na zachód też trwała inna całodobowa, nieprzerwana akcja, część składowa operacji „Przyptyw”.

Nowy Jork był dziesięciokroć bardziej narażony na zniszczenia wskutek tsunami niż leżący dość daleko od wybrzeża Waszyngton. Wieżowce Wall Street byłyby wprawdzie największą przeszkodą na drodze fali, ale nawet one nie mogłyby powstrzymać mocy, która już wcześniej zburzyłaby most Verrazano, cisnęła wesołym miasteczkiem z Coney Island o Brooklyn Heights i na dno Zatoki Nowojorskiej posłała Statuę Wolności. Ekipy inżynierów i naukowców starały się teraz ocenić, czy najwyższe budynki Manhattanu oprą się pierwszemu atakowi oceanu, prowadząc wizje lokalne od piwnic po dachy. Rozbieżności w opiniach były duże, w zasadzie większość zgadzała się tylko co do jednego: ostatecznie zaledwie kilka konstrukcji będzie się wciąż jako tako trzymało, kiedy żywioł się uspokoi. Najgorzej to wyglądało w śródmieściu, gęsto zabudowanym drapaczami chmur zamieniającymi ulice w kaniony. Część uczonych twierdziła, że jeśli tsunami przewróci choćby dwa lub trzy wysokie budynki, wystąpi efekt domina i cała dzielnica zostanie zrównana z ziemią. Największe niebezpieczeństwo przedstawiały dwie rzeki opływające

wyspę Manhattan od wschodu i zachodu: Hudson i East River. Spodziewano się, że poziom wody w obu tych głębokowodnych kanałach, dostępnych dla dużych statków oceanicznych, podniesie się początkowo o trzydzieści metrów i miliony ton wody runą w sieć ulic. Fale z obu rzek wpadłyby na siebie gdzieś pośrodku wyspy, w okolicach Parku Centralnego. Nowojorskie City zdecydowanie nie było miejscem, w którym warto by przebywać w chwili uderzenia żywiołu. To samo dotyczyło Staten Island, Brooklynu, Queens i Bronksu. Niskie równiny New Jersey były jeszcze bardziej bezbronne; miasta Bayonne, Jersey City, Hoboken i Union City były po prostu skazane na zagładę, podobnie jak Newark ze swym położonym niemal na poziomie morza jednym z trzech nowojorskich lotnisk międzynarodowych, tam gdzie rzeka Passaic rozszerza się i tworzy zatokę Newark. Bez wątplenia był to kraj wymarzony dla tsunami.

Evakuacja Nowego Jorku rozpoczęła się w środę. W przeciwieństwie do Waszyngtonu największym problemem władz nie były skarby kultury, ale ludzie. To miasto codziennie odwiedza więcej osób, niż stolica wraz z przyległościami liczy mieszkańców. Nowojorczyków jest osiem milionów, gości osiemset tysięcy. Jest to barwny tygiel ras, wyznań i narodowości, który w czasie kryzysu może stanowić mieszanekę piorunującą. Imigranci z Dalekiego Wschodu, Indii i Meksyku przybywali tu tysiącami od wielu lat. Większość z nich nie ma żadnych znajomych ani krewnych poza swoimi etnicznymi dzielnicami. W takiej ekstremalnej sytuacji ci ludzie nie mieli dokąd wyjeżdżać ani gdzie się schronić. Parę dni po pierwszym telewizyjnym wystąpieniu prezydenta Bedforda Tammany Hali* przejęła na siebie odpowiedzialność za ewakuację dwóch milionów nowojorczyków i zapewnienie dachu nad głową i wyżywienia dla tych, którzy tego potrzebują i którzy prawdopodobnie straciliby wszystko, co posiadają.

Exodus z miasta się zaczął. Od razu pojawiły się poważne

* Nazwa siedziby organizacji politycznej Tammany. Założona w zaraniu historii Stanów Zjednoczonych (w 1789 roku), z początku miała zasięg ogólnokrajowy, później ograniczony do samego Nowego Jorku. Ma charakter liberalny i jest związana z partią demokratyczną.

problemy, wynikające z samej liczby ludzi, których należało wywieźć na zachód. Większość była przerażona, wstrząśnięta i bliska paniki. Plotki szerzyły się jak epidemia, ludzie na przemian to tłoczyli się w kolejkach po jedzenie, to szukali masek gazowych, to znów rzucali się do masowej ucieczki, spędzając w efekcie wiele godzin w niewyobrażalnych dotąd nawet dla nowojorczyków korkach. Wszyscy byli podminowani i wojsko z Gwardią Narodową ledwo dawały sobie radę z utrzymaniem porządku. Do City ściągano setkami gwardzistów z całego stanu, aby zapobiec wybuchowi zamieszek.

Komenda miejska policji wydała już zalecenia dla zamożniejszych obywateli, by wyjeżdżali jak najszybciej na prowincję. Na autostradach został wprowadzony ruch jednokierunkowy, określono też wyraźnie, z których dróg można i należy korzystać. Jeśli mieszkasz w Brooklynie czy na Long Island, masz jechać przez most Verrazano na Staten Island i dalej przez płatny most Outerbridge, teraz otwarty na wszystkich pasach, ku autostradom US-1 i Interstate-287, biegnącym na zachód i południowy zachód. Mieszkańców Queens i Manhattanu kierowano przez tunele Holland i Lincoln na drogi numer 495 i Pułaskiego. Most Waszyngtona był niedostępny dla ruchu publicznego, zarezerwowany wyłącznie dla potrzeb wojska, policji i rządu. Dwadzieścia cztery godziny na dobę ciągnęły tamtędy w obie strony konwoje ciężarówek.

Przez weekend pojawił się nowy problem. Tysiące ludzi, z których wielu ledwo się potrafiło porozumieć po angielsku, bało się lub nie chciało czekać na swoją kolej ewakuacji przez wojsko czy policję; niektórzy zresztą bardziej się obawiali tych instytucji niż tsunami. Brali zatem sprawy we własne ręce: kupowali za grosze i doraźnie naprawiali całe armady starych samochodowych wraków, nie tylko nie nadających się do ruchu na drogach publicznych, ale wręcz niebezpiecznych dla swych właścicieli i dla innych kierowców. Ten rozklekotany, pozbawiony hamulców złom włączał się do głównego nurtu pojazdów wypełniających ulice i drogi wylotowe.

W niedzielę wieczorem korki były już takie, jakich nikt nie pamiętał. Ludzie siedzieli na chodnikach i poboczach obok swoich samochodów wypełnionych dobytkiem. Pojazdy poruszały się o metr czy dwa, by znów stanąć na kilka, a na-

wet kilkanaście minut. Wystarczyło, że gdzieś w przedzie w jednym z reanimowanych wraków wysiadł zużyty akumulator, by cała kolumna utkwiała na dobre. Na mostach Triboro i Queensboro oba poziomy były szczelnie wypełnione samochodami. Korki zablokowały Whitestone, Throg's Neck, autostradę West Side. Tunele Holland i Lincoln bardziej przypominały podziemne parkingi niż arterie łączące Manhattan z resztą świata.

W poniedziałek rano burmistrz Nowego Jorku wydał edykt nadający policji miejskiej specjalne uprawnienia do konfiskaty każdego zepsutego wozu na ulicach i przekazania go Gwardii Narodowej. Puste przestrzenie pod estakadami dróg i mostami zamieniano w tymczasowe złomowiska; w tym samym celu burzono płoty wokół miejskich boisk sportowych dla ułatwienia dojazdu. Gwardziści ściągali unieruchomione pojazdy z ulic i mostów, bezceremonialnie spychając je na dostępne wolne miejsca.

Burmistrz ogłosił już Nowy Jork rejonem potencjalnej klęski żywiołowej i polecił wojsku przejąć kontrolę nad metrem i kolejją; miały one posłużyć do ewakuacji Manhattanu i Long Island. Szło to jednak opornie. Na alejach Siódmej i Ósmej tworzyły się długie kolejki ludzi, godzinami czekających na wejście na dworzec Penn. W sumie jednak pociągi stanowiły dogodny i pojemny środek transportu. Urzędników z Amtrac i Long Island Railroad ściągnięto do ratusza, by pomagali w koordynacji i zarządzaniu operacją.

Do prawdziwych rozruchów omal nie doszło z powodu postawy niektórych firm transportowych, które żądały poczwórnych cen za wynajem ciężarówek. Bossowie chcieli się zabezpieczyć, nie mając pewności, czy wozy kiedykolwiek do nich wrócą, ale dla klientów było to jawne zdzierstwo, cyniczna próba ich ograbienia w obliczu grożącej katastrofy. Trzech narwańców podłożyło nawet ogień w jednej z firm na Lower East Side; spłonęło biuro i trzy samochody. Strażacy nie zdążyli na czas, by je uratować, a przybyli na miejsce gwardziści nie okazali właścicielowi specjalnego współczucia. Komendant policji i burmistrz zareagowali szybko, zabraniając wszelkiego podnoszenia cen na usługi transportowe. Dodali też, że jeżeli firmy nie chcą w takich warunkach dalej pro-

wadzić wynajmu, mają do tego prawo; zarazem jednak Gwardia Narodowa została upoważniona do rekwirowania wszystkich środków transportu na terenie Nowego Jorku. Rozporządzenie wyszło o parę godzin za późno dla innej firmy na Lower West Side, gdzie rozjuszeni żądaniem przez właściciela stawki tysiąca dolarów za dzień wynajmu niewielkiego wozu dostawczego ludzie wdarli się do biura, obezwładnili czterech pracowników, zabrali wiszące na ściennej tablicy kluczyki i zniknęli z dwudziestoma sześcioma bagażówkami. I w tym wypadku policja niewiele mogła – ani nie chciała – pomóc. Wszyscy funkcjonariusze we wspólnych patrolach z żołnierzami chodzili od domu do domu, systematycznie zmuszając mieszkańców całych dzielnic do opuszczania miasta, pomagając im przy wynoszeniu rzeczy i wydając instrukcje co do kierunku ewakuacji. Było to tytaniczne zadanie, zwłaszcza na Middle i Upper West Side, gdzie wzdłuż alei Pierwszej, Drugiej i Trzeciej między Pięćdziesiątą Siódmą Ulicą a Sutton Place stoi tyle wielkich bloków mieszkalnych. Wszyscy turyści i odwiedzający Nowy Jork w interesach albo już wyjechali, albo byli w drodze. Pod koniec poprzedniego tygodnia otrzymali instrukcje, by nie zwlekając, opuścić miasto. Na polecenie burmistrza wojsko objęło kontrolę nad firmami autobusowymi i wzięło na siebie odwożenie turystów na lotniska. Departament Stanu ostrzegł obce rządy o nadchodzącym kataklizmie i poinformował amerykańskie ambasady na całym świecie, że obowiązuje absolutny zakaz przylotów na całe Wschodnie Wybrzeże. Linie lotnicze poproszono o przysyłanie pustych samolotów, by usprawnić wywożenie gości z JFK, La Guardii i Newark. Samoloty, które już były w drodze do Nowego Jorku, kierowano do Toronto, gdzie miały uzupełnić paliwo i wracać, skąd przybywały. Port morski też nie przyjmował żadnych statków, odprawiano jedynie w morze te, które już w nim cumowały. Zamknięte były szkoły i uczelnie, przedsiębiorstwa usługowe, produkcyjne i handlowe zaprzestały działalności, pracowały jedynie te firmy, które brały udział w ewakuacji. Chodziło tu przede wszystkim o to, aby maksymalnie zredukować normalny ruch na ulicach i w ten sposób ułatwić działanie wojsku i policji.

Zamknięcie sklepów i magazynów przypomniało planistom z Tammany Hali jeszcze jedno widmo z przeszłości: wydarzenia z lata 1977 roku, kiedy wielka awaria energetyczna pogrążyła miasto w niemal absolutnej ciemności. Kryminalistom zajęło najwyżej dziesięć minut uświadomienie sobie wspaniałej nowiny: nie ma światła, nie działają zabezpieczenia i alarmy! Do świtu dokonano setek, jeśli nie tysiący włamań jak Nowy Jork długi i szeroki, a łupem złodziei padły towary za miliony dolarów. Tym razem sytuacja nie była aż tak groźna – energii elektrycznej nie brakowało, a miasto patrolowały tysiące policjantów i gwardzistów, złodzieje zaś musieli się obawiać o własne życie. Niemniej całe wyludnione dzielnice i sklepy pełne wszelakich dóbr stały nie pilnowane, kusząc łatwą zdobyczą. Policja pracowała niejako falami, koncentrując się na niektórych rejonach i poruszając się w dużej grupie, za sobą zostawiając ziemię niczyją. Sygnały o dwóch poważnych włamaniach nieopodal dużego domu towarowego Macy's na Trzydziestej Czwartej Zachodniej zwróciły uwagę władz na ten problem i odtąd w ślad za policją posyłano do opustoszałych dzielnic silne patrole Gwardii Narodowej. Radiowozy wolno krążyły po ulicach, gromko informując przez głośniki każdego, komu się chciało słuchać, że od tej pory dany rejon jest zamknięty dla ruchu pieszego i dla prywatnych samochodów. Zapowiadano głośno i wyraźnie: **DO ZŁODZIEI STRZELAMY BEZ OSTRZEŻENIA.** Zakrawało to na dyktaturę wojskową, co w amerykańskiej demokracji mogło się wydawać nie do pomyślenia; stanowisko Pentagonu było jednak niewzruszone – taką operację można przeprowadzić, tylko bezwzględnie stosując żelazne reguły. Obywatele muszą się pogodzić z tym, że trzeba wykonywać polecenia, i to natychmiast, dokładnie i bez wyjątków. Na biurku burmistrza leżały wytyczne sporządzone przez wszechwładnego teraz admirała Morgana i doszlifowane w szczegółach przez szefostwo sztabu armii. Żadnych protestów, żadnych dyskusji, przerw ani innych rozwiązań. To miała być operacja ściśle militarna i władze miejskie otrzymywały rozkazy, nie sugestie. Działać i nie gadać. I to się w sumie sprawdzało. Oczywiście było z początku trochę zaburzeń, trafiały się próby rabunku, ale widok przyłapanych na gorącym uczynku spraw-

ców ładowanych pod lufami pistoletów maszynowych na ciężarówce i wywożonych Bóg wie gdzie studził zapędy tych, którym po głowie chodziły podobne pomysły.

Podobnie jak w Waszyngtonie, także i tutaj poważny problem stwarzali więźniowie i personel placówek penitencjarnych. Nowojorski Wydział Poprawczy miał aktualnie na swych listach ponad dziewiętnaście tysięcy skazanych, których pilnowało dziesięć tysięcy funkcjonariuszy straży więziennej i półtora tysiąca pracowników cywilnych. Więzień jest w Nowym Jorku kilka; główny ośrodek znajduje się na wyspie Rikers, leżącej na East River vis-a-vis lotniska La Guardia, gdzie oprócz otoczonych murem zabudowań wielkości Kremla stoją zakotwiczone dwa pływające więzienia, przebudowane promy pasażerskie. Oczywiście cały ten kompleks nie miałby szans na przetrwanie, gdyby kontradmirałowi Badrowi udało się trafić w Cumbre Vieja. Oprócz Rikers Island są też zakłady karne na samym Manhattanie, w Queens i po dwa w Brooklynie i Bronksie; jedno z tej ostatniej dzielnicy również było przebudowaną barką, mieszczącą osiemset osób. Komendant policji niezwłocznie podjął decyzję o przedterminowym zwolnieniu tych więźniów, którzy nie stanowili zagrożenia publicznego na przyszłość. Resztę przewożono do ośrodków penitencjarnych leżących w bezpiecznej odległości od wybrzeża w czterech sąsiednich stanach. Na środek transportu wybrano kolej, którą łatwiej było zarządzać i zabezpieczyć niż w wypadku pojazdów samochodowych i zatłoczonych autostrad.

Istne pandemonium panowało od pięciu dni w twierdzy biznesu – na Wall Street. Pamiętny atak terrorystyczny na World Trade Center zmusił wiele amerykańskich i międzynarodowych korporacji przemysłowych, handlowych i finansowych do przeglądu i uaktualnienia swoich strategii kryzysowych. W przedsiębiorstwach opracowywano procedury awaryjne, mające umożliwić jak najszybsze przywrócenie normalnego funkcjonowania po katastrofie, myślano też o stworzeniu zapasowych siedzib i systemów na wypadek zniszczenia głównych biur. Jednak tylko niewiele korporacji stworzyło naprawdę przemyślane i skuteczne sposoby działania. Wiele firm wciąż stało w obliczu tych samych problemów, ja-

kie wynikły po 11 września 2001 roku. Niektóre z nich co prawda miały zapasowe struktury organizacyjne i techniczne, ale mieszczące się również na Manhattanie, a więc w obecnej sytuacji bezużyteczne. Inne firmy usiłowały zaoszczędzić sobie wydatków i wynajmowały zaplecze informatyczne u usługodawców, którzy dysponowali sporą cyberprzestrzenią do magazynowania danych, ale prawie żadną fizyczną, gdzie mogliby zasiąść za biurkami pracownicy ratujący interesy swojego przedsiębiorstwa po utracie własnej siedziby.

Groźba tsunami raptownie i dobitnie przypomniała o innym potencjalnym zagrożeniu: awarii systemowej, która może na długo wyłączyć z biznesu kilka największych instytucji finansowych świata. W ten październikowy poniedziałek nowojorskie City stało w obliczu najstraszniejszego efektu domina, zdolnego załamać cały globalny system finansowy.

Po 11 września sprawująca nadzór nad operacjami finansowymi Komisja Giełdy i Papierów Wartościowych (Security and Exchange Commission) wydała surowe ostrzeżenie, narzucając najpoważniejszym instytucjom konkretne wymagania co do dopuszczalnego czasu powrotu do normalnego działania i minimalnych odległości między siedzibami firm a ich zapasową infrastrukturą. Niektóre korporacje, jak IBM, potraktowały te wymagające dużych nakładów plany priorytetowo i dziś mogły zapewne dać sobie radę na wypadek tsunami. IBM zainteresowała się na przykład terenami na wzgórzach Kittatinny w zachodnim New Jersey, szukając tam miejsca na budowę nowego kompleksu biurowego, który zapewniłby jej „pełną odporność informatyczną”, czyli możliwość równoległego magazynowania i przetwarzania danych. Ostatecznie zarząd IBM zdecydował się na Sterling Hill i zainwestował duże pieniądze w utworzenie Centrum Odbudowy i Ciągłości Działania, biurowego labiryntu położonego wśród lasu o pięćdziesiąt kilka kilometrów na północny zachód od Wall Street, częściowo ukrytego pod ziemią w dawnej kopalni. Wielu klientów korporacji płaciło comiesięczny czynsz za utrzymywanie dla nich bezpiecznych i dobrze wyposażonych biur wraz z pełnym zapleczem informatycznym -na wypadek, gdyby kiedykolwiek okazały się potrzebne.

Przykład IBM skłonił kilka innych przedsiębiorstw z Man-

hattanu do postawienia takich zapasowych siedzib w górach New Jersey. Od pięciu dni urzędnicy, dyrektorzy, bankierzy, maklerzy i cała armia pracowników odpływała z miasta nie kończącym się konwojem samochodów na zachód. W miejscowych zakładach energetycznych raptowny skok obciążenia zaszyfrował uruchomienie tych kryzysowych zapleczy korporacyjnych, które przejmowały funkcje zamykanych głównych siedzib nowojorskich. Na Wall Street do ostatnich chwil pracowali technicy komputerowi, demontując, pakując i ekspedując w góry serwery, twarde dyski i sprzęt pomocniczy.

Morgan Stanley, gigant giełdowy, po zburzeniu World Trade Center był zmuszony przenieść trzy tysiące siedmiuset pracowników do nowej siedziby. W następnych latach firma ta bardziej niż inne poświęcała uwagę budowie w pełni nowoczesnego zapasowego centrum biznesowego. Dyrekcja wybrała odpowiednie miejsce, prace zostały rozpoczęte i w 2007 roku centrum było gotowe do użytku. Miało tylko jedną wadę: powstało w Harrison, zaledwie o trzy kilometry od portu Mamaroneck, na płaskim północnym brzegu cieśniny Long Island, gdzie teraz spodziewano się przejścia fali o wysokości co najmniej dwudziestu pięciu metrów.

W generalnym exodusie z miasta brało udział niewielu maklerów giełdowych. Giełda nowojorska popełniła zasadniczy błąd. Wypełniając zalecenia SEC, zbudowała alternatywny ośrodek dla prowadzenia transakcji na wypadek jakiegokolwiek katastrofy na Dolnym Manhattanie, zdolny do działania w dwadzieścia cztery godziny, co przewyższało wymagania Komisji. Błąd polegał jedynie na tym, że ów zapasowy ośrodek został zlokalizowany w Nowym Jorku. Teraz spędzało to sen z wielu oczu od Wall Street po Biały Dom. Nagłe zamknięcie największego światowego rynku, być może aż na kilka tygodni, może mieć fatalne konsekwencje. Na New York Stock Exchange zarejestrowanych jest ponad dwa tysiące osiemset przedsiębiorstw amerykańskich, zagranicznych i międzynarodowych, których łączny kapitał rynkowy wynosi piętnaście bilionów dolarów. Jej codzienne niezakłócone funkcjonowanie jest podstawą ciągłej stabilności rynków całego świata. Dlatego też w ostatnich latach prawie wszystkie giełdy, od najważniejszych po lokalne, należały na stwo-

rzenie zapasowego „parkietu”, który w razie zniszczenia siedziby głównej mógłby szybko przejąć funkcje transakcyjne. Na NYSE pracuje codziennie trzy tysiące maklerów i personelu pomocniczego, korzystając z ośmiu tysięcy linii telefonicznych i ponad pięciu tysięcy przenośnych urządzeń elektronicznych. Budowa zapasowego parkietu z pełnym wyposażeniem to projekt o wartości pięćdziesięciu milionów dolarów.

Dodatkowy kłopot sprawiał fakt, że nowojorska giełda architektonicznie nie jest jednym, zwartym organizmem. Już w 1870 roku zaszła konieczność rozbudowy pierwotnej siedziby, pięciopiętrowego budynku przy Broad Street 10. Z biegiem lat stawiano nowe budynki; ostatni, piąty już parkiet, wyposażony w najnowocześniejsze środki audiowizualne, powstał w 2000 roku przy Broad Street 30. Wszystko to sprawiało, że ewakuacja giełdy nie była prostym przedsięwzięciem, a jej pełne sklonowanie w innym miejscu pod jednym dachem trudno było sobie nawet wyobrazić. Ironią losu było to, że istniejące zapasowe urządzenia zostałyby zmiecione przez tsunami, jeszcze zanim uderzyłoby ono w główną siedzibę NYSE. Wyglądało na to, że przyjdzie przenieść giełdę aż do Chicago; Filadelfia nie wchodziła w rachubę jako równie narażona jak Nowy Jork.

Trzecim i chyba najpoważniejszym z wielkich kłopotów po więziennictwie i giełdzie była ewakuacja zgromadzonych w muzeach nowojorskich dzieł sztuki. Tak zwana „Wielka Piątka” – Metropolitan Museum of Art, MoMA, Guggenheim, Whitney i Museum of Natural History – to instytucje światowej klasy. Dziesiątki pomniejszych galerii i muzeów w każdym mniejszym mieście byłyby głównymi atrakcjami turystycznymi. W samym tylko „Met” wystawione są trzy miliony eksponatów: obrazów, rzeźb, ceramiki, szkła, mebli, średniowiecznych militariów, rzadkich instrumentów muzycznych i innych. Każdy z nich ma unikatową wartość historyczną i mógłby być przedmiotem marzeń każdego kustosa na świecie.

Konwoje wojskowych ciężarówek od paru dni wywoziły zbiory z labiryntów Metropolitan do bazy lotniczej na zachodzie stanu Nowy Jork, gdzie miały być strzeżone przez

co najmniej dwie kompanie wojska. Ewakuowano już około trzydziestu sześciu tysięcy eksponatów staroegipskich. W każdej ciężarówce jechał ktoś z personelu muzeum i kilkunastu uzbrojonych żołnierzy. Bezcenny, naturalnej wielkości posąg królowej Hatszepsut z XVIII dynastii miał całą naczepę dla siebie, jeśli nie liczyć dwunastu gwardzistów do ochrony. Cała świątynia Dendur, dar narodu egipskiego dla USA, została rozebrana i wywieziona w częściach. Jej wielkie kamienne bloki z okresu rzymskiego, na których przedstawiony jest cesarz August składający ofiary bogom Egiptu i Nubii, zostały przekazane Stanom Zjednoczonym w podzięce za pomoc przy ratowaniu skarbów starożytniej architektury z Abu Simbel w latach sześćdziesiątych XX wieku przed zalaniem przez wody sztucznego Jeziora Namera, jakie miało powstać po zakończeniu budowy tamy w Asuanie*.

Skarby kultury greckiej i rzymskiej, głównie posągi, militaria i ceramika, powędrowały do bazy wojskowej Fort Drum w okolicy, gdzie rzeka Św. Wawrzyńca wypływa z jeziora Ontario. Specjalny oddział marines w sile batalionu zajmował się pakowaniem i transportowaniem obrazów, pracując nieprzerwanie przez okrągłą dobę. Na specjalny rozkaz z Pentagonu ta jedna z największych w świecie kolekcji malarstwa trafiła do Akademii Wojskowej West Point, zlokalizowanej około osiemdziesięciu kilometrów w górę rzeki Hudson. W ten sposób od chwili zdjęcia ze ścian Metropolitan obrazy znajdowały się pod strażą i opieką ludzi cieszących się największym zaufaniem w USA. Przez weekend żołnierze wyekspediowali w drogę prawie całą kolekcję florenckich i weneckich mistrzów; prace Rafaela, Tintoretta, Tycjana, Yeronese

* W dobie tak wielkiej przyjaźni z USA nie od rzeczy będzie chyba napomknąć, że to nieco już dziś zapomniane wielkie przedsięwzięcie archeologiczno-inżynieryjne z lat 1964-1968 nie było bynajmniej zasługą samych li tylko Amerykanów. Zrealizowano je pod egidą UNESCO według projektu szwedzkiego (dwie wykute w nadbrzeżnych skałach świątynie, jedną poświęconą Ptahowi, Amonowi i Ramzesowi II, drugą bogini Hathor i Nefretete, pocięto i na powrót zmontowano w innym miejscu, o 64 metry nad poziomem przyszłego jeziora), a pracami kierował międzynarodowy komitet pod przewodnictwem polskiego egip-tologa, zm. w 1981 roku profesora Kazimierza Michałowskiego z UW.

i Tiepola, największe dzieła El Greca, Velazqueza były już bezpieczne w kuźni kadr oficerskich US Army. Tego poniedziałkowego popołudnia do drogi szykowano między innymi znany obraz Rembrandta, Arystoteles z popiersiem Homera, oraz wielką kolekcję impresjonistów. Całą tę operację nadzorowali na miejscu w Metropolitan dwaj generałowie z Korpusu Marines.

Położony o trzysta kilometrów na północny wschód od Nowego Jorku Boston był także poważnie zagrożony przez tsunami. Całe śródmieście leży praktycznie nad otwartym morzem i pocięte jest wąskimi, krętymi zatokami, do których uchodzą trzy rzeki: Charles, Chelsea i Mystic. Pewną osłonę dają wprawdzie wyspa Nantucket i wygięty sierp półwyspu Cape Cod, ale eksperci przewidywali, że fala, która wedrze się na zatokę Massachusetts i runie na miasto, będzie jeszcze miała trzydzieści metrów wysokości.

W Bostonie mieszka tylko pięćset pięćdziesiąt tysięcy ludzi, z czego prawie połowa to studenci sześćdziesięciu col-lege'ów i uniwersytetów. Wszystkie uczelnie zostały już zamknięte, zaprzestały też działalności firmy software'owe i internetowe, których na fali rewolucji technicznej ostatnich dwóch dekad XX wieku powstało tu ponad trzy tysiące. Najbardziej martwiono się o dwa sztandarowe centra edukacyjne – Harvard i Massachusetts Institute of Technology, położone na lewym brzegu Charles River. Naprzeciwko zajmującego sześćdziesiąt hektarów terenu MIT, także tuż nad wodą, leży trzeci co do wielkości w USA Uniwersytet Bostoni, w którym kształcą się trzydzieści tysięcy młodych ludzi ze wszystkich stanów i z całego świata.

Ewakuacja wszystkich tych uczelni i licznych muzeów przebiegała podobnie jak w innych wielkich miastach Wschodniego Wybrzeża, ale niewielki Boston był poniekąd najbardziej wystawiony na furję żywiołu, nie mając kamiennych ścian wieżowców jak Nowy Jork ani jakiegokolwiek osłony topograficznej jak Waszyngton. W tym historycznym porcie Nowej Anglii, miejscu rozpoczęcia rewolucji amerykańskiej, strach zaglądał ludziom w oczy rzeczywiście ogromnymi ślepiami.

Wtorek, 6 października 2009 r., godzina 6.00. Santa Cruz de la Palma, Wyspy Kanaryjskie

Pas startowy lotniska w Santa Cruz niedawno został wydłużony i teraz mierzył tysiąc sześćset metrów – zupełnie jakby w przewidywaniu, że wkrótce będą tam musiały wylądować cztery wielkie transportowce US Air Force C-17 Globemaster III z pełnymi ładowniami, które właśnie nadlatywały od zachodu, w odstępach co dziesięć kilometrów. Ogromne maszyny kolejno robiły zwrot na północ i podchodziły do lądowania. Kołowały potem do wyznaczonych miejsc postojowych, gdzie przez następne dwie godziny żołnierze ze służby transportu powietrznego z bazy lotniczej w Charleston w Karolinie Południowej wyladowywali przywieziony przez nie sprzęt. Z pierwszego globemastera wyjechały cztery ciągniki siodłowe, które następnie wjechały tyłem do ładowni pozostałych trzech samolotów. Kiedy znów się ukazały na asfalcie lotniska, każdy ciągnął za sobą naczepę z dwiema samobieżnymi wyrzutniami Patriot, supernowoczesnymi platformami ogniowymi dla kierowanych rakiet przeciwlotniczych MIM-104E, jedynych, które kiedykolwiek w warunkach bojowych przechwyciły balistyczne pociski nieprzyjaciela. Każda wyrzutnia miała po cztery takie rakiety, fantastyczną broń, skuteczną w każdych warunkach pogodowych, o dużym zasięgu i pułapie, przeznaczoną do zwalczania taktycznych rakiet balistycznych, pocisków cruise i nowoczesnych samolotów. Produkowane są one w zakładach Raytheon w Massachusetts oraz Lockheed Martin Missiles and Fire Control na Florydzie. Posiadają skuteczny zasięg do siedemdziesięciu kilometrów i maksymalny pułap dwudziestu czterech tysięcy metrów. Ich zadanie teoretycznie jest proste: wykryć i zniszczyć nadlatujące rakiety nieprzyjaciela. Rzeczywistość jest jednak trochę bardziej skomplikowana- Patrioty lecą do celu z prędkością 5 machów (prawie 6 tysięcy kilometrów na godzinę), co w zasadzie gwarantuje, że cel, na ogół znacznie wolniejszy, nie zdąży zrobić uniku; przy tym jednak system naprowadzania patriotów musi być niezwykle sprawny.

Armia amerykańska dziesięć lat z okładem strawiła na

doskonaleniu tych rakiet, po raz pierwszy zastosowanych w operacji „Pustynna burza” w 1991 roku. Chybiły wówczas zbyt wiele razy, przepuszczając scudy Saddama Husajna nad terytorium Izraela i nad bazy US Army w Arabii Saudyjskiej. Kolejne udoskonalenia i wielokrotnie powtarzane próby ogniowe na pustkowiach Pacyfiku przyniosły wreszcie pożądany efekt. Nowa, unowocześniona wersja patriota otrzymywała dane z radaru naziemnego, dotyczące ostatecznych korekt kursu, poleceń namierzenia konkretnego celu, sama zaś przesyłała uzyskane przez własny system wykrywania informacje o pozycji celu. Ta wymiana danych z uwagi na ogromną prędkość rakiety musiała odbywać się błyskawicznie – tu o sukcesie decydują już nie ułamki, a ułamki ułamków sekundy. Ten system naprowadzania znany jest pod kryptonimem TVM – Track via missile, śledzenie (celu) przez system detekcyjny rakiety. Zamontowany w specjalnie skonstruowanym nosie pocisku, o niskiej charakterystyce szumów, ma wielokrotnie zwiększoną czułość sensorów, aby wykrywać cele o niewielkim efektywnym przekroju radarowym. W głowicy bojowej przenosi dziewięćdziesiąt kilogramów trotylu – ilość wystarczającą do zburzenia stadionu futbolowego Yankees w Nowym Jorku. Scimitary kontradmirała Badra są szybkie, niezawodne i celne, ale w nowym patriocie miały bardzo groźnego przeciwnika. Wystrzelona w kierunku celu rakiet uaktywnia swój system namierzania TVM i gdy raz „złapie” swój obiekt, na dobrą sprawę nie może chybić. Nie musi też zderzyć się ze scimitarem, żeby go zestrzelić; wystarczy, że się znajdzie w jego pobliżu i zdetonuje niespełna cetnar trotylu w głowicy bojowej.

Główną szansą Hamasu był element zaskoczenia, typowy dla wszystkich ataków raketowych spod wody. Nikt nie wiedział na pewno, z którego kierunku należy się go spodziewać. Żeby taką raketę zestrzelić, trzeba ją zobaczyć, a potem działać naprawdę błyskawicznie. Patriot potrafi tego dokonać, ale musi zostać wystrzelony w sekundy, nie w minuty po wykryciu ataku. Żołnierze z obsługi wyrzutni dobrze to wiedzieli. Pierwsze cztery jednostki, zamontowane na podwoziach ciężarówek, były już w drodze na południe, aby wkrótce skręcić na zachód, ku wulkanicznemu grzbietowi, nad którym góru-

je poszarpany krater Cumbre Vieja. Tam zajmą pozycje na ogół znacznie wolniejsze bojowe, niewykluczone, że jako ostatnia linia obrony przed śmiertelnie groźnym przeciwnikiem.

W pierwszej grupie było dwunastu żołnierzy i czterech oficerów. Każdy z nich zdawał sobie sprawę, że jeśli system namierzy cel, a wystrzelona rakietą weń nie trafi, będzie to ich ostatnia chwila na tej ziemi. Scimitar rozniesie w strzępy wielką górę i wszystko dookoła niej, a po dziewięciu godzinach kataklizm nawiedzi całe Wschodnie Wybrzeże.

Dowódcą całej baterii był trzydziestopięcioletni major Blake Gili, zawodowy oficer, absolwent West Point. W Clarks-ville w Tennessee czekała na jego powrót żona i dwaj synowie w wieku ośmiu i pięciu lat. Major Gili, jeden z najlepszych specjalistów raketowych w US Army, służył w jednej z największych baz wojskowych na terenie USA, Fort Campbell, położonej na granicy Kentucky i Tennessee, gdzie stacjonuje słynna 101. Dywizja Powietrzno-Desantowa. Gili był członkiem grupy ekspertów armijnych przydzielonych do US Navy na czas programu prób patriotów na Pacyfiku. Był zagorzałym fanem tego systemu obronnego i jeśli kiedykolwiek zdecydowałby się na przejście do cywila, czekała go błyskotliwa kariera w zakładach Raytheon albo Lockheed Martin. Blake Gili był jednak – nomen omen – patriotą, człowiekiem odlanym w podobnej formie co admirał Arnold Morgan, zaprzysięgłym wrogiem nieprzyjaciół swego kraju, dla którego osobisty zysk był pojęciem całkowicie obcym. Ten krępy, muskularny Południowiec miał przed sobą otwartą drogę do najwyższych stanowisk, jakie US Army ma do zaoferowania. I jeżeli ktokolwiek potrafi w porę zestrzelić arabskie scimi-tary, zanim uderzą w Cumbre Vieja, to na pewno major Blake Gili, raketowiec pierwszej wody, mąż Luizy, ojciec Charliego i Harry'ego.

Major jechał w kabinie pierwszej wyrzutni. Miał ze sobą trzy różnej skali mapy terenu: zdjęcie satelitarne całego grzbietu Ruta de los Volcanos z widocznymi brzegami wyspy, dokładniejszy szkic wykonany na miejscu i trzecią, szczegółową mapę o dużej skali, przedstawiającą pofałdowany teren wokół samego głównego krateru. W sytuacji, kiedy nie było wiadomo, z jakiego kierunku nadlecą rakiety, Gili musiał po-

legać na ocenie Pentagonu, z którą się zapoznał w drodze do bazy w Charleston. Wiedział, że musi pokryć sektor zachodni i mniej prawdopodobny północny, ale prawdziwego niebezpieczeństwa spodziewał się ze wschodu i południa. Bar-racuda musiała zejść z drogi wywołanego przez siebie tsunami, żeby nie ryzykować uszkodzenia lub nawet zatopienia. To zaś oznaczało, że jeśli będzie strzelać z bliskiej odległości, musi poszukać schronienia po wschodniej stronie Palmy albo Gomery.

Major Gili naniósł ołówkiem na mapę pozycje swoich ośmiu wyrzutni tak, aby każda była zwrócona w jednym z kardynalnych kierunków kompasowych. Wstępnie zaprogramowana rakiet cruise może obrać trasę niezwykle krętą i skomplikowaną, ale do tego potrzebne są jej dane z GPS. W obecnej sytuacji raczej nie wchodziły w grę żadne przebiegłe manewry i naloty nad wulkan od północy czy zachodu. Generalicja z Pentagonu była pewna, że rakiety nadleciały prostym kursem ze wschodu lub południowego wschodu, ponieważ tylko w ten sposób dowódca okrętu podwodnego mógłby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Wyrzutnię numer pięć trzeba zatem wycelować na południowy wschód. Gillowi nie dawał jednak spokoju kierunek północno-wschodni. Rozumiał oczywiście, że przeciwnik może strzelać jedynie na wprost, a tam nie ma się gdzie schronić przed tsunami. A jednak... Major znał tych samobójczych sukinsynów z Bliskiego Wschodu. Kto wie, może od początku chcieli poświęcić swe życie? Może o nie nie dbają? Mogą wystrzelić z dowolnego miejsca i zdać się na wolę Allaha... W końcu czeka na nich raj... Dla młodych bojowników z Hamasu i podobnych organizacji nie jest niczym dziwnym świadome pójście na pewną śmierć w świętej wojnie z Zachodem.

Major siedział zamyślony. Było dlań oczywiste, że Bar-racuda odbywa swoje ostatnie zadanie. Oni nie zamierzają popłynąć nią do domu. Bo i dokąd? Ten okręt już nigdy nie będzie mógł się pokazać na powierzchni i już nie wystrzeli żadnej następnej rakiet. Kiedy odda salwę w Cumbre Vieja, zdradzi swoją pozycję, a prawdopodobieństwo przechytrzenia takiej siły morskiej, jaką aktualnie dysponuje w tym rejonie US Navy, jest bliskie zeru. Nie, ci terroryści niemal na pewno

wiedzą, że ich gra się skończy, gdy tylko otworzą ogień w promieniu kilku mil od okrętów i śmigłowców ZOP. On, major Blake Gili, musi być więc gotowy na wszystko i to ze sporym zapasem. Postanowił trzymać się swego pierwotnego planu i rozstawić wyrzutnie dookoła wulkanu we wszystkich kierunkach. Z map wynikało, że teren jest tam nierówny i trudno dostępny, dlatego błogosławił w duchu przezorność dowództwa, które przysłało mu do dyspozycji wielki śmigłowiec chinook o dużym udźwigu, który bez wysiłku może podnieść wyrzutnię i postawić ją dokładnie w wybranym przez niego miejscu.

Mijali właśnie miasteczko Los Canarios de Fuencaliente, gdzie niegdyś były gorące źródła, teraz jednak od dawna pogrzebane pod lawą i popiołem z wcześniejszych erupcji tworzyły część niebezpiecznego, długiego na kilkanaście kilometrów kotła pod skalną skorupą gór. Dalej na południe widniał wulkan San Antonio. Major zauważył drogowskaz kierujący turystów na ścieżkę do punktu widokowego na krawędzi krateru. Jeszcze dalej wznosi się Teneguia, do którego nie wiedzie żaden szlak i tylko niewielu żądnych przygód wędrowców wspina się po niedostępnych stokach, by zajrzeć do jego wnętrza. Konwój amerykański skręcił jednak w przeciwnym kierunku, na północ, gdzie sterczy dumnie masyw Cumbre Vieja. Po chwili major Gili ujrzał przed sobą czekającego chi-nooka z oznaczeniami Korpusu Marines.

Zamocowanie stalowych lin zajęło dwadzieścia minut. Major wraz z obsadą wyrzutni zajął miejsca w kabinie śmigłowca. Nie minęło wiele czasu, a pilot postawił pojazd według jego wskazówek na wyznaczonym miejscu obok krateru, przodem na wschód, z widokiem na ocean i majaczące na horyzoncie ciemne sylwetki Gomery i Teneryfy. Wielki śmigłowiec już wcześniej przewiózł na jeden ze szczytów wyposażenie centrum kierowania walką. Dwunastu techników, którzy przyплыnęli na pokładzie Harry'ego S. Trumana, rozpoczęło już ustawianie stacji w odpowiednim miejscu, zapewniającym dobrą widoczność we wszystkich kierunkach, a zwłaszcza na Atlantyk od wschodu i od zachodu, gdzie kręciły się patrolujące pas przybrzeżny fregaty. Przede wszystkim jednak z centrum musiały być widoczne wszystkie wyrzutnie

patriot rozstawione wokół głównego krateru, z czystym polem obserwacji radarowej w pełnym zakresie.

Centrum kierowania walką jest w baterii patriot jedyną stacją z obsadą ludzką. Może się komunikować z wyrzutniami M901 i z innymi bateriami patriot, a także z ośrodkiem dowodzenia wyższego szczebla, w tym wypadku z USS Co-ronado admirała Gillmore'a. Obsługujący je trzej operatorzy mieli do dyspozycji dwie konsole sterowania i radiostację z trzema niezależnymi terminalami przekaźnikowymi. Obok terminalu wymiany danych, pracującym w paśmie fal ultrakrótkich, stał komputer cyfrowego kierowania uzbrojeniem.

Jeden z globemasterów przywiózł zamontowany na przyczepie zespół fazowego radaru wojskowego MPQ-53, zdolny do śledzenia stu celów naraz. Jest to doskonały i może najważniejszy element każdej nowoczesnej lądowej baterii raketowej. Jego zadaniem jest wykrywanie, śledzenie i identyfikacja obiektów, śledzenie i naprowadzanie własnych rakiet oraz zakłócanie elektroniczne systemów przeciwnika. Radar jest automatycznie sterowany przewodowo przez komputer kierowania ogniem w centrum dowódczym. Ma zasięg do dziewięćdziesięciu kilometrów i może podawać dane niezbędne do naprowadzania dziewięciu rakiet naraz. Dzięki zastosowanej technice szerokopasmowej zapewnia, dotąd niemożliwą do osiągnięcia, rozróżnialność celów. W normalnych okolicznościach użycie tego elektronicznego cacka można by uważać za przesadę, skoro chodzi o wykrycie i zestrzelenie zaledwie jednej czy dwóch rakiet. To jednak nie były normalne okoliczności i admirał Morgan wydał w tej sprawie wyraźne rozkazy. Tę walkę należało potraktować jak najpoważniej.

Major Gili miał w kieszeni munduru kopię instrukcji wydanych przez Wielkiego Człowieka z Białego Domu. Arnold Morgan zakładał, że rakiety z Barracudy będą zaprogramowane na wysoką i stromą trajektorię w ostatnim odcinku lotu, aby mogły spaść do wnętrza krateru niemal pionowo. Gili pamiętał o tym, kiedy rozważał dyslokację swoich wyrzutni wokół wulkanu. Cały czas miał też w pamięci coś innego: jeżeli fregaty nie zdążą otworzyć skutecznego ognia do nadlatujących cruise'ów albo nie wykryją ich na czas, to

on i jego bateria może się okazać ostatnią linią obrony Stanów Zjednoczonych.

Wtorek, 6 października 2009 r., godzina 23.30. Atlantyk, 2725N/02050W

Na głębokości stu pięćdziesięciu metrów Barracuda II po nieznacznym zwrocie w prawo zmniejszyła prędkość z sześciu do pięciu węzłów. Nowy kurs prowadził ją czternaście mil na południe od Punta Restinga, południowego cypla wyspy Hierro. W tej chwili znajdowała się nieco ponad sto czterdzieści mil morskich na zachód od niej. Od kilku dni nie mieli kontaktu z generałem Raszudem. Ben Badr stał w centrali ze swym ZDO, kapitanem Alim Mohtadżem, który właśnie kończył wachtę. Dowódca nakazał podejście na peryskopową, by szybko sprawdzić pozycję z GPS i rozejrzeć się po powierzchni oceanu. Dookoła nie było żadnych statków ani okrętów. Współrzędne otrzymane z GPS zgadzały się z ich pozycją zliczoną, skrupulatnie wyznaczoną przez nawigatora porucznika Mohammeda.

–Peryskop w dół! Zanurzenie sto pięćdziesiąt!

Kontradmirał Badr uśmiechał się lekko, wydając te komendy. Czuł się bezpieczny – nie było żadnych oznak świadczących o poszukiwaniu go przez US Navy. Była godzina dwudziesta trzecia trzydzieści i piętnaście sekund. Badr nie wiedział, że dokładnie za dwadzieścia cztery godziny, trzydzieści minut i czterdzieści pięć sekund oba globalne systemy nawigacji satelitarnej, GPS i Galileo, zamilkną jednocześnie. Zamierzał zgodnie z planem wystrzelić rakiety z dużej odległości, nieświadomy, że okaże się to niemożliwe i że pierwszy punkt w tym secie zdobędą Amerykanie.

Badr i Mohtadż patrzyli w zadumie na rozłożone na stole nawigacyjnym mapy, popijając świeżo zaparzoną herbatę z cytryną. Do linii wysp mieli dotrzeć następnego dnia przed świtem i płynąć dalej ku wybranej pozycji strzału: trzydzieści mil na południowy wschód od Fuerteventury, w połowie cieśniny między wyspą a kontynentem afrykańskim.

–Jeżeli to się nam uda, nie możemy nie trafić – rzekł

Badr. – Rakiety będą leciały do celu dłużej, niż nam zajmie dotarcie pod osłonę wyspy, a ryzyko wykrycia przez Amerykanów jest znikome. Jak dotąd, bardzo mi się to podoba.

Kończyli herbatę, nie wiedząc, że wkrótce czeka ich raptowna zmiana sytuacji. Co gorsza, USS Nicholas wciąż jeszcze pozostawał w tej okolicy i radarzysta omal nie namierzył peryskopu Barracudy podczas tego szybkiego sprawdzania pozycji. Amerykańska fregata znajdowała się o niecałe dwadzieścia mil i na radarze przez dwa kolejne cykle pracy pokazało się słabe echo. Przy trzecim już się nie powtórzyło, ale młody marynarz obserwujący ekran był czujny i natychmiast o nim zameldował. Jego przełożony zapisał kontakt w dzienniku i

przydzielił mu numer. Informacja poszła w świat, to znaczy do reszty floty. Oczywiście mogło to być cokolwiek: wyższa od innych fala, stado siedzących na wodzie mew czy nawet nabierający powietrza wieloryb. Radarzysta wołał jednak zgodnie z wytycznymi dmuchać na zimne. Nicholas spędził następną godzinę, krążąc w tej okolicy i wypatrując powrotu namierzonego echa. Niczego podejrzanego jednak już nie zauważono i kapitan Nielsen ruszył wolno dalej wzdłuż brzegów Hierro, a potem na wschód, ku Teneryfie. Fregata płynęła z nieznacznie tylko większą prędkością od Barracudy, która podążała w tym samym kierunku, niewidoczna i niesłyszalna za jej rufą i ukryta głęboko pod powierzchnią.

ROZDZIAŁ 13

Środa, 7 października 2009 r. Atlantyck

Barracuda II, wciąż płynąca z prędkością sześciu węzłów, minęła południowy cypel Hierro o siódmej rano. Nad Atlantykiem wstawał właśnie słoneczny poranek i szary kadłub znajdującej się o dwadzieścia mil na północ fregaty Nicholas odcinał się wyraźnie na tle nieba. Okręt posuwał się wolno na południe o cztery mile od rdzawo-brązowych skał wschodniego wybrzeża wyspy. Jego kurs przecinał się z kursem Barracudy II przy niewielkim CPA*, ale kapitan Nielsen miał wkrótce skręcić na wschód ku Teneryfie. Na zachód od Hierro druga fregata, Kauffman kapitana Deala, przeczesywała głębiny sonarem, szukając choćby najdrobniejszego szumu zdradzającego obecność okrętu podwodnego. I ona trafiłaby prędzej czy później w pobliże Barracudy II, ale rozkaz komodora Gillmore'a kierował ją śladem Nicholasa w rejon przybrzeżny Teneryfy. Obie fregaty płynęły z umiarkowaną prędkością; niezbyt szybko, aby niczego nie przeoczyć, ale na tyle sprawnie, by zdążyć przeszukać szeroki pas oceanu przydzielony im przez dowódcę.

Niewielka wysepka Hierro, dziś mieszcząca się w okręgu o promieniu kilkunastu kilometrów, kiedyś była trzykrotnie większa. Potężna erupcja wulkaniczna przed pięćdziesięciu tysiącami lat pograżyła dwie trzecie wyspy w oceanie; wulkanolodzy oceniają dziś, że na dno oceanu osunęło się około dwustu pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych skały.

* Closest Point of Approach – punkt największego zbliżenia. Termin stosowany przy obliczaniu drogi względnej dwóch jednostek na przecinających się kursach.

345

ATLANTYK

Lanzarote

„ v Tenetyfa (P

Gomerą r-p n

. *-> \J j~_ Puerteventura

hfierro O ^

Grań Canana

SAHARA ZACHODNIA 400 km (

PALMA

^Hoya Negro

iMontana La •latarnia

V f ueseaaa j morska

latarnia morska 5 km

Wyspy Kanaryjskie i pasmo wulkanicznych gór na Palmie

346

Kształt wyspy jest typowy dla wulkanu wyrastającego z głęboko leżącego podłoża. Dno schodzi od razu dość stromo do trzystu metrów, po czym w odległości zaledwie dziesięciu kilometrów od kamienistej plaży niemal pionową ścianą opada ku wąskiemu podmorskiemu płaskowyżowi tysiąc pięćset metrów pod powierzchnią. Niedaleko zaczyna się kolejne urwisko; na przestrzeni trzech kilometrów głębokość oceanu rośnie aż do czterech tysięcy metrów – podobnie jak w wypadku leżącej o siedemdziesiąt kilometrów na północ Palmy.

O ósmej Ben Badr polecił ponownie wynurzyć się na głębokość peryskopową, by połączyć się z satelitą, wysłać meldunek o pozycji do głównodowodzącego operacji, generała Raszuda w jego damasceńskim domu, i sprawdzić GPS. Kapitan Mohtadż wysunął maszt radiowy i rozpoznania elektronicznego. Na powierzchni nie wykrył impulsów radarowych, a radiowiec błyskawicznie ściągnął czekającą na nich wiadomość. Chińczycy podali w niej numery kanałów i częstotliwość roboczą europejskiego systemu Galileo, na wypadek gdyby Amerykanie posunęli się jednak do wyłączenia GPS. Generał Raszud miał informacje o „możliwych ograniczeniach pracy systemu”, dodawał jednak, że Pentagon jest niezwykle powściągliwy i podaje ten komunikat tylko na kanałach zastrzeżonych dla żeglugi morskiej i lotnictwa cywilnego. Arabskie gazety prawie nic na ten temat nie piszą, a do następnego wydania „Wall Street Journal” z uwagi na różnicę czasu między Damaszkiem i Nowym Jorkiem generał będzie miał dostęp dopiero za osiem godzin.

Oficer łączności ponownie sprawdził działanie GPS, a po przestrojeniu odbiornika także Galileo. Oba systemy funkcjonowały normalnie. Nagle rozległ się dźwięk alarmowego brzęczyka na panelu rozpoznania elektronicznego: antena wykryła impulsy amerykańskiego radaru. Mohtadż szybko nakazał opuścić maszt i peryskop, a sternikom polecił wrócić na głębokość stu pięćdziesięciu metrów. Za późno. Na płynącym dwanaście mil dalej Nicholasie zauważono podejrzane echo, które utrzymało się przez trzy kolejne obroty anteny. Komputery w centrali operacyjnej natychmiast porównały dane z radaru z poprzednim kontaktem sprzed siedmiu godzin, wykrytym czterdzieści mil na zachód od aktualnej

pozycji. Jeżeli oba echa pochodzą od tego samego obiektu, oznacza to, że porusza się on kursem wschodnim wzdłuż równoleżnika 27°25'N z prędkością około sześciu węzłów. W kilka sekund komputerowy „wniosek” trafił do ośrodka dowodzenia na USS Coronado, obecnie znajdujący się na północny zachód od Lanzarote. Admirał Gillmore natychmiast ocenił sytuację. W tej chwili Elrod i Nicholas znajdowały się nieco za domniemaną pozycją przeciwnika, ale miał w odwodzie Klakringa i Simpsona, czekające w pogotowiu przy północno-wschodnim krańcu Teneryfy. Poleciał im płynąć z dużą prędkością na południe przez sto mil i rozpocząć poszukiwanie po przekroczeniu szerokości 27°30'N. Wyglądało na to, że wrogi okręt jest jak w pułapce między czterema amerykańskimi fregatami. Admirał wiedział jednak, że Barracuda jest tak cicha, że ma szansę przemknąć się na dużej głębokości nie wykryta przez sonary pasywne. Wysłał raport do admirała Dorana w Norfolkku:

070800PAZ09 MOŻLIWE WYKRYCIE BARRACUDY 14 MIL NA POŁUDNIE OD HIERRO. KORELACJA Z POPRZEDNIM KONTAKTEM Z 070100PAZ09 WSKAZUJE NA KURS OBIEKTU 090 I PRĘDKOŚĆ 6 W. ELROD I NICHOLAS PŁYNĄ ZA NIM, KLAKRING I SIMPSON IDĄ NA PRZECIĘCIE. GILLMORE.

Osiem minut później Arnold Morgan zerwał się na równe nogi w pozbawionym prawie mebli Gabinecie Ovalnym, wymierzył powietrzu szybki sierpowy i krzyknął:

–Dalej, chłopaki! Przycisnąć dobrze sukinsyna i posłać go na dno!

–Chyba nie zaczynasz podchodzić do tego zbyt osobiście, Arnie? – zauważył niewinnie prezydent Bedford.

–Ja? Skądże znowu, sir! Uwielbiam uganiać się za podwodnymi terrorystami po wszystkich oceanach. Tylko po pierwszym roku robię się trochę nerwowy.

Admirał Gillmore polecił dowódcy Ronalda Reagana skierować się na południowy zachód ku brzegom Grań Canarii. Sieć się z wolna zaciągała, choć admirał zdawał sobie sprawę,

że ryzykuje, zakładając, iż owe dwa przelotne kontakty to rzeczywiście Barracuda. Jeśli się myli i wrogi okręt w tej chwili podchodzi na przykład od północy, wszystko będzie zależało od czekających wokół Palmy fregat.

Lotniskowiec utrzymywał dwa stałe powietrzne patrole w pasie między zachodnim wybrzeżem Palmy a sąsiednią Gomerą. Wszystkie analizy prowadzone przez sztaby amerykańskiej marynarki wojennej na różnych szczeblach sprowadzały się do takiego samego wniosku: jeżeli Barracuda będzie zmuszona strzelać na podstawie namiarów optycznych, to po prostu musi podejść do Cumbre Vieja gdzieś od strony Gomery, zostawiając ją po lewej lub po prawej

burcie, a potem próbować się za nią schronić przed tsunami.

Ben Badr nie miał pojęcia o zaciskającej się wokół jego okrętu pętli. Przez nieuwagę jego sonarzyści nie wykryli przechodzącego niedaleko Nicholasa. Barracuda II płynęła więc wciąż tym samym kursem na wschód, wolniutko i bezszelestnie. Porucznik Asztari Mohammed obliczył, że o północy znajdą się o trzydzieści jeden mil na południowy zachód od Punta Tauro, jednego z przylądków południowo-zachodniego wybrzeża Grań Canarii. Miał to być krytyczny moment i dla Hamasu, i dla USA; dokładnie o tej porze zamilkną satelity systemów nawigacyjnych. Od tego, kiedy Ben Badr rozkaże wysunąć peryskop i maszt radiowy, będzie zależało, jak szybko się dowie, że strzał z dużej odległości nie wchodzi w grę.

Barracuda II płynęła dalej niezmiennym kursem, nie wykryta przez żadną z fregat. Pół godziny po północy w czwartek 8 października na rozkaz kontradmirała Badra znowu podeszła pod powierzchnię i wysunęła maszt radiowy i rozpoznania elektronicznego, ten ostatni gruby prawie jak słup telegraficzny. Dwa stalowe palce wychynęły z wody... prosto pod wiązki fal radarowych z wszystkich czterech fregat patrolujących ten akwen.

Łącznościowcy odebrali sygnał od generała Raszuda parę sekund wcześniej, zanim detektor w centrali wykrył promieniowanie elektromagnetyczne obcych radarów. Kapitan Mohtadz zameldował lakonicznie:

–Jesteśmy otoczeni, panie admirale.

–Nie szkodzi – odparł Ben. – Najbliższy z nich jest o sześć

mil od nas i jeszcze nic się takiego nie stało. Schodzimy z powrotem. Trym dziesięć, zanurzenie sto pięćdziesiąt. Prędkość dziesięć węzłów. Ster prawo dziesięć, nowy kurs sto dziesięć... W tej chwili do centrali wpadł z pomieszczenia łączności młody Ahmed Sabah z wydrukiem wiadomości z Damaszku.

Amerykański GPS wyłączony o północy. Zhanjiang nie może się dostroić do systemu europejskiego. Strzał z daleka odwołany, powtarzam, odwołany. Zmienić kurs na północny zachód i płynąć ku Gomerze, potem na pozycję ogniową 25 mil na wschód od Palmy. Zaprogramować rakiety według pozycji terestrycznej*. Allah jest z wami. Raszud.

Na wszystkich czterech fregatach radary złapały kontakt. Echo było „jak dzwon”. Podobnie jak dwa poprzednie kontakty, i ten znajdował się na szerokości geograficznej 27°25'N. Kapitanowie Nielsen, Smith, Sammons i Wickman byli teraz pewni, że namierzyli poszukiwany okręt podwodny. Wiedzieli też, że przy braku sygnałów GPS z pewnością zrobi on zaraz zwrot w kierunku Palmy.

W kabinie nawigacyjnej Barracudy II nie od razu w pełni zrozumiano, co się dzieje. Nie widząc znajomych liczb na ekranie odbiornika, porucznik Mohammed z początku zaczął szukać jakiejś awarii. Dopiero kiedy zdenerwowany Ahmed odczytał treść wiadomości od Rawiego Raszuda, nawigator pojął, co naprawdę oznacza pusty wyświetlacz GPS. System nie działa!

Przy jakimkolwiek zakłóceniu pracy GPS, z powodu awarii, planowanego przeglądu itp. centrum naziemne w Kolorado nadaje oficjalny komunikat do wszystkich użytkowników, który w zależności od typu odbiornika może być wyświetlony na ekranie. Tak postąpiono i tym razem, ale dopiero cztery minuty po wyłączeniu nadawania sygnałów z danymi nawigacyjnymi. Stało się tak na polecenie admirała Morgana,

* Nawigacja terestryczna – w odróżnieniu od astronawigacji i nawigacji oceanicznej – prowadzona jest na podstawie danych lądowych: pozycję określa się m.in. z namiarów kompasowych lub radarowych na latarnie morskie, charakterystyczne punkty na lądzie etc.

który przewidywał, że cztery minuty to o wiele za długo dla Barracudy, by trzymać maszt wysunięty nad wodę, i liczył na to, że okręt przepłynie jeszcze kilka mil tym samym kursem, zanim jego dowódca się zorientuje, iż nie może liczyć na naprowadzanie swoich rakiet przez amerykański system satelitarny. Wiadomość od generała Raszuda załatwiła jednak tę sprawę jednoznacznie.

–Ster lewo dwadzieścia... Nowy kurs trzysta... Prędkość pięć węzłów, zanurzenie sto osiemdziesiąt!

Kapitan Mohtadz zdał wachtę szefowi okrętu Zahediemu o pierwszej. Od brzegów Gomery dzieliło ich jeszcze dziewięćdziesiąt mil żeglugi na głębokich wodach; nie było problemu z utrzymaniem się „poniżej warstwy”, na stu osiemdziesięciu metrach; poza obszarem bezpośrednio przy brzegach Atlantyk wokół Wysp Kanaryjskich ma dobrze ponad trzy tysiące metrów głębokości. Nagła zmiana kursu zasiała jednak niepokój w załodze. Co prawda tylko nieliczni oficerowie wiedzieli, że otaczają ich amerykańskie okręty, a pierwotny plan oddania salwy z bezpiecznej odległości spalił na panewce, ale wszyscy szybko się domyślili, że coś jest nie w porządku. Barracuda II szła prosto w szpony US Navy, co nie było najlepszą z perspektyw. Generał Raszud nie myślał jednak o porzuceniu misji; przeciwnie, zagrzewał ich do boju, aby jako żołnierze Allaha zadali śmiertelny cios Wielkiemu Szatanowi. Kontradmiral Badr zwołał najstarszych oficerów na naradę w swojej niewielkiej kabinie. Oprócz ZDO zasiedli tam dowódca działu reaktora komandor Abbas Szafii, jego zastępca komandor Hamidi Abdolrahim, nawigator porucznik Asztari Mohammed i Ahmed Sabah.

–Panowie, nie mogę już twierdzić z całą pewnością, że ktokolwiek z nas wyjdzie stąd żywy – zaczął Ben Badr. – Jednakże otrzymane rozkazy nie pozostawiają żadnych wątpliwości. To zadanie musi być wykonane i my je wykonamy.

Nalał wszystkim herbaty ze srebrnego dzbanka, dając zebrany chwilę na zrozumienie jego słów. Po raz pierwszy w obu ich podmorskich misjach pojawiło się realne prawdopodobieństwo oddania życia za sprawę. Każdy islamski bojownik liczy się z taką koniecznością i ta perspektywa nie jest mu tak straszna jak wyznawcom innych religii. Niemniej Ben

Badr był świadomy nagłej zmiany nastroju w kabinie i wiedział, że musi zająć uwagę obecnych.

–Na dobrą sprawę nic się specjalnie nie zmieniło – powiedział. – Oczywiście lepiej by było oddać naszą salwę z dwustu lub trzystu mil, ale wszyscy wiemy, że to już nie jest możliwe. Nasz cel jednak nie ucieknie. Jedyna zmiana dotyczy konieczności znacznego zbliżenia się do niego. Możemy bez problemu podkraść się na dwadzieścia pięć mil, wziąć namiary i odpalić scimity prosto w wulkan. Rakiety polecą tam, gdzie je pošlemy. Wystarczy dobrze wycelować. Głowica nuklearna nie wymaga precyzyjnego naprowadzania, byle trafiła kilkaset metrów od celu. Eksplozja załatwi resztę.

–Ale jeszcze coś się zmieniło, admirale – wtrącił Ahmed Sabah. – Po pierwsze, czas naszego wynurzenia, po drugie, kwestia wycofania się.

–Oczywiście. Amerykanie na pewno nas wykryją, ale sądzę, że po wystrzeleniu rakiet będziemy mieli dość czasu, kilka cennych minut, żeby zejść z powrotem na dużą głębokość. Wtedy nawet najlepszym myśliwym będzie trudno nas znaleźć i skutecznie zaatakować.

–O jakiej głębokości mówimy, panie admirale? – spytał komandor Szafii.

–Minimum trzysta metrów. Jeśli zastosują bomby głębinowe, zejdziemy na trzysta sześćdziesiąt. Przy takim zanurzeniu musielibyśmy mieć wyjątkowego pecha, żeby w nas trafili. Zwłaszcza gdy będziemy mieli pięć do dziesięciu minut przewagi. Postaramy się oddać salwę co najmniej dwie mile od najbliższego okrętu.

–Czy oni nie mogą nas ostrzelać raketami, gdy tylko zauważą nasze nad wodą?

–Mam nadzieję, że większość energii skoncentrują na próbie przechwycenia scimitarów – odparł Ben. – Być może pošlą w nas parę raketotorped, ale nawet wtedy będziemy mieli te parę minut na zejście w dół. Musieliby mieć sporo szczęścia, żeby zdążyć nas osiągnąć, zwłaszcza jeśli będą w tym samym czasie starać się zestrzelić nasze rakiety.

–Myślę, że mamy szansę im umknąć – odezwał się Ahmed.

–Powiedziałbym nawet, że dużą – przytaknął dowódca.

–A jeżeli oni użyją śmigłowców z torpedami? – spytał komandor Abdolrahim.

–To gra w kotka i myszkę, Hamidi. Wystawimy peryskop, żeby zrobić namiary, a potem zejdziemy na dużą głębokość, zanim skierujemy się ku wybranej pozycji strzału. Tam znów wyznaczymy pozycję i wystrzelimy obie rakiety. Być może śmigłowiec znajdzie się akurat w

tamtym rejonie, ale wątpię, żeby był wystarczająco blisko. Wtedy zresztą oni skupią całą uwagę na obronie wulkanu przed trafieniem. Możecie mi wierzyć, mamy realną szansę ucieczki. Nie zapominajmy też

0 naszej istotnej przewadze. Allah jest z nami, a nie z niewiernymi.

Ben Badr na tym zakończył odprawę, po czym przez okrętową rozgłośnię wezwał całą załogę do modlitwy słowami, które muezzini pięć razy dziennie wyśpiewują z minaretów w całym muzułmańskim świecie: „Allah-u akbar... Bóg jest wielki... Nie ma innego Boga nad Allaha... a Mahomet jest jego prorokiem”. Wszyscy jak jeden mąż, poza sternikiem i szefem działu sonarów, wyznali swą wiarę i modlili się, kolejno przybierając dwanaście nakazanych pozycji, na przemian klękając, wstając, dotykając czołami zimnej stali pokładów. Konradmirał Badr, świadomy zdenerwowania załogi i strachu, jaki jego ludzie będą przeżywać przez następne parę godzin, zaczął czytać wybrane sury Koranu: „Nie myślcie nigdy, że ci, którzy życie oddali w boskiej sprawie, umarli. Oni żyją

1 Bóg ma ich w opiece”. Przypomniał im, że i sam Prorok zakrzyknął kiedyś w rozpacz: „O, Panie, jakże nie mam narzekać na mą bezsilność i małość wobec ludzkości? Tyś jednak jest Panem ubogich i słabych, tyś moim Panem. W czyje mnie wydasz ręce?” Zakończył innym cytatem ze świętej księgi: „Nie zapominajcie o Mnie, a i Ja będę o was pamiętał. Dziękujcie Mi. Nie bądźcie niewdzięcznymi. Wy, którzy we Mnie wierzycie, szukajcie pomocy przez wytrwałość i modlitwę”.

Stali teraz z wyciągniętymi przed siebie dłońmi, przesuając nimi po twarzy na znak przyjęcia Bożego błogosławieństwa. Dowódca modlił się jeszcze przez chwilę sam, po czym powtórzył ten sam gest. Modlitwa była skończona. Ponownie potwierdził sternikowi kurs 300°, po czym polecił ZDO i oficerowi uzbrojenia udać się do przedziału rakieto-

wego i rozpocząć ostatnie sprawdzanie obu głowic nuklearnych.

W tym czasie admirał Gillmore dysponował już wszystkimi danymi z czterech fregat tropiących Barracudę. Pozycja spostrzeżonego o godzinie 0.30 peryskopu była dokładnie obliczona: 27°25'N, 016°06'W. Amerykańscy dowódcy okrętów są przyzwyczajeni do prowadzenia dokładnej nawigacji i lepiej niż ktokolwiek inny radzili sobie bez GPS. Admirał raz jeszcze przeanalizował sytuację i doszedł do tego samego wniosku: przeciwnik mógł obrać kurs z sektora między W a WNW, ponieważ żaden inny nie byłby odpowiedni dla jego celów. Niezwłocznie polecił przesłać rozkazy dla fregat: Elroda i Nicholasa skierował ku cieśninie między Gomerą a Teneryfą, natomiast Klakringa i Simpsona bardziej na zachód. Nakazał też dowódcy lotniskowca zmienić kurs i zbliżyć się wraz ze swą groźną eskadrą śmigłowców w rejon Palmy.

Barracuda II tymczasem płynęła naprzód, wolno i cicho, nie widziana i nie słyszana. Z tytanowego kadłuba nie wydostawał się na zewnątrz prawie żaden dźwięk. Jej wielkie turbiny obracały się na minimalnych obrotach, nie powodując wibracji. Rosjanie strawili całe lata na doskonaleniu tej konstrukcji i trzeba przyznać, że im się udało: do tej pory nikt jeszcze nie wykrył żadnego z zakupionych przez Hamas okrętów z jakąkolwiek pewnością i dokładnością. Amerykanie wiedzieli, gdzie Barracuda II znajdowała się przed godziną, i domyślali się, dokąd płynie, ale nikt nie mógł naprawdę przewidzieć jej kursu. Dopóki znowu nie wykryją jej peryskopu radarem albo samego okrętu aktywnym sonarem, jej rzeczywista pozycja pozostanie nieznana. I przez następnych piętnaście godzin tak właśnie było. Barracuda II wymykała się gęsto zastawianym sieciom, mimo stałego patrolowania akwenu przez niestrudzone seahawki, przeszukiwania głębin przez specjalistyczne wyposażenie ZOP na pokładzie samolotów S-3B Viking i nasłuchiwanie przez superczułe sonary holowane fregat. Nie pomogło też przeczesywanie oceanu silnymi impulsami sonarów aktywnych ani próby osaczenia przeciwnika zagrodami z pław sonarowych zrzucanych przez seahawki.

Ben Badr tylko dwukrotnie, pod koniec tej długiej podróży

do wschodnich wybrzeży Gomery, odważył się na pięć sekund wysunąć maszt rozpoznania elektronicznego. Za każdym razem natychmiast wykrywano promieniowanie radarów vikin-gów operujących poza dwudziestopięciomilowym pasem wokół Palmy. Komputer natychmiast klasyfikował te impulsy i podawał namiar, z którego nadchodziły. Kiedy Barracuda II dopływała pod osłonę Gomery, kontradmirał Badr zaczynał nabierać przekonania, że ich misja może mieć charakter samobójczy. Raz jeszcze wezwał do swojej kabiny najbardziej zaufanych ludzi – ZDO, Szafii, Zahediego i Sabaha. Wspólnie zaczęli rozważać, czy wciąż mają szansę wycofać się bezpiecznie po wystrzeleniu scimitarów. Doszli do wniosku, że najprawdopodobniej nie. Pakują się przecież w samą zębatą paszczę gęstej linii obrony US Navy. Wszyscy dobrze rozumieli, że trzeba będzie kilkakrotnie podchodzić na peryskopową. Próba wykonania zadania przy jednym, dłuższym wystawieniu peryskopu nad powierzchnię byłaby równoznaczna z palnięciem sobie w łeb. Nie, jedyną szansą powodzenia było szybkie wzięcie namiarów na wybrane punkty lądowe i jeszcze szybsze zejście na bezpieczną głębokość, potem powrót w górę w celu ostatniego sprawdzenia pozycji, a w końcu odpalenie rakiet. Każde wystawienie peryskopu nie powinno trwać dłużej niż pięć do siedmiu sekund, inaczej ich szansę na przeżycie dramatycznie zmaleją.

O szesnastej tego czwartkowego popołudnia weszli na względnie płytkie – nie przekraczające ośmiuset metrów – wody przy wschodnim brzegu Gomery, trzymając się na głębokości stu osiemdziesięciu metrów o cztery mile od wyspy. Kapitan Mohtadz zaglądał przez ramię porucznikowi Mo-hammedowi, gdy ten kreślił na mapie kurs ku punktowi sześć mil na północny wschód od Punta del Organo, najbardziej na północ wysuniętego przylądka Gomery. Stamtąd pozostawało już tylko szesnaście mil do wybranej strefy strzału, oddalonej dokładnie o dwadzieścia pięć mil od szczytu Cumbre Vieja. Ben Badr zamierzał oddać salwę z pozycji 28°22'N, 017°28'W, jeśli pozwoli na to rozmieszczenie sił przeciwnika.

Od dowódcy po najmłodszego marynarza wszyscy już sobie zdawali sprawę, że z każdą przebytą milą się amery-

kańskiej obrony będzie coraz ciasniejsza. Na razie jednak wydawało im się, że żaden z okrętów przeciwnika nie zdołał precyzyjnie namierzyć ich pozycji. Załoga była teraz świadoma grożącej im śmierci, ale też czuła się bezpiecznie w głębi oceanu. W końcu przepłynęli już setki mil na akwenie niezmordowanie przeszukiwanym przez wroga i nie zostali wykryci. Mieli jeszcze duże szansę.

O osiemnastej na powierzchni było jeszcze zupełnie widno, kiedy mijali ostatnie mile brzegów Gomery. Porucznik Asztari Mohammed oznajmił wkrótce, że mają przed sobą czystą drogę do Palmy. Kontradmiral Badr rzucił już w myślach kości; był zdecydowany wykonać zadanie – podejść pod Palmę, wziąć namiary i wystrzelić rakiety w krater lub tak blisko jak się da. W kwestii ucieczki zdawał się na miłosierdzie Allaha, nie zapominając, że przewaga jest po stronie Amerykanów.

Porucznik Mohammed sprawdził pozycję obliczoną przez system nawigacji inercyjnej (INS), urządzenie przekraczające możliwości finansowe przeciętnych cywilnych linii żeglugowych, a ostatnio nawet balansującej na krawędzi bankructwa rosyjskiej marynarki wojennej. Barracuda II miała go jednak na wyposażeniu; jej INS zliczał kursy i prędkości od samego wyjścia z Huludao przed trzema miesiącami.

System INS został skonstruowany w latach pięćdziesiątych specjalnie na potrzeby okrętów podwodnych i od tamtej pory był sukcesywnie udoskonalany. Ma jedno zadanie: podawać nawigatorom dokładną pozycję bez dostępu do żadnych systemów radionawigacyjnych, po całych tygodniach bez możliwości obserwacji astronomicznych. Jego działanie opiera się na precyzyjnym pomiarze przyspieszeń bocznych i wzdłużnych działających na poruszający się okręt, z wyeliminowaniem z obliczeń przyspieszenia ziemskiego i wynikających z kołysań poprzecznych i wzdłużnych. Z INS korzystały amerykańskie atomowe okręty podwodne, Nautilus i Skate, podczas pierwszego przejścia pod pokrywą lodową bieguna północnego w 1958 roku. Urządzenie, którym dysponował nawigator Barracudy II, było zdecydowanie lepsze od tamtych pierwowzorów. Przez całą drogę przez północny Pacyfik, wzdłuż nie kończących się wybrzeży obu Ameryk, a potem w górę At-

lantyku INS podawał nieprzerwanie pozycję okrętu z niemal idealną dokładnością. Dokładność zliczania jest tak duża, że przy precyzyjnie wyznaczonej pozycji początkowej – przy nabrzeżu w porcie wyjścia – można opłynąć cały świat dookoła i trafić w wybrany punkt z błędem nie przekraczającym pa-ruset metrów. W ostatnim dziesięcioleciu precyzja i powszechna dostępność GPS usunęła nieco w cień relatywnie stary INS, ale na każdym okręcie podwodnym nawigatorzy wciąż utrzymują system inercyjny w działaniu, często porównując wskazania obu ze sobą. Dlatego też porucznik Mohammed wiedział dokładnie, gdzie się znajdują, mimo najlepszych starań admirała Morgana i obsługi naziemnego centrum GPS w Kolorado. Na ekranie INS widniały aktualne współrzędne: 26°17'N, 017°12'W. Jednak nawet to doskonale urządzenie było tylko urządzeniem – zawsze należy się liczyć z jakimś defektem technicznym, wpływającym na prawidłowość wskazań; dlatego też Ben Badr i jego nawigator musieli co jakiś czas sprawdzać jego działanie, porównując jego wskazania z pozycją wyznaczaną metodami nie różniącymi się w zasadzie od tych, którymi posługiwał się Krzysztof Kolumb. Teraz też przyszała pora na złapanie ostatnich namiarów optycznych przed wyruszeniem bezpośrednio ku pozycji strzału. Asztari Mohammed poprosił o kilka sekund na peryskopowej, na co Ben się zgodził. Wkrótce peryskop i maszt radiowy wysunęły się z gładkiej, ciemnoniebieskiej wody. Dowódca włączył stoper, kontrolując czas. Słyszał, jak nawigator wykrzykuje polecenia dla obsługi.

–Peryskop w górę!

–Klif Los Organos, prawa krawędź... Zaznaczyć! Peryskop w dół!

–Dwieście czterdzieści! – zameldował podoficer odczytujący namiary na sygnał porucznika.

–W górę!

–Lewa krawędź... Zaznaczyć! W dół!

–Sto osiemdziesiąt!

–W górę! Latarnia Punta del Organo... Zaznaczyć! W dół! Kapitan Mohtadz wykreślał tymczasem podane namiary

na mapie.

–I jak to wygląda, Ali? – spytał dowódca.

–Bardzo dobre namiary, panie admirałe. Przecięcie prawie w punkcie. Pozycja się zgadza. Kurs do strefy strzału dwieście dziewięćdziesiąt.

Ben Badr słyszał, że łącznościowcy właśnie skończyli odbieranie sygnału z chińskiego satelity, od razu wydał więc polecenie zanurzenia.

–Trym pięć, prędkość siedem węzłów. Po dotarciu na głębokość sto osiemdziesiąt przejsć na kursy nawrotne.

Badr wiedział, że nie miałyby sensu iść od razu do odległej o trzy godziny drogi strefy strzału, a potem czekać tam bezczynnie przez całą noc. Było oczywiste, że w pasie do dwudziestu pięciu mil od wybrzeży Palmy będzie się roić od amerykańskich okrętów, śmigłowców i samolotów. Tu, niedaleko Gomery, poszukiwania nie były intensywne. Ben wolał więc dotrzeć cicho na miejsce o samym świcie, pojawić się nie wiadomo skąd i wziąć namiary na cel, mając wschodzące słońce za sobą. Siedem sekund wystarczy; przez ten czas Amerykanie nie powinni zdążyć ich namierzyć. Badr polecił przynieść ostatni sygnał. Wiedział, że musi pochodzić od Rawiego.

Ben, myśli moje i Szakiry są teraz z wami. Jeśli Allah słucha, a tak z pewnością jest, to Jego wojownicy będą bezpieczni. Wszyscy muzułmanie modlą się teraz tylko za was i życzą wam udanego powrotu do domu, kiedy już scimitary wykonają swoje święte zadanie. Rawi Raszud.

Czwartek, 8 października 2009 r., godzina 23.00. Biały Dom

Admirał Morgan i prezydent Bedford siedzieli z oficerami z dowództwa marynarki wojennej w pokoju sytuacyjnym w zachodnim skrzydle. Na wielkim ekranie komputerowym jaśniała elektroniczna mapa Wysp Kanaryjskich, na której czerwonymi krzyżykami były zaznaczone pozycje, na których poprzednio prawdopodobnie wykryta została Barracuda. Biały krzyżyk pokazywał miejsce, gdzie według admirała Dora-na przeciwnik mógł się aktualnie znajdować. Admirał spodziewał się, że dotarł on już na krawędź dwudziestopięcio-

milowego pasa przybrzeżnego wokół Palmy, co było trochę na wyrost. Kontradmiral Badr jeszcze się nie zdecydował na tak bliskie podejście do celu i nie miał tego zrobić jeszcze przez następne pół godziny. Pozycja wyliczona przez amerykańskich sztabowców była obarczona szesnastomilowym błędem -co przy poszukiwaniu okrętu podwodnego na głębokowodnym akwenu jest całkiem sporą odległością.

Admirał Morgan szykował się do czytania raportu z pospiesznie zwołanego zebrania międzynarodowej konwencji SOLAS*. To szacowne ciało spotyka się co kilka lat w celu ustalenia tzw. Międzynarodowych Przepisów o Zapobieganiu Zderzeniom na Morzu, znanych w środowisku pod angielskim skrótem COLREGS lub jako „Prawo drogi morskiej”. Na stole przed Arnoldem leżało zestawienie konsekwencji jednego dnia bez GPS. Otwierający je przypadek pierwszej poważnej katastrofy wprowadził go w zdumienie. Zarejestrowany w Liberii zbiornikowiec z trzystoma tysiącami ton ropy naftowej jakimś cudem pomylił północny brzeg atlantyckiego wejścia w Cieśninę Magellana z Isla de los Estados, wyznaczającą wschodni kraniec Cieśniny Drake'a, i wykonał zwrot, pakując się z prędkością piętnastu węzłów na plażę pod Punta Espora.

–Zboczył z kursu o pięćset mil! Wszedł na gładką jak stół, prawie zamkniętą między brzegami zatokę i myślał, że na-wiguje po najburzliwszych wodach świata pod Cape Horn! – wykrzyknął admirał. – Boże Wszchemogący, Ty to widzisz i nie grzmisz?

* Safety Of Life At Sea – „Bezpieczeństwo życia na morzu”, konwencja sygnowana przez prawie wszystkie państwa świata, ustalająca bardzo szczegółowo i rygorystycznie warunki, jakim powinny odpowiadać konstrukcja i wyposażenie statków oraz niektóre procedury bezpieczeństwa. Po raz pierwszy podpisana w 1914 roku w reakcji na zatonięcie Titanica, później kilkakrotnie zmieniana. Jej przywołanie w tym kontekście przez Autora jest błędem, podobnie jak przypisanie jej autorstwa MPZZM, które są przedmiotem odrębnej konwencji. W poruszanej tu kwestii odpowiednim ciałem, które mogłoby się zebrać dla oceny skutków wyłączenia GPS, jest IMO – Międzynarodowa Organizacja Morska, lub – co bardziej prawdopodobne – jej podorgan MSC (Mantime Safety Committee – Komisja Bezpieczeństwa Morskiego).

Następny punkt raportu nie poprawił humoru wielkiego znawcy win i wszelkich innych tematów. Frachtowiec panam-ski w drodze z Indonezji nie trafił nie tylko do swego portu przeznaczenia, Kagoshimy, ale minął się z całą japońską wyspą Kiushiu, celując w południowy cypel Półwyspu Koreańskiego, do którego zresztą nie dopłynął; trafił prosto na redę Mosulpo na tropikalnej wyspie Cheju Do i tam zderzył się z wieczornym promem z Pusan. Morgan nie wierzył własnym oczom. Trzeci wypadek był równie przerażający; kapitan zbiornikowca wiozącego dwieście tysięcy ton ropy do Rotter-damu wjechał na mieliznę Goodwin Sands przy wschodnim krańcu kanału La Manche przy niskiej wodzie i do tej pory tkwił na piasku schowanym zaledwie metr pod powierzchnią morza. Inny supertankowiec wylądował na plaży w Nigerii. Czarterowy jacht trafił na rafy o trzysta mil od właściwej wyspy karaibskiej, a kapitan dużego statku wycieczkowego z Neapolu zachodził w głowę, dlaczego na Korsyce nikt nie mówi po włosku. Porca Madonna, che cosal

Zarząd londyńskiego Lloyd's był bliski apopleksji. Co kwadrans z jakiegoś zakątka globu napływało zgłoszenie kolejnego przypadku zgubienia drogi przez kosztujący miliony dolarów statek, który gdzieś tam wjechał na skały, rafy, betonowe nabrzeża, plac św. Marka, kosmodrom w Bajkonurze czy do lokalnego zoo. Admirał Morgan zaczynał dostrzegać w tym humorystyczną stronę, ale myśl o niezliczonych pozwach do sądu, jakie czekają USA za wyłączenie tak niezbędnego światu systemu GPS, nie pozwalała mu roześmiać się w głos.

–Konsekwencje prawne będą koszmarnie – odezwał się admirał Dickson. – Lloyd's może to uznać za sposobność do odegrania się na nas po latach... Wiecie, o czym mówię... o tym zwariowanym werdykcie naszego sądu, przez który omal nie zbankrutowali dwadzieścia lat temu. Przypisano im odpowiedzialność ubezpieczeniową za wszystkie te historie z azbestem, które wynikły na długie lata Wcześniej, zanim komukolwiek się przyśniło, że to niebezpieczna substancja.

–To możliwe – odrzekł Morgan. – Będą jednak musieli wytoczyć nam proces tutaj. A ponieważ to właściwie wojsko

wyłączyło GPS z przyczyn ściśle militarnych, najpewniej odmówimy poddania się cywilnej jurysdykcji.

–Dobry pomysł – przyklasnął Dickson. – A tymczasem plaże całego świata zapełniają się wrakami.

–Prowadzonymi przez cymbałów, którym nie powinno się wydać karty rowerowej, a cóż mówić o dyplomie kapitana – burknął Arnold. – Przecież zawiadomiliśmy wszystkich armatorów o wyłączeniu GPS dwie doby wcześniej. Skoro uznają za stosowne stawiać mały za sterami swoich statków, to ich problem, nie?

–Absolutnie, sir – zgodził się szef operacji morskich. – Ale wróćmy do naszych spraw. Na wschodnim Atlantyku bez zmian, co? Ani śladu Barracudy od... ile to będzie? Prawie od doby.

–Prawie. A do północy pozostało niewiele czasu – odrzekł Morgan. – Za parę godzin będziemy mieli dziewiątego października. D-day. Mam nadzieję, że ten sukinsyn wylezie wkrótce pod powierzchnię. George Gillmore otoczył cały prawdopodobny akwen.

–No, dla mnie pocieszające jest to, że dopóki go nie widać, nie może też wystrzelić – powiedział Dickson. – Dopóki się trzyma dużych głębokości, rakiety nie polecą do Cumbre Vieja, a to mi się cholernie podoba.

Jimmy Ramshawe, siedzący dotąd w milczeniu nad swym laptopem, rzekł nagle:

–Wiecie, panowie... Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby się okazało, że się poważnie mylimy co do aktualnej pozycji Barracudy. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego miałyby płynąć akurat do najbardziej patrolowanej strefy wokół Palmy i tam czekać na swoją godzinę. Moim zdaniem wciąż się czai gdzieś pod Gomerą i nie zbliży się, dopóki nie nadejdzie pora strzału.

–Prawdę mówiąc, ja też bym tak zrobił – mruknął admirał Morgan. – Przykucnąłbym gdzieś w zacisznym miejscu i z pierwszym brzaskiem ruszyłbym do celu.

–To znaczy kiedy, Arnie? – spytał Paul Bedford.

–Oni tam są o cztery godziny do przodu... powiedzmy, że za jakieś dwie godziny.

–Chyba nie, sir – wszedł mu w słowo Jimmy. – Ja bym

ruszył jeszcze nocą, tak wolno, żeby dotrzeć na miejsce ze świtem nautycznym*. W ten sposób natychmiast po znalezieniu się na pozycji mógłbym zrobić namiary i...

–Młody człowieku, czy ty kiedykolwiek byłeś na okręcie podwodnym? – zapytał surowo Arnold Morgan.

–Nie, sir.

–A powinieneś. Masz właściwy instynkt. Myślę, że możesz mieć rację. Połączcie mnie z Frankiem Doranem w Nor-folku. Zobaczymy, co on na to powie. Potem nadamy sygnał do George'a Gillmore'a.

Tymczasem Wschodnie Wybrzeże przygotowywało się do ostatniego stadium ewakuacji, które zgodnie z prezydenckim dekretem miało się rozpocząć o północy. Na ulicach panował większy ruch niż jeszcze przed godziną. W niektórych budynkach federalnych gasły światła, gdy ostatni pracownicy opuszczali swe posterunki i spieszyli do samochodów, by wyjechać z miasta na północny zachód. Policja miała od dwudziestej czwartej wprowadzić ruch jednokierunkowy na całej obwodnicy Waszyngtonu, a główną autostradę numer 279 zarezerwować dla wyjeżdżających wyłącznie na północ. Pozwoli to wszystkim członkom rządu na szybką ewakuację do Camp Goliat. Prezydent Bedford uparł się, że opuści stolicę jako jeden z ostatnich.

–Dopiero wtedy, gdy się dowiemy, że wulkan wybuchł – zapowiedział. – Nie ruszę się stąd, dopóki tsunami będzie dalej niż pięćset mil od naszych brzegów.

W Pentagonie personel specjalnego pokoju operacyjnego miał pozostać na miejscu do ostatniej chwili przed odlotem do Camp Goliat. Dwa śmigłowce superstallion z Korpusu Marines stały w pogotowiu na lądowisku, dwa inne czekały pod Białym Domem. Cała czwórka mogła pomieścić dwieście dwadzieścia osób.

W miarę jak wskazówki zegarów pełzły ku „małym godzi-

*** W nawigacji rozróżnia się dwa rodzaje świtu – „nautyczny”, gdy słońce jest 12" pod horyzontem i jest na tyle jasno, że już widać linię widnokręgu, a zarazem na niebie jeszcze są widoczne najjaśniejsze gwiazdy, i „cywilny”, gdy słońce jest 6° pod horyzontem i nie da się już „łapać” gwiazd sekstantem.**

nom" nocy, gigantyczna operacja ewakuacji Wschodniego Wybrzeża zbliżała się do końca. Zaczął się dzień 9 października i wszystkie mniejsze miejscowości od Maine po Florydę były niemal doszczętnie wyludnione. Miasta takie jak Boston, Newport, Providence, nowojorskie przedmieścia na Long Island czy podobne na równinach New Jersey i Karoliny były jak wymarłe. Jedyne w samym Nowym Jorku trwało istne pan-demonium. Korki na ulicach wciąż były ogromne, dworce kolejowe pękały w szwach od tłumów ludzi usiłujących wydostać się na bezpieczniejsze tereny na zachodzie. Pociągi miały tu jednak do pokonania dwukrotnie większą odległość niż w Waszyngtonie czy Bostonie, gdzie do wzgórz jest stosunkowo blisko. Poza tym o ileż tu było więcej mieszkańców, w tym dziesiątki tysięcy osób nie mających się gdzie podziać, do wywiezienia! Wojsko dzielnie robiło, co mogło, posyłając do Wielkiego Jabłka kolejne setki ciężarówek i rekwirując każdy dostępny jeszcze w całym stanie galon paliwa. Zadanie było jednak kolosalne i dowódcy zaczęli się obawiać, że na całym świecie nie ma wystarczającej ilości samochodów, pociągów i autobusów, żeby mu sprostać, zanim cała cholerna okolica znajdzie się pod wodą. Do Pentagonu napływały coraz to nowe rozpaczliwe wołania o więcej pojazdów, więcej żołnierzy, więcej helikopterów. Ostatni sygnał, jaki przeczytał generał Scannell, został nadany przez pułkownika piechoty, weterana wojny w Zatoce Perskiej, który zakończył swój apel tymi słowami:

Sir, nie ma pan pojęcia, jak to tutaj wygląda. Nigdy w życiu nie widziałem tylu przerażonych ludzi. Nikt tu nie wie, co się z nim stanie. Zaklinam pana, niech pan przyśle na Manhattan jeszcze sto ciężarówek, bo inaczej po prostu nie damy rady.

Admirał Morgan dobrze sobie zdawał sprawę z kryzysowej sytuacji w Nowym Jorku. Naradzał się z generałem Scannellem niemal co godzinę. Zakazane było publikowanie jakichkolwiek reportaży z ewakuacji czy tak zwanych ludzkich historii; nowojorskie gazety zostały zamknięte, stacje radiowe i telewizyjne obsadzone przez wojsko nadawały wyłącznie oficjalne komunikaty i instrukcje dla ludności. Admirał

zapowiedział dyrektorom wszystkich sieci, że jeśli którakolwiek z nich poważy się złamać jego zarządzenia, jej budynek zostanie natychmiast zamknięty i otoczony czołgami. Generał Scannell wystąpił nawet w nadanym przez telewizję kablową apelu do wszystkich stacji nadawczych Wschodniego Wybrzeża, w którym potwierdzał groźbę wprowadzenia przez głównodowodzącego operacją „Przyływ” stanu wojennego.

–Damy sobie radę ze wszystkim poza wybuchem masowej paniki – oznajmił. – Nie próbujcie nawet myśleć o złamaniu tego zakazu.

Jak dotąd nikt tego nie zrobił. Była pierwsza w nocy 9 października, dnia zapowiedzianego ataku Hamasu. Z wyjątkiem wciąż wrzącego kotła Nowego Jorku ewakuacja Wschodniego Wybrzeża dobiegała końca. Miliony ludzi przeniosły się na wyższe tereny i teraz czekały na rozwój wypadków. Oficerowie z wydziału prasowego Pentagonu okupowali każdy kanał radiowy i telewizyjny, starając się profesjonalnie przygotowanymi komunikatami uspokajać słuchaczy, zapewniając, że linia obrony US Navy wciąż jeszcze stoi między terrorystami a ich celem, wielkim i groźnym wulkanem na wschodnim Atlantyku. Na polecenie admirała Morgana każde nadawane co godzinę oświadczenie kończyło się zdaniem: „Pamiętajcie, że mamy siłę, technikę i najdzielniejszych ludzi, którzy wykonują plan obronny Pentagonu... i pamiętajcie wszyscy słowa wielkiego amerykańskiego dziennikarza sportowego: Nie zawsze wyścig wygrywa najszybszy, nie zawsze w bitwie zwycięża najsilniejszy – ale na nich właśnie trzeba stawiać!”

Piątek, 9 października 2009 r., godzina 5.00. 2821N/01724W. Zanurzenie 180 m, kurs 290°, prędkość 5 w

Na powierzchni było jeszcze ciemno. Barracuda II sunęła bezszelestnie kursem na zachodni północ-zachód, trzy mile od wybranej pozycji strzału, wciąż poniżej warstwy termicznej, dobrze ukryta przed penetrującymi impulsami aktywnych sonarów. Kontradmiral Badr dopiero o piątej trzydzieś-

ci dał rozkaz podejścia na peryskopową. Przez siedem sekund, jakie dał nawigatorowi na wzięcie namiarów, zorientował się, że cały akwen aż huczy od wrogich radarów; rozpoznanie elektroniczne wykazało obecność kilku vikingów, ale tylko parę okrętów było w pobliżu. Natychmiast zszedł z powrotem „pod warstwę”, w czeluście oceanu, gdzie kakofonia odbić dezorientuje sonary z powierzchni. Kiedy Barracuda II z wolna zmierzała do celu, sonarzyści zameldowali o wykryciu nowych impulsów aktywnych z fregat i śmigłowców. Ben wywnioskował, że US Navy musi koncentrować największe siły w pasie około dwunastu mil wokół Palmy. Po raz piąty już tego ranka polecił sporą zmianę kursu, chcąc się w ten sposób zorientować, czy ktokolwiek go śledzi. Po kilku minutach nakazał sternikowi położyć się znowu na 290° i powoli, delikatnie wrócił na peryskopową. Pora była wziąć ostatnie namiary i

przygotować rakiety do odpalenia.

W pobliżu nie było słycać aktywnych sonarów. Ben Badr skinął głową Alemu Zahediemu, który zmniejszył prędkość do trzech węzłów.

–Peryskop w górę! Sprawdzić dookoła! I dwadzieścia sekund później:

–Peryskop w dół!

Ahmed Sabah, który dobrze wbił sobie do głowy powtarzaną przez dowódcę zasadę nieprzetrzymania masztu nad powierzchnią dłużej niż siedem sekund, wiedział, że tym razem peryskop był w górze o wiele za długo. Patrzył na Badra, usiłując odczytać z jego twarzy jakiegokolwiek emocje; zdenerwowanie? Desperację? Niepewność? Nie zobaczył jednak nic poza beznamiętnym pogodzeniem się z losem. I ani trochę mu się to nie podobało. „Allahu! On się poddał” – szepnął do siebie w myśli. „Myśli, że nie wyjdziemy z tej pułapki”.

–Ben? – zagadnął pytająco.

Dowódca odrzekł mechanicznie, jakby go nie słyszał:

–Tam się roi od śmigłowców. Chyba widziałem też fregatę bliżej brzegu. – A potem znów zwykłym, dziarskim tonem rozkazał: – Uwaga na wyrzutniach! Przygotować się do ostatniego namiaru. Peryskop w górę!

–Latarnia Fuencaliente... zaznaczyć! W dół!

–Dwieście osiemdziesiąt sześć!

–W górę! Latarnia Punta de Arenas Blancas... zaznaczyć! W dół!

–Trzysta siedem!

Upłynęło kilka sekund, zanim padł kolejny rozkaz.

–W górę! Szczyt Cumbre Vieja... zaznaczyć! W dół!

Asztari Mohammed szybkimi pociągnięciami ołówka narysował trzy linie od wymienionych przez dowódcę punktów na brzegu i połączył ich punkt przecięcia z kropką oznaczającą szczyt wulkanu.

–Namiar dwa dziewięć siedem, odległość dwadzieścia sześć koma dwa! – zameldował.

–Sternik, położyć się na dwieście dziewięćdziesiąt siedem. Oficer uzbrojenia, wprowadzić dane do komputerów...

Godzina 5.56. Bateria patriot, Cumbre Vieja

Na wschodzie przed oczami żołnierzy z baterii rakiet kierowanych patriot roztaczał się fantastyczny widok na Atlantyk, zaróżowiony przez właśnie wspinające się ponad poprzeczkę horyzontu krwiste słońce. Oczy wszystkich zwrócone były na wodę jednak nie z powodu piękna chwili; gdzieś tam pod mieniącą się powierzchnią krył się wróg, czekający sposobnej chwili, by zadać cios. Byli gotowi. Wielu z nich zaciskało pięści, obserwując nieustannie krążące seahawki i wikingi, przeczesujące ocean sonarami i magnetometrami. Major Gili złapał wczorajszego popołudnia parę godzin snu, ale od tamtej pory był cały czas na nogach, krążąc między ośmioma wyrzutniami swojej baterii, osłaniany przez czterech przydzielonych mu komandosów. Przy każdej przystawał na chwilę i przyglądał się bacznie wszystkiemu, jakby starając się dostrzec jakieś niedociągnięcie, niewłaściwy kąt ustawienia, złe połączenie elektroniczne; niczego jednak nie znajdował. Jego patrioty były rozstawione idealnie, pokrywając wszystkie kierunki, gotowe do startu. Blake Gili wiedział, że patrzy na najlepszą broń przeciwlotniczą i przeciwrakietową, jaką kiedykolwiek zbudowano. Był dumny ze swego oręża i powtarzał każdej z obsad: „Bawię się w rakiety już sporo czasu i pra-

cowalem z wieloma różnymi ludźmi. Ale gdybym miał wymienić jeden zespół, który by bez pudła strącił tego sukinsyna z nieba, to bym powiedział: wy, chłopaki". Szedł tak od wyrzutni do wyrzutni, rozmawiał z podwładnymi, dodawał im ducha i zagrzewał do walki, wzmacniając ich poczucie własnej wartości i zdecydowanie, by dać z siebie wszystko.

Teraz major Gili siedział w centrum kierowania walką, spoglądając na ekrany komputerów. Polecił ponownie sprawdzić łączność z poszczególnymi wyrzutniami, z centralami operacyjnymi na czterech fregatach, z USS Coronado i z patrolującymi śmigłowcami. Blake Gili nie zostawiał niczego przypadkowi; każdemu z tych ludzi na ziemi, wodzie i w powietrzu – radarzystom, sonarzystom, obserwatorom, pilotom, nawigatorom – każdemu, kto zauważy cokolwiek podejrzanego, wystarczy dwa naciśnięcia guzika, by skontaktować się elektronicznie z centrum kierowania walką baterii patriotów. Trzeba będzie działać szybko, ale czasu im nie zabraknie. Major Gili był przekonany, że przewaga jest zdecydowanie po ich stronie. Pod warunkiem że każdy z nich zrobi, co do niego należy, i zrobi to najlepiej. Pięciometrowe pociski MIM-104E załatwią resztę. Poniosą dziesiątki kilogramów trotylu ku nadlatującym rakietom nieprzyjaciela z prędkością pięciu machów. Tak, Hamas ma po swojej stronie element zaskoczenia, ale obrona jest sześciokrotnie szybsza niż atak.

Major Gili raz jeszcze połączył się bezpośrednio z admirałem Gillmore'em i obaj osobiście sprawdzili system komunikacji. Wszystko było gotowe. Pozostawało tylko czekać na ruch przeciwnika.

Godzina 6.35. 2822N/01728W

–Peryskop w górę!

Ben Badr powoli omiół horyzont dookoła i rozluźnił się. Zauważył jeden śmigłowiec z opuszczonym sonarem trzy mile na zachód i drugi w przelocie dwie mile na północ. Namierzył też bliżej brzegu fregatę klasy Oliver Hazard Perry. Było to nad podziw spokojne rozglądanie się po powierzchni morza, jakby dowódca okrętu miał tyle czasu, ile mu się zamarzy,

a jednocześnie wiedział, że ostatecznie nie będzie mowy

o ucieczce. Amerykanie nie mogą mu przeszkodzić w oddaniu salwy, prawdopodobnie nie zdążą też przechwycić scimita-rów. Cokolwiek jednak się stanie, na pewno nie pozwolą mu odpłynąć spomiędzy Wysp Kanaryjskich na otwarte wody. Kontradmiral Benjamin Badr nie miał już wątpliwości, że ich misja przerodziła się w samobójczą.

Peryskop Barracudy II sterczał z wody przez całe sześćdziesiąt sekund. Za długo. Przelatujący seahawk, pilotowany przez porucznika Dona Brickle'a, wykrył go radarem o szóstej trzydziści pięć czasu lokalnego. Natychmiast zrobił zwrot w jego kierunku, aby zanurzyć sonar na ostatniej znanej pozycji celu, jednocześnie alarmując centralę operacyjną na Nicholasie oraz wszystkie śmigłowce w pobliżu.

Trzy minuty później sonarzysta na Barracudzie II zameldował wykrycie efektu hydrofonowego i aktywne impulsy w niewielkiej odległości za rufą. Jednocześnie porucznik Mohammed głośno odczytał wprowadzone do komputerów pokładowych rakiet koordynaty i zameldował:

–Rakiety gotowe do odpalenia!

Porucznik Brickle pochylił maszynę w zwrocie w prawo

1 spostrzegł obły cień Barracudy pod powierzchnią morza w chwili, gdy nad nim przelatował. Okręt trzymał kurs około trzystu stopni. Kątem oka pilot zauważył drugi śmigłowiec z fregaty, prowadzony przez jego kolegę, porucznika Iana Hol-mana, nadlatujący z południowego wschodu.

W tej samej chwili Ben Badr rozkazał wystrzelić rakiety.

–Uwaga na pierwszej!

–Pierwsza gotowa!

–Ognia!

Okręt zadrżał lekko, gdy masywne cielsko scimitara z głowicą nuklearną wyrwało się z wyrzutni torpedowej numer jeden. Rakietę pomknęła ostro w górę i wyskoczyła nad wodę w chmurze ognia i pary. Statecznik i krótkie skrzydła rozłożyły się i zablokowały we właściwej pozycji. Ciągąc za sobą warkocz ognia, scimitar z rykiem wspinał się po zaprogramowanej trajektorii. Inżynierowie pracujący w podziem-

nej fabryce pod masywem Kwanmobong mogli być dumni ze swego dzieła. Ben Badr patrzył przez peryskop, jak rakieta leci stromo w górę z prędkością prawie tysiąca kilometrów na godzinę, kierując się prosto na widniejący w dali krater Cumbre Vieja, odległy o czterdzieści jeden kilometrów; dwie minuty i trzydzieści sześć sekund lotu.

Badr pragnął z całego serca, żeby Rawi i Szakira Raszu-dowie wspólnie z nim przeżywali ten doniosły moment. Następnej pół godziny na pokładzie Barracudy II nie życzyłby jednak nawet najgorszemu wrogowi. Odsunął się od peryskopu, by wydać swój ostatni, jak mniemał, rozkaz.

–Uwaga na drugiej!

Wysoko nad nimi porucznik Brickle zajęty był naprowadzaniem lana Holmana na cel.

–Silny kontakt aktywny... Klasyfikacja, pewny okręt podwodny... kurs dwa dziewięć siedem, odległość sześćset metrów, wolno rośnie... Delta Trzy do Brawo Dwa, atakuj natychmiast, lekka torpeda.

–Brawo Dwa do Delta Trzy, gotów.

–Brawo Dwa, uwaga... Teraz, teraz, teraz! Porucznik Holman wcisnął guzik i torpeda Mark-50 wypadła z uchwytu, nurkując stromo ku wodzie.

–Delta Trzy do Brawo Dwa, torpeda w wodzie. Widzę wciąż jego peryskop. Kurs nadal dwa dziewięć siedem. Odlatuję na trzy mile przed nim, żeby zanurzyć sonar.

–Roger, Delta Trzy. Uważaj, cel przyspiesza... Jezu, wystrzelił następną raketę!

Barracudą II wstrząsnęła eksplozja. Torpeda z seahawka trafiła w prawą burtę o dziesięć metrów za kioskiem. Wybuch o mało nie przewrócił okrętu do góry dnem, kładąc go na burtę. W przedziale reaktora komandorowie Szafii i Abdol-rahim zostali z wielką siłą rzućni o grodzie. Przechył okazał się za duży dla reaktora; system bezpieczeństwa natychmiast opuścił pręty spowalniające na całą długość, powodując raptowne zatrzymanie reakcji łańcuchowej. Główne oświetlenie zgasło w jednej chwili na całym okręcie, pozostały tylko dające mdłe światło lampy awaryjne. Miejscami woda wdarła

się do wnętrza kadłuba, ale przedziały wodoszczelne były pozamykane i kontradmirał Badr wiedział, że okręt jest uszkodzony, może nawet poważnie, ale nie tonie. Poleciał zmniejszyć prędkość do pięciu węzłów; płynęli teraz na silnikach elektrycznych, czerpiąc energię z akumulatorów. Nakazał też zwrot na południe i trym dziesięć stopni na dziób, próbując zejść na większą głębokość.

Poturbowani szef działu reaktora i jego zastępca pozbiali się jakoś na nogi. Bosman Ardeszir Tikku, którego wybuch zaskoczył na siedzeniu za panelem kontrolnym, nie ucierpiał tak bardzo; wstał teraz i starał się pomóc przełożonym. Wszystkie możliwe buczki alarmowe były przeraźliwie. Kapitan Mohtadz przejął prowadzenie okrętu, a Ben Badr wraz z szefem Zahedim ruszyli do siłowni.

–Szafii, musimy szybko uruchomić reaktor... Zaczynaj wyciągać pręty, bo inaczej jesteśmy skończeni!

Bosman Tikku zaczął nerwowo stukać palcami w klawiaturę komputera sterującego reaktorem, nieświadomy, że wysoko nad nimi Brickle i Holman szykowali się do kolejnego ataku.

Oba śmigłowce zawisły bezpośrednio nad okaleczoną Bar-racudą II, a ich piloci spokojnie rozmawiali z trzecim sea-hawkim, Delta Cztery porucznika Paula Lubrana, nowo przybyłym z Elroda.

–Brawo Dwa, eksplozja w namiarze dwa dziewięć siedem. Delta Cztery, przygotować się do zrzucenia torpedy. Delta Trzy, masz go?

–Delta Trzy, mam go, namiar trzy pięć sześć, odległość dwa tysiące metrów. Potwierdzam, eksplozja w namiarze. Delta Cztery, wektor zero sześćdziesiąt pięć, uwaga... Zrzut! Teraz, teraz, teraz!

–Delta Cztery, poszła.

Druga torpeda spadła prawie pionowo w wodę i pomknęła ku Barracudzie, kuśtykającej piętnaście metrów pod powierzchnią. Uderzyła w pokład tuż przed kioskiem, wybijając dziurę o prawie dziesięciometrowej średnicy. Woda błyskawicznie wypełniła uszkodzony przedział. Nikt z załogi nie wiedział na dobrą sprawę, czym zostali trafieni. Dokładnie w trzydzieści dwie sekundy okręt otrzymał dwa śmiertelne

ciosy i teraz szedł w swoje ostatnie zanurzenie. Sonarzyści na okrętach US Navy usłyszeli ten dziwny, metaliczny dźwięk, wydawany przez pękający kadłub w drodze na dno. Obsada siłowni

zdążyła jeszcze zamknąć swój przedział, nie dopuszczając do jego zalania; mogli przeżyć o minutę dłużej niż ich koledzy. Sześćset metrów wody wywiera jednak potwornie duże ciśnienie i uszkodzony kadłub po prostu nie mógł tego wytrzymać. Zgnieciony, przełamany na kilka części opadał coraz głębiej i głębiej, wciąż posyłając ku górze swój rozpaczliwy, śmiertelny krzyk, odgłos dartej, pękającego metalu. Obserwatorzy na Elrodzie dostrzegli startującą spod wody rakietę i patrzyli, jak nabiera wysokości i mknie na zachód. Radar kierowania systemem Harpoon natychmiast ją wykrył i namierzył. Oficer wachtowy zameldował dowódcy:

–Sir, rakietę enpla, strzał podwodny prawo sześćdziesiąt pięć, cztery mile. Cel namierzony.

–Bardzo dobrze. Centrala naprowadzania, zezwalam na otwarcie ognia.

Pierwsza rakietka woda-powietrze śmignęła z wyrzutni, ciągnąc za sobą ogon ognia i dymu. Z prędkością 0,9 macha pomknęła na spotkanie z wciąż pnącym się ostro w górę scimitarem. Niedługo potem wysoko nad wyspą zakwitł obłok dymu, kiedy kierowana termolokacyjnie amerykańska rakietka zderzyła się z dumą Korei Północnej, zamieniając ją i siebie w drobny złom. W tej samej chwili z wyrzutni Elroda wystrzelił drugi harpoon, ponieważ jednak zabrakło mu celu, skierował się ku najbliższemu innemu – seahawkowi Brawo Dwa. Śmigłowiec uratowała szybka reakcja centrali operacyjnej na fregacie; wciśnięcie guzika wysłało do rakiety polecenie autodestrukcji. Porucznik Don Brickle omal nie dostał zawału, widząc mknący ku niemu pocisk. Nawet kiedy bestia eksplodowała w powietrzu o cztery tysiące metrów od niego, nie mógł się opanować.

–Jezu, czy wyście powariowali? – wrzasnął w mikrofon. – Jestem po waszej stronie! Myśleliście, że mam pieprzony turban na głowie?

W eterze zapanowało zamieszanie; padały komentarze, ten i ów zaśmiał się nerwowo, ktoś zameldował o trafieniu pierwszego harpoona w cel, inny dorzucił raport o unieszkodliwie-

niu drugiego, któryś z pilotów potwierdził dwie silne eksplozje na ściganym okręcie podwodnym, inny krzyknął, że terroryści zdążyli wystrzelić drugą rakietę. Ta paplanina na kanale łączności z helikopterami wprowadziła chwilowy zamęt i kapitan Smith na wszelki wypadek zakazał dalszego strzelania, póki ktoś w ferworze jeszcze nie stracił którejsz z maszyn.

I wtedy wszystko stało się jasne. Drugi scimitar był już daleko w drodze, pełne czterdzieści sekund. Pokonał sześć mil w kierunku Cumbre Vieja, stale pnąc się w górę, by potem opaść prawie pionowo ku kraterowi. Sam kapitan złapał za mikrofon radiostacji i nadał sygnał.

–Patriot Boss, tu fregata Foxtrot Charlie. Rakietą w niemieście sto trzynaście. Wasza kolej, odbiór.

Major Gili w swym górskim centrum dowodzenia patrzył, jak automatyczny system naprowadzania włącza szerokopasmowy radar, zdolny do śledzenia stu celów naraz. Przeszukanie nieba, wykrycie rakiety i obliczenie jej parametrów lotu zajęło cztery sekundy.

–Mamy ją, sir! – zameldował operator.

–Foxtrot Charlie, tu Patriot Boss. Mamy ją. Spodziewacie się następnych?

–Nie wiadomo, Patriot Boss. Mamy tu problemy, ale pod-wodniak jest pod silnym ostrzałem. Następne rakiety możliwe, ale mało prawdopodobne.

–Roger, Foxtrot Charlie.

W tej chwili pierwszy pocisk opuścił wyrzutnię, nieomylnie prowadzony przez komputer w centrum kierowania. Zgodnie z początkowymi danymi mknął kursem sto trzynaście; jego własny radar szukał celu, który akurat minął szczytowy punkt swej trajektorii i z wysokości dziewięciu tysięcy metrów zaczął pikować ku wulkanowi, odległemu w poziomie o szesnaście kilometrów.

Major Gili polecił wystrzelić trzy kolejne patrioty, ale była to zbędna przezorność. Po dwunastu sekundach od startu pierwsza rakietą, pędząca na spotkanie scimitara z prędkością sześciu tysięcy kilometrów na godzinę, eksplodowała zaledwie kilkanaście metrów od hamasowskiego „miecza Alla-ha”. Dziewięćdziesiąt kilogramów trotylu zrobiło swoje. Ko-

reańska rakietą rozpadła się w powietrzu o czternaście kilometrów od swego celu, w jaskrawym fajerwerku płonącego paliwa. Głowica nuklearna nie eksplodowała; opadła nieszkodliwie do oceanu. Wiwatów, jakie podniosły się przy rozstawionych wokół krateru

wyrzutniach baterii majora Gilla, nie powstydzilby się stadion Yankees.

–Foxtrot Charlie, tu Patriot Boss. Rakieta strącona.

–Bogu niech będą dzięki, Patriot Boss.

Admirał George Gillmore mógł więc wysłać do Pentagonu oficjalny raport o zakończeniu zadania.

090652PAZ09. Barracuda wystrzeliła spod wody dwie rakiety cruise w kierunku wulkanu Cumbre Vieja z pozycji 25 Mm na wschód od Palmy. Okręt zniszczony i zatopiony dwiema torpedami ze śmigłowców. Obie rakiety strącone: jedna przez har-poon z Elroda, druga przez patriota z lądu. Boże, błogosław Amerykę. Gillmore.

EPILOG

Operacja „Przyptyw” została oficjalnie zakończona nad ranem 9 października. Budząc się ze snu, Amerykanie się dowiedzieli, że niebezpieczeństwo minęło. Groźba była realna, ale wojsko sobie z nią poradziło. Wyczerpany admirał Morgan wraz z Kathy opuścili Biały Dom o czwartej rano, wsiedli do nowiutkiego hummera 2A z przyciemnionymi, kuloodpornymi szybami i kierowca z Secret Service odwiózł ich do domu w Chevy Chase. Była za kwadrans szósta, kiedy Kathy postawiła na stole jajka w koszulkach, angielskie bułki maś-lane, smażony boczek i kielbaski. Jak na tak wczesny posiłek, był to istny bankiet, ale głównodowodzący operacją „Przyptyw” i jego osobista sekretarka nie jedli nic od środy rano, a i wtedy była to tylko sałatka owocowa. Admirał Morgan, pociągający za sznurki z Gabinetu Ovalnego, mógł wyglądać na klasycznego wojskowego twardogłowca, jak go ochrzciły media, ale siedem tygodni zmagania z zagrożeniem ze strony Hamasu niewątpliwie się na nim odbiło.

Kathy obarczała winą za to wszystko Charlesa McBride'a.

–Gdyby tylko ten cholerny głupek słuchał, co się do niego mówi! – powiedziała znad filiżanki kawy. – Gdyby skorzystał z rad, jakie mu podsuwały wywiad i wojsko, cała operacja byłaby o połowę łatwiejsza. Ludzie, którzy się znają na rzeczy, mogliby spokojnie robić swoje.

–Trudno ci odmówić racji, kochanie – mruknął Arnold. – Musimy zawsze zachowywać czujność, bo wrogów jest sporo. Ale największym niebezpieczeństwem dla Ameryki jest nie-dorosły błazen w Gabinetcie Ovalnym.

–Myślisz, że to wszystko wyjdzie na jaw? Przewrót wojskowy, usunięcie prezydenta i tak dalej?

–Mam nadzieję, cholera, że nie. Nie chciałbym patrzeć, jak ten kraj się rozdziera na pół. Myślę, że ten cymbał

374

McBride będzie miał dość wstydu, by siedzieć cicho i nie rzucać się do pisania pieprzonych pamiętników.

–Czy Alan Dickson powiedział ci, jak blisko była ta druga rakietka, kiedy patriot ją dopadł?

–Och, to nie był żaden problem. Kiedy już ptaszek poszedł w górę, mieliśmy całe tony czasu.

–Tak, ale ile? Kiedy miała uderzyć w krater?

–Zostało jej czterdzieści sekund.

–Matko Boska...

O siódmej rano nadano wystąpienie prezydenta Paula Bedforda na żywo. Ogłosił koniec stanu zagrożenia i odwołanie stanu wyjątkowego, jaki panował na Wschodnim Wybrzeżu przez ostatnie dziesięć dni. Apelował o spokojny powrót do normalnego życia i zapewnił, że wojsko będzie robiło wszystko, żeby pomóc w przywróceniu porządku w największych miastach. Pogratulował dziennikarzom powściągliwości i podziękował za współpracę (ani słówkiem nie napomykając, że była wymuszona przez Arnolda Morgana pod lufami czołgów). Wyraził żal z powodu ogromnego zamieszania i poniesionych przez budżet federalny kosztów związanych z ewakuacją.

–Nie zostałem jednak zaprzysiężony na to wysokie stanowisko tylko po to, bym bronił naszej konstytucji, ale może przede wszystkim, bym bronił amerykańskich obywateli -powiedział. – Was wszystkich i każdego z osobna. Tej obietnicy nie składałem na piśmie, ale traktuję ją jak najpoważniej.

Zwięźle i chłodno przedstawił skalę zagrożenia ze strony bliskowschodniego ugrupowania terrorystycznego.

–Nie mogłem ryzykować. Przed pięcioma godzinami siły zbrojne Stanów Zjednoczonych zniszczyły i zatopiły okręt podwodny terrorystów oraz zestrzeliły ich rakiety. Niebezpieczeństwo minęło. Rozpoczęliśmy jednak rozmowy z rządem Hiszpanii w sprawie zainstalowania amerykańskiej tarczy antyrakietowej jako stałej straży wokół Cumbre Vieja. Toczą się już także wstępne negocjacje z zainteresowanymi stronami w sprawie wspólnego przedsięwzięcia inżynierskiego, mającego na celu osuszenie podziemnych jezior pod masywem

wulkanu. Jednocześnie z tymi inicjatywami ostrzegam też Hamas i inne podobne organizacje. Jeszcze z wami nie skończyliśmy. Znajdziemy was, gdziekolwiek się chowacie, i wymierzmy karę.

Tego samego dnia w Damaszku

Rawi i Szakira Raszudowie, którzy oglądali u siebie prezydenckie wystąpienie na kanale CNN, byli oszołomieni tym, co usłyszeli. Z wolna docierało do nich, że Ben Badr, Ahmed i cała reszta nie żyją. Oboje wierzyli, że ich misja jest zaplanowana perfekcyjnie i że nawet potężna Ameryka nie potrafi wykryć dobrze prowadzonego okrętu takiego jak Bar-racuda. Wstrząśnięci, udali się natychmiast do wielkiego meczetu Omajjadów, by się pomodlić za poległych przyjaciół. Projektując tę operację i biorąc udział w jej pierwszych etapach, oboje wiedzieli, że może być niebezpieczna i że Allah może w każdej chwili powołać ich kolegów przed swój tron. Zawsze jednak w takich sytuacjach, kiedy chodzi o bliskich przyjaciół i krewnych, śmierć nadlatuje na skrzydłach kruka; generał i jego żona przez długi czas nie mogli wymówić słowa.

W tym samym czasie w Waszyngtonie

Prezydent Bedford zakończył swe przemówienie słowami: – Raz jeszcze żołnierze i marynarze amerykańscy stanęli na wysokości zadania, broniąc nas wszystkich jak zawsze mężnie i sprawnie. Im właśnie chcę dziś podziękować, a zwłaszcza ich wspaniałym dowódcom. Dziękuję głównodowodzącemu tej operacji, który kierował tak cywilną, jak i militarną jej częścią, admirałowi Arnoldowi Morganowi, którego większość z was pamięta z poprzedniej administracji. Admirał jak zawsze był w pierwszym szeregu, kiedy naród stanął w obliczu zagrożenia. Przez ostatnie osiem dni praktycznie nie opuszczał Białego Domu, a mimo to... kiedy nasze jednostki toczyły tę krótką, ale śmiertelną bitwę na wschodnim Atlantyku... mieliśmy dodatkowego człowieka w każdej

baterii rakiet, w każdym śmigłowcu, w każdej okrętowej centrali operacyjnej... kogoś, kto był z nimi przez cały czas. Arnold Morgan jest właśnie takim człowiekiem i wszyscy w naszych siłach zbrojnych o tym wiedzą. Nie wiem, jak poradzilibyśmy sobie bez niego. Jestem pewien, że wszyscy przyłączycie się do mnie w życzeniach długiej i spokojnej emerytury dla admirała.

W tej samej chwili w Chevy Chase

Arnold Morgan konsumował właśnie ostatnią kielbasę na talerzu. Kathy posłała mu całusa.

–Słyszałeś, kochanie, co powiedział prezydent? – spytała. – E-me-ry-tu-ra!

–Tak jest. To właśnie od tej chwili robię.

–Jasne... Nie wiem tylko, dlaczego coś mi mówi, że gdy tylko znowu zacznie się dziać coś diabolicznego, oni cię znów wezwą, a ty ruszysz do boju, zanim trębacz skończy pierwsze takty sygnału...

PODZIĘKOWANIA

Moja długa, niemal wokółziemską podróż na pokładzie rosyjskiej budowy atomowego okrętu podwodnego była opracowana przez admirała sir Johna „Sandy'ego” Woodwarda, byłego dowódcę podobnej jednostki, a później dowódcę floty podwodnej Royal Navy. Admirał jest ostatnim człowiekiem, który dowodził bitwą morską na dużą skalę – był komandorem zespołu brytyjskiego w wojnie o Falklandy w 1982 roku.

Z anielską cierpliwością prowadził mnie przez zawilosci nuklearnego systemu napędowego, ani razu nie okazując zdenerwowania moją ignorancją... no, powiedzmy, że nie okazywał go tak często, jak by mógł. W kulminacyjnej fazie starcia pod Palmą to on zdecydował, że Barracuda zostanie zaatakowana raczej z powietrza niż z okrętu. Pomógł mi również w planowaniu amerykańskiej strategii poszukiwania i ataku. Jak zawsze, winien mu jestem wdzięczność.

Byli oficerowie sił specjalnych, którzy zawsze są w pobliżu, kiedy piszę kolejny z moich technothrillerów, z oczywistych powodów nie życzą sobie podawania ich nazwisk do publicznej wiadomości, ale i im dziękuję z całego serca. Każdy z nich wie, ile mu zawdzięczam.

W sprawie przyczyn powstawania i skutków tsunami konsultowałem się z trzema wybitnymi naukowcami po obu stronach Atlantyku. W dwóch czy trzech punktach wystąpiły pewne różnice poglądów. Nie wymieniam zatem nikogo z nazwiska, w obawie przed wywołaniem tarcia w środowisku geofizyków. Co gorsza, zostałem przy tym obwiniony o manipulowanie (wprawdzie nieznaczące) ich szczerze wyrażonymi opiniami. Niemniej im także dziękuję za pomoc przy snuciu głównego wątku tej powieści.

! I

Patrick Robinson

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-20

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/